



NOAH  
GORDON

SYN ZŁOTNIKA Z TOLEDO  
OCALAŁY Z POGROMU

MEDICUS  
Z SARAGOSSY



Książnica

NOAH GORDON

MEDICUS  
Z SARAGOSSY

Przełożyła z angielskiego  
Barbara Korzon



Książnica

WROCŁAW 2014

Tytuł oryginału  
*The Last Jew*

Projekt okładki  
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce  
© ROBERTO A. SANCHEZ

W książce wykorzystano cytaty z Pisma Świętego w przekładzie Jakuba Wujka

Copyright © 2000 by Lise Gordon, Jamie Beth Gordon i Michael Seay Gordon  
All rights reserved

For the Polish edition © Publicat S.A. MM, MMXIV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,  
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.



**Książnica**

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Wydanie elektroniczne 2014

ISBN 978-83-245-8177-1

Publicat S.A.  
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62  
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# Spis treści

Dedykacja

Część I. Pierworodny

Część II. Młodszy syn

Część III. Peon

Część IV. Pasterz

Część V. Płatnerz z Gibraltaru

Część VI. Medyk z Saragossy

Część VII. Milczący człowiek

Przypisy

*Kalebowi, Emmie  
i Babci  
z miłością*

C z ę ś ć p i e r w s z a

## *Pierworodny*

*Toledo (Kastylia)*

*23 sierpnia 1489 roku*

### **Rozdział 1**

#### ***Syn złotnika***

Nieszczęścia Bernarda Espiny zaczęły się w pewien upalny dzień z powietrzem ciężkim niczym kawał żelaza i jaskrawym, bezlitosnym słońcem wiszącym na niebie jak klątwa. W chwili gdy tego ranka brzemiennej niewieście z nagłą odeszły wody, tłok w jego lecznicy już się przewalił, a dwóch pozostałych jeszcze pacjentów czym prędzej przepędził z izby. Kobieta nie przybyła tu rodzić; przywiozła swojego starego ojca, nękanego uporczywym kaszlem. Dzieciątko było jej piątym i nie zwlekało z przyjściem na świat. Espina pochwycił śliskie różowe ciało, a gdy poklepał drobniutkie pośladki, krzepki mały peon wydał z siebie cienki a donośny wrzask, na co czekający za oknem jęli śmiać się i wznosić wiwaty.

Pomyślny poród sprawił medyka w dobry humor, budząc w nim złudną nadzieję, iż cały ten dzień okaże się równie szczęśliwy. Na popołudnie nie miał żadnych wezwań, zamyślał więc

naładować kosz łakociami, wziąć flaszkę czerwonego wina i wraz z rodziną wybrać się nad rzekę, gdzie dzieci będą mogły poplaskać się w wodzie, on zaś i Estrella, siedząc w trawie pod cienistym drzewem, będą sączyć wino, raczyć się słodyczami i spokojnie sobie gawędzić.

Kończył badać ostatniego już pacjenta, gdy na dziedziniec ciężko wtoczył się zdrożony osioł – nadmiernie widać poganiany w tej spiekocie – niosąc na grzbiecie człowieka w brązowej szacie nowicjusza. Głosem urywanym z tłumionego podniecenia przybysz powiadomił medyka, iż wzywa go padre Sebastian Alvarez, przeor klasztoru Wniebowzięcia.

– Przeor życzy sobie, byście przybyli niezwłocznie.

Musiał wiedzieć, że ma do czynienia z przechrztą, Espina od razu to wyczuł. Gość okazywał mu wprawdzie tyle szacunku, ile się należy profesji medyka, przemawiał doń jednak prawie tak wyniośle, jakby się zwracał do żyda.

Bernardo w milczeniu skinął głową. Osiołkowi nakazał dać wody, po trochu, nie za dużo naraz, a jeźdźcowi jadło i napitek. Niespiesznie wyszedł oddać mocz, obmył twarz i ręce, po czym przełknął kawałek chleba. Nowicjusz jeszcze się posilał, kiedy on dosiadał już konia, by stawić się na wezwanie.

Minęło jedenaście lat, odkąd przyjął chrzest i stał się żarliwym wyznawcą swojej nowej wiary. Czczył każdą niedzielę, codziennie chodził na mszę wraz z żoną i zawsze chętnie służył Kościołowi. Teraz też bezzwłocznie podążył na rozkaz przeora, bacząc jednak, by zanadto nie zmordować konia; o tej godzinie słońce miało kolor płynnej miedzi.

Do klasztoru Hieronimitów przybył akurat w porę, by usłyszeć rozgłośny dźwięk dzwonów wzywających wiernych na Anioł Pański. Ujrzał czterech spoconych braciszków z koszem czerstwego

chleba i wielkim kotłem *sopa boba*, pełnych chrześcijańskiej nadziei, iż cienka zakonna wodzianka doda nieco ciała wychudłym nędzarzom zebranych u klasztornej furty.

Przeor pogrążony w poufnej rozmowie z bratem zakrystianem, Juliem Pérezem, przechadzał się po krużganku. Espinę uderzyła niezwykła powaga malująca się na obu twarzach i... tak, oszołomienie. Słowo to nagle przyszło mu na myśl, kiedy padre Sebastian bardzo posępnie pozdrowił go imieniem Jezusa Chrystusa, odprawivszy wpierw zakrystiana.

– W naszym gaju oliwnym znaleziono zwłoki młodzieńca. Został zamordowany – powiadomił go kapłan. Był w średnim wieku, a do twarzy na stałe przyrósł mu wyraz głębokiej troski, jakby wiecznie się martwił, że Bóg nie pochwała jego uczynków. Neofitów wszakże zawsze traktował przyzwoicie.

Bernardo pokiwał głową, lecz w mózgu odezwał mu się sygnał ostrzegawczy. Prawda, że w świecie króluje zbrodnia, że z pożałowania godną regularnością ludzie znajdują wciąż czyjeś zwłoki, jednakże... po co umarłemu lekarz?

– Chodźmy.

Ojciec Sebastian poprowadził go do celi, gdzie złożono ciało. Roiło się tu już od much, a w powietrzu wisiał słodkawy odór ludzkich szczątków. Bernardo starał się oddychać płytko, lecz niewiele to pomogło.

Odchyliwszy narzuconą miłosiernie derkę, zobaczył krzepkie młodzieńcze ciało odziane jedynie w koszulę. Z nagłym skurczem bólu rozpoznał tę twarz i szybko nakreślił znak krzyża, nie bardzo wiedząc, dla kogo to czyni – dla martwego żydowskiego chłopca, dla samego siebie czy ze względu na obecność mnicha.

Przeor popatrzył mu w oczy.



– Dowiemy się wszystkiego o tej śmierci – powiedział cicho. – Wszystkiego, co możliwe.

Bernardo milczał. Dziwił się coraz bardziej, choć pewne rzeczy dla obu od początku były oczywiste.

– To Meir, syn Chilkiasza Toledana – rzekł po krótkiej chwili, co przeor potwierdził skinieniem głowy. Ojciec zabitego chłopca był znanym złotnikiem, najlepszym w całej Kastylii. – Jeśli mnie pamięć nie myli – dodał medyk – ten młodzik miał ledwo piętnaście lat. Wkraczał dopiero w wiek męski. W tym stanie go znaleziono?

– Tak. Znalazł go brat Angelo, który zaraz po jutrzni poszedł zebrać oliwki, korzystając z porannego chłodu.

– Czy pozwolisz mi go zbadać, ojcze? – zapytał Espina. Przeor w odpowiedzi machnął tylko niecierpliwie ręką.

Twarz chłopca była nietknięta i tak młodzieńczo niewinna! Na jego ramionach i piersi widniały jednak sine, podbiegłe krwią piętna, uda pokryte były całą siatką spękanych żyłek. Na plecach zmarłego Espina odkrył trzy powierzchowne zranienia zadane czymś tępym a ciężkim, na lewym boku ponad trzecim żebrzem cięcie od miecza bądź lancy. Odbyt był rozerwany, między pośladkami pozostała sperma. Paciorki zakrzepłej krwi otaczały wianuszkami podcięte gardło. Bernardo znał rodzinę chłopca. Byli to zawzięci żydzi, niezłomnie wierni swojej religii, nienawidzący takich jak on odszczepieńców, którzy dobrowolnie wyrzekli się wiary ojców.

Kiedy ukończył badanie, ojciec Sebastian poprowadził go do świątyni, gdzie klęcząc na twardej kamiennej posadzce, wspólnie odmówili Pater Noster. Przeor, podniósłszy się z klęczek, wydobył ze stojącej za ołtarzem szafki małą szkatułkę z drzewa sandałowego, z niej zaś prostokątny, mocno uperfumowany zwitek szkarłatnego

jedwabiu. Gdy go rozwinął, Bernardo ujrzął jasny wysuszony szczątek długości około pół piędzi.

– Czy wiesz, co to jest? – spytał zakonnik i z pewną niechęcią wręczył mu ów przedmiot.

Espina podsunął się bliżej ku pełgającemu światłu wotywnych świeczek i zaczął go bacznie studiować.

– To fragment ludzkiej kości, wasza wielebność.

– Tak jest, mój synu.

Bernardo był w pełni świadom, że stoi na skraju zdradliwej przepaści, ujawniając wiedzę zdobytą podczas długich godzin spędzonych potajemnie przy stole sekcyjnym. Kościół surowo zabraniał sekcji zwłok, on jednak popełnił ów grzech, kiedy jeszcze był żydem, w czasach gdy terminował u Samuela Prova, słynnego żydowskiego lekarza, który stale uprawiał te niedozwolone praktyki.

– To fragment kości udowej, najdłuższej kości ludzkiego ciała. Jej koniec, ten przy kolanie – powiedział, patrząc przeorowi prosto w oczy. Ponownie skupił uwagę na zbielałym kawałku kości, badając jego ciężar, wygięcie, bruzdy i inne znaki szczególne. – Pochodzi z prawej nogi niewiasty.

– Potrafisz wszystko to rozpoznać tylko patrząc?

– Tak.

Płomienie świec barwiły oczy przeora na żółto.

– To najświętszy ze szczątków. Kość osoby bliskiej Zbawicielowi.

Relikwia. Espina z nowym zainteresowaniem przyjrzał się kości. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że kiedykolwiek będzie trzymał w ręku taką świętość.

– Czy to kość jakiejś męczennicy, ojcze?

– Świętej Anny, mój synu – cicho odrzekł przeor.

Bernardo dopiero po chwili pojął znaczenie tych słów. Matka Najświętszej Dziewicy? Nie, to nie do wiary, pomyślał i nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że cóż za głupota! wyraził swą wątpliwość głośno.

– To prawda, synu. Potwierdzili ją rzymscy duchowni biegli w takich sprawach. Relikwię przysłał jego eminencja kardynał Rodrigo Lanzol.

Bernardowi zadrżała ręka, a przecież był dobrym chirurgiem! Ostrożnie zwrócił kość przeorowi, po czym znowu opadł na klęczki. Przeżegnawszy się zamasyście, zaczął wraz z zakonnikiem odmawiać następną modlitwę.

Kiedy nieco później znaleźli się znowu pod kopułą upalnego nieba, dostrzegł, że pośród klasztornych zabudowań kręcą się jacyś uzbrojeni ludzie nie wyglądający na mnichów.

– Wielebny ojcie, czy wczoraj wieczorem widziałeś może tego Meira? – zagadnął przeora.

– Nie – odrzekł padre Sebastian i wreszcie zdecydował się wyjawic Bernardowi, po co go tu zawezwał. – Nasz zakon zamówił u mistrza Chilkiasza, ojca tego chłopca, relikwiarz z kutego srebra i złota. Miał to być szczególny relikwiarz, w kształcie cyborium, godny pomieścić szczątek świętej Anny, dopóki nie zdołam zbudować odpowiedniej kaplicy ku jej czci. Rysunki Chilkiasza były wspaniałe. Zapowiadały zaiste niezrównane dzieło. I oto wczoraj wieczór ów młodzik miał je nam dostarczyć, lecz gdy znaleziono jego ciało, obok leżał tylko pusty worek. Być może zabili go żydzi, choć równie dobrze mogli to uczynić chrześcijanie. Ty jako lekarz masz wstęp do wielu domów. Jesteś chrześcijaninem, ale byłeś przecie żydem. Chcę, abyś wykrył zabójców.

Bernardo Espina z trudem stłumił falę zdumienia i urazy. Cóż za ignorancja! Jak można myśleć, że przechrzta wszędzie jest mile

widziany?

– Wielebny ojcie, jestem chyba ostatnią osobą zdolną wykonać to zadanie. Nie mnie powinienes je powierzyć.

– A jednak to czynię – mnich wlepił w niego twarde spojrzenie. Miało w sobie nieubłaganą zawziętość człowieka, który po to wyrzekł się ziemskich dóbr, by w zamian kupić sobie wszystko, co da się osiągnąć w niebiesiach. – Masz odnaleźć tych morderców, synu. Trzeba im pokazać, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, my zaś nie jesteśmy bezbronni. To święte zadanie i ty je musisz wypełnić.

## **Rozdział 2** ***Dar od Boga***

Ojciec Sebastian znał dobrze brata Péreza. Wiedział, że to człowiek niezachwianej wiary i że bez wątpienia dostąpiłby godności przeora klasztoru Wniebowzięcia, gdyby on sam umarł albo awansował. Zakrystian klasztornej kaplicy grzeszył wszakże wadą nadmiernej ufności. Przeor uznał za rzecz mocno niepokojącą już choćby to, że spośród sześciu surowookich strażników wynajętych przez brata Péreza do patrolowania klasztoru trzech zaledwie znanych jest im obu osobiście. Miał przy tym bolesną świadomość, że cała przyszłość klasztoru, nie mówiąc już o jego własnej, spoczywa w małej drewnianej szkatułce ukrytej w skromnej kaplicy. Obecność relikwii przepęłniała go wdzięcznością i nie słabnącym zdumieniem, że zdarzył mu się taki cud, lecz budziła zarazem ogromny niepokój: powiernictwo takiej świętości to wielki honor, ale też straszna odpowiedzialność.

Jako dwunastoletni zaledwie chłopiec Sebastian Alvarez zobaczył kiedyś coś niezwykłego w wypolerowanej powierzchni czarnego

ceramicznego dzbana. Ta wizja – bo do końca dni swoich miał wierzyć, że musiało to być święte widzenie – objawiła mu się pewnej nocy w rodzinnym domu w Walencji, w sypialnej komnacie, którą dzielił z braćmi, Augustinem i Juanem Antoniem. Obudził się nagle i w oblanej księżycowym blaskiem czarnej polewie dzbana zobaczył umęczonego Pana Jezusa na krzyżu. Zarówno postać Zbawiciela, jak i krzyż były niewyraźne, nie dostrzegł więc żadnych szczegółów, prawie zaraz też zapadł na powrót w jakiś słodki, kojący sen. Kiedy zbudził się rankiem, dzban wyglądał jak zwykle, obraz zniknął, lecz wspomnienie tej sceny, jasne i wyraziste, na zawsze wryło mu się w pamięć.

Nigdy nie wyjawiał nikomu, że Bóg uczynił go swoim wybrańcem, zsyłając mu ową wizję. Starsi bracia szydziliby z niego, mówiąc, że tym, co zobaczył, musiał być sierp księżyca, co na chwilę odbił się w dzbanie. Ojciec, możny grand, który z racji swego rodowodu i włości uważał, że wolno mu być okrutnikiem, wygarbowałby skórę głupiemu synowi. Matka, zaszczute stworzenie żyjące w wiecznym strachu przed mężem, rzadko otwierała usta, do dzieci zaś nie odzywała się prawie nigdy. Ale on, Sebastian, jasno zrozumiał tej nocy, jakie odtąd ma być jego życie. Zaczął objawiać tak wielką nabożność, że bez trudu nakłonił ojca, aby oddał go w służbę Kościoła.

Po święceniach kapłańskich z chrześcijańską pokorą zadowalał się pełnieniem różnych mało znaczących funkcji. Dopiero w szóstym roku kapłaństwa przyszło mu w sukurs rosnące znaczenie średniego brata, Juana Antonia. Tytuł szlachecki i dobra rodowe w Walencji odziedziczył najstarszy, Augustin, ale Juan Antonio zawarł świetne małżeństwo w Toledo, a rodzina jego małżonki, potężni Borgiowie, sprawiła, że Sebastian został przydzielony do tutejszej kurii.

Biskup Toledo mianował go kapelanem nowego klasztoru Hieronimitów i prawą ręką przeora, ojca Jeronima Degasa. Klasztor ten, pod wezwaniem Wniebowzięcia, był niesłychanie ubogi. Nie miał własnych ziem z wyjątkiem owego skrawka, na którym stały budynki, ani innej trwałej substancji. Mnisi dzierżawili jedynie niewielki oliwny gaj, a Juan Antonio zezwolił im w drodze łaski uprawiać winną latorośl na obrzeżach swojej posiadłości. Klasztor zbierał mniej niż skromne datki – ani Juan Antonio, ani inni okoliczni posiadacze nie byli zbyt szczodrzy – nie przyciągał też bogatych nowicjuszy.

Gdy po śmierci ojca Degasa braciszczowie wybrali go przeorem, Sebastian Alvarez uległ grzechowi pychy, choć w głębi duszy podejrzewał, że ów zaszczyt przypadł mu w udziale głównie z powodu brata. Pierwsze pięciolecie kierowania klasztorem nie tylko umniejszyło jego dobre mniemanie o sobie, lecz i podkopało w nim siłę ducha. Mimo to nadal ośmielał się marzyć. Olbrzymi zakon cystersów został wszak założony przez garstkę dzielnych ludzi, uboższych niż jego mnisi, a teraz jest potęgą. Gdy tylko jakaś społeczność biało odzianych braciszków osiągała liczbę sześćdziesięciu, dwunastu natychmiast ruszało w drogę zakładać nowy klasztor i tak oto rozsiedli się po całej Europie ku chwale Jezusa Chrystusa. Padre Sebastian powiedział sobie, że jego skromne zgromadzenie również zdolne jest tyle osiągnąć, jeśli tylko Bóg miłościwy zechce mu wskazać drogę.

W roku pańskim 1488 nadzieje ojca Alvareza odżyły: zapowiedziano wizytę dostojnego gościa ze świętej Stolicy Apostolskiej. Wszyscy kastylijscy duchowni byli nią niezmiernie poruszeni. Kardynał Rodrigo Lanzol miał wszak hiszpańskie korzenie, urodził się bowiem w pobliżu Sewilli jako Rodrigo Borgia. Adoptowany w młodości przez swego stryja, papieża Kaliksta III,

wyrósł z czasem na osobistość, której zaczęto się lękać, tak wielką posiadał władzę. Alvarezowie dawno już dowiedli swej lojalności wobec rodu Borgiów. Łączyły ich przyjaźnie i przymierza, teraz zaś więzy między rodzinami umocniły się jeszcze dzięki małżeństwu Eleonory Borgii z Juanem Antoniem Alvarezem. Za sprawą tychże koneksji Juan Antonio stał się znaną postacią u dworu, gdzie pełnił różne szczytne funkcje. Mówiono, że jest ulubieńcem samej królowej Izabeli.

Eleonora i kardynał Lanzol byli kuzynami w pierwszej linii.

– Potrzebna jest nam relikwia – zwrócił się do niej Sebastian. Ciężko mu było wystąpić z tą prośbą. Nie znosił bratowej za jej próżność, nieszczerłość i straszną kęśliwość, kiedy ktoś ją czymkolwiek rozdrażnił. – Relikwia jakiegoś męczennika lub może któregoś z pomniejszych świętych. Gdyby jego eminencja pomógł klasztorowi w zdobyciu świętej pamiątki, byłaby to dla nas rzecz wielka. Pewien jestem, że rad byłby przyjść nam z pomocą, gdybyś tylko go poprosiła.

– Och nie, nie mogę! – zaprotestowała Eleonora.

Sebastian nie skapitulował. Im bliżej było wizyty, tym bardziej poniżał się przed bratową błaganiem o wstawiennictwo, ona zaś stopniowo miękła. Na koniec aby się pozbyć natręta, złożyła mu obietnicę, że uczyni dla jego sprawy wszystko co w ludzkiej mocy. Wiadomo było powszechnie, że brat jej ojca, Garci Borgia Junez, będzie podejmował kardynała w swojej posiadłości w Cuence.

– Pomówię ze stryjem – obiecała Sebastianowi. – Będę go prosić, aby się za wami wstawił.

Tuż przed wyjazdem z Toledo kardynał Lanzol odprawił w miejscowej katedrze uroczystą mszę, w której uczestniczyli wszyscy bracia zakonni, księża i dostojnicy kościoła z całego regionu. Po nabożeństwie stał jeszcze chwilę przed ołtarzem

otoczony tłumem oddanych stronników. Na głowie miał mitrę kardynalską, w ręku wielki pastorał, na szyi zaś paliusz darowany mu przez papieża.

Sebastian, patrząc na niego z daleka, miał uczucie, że doświadcza drugiej w swym życiu nabożnej wizji. Nie starał się zbliżyć do kardynała. Eleonora już mu powiedziała, że Garci Borgia Junez przedłożył Lanzolowi wiadomą prośbę, a jak mądrze ją uzasadnił! Przypomniał, że po każdej wielkiej krucjacie rycerstwo i piesze wojska ze wszystkich krajów Europy wracają do domu przez Hiszpanię, ogałając królestwo z cennych relikwii. Wykopują z ziemi kości świętych i męczenników, rabują ich szczątki z każdego prawie kościoła czy katedry napotkanych na swojej drodze. Stryj, mówiła Eleonora, delikatnie napomknął kardynałowi, że gdyby mógł ofiarować jakąś niewielką relikwię pewnemu hiszpańskiemu księdzu spowinowaconemu z rodem Borgiów przez jej małżeństwo, zyskałby sobie w zamian wdzięczność całej Kastylii.

Teraz, myślał Sebastian, wszystko w ręku Boga i Jego rzymskich namiestników.

Dni mijały mu bardzo powoli. Z początku ośmielał się marzyć, że darowana relikwia będzie mieć moc spełnienia chrześcijańskich modlitw i że Bóg miłosierny obdarzy ją łaską uzdrawiania chorych. Taka świętość ściągałaby wiernych z najdalszych stron. I hojne datki. Ubogi klasztor stałby się wielką, kwitnącą kongregacją, a jego przeor... W miarę jak dni oczekiwania urastały w tygodnie, a potem w miesiące, zakazał sobie tych myśli. Już prawie stracił wszelką nadzieję, kiedy nadeszło wezwanie z biskupstwa. Do kurii dotarł właśnie worek pocztowy z Rzymu – co zdarzało się dwa razy w roku – w nim zaś wśród innych przesyłek znaleziono zapieczętowaną kopertę dla ojca Sebastiana Alvareza z klasztoru Wniebowzięcia.



Nie była to rzecz zwykła, aby skromny kapłan otrzymywał listy opatrzone pieczęcią świętej Stolicy Apostolskiej. Biskup pomocniczy Guillermo Ramero był tym mocno zaintrygowany, toteż wręczając Sebastianowi przesyłkę, patrzył nań wyczekująco, przekonany, że przeor zaraz ją otworzy i ujawni zawartość swemu zwierzchnikowi – jak przystało dobremu słudze Kościoła. Był wściekły, gdy padre Alvarez zwyczajnie odebrał kopertę i oddalił się zaraz z pośpiechem.

Dopiero w zaciszu swej celi przeor palcami drżącymi z emocji przełamał woskową pieczęć. W środku znajdował się dokument zatytułowany „Translatio Sanctæ Annæ”. Osunąwszy się na krzesło, zaczął go odczytywać i wtedy, dopiero wtedy jął z wolna pojmować, że ów dokument to historia ziemskich szczątków świętej Anny, rodzicielki Najświętszej Dziewicy.

Żydówka Chana, małżonka Joachima, zmarła w Nazarecie i tam też złożono jej ciało do grobu. Już pierwsi chrześcijanie darzyli ją głęboką czią. Wkrótce po śmierci Chany dwie Marie, jej krewne, i dalszy kuzyn imieniem Maksymin wyruszyli w świat głosić słowo Ewangelii w obcych krajach. W uznaniu świętości tej misji ofiarowano im drewnianą szkatułkę z kilkoma relikwiami matki Najświętszej Dziewicy. Trójka pielgrzymów, przebywszy Morze Śródziemne, wylądowała w Marsylii. Kobiety osiadły w pobliskiej wiosce rybackiej, by nawracać mieszkańców na prawdziwą wiarę, że jednak ów przybrzeżny obszar padał ofiarą częstych najazdów, Maksyminowi powierzono misję ukrycia świętych kości w bezpieczniejszym miejscu. Dalsza wędrówka zaprowadziła go do miasta Apt, gdzie umieścił je w świątynnym relikwiarzu.

Spoczywały tam setki lat. W ósmym wieku po narodzinach Chrystusa miasto odwiedził ten, którego żołnierze zwali „Carolus Magnus” – Karol Wielki, król Franków. Zdumiał się, ujrzawszy

relikwiarz i wyrytą na nim inskrypcję: „Tu oto spoczywają szczątki świętej Anny, matki Przenajświętszej Maryi Dziewicy”.

Ów król wojownik, wydobywszy kości z kawałka zbutwiałego płótna, doznał poczucia Boskiej obecności – trzymał wszak w ręku szczątki niewiasty, z której krwi narodził się Chrystus! Kilka tych relikwii ofiarował swym najbliższym druhom, te, które zatrzymał sobie, wyprawił do Akwizgranu. Nakazał sporządzić inwentarz wszystkich kości znalezionych w Apt, którego kopię wysłał papieżowi, pozostałe zaś szczątki powierzył opiece biskupa Apt i jego następców. W roku pańskim osiemsetnym, gdy po zwycięskim podboju całej zachodniej Europy Karol Wielki włożył na skronie koronę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, jego szaty koronacyjne zdobił haft przedstawiający postać świętej Anny.

Z grobowca w Nazarecie wcześniej już wydobyto pozostałe tam jeszcze kości. Kilka spośród nich otrzymały kościoły w różnych krajach, trzy ostatnie powierzono pieczy Ojca Świętego. Te trzy przez ponad stulecie spoczywały w rzymskich katakumbach, ale oto nadszedł rok 830 i pewien złodziej relikwii, nazwiskiem Duesdona, diakon Kościoła rzymskiego, zuchwale splądrował katakumby, chcąc zaopatrzyć w relikwie germańskie klasztory. Sprzedał im między innymi szczątki świętych Sebastiana, Fabiana, Aleksandra, Emerencji, Felicyty, Felicjana i Urbana, dziwnym wszakże trafem przeoczył trzy kości świętej Anny. Kiedy władze kościelne odkryły bezbożną grabież, przeniesiono je do magazynów, gdzie przez kilka następnych stuleci bezpiecznie obrastały kurzem.

Teraz zawiadamiano ojca Sebastiana, iż wkrótce otrzyma jedną z tych bezcennych kości.

Przez całą dobę, od jutrzni do jutrzni, na kolanach dziękował Bogu za łaskę, nie przyjmując jadła ni napoju. Kiedy wreszcie spróbował się podnieść, nie miał czucia w nogach. Zaniepokojeni

bracia musieli go wynieść z kaplicy i złożyć na łożku w celi. Pan Bóg wszakże przywrócił mu siły; wtedy poszedł pokazać „Translatio” Juanowi Antoniowi i Garcjemu Borgii. Zdjęci nabożnym podziwem, zobowiązali się pokryć koszt relikwiarza, w którym część babki Zbawiciela miała czekać na godną kaplicę. Długo deliberowali nad wyborem rzemieślnika, który sprostałby temu zadaniu. Za radą Juana Antonia postanowili na koniec zlecić je Chilkiaszowi Toledanowi, żydowskiemu złotnikowi, który zyskał sobie znaczny rozgłos tak oryginalnością swych wzorów, jak i pięknem ich wykonania.

Sebastian odbył z nim później dyskusję w sprawie kompozycji relikwiarza oraz zapłaty za dzieło. Wtedy też przyszło mu na myśl, jak dobrze byłoby pozyskać dla Chrystusa duszę tego żyda. Wszak dzieło Chilkiasza służyć ma Jego chwale.

Rysunki przedłożone przez złotnika świadczyły wymownie, że jest on nie tylko biegłym w swej sztuce rzemieślnikiem, lecz i prawdziwym artystą. Cały kielich wraz z kwadratową podstawą i pokrywą miał być wykonany z litego polerowanego srebra. Chilkiasz zaproponował, by umieścić na nim dwie postacie wykonane techniką filigranu – z cieniutkich srebrnych niteczek. Widoczne były tylko ich plecy, jednakże płęć postaci nie budziła żadnych wątpliwości – promieniały kobiecym wdziękiem. Po lewej stronie stała matka, po prawej córka, nie całkiem jeszcze dojrzała niewiasta, łatwa wszakże do rozpoznania po otaczającej głowę aureoli. Na całej powierzchni cyborium Chilkiasz chciał wycyzelować mnóstwo roślin znanych Chanie za życia – winorośl i drzewa oliwne, granaty, daktyle i figi, pszenicę orkisz i jęczmień. Po drugiej stronie kielicha, ukryte przed wzrokiem kobiet, tak jak ukryta jest przyszłość, jawiło się wyobrażenie tego, co nadejdzie – wyrzeźbiony w litym srebrze krzyż, który w wiele lat po śmierci

Chany miał stać się symbolem nowej religii. U stóp krzyża widniała szczerozłota postać Dzieciątka.

Padre Sebastian obawiał się trochę, iż dwaj fundatorzy mogą zgłosić własne pomysły, przez co sprawa ulegnie zwłóce, jednakże ku jego uldze szkice Chilciasza wprawiły ich w zachwyty.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, kiedy stało się dla niego jasne, że rychła pomyślność klasztoru nie jest już tajemnicą. Ktoś – Juan Antonio, Garci Borgia bądź złotnik – pochwalił się widać relikwią. A może komuś w Rzymie wymknęło się niebaczone słówko. Kościół czasami przypomina wioskę, pomyślał nieco zgryźliwie. Duchowni z Toledo, którzy do tej pory nie raczyli bodaj zauważyć osoby skromnego przeora, teraz przyglądali mu się baczenie, a w ich oczach czaiła się wrogość. Do klasztoru przybył biskup sufragan Guillermo Ramero i jął szczegółowo lustrować kaplicę, kuchnię i cele mnichów.

– Eucharystia to ciało Pana naszego – zauważył – czyż jest więc potężniejsza od niej relikwia?

– Nie, wasza ekscelencjo – potulnie odrzekł Sebastian.

– Skoro relikwię Świętej Rodziny ofiarowano naszemu miastu, powinna ona stać się własnością biskupstwa w Toledo, nie zaś podległej mu instytucji – zagrzmał jego ekscelencja.

Sebastian tym razem zmilczał, zmierzył się jednak z biskupem długim, nieruchomym spojrzeniem, z którego zniknęła wszelka potulność. Biskup parsknął ze złością i dał znak swej świcie, że wizyta skończona.

Zanim ojciec Sebastian zdecydował się podzielić doniosłą nowiną z bratem zakrystianem, ten dowiedział się już wszystkiego od swego krewniaka, księdza z diecezjalnego Świętego Oficjum. Przeor wkrótce odkrył, że o relikwii mówią już wszyscy, nie wyłączając jego własnych mnichów, a nawet nowicjuszy. Krewniak

z diecezji powiadomił również zakrystiana, iż szpiedzy donoszą o licznych przygotowaniach do różnych drastycznych akcji. Franciszkanie i benedyktyni wystosowali do Rzymu ostre listy protestacyjne. Cystersi, którzy swą potęgę zbudowali na szczególnym kulcie Przenajświętszej Maryi Panny, zawrżeli oburzeniem, że relikwia Jej rodzicielki ma przypaść w udziale zgromadzeniu hieronimitów. Wynajęli już adwokata, by przedłożył ich sprawę Rzymowi. Nawet wśród samych hieronimitów dawały się słyszeć szepty, iż tak czcigodnej relikwii nie powinno się powierzać tak skromnemu klasztorowi.

Ojciec Sebastian i brat Julio doskonale zdawali sobie sprawę, czym grożą owe działania: wysyłka relikwii może zostać wstrzymana. Dla klasztoru byłaby to klęska, spędzali zatem długie godziny na modlitwie, błagając Boga o łaskę.

Wreszcie jednak pewnego letniego dnia u wrót klasztoru Wniebowzięcia pojawił się krzepki brodaty wędrowiec w ubogim odzieniu peona. Przybył w porze wydawania wodzianki, którą zaczął zajadać z takim samym zapałem jak wszyscy głodni petenci. Kiedy już tę cienką polewkę wychłęptał do ostatniej kropli, zapytał o ojca Sebastiana, a zostawszy sam na sam z przeorem, przedstawił mu się jako ojciec Tullio Brea z Rzymu, przybywający z błogosławieństwem jego eminencji kardynała Rodriga Lanzola. Po tych słowach wydobył ze swej wyszarganej sakwy małą drewnianą szkatułkę. Przeor, podniósłszy wieczko, znalazł w środku mocno pachnący zwitek jedwabiu koloru krwi, w nim zaś tak długo oczekiwany ułomek bezcennej kości.

Włoski duchowny niedługo zabawił w klasztorze. Został na niesporach, których nigdy jeszcze nie celebrowano tu tak radośnie i z taką wdzięcznością, lecz gdy tylko przebrzmiały ostatnie

dźwięki pieśni wieczornej, równie niepostrzeżenie jak przybył, rozpląnął się w mroku nocy.

Przeor po tej wizycie nieraz rozmyślał tęsknie, jak beztroska być musi taka służba Bogu: wędrować sobie po świecie w przebraniu... Podziwiając zręczność takiego posunięcia, jakim było niewątpliwie powierzenie cennej przesyłki niepozornemu pielgrzymowi bez żadnej eskorty, pchnął do Chilkiasza gońca z listem, w którym radził mu zrobić to samo. Niech ukończony relikwiarz dostarczy samotny posłaniec po zapadnięciu zmroku.

Złotnik usłuchał i wysłał w drogę swego syna, tak jak kiedyś uczynił to Bóg. Z takim samym też rezultatem, myślał przeor. Ten chłopak, Meir, był żydem, nie dostąpi więc nigdy Królestwa Bożego, mimo to padre Sebastian zmówił pacierz za jego duszę. Morderstwo i kradzież pokazały mu jasno, ile niebezpieczeństw grozi zewsząd powiernikom bezcennej relikwii, pomodlił się więc także za powodzenie medyka, któremu w imię Boże nakazał odnaleźć złoczyńców.

### **Rozdział 3**

#### ***Żyd, który stał się chrześcijaninem***

Bernardo Espina lękał się przeora Alvareza. Mądry człek i zarazem taki nierozumny, rozmyślał markotnie, oddalając się od klasztoru. Wszak on, Bernardo Espina, jest bodaj ostatnim z ludzi zdolnym dowiedzieć się czegokolwiek tak od żydów, jak i chrześcijan, gdyż gardzą nim jedni i drudzy.

Zaczął myśleć o swym pochodzeniu i historii swojej rodziny – a znał ją w całości. Według legendy pierwszy Espina, który osiadł na Półwyspie Iberyjskim, był przedtem kapłanem w świątyni Salomona. Jego potomkowie i inni żydowscy przybysze przetrwali

w Hiszpanii rządy Wizygotów, a potem podboje Maurów i chrześcijan. Zgodnie z nakazami swych rabinów zawsze skrupulatnie przestrzegali praw każdej monarchii i ludu, wśród którego żyli. Osiągnęli w Hiszpanii najwyższe godności. Służyli władcom jako wezyrowie, opływali w dostatki jako lekarze i dyplomaci, lichwiarze i bankierzy, poborcy podatków i kupcy, posiadacze ziemscy i słynni rzemieślnicy. Równocześnie prawie każde pokolenie padało ofiarą pogromów, do których biernie lub czynnie zachęcał wiernych Kościół katolicki. „Żydzi to ludzie wpływowi i niebezpieczni, przywodzący dobrych chrześcijan ku zwątpieniu” – surowo pouczył Bernarda ksiądz, który udzielał mu chrztu.

Dominikanie i mnisi spod znaku świętego Franciszka przez setki lat podburzali przeciw żydom *pueblo menudo*, „małych ludzi”, jak zwali niższe warstwy, wzniecając w nich niechęć preradzającą się nieraz w zaciekłą nienawiść. I tak po krwawym pogromie w roku 1391 – wymordowano wtedy pięćdziesiąt tysięcy żydów! – nastąpiło jedyne w ich dziejach masowe nawrócenie, podczas którego setki tysięcy wyznawców Jahwe przyjęły wiarę Chrystusową. Jedni uczynili to w obronie życia, inni dla majątku i wpływów. Wśród konwertytów byli ludzie tacy jak Espina, którzy szczerze pokochali Zbawiciela, jednakże wielu głośno wyznając katolicyzm, nadal potajemnie przestrzegało starej wiary. Byli oni tak liczni, że w roku 1487 papież Sykstus IV ustanowił Świętą Inkwizycję, która miała wykrywać fałszywych chrześcijan i karać ich śmiercią.

Bernardo słyszał nieraz, jak niektórzy żydzi nazywają przechrztów: *los marranos*, wieprze, twierdząc przy tym, że skazani są na wieczne potępienie i że w Dniu Sądu ich ciała nie powstaną z martwych. Litościwsi mówili o nich *anusim*, przymuszeni, utrzymując, iż Bóg

w miłosierdziu swoim wybaczył im grzech apostazji, rozumiejąc, że zmuszeni go byli popełnić, by przetrwać.

On sam nie należał do „zniewolonych”. Jako żydowski chłopiec zerknął kiedyś przez otwarte drzwi do katedry i zaintrygowała go postać rozpięta na krzyżu. Ojciec i inni starsi nazywali tego kogoś „wisielcem”. Później, kiedy jako czeladnik medyka starał się ulżyć ludzkiemu cierpieniu, męka Chrystusowa wywołała w nim żywy oddźwięk i tak początkowe zainteresowanie Galilejczykiem przerodziło się w żarliwą wiarę i wreszcie w gorące pragnienie osiągnięcia chrześcijańskiej czystości, tego, co nazywano stanem łaski uświęcającej.

Pokochał Syna Bożego całym sercem. Myślał nawet, że miłuje Go mocniej niż ten, kto urodził się chrześcijaninem. Kochał Go miłością równą uwielbieniu Szawła z Tarsu, niezachwianie i bez zastrzeżeń, miłością bardziej namiętną niżli pożądanie męża dla niewiasty.

Przyjął chrzest w dwudziestym drugim roku życia, wkrótce po rozpoczęciu samodzielnej praktyki medycznej. Jego rodzina ogłosiła żałobę; odmówiono za niego kadisz, jakby już nie żył. Ojciec, tak dotąd kochający i dumny z syna, przeszedł obok niego na placu, nie odpowiadając na pozdrowienie, jakby wcale go nie znał. Jacob Espina zbliżał się już wtedy do kresu swych dni. Bernardo dowiedział się o jego zgonie w tydzień po pogrzebie. Odprawił nowennę za duszę ojca, lecz pchany wewnętrznym przymusem odmówił też za niego kadisz, płacząc samotnie w sypialnej alkowie. Nie było przy nim minjanu, więc słowa tej modlitwy nie przyniosły mu żadnej pociechy.

Bogaci bądź wpływowi konwertyci byli akceptowani przez hiszpańską szlachtę i mieszczaństwo, toteż wielu poślubiło rodowite chrześcijanki. Sam Bernardo Espina pojął za żonę Estrellę de Aranda, córkę szlacheckiej rodziny. Radość z przyjęcia go do tej



rodziny oraz pierwsze uniesienia religijne początkowo kazały mu wierzyć – zaiste wbrew wszelkiej logice – iż także chrześcijańscy pacjenci uznają go za współwyznawcę, nie zdziwił się wszakże, gdy tak się nie stało i nadal traktowano go z pogardą.

Za czasów młodości jego ojca sędziowie miasta Toledo uchwalili ustawę przeciw przechrztom:

„Stanowimy tym oto aktem, że ci, których zwą nawróconymi, potomstwo przewrotnych żydowskich przodków, mają być prawnie uznani za niesławnych i bezecnych, niegodnych pełnienia publicznych urzędów, jako też niegodnych wszelkich beneficjów w mieście Toledo i na ziemiach podległych jego jurysdykcji i że zakazuje im się zasiadać w sądach, być notariuszami lub mieć jakąkolwiek władzę nad prawymi chrześcijanami Świętego Kościoła Katolickiego”.

Jadąc przez miasto, Bernardo mijał liczne zakony, niektóre niewiele większe od klasztoru Wniebowzięcia, ale też kilka takich, które z łatwością pomieściłyby małą wioskę. Pod rządami katolickich monarchów służba Kościołowi stała się zajęciem nader częstym. Podejmowali ją *segundones*, młodszy synowie szlacheckich rodów, którym prawo majoratu odbierało możliwość dziedziczenia dóbr i tytułów, w Kościele natomiast mogli dzięki rodzinnym koneksjom liczyć na szybki awans. Młodsze córki szlacheckich rodów też częstokroć szły do klasztoru. Wydanie za mąż najstarszych wymagało zwykle tak wielkiego wiana, że reszta żeńskiego potomstwa zostawała z niczym. Służba boża pociągała także najuboższych chłopów; kościelne prebendy i beneficja były dla nich jedyną szansą wyrwania się z nędzy poddaństwa.

Rosnąca wciąż liczba zgromadzeń religijnych doprowadziła do równie zacieklej, co nie przebiegającej w środkach rywalizacji o hojnych donatorów i tłuste jałmużny. Przeor Alvarez powiedział

Bernardowi o knowaniach potężnych benedyktynów, podstępnych franciszkanów, a nawet co ambitniejszych hieronimitów i Bóg wie ilu jeszcze innych, którzy wszelkimi siłami chcą wydrzeć klasztorowi Wniebowzięcia relikwię Świętej Rodziny. Espina pomyślał z niepokojem, że stając na drodze tym potężnym, zwalczającym się nawzajem frakcjom, może zostać zgnieciony jak mucha. Jak nieszczęsny Meir Toledano.

Postanowił rozpocząć śledztwo od próby odtworzenia drogi, którą chłopiec ów szedł po śmierć.

Dom Chilkiasza Toledana stał wśród wielu innych między dwiema synagogami. Jedna z nich, ta główna, została już dawno przejęta przez Kościół Chrystusowy, toteż obrządki żydowskie odbywały się teraz w synagodze lewickiej, której świetność przypominała czasy znacznie pomyślniejsze dla ludu Izraela. Żydowska społeczność Toledo była na tyle mała, że wszyscy tutaj wiedzieli, kto porzucił wiarę, kto udaje katolika, a kto pozostał żydem. Wierni literze Pisma unikali kontaktów z przechrztami, jednakże przed czterema laty zdjęty desperacją Chilkiasz wezwał do siebie Espinę.

Estera, bogobojna małżonka złotnika, wywodząca się z rodu wielkich rabinów świątyni Salomona, zaczęła z dnia na dzień nagle marnieć w oczach, Chilkiasz zaś zrobiłby wszystko, by utrzymać przy życiu matkę swoich trzech synów. Bernardo dokładał wszelkich starań, aby jej pomóc; próbował wszystkich znanych sobie środków, modlił się do Jezusa o życie niewiasty równie żarliwie jak Chilkiasz do swego Jehowy, niestety, nie zdołał jej uratować. Mógł tylko błagać Boga, by zechciał być litościwym dla jej nieśmiertelnej duszy.

Teraz pospiesznie minął domostwo złotnika. Nie chciał być posłańcem nieszczęścia. I tak zawita tu ono już wkrótce. Wiedział,

że lada chwila dwaj mnisi z klasztoru Wniebowzięcia przywiodą do tego domu osła ze zwłokami najstarszego syna.

Synagogi budowano przed wiekami zgodnie z żydowską tradycją nakazującą, aby dom modlitwy stał na najwyższym wzniesieniu. Pod budowę świątyni wybrano więc miejsce na stromym wysokim urwisku górującym nad rzeką Tag. Klacz Bernarda spłoszyła się nagle na samym skraju przepaści. Matko Boża! westchnął w duchu, ściągając wodze, gdy zaś koń odzyskał równowagę, uśmiechnął się z lekką ironią i powiedział głośno:

– Babka Zbawiciela! – Wciąż jeszcze nie mógł wyjść z podziwu nad tym wydarzeniem.

Wyobraził sobie Meira ben Chilkiasza, jak niecierpliwie czeka tu na zmierzch. Pewno nie bał się wcale tych skał i przepaści. On sam, Bernardo, pamiętał czasy, kiedy to o zmroku stał w tym miejscu z ojcem, wypatrując na ciemniejącym niebie pierwszych trzech gwiazd oznaczających koniec szabat. Szybko odegnał tę myśl, jak zwykł był czynić z każdym wspomnieniem swojej żydowskiej przeszłości. Burzyły mu spokój. Pomyślał, że Chilkiasz słusznie postąpił, powierzając dostarczenie relikwiarza piętnastoletniemu młodzikowi bez żadnej eskorty. Widok zbrojnego strażnika byłby jawnym sygnałem dla świata przestępców, że w sakwie znajduje się coś cennego. Chłopiec z nie rzucającym się w oczy tobołkiem miał większe szanse donieść go bezpiecznie, choć jak teraz widać, i tak nie najlepsze...

Zsiadł z konia i wprowadził go na stromy szlak biegnący w dół zboczem urwiska. Nad samą krawędzią stała kamienna chata zbudowana jeszcze przez Rzymian; strącano stąd skazanych na śmierć. Daleko w dole między urwiskiem a wznoszącym się naprzeciw granitowym wzgórzem wiła się rzeka, piękna i niepomna

niczego, co się tu działo. Toledańscy chłopcy po zmroku stronili od tego miejsca, mówiąc, że słyhać tu jęki umarłych.

Nadal prowadząc konia za uzdę, powoli wędrował w dół, dopóki wąska stromizna nie przeszła w znośną pochyłość. Uchodziła stąd ścieżka ku rzece, którą po dobrej chwili dotarł na sam brzeg. Mostu Alcantara nie brał pod uwagę, pewien, że Meir ben Chilkiasz też go ominął. Domysł ów wkrótce zyskał potwierdzenie. Niedaleko od ścieżki napotkał płyciznę. Przekonany, że tędy właśnie chłopiec przeprowił się na drugą stronę, wsiadł na konia i skierował go do wody. Na przeciwległym brzegu łatwo odnalazł ścieżkę wiodącą do klasztoru Wniebowzięcia.

Nieco dalej leżały żyzne ziemie uprawne, tu jednak sucha, uboga gleba nadawała się jedynie na pastwiska, i to tylko przez krótki czas w roku. Usłyszał pobekiwanie owiec i po kilku krokach natknął się na duże stado pracowicie szczypiące nędzną trawę. Pilnował go znajomy starzec, Diego Diaz. Rodzina Diega była prawie tak liczna jak jego stado, toteż Bernardo rzadko kiedy nie leczył któregoś z owych krewniaków.

– Dzień dobry, señor Bernardo!

– Dzień dobry, señor Diaz – odrzekł medyk, zeskakując z siodła. Pozwolił klaczy się popaść, sam zaś postanowił pogadać z pasterzem. – Powiedzcie mi, Diego, czy znacie chłopaka imieniem Meir, syna żyda Chilkiasza?

– Znam, señor. Mówicie o bratanku Arona Toledana, tego serowara?

– Tak. Dawnoście go widzieli?

– Nie dalej jak wczoraj pod wieczór. Roznosił sery stryja i za solda sprzedawał i mnie kozi serek. Dobry był! Zjadłem go dziś na śniadanie. Wielka szkoda, że nie dał mi dwóch. – Zerknąwszy spod oka

na Espinę, stary spytał nieco podejrzliwym tonem: – Czemuż to go szukacie? Przeskrobał coś ten młodzik?

– Nie, nie! Nic złego nie zrobił.

– Tak i myślałem, bo to nie żadne ladaco ten młody żydek.

– A wczoraj wieczorem nie widzieliście tu jakichś obcych?

Pasterz kiwnął głową i zaczął opowiadać, że niedługo po odejściu chłopca przejechali tędy dwaj konni, którzy omal go nie stratowali. Nie wie, co to za jedni, bo się nie okrzyknęli, a on też o nic nie pytał.

– Dwóch, powiadacie? – Espina wiedział, że może polegać na starym. Musiał przyjrzeć się z bliska owym nocnym jeźdźcom. Pewnie był kontent, że nie zsiadli z koni, by porwać mu jedno albo dwa jagnięta.

– Księżyc świecił jasno, tom widział, że jeden to szlachcic, pewnikiem rycerz, bo miał na sobie piękną kolczugę. Drugi był księdzem lub mnichem, ale koloru szaty nie widziałem... – Zawahał się, a potem dodał: – Ten miał oblicze świętego.

– Do którego ze świętych wydał się wam podobny?

– Do żadnego w szczególności – odparł trochę niecierpliwie pasterz. – Mówię tylko, że twarz miał piękną... jakby sam Bóg jej dotknął. Takie oblicza mają święci na obrazach – oświadczył, kreśląc znak krzyża. Poderwał się z miejsca i pobiegł poszczuć psa, cztery owce bowiem odłączyły się właśnie od stada.

Ciekawe, pomyślał Bernardo. Twarz dotknięta przez Boga? Poszedł po konia i usadowił się w siodle.

– Zostańcie z Bogiem, señor Diaz.

Stary obrzucił go krótkim, z lekka sardonicznym spojrzeniem:

– Bóg z wami, señor Espina.

Nędzne pastwisko wkrótce ustąpiło miejsca lepszej, bardziej urodzajnej ziemi. Ciągnęły się tu rzędem pola i winnice. Znalazłszy

się na łące przyległej do kępy klasztornych oliwek, Bernardo zsiadł z konia, a wodze przywiązał do drzewa. Trawa była tutaj mocno stratowana. Widniały na niej ślady końskich podków, ich liczba zaś zdawała się odpowiadać temu, co mówił pasterz: dwa konie... Ktoś dowiedział się pewnie o zleceniu danym Chilkiaszowi przez klasztor... Ktoś wiedział, że złotnik kończy już swe dzieło, zabójcy śledzili więc jego domostwo, czyhając na posłańca...

Tu go napadnięto.

Nikt nie słyszał krzyków Meira. Dzierżawiony przez mnichów gaj oliwny rósł z dala od ludzkich siedzib, kawał drogi od klasztornej furty.

Krew. W tym miejscu cięto chłopca w bok.

Przemierzając powoli leżącą pokotem trawę, Bernardo zobaczył miejsce, gdzie jeźdźcy dopadli Meira ben Chilkiasza, a ich rumaki runęły na kark ofiary jak na zaszczutego lisa – stąd ślady kopyt na plecach. Tu zabrano mu worek z cenną zawartością. Nieopodal, pokryte dziesiątkami mrówek, leżały dwa białe sery, takie, jak opisał Diego; miały posłużyć chłopcu za pretekst... Jeden był nietknięty, drugi przełamany i wbity w ziemię, najpewniej ciężkim kopytem... Stąd zawleczono młodzieńca pod osłonę oliwek, gdzie jeden z oprawców dokonał na nim gwałtu. A może zrobili to obaj. Na koniec poderżnięto biedakowi gardło.

Bernardo, wyobrażając to sobie, poczuł zawrót głowy i mdłości.

Od żydowskiego dzieciństwa nie dzieliło go aż tyle lat, aby mógł zapomnieć przerażenie, jakie budził w nim widok zbrojnych nieznajomych. Wyrządzali wciąż tyle zła. Zbyt mało upłynęło czasu, odkąd przestał być wyznawcą Jahwe, by nie odczuć osobiście tego, co się tu działo. Na długą chwilę stał się tym chłopcem. Słyszał głosy złoczyńców. Jego nozdrza łowiły ich woń. Dostzegał

wyłaniające się z mroku złowróźbne kształty końskich bestii, czuł ich kopyta na karku...

Okrutne pchnięcie zimnym stalowym ostrzem... Gwałt...

Znów stał się sobą, medykiem Bernardem Espiną. Słońce opuszczało się już za horyzont. Chwiejnie ruszył w stronę swojej klaczy, pchany ślepyim pragnieniem ucieczki. Jak najdalej od tego miejsca! Nie wierzył, że o zmroku rozlegną się tu jęki zmarłego Meira, bynajmniej jednak nie pragnął, aby w tym gaju zastała go noc.

## **Rozdział 4** ***Przesłuchanie***

Bernardo Espina rychło zdał sobie sprawę, że nie zbierze więcej informacji o zabójstwie żydowskiego chłopca i kradzieży srebrnego cyborium. Prawie wszystko, co wiedział, wykoncypował sam na podstawie pośmiertnego badania ciała, oględzin miejsca zbrodni i rozmowy ze starym pasterzem. Po tygodniu bezowocnej łazęgi po mieście całkowitą pewnością miał wyłącznie co do jednego: że zaniedbał swoich pacjentów; z tym większym przeto zapałem poświęcił się codziennym obowiązkom. Zwyczajnym i tak bezpiecznym.

Dziewiątego dnia, licząc od pierwszej bytności w klasztorze, postanowił odwiedzić ojca Sebastiana. Powie przeorowi, co zdołał ustalić, i na tym zakończy swój udział w sprawie.

Ostatnim jego pacjentem był owego dnia starzec, który z trudem oddychał, choć powietrze było chłodne i rześkie – aż dziw, że taki dzień zdarzył się w porze największej spiekoty. Chude, wyniszczone ciało starego człowieka mówiło wyraźnie, że przyczyna cierpienia nie ma związku z aurą. Skóra na piersi była cieniutka jak welin,

klatka piersiowa poruszała się niczym rybie skrzela. Kiedy Espina przyłożył do niej ucho, usłyszał urywane bolesne rżenie. Był pewien, że pacjent umiera, lecz jakiś czas jeszcze to potrwa. Pragnąc przynieść cierpiącemu ulgę w ostatnich już dniach żywota, zaczął szukać w swej aptece ziół na łagodzący napar, gdy do lecznicy wkroczyło dwóch niechlujnych uzbrojonych mężczyzn. Wkroczyli tak pewnie i butnie, jakby to oni byli tu właścicielami.

Oznajmili, że są żołnierzami alguacila, królewskiego sędziego Toledo. Jeden z nich, niższy, z piersią jak baryłka, powiedział urzędowym tonem:

– Bernardzie Espino, macie zaraz iść z nami.

– O co chodzi, señor?

– Chcą was widzieć w Świętym Oficjum.

– Inkwizycja? – Espina starał się zachować spokój. – Doskonale. Zaczekajcie, proszę, na dworze. Zaopatrzę tylko pacjenta w niezbędny mu medykament.

– Nie, macie iść zaraz – odezwał się drugi żołnierz. Powiedział to cicho, lecz bardzo władczo.

Bernardo wiedział, że jego sługa, Joan Pablo, siedzi pod okapem, gawędząc z synem pacjenta. Podeszedł do drzwi i zawołał:

– Idź i powiedz pani, by podano gościom poczęstunek! Chleb z oliwą i miodem i schłodzone wino!

Ludzie sędziego spojrzeli po sobie, po czym niższy skinął głową. Twarz jego kompana pozostała bez wyrazu, ale żołnierz nie zgłosił obiekcji. Espina wrócił do pracy. Wsypał ziołową mieszankę do glinianego naczynka i starannie zatkał je korkiem. Kończył właśnie pouczać syna chorego starca, jak ma aplikować medykament, kiedy spieszenie przybyła Estrella, a za nią służebna z chlebem i winem. Gdy wyjawiał małżonce, kim są dwaj przybysze, twarz jej stężała jak ścięta lodem.



- Mój drogi – szepnęła – czegoż może chcieć od ciebie inkwizycja?
- Pewnie potrzebny im medyk.

Myśl ta uspokoiła oboje. Podczas gdy żołnierze jedli i pili, Joan Pablo osiodłał konia. Bernardo był kontent, że dzieci są u sąsiada, gdzie raz w tygodniu pewien mnich nauczał młodzież katechizmu. Dobrze, że nie widzą ojca opuszczającego dom pod eskortą.

Siedział na drewnianej ławce w korytarzu i czekał. Inni również. Korytarzem raz po raz przechodzili duchowni w czarnych sutannach. Od czasu do czasu straż wprowadzała do środka bladych ze strachu ludzi, mężczyzn lub kobiety, nakazując im siadać na ławie, albo zabierała kogoś spośród oczekujących. Ci znikali na amen w czeluściach wielkiego budynku. Nikt z wyprowadzonych nie wrócił.

Zapalono pochodnie, a Espina wciąż czekał. Czas dłużył mu się nieznośnie. Zdecydował się w końcu podejść do strażnika rozpartego przy niewielkim stole obok wejścia i spytać, kim jest ten, kto życzy sobie go widzieć. Za całą odpowiedź strażnik zgromił go wzrokiem i zdecydowanym gestem odesłał na ławkę. Po jakimś czasie w korytarzu pojawił się inny strażnik i zaczął coś mówić do tego przy stole. Bernardo zauważył, że obaj patrzą na niego.

- Ten ma iść do brata Bonestruki – dobiegły go słowa.

Toledo zaczynało być ludnym miastem, lecz Espina tu się urodził i jak słusznie zauważył przeor, dzięki swojej profesji dobrze znał zarówno miejscowych świeckich, jak i duchownych. Nie pamiętał jednak, aby kiedykolwiek zetknął się z takim mnichem. Bonestruca? Nigdy nawet nie słyszał tego nazwiska.

W końcu i po niego przyszedł strażnik. Wspięli się na górę po kamiennych schodach, przeszli kilka kiepsko oświetlonych korytarzy, podobnych do tego, w którym spędził długie godziny, i wreszcie wprowadzono go do małej celi, gdzie pod zatkniętą

w ścianę pochodnią siedział mnich. Musiał to być ktoś nowy, bo gdyby Espina choć raz zobaczył tę twarz na ulicy, już by jej nie zapomniał.

Był to wysoki mężczyzna o klasycznie hiszpańskiej urodzie, tak uderzającej, że Bernardo musiał użyć całej siły woli, by nachalnie mu się nie przyglądać. Obrzucił więc tylko przelotnym spojzeniem gęste czarne włosy, długie i źle przycięte, szerokie czoło, czarne brwi, ogromne szare oczy, prosty wąski nos, szerokie usta o cienkich wargach i nieco kanciasty podbródek z leciutkim wgłębieniem w środku. Ani jeden z tych szczegółów, gdyby go połączyć z rysami innego człowieka, pewnie by nie zwrócił niczyjej uwagi, lecz u tego mężczyzny tworzyły one nadzwyczajną całość. Tak, była to twarz nadzwyczajna, lecz w niczym nie przypominała twarzy Zbawiciela znanej Espinie z rzeźb i malowideł. Była jakby... bardziej kobieca... Spod męskiej urody wyzierało coś niewieściego, a jednak pierwszą reakcją Bernarda było uczucie grozy. „Oblicze świętego”, powiedział stary pasterz. Diego Diaz mówił o tym mnichu! Espina był tego pewien, pewien bez krzty wątpliwości. Ten Bonestruca mało, że był piękny. Jego twarz tchnęła nabożnością, budziła zaufanie, bo czyż tak doskonała uroda mogła świadczyć o czymkolwiek innym jak tylko o głębokiej dobroci serca i łasce Bożej? Kiedy wszakże Bernardo popatrzył mnichowi w oczy, zdało mu się, że znalazł się nagle w całkiem innym świecie – zimnym i przerażającym.

– Chodzisz po mieście, wypytując o relikwiarz skradziony niedawno żydowi imieniem Chilkiasz. Czemuż to interesuje cię tak ta sprawa?

– Ja... to jest wielebny ojciec Alvarez... – Bernardo wolałby patrzeć gdziekolwiek, byle nie w te wszyskowidzące oczy dziwnego mnicha, lecz nie było od nich ucieczki. – To on kazał mi wypytać ludzi o kradzież cyborium i... i śmierć tego chłopca, posłańca...

- I czego się dowiedziałeś?
- Chłopak był żydem, synem złotnika.
- Tak, mówiono mi o tym.

Głos zakonnika był łagodniejszy niż jego oczy, zachęcający do zwierzeń, niemal przyjacielski. Bernardo poczuł przypływ nadziei.

- Co jeszcze?
- Nic więcej, wielbny bracie.

Całą postać brata Bonestruki skrywał czarny fałdzisty habit; widać było tylko jego palce, długie, spiczaste, porośnięte kępkami delikatnych czarnych włosków między drugim stawem a kłykiem.

- Jak długo jesteś medykiem?
- Już jedenaście lat.
- Tutaj terminowałeś?
- Tak, tutaj, w Toledo.
- U kogo?

Espinie nagle wyszło w ustach.

- U mistrza Samuela Prova.
- Ach, Samuel Provo! Nawet ja o nim słyszałem. - Mnich uśmiechnął się dobrotliwie. - Wielki medyk, nieprawdaż?

- Tak, bardzo sławny.
- Był żydem.
- To prawda.
- Ilu też chłopców obrzezał, jak ci się zdaje?

Bernardo zamrugał powiekami.

- Mistrz nie dokonywał obrzezań.
- A ty? Ilu ty ich dokonałeś, no choćby zeszłego roku?
- Ja również tego nie robię.
- No, no, tak tylko mówisz. Przyznaj się, jak wiele wykonałeś takich operacji? Nie tylko na Żydach, lecz może też na Maurach?

– Nigdy... nigdy tego nie robiłem. Parę razy w ciągu tych lat operowałem napletek... Kiedy nie jest utrzymywany w należytej czystości, łatwo ulega zapaleniu. Często pojawia się ropa i żeby wyczyścić to miejsce, trzeba go usunąć... Ale zarówno Maurowie, jak i Żydzi mają od tego swoich świętych mężów, którzy wykonują zabieg z całym rytuałem nakazanym przez ich religię.

– A ty? Nie mówiłeś przy tym pacierzy?

– Nie.

– Nawet Pater Noster?

– Modłę się co dzień, wasza wielebność, o to, bym nie wyrządził krzywdy żadnemu z moich pacjentów, lecz mógł świadczyć im jedynie dobro.

– Jesteś żonaty?

– Tak.

– Nazwisko twojej małżonki?

– Señora Estrella de Aranda.

– Masz dzieci?

– Troje. Dwie córki i syna.

– Żona i dzieci są katolikami?

– Tak.

– Ty zaś jesteś żydem, czyż nie?

– Nie! Jestem chrześcijaninem! Jedenaście lat! Czczę i miłuję Chrystusa!

Twarz zakonnika była tak nieziemsko piękna... lecz przez to właśnie wielkie szare oczy uparcie utkwione w Bernarda wydawały się jeszcze zimniejsze. Jakby znały każdy jego duchowy upadek, wszystkie grzechy... Czuł, jak te oczy bezlitośnie szperają mu w duszy, jak wnikają w nią coraz głębiej... Wzdrygnął się cały, gdy zakonnik kłaśnięciem przywołał strażnika, który czekał pewnie

za drzwiami, a potem ledwo dostrzegalnym gestem dał znak: zabrać go.

Odwracając się do wyjścia, Bernardo zobaczył jeszcze bose stopy w sandałach, idealnie uformowane, z długimi, smukłymi palcami.

Poprzedzany przez strażnika znów mijał mroczne korytarze i strome schody. Szli teraz cały czas w dół. Słodki Jezu, modlił się w duchu, Ty wiesz, że się starałem... Ty wiesz... Nie było dla niego tajemnicą, czym są podziemia tego budynku. Wiedział, że są tam cele dla więźniów i pomieszczenia, gdzie poddaje się ich przesłuchaniom. Wiedział, że jest tam *potro*, kołowrót z trójkątną ramą, do której przywiązuje się delikwenta. Każdy obrót tego kołowrotu wyłamuje coraz więcej kości... Jest też coś zwanego *taco*, co służy torturze wodnej. Głowę więźnia układa się niżej niż nogi w zagłębieniu wydrążonej kłody, do gardła wpycha mu się płótno, a przez płótno to leje się wodę. Wypełnia ona gardło i nozdrza, tak że ofiara zaczyna się dusić. I trwa to dopóty, dopóki nie skona lub nie wyzna winy.

Jezu, proszę Cię, błagam...

Być może Bóg go wysłuchał, bo gdy dotarli do drzwi, strażnik gestem kazał mu iść dalej i oto znalazł się sam na dziedzińcu, tam gdzie przywiązał konia. Odjechał stępa, z całych sił starając się uspokoić; chciał po powrocie do domu z suchymi oczami zapewnić Estrellę, że nic mu się złego nie stało.

C z ę ś ć d r u g a

## *Młodszy syn*

*Toledo (Kastylia)*

*30 marca 1492 roku*

### **Rozdział 5**

#### ***Jonasz ben Chilkiasz***

– Wezmę Eleazara nad rzekę, może złapiemy coś na wieczerzę, co, *aba?*

– Skończyłeś polerunek?

– Prawie... Trochę jeszcze zostało.

– Robota nie jest wykonana, póki jej nie skończysz – odrzekł Chilkiasz tym straszliwie obojętnym tonem, który jego synowi sprawiał za każdym razem wciąż tę samą przykrość. Jonasz miał nieraz ochotę spojrzeć ojcu w oczy, wpatrzone w jakieś odległe miejsce, i krzyknąć: Meir nie żyje, ale my, ja i Eleazar, wciąż tu jesteśmy! Żywi!

Nie cierpiał polerowania srebra. Zostało mu jeszcze z pół tuzina sztuk, i to dużych, zanurzył więc szmatę w cuchnącym mazidle, mieszaninie ptasiego łajna i uryny, i zaczął trzeć.

Jonasz wcześniej poznał smak goryczy – gdy odumarła go matka. Śmierć Meira przeżył jeszcze ciężiej. Miał prawie trzynaście lat, kiedy

to się stało, i dużo lepiej pojmował, jak okrutną i nieodwracalną stratą jest zgon kogoś bliskiego. W dwa miesiące po pogrzebie Meira powołano go do recytowania Tory i od tej chwili oficjalnie mógł być już członkiem minjanu. Nieszczęścia sprawiły, że dojrzał ponad swój wiek. Ojciec tymczasem, który zawsze wydawał się taki wysoki i silny, osłabł i jakby zmałał. Jonasz nie miał pojęcia, jak mu pomóc, czym wypełnić pustkę w jego duszy.

Nadal nie było wiadomo, kto zamordował Meira. W kilka tygodni po jego śmierci do uszu Chilkiasza dotarła wieść, że medyk Bernardo Espina chodzi po mieście, wypytując ludzi o okoliczności tej zbrodni. Postanowił pomówić z lekarzem, wybrał się więc do niego, zabierając ze sobą Jonasza, lecz kiedy przybyli na miejsce, zastali puste domostwo. Sługa Espiny, Joan Pablo, wywoził właśnie resztki sprzętów – stół i kilka krzeseł. Powiedział im, że medyk i jego rodzina wyjechali.

– Dokąd?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Tego nie wiem.

Chilkiasz udał się potem do klasztoru Wniebowzięcia pomówić z ojcem Alvarezem i tu zdumiał się jeszcze bardziej. Gdy zajechał przed bramę, przez chwilę myślał nawet, że zbłądził. Na dziedzińcu stał rząd dwukółek i wozów, obok zaś wielka kadź, w której trzy kobiety w podkasanych spódnicach deptały winne grona. Przez otwarte drzwi pomieszczenia, które dotąd było kaplicą, ujrzął kosze pełne oliwek i winogron. W odpowiedzi na pytanie, gdzie podziali się mnisi, jedna z kobiet odrzekła, że klasztor został zamknięty, a zakon hieronimitów wydzierżawił posiadłość jej panu.

– A ojciec Sebastian? Gdzie przeor?

Kobieta, nie przestając dreptać w śliskiej purpurowej mazi, uśmiechnęła się tylko i bezradnie wzruszyła ramionami.

Jonasz bardzo się starał sprostać powinnościom starszego syna, było jednak dla niego rzeczą oczywistą, że nigdy nie zastąpi Meira. Ani jako czeladnik w ojcowskim warsztacie, ani jako syn i brat. Martwe spojrzenie ojca w dwójnasób pogłębiało jego własny smutek. Chociaż od śmierci Meira zdążyły już minąć trzy święta Pesach, tak dom, jak i warsztat Chilkiasza były nadal miejscem żałoby.

Kilka leżących przed nim srebrnych dzbanów wymagało długiego polerowania, pokrywał je bowiem gruby nalot śniedzi. Cóż, nie miał powodu się spieszyć, gdyż ojciec, jakby teraz dopiero przypominając sobie, o czym rozmawiali pół godziny temu, podjął nagle przerwany wątek:

– Nie pójdziesz nad rzekę. Znajdź Eleazara i dopilnuj, by trzymał się blisko domu. Ty również. – Zamilkł, a potem dodał: – To niedobra pora na wycieczki. Nie dla żydowskich chłopców.

Mimo przekonania, że nigdy nie dorówna w tym Meirowi, Jonasz zmuszony był przejąć jego obowiązki wobec najmłodszego brata. Eleazar miał siedem lat i był miłym, delikatnym chłopcem o krągłych różowych policzkach. Jonasz dużo opowiadał mu o zmarłym, pragnąc, by malec zachował go w żywej pamięci, brał też czasem do ręki arabską gitarę Meira i razem śpiewali pieśni. Obiecał Eleazarowi, że nauczy go gry na gitarze, tak jak Meir nauczył jego. Właśnie na to mały miał ochotę, kiedy Jonasz znalazł go za domem nad stertą kamyków i gałązek, którymi z wielkim animuszem raził wyimaginowane zastępy nieprzyjaciół.

– Nie, teraz nie czas na granie.

– Czemu? – dopytywał się mały. – Idziesz nad rzekę? Mam iść z tobą?

– Trzeba skończyć robotę – odrzekł Jonasz, nieświadomie naśladowując ton ojca.



Siedzieli obaj w kącie warsztatu, polerując obrzydłe srebra, kiedy zjawili się goście: Dawid Mendoza i rabi José Ortega.

– Co nowego? – zagadnął ich Chilkiasz.

Mendoza ponuro potrząsnął głową. Był silnym mężczyzną o brzydkiej cerze, z licznymi dziurami zamiast zębów. Zajmował się budową domów.

– Nic dobrego, Chilkiaszu. To miasto już nie jest bezpieczne.

Trzy miesiące wcześniej inkwizycja skazała na śmierć pięciu żydów i sześciu przechrztów. Oskarżono ich o to, że przed jedenastu laty parali się czarami, do czego rzekomo użyli skradzionej hostii i serca chrześcijańskiego chłopca, którego wpierw ukrzyżowali. Rzucony przez nich urok miał na celu pomieszać zmysły prawym chrześcijanom. Choć nigdy nie znaleziono ciała ani nikt nie zgłosił zaginięcia żadnego chrześcijańskiego dziecka, kilku oskarżonych, gdy wzięto ich na tortury, przyznało się do wszystkiego, szczegółowo opisując popełnioną zbrodnię. Wszyscy zostali spaleni na stosie, nie wyłączając tych trzech, którzy zmarli przed autodafe.

– Niektórzy już się modlą do małego „męczennika”, a ich nienawiść zatruwa powietrze – rzekł Mendoza z ciężkim westchnieniem.

– Trzeba nam się zwrócić do ich wysokości z prośbą o protekcję. Wszak dotąd nam jej udzielali – odezwał się rabi Ortega, drobny, kościsty człowieczek z białym rozwichrzonym włosiem.

Ludzie w synagodze kryli nieraz uśmieшки, kiedy widzieli, jak rabi ugina się pod ciężarem wielkich zwojów Tory, obnosząc je wśród zgromadzonych, aby mogli złożyć na nich pocałunek albo chociaż ich dotknąć. Większość Żydów darzyła Ortegę szacunkiem, teraz jednak Mendoza nie zgodził się z jego zdaniem.

– Król, choć jest królem, jest też człowiekiem, zdolnym do przyjaźni i współczucia, lecz królowa Izabela nie żywi do nas

tych uczuć. Wychowano ją z dala od ludzi, a jej umysł ukształtowali księża i zakonnicy. Wszak w młodości nie kto inny był jej spowiednikiem, lecz sam Tomás de Torquemada, oby szczeł! a i teraz mocno na nią wpływa. – Smętnie pokręcił głową. – Lękam się dni, które mają nadejść.

– Musimy mieć wiarę, mój przyjacielu – odrzekł na to rabi Ortega – pójść do synagogi i wspólnie wznieść modły. Bóg usłyszy płacz swego ludu.

Jonasz i jego brat już od dobrej chwili przestali polerować srebrne kubki. Eleazara zaniepokoiły stroskane twarze dorosłych i brzmiąca w ich głosach trwoga.

– Co oni mówią? Co to znaczy? – zapytał szeptem Jonasza.

– Nie teraz! Później ci wszystko wyjaśnię – odszepnął Jonasz, choć wcale nie był pewien, czy sam dobrze rozumie, co się takiego dzieje.

Nazajutrz na głównym placu Toledo pojawił się zbrojny oficer w asyście trzech trębaczy, dwóch miejscowych sędziów oraz dwóch ludzi alguacila, którzy także nosili oręż. Odczytał on obwieszczenie, iż wszystkim Żydom, bez względu na to, od ilu pokoleń żyją w Hiszpanii, nakazuje się opuścić królestwo w nieprzekraczalnym terminie trzech miesięcy. Królowa już wcześniej, to jest w roku 1483, wydalila Żydów z Andaluzji. Obecny rozkaz obejmował wszystkie pozostałe prowincje hiszpańskiej monarchii – Kastylię, León, Aragonię, Galicję, Walencję, księstwo Katalonii, lenną posiadłość nad Zatoką Biskajską oraz wyspy: Sardynię, Sycylię, Majorkę i Minorkę.

Obwieszczenie przybito na murze. Rabi Ortega przepisał je ręką tak drżącą ze wzburzenia, że miał spore kłopoty z odczytaniem niektórych słów na pospiesznie zwołanym posiedzeniu Rady Trzydziestu.

„Wszystkim Żydom i Żydówkom wszelkiego wieku, którzy żyją, przebywają bądź zatrzymali się na czas jakiś w którymkolwiek z wymienionych królestw naszych i dominiów... nakazuje się je opuścić. Nie wolno im powracać do żadnego z rzeczonych królestw jako rezydenci stali bądź czasowi, kupcy bądź podróżni czy jakimkolwiek innym sposobem pod karą śmierci... Rozkazujemy wszystkim i każdemu z osobna w naszym królestwie dać posłuch tej oto woli naszej: zabraniamy przyjmować pod swój dach, jawnie bądź skrycie, jakiegokolwiek Żyda i Żydówkę, udzielać im schronienia i protekcji bądź ich bronić... pod karą utraty ziem, wasali, zamków, jako też innej własności”

Wszystkich chrześcijan surowo ostrzeżono przed okazywaniem Żydom jakiegokolwiek współczucia. Zabroniono im „rozmawiać i komunikować się z Żydami, wpuszczać ich do domu, przyjaźnić się z nimi, ofiarowywać im posiłek bądź jakąkolwiek strawę”. Obwieszczenie to wydał „na rozkaz Króla i Królowej, władców naszych, wielebny przeor klasztoru w Santa Cruz, główny inkwizytor wszelkich królestw i dominiów Ich Wysokości, Tomás de Torquemada”

Rada Trzydziestu sprawująca władzę nad żydowską ludnością Toledo składała się z przedstawicieli trzech warstw: wpływowych mieszczan, kupców i rzemieślników. Każda z nich delegowała do rady dziesięciu członków. Jako mistrz sztuki złotniczej zasiadał w niej także Chilkiasz. W jego też domu postanowiono odbyć nadzwyczajne posiedzenie rady.

Wszystkich oszołomiła straszliwa nowina.

– Jakże tak można? Tak okrutnie wypędzić nas z ziemi, która tyle dla nas znaczy, a i my dla niej również? – jęknął rabi Ortega.

– Ten edykt to jeszcze jedna królewska intryga, by nałożyć na nas nowe podatki bądź wymusić większe łapówki – burknął Juda ben

Salomon Avista. – Hiszpańscy królowie zawsze mieli w nas dojną krowę.

Rozległ się szmer aprobaty.

– Przypomnijcie sobie, jak to było między rokiem 1482 a 1491, kiedy to musieliśmy zapłacić na rzecz wojny nie mniej niż pięćdziesiąt osiem milionów maravedís, a potem jeszcze dwadzieścia milionów „dobrowolnych pożyczek” – poparł swojego przedmówcę Josef Lazara z Tembleque, sędziwy handlarz mąką. – Raz po raz wszak nasze gminy popadają w długi, by popłacić ogromne „podatki” lub ofiarować Koronie „prezent” w zamian za przetrwanie. Tak będzie pewnie i teraz.

– Trzeba wyjednać audiencję u króla i prosić, by cofnął ten edykt – powiedział Chilkiasz.

Zaczęła się dyskusja nad tym, kto by mógł złożyć taką apelację, i w końcu ustalono, że najwłaściwszą osobą będzie don Abraham Seneor.

– Jest żydem i ulubionym dworzaninem jego królewskiej mości. Król wielce go sobie ceni.

Na te słowa rabiego Ortegi większość radnych skinęła głowami.

## **Rozdział 6**

### ***Zmiany***

Abraham Seneor przeżył całe osiemdziesiąt lat i choć nadal zachował młody i bystry umysł, cielesna powłoka zaczynała odmawiać mu już posłuszeństwa. Początkiem jego trudnej i nie zawsze bezpiecznej służby Koronie były zaślubiny dwojga kuzynów, osiemnastoletniej podówczas Izabeli Kastylijskiej z siedemnastoletnim Ferdynandem Aragońskim. Stało się to 19

października w roku pańskim 1469, a głównym architektem tego związku był właśnie Abraham Seneor.

Zawarto go w tajemnicy, bo sprzeczny był z wolą króla Kastylii Henryka IV, przyrodniego brata Izabeli. Henryk planował połączyć ją węzłem małżeńskim z królem Portugalii Alfonsem. Izabela odmówiła; zażądała od brata, by ogłosił ją swą następczynią w królestwach Kastylii i Leónu, przyrzekając zarazem, że nie wyjdzie za mąż bez zgody Henryka.

Henryk IV nie miał synów (z tego też powodu złośliwi poddani zwali go Henrykiem Niemocnym), miał jednak córkę Joannę, o której mówiono, że jest bękartem, owocem grzesznego związku królowej z Beltranem de Cueva. Kiedy władca spróbował ogłosić Joannę swoją sukcesorką, zaczęła się wojna domowa. Szlachta cofnęła złożoną Henrykowi przysięgę wierności i obwołała swym suwerenem jedynego rodzonego brata Izabeli, dwunastoletniego chłopca, który podobnie jak król Portugalii miał na imię Alfonso. Po dwóch latach znaleziono go w łóżu martwego – podobno został otruty.

Izabeli nie wychowywano na królową, ona była jednak innego zdania. Wkrótce po śmierci Alfonsa poleciła Abrahamowi Seneorowi wszcząć tajne negocjacje z wpływowymi osobistościami na dworze aragońskim. Rezultatem tych zabiegów stał się jej ślub z księciem Ferdynandem Aragońskim. Kiedy 11 grudnia roku 1474 Henryk IV zmarł nagle w Madrycie, Izabela przebywająca podówczas w Segowii ogłosiła się królową Kastylii. W dwa dni później w otoczeniu wiwatującego tłumu wzniosła nad głowę swój miecz i trzymając go do góry rękojeścią, poprowadziła swych licznych stronników do katedry. Kortezy natychmiast zaprzysięgły jej posłuszeństwo.

W roku 1479 zmarł król Aragonii Jan II i sukcesję po ojcu objął książę Ferdynand. W ciągu pierwszych lat ich małżeństwa Ferdynand i Izabela nieustannie prowadzili wojny, to zwalczając najazdy Portugalii i Francji, to znów tłumiąc liczne rebelie wewnętrzne. Odniósłszy w tych walkach zwycięstwa, rozpoczęli wojnę przeciw Maurom.

Przez długie lata tych wojennych zmagania Abraham Seneor wiernie im służył, nie szczędząc swych sił i trudu. Zbierał pieniądze na kosztowne wojny, opracował skuteczny system podatkowy, służył królewskim małżonkom za przewodnika w najeżonymi trudnościami dziele zjednoczenia Kastylii i Aragonii. A wymagało ono zarówno politycznego sprytu, jak i ogromnych pieniędzy.

Korona nagrodziła go za to sownie, mianując rabinem i najwyższym sędzią wszystkich kastylijskich Żydów, jak również głową urzędu ściągającego żydowskie podatki w całej hiszpańskiej monarchii. Od roku 1488 Seneor stał się też skarbnikiem Hermandad, zbrojnej organizacji utworzonej przez Ferdynanda dla utrzymywania porządku i bezpieczeństwa we wszystkich koronnych prowincjach. Seneor nie cieszył się zbyt miłą miłością swoich współwyznawców – był ich rabinem nie z wyboru, lecz z rozkazu króla – mimo to od dawna Żydzi z całego królestwa zwracali się do niego z prośbami o wstawiennictwo, które zwykle odnosiło pożądany skutek.

Pierwsza audiencja w sprawie fatalnego edyktu rozpoczęła się wprawdzie w nastroju wzajemnej atencji, jednakże prośba o jego wycofanie spotkała się z tak chłodną odmową ze strony króla, że Seneor popadł w konsternację. Po kilku tygodniach poprosił o drugą. Tym razem wziął ze sobą zięcia, rabiego Meira Melameda, który pełnił funkcję królewskiego sekretarza i zarazem głównego

administratora poboru podatków. On także był rabinem z nadania króla i podobnie jak jego teść bronił u dworu interesów swoich współwyznawców. Był też z nimi Izaak ben Juda Abравanel odpowiedzialny za pobór podatków w środkowej i południowej części kraju; skarbiec królewski winien był mu olbrzymie sumy, w tym półtora miliona złotych dukatów, które walnie się przyczyniły do zwycięstwa ich wysokości w niedawnej wojnie z Grenadą.

Trzej mediatorzy ponownie przedłożyli tę samą prośbę, tym razem proponując w zamian znaczne wzbogacenie królewskiej szkatuły. Abравanel dał też jasno do zrozumienia, że gdy edykt zostanie odwołany, on i jego bracia skłonni będą anulować Koronie pewne poważne długi...

Ferdynand nie ukrywał zainteresowania, gdy zaczęto mówić o pieniądzach. Petenci przez chwilę mieli nadzieję, że król od razu podejmie decyzję, nie dając czasu Torquemadzie i innym fanatykom religijnym na wywarcie przeciwnej presji. Ferdynand wszelako postanowił sprawę rozważyć i po tygodniu jego odpowiedź brzmiała „nie”. Prośba została odrzucona, edykt utrzymany.

Izabela stała w owej chwili obok męża – surowa zażywna kobieta średniego wzrostu, lecz jakże królewska w postawie, spojrzeniu i ruchach! Oczy miała duże, niebieskozielone, usta małe, mocno zaciśnięte. Największą jej ozdobą były rudoblond włosy, w których zaczynały błyskać już srebrne nitki. W tej i tak już bardzo gorzkiej chwili nie oszczędziła petentom dodatkowej kropli goryczy, cytując zaczerpnięte z Księgi Przypowieści słowa króla Salomona: „Jak biegi wód, tak serce królewskie w ręce Pańskiej; dokądkolwiek chce, nachyli je”.

– Sądzicie, iż to, co was spotyka, dzieje się z naszej woli? To Bóg natchnął ową myślą serce króla – oświadczyła pogardliwie.

Audiencja była skończona.

W całym królestwie zbierały się rady żydowskie. Wszystkich ogarnęła desperacja. Toledańska Rada Trzydziestu usilnie próbowała ułożyć jakiś wspólny plan działania.

– Miłuję ten kraj – rzekł Dawid Mendoza – lecz skoro muszę opuścić tę jakże drogą mi ziemię, w której spoczywają kości moich przodków, chcę udać się w takie miejsce, gdzie nikt mnie nie będzie oskarżał o zamordowanie dziecięcia na macę, dźganie nożem Eucharystii czy naśmiewanie się z mszy!

– Musimy powędrować tam, gdzie żyją ludzie łagodnego serca, a nie gwałtownicy zapaleni jak smolne szczapy – odezwał się rabi Ortega.

Zawtórował mu szmer aprobaty.

– Ale gdzie jest takie miejsce? – zapytał ojciec Jonasza.

W izbie zaległa cisza. Zebrani długą chwilę spoglądali po sobie, nikt wszakże nie zabrał głosu.

Trzeba było jednak gdzieś jechać, toteż ludzie na własną rękę zaczęli układać plany. W domu Chilkiasza pojawił się jego brat, krępy, powolny w słowach Aron Toledano. Rozmawiali długie godziny, wymieniając rozmaite miejsca przeznaczenia, by je zaraz potem odrzucić. Jonasz przysłuchiwał się tej rozmowie, próbując coś z niej zrozumieć. Ojciec i stryj doszli na koniec do wniosku, że pozostają im tylko trzy możliwości: udać się na północ, do królestwa Nawarry, na zachód – do Portugalii – albo na wschód, na wybrzeże i tam wsiąść na statek płynący do jakichś dalekich krain.

W następnych dniach rozeszły się nowe wieści; przyniósł je Aron z twarzą posępną od troski.



– O Nawarze nie ma co myśleć. Pozwolą się tam osiedlić jedynie tym Żydom, co przyjęli wiarę Chrystusową.

Minęło znów kilka dni. Don Vidal ben Benveniste de la Cavalleria, którego mennica biła złote monety Kastylii i Aragonii, wrócił z podróży do Portugalii, gdzie starał się wyjednać azyl dla swoich hiszpańskich współbraci. Król Portugalii Jan II, widząc w tym spore korzyści, zgodził się udzielić Żydom pozwolenia na sześciomiesięczny pobyt w swym królestwie, pod warunkiem że w zamian zapłacą podatek w wysokości jednego dukata od głowy i oddadzą Koronie jedną czwartą wszelkich dóbr i towarów wwiezionych do Portugalii.

Aron z niesmakiem pokręcił głową.

– Ani trochę nie ufam temu władcy. Wyjdzie w końcu na to, że spotka nas od niego jeszcze gorsza niesprawiedliwość niż ta, którą mamy tutaj.

Chilkiasz przyznał bratu rację. Pozostało więc tylko wybrzeże i podróż statkiem w nieznane.

Chilkiasz był rozważnym, łagodnym z natury człowiekiem, wysokiej i smukłej postaci. Zmarły Meir, niższy i tęższy, bardziej przypominał Arona, a i u Eleazara widać było już teraz zapowiedź podobnej budowy. Jonasz natomiast całkiem wdał się w ojca, darzył też swego rodzica równie wielkim respektem jak miłością.

– Dokąd więc popłyniemy, *aba*?

– Nie wiem, mój synu. Wpierw musimy dotrzeć do jakiegoś portu, skąd wychodzi w morze wiele statków. Najlepiej chyba będzie jechać do Walencji. Tam zobaczymy, który kapitan zgodzi się wziąć nas na pokład i do jakich krain płynie jego statek. Musimy ufać, że Wszechmocny natchnie nas swą mądrością i pomoże podjąć słuszną decyzję. Ufajmy Panu, a On wskaże nam właściwą drogę. Lękasz się, mój synu? – spytał, patrząc Jonaszowi w oczy.

Jonasz zmagał się z sobą, by uczciwie odpowiedzieć ojcu, ale szło mu to bardzo niesporo.

– Lęku nie trzeba się wstydzić – rzekł Chilkiasz. – W tej podróży czekają nas liczne niebezpieczeństwa, lecz przecież jest nas trzech, dojrzałych i silnych mężów, Aron, ty i ja. We trzech zdołamy obronić Eleazara i twoją stryjenkę Juanę.

Jonasz poczuł zadowolenie i wdzięczność: ojciec zaliczył go do mężczyzn! Chilkiasz tymczasem, zupełnie jakby czytał w jego myślach, dodał cicho:

– W ostatnich latach wzięłaś na siebie obowiązki dojrzałego męża i dobrze je pełnisz, Jonaszu. Widzę to ja, widzą też inni. Wiedz, że pytało mnie o ciebie kilku ojców panien na wydaniu.

– Rozmawialiście o małżeństwie?

– Teraz na to nie pora. Ale gdy już znajdziemy nowe miejsce do życia i poznamy tamtejszych Żydów, ułożymy ci zacne małżeństwo. Widzi mi się, żeś z tego kontent.

– Tak, ojcze – wyznał Jonasz.

Chilkiasz roześmiał się na to:

– Wiem, jak to jest! I ja byłem kiedyś młody.

– Eleazar będzie mi zazdrościł. On też zechce mieć zaraz żonę – zażartował Jonasz i teraz już obaj wybuchnęli śmiechem. – Wiesz, *aba*, nie lękam się żadnej podróży ani nowych krain, dopóki ty jesteś przy mnie.

– Ani ja, Jonaszu, mając cię u boku. Ufam, iż Bóg będzie z nami.

Myśl o małżeństwie była dla Jonasza czymś nowym i... pożądanym. Pośród ogólnego tumultu przeżywał też własne skryte rozterki. Jego ciało bardzo się zmieniło, w głowie zaś raz po raz pojawiały się wstydliwe obrazy i myśli. Nocami śnił o kobietach, a dni nawet teraz, w tych ciężkich czasach, wypełniały mu marzenia o Lucii Martín, z którą od dzieciństwa łączyła go serdeczna przyjaźń.

Jako ciekawscy malcy kilkakrotnie oglądali swoje nagie ciała. Teraz było całkiem inaczej. Patrząc teraz na Lucię, Jonasz nawet przez ubranie widział pierwsze oznaki dojrzałej kobiecości i ów widok przyprawiał go o wielki zamęt. Przez to też pewnie w ich wzajemne stosunki wkradła się jakaś niezręczność.

Wszystko dookoła ulegało zmianom, lecz mimo złych przecuć i obaw Jonasz czuł podniecenie, myśląc o podróży do dalekich krajów. Wyobrażał sobie, że życie w nowym miejscu będzie dużo ciekawsze od tego, które Żydzi prowadzili w Hiszpanii – takie samo od setek lat. Wśród traktatów religijnych w domu modlitw odkrył niedawno księgę – dziwne, że tam się znalazła! – arabskiego autora imieniem Chordabek, który tak oto pisał o żydowskich wędrownych kupcach: „Wsiadają na statek w kraju Franków, na Morzu Zachodnim, i płyną do Faramy. Tam ładują swe towary na wielbłądy i lądem zmierzają do Kolzum, przebywając odległość dwudziestu pięciu farsaków w dni pięć. Z Kolzum płyną Morzem Czerwonym do Eltaru i Dżiddy. Potem zaś wędrują lądem do Sindhu, Indii i Chin”

Jonasz miał wielką ochotę zostać wędrownym kupcem. Gdyby urodził się chrześcijaninem, wolałby być rycerzem, takim, rzecz jasna, co nie krzywdzi żydów. Cóż by to było za życie! Pełne dziwów i przygód. Jednakże w chwilach gdy górę brał w nim rozsądek, przyznawał rację ojcu: lepiej wziąć się do pracy. Nie ma co siedzieć i marzyć o niebieskich migdałach, kiedy ziemia usuwa się spod stóp i wszystko dookoła zaczyna walić się w gruzy.

## **Rozdział 7**

### ***Feralna data***

Wielu ludzi opuszczało swoje domy. Na drodze za miastem pojawiali się zrazu tylko nieliczni wędrowcy, lecz zaledwie po paru dniach przypominali już wąski, wolno ciekący strumyczek, który raptem przekształcił się w wezbraną rzekę. Zmieszane fale uchodźców z wielu różnych prowincji dniem i nocą przetaczały się to na zachód, w stronę Portugalii, to znów ku wschodowi – na wybrzeże. Zgiełk towarzyszący ich przejściu słyhać było w całym Toledo. Jechali konno i na osłach, na wozach zaprzężonych w woły, kiwając się na stertach ruchomości, szli pieszo w palącym słońcu, dźwigając na plecach cały swój dobytek. Niektórzy potykali się z utrudzenia, co słabsi padali na twarze. Czasami jakaś grupka kobiet i chłopców zaczynała śpiewać przy wtórze bębenków i tamburynów, aby dodać ducha sobie i innym.

Ludzie rodzili się i umierali na skraju tej drogi. Rada Trzydziestu pozwalała uchodźcom grzebać zmarłych na żydowskim cmentarzu w Toledo, lecz była to najczęściej jedyna pomoc, na jaką było ją stać. Nie zawsze nawet udawało się zebrać minjan, by odmówić za zmarłego kadisz. W innych czasach żydowscy podróżni mogli w każdej potrzebie liczyć na pomoc i gościnność swoich współbraci z Toledo, teraz jednak oni sami szykowali się już do wyjazdu i każdy miał moc własnych trosk.

Dominikanie i franciszkanie, pełni satysfakcji z owoców swych długich zabiegów o wydalenie Żydów, ze zdwojoną energią zabrali się za pozyskiwanie żydowskich duszyczek dla prawdziwego Kościoła. Wielu żydów przeszło na katolicyzm. Byli wśród nich ludzie bardzo bliscy rodzinie Jonasza Toledana, tacy, z którymi Chilkiasz i jego synowie od lat łamali się chlebem, wspólnie modlili w synagodze i wspólnie przeklinali konieczność noszenia nienawistnych żółtych opasek, piętnujących ich jako istoty, od których należy stronić. Prawie trzecia część tych nowo

nawróconych chrześcijan porzuciła dawną wiarę ze strachu przed drogą w nieznane, z miłości do osoby wyznającej katolicyzm lub z nadmiernego przywiązania do osiągniętej pozycji, wygod i dostatku. Byli też wśród nich ludzie niezdolni znieść dłużej pogardy i coraz to dotkliwszych upokorzeń.

Wysoko postawionych Żydów nakłaniano do zmiany wyznania przy użyciu różnych niezbyt szlachetnych metod. Pewnego wieczoru w domu Chilkiasza znowu pojawił się Aron z wyjątkowo wstrząsającą wiadomością:

– Rabi Abraham Seneor i jego zięć, Meir Melamed, przeszli na katolicyzm. Ich rodziny również.

Plotka głosiła, że królowa Izabela, nie mogąc pogodzić się z myślą o utracie dwóch swych przyjaciół, którzy tyle oddali jej przysług, zażądała, by się nawrócili, grożąc w razie odmowy dalszymi represjami wobec Żydów. Wiadomo było również, że król i królowa osobiście zorganizowali dla Seneora i jego zięcia publiczną ceremonię chrztu, podczas której sami wystąpili w roli chrzestnych rodziców. Abraham Seneor nazywał się teraz Fernando Nuñez Coronel, a rabi Melamed – Fernando Pérez Coronel. W kilka dni później Seneor został gubernatorem Segowii i członkiem Rady Królewskiej; powierzono mu także zarządzanie majątkiem i pieniędzmi następcy tronu. Jego zięcia również mianowano stałym członkiem Rady; otrzymał ponadto urząd głównego rachmistrza króla.

Izaak Abравanel odmówił zmiany wyznania. On i dwaj jego bracia, Josef i Jacob, anulowali długi zaciągnięte u nich przez króla, za co wszystkim trzem pozwolono opuścić Hiszpanię z sumą tysiąca złotych dukatów oraz częścią cennych kosztowności w srebrze i złocie.

Chilkiasz i Aron nie mieli tyle szczęścia. Znaleźli się obaj wśród przeważającej większości hiszpańskich Żydów, którym nie wolno było wywieźć nic cennego – złota, srebra, pieniędzy ani drogich kamieni. Korona radziła im wszystko to sprzedać, a za uzyskane kwoty zakupić „pospolite dobra”, które w nowej ojczyźnie będą mogli wymienić na tamtejszą monetę. Lecz prawie natychmiast Ferdynand wydał kolejny edykt ogłaszający konfiskatę sporej części żydowskich ziem, zamków i domów na terenie Aragonii tytułem, jak podano, „zaległych podatków”.

Obawiając się takiego samego posunięcia, toledańscy Żydzi starali się na gwałt pozbywać swojej własności, sprawa jednak nie była łatwa. Ich katoliccy sąsiedzi, pewni, że dotychczasowi właściciele muszą opuścić swe ziemie, w przeciwnym bowiem razie czeka ich śmierć, bezlitośnie obniżali ceny kupna, oferując po parę soldów za posiadłość wartą nierzadko setki reali. Osioł lub winnica szły za sztukę płótna.

Aron Toledano, któremu zaproponowano śmiesznie niską kwotę za dom i całe gospodarstwo wraz ze stadem dorodnych kóz, przyszedł uzalić się starszemu bratu:

– Nie wiem, co robić!

Chilkiasz jako ceniony artysta całe życie miał się doskonale, teraz wszakże i dla niego nadeszły złe czasy. Za relikwiarz otrzymał jedynie zaliczkę; kiedy przedmiot ów skradziono, przeor Alvarez nie wypłacił mu już ani solda, choć dobrze wiedział, że aby odlać takie cyborium, on, Chilkiasz, musiał mocno się wykosztować na zakup najczystszej srebra i złota. Na domiar złego wielu bogaczy ociągało się z zapłatą za dostarczone im już wyroby, licząc po cichu na to, że w wiadomych okolicznościach nie będą musieli regulować żadnych długów.

- Ja też nie wiem, co robić - wyznał bratu. Sytuacja była rozpaczliwa i doprawdy nie widział z niej wyjścia. A jednak znalazł się ktoś, kto mu podał pomocną rękę. Stary oddany przyjaciel. Benito Martín był chrześcijaninem, z zawodu złotnikiem, pozbawionym wszakże tej bożej iskry, dzięki której Chilkiasz Toledano zyskał sobie sławę artysty. Martín zajmował się głównie nakładaniem pozłoty bądź naprawą przedmiotów ze złotego i srebrnego kruszcu. Obaj byli jeszcze młodymi ludźmi, kiedy do Benita dotarły wieści, że w jego rodzimym Toledo działa żydowski złotnik, spod którego ręki wychodzą prawdziwe cuda. Odszukał jego warsztat i zaczął w nim przesiadywać jak długo się dało, uważając jednak, by go nie uznano za natręta. Uczył się od Chilkiasza nowych sposobów projektowania i tego, jak przekuć powstające w głowie obrazy w konkretny przedmiot. Ucząc się rzemiosła niejako od nowa, odkrył w swoim mistrzu zacnego człowieka. Chilkiasz chętnie przekazywał mu nie tylko swe umiejętności, ale i wiedzę o życiu. Benito ani się spozostzegł, jak jego podziw przerodził się w prawdziwą i trwałą przyjaźń. Była ona tak głęboka, że w Pesach zachodził wraz z dziećmi do synagogi, by złożyć uszanowanie Chilkiaszowi i jego rodzinie, zaś w Święto Kuczek odwiedzał go w suce. Jego córka Lucía została najlepszą przyjaciółką Jonasza, a syn Enrique przepadał za Eleazarem, najmłodszym z braci Toledano.

Widząc teraz, jak okrutna niesprawiedliwość spotyka jego przyjaciół, Martín wstydził się za swoich współwyznawców. Pewnego wczesnego wieczoru wyciągnął Chilkiasza na spacer po urwisku. Mrok jeszcze nie zapadł, miasto widać było jak na dłoni.

- Twój dom stoi w pięknym miejscu - powiedział w pewnej chwili - a warsztat tak jest urządzony, że pracuje się tam doskonale.

Od dawna ci ich zazdroszczę.

Chilkiasz milczał. Przystanął, gdy Benito powiedział, że odkupi jego warsztat wraz z domem i zaoferował cenę.

– Wiem, że to bardzo niewiele – dodał spieszenie – ale więcej nie mam...

Tak, w zwyczajnych czasach byłaby to bardzo niska cena, ale teraz... Chilkiasz wiedział, że Benito z serca ofiarowuje mu wszystko, na co go stać, i że jest to cena o niebo wyższa od ofert składanych przez spekulantów. Ucałował przyjaciela w gładko wygolony chrześcijański policzek i długą chwilę trzymał go w mocnym uścisku.

Jonasz spostrzegł, że z oczu ojca zniknęła ta straszna martwota. Nagłe niebezpieczeństwo wyrwało go z odrętwienia i z całą swą dawną energią próbował stawić mu czoło. Zbliżała się data wyjazdu, trzeba więc było omówić szczegóły.

– W zwykłych czasach podróż do Walencji zajęłaby nam dziesięć dni – mówił Chilkiasz. – Teraz przy zapchanych drogach trzeba by na to dni dwudziestu, co oznacza dwa razy tyle żywności i dwa razy więcej niebezpieczeństw. Musimy wyruszyć jak najpóźniej, kiedy tłok się przerzedzi.

Aron miał własne dwa juczne osły i dwa dobre konie – dla siebie i swojej żony Juany. Dla Chilkiasza i jego synów Benito Martín nabył również dwa osły i parę koni, płacąc za nie o wiele taniej, niż gdyby kupował je Żyd. Do dnia wyjazdu miały paść się na łące sąsiada Chilkiasza, Marcela Troki. Już i to kosztowało mnóstwo pieniędzy. Trzeba było pilnie zdobyć więcej grosza.

– Kapitanowie statków też nie będą dla nas miłosierni – przypomniał Aronowi Chilkiasz. – A kiedy dotrzemy na miejsce, będziemy musieli się z czegoś utrzymać, póki znów nie zaczniemy zarabiać.



Jedyną nadzieją na pieniądze byli nierzetelni dłużnicy. Jonasz pomógł ojcu sporządzić ich listę. Obok każdego nazwiska widniała nie spłacona suma. Największa, wynosząca sześćdziesiąt dziewięć reali i szesnaście maravedís, obciążała hrabiego Fernána Vascę z Tembleque.

– Taki z niego butny wielmoża, że ma zwyczaj wzywać mnie jak władca poddanego! A potem zaczyna opisywać każdy najdrobniejszy szczegół i jak mam to wykonać. Szkoda, że z płaceniem nie jest taki akuratywny. Nie dał mi nawet złamanego solda – stwierdził Chilkiasz z goryczą. – Wystarczyłoby odzyskać to, co jest mi winien, i pieniędzy mielibyśmy dosyć, ha, nawet więcej niż dosyć!

Jonasz pojechał więc z ojcem do Tembleque, małej wioski w pobliżu Toledo. Nie przywykł do jazdy wierzchem, konie były jednak posłuszne, siedział więc w swym mocno sfatygowanym siodle niczym rycerz. Lipcowy dzień był tak jasny, a okolica tak piękna, że nawet przytłoczony ciężkimi myślami Chilkiasz zaczął nagle śpiewać pieśń pokoju:

*O, wilk zamieszka wtedy wraz z barankiem,  
Kozłą z panterą leżeć będą wspólnie,  
Krowa i niedźwiedź karmić się jednako,  
Lew zaś jeść słomę będzie jako wół!*

Jonasz uwielbiał słuchać głębokiego głosu ojca. I jak dźwięcznie brzmiały te strofy! Tak będzie również w drodze do Walencji, myślał z radosną nadzieją.

Skończywszy pieśń, ojciec zaczął mu opowiadać o początkach swojej znajomości z panem Vascą. Kiedy po raz pierwszy wezwano go do Tembleque, zwierzył się z tego rabiemu Ortedze, a rabi opisał

mu wtedy kłopoty swego siostrzeńca w służbie u hrabiego. „Żebyś wiedział, co to za człowiek”, powiedział.

Ów siostrzeniec, Aser ben Jair, był uczonym młodzieńcem, biegłym w Torze i kilku językach. Ciężko takiemu zarobić na chleb, usłyszawszy zatem, że jakiś szlachcic z Tembleque poszukuje pisarza, udał się tam zaraz, aby ofiarować mu swe usługi.

Dumny hrabia Vasca pysznił się nade wszystko swym wojennym kunsztem. Walczył przeciw Maurom, często też odbywał dalekie podróże, by brać udział w turniejach rycerskich, których większość zakończył zwycięsko. Lubił też wszelkie nowości, więc gdy wiosną roku 1486 usłyszał o innym turnieju, w którym przeciwnicy potykają się nie na miecze, lecz na poematy, zaczęło go to bardzo nęcić.

Turniej ten pod nazwą „jocs florals”, kwietne igry, narodził się we Francji pod koniec XIV wieku. Grupa młodych wielmożów z Tuluzy sprosila kilku poetów, którzy mieli recytować swe utwory przed szlachetnie urodzoną publicznością. Nagrodą dla najlepszego było drobne precjozum: rzeźbiony w złocie fiołek. Zawody zyskały sobie poklask i odtąd urządzano je już regularnie. Pomysł przypadł do gustu królowej Katalonii i Aragonii, Violante de Bar, małżonce króla Jana I, która w roku 1388 postanowiła urządzić podobny turniej w Barcelonie, a do sędziowania zaprosiła francuskich znawców. Wkrótce dwór hiszpański stał się oficjalnym patronem Juegos Florales, które odtąd z ogromną pompą odbywały się każdego roku. Sędziowali królewscy dworzanie. Srebrny fiołek był teraz trzecią z przyznawanych nagród, drugą złota róża, pierwszą zaś zgodnie z katalońskim poczuciem piękna uczyniono żywą różę, bo czy najpiękniejsze nawet dzieło rąk ludzkich jest w stanie dorównać temu, co stworzył sam Bóg?

Hrabia Vasca chciał zdobyć owo cenne trofeum. Wyobrażał już sobie, jaką okryje się sławą! To, że nie umiał czytać ani pisać, nie było dla niego żadną przeszkodą. Miał dość pieniędzy, by opłacić kogoś, kto posiada te umiejętności. Wynajął Asera ben Jaira i kazał mu napisać poemat. Utwór ten zdaniem hrabiego powinien był opiewać męstwo i czyny wielkiego rycerza. Wkrótce też przekonał pisarza, że to on, wsławiony w niezliczonych bojach hrabia Fernán Vasca, powinien stać się bohaterem poematu.

Gotowe dzieło spełniło jego oczekiwania. Uznał, iż autor oddał sprawiedliwość jego męstwu i sztuce wojennej, w pochwalę zaś swych zasług nie dopatrywał się żadnej przesady. Sędziowie byli wszakże odmiennego zdania. Kiedy nadeszła wieść z Barcelony, że wszystkie trzy nagrody przyznano innym utworom, Aser ben Jair czym prędzej pożegnał swego wuja, rabiego Ortegę, i przezornie czmychnął na Sycylię, gdzie miał nadzieję zająć się edukowaniem młodych Żydów.

Hrabia tymczasem posłał po Chilkiasza Toledana, wpadł bowiem na nowy pomysł, do którego potrzebował rzemieślnika biegłego w obróbce szlachetnych metali. Chilkiasz zastał pana zamku wciąż jeszcze rozsierdzonego z powodu strasznego afrontu: on, hrabia Vasca, pokonany przez jakichś nędznych wierszokletów bez krzty męskiego wigoru! Opisał wezwanemu zasady turnieju i jego wymyślne nagrody, po czym oświadczył, iż zamierza patronować prawdziwie męskim zmaganiom, takim na kopie i miecze, z pierwszą nagrodą znacznie wspanialszą niż barcelońska.

– Masz wymodelować mi złotą różę ze srebrną łodyżką – powiedział tonem rozkazu, a gdy Chilkiasz skinął na to głową, tak oto rozwinął swą myśl: – Bacz, co ci powiem! Twoja róża musi być tak piękna jak ta kwitnąca na krzaku!

– Nie wiem, czy to możliwe... – uśmiechnął się Chilkiasz, lecz hrabia nie dał mu skończyć. Pewno nie w smak mu było dyskutować z Żydem.

– Idź już i bierz się do pracy! Masz mi przywieźć tę różę zaraz po Wielkanocy.

Chilkiasz często miewał do czynienia z kapryсами możliwych, obecna sytuacja wszakże była dużo gorsza od wszystkich dotychczasowych, hrabia znany był bowiem z brutalności wobec każdego, kto bodaj o włos uchybił jego wymaganiom. Nie chcąc stać się kolejną ofiarą Vaski, co rychlej wziął się do roboty. Całymi godzinami wysiadywał przed krzakiem róży, rysując jej kielich, liście i gałązki, szkicom ciągle jednak czegoś brakowało. Gdy wreszcie uzyskał taki, który w miarę go zadowolił, zaczął klepać złoto i srebro. Po czterech dniach pracy powstała z tego rzecz nieźle udająca różę, lecz rozczarowany Chilkiasz połamał ją, a metal przetopił. Ponawiał te próby po wielekroć, odnosząc za każdym razem niewielkie zwycięstwo, ale ostateczny rezultat niezmiennie okazywał się porażką. Po dwóch miesiącach był tak samo daleki od celu jak w dniu spotkania z Vascą.

Zawziął się jeszcze bardziej i zaczął studiować róże niczym Talmud, wchłaniając w siebie wraz z wonią ich piękno. Obrywał z kwiatu płatek po płatku, by zrozumieć, jak jest zbudowany, obserwował, jak różane łodygi wyginają się w górę ku słońcu, jak rodzi się malutki pączek, jak później nabrzmiewa i wreszcie otwiera się w kwiat. Z każdą kolejną próbą odtworzenia zdumiewającego piękna tego kwiatu coraz bardziej wczuwał się w jego istotę i ducha i tak z rzemieślnika stawał się artystą.

Ukończył wreszcie swe dzieło. Było piękne. Wygięte złociste płatki cieszyły oko taką cudowną miękkością, że chciało się ich dotknąć. Był to kwiat tak prawdziwy, jakby mistrz ogrodnictwa

wymarzył sobie złotą różę i zdołał ją wyhodować. Spod kwiatu wychylał się jeden złocisty pączek. Łodyga, drobne gałązki i liście wykonane zostały z jasnego srebra, co trochę psuło iluzję prawdy, lecz od Wielkanocy dzieliło Chilkiasza jeszcze pięć miesięcy, pozwolił więc czasowi działać. Złoto zachowało barwę, srebro natomiast ściemniało, przybierając na koniec taki odcień, jaki można zobaczyć w naturze.

Hrabia nie krył miłego zaskoczenia na widok złotego cacka.

– Szkoda mi tej róży na nagrodę – oświadczył. – Zrobię z niej lepszy użytek.

Zamiast uiścić zapłatę, zamówił kilka innych przedmiotów, a po ich dostarczeniu wystąpił z nowym zamówieniem. Stał się z czasem największym dłużnikiem Chilkiasza i do tej pory nie kwapił się zwrócić bodaj części tej zaiste niebotycznej sumy.

Zamek hrabiego był wielki i groźny jak twierdza. Dostępu na dziedziniec broniła ciężka żelazna krata. Na kamiennym murze stał zbrojny wartownik.

– Hej, straż! – Za kratą pojawiła się głowa w hełmie i przyłbicy. – Jestem Chilkiasz Toledano, złotnik. Pragnę mówić z wielmożnym panem Vascą.

Głowa zniknęła, lecz po chwili pojawiła się znowu.

– Jaśnie pana hrabiego nie ma. Odejdźcie!

Jonasz z trudem stłumił jęk zawodu, jego ojciec nie pozwolił się jednak odprawić.

– Przychodzę w ważnej sprawie. Skoro nie ma hrabiego, chcę mówić z jego rządcą.

Strażnik znowu gdzieś poszedł. Czekali, siedząc na koniach. W końcu ze zgrzytem i piskiem krata poszła w górę – wpuszczono ich na dziedziniec. Rządca, wysoki i smukły mężczyzna, zajęty był karmieniem siedzącego w klatce sokoła paskami kociego mięsa.

Że był to kot, i to biały, można było rozpoznać po leżącym obok ogonie. Rządca zaledwie raczył na nich spojrzeć.

– Hrabia poluje – warknął z irytacją – gdzieś na północy.

– Proszę o zapłatę za przedmioty, które wykonałem na rozkaz waszego pana – powiedział Chilkiasz.

Tamten teraz dopiero obrzucił go krótkim spojrzeniem.

– Nie płacę nikomu, póki hrabia mi nie rozkaże.

– Kiedy więc wróci?

– Kiedy zechce! – parsknął rządca. Po chwili trochę zmiękł, a może chciał się ich pozbyć, bo dodał: – Na waszym miejscu przyjechałbym tu za sześć dni.

W drodze powrotnej Chilkiasz milczał, pogrążony znowu w niewesołych myślach. Jonasz, chcąc przywrócić tak niedawno jeszcze dobry nastrój, zaśpiewał: „O, wilk zamieszka wtedy wraz z barankiem”, lecz ojciec nie podjął melodii i tak reszta drogi upłynęła im prawie bez słowa.

\*

Po sześciu dniach hrabiego Vaski nadal nie było w zamku. Rządca tym razem oświadczył, że można się go spodziewać dopiero za dwa tygodnie, to jest dwudziestego szóstego lipca.

– Za późno! – jęknął zdesperowany Aron, usłyszawszy tę wieść od brata.

– Za późno – smętnie przytaknął Chilkiasz.

Nazajutrz rozeszła się wiadomość, że król i królowa w łaskawości swojej pozwolili Żydom dzień dłużej pozostać w Hiszpanii, przesuwając ostateczną datę wyjazdu z pierwszego na drugi sierpnia.

– Myślisz, że...? – Aron pytająco zawiesił głos.

– Tak, myślę, że nam się uda! Będę czekał na Vascę przed zamkiem. Odbiorę zapłatę i w drogę!

– Ale jak dotrzeć do Walencji w siedem dni?

– Nie mamy wyboru, Aronie – rzekł Chilkiasz. – Bez pieniędzy zginiemy. – Słyszając ciężkie westchnienie brata, położył mu dłoń na ramieniu. – Będziemy poganiać siebie i konie. Zdążymy.

Lecz wypowiadając te słowa, nie mógł się opędzić przed natrętną myślą, że wróżby nie są pomyślne. Drugi sierpnia to przecież dziewiąty dzień żydowskiego miesiąca aw, feralna data, gdyż tego dnia zburzono Świątynię w Jerozolimie i wiele tysięcy Żydów musiało pójść na wygnanie. Ten dzień stał się początkiem ich wielkiej tułaczki.

## **Rozdział 8**

### ***Rybak***

Jonasz i Eleazar nie musieli już polerować sreber. Wiedząc, że nie da się ich sprzedać za uczciwą cenę, Chilkiasz prawie półdarmo przekazał Martínowi wszystko, co było w warsztacie.

Jonasz na środkowym palcu prawej ręki nosił dotąd szeroką srebrną obrączkę darowaną mu przez ojca, kiedy po raz pierwszy recytował Torę. Taką samą miał Meir, lecz gdy znaleziono jego zwłoki, już jej nie było.

– Zdejmij ten pierścień – powiedział teraz ojciec.

Jonasz usłuchał, acz z pewną niechęcią. Chilkiasz nanizał obrączkę na cienki, lecz mocny sznurek, związał jego końce i nałożył synowi na szyję, tak by ukryć pierścień pod koszulą.

– Jeśli przyciśnie nas bieda i będziemy zmuszeni go sprzedać, zrobię ci potem drugi, obiecuję. Ufam jednak, że z Bożą pomocą będziesz nosić go nadal w naszym nowym kraju.

Chilkiasz zaprowadził obu synów na cmentarz żydowski położony już poza granicami miasta. Słysząc tu było krzyki i rozdzierające szlochy, bo i inne rodziny opuszczające Hiszpanię przyszły pożegnać swych zmarłych. Eleazar też zaczął płakać, bardziej z przerażenia niż z żalu; matki nie pamiętał wcale, a po Meirze pozostało mu tylko blade, niknące z dnia na dzień wspomnienie.

Chilkiasz długie lata opłakiwał żonę, potem także swego pierworodnego. Teraz choć oczy miał pełne łez, starał się pocieszyć synów. Przytulił ich mocno do piersi, ucałował mokre policzki, po czym polecił chłopcom starannie uporządkować groby. Położyli na nich po kilka drobnych kamyczków na znak, że byli tu bliscy.

– Ciężko jest opuszczać mogiły – zwierzył się później Martínowi. Benito przyniósł bukłak wina i dawnym zwyczajem zasiedli przy stole. – A jeszcze ciężiej opuszczać grób syna, nie wiedząc, kto go tam wpędził.

– Gdyby dało się wysledzić relikwiarz... Już samo miejsce, w którym się znajduje, mogłoby wiele powiedzieć.

Chilkiasz skrzywił się z powątpiewaniem.

– To niemożliwe. Złodzieje z pewnością sprzedali już cyborium. Jest teraz pewnie w jakimś kościele, gdzieś daleko – powiedział ze smutkiem, pociągając długi łyk wina.

– A może nie? Gdybym tak pogadał z księżmi...

– Myślałem o tym samym – wyznał Chilkiasz – ale cóż... jestem żydem. Boję się chodzić po kościołach...

– Pozwól, że ja to uczynię – jął nalegać Martín.

Chilkiasz spojrział na niego z głęboką wdzięcznością, po czym podszedł do rysownicy i zdjął z niej szkice relikwiarza. Podając je przyjacielowi, mocno uściśnął mu dłoń. Martína jednak coś gryzło. Widać było, że się z sobą zмага.



– Muszę ci coś rzec, Chilkiaszu – powiedział po chwili. – Wielu w tym mieście źle o tobie mówi: że ani nie chcesz opuścić Toledo, ani się nawrócić... I twój dom... Stoi tak wysoko, że widać go zewsząd... a boję się, że śledzą was złe oczy. Za późno już szukać schronienia za murami żydowskiej dzielnicy, prawie wszyscy stamtąd wyjechali, więc... Może byście przenieśli się do mnie? W chrześcijańskim domu będzie wam bezpieczniej.

Chilkiasz zdawał sobie sprawę, ile zamętu narobiłby w tym domu nawet krótki pobyt trzech obcych. Serdecznie podziękował Martínowi, lecz nie przyjął jego propozycji:

– Chcę do końca pozostać w swoich czterech ścianach, tam gdzie urodzili się moi synowie.

Jednakże pod wpływem przestrogi Benita zaraz po jego odejściu zabrał swoich chłopców na przechadzkę ścieżką w dół urwiska. Zboczywszy kawałek od szlaku, pokazał im wejście do wąskiego tunelu w kształcie litery L, prowadzącego do małej pieczary. W razie nagłej potrzeby, powiedział synom, można się tam ukryć.

Jonasza wciąż teraz nękała bolesna świadomość, że nigdy już nie zobaczy Toledo i że wszystko, co tutaj robi, robi po raz ostatni. Jakże będzie mu brakowało chociażby wypraw nad rzekę! Najprzyjemniej łowiło się wiosną, gdy wciąż jeszcze panował chłodek, lecz w ciepłych promieniach słońca leżały już pierwsze jętki i inne skrzydlate stworzonka, by chmarami igrać tuż nad wodą. Teraz doskwierał upał, on jednak znał miejsce, zaraz za naturalną groblą z wielkich skał i naniesionych przez wodę gałęzi, gdzie w głębokim rzeczonym rozlewisku, na samym jego dnie, prawie nieruchomo leżą senne z gorąca ryby, czekając, aż zdobycz sama im wpadnie do pyska.

Wziął kilka haczyków, które zrobił mu ojciec – o, bo w rękach ojca każdy metal stawał się posłuszny – i wymknął się z domu,

zabierając po drodze z małego schowka za warsztatem gładko obrobioną żerdkę z mocną linką. Nie uszedł jeszcze trzech kroków, kiedy pędem nadbiegł Eleazar.

– Mogę iść z tobą?

– Nie.

– Ale ja tak bym chciał, Jonaszu! Weź mnie ze sobą!

Gdyby usłyszał to ojciec, kazałby im obu siedzieć w domu.

– Nie psuj mi uciechy, braciszku – szepnął Jonasz, zerkając trwoźnie na drzwi warsztatu. – Nie rób hałasu, bo *aba* usłyszy.

Mały spojrzał na niego z głębokim wyrzutem.

– Jak wrócę, będę cię uczył grać na gitarze. Całe popołudnie.

– Calutkie?

– Masz moje słowo.

Po chwili biegł już sam ścieżką ku rzece. Na dole przyczepił haczyk do wędki i stanął na brzegu, wpatrując się w wodę. Kilka raków rozpięchło się w popłochu, ale w końcu wypatrzył na tyle małego, że nadawał się na przynętę. Chwycił go zręcznie i nabił na haczyk.

Był w swym ulubionym zakątku – od lat przychodził tu łowić. Wielka skała stercząca nad rozlewiskiem nie była tak niedostępna, na jaką wyglądała patrzącemu od strony rzeki. Z drugiej strony jej płaski wierzchołek prawie dotykał ścieżki. Rosło tu potężne drzewo, którego rozłożyste gałęzie użyczały cienia zarówno rybom w rozlewisku, jak i temu, kto siedział na skale.

Przynęta z pluskiem zniknęła w wodzie. Jonasz na chwilę zastygł w oczekiwaniu, gdy jednak linka nawet nie drgnęła, z westchnieniem usadowił się na skale. Wiał lekki wietrzyk, skała mile chłodziła rozgrzane ciało, od rzeki niósł się cichy, kojący szum. Gdzieś dalej nawoływali się dwaj mężczyźni, tuż obok rozspiewał

się jakiś ptak... Jonasz nawet nie zauważył, że robi się senny, tylko dźwięki dochodziły go coraz słabiej, aż wreszcie przestał je słyszeć.

Obudził się z gwałtownym drgnięciem; czyjaś ręka wysunęła mu wędkę spod nogi.

– Masz rybę na haczyku! – odezwał się męski głos.

Jonasz z wciąż jeszcze mocno bijącym sercem zerknął w górę. Stał nad nim mężczyzna równie wysoki jak ojciec, w czarnym habicie i sandałach. Głos miał miękki i bardzo przyjazny, a twarz... Jonaszowi przyszło na myśl, że tak właśnie wygląda twarz anioła albo... dobrego człowieka.

– Złowiłeś wielką rybę – powtórzył nieznajomy. – Weźmiesz wędkę?

– Nie... – odrzekł Jonasz. – Możecie ją sobie wyłowić – dodał z lekką niechęcią.

– Lorenzo! – rozległ się okrzyk ze ścieżki. Stał tam drugi mnich w takiej samej czarnej szacie.

Ryba próbowała umknąć pod groblę, w gąszcz poplątanych gałęzi, lecz wysoki mężczyzna w porę uniósł koniec wędki. Dobry z niego rybak, pomyślał Jonasz. Nie poderwał wędki tak gwałtownie, by groziło to zerwaniem linki, lecz ostrożnie holował rybę do brzegu, od czasu do czasu lewą ręką trochę popuszczając sznurka. Na koniec gracko wydobył z wody szamoczącą się zdobycz – dorodnego leszcza.

– Nie tak wielki, jak się wydawało, co? – rzucił z uśmiechem. – Ale tak to już jest. Zrazu każda ryba wydaje się wielka. Chcesz ją? – zapytał, zdejmując leszcza z haczyka.

Pewnie, że tak, pomyślał Jonasz, czuł jednak, że i nieznajomy ma na to chętkę.

– Nie, señor. Weźcie ją sobie.

– Lorenzo! – krzyknął znów ten drugi. – Nie mamy czasu! Czekają na nas!

– Idę! – odkrzyknął nieznajomy z lekką irytacją. Wsunąwszy palec pod skrzela, by łatwiej mu było nieść rybę, raz jeszcze spojrzął na Jonasza. Oczy miał łagodne i głębokie jak wody tego rozlewiska. – Niech cię Jezus błogosławi, mój chłopcze.

## **Rozdział 9**

### ***Nocni goście***

Następnego ranka niebo zrobiło się szaroczarne, powietrzem wstrząsnął huk gromu i rozszalała się burza. Wkrótce ucichła, ale deszcz padał do wieczora i jeszcze drugiego dnia również. Stryjenka Juana, która wraz z Aronem przyszła do domu Chilkiasza, orzekła, iż taka ulewa w miesiącu tamuz to rzecz niezwykajna.

– Ale się zdarza – wtrącił Aron.

– Tak, pewnie że tak – potwierdziła z pośpiechem.

Nikt nie chciał powiedzieć głośno, że może to być zły omen. Mimo wilgoci nadal panował upał. Drugiego dnia jednak ulewa zelżała i wreszcie przestało padać.

Przez te dwa deszczowe dni Benito Martín jeździł po mieście i okolicy ze szkicami Chilkiasza, które zwinął w rulon i zabezpieczył przed deszczem kawałkiem skóry. Już dziewięć razy rozwijał rulon, by pokazać rysunki duchownym w siedmiu kościołach i dwóch klasztorach. Wszyscy słyszeli o kradzieży relikwiarza, ale nikt nie umiał powiedzieć, co mogło stać się z nim później.

Na ostatek zostawił sobie katedrę, gdzie ukląkł przed ołtarzem i zmówił pacierz. Dopiero gdy dźwignął się z klęczek, zauważył, że przypatruje mu się wysoki zakonnik o niezwykle urodziwej twarzy. Benito słyszał o tym mnichu. Ludzie mówili o nim el

guapo, piękny, i że to inkwizytor Świętego Oficjum, zapomniał tylko, jakie nosi imię.

Kontynuując swą misję, zaczął wypytywać miejscowych księży o zrabowany relikwiarz, z tym samym wszakże co dotąd skutkiem. Właśnie po raz trzeci wyciągnął rysunki, gdy podniósłszy głowę znów napotkał spojrzenie wysokiego mnicha. Tamten kiwnął na niego palcem:

– Pozwól i mnie zobaczyć.

Długą chwilę studiował szkice.

– Czemuż to pokazujesz je księżom?

– Bo to projekty skradzionego relikwiarza. Złotnik, który tę rzecz wykonał, chciałby się dowiedzieć, kto ją ukradł i w czyich jest teraz rękach.

– Mówisz o tym żydzie, jak mu tam... Zwie się chyba Toledano.

– Hm... Tak.

– Twe imię?

– Benito Martín.

– Jesteś przechrztą?

– Nie, wielebny bracie, jestem chrześcijaninem z dziada pradziada.

– Chilkiasz Toledano to twój przyjaciel?

Należałoby powiedzieć: Tak, jesteśmy starymi przyjaciółmi, ale... Martínowi nagle zrobiło się zimno. I katedra, do której tak lubił przychodzić, bo gdy patrzył na jej pięknie sklepioną kopułę, zawsze nawiedzało go uczucie, że jego modlitwy unoszą się prosto przed oblicze Boga, ta katedra w jednej chwili straciła cały swój urok. Przez tego mnicha.

– Jestem złotnikiem – powiedział ostrożnie. – Czasami dyskutowaliśmy o sprawach naszego rzemiosła.

– Masz jakich krewnych, którzy się przechrzcili?

– Nie mam nikogo takiego.

- Czy ten złotnik już wyjechał?
- Hm... Wkrótce to uczyni.
- Czy opowiadał ci kiedy o żydowskich obrządkach?
- Nie, nigdy.
- A innym chrześcijanom? Wiesz coś o tym?
- Nie.

Zakonnik oddał mu szkice.

- Musiałeś słyszeć, że król zakazał prawym chrześcijanom udzielania jakiegokolwiek pomocy żydom.

- Ja tego nie czynię – odrzekł Benito, lecz mnich mógł już tych słów nie usłyszeć, bo odwrócił się nagle i odszedł.

Bonestrucu, przypomniał sobie Martín, tak się zwie ten zakonnik.

Nim dojechał do domu Chilkiasza, deszcz ustał.

- Witaj, przyjacielu – pozdrowił go złotnik.

- Witaj i ty, mój drogi. A więc to naprawdę już jutro?

- Naprawdę. Musimy ruszać, czy hrabia z Tembleque powróci do zamku, czy nie. Dłużej zwlekając, nie zdążymy wyjechać na czas z Hiszpanii. O świcie zbieramy manatki i w drogę.

Martín zastał Chilkiasza i jego synów zajętych pakowaniem skromnego dobytku, który zamierzali wziąć z sobą. Niewiele tego było.

- Wszystko, co zostawimy, jest twoje, przyjacielu, jeśli na cokolwiek ci się przyda.

- Dziękuję, Chilkiaszu.

- Nie ma za co.

Martín zdał mu sprawę z nieudanych poszukiwań, a Chilkiasz wyraził swą wdzięczność za tyle starań. Co do wyniku... cóż, można było się tego spodziewać.

- Czy znasz mnicha, którego zwą „pięknym”? Wysokiego dominikanina? – zapytał Martín.

– Nie. Dlaczego mnie o to pytasz? – zdziwił się Chilkiasz.

– Ach, bo to inkwizytor. Gdy zobaczył, że pokazuję tve szkice paru księżom, dał mi do zrozumienia, że nie podoba mu się moja misja. Indagował mnie też o ciebie i... za wiele było tych pytań... Lękam się o was, Chilkiaszu. Przypomnij sobie, czyś nie naraził się temu mnichowi. Może miałeś z nim jakiś zatarg?

– Nie – Chilkiasz pokręcił głową. – Nigdy nie zamieniłem z nim nawet słowa. Nie martw się o nas, Benito. Jutro o tej porze będziemy już daleko.

Benito, trochę zawstydzony, że zląkł się jakiegoś mnicha, poprosił Chilkiasza, aby Eleazar mógł spędzić to ostatnie popołudnie na zabawie z małym Enrique.

– A może byś mu pozwolił zostać u nas na noc?

Chilkiasz wyraził zgodę, świadom, iż mali przyjaciele nigdy więcej się nie zobaczą.

Był już późny wieczór, a Jonasz wciąż jeszcze pomagał ojcu rozdzielać i pakować rzeczy. Nie zazdrościł młodszemu bratu tego, że smacznie śpi u Benita; przeciwnie, przyjemnie mu było pracować z ojcem. Miał go teraz tylko dla siebie. Na podłodze rosły wciąż dwie sterty. Na jedną odkładali rzeczy, które miały zostać, na drugą, znacznie mniejszą, trochę ubrań, żywność, modlitewnik i narzędzia ojca. Świtem załaduje się to na osły.

Okolo północy Chilkiasz objął syna ramieniem i kazał mu iść spać.

– Przed nami długa podróż. Musisz nabrać sił.

Ledwie Jonasz zdążył zasnąć ukołysany swojskim szmerem miotły z wolna przesuwającej się po podłodze, kiedy ojciec gwałtownie szarpnął go za ramię:

– Wstawaj, synu! Uciekaj przez okno! Prędko!

Od strony drogi słychać było zgiełk. Tupot nóg, nieskładnie wyśpiewywane hymny, gniewne okrzyki. Do domu zbliżali się jacyś ludzie. Byli niedaleko.

– Dokąd... mam uciekać?

– Do tej skalnej pieczary! Siedź tam, dopóki po ciebie nie przyjdę!

– Ojciec mocno ścisnął go za ramię. – Prędej, Jonaszu! I żeby nikt cię nie widział, rozumiesz? – Porwał pół bochenka chleba i wrzucił do sakwy. – Jeżeli nie przyjdę... zostań w pieczarze, jak długo zdołasz, a potem... idź do Benita!

– Chodź ze mną, *aba* – zaczął błagać ojca, ten jednak bez słowa wypchnął go przez okno i oto Jonasz znalazł się sam w ciemnościach.

Ostrożnie okrążył domy, ale żeby zejść na urwisko, trzeba było przebiec przez drogę. Gdy wychynał spoza zabudowań, błysnęły mu światła pochodni... Blisko, straszliwie blisko... Nadchodziła gromada mężczyzn. Płomienie pochodni odbijały się w ich obnażonych mieczach. Próbował stłumić łkanie, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że to bez znaczenia: w tym zgiełku nikt go nie usłyszy.

I nagle zaczął biec jak szalony. Na złamanie karku.

## **Rozdział 10**

### ***W ukryciu***

Ciasnota i kształt tunelu tłumiły większość odgłosów, od czasu do czasu jednak do pieczary docierało coś jakby odległy huk gromu czy wycie dalekiej wichury.

Jonasz płakał cicho, skulony na dnie pieczary, tak jak padł po swoim szaleńczym biegu, niepomny wrzynających mu się w ciało głazów i drobnych kamiaków. Potem zasnął głębokim snem, który stał się dla niego ucieczką z tej ciasnej kamiennej celi.



Obudziwszy się nie miał pojęcia, ani jak długo spał, ani ile minęło czasu, odkąd wpełzł do jaskini. Wiedział tylko, że zbudziło go wrażenie, iż coś żywego łązi mu po nodze. Zesztywniał z trwogi, że to żmija, lecz po chwili usłyszał znajomy chrobot. Myszy. Nie ma się czego bać. Oczy nawykły mu już do ciemności, nie na tyle jednak, żeby coś zobaczyć. Nie wiedział, czy to dzień czy noc. Poczł głód, więc zaczął żuć chleb dany mu przez ojca.

Kiedy znów zasnął, przyśnił mu się *aba*. Tak wyraźnie widział nad sobą jego twarz! Głęboko osadzone niebieskie oczy, wydatny nos, szerokie pełne usta, krzaczastą brodę, tak samo poznaczoną pasmami siwizny jak włosy otaczające jego głowę miękką aureolą. Ojciec coś do niego mówił, ale on tego nie słyszał albo nie pamiętał, co to było, kiedy ponownie ocknął się w jaskini – niczym niedźwiedź w swoim legowisku.

Pamiętał ostatnie polecenie ojca: ma czekać w pieczarze, dopóki *aba* nie przyjdzie mu powiedzieć, że może już wyjść, że niebezpieczeństwo minęło. Trzymając się tej instrukcji, zjadł resztę chleba i znów się położył. Dręczyło go straszne pragnienie. Przypomnił sobie wtedy, czego uczył go Meir: kiedy nie ma wody, znajdź kamyk i zacznij go ssać, a do ust napłynie ci ślina. Tak zrobił. Ssał kamyk jak głodne dziecko pierś matki. Wypluł go z chwilą, gdy znów poczuł senność. I tak mijał mu czas – między głodem, pragnieniem i ucieczką w sen. I straszną, wzmagającą się stale słabością.

Nadszedł w końcu moment, gdy zrozumiał, że jeśli zostanie tu dłużej, czeka go śmierć; powoli, z ogromnym wysiłkiem zaczął więc pełznąć do wyjścia. Za zakrętem tunelu musiał się zatrzymać: blask dnia poraził mu oczy. Gdy odzyskał widzenie i wyszedł na zewnątrz, rozpoznał po słońcu, że jest popołudnie. Wszędzie panowała cisza, słychać było tylko donośny śpiew ptaków.

Ostrożnie wspiął się stromą ścieżką, widząc teraz dopiero, że chyba sam Bóg musiał kierować jego krokami, kiedy pędził tędy na oślep. Po drodze nie spotkał nikogo. Zbliżywszy się do zabudowań, poczuł nagłą radość, że są nietknięte, że wszystko wygląda jak zwykle, i wtedy... zobaczył swój dom...

Tylko on jeden spośród wszystkich okolicznych domów został spustoszony. Drzwi wyrwano z zawiasów, zamiast mebli walały się tu i ówdzie zgruchotane resztki. Wszystko co cenne – w tym arabska gitara Meira! – zniknęło. Zaczernione kamienie nad pustymi otworami okien mówiły wyraźnie, że ktoś podłożył tu ogień. Całe zrujnowane wnętrze przenikała gryząca woń dymu.

– *Aba!* Gdzie jesteś, *aba*?!

Nie było odpowiedzi. Przerażony dźwiękiem swego głosu, popędził do domu Martína.

Powitano go tam jak ducha:

– Mój Boże, Jonaszu, myśleliśmy, że nie żyjesz! Że zrzuciono cię ze skały do Tagu!

– Gdzie ojciec?

Martín podszedł do niego, objął ramionami i zaczął kołysać jak dziecko. Ten uścisk powiedział mu wszystko, całą straszną prawdę.

Kiedy przyszła pora na słowa, przyjaciel ojca opowiedział mu, co się stało. Otóż pewien mnich zgromadził gawieź na rynku.

– Był to dominikanin, wysoki zakonnik, niejaki Bonestruca. Już wcześniej wypytywał mnie o twego ojca, gdy wstąpił do katedry pokazać księżom szkice relikwiarza. Mówi się o tym mnichu, że ma twarz świętego, ale to nie święty! – rzucił z goryczą Benito. – Najpierw podburzał ludzi przeciw Żydom, co już wyjechali. Wymknęli się, grzmiał, bez kary, która słusznie im się należy. A potem zaczął mówić o twoim ojcu, wymieniając go z nazwiska. Postawił mu straszne zarzuty: że wymodelował cyborium, które

miało rzucać urok na chrześcijan, że jest antychrystem, co wzgardził przyjęciem wiary Zbawiciela, że bezkarnie się z Niego natrząsał, a teraz chce uciec i wszystkie te zbrodnie ujdą mu płazem. Tak rozsierdził pospólstwo tą kłamliwą mową, że hurmem ruszyło do waszego domu, by zabić Chilkiasza. A on, Bonestruca, został na rynku.

– Co się stało z ciałem ojca?

– Pochowaliśmy go tam... za waszym domem. Dwa razy dziennie modlę się za jego nieśmiertelną duszę.

Martín pozwolił się chłopcu wypłakać.

– Czemuż nie poszedł ze mną? – wyszeptał Jonasz przez łązy. – Dlaczego nie uciekł?

– Myślę, że chciał cię osłonić. Gdyby w domu nie było nikogo, szukaliby was dotąd, póki by nie znaleźli... A wtedy i ciebie spotkałby taki sam los.

Wkrótce Teresa, żona Benita, i jego córka Lucía przyniosły chleb i mleko, lecz Jonasz w swym żalu nawet ich nie tknął. Dopiero gdy za usilną namową Benita przełknął pierwszy kęs, jął pochłaniać jedzenie jak wilk, choć bardzo się tego wstydził. Gospodarze przyglądali mu się z niepokojem. Nie było Eleazara, lecz nie widział także małego Enrique, myślał więc, że obaj bawią się gdzieś w pobliżu. I oto zjawił się chłopiec Martína, ale sam.

– Gdzie mój brat? Gdzie Eleazar?

– Z twoim stryjem. Aron i Juana też myśleli, że nie żyjesz. Rankiem po tym nieszczęściu zabrali Eleazara i natychmiast opuścili miasto.

Jonasz zerwał się na równe nogi:

– Muszę jechać do Walencji! Muszę ich dogonić!

– Nie – pokręcił głową Benito – oni nie jechali do Walencji. Aron nie miał tyle pieniędzy. Ja... dałem mu to, com winien był twemu

ojcu za srebro, ale... Aron myślał, że będzie bezpieczniej, jak pojedą do którejś z rybackich wiosek i tam zabiorą się na jakiś statek. Wzięli dwa wasze konie z pola Marcela Troki, żeby mieć świeże na zmianę... – urwał na chwilę i dodał: – Twój stryj to dobry człowiek. Silny i dzielny. Ufam, że sobie poradzi.

– Muszę jechać!

– Za późno, Jonaszu, za późno. Do której wioski chcesz jechać? Spędziłeś w pieczarze trzy dni, mój chłopcze, a ostatni żydowski statek odbije od brzegu za cztery doby. Choćbyś nawet galopował dniem i nocą, a twój koń to wytrzymał, nie dotrzesz na wybrzeże w cztery dni.

– Dokąd stryj Aron zamyślał się udać?

– Sam tego nie wiedział – odrzekł ze smutkiem Benito. – Pewnie tam, dokąd płynie statek, który zechce ich zabrać. Musisz zostać z nami, Jonaszu. Żołnierze zaczną teraz poszukiwać Żydów, którzy wbrew rozkazom naszego monarchy nie opuścili królestwa. Każdy, kto nie objawił chęci zbawienia w Chrystusie, będzie karany śmiercią.

– Cóż więc mam począć?

Benito ujął go za rękę:

– Posłuchaj mnie, chłopcze. Wpierw zamordowano twego brata, teraz ojca. Myślisz, że to przypadek? O, nie! Dlaczego spóółstwo zabiło jedynie Chilkiasza i spustoszyło wasz dom, gdy innym tutejszym Żydom nic się nie stało? Ha, nie tknięto nawet synagogi! Myślę, że i tobie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Musisz się przed nim bronić, a ja... Przez miłość do twego ojca i do ciebie, chłopcze, chcę ci pomóc. Dlatego ofiarowuję ci moje nazwisko.

– Wasze nazwisko...?

– Tak. Musisz się nawrócić. Zostaniesz z nami jako nasz syn, Tomás Martín, tak zwał się mój ojciec. Zgadzasz się na to? – zapytał

łagodnie Benito.

Jonasz spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. Los jednym obrotem koła pozbawił go całej rodziny, wszystkich, których kochał. Bez słowa skinął głową.

– Pójdę poszukać jakiegoś kapłana i zaraz go tu sprowadzę – powiedział Benito Martín, po czym spieszenie wyszedł z domu.

## **Rozdział 11**

### ***Decyzja***

Oszołomiony tym wszystkim, co mu powiedział Benito, Jonasz nie mógł pozbierać myśli. Po chwili podeszła doń Lucía i czule ujęła go za rękę, ale on, przytłoczony nadmiarem zgoła innych emocji, nie był w stanie jej się odwzajemnić, toteż wkrótce wróciła do swoich zajęć. Najbardziej doskwierała mu teraz myśl o umiłowanym bracie: Eleazar żyje, a on, Jonasz, ma już nigdy go nie zobaczyć?

Na rysownicy Benita spostrzegł kałamarz i pióro, co nasunęło mu pewien pomysł. Sięgnął już po arkusz papieru, gdy dobiegł go kwaśny głos Teresy Martín:

– Papier dużo kosztuje!

Teresa nigdy nie podzielała przyjaznych uczuć swego męża do Chilkiasza i jego synów, a i teraz łatwo było dostrzec, że decyzja Benita o przyjęciu Żyda do rodziny bynajmniej nie napawa jej zadowoleniem.

Widząc na stole projekt srebrnego kubka, jeden z wielu darowanych Martínowi przez ojca, Jonasz uznał, że ma do niego prawo. Pochwycił rysunek i zaczął z pośpiechem pisać na odwrocie. Pierwszą linijkę po hebrajsku, a resztę już po hiszpańsku:

„Do mego umiłowanego brata Eleazara ben Chilkiasza Toledana.

Pragnę Ci donieść, iż ja, Twój brat, nie zginąłem z rąk tych samych ludzi, co odebrali życie naszemu drogiemu Ojcu. Piszę do Ciebie, umiłowany Eleazarze, na wypadek gdyby jakieś przeszkody zatrzymały tak Ciebie, jak i naszych krewnych w Hiszpanii. Może też stać się i tak, że choć dziewiąty dzień miesiąca aw zastanie Cię na owych głębokich morzach, o których w szczęśliwszych dniach obaj lubiliśmy marzyć, to jednak przyjdzie kiedyś czas, gdy jako dojrzały mężczyzna powrócisz do domu naszego dzieciństwa i znajdziesz ten list w znanej nam obu skrytce.

Pragnę, Drogi Bracie, byś wiedział, co tu się stało.

Tak więc jeśli wrócisz, pamiętaj dla własnego bezpieczeństwa, że ktoś nieznany i bardzo potężny płonie szczególną nienawiścią do wszystkich z rodu Toledanów. Przyczyny tego nie znam i nie pojmuję. Nasz Ojciec, niech przez wieki odpoczywa snem Sprawiedliwego, myślał, że powodem okrutnej śmierci Meira była chęć kradzieży relikwiarza, który zlecił mu wykonać klasztor Wniebowzięcia. Pewien bliski przyjaciel Ojca, którego nazwiska nie wymienię, aby nie narazić go na szwank, w razie gdyby list ten wpadł w niepowołane ręce, jest przekonany, że śmierć Ojca łączy się z zabójstwem Meira i tym srebrno-złotym kielichem, a także, choć trudno powiedzieć, w jaki sposób, z pewnym mnichem, dominikaninem nazwiskiem Bonestruca. Musisz być bardzo ostrożny.

Ja także muszę być bardzo ostrożny. W Hiszpanii nie ma już żydów, są tylko starzy i nowi chrześcijanie. Czyżbym pozostał tu sam?

Po Ojcu nic nam nie zostało. Wielu ludzi nie popłaciło mu długów. Powiem Ci, co to za ludzie, choć wiem, że gdybyś nawet zdołał tu wrócić, trudno Ci je będzie odzyskać.

Samuel ben Sahula winien jest naszemu Ojcu trzynaście maravedís za trzy duże talerze na Pesach, kubek do kiduszu i srebrną miseczkę do obmywania rąk.

Don Izaak ibn Arbet sześć maravedís za talerz na Pesach i dwa maravedís za pół tuzina pucharków.

Nie wiem, dokąd udali się ci dwaj, lecz gdy taka będzie wola Pana, być może któregoś dnia skrzyżuje On wasze ścieżki.

Hrabia Fernán Vasca z Tembleque winien jest nam sześćdziesiąt dziewięć reali i szesnaście maravedís za trzy duże misy, cztery małe srebrne lusterka, dwa duże srebrne zwierciadła, złoty kwiatek ze srebrną łodyżką, osiem krótkich niewieścich grzebieni i jeden długi oraz tuzin pucharków, których czasze są srebrne, a podstawy z elektrum.

Przyjaciół Ojca, chrześcijanin, pragnie mnie usynowić, lecz ja chcę pozostać synem naszego Ojca, gdyby nawet miało mnie to zgubić. Choćby mnie schwytano, nie stanę się przechrzta! Gdyby więc spotkało mnie to najgorsze, nie płacz nade mną. Pamiętaj, iż połączę się wtedy z naszymi umiłowanymi Rodzicami, by wraz z nimi spocząć u stóp Wszechmocnego. Wiedz, że gdybym został chrześcijaninem, nie wolno by mi było nawet Cię uścisnąć, Braciszku, pod groźbą, że drzwi wiodące do Królestwa Niebieskiego będą przede mną zamknięte. Ja zaś pragnę pozostać Twym bratem i choć raz Cię jeszcze zobaczyć! Błagam o przebaczenie, mój najmilszy zaginiony Braciszku, za wszystkie przykrości, którym Ci wyrządził niebacznym słowem lub uczynkiem. I proszę, miłuj mnie zawsze, tak jak miłowałeś.

Pamiętaj nas, Eleazarze, i módl się za nasze dusze. Nie zapomnij, żeś synem Chilkiasza z plemienia Lewiego. Codziennie recytuj Szma, wiedząc, iż te same słowa wypowiada wraz z Tobą Twój pogrążony w głębokim smutku brat

Jonasz ben Chilkiasz Toledano”

\*

– Wasz dom to teraz ruina, mój mąż go nie kupi – odezwała się znowu Teresa, zerkając chmurnie na papier. – Ty zaś – dodała – przyniesiesz nieszczęście naszemu domowi.

Myśl ta przejęła Jonasa chłodem. Przypomniała mu również, że niedługo wróci Benito wraz z kapłanem, który ma go ochrzcić! Czym prędzej pochwycił papier i wybiegł z izby. Chciał odejść stąd jak najdalej. Nikt go też nie zatrzymał.

Słońce zaczynało zachodzić, zrobiło się już trochę chłodniej. Nogi jakby same zaniósły go na ruiny, które kiedyś były jego domem. Nieopodal odnalazł prostokąt świeżo poruszonej ziemi – grób ukochanego ojca. Z osobliwie suchym okiem zmówił kadisz, a potem zaznaczył to miejsce, przysięgając sobie, że jeśli przeżyje, to kiedyś tu wróci. Wróci, by pogrzebać ojca w poświęconej ziemi. Przypomniał sobie swój sen w jaskini, myśląc, że chyba wie, co *aba* chciał mu powiedzieć: że na zawsze ma pozostać tym, kim jest – Jonaszem ben Chilkiaszem Toledanem, Lewitą.

W szybko zapadającym zmierzchu zaczął przeszukiwać splądrowane izby. Srebrne pudełeczka na mezuzy, święte talizmany z wersetami z Pisma, zniknęły ze swych miejsc na odrzwiach – tak jak wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Intruzi zerwali nawet podłogi. Znaleźli pieniądze, które Chilkiasz zdołał zgromadzić na podróż, coś wszakże przeoczyli: skrytkę za luźnym kamieniem w północnej ścianie warsztatu, gdzie Jonasz i Eleazar trzymali swój skromny skarbczyk – osiemnaście soldów. Niezbyt wiele, ale zawsze coś. Przeliczywszy monety, Jonasz wsypał je do tobołka zrobionego naprędce z walającej się w kącie brudnej szmaty. Pod stopą



zaszeleścił mu strzęp pergaminu – fragment mezuzy. Podniósłszy go, odczytał słowa: „Będiesz miłował Pana, Boga twego, ze wszystkiego serca twego i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej siły swojej. I będą te słowa, które ja dziś przykazuję tobie, w sercu twoim...” Już chciał włożyć pergamin do tobołka, kiedy naszła go myśl, a myślał teraz jasno i chłodno, że gdyby znaleziono przy nim ten skrawek, zapłaciłby za to życiem. Starannie zwinął święty strzępek i wraz z listem do brata umieścił go w skrytce.

Zostawiwszy za sobą dom i wspomnienia, udał się na pole Marcela Troki. Stryj Aron wziął konie, ale dwa osły kupione przez ojca były tu nadal. Stały spętane obok sterty śmieci, żując je z widoczną melancholią. Większy spłoszył się i zaczął wierzgać, mniejszy nie wyglądał zbyt dobrze, lecz okazał się bardziej uległy. Łypnął tylko okiem na Jonasza, a gdy ten, zdjawszy mu pęta, usadowił się na jego grzbiecie, ruszył od razu posłusznie stromą skalistą ścieżką.

Światła dziennego pozostało jeszcze tyle, że kłapouch bez większego trudu zdołał pokonać urwisko. Kiedy przeprawili się przez rzekę i Jonasz spojrzął za siebie, liczne ciemnopurpurowe odkrywki w skale wyglądały w gasnącym świetle niczym czarne zębiska jakiejś dzikiej przerażającej bestii.

Dokąd się udać? I ile wytrzyma to nędzne zwierzę? Widać było, że osioł ma duże kłopoty z trawieniem – pewnie po tych śmieciach, którymi napchał sobie kiszki... Żadne określone miejsce przeznaczenia nie przychodziło Jonaszowi na myśl, ale ojciec mówił, że kto ufa Wszechmogącemu, tego Bóg poprowadzi właściwą ścieżką. Ta, którą jechał, nie wyglądała zbyt obiecująco, mimo to uznawszy, że dostatecznie oddalił się już od rzeki, Jonasz wypuścił z rąk wodze, zdając się całkowicie na wolę Boga i swojego osła. Nie

czuł się ani jak rycerz, ani jak śmiały kupiec podróżujący do dalekich nieznanych krain. Samotna jazda na wzdętym osie, puszcającym raz po raz smrodliwe bąki, ani trochę nie przypominała tych cudownych bohaterskich przygód, o jakich tak kiedyś marzył.

Zatrzymał się na chwilę, aby po raz ostatni popatrzeć na swoje miasto. Widział je teraz wysoko nad sobą. W kilku oknach migały ciepłe płomyki lampek oliwnych, jakiś człowiek z pochodnią szedł znajomą uliczką tuż przy krawędzi skały... Nie był to wszakże nikt taki, kto by go znał i kochał, więc po chwili Jonasz ścisnął osła kolanami i nie oglądając się już za siebie, ruszył w nieznaną.

Cz ę ś ć t r z e c i a

## *Peon*

*Kastylia*

*30 sierpnia 1492 roku*

### **Rozdział 12**

#### ***Człowiek z motyką***

Osiołek okazał się niezmordowany. Całą noc wytrwale szedł naprzód, kierując się na południe. Zawieszony w górze jak lampa wielki pyzaty księżyc dotrzymywał im towarzystwa, życzliwie oświetlając drogę. Jonasz wciąż jeszcze nie śmiał się zatrzymać. Ksiądz mający go ochrzcić pewnie już doniósł gdzie trzeba o ucieczce młodego żyda, który nie chciał przyjąć chrześcijaństwa. Trzeba jak najdalej odejść od Toledo, inaczej czeka go śmierć.

Odkąd opuścił miasto, podążał bezludną prawie okolicą. Z rzadka tylko nieopodal traktu pojawiały się niewyraźne w mroku zarysy wiejskich zabudowań. Gdziekolwiek zaszczekał pies, Jonasz natychmiast ścisnął piętami osła, który na ten sygnał zaczynał biec truchtem i cicho jak duch w osłej skórze przemykał obok ludzkich siedzib.

Kiedy niebo zaczęło szarzeć, krajobraz się zmienił. Teren był tu mniej górzysty niż w rodzinnych stronach Jonasza i wszędzie, jak

okiem sięgnąć, ciągnęły się ziemie uprawne. Gleba w tym miejscu musiała być żyzna. Wciąż mijał winnice, ogromne gaje oliwne i długie zagony zielonej cebuli. Czując w brzuchu bolesną pustkę, zeskoczył z osła i łapczywie zjadł kilka cebul, chyłkiem wyrwanych z pola. W najbliższej winnicy posilił się kiścią winogron – były jeszcze cierpkie, lecz bardzo soczyste. Mógłby sobie wprawdzie kupić chleba, lecz nie śmiał zbliżyć się do ludzi – bał się ich oczu i pytań.

Nieopodal w przydrożnym rowie odprowadzającym wodę z pola szemrał cieniutki strumyczek, pozwolił więc osłu popaść się na resztkach trawy. Sam usiadł nad rowem i wpatrzony w ognistą tarczę z wolna wyłaniającą się zza horyzontu, zaczął dumać nad swym położeniem. Uciekł z Toledo i co dalej? Może jednak powinien wyznaczyć sobie jakiś cel? Pomyślał o Portugalii, gdzie jak wiedział, udało się trochę toledańskich Żydów. Mógłby spotkać tam jakichś znajomych.

Na polu zaczęli pojawiać się ludzie zbrojni w maczety i motyki. Za przeciwległym krańcem tego pola Jonasz teraz dopiero dostrzegł kwatery robotników i grupki mężczyzn karczujących krzewy. Widząc, że nie zwracają na niego uwagi, pozwolił zwierzęciu najeść się do syta. Czworonożny towarzysz wbrew swojej naturze okazał się nad podziw mądry i poczciwy. Tak chętnie wypełniał wszelkie polecenia, że Jonasza ogarnęła wdzięczność. Powinien mieć imię. Postanowił nad tym pomyśleć.

Ledwie pole zniknęło mu z oczu, dał się słyszeć głośny tętent koni. Jonasz czym prędzej zboczył ze szlaku, by przepuścić rozpędzonych jeźdźców. Było ich ośmiu – oficer i siedmiu żołnierzy. Patrol! Ku jego przerażeniu żołnierze nagle wstrzymali konie! Wszyscy uzbrojeni byli tak samo – w piki i krótkie miecze. Jeden

zeskoczył z konia i zaczął z pluskiem oddawać mocz do rowu. Dowódca zerknął na Jonasza.

– Hej, chłopcze, jak cię wołają?

Walcząc ze sobą, by nie drżeć, Jonasz uczepił się myślą nazwiska, które zaofiarował mu Martín.

– Tomás Martín, wasza wielmożność.

– Gdzie mieszkasz?

Przekonany, iż ludzie pracujący w polu i tak już donieśli żołnierzom, że widzieli kogoś obcego, nie próbował udawać chłopca z tych okolic.

– Ostatnio mieszkałem w Cuence.

– Stamtąd jedziesz?

– Tak.

– Nie widziałeś po drodze jakich Żydów?

– Nie, panie. – Za wszelką cenę starał się stłumić coraz większą panikę.

– My też nie – uśmiechnął się dowódca – choć nasz oddział przetrząsnął całą okolicę. Widać w końcu pozbyliśmy się Żydów! Ci, co nie wyjechali, musieli się ochrzcić albo gniją w więzieniu.

– Niech komu innemu siedzą teraz na karku – wtrącił ten, co oddawał mocz. – Niech ci przekłēci Portugalczycy zakosztują Żydów i ich sztuczek. Niektórzy już widzą, że to istna plaga, toteż tłuką ich jak robactwo – zarechotał, otrząsając z członka krople moczu.

– A dokąd to jedziesz? – spytał Jonasza oficer, ot tak, byle coś rzec.

– Do Guadalupe.

– Ho, ho, kawał drogi! I czegoż tam szukasz?

– Jadę... odnaleźć brata mego ojca, Enrique Martína. – Widząc, jak gładko przychodzi mu łgarstwo, w nagłym przypływie inwencji

rozwinął swoją opowieść: opuścił Cuencę, bo jego ojciec Benito poległ rok temu w walce przeciw Maurom.

Surowe oblicze oficera złagodniało.

– Taki to już los żołnierza... Wyglądasz mi na silnego, chłopcze. Nie chciałbyś zarobić? Miałbyś się za co wyżywić w drodze do Guadalupe.

– Rad byłbym, wasza wielmożność.

– Jedź zatem do majątku don Luísa Carnera de Palmy. Potrzebują tam młodych osiłek. To tu niedaleko, następna posiadłość. Powiedz Josému Galindo, że przysyła cię kapitan Astruello.

– Stokrotne dzięki, wasza wielmożność.

Żołnierz, co chciał sobie ulżyć, dosiadł już konia i patrol znów ruszył galopem, zostawiając Jonasza w tumanach dławiącego kurzu. Ogarnęła go tak wielka ulga, że nawet nie zwrócił na to uwagi.

Posiadłość Luísa de Palmy wyglądała na bardzo dużą; już z drogi można było dostrzec, że musi tam pracować mnóstwo ludzi. Jonaszowi raptem przyszło na myśl, że chyba w rzeczy samej powinien się tu zatrzymać, choć przedtem nie miał takiego zamiaru. Ci żołnierze uwierzyli w jego opowiastkę, ale jeśli gdzieś dalej napotka innych, z którymi tak łatwo nie pójdzie...? Tknięty nagłym lękiem, skierował osła w stronę bramy.

José Galindo, usłyszawszy nazwisko kapitana, o nic więcej nie pytał. Już po kilku chwilach Jonasz stał w rogu wielkiego pola cebuli, siekąc motyką wyrosnięte chwasty, twarde i mocne jak postronki. Około południa na polu pojawił się chudy, żylasty starzec, zaprzężony jak koń do wózka, przywożąc parujący kocioł wodnistej zacierki. Każdy z pracujących dostał miskę zupy i kawałek czarnego chleba.

Jonasz tak łapczywie połknął swoją porcję, że nawet nie poczuł smaku. Głodowy ból brzucha ustąpił, zaczął mu za to doskwierać

nieznośnie przepelniony pęcherz. Większość robotników wypróżniała się do rowu biegnącego wzdłuż całego pola, ale on bał się iść za ich przykładem. Gdyby ktoś zobaczył, że jest obrzezany, zaraz by rozpoznał w nim żyda. Drżąc z bólu i strachu, wstrzymywał się, dopóki zdołał, aż wreszcie na nic już niepomny popędził nad rów, osłaniając ręką przyrodzenie. Na szczęście nikt go nie podpatrzył. Pełen ulgi wrócił do motyki.

Słońce stało w zenicie, zalewając ludzi strugami żaru, lecz jemu gorszą udrękę sprawiały natarczywe myśli: gdzie są teraz ci wszyscy, których znał i kochał, jego bliscy i przyjaciele? A on? Co jemu zgotował los? Starał się zagłuszyć te ponure myśli, siekąc harde zielsko z taką furią, jakby jego motyka była mieczem Dawida, a te chwasty łbami Filistynów lub siepaczy Świętej Inkwizycji. Był pewien, że pełno ich w całej Hiszpanii i że wszyscy szukają tylko jego.

Tak minęły trzy dni. Brudny i wyczerpany pracował wciąż jak maszyna i nagle przypomniał sobie, co to za dzień: drugi sierpnia, dziewiąty dzień miesiąca aw! Dzień zniszczenia Świątyni Jerozolimskiej, ostatni termin wyjazdu Żydów z Hiszpanii. Resztę owego dnia spędził na cichej modlitwie, nie przestając machać motyką. Po wielekroć powtarzał błagalną prośbę, aby Bóg ocalił jego bliskich. Niech bezpiecznie przepłyną wzburzone morza! Spraw, Panie, by ich statek był już gdzieś daleko, jak najdalej od tego kraju!

## **Rozdział 13**

### ***Więzień***

Jonasz wychował się w mieście, lecz praca w gospodarstwie nie była mu całkiem obca, wielu mieszkańców Toledo żyło bowiem z hodowli i uprawy ziemi. Jego stryj Aron trzymał duże stado

mlecznych kóz, a on wiele razy pomagał mu je obrządzać – doić, kosić trawę, zadawać paszę. Stryj nauczył go także szlachtować wybrane sztuki, a nawet wyrabiać sery. Wszystko to jednak było dziecinną igraszką w porównaniu z pracą w posiadłości pana de Palmy. Tutaj od świtu do nocy trwała mordercza harówka, zbyt ciężka nawet dla człowieka dobrze zaprawionego już w pracy na roli. Co młodsi mężczyźni orali zaiste jak woły. Jonasz, choć rostry i silny, nie nawykł do takiego trudu, toteż pierwsze tygodnie pobytu w majątku dały mu się mocno we znaki: bolały go wszystkie mięśnie, a zeszywniałe członki odmawiały mu chwilami posłuszeństwa.

Z czasem upodobnił się do innych – mięśnie urosły mu i stwardniały, a twarz ściemniała od słońca. Mimo to trzymał się na uboczu. Nie ufał nikomu i bał się wszystkiego; wiedział, co by się stało, gdyby jakimś słowem czy gestem wzbudził w kimś cień podejrzenia. Dręczyła go też obawa, że któryś z tych ludzi mógłby mu ukraść osła. Rankiem pętał zwierzę i zostawiał w takim miejscu, gdzie mógł mieć je stale na oku, nocami zaś sypiali obaj w kącie olbrzymiej stodoły. Nachodziło go wtedy osobliwe uczucie spokoju; wydawało mu się, że osiołek czuwa nad nim niczym wierny pies.

Miejscowi nie sarkali na ciężką pracę, można było nawet pomyśleć, że są całkiem kontenci ze swego losu. Było wśród nich wielu młodzików takich jak Jonasz, lecz nie brakowało i starców goniących ostatkiem sił. Jonasz dla wszystkich był „obcym”. Z nikim nie rozmawiał, więc też nikt się do niego nie odzywał, nie licząc lakonicznych komend, na którym kawałku pola ma pracować. Przywykł już do tego pola i obcych mu zrazu odgłosów towarzyszących codziennej pracy – łoskotu motyk wgrzyzających się w twardą ziemię, dźwięku ostrza trafiającego na kamień, stękania



strudzonych wołów. Kiedy dobiegał go okrzyk, że ma przejść w inne miejsce, robił, co mu kazano; kiedy sam musiał przemówić, bo potrzebował jakiegoś narzędzia, grzecznie i krótko prosił o nie rządcę i na tym koniec. Uznano go za milczka – i dobrze, po co komu czza gadanina. Widział, że niektórzy robotnicy spoglądają na niego z jawnie złośliwym wyzwaniem; nietrudno było przewidzieć, że prędzej czy później musi dojść do bójki. Zaczął na oczach wszystkich ostrzyć swą motykę i robił to dopóty, dopóki jej krawędź nie zaśniła w słońcu zimnym śmiercionośnym blaskiem. Miała ułamany trzonek, ale uznał, że to nawet lepiej: wyglądała dzięki temu jak bojowy topór. Nie rozstawał się z nią nawet w nocy.

O, gdyby ktoś szukał zacisznej przystani, tu by jej nie znalazł! Płacono też nędznie – ledwie parę soldów za taką mordęgę! Od świtu do zmierzchu, w okrutnej spiekocie, bez chwili wytchnienia... Dostawało się jednak chleb i cebulę, a nieraz trafiła się i miska zupy. Jedzenie... Jonasz rzadko już teraz śnił o Lucii Martín. Znacznie częściej śniło mu się mięso, te potrawy, które jadał w domu, wcale ich sobie nie ceniąc: rumiane jagnięta z różną, smaczkowite ptactwo pieczone w glinie – tradycyjne danie w wigilię każdego szabatu... W dzień myślał o nich z dotkliwą tęsknotą. Cały jego organizm wielkim głosem domagał się tłuszczu.

Wraz z nastaniem chłodniejszych dni w majątku zaczęto szlachtować wieprze. Wnętrznosci i gorsze kawałki mięsa przypadały robotnikom, którzy rzucali się na nie jak wilki. Jonasz doszedł do wniosku, że i on musi jeść wieprzowinę, w przeciwnym razie ściągnie na siebie groźne podejrzenia. I oto stwierdził – o zgrozo! – że bardzo mu smakuje te różowe delikatne skrawki. Zanim się na tym złapał, odmówił nad nimi cichą modlitwę przed

jedzeniem, a potem spałaszował wszystko, choć miał pełną świadomość, że czeka go za to wieczne potępienie.

Sprawa ta jeszcze bardziej pogłębiła jego rozpacz i poczucie, że jest sam na świecie. Jakże tęsknił za dźwiękiem swojskiej mowy! Za jednym bodaj słowem po hebrajsku lub w ladino, języku toledańskich Żydów. Każdego ranka i wieczoru długo odmawiał kadsz za zmarłych. Czasem też podczas pracy bezgłośnie wyśpiewywał wersety z Pisma, znane modlitwy i błogosławieństwa, bo tylko one przynosiły mu jakąś pociechę.

Mijał siódmy tydzień jego pracy, gdy do majątku przybyli znajomi żołnierze. Wiedział już teraz z zasłyszanych rozmów, że to oddział Świętej Hermandad, zbrojnego ramienia chrześcijańskich władców. Było wczesne popołudnie, kiedy podniósł głowę znad motyki i zobaczył przed sobą kapitana Astruella.

– Co? – zdziwił się oficer. – Ty wciąż tutaj?

Jonasz ze strachu zdołał tylko skinąć głową. Zaraz potem zauważył, że kapitan z wielkim ożywieniem mówi coś do rządcy i że obaj go obserwują. Baczenie, zbyt baczenie. Krew zastygła mu w żyłach. Jeżeli ten kapitan wywęszył w nim Żyda i właśnie rozpoczął śledztwo... O tym, co będzie dalej, lepiej było nie myśleć.

Dręczony mnóstwem jak najgorszych przeczuć z trudem dotrwał do wieczora. Kiedy tylko zrobiło się ciemno, chyłkiem wyprowadził osła ze stodoły. Należało mu się parę soldów, poniechał ich jednak, zabierając w zamian swą motykę z ułamanym trzonkiem. Oddalwszy się od bramy na bezpieczną odległość, dosiadł osła, który chyba wyczuwał jego niepokój, bo bez żadnych ponagleń zaczął od razu biec truchtem.

Osioł miał się teraz dużo lepiej. Kilka tygodni na zielonej paszy bardzo poprawiło mu trawienie. Stąpał tak pewnie i z taką ochotą, że Jonasza ogarnęła czułość.

– Musisz mieć imię – powiedział głośno, klepiąc pocziwca po karku.

Po dłuższych rozważaniach zdecydował się nadać mu dwa. Pierwsze, sekretne, brzmiało „Mojżesz” na cześć dwóch wielkich mężów – tego, co wyprowadził lud Izraela z niewoli egipskiej, i Mojżesza ben Majmona, sławnego filozofa i równie sławnego lekarza. Uznał, że zacne zwierzę zasłużyło na takie imię.

– A przy ludziach będę cię wołał Pedro.

Nadanie osiołkowi dwóch imion wydało mu się tym bardziej stosowne, że i sam Mistrz miał ich kilka.

Wróciwszy do dawnych środków ostrożności, przez następne dwie doby podróżował nocą, w dzień zaś odpoczywali obaj z Mojżeszem w jakiejś bezpiecznej kryjówce. Grona w przydrożnych winnicach zdążyły już dojrzeć, toteż każdej nocy raczył się kilkoma słodkimi kiśćmi, tyle że teraz sam dla odmiany dostał wiatrów. Kiszki burczały mu głośno z braku solidnej strawy.

Trzeciego dnia rano dojechał do miejsca, gdzie szlak rozwidłał się na dwie odnogi. Napis na drogowskazie głosił, że ta na zachód prowadzi do Guadalupe, południowa zaś do miasta Ciudad Real. Pamiętając, co powiedział kapitanowi, nie miał odwagi jechać do Guadalupe, pozostawała mu więc tylko droga na południe.

W Ciudad Real był akurat dzień targowy i ulice roiły się od ludzi. Jonasz uznał to za dobrą okoliczność: w takim tłoku przyjezdny nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Miał rację, nie pomyślał tylko, że swym widokiem pobudzi gawieź do śmiechu, nie widział bowiem tego, co widzieli inni – że chudy jest jak strach na wróble, a przy tym tak rosły, iż siedząc na małym osiołku, prawie dotyka stopami ziemi. Ludzie pokazywali go sobie palcami, śmiejąc się, że jego osioł sprawił sobie trzecią parę nóg!

Mijając na rynku stragan serowara, nie mógł się oprzeć pokusie i za jedną ze swych cennych monet kupił mały serek, który połknął w mgnieniu oka, choć nie był tak dobry jak wyroby struja Arona.

– Szukam pracy, señor – zwrócił się do właściciela, lecz ten odmownie pokręcił głową.

– Nie zatrudniam nikogo, nie stać mnie. Panie – krzyknął do kogoś stojącego w pobliżu – ten tutaj młodzik szuka roboty! – Zabrzmiało to jakoś znacząco.

Zawołany był niewysokim mężczyzną z wielkim brzuchem i resztkami włosów przylepionymi czymś tłustym do czaszki, jednakże mimo niskiej postury patrzył na wszystkich z wysoka.

– Jestem Isidoro Alvarez, alguacil tego miasta.

– Señor, nazywam się Tomás Martín i szukam pracy.

– Ha, u mnie jej nie brak! Co robiłeś dotąd?

– Pracowałem na roli w pobliżu Toledo.

– Cóż tam uprawiano?

– Cebulę i zboże. Było też stado kóz.

– Ja uprawiam całkiem inne pole, a wiesz, co z niego zbieram? Przestępców, by ich chronić od słońca i deszczu – oświadczył sędzia, co słysząc serowar ryknął gromkim śmiechem. – Potrzebuję kogoś, kto będzie wynosił kubły z tym ich słodkowonnym gównem i czasami rzucał trochę strawy, aby mi broń Boże nie pomarli, póki muszę za nich odpowiadać. Podejmiesz się tego, młodziku?

Nie była to zachęcająca propozycja, lecz w brązowych oczkach sędziego błyszczało tyleż wesołości co groźby. Ktoś w tłumie parsknął zduszonym śmiechem. Jonasz czuł, że ludzie pilnie wyczekują jego odpowiedzi, licząc w razie odmowy na znacznie więcej uciechy. Choćby jak najgrzeczniej podziękował sędziemu, na nic się to nie zda – znajdą sposób, aby go zatrzymać.

– Tak, señor, mogę się tego podjąć.

– No to chodź ze mną, zaczynasz od razu.

Opuszczając targowisko, Jonasz usłyszał słowa, od których włos mu się zjeżył: „Ha, rechotał serowar, Isidoro znalazł sobie wreszcie pastucha dla tej swojej żydowskiej trzódki!”

W długim a wąskim budynku więzienia w jednym końcu urzędował sędzia, w drugim mieściła się izba przesłuchań, między nimi zaś po obu stronach korytarza trzymano więźniów. Cele były tak ciasne, że pojedynczy lokator, chcąc się położyć, musiał podciągnąć kolana pod brodę, a siedzieć mógł tylko oparty plecami o ścianę. Señor Alvarez poinformował Jonasza, że znajduje się tu trzech złodziei, jeden morderca, jeden pijak, dwóch rozbójników oraz jedenastu nowych chrześcijan oskarżonych o to, że potajemnie nadal są żydami.

Na stojącym w korytarzu zydłu sennie kiwał się strażnik uzbrojony w miecz i maczugę.

– To jest Paco, a ten tutaj ma na imię Tomás – mruknął sędzia, po czym spiesznie oddalił się do biura, czym prędzej zatrzaskując ciężkie drzwi przed bijącym z korytarza smrodem.

Żeby zaprowadzić tu jakiś ład, trzeba najpierw opróżnić te cuchnące kubły, pomyślał zrezygnowany Jonasz. Strażnik, którego poprosił o otwarcie pierwszej z brzegu celi, niechętnie podniósł z zydła tłusty zad. W celi siedziała kobieta o oczach pozbawionych wszelkiego wyrazu. Nawet nie drgnęła, gdy Jonasz sięgnął po kubel.

Pętając przed chwilą Mojżesza, zauważył wiszący na ścianie szpadel, którym zaczął teraz kopać dół w wypatrzonym uprzednio piaszczystym miejscu. Uznawszy, że jest dość głęboki, opróżnił kubel, potem zaś dwukrotnie napełnił go piaskiem. Zerwał kilka wielkich sercowatych liści z rosnącego nieopodal drzewa i starannie wytarł nimi kubel. Teraz dopiero wypłukał go wodą z pobliskiego

rowu. Oporządził w ten sposób pięć cel, coraz bardziej współczując zamkniętym w nich nieszczęśnikom. W szóstej zatrzymał się nagle na widok jej lokatora. Był to szczupły, wysoki mężczyzna, który mimo zarośniętej twarzy i długich rozczochranych włosów wydał mu się dziwnie znajomy. Nie mógł przyglądać się dłużej, bo stojący za plecami strażnik zaczął głośno chrząkać z irytacją, chwycił więc kubek i wybiegł z nim na dwór.

Dopiero gdy po powrocie do celi wyobraził sobie twarz więźnia ze schludnie przyciętą brodą i włosami, doznał olśnienia. Z pamięci wypłynął mu obraz konającej matki i pochylonego nad łóżkiem człowieka, który przez długie tygodnie starał się przynieść jej ulgę.

Wiedział już, kim jest ten więzień: wszak to znany medyk z Toledo, Bernardo Espina!

## Rozdział 14

### *Święto*

Sypiał w izbie przesłuchań na gołych kamiennych płytach, a żywił się tą samą strawą, którą rozdzielał więźniom. Raz dziennie przynosił im zupę od żony drugiego strażnika imieniem Gato, który w nocy zastępował Paca. Czasami swoją skromną porcją musiał dokarmiać Mojżesza. Miał się teraz biedak nietęgo, skazany na nędzne kępki trawy gęsto przerośniętej suchym twardym zielskiem. A powinien być w dobrej kondycji, bo Jonasz zamierzał uciec – czekał tylko na właściwy moment. Paco opowiadał, że wkrótce ma się odbyć wielkie autodafe, więc do miasta ściągną tłumy ludzi. Jonasz uznał, że będzie to najlepsza pora na ucieczkę.

Starał się utrzymać czystość w więzieniu, toteż Isidoro zostawiał go w spokoju, zadowolony, że łatwiej mu teraz oddychać. Już w pierwszych dniach jego służby trzech złodziejasków, odebrawszy

tęgie baty od strażników, wyszło na wolność. Zwolniono również pijaka, który jednak w trzy dni później, wrzeszcząc jak obłąkany z przepicia, wrócił do więzienia, tyle że do innej celi.

Z rzucanych półgębkiem przekleństw i strzępów rozmów prowadzonych przez sędziego z jego ludźmi Jonasz stopniowo poznawał zarzuty ciężące na nowych chrześcijanach. Rzeźnik, Izaak de Marspera, winien był sprzedaży koszernego mięsa. Czterech innych oskarżono o to, że stale je od niego kupowali. Kolejny przestępca, niejaki Juan Peropan, miał podobno hebrajski modlitewnik, ściślej mówiąc, kilka luźnych stronic, a jego żona Izabela dobrowolnie brała udział w żydowskich obrządkach. Druga kobieta, Anna Montalban, padła ofiarą sąsiadów; donieśli oni, że w każdy piątek przed zachodem słońca obmywa całe ciało i wkłada czyste szaty, obchodzi zatem żydowski szabat. Ale co zrobił Espina?

Jonasz zauważył, że ilekroć pracuje obok jego celi, medyk zaczyna wodzić za nim wzrokiem. I oto pewnego ranka, kiedy wszedł do środka pozamiatać celę, usłyszał rzucone półgłosem pytanie:

– Czemuż to wołają cię „Tomás”?

– A jak inaczej miałoby mnie wołać?

– Jesteś wszak jednym z młodych Toledanów, tylko nie pomnę którym.

Wiesz, że nie mogę być Meirem, chciał powiedzieć Jonasz, bał się jednak zaufać temu człowiekowi. Mógłby donieść o nim inkwizycji, aby w zamian uzyskać łagodniejszy wyrok.

– Mylicie się, señor. – Szybko skończył zmiatanie i opuścił celę.

W następnych dniach medyk cały czas czytał brewiarz i nawet na niego nie spojrział. Jonasz nabrał przekonania, że gdyby Espina chciał go zdradzić, już by to pewnie uczynił.

Najodważniejszym ze wszystkich więźniów był rzeźnik Izaak de Marspera. Kilka razy dziennie gromko wykrzykiwał hebrajskie modlitwy, jakby chciał swą żydowskość uczynić kamieniem obrazy i rzucić go w twarz swoim wrogom. Inni oskarżeni o judaizm przeważnie milczeli – jakby pod wpływem rozpaczyny wszystko stało się im obojętne.

Jonasz teraz już wyczekiwał spotkania z Espiną. Gdy następnym razem wszedł do jego celi, wyszeptał już w progu:

– Macie rację, señor, jestem Jonasz Toledano!

Medyk nieznacznie skinął głową.

– A twój ojciec, Chilkiasz... co z nim? Wyjechał?

– Zabili go... – zdążył odszepnąć Jonasz i rozmowa została przerwana, bo przyszedł Paco, żeby wypuścić go z celi.

Dobrze, że Paco lubił się lenić. Kiedy tylko nie było sędziego, sadowił się wygodniej i z głową opartą o ścianę natychmiast ucinął sobie drzemkę. Proszony w takich chwilach o otwarcie celi, prychnął ze złością, niezadowolony, że musi podnieść się z krzesła. W końcu wręczył Jonaszowi klucze i kazał samemu otwierać kłódki. Jonasz czym prędzej skorzystał z okazji, by znów nawiedzić medyka, ten jednak ku jego rozczarowaniu nie okazał chęci do rozmowy. Nie oderwał nawet wzroku od brewiarza.

Tymczasem Izaak de Marspera w narzuconej na głowę tunice zamiast modlitewnego szala kiwał się pod ścianą celi, wyśpiewując głośno modlitwy. Jonasz zastygł w miejscu, urzeczony samym dźwiękiem hebrajskiej mowy. Jakże pięknie brzmiały te słowa! Ich znaczenie dotarło do niego dopiero po paru chwilach:

*Za to, żeśmy zgrzeszyli przeciw Tobie nieczystością,  
Żeśmy pozwolili obrazić Ciebie naszym ustom,  
Żeśmy zgrzeszyli przeciw Tobie pychą lub błędnym  
mniemaniem,*



*Za wszystko, cośmy popełnili przeciw Tobie z własnej  
lub cudzej woli,  
Racz nam odpuścić, o Panie Miłosierdzia,  
Byśmy w żalu i skrusze mogli czynić pokutę!*

Ach! Jonasz zrozumiał, że ten człowiek spowiada się Bogu i raptem uświadomił sobie, że musi to być pewnie dziesiąty dzień hebrajskiego miesiąca tiszri, Jom Kippur, Dzień Pojednania! Już chciał pomodlić się razem z rzeźnikiem, lecz w tej samej chwili dobiegł go stukot otwieranych drzwi, a zaraz potem podniesiony głos Alvareza i służalcze mamrotanie Paca. Czym prędzej zamiótł podłogę i wybiegł z celi.

Kiedy zaniósł więźniom polewkę, tylko Marspera jej nie tknął, ściśle przestrzegając postu obowiązującego wiernych w tak wielkie święto. Jonasz poszedł za jego przykładem. Był rad, że choć w ten sposób może okazać wierność Bogu Abrahama i wszystkich swych przodków. Obie porcje polewki, jego i Marspery, dostał owego dnia Mojżesz. W nocy, leżąc bezsennie na twardej posadzce, prosił Boga, by raczył wybaczyć mu grzechy: te, które popełnił, łamiąc Jego święte przykazania, i wszystkie przewiny wobec ludzi – przyjaciół i nieprzyjaciół.

Dzień ów pokazał mu jasno, że jeśli nie zacznie temu przeciwdziałać, to żydowski kalendarz rychło wyleci mu z głowy. By do tego nie dopuścić, postanowił przy każdej okazji przeliczać chrześcijańskie daty na hebrajskie. Wiedział, ile rok ma miesięcy i że niektóre z nich – tiszri, szwat, nisan, siwan i aw – liczą po trzydzieści dni, pozostałe zaś – marheszwan, kislew, tewet, adar, ijar, tamuz i elul – po dwadzieścia dziewięć. Czasami jednak wypadał rok przestępny i wtedy miesięcy było więcej... Z tym już nie umiał sobie poradzić. Dawniej można było spytać o to ojca. On zawsze wiedział, jaki to żydowski dzień...

Nie jestem Tomásem Martínem, pomyślał sennie. Nazywam się Jonasz Toledano. Moim ojcem był świętej pamięci Chilkiasz ben Ruben Toledano. Wywodzimy się obaj z plemienia Lewiego. Dziś jest dziesiąty dzień miesiąca tiszri roku pięć tysięcy dwieście pięćdziesiątego trzeciego...

## Rozdział 15

### *Autodafe*

Pewnego ranka strażnicy zakuli Espinę w łańcuchy i powieźli na przesłuchanie przed oblicze Świętej Inkwizycji. Wrócił dopiero wieczorem – z obu zmiądzonych kciuków płynęła mu krew. Jonasz przyniósł medykowi wody, lecz ten leżał bez ruchu, odwrócony twarzą do ściany. Nazajutrz odwiedził go znowu.

– Jak to się stało, señor – spytał szeptem – żeście się tu znaleźli? W Toledo byliście przecież gorliwym chrześcijaninem. I wszyscy o tym wiedzieli.

– Nadal nim jestem.

– Zatem... czemu was torturują?

Espina chwilę milczał, wreszcie rzucił gorzko:

– Cóż oni wiedzą o Chrystusie i Jego miłosierdziu?

Codziennie przyjeżdżał teraz wóz po któregoś z więźniów. Juan Peropan wrócił z przesłuchania z wiszącym bezwładnie lewym ramieniem – złamano mu je na kole. Jego żonie wystarczył sam ten widok, żeby przyznać się do wszystkiego, cokolwiek podsunęli jej inkwizytorzy – i tak uniknęła tortur. Jonasz dowiedział się tego od Alvareza, podając wino jemu i jego gościom.

– Wszystko zrzuciła na męża – opowiadał sędzia. – Krzyczała uniebogłasy, że nigdy, nigdy nie przestał być żydem! Zmuszał ją do kupowania koszerne mięsa! Kazał słuchać bezbożnych

modlitw! Musiała nie tylko sama brać w nich udział, ale jeszcze uczyć tych bezceństw dzieci!

Jakby i tego było mało, Izabela Peropan świadczyła przeciw wszystkim żydowskim więźniom, gorliwie popierając każdy stawiany im zarzut.

– Wystawcie sobie, że obciążyła nawet tego medyka – mówił dalej Alvarez – choć przecież wcale go nie zna! Miał jakoby zwierzyć się jej w zaufaniu, iż wypełniając przymierze ich praojca Abrahama z Bogiem, dokonał trzydziestu ośmiu obrzezań nowo narodzonych chłopców!

Przesłuchania każdego z oskarżonych trwały po kilka dni. A potem pewnego ranka na balkonie siedziby Świętego Oficjum wywieszono czerwoną flagę, co oznaczało, że wkrótce winnym wymierzona zostanie kara śmierci – przez spalenie ich żywcem na stosie.

Utraciwszy wszelką nadzieję, Bernardo Espina stał się nagle skory do zwierzeń. Widząc pewnego popołudnia, że Jonasz szoruje podłogę obok jego celi, nie proszony zbliżył się do kraty i sam zagaił rozmowę. O Meirze i kradzieży relikwiarza. Jonasz, który instynktownie ufał mu już teraz bez zastrzeżeń, opowiedział Espinie, jak to przed trzema laty zastali jego dom pusty i jak później ojciec nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom na widok tego, co stało się z klasztorem Wniebowzięcia. Jego rozmówcy bynajmniej to nie zdziwiło.

– Mogę ci powiedzieć, dlaczego zamknięto klasztor – wyszeptał. – Któregoś ranka obok kaplicy znaleziono trzy ciała: dwóch zbrojnych strażników i zakrystiana, brata Julia Péreza. Wiedz, chłopcze, że w Kościele katolickim ścierają się różne prądy... ukryte głęboko pod powierzchnią... Są to siły na tyle okrutne, by bez żadnych skrupułów zmiażdżyć takich jak ty czy ja... Kardynał Rodrigo Lanzol,

który od niedawna jest papieżem, byłby mocno niezadowolony, gdyby mnisi, którzy nie upilnowali bezcennej relikwii, nie ponieśli kary. Rozproszono ich pewnie po innych klasztorach.

– A przeor Sebastian...?

– Bądź pewien, że teraz już nie jest przeorem. Myślę, że zesłano go w takie miejsce, gdzie zazna nader surowej dyscypliny – odrzekł Bernardo. Na jego twarzy pojawił się wyraz goryczy. – Być może złodzieje relikwii to ci sami, co skradli cyborium.

– Cóż to za ludzie! Czyż dla zdobycia świętych przedmiotów można popełniać morderstwa?

Espina uśmiechnął się ze znużeniem.

– Bezbożnicy ukryci pod maską świętości. Ludzie w całym chrześcijaństwie zawsze pokładali wielkie nadzieje w relikwiach, wierząc, iż mają one moc spełniania modlitw. Szerzy się więc handel szczątkami świętych, a między ich dostawcami toczy się walka na śmierć i życie.

Medyk jął następnie opowiadać, jak to przeor Sebastian kazał mu wyjaśnić okoliczności śmierci Meira. Jonaszowi ciężko było o tym słuchać. Ożywił się dopiero w chwili, gdy Espina wspomniał o swoim aresztowaniu na rozkaz inkwizytora, niejakiego brata Bonestruki.

– Bonestruca? Słyszałem, że to on podburzył gawieź i nasłał ją na mego ojca. Ja też go kiedyś spotkałem!

– Twarz ma piękną aż dziw, nieprawdaż? Ale jego dusza... musi na niej ciążyć straszne brzemie grzechów... – westchnął więzień, po czym powtórzył Jonaszowi to, co powiedział mu Diego Diaz: tamtej nocy Bonestruca wraz z jakimś rycerzem pojechał w ślad za Meirem.

– On tam był... kiedy zabito Meira? Więc to on...?

– Prawie na pewno. I to on ukradł cyborium. Ach, zapamiętaj sobie chłopcze, że to straszny człowiek! Bez mrugnięcia zabije każdego, kto cokolwiek wie o jego zbrodniach. Ja wychodząc z tego przesłuchania wiedziałem, że muszę uciekać, inaczej zgarnie mnie znowu i będzie to mój koniec... Głowiłem się właśnie, dokąd by wywieźć rodzinę, kiedy przeor Sebastian wezwał mnie ponownie: zniknęła relikwia! Mówiąc mi o tym, zachowywał się jak szalony. Drżał cały, płakał i krzyczał. Rozkazał mi odzyskać relikwię, jakby to leżało w mojej mocy! Zupełnie postradał rozum. Najpierw wygłosił długą mowę, jaka to okropna zbrodnia, a potem zaczął mnie błagać, bym podwoił wysiłki i wykrył jej sprawców. Mówił to tak, jakby przypisywał ów czyn jakimś swoim wrogom.

– Musiałem go usłuchać – mówił dalej medyk – lecz zaledwie w parę godzin później na rynku natknąłem się na Bonestrucę. Nic nie powiedział, tylko na mnie spojrzął. Ach, to mi wystarczyło! Byłem pewien, że jeśli zostanę w Toledo bodaj chwilę dłużej, ten mnich położy na mnie łapę. Ubłagałem żonę, by wzięła dzieci i udała się z nimi pod opiekę swojej rodziny, a sam natychmiast uciekłem!

– Dokąd?

– Na północ, w wysokie góry. Znalazłem tam sobie kilka dobrych kryjówek i zacząłem odwiedzać niewielkie osady, gdzie lekarza witano z otwartymi rękami.

Łatwo w to było uwierzyć. Jonasz pamiętał przecież, jak troskliwie ten lekarz opiekował się jego matką, pamiętał też słowa ojca: Espina to uczeń Samuela Prova, sławnego medyka. Pomyślał, że ten człowiek szlachetnie zaiste przeżył swoje życie, poświęcając je służbie ludziom. Prawda, że porzucił wiarę swych przodków, pozostał jednak dobrym i zacnym człowiekiem. A teraz skazano go na śmierć. Za co?

Zastanowił się szybko, czy nie można by jakoś uwolnić więźniów, lecz nie przyszło mu na myśl nic takiego, co by mogło rokować bodaj cień powodzenia. Nocami służbę pełnił Gato, człek nędzny i podły. Cały dzień przesypiał, toteż jego czujność nie słabła ani na chwilę, w dodatku nienawidził więźniów. W dzień natomiast, gdyby nawet on, Jonasz, zdobył się na odwagę i zabił Paca swą ostrą motyką, kiedy ten utnie sobie drzemkę, i tak żaden więzień nie zdołałby uciec. Nawet mysz nie wymknęłaby się teraz z miasta. Do Ciudad Real ściągnięto tylu żołnierzy, że przypominało wojenny obóz. Westchnął zrezygnowany. Trzeba zdać się na wolę Boga. Jeśli Wszchemocny zechce ocalić tych ludzi, a jego uczynić swoim narzędziem, pokaże mu, jak to zrobić.

– Jak długo, señor, byliście w tych górach? – zapytał Espinę.

– Minęły prawie trzy lata od mojej ucieczki, kiedy mnie dopadli. O, inkwizycja ma długą pamięć, a jej sieć sięga piekielnie daleko!

Jonasz poczuł dreszcz w całym ciele: w tę sieć lada chwila mógł wpaść i on. Widząc kątem oka, że Paco już nie śpi i mierzy ich groźnym spojrzeniem, czym prędzej wziął się znów do szorowania.

– Do widzenia, señor Espina.

– Do widzenia... Tomaszu Martínie.

Nie chcąc pewnie obciążać własnego sumienia, Święte Oficjum uznało za stosowne powierzyć wykonanie wyroku władzom miasta. Sędzia Ciudad Real nakazał więc swoim ludziom ustawić na rynku siedem drewnianych słupów, obok których kilku murarzy zaczęło spiesznie budować *quemadero*, duży kulisty piec z cegieł.

W więzieniu część skazańców płakała, inni się modlili. Espina wydawał się spokojny i zrezygnowany. Jonasz mył znów podłogę w korytarzu, kiedy medyk szepnął w jego stronę:

– Mam do ciebie wielką prośbę.

– Zrobię dla was wszystko, co w mojej mocy...

– Wiesz, mam ośmioletniego syna. Nazywa się Francisco Rivera de la Espina. Opiekuje się nim matka, Estrella de Aranda, nim i dwiema jego siostrami. Czy zechcesz przekazać chłopcu ten brewiarz wraz z moim błogosławieństwem?

– Señor... – wyjąkał skonsternowany Jonasz – ja nie mogę wrócić do Toledo. A zresztą... wasz dom był pusty. Gdzie przebywa wasza rodzina?

– Doprawdy nie wiem. Może u krewnych żony, de Arandów z Maquedy, a może u tych z Medellín. Ale błagam cię, weź ten brewiarz. Może kiedyś, jeśli Bóg pozwoli, będziesz mógł go doręczyć.

– Dobrze, spróbuję – zgodził się Jonasz, choć ta chrześcijańska książka zdawała się parzyć go w palce.

Espina wysunął rękę przez kratę, a on pochwycił ją i uścisnął.

– Niechaj Wszchemocny będzie wam litościw.

– Wierzę w miłosierdzie Jezusa. Ufam, że będzie przy mnie. Niech Bóg cię strzeże i wspiera, Jonaszu. I... pomódl się za moją duszę.

Rankiem na rynku zebrało się więcej ludzi aniżeli podczas walk z bykami. Dzień był bezchmurny, powietrze niosło już w sobie chłodną zapowiedź jesieni. Podekscytowani ludzie niecierpliwie wyczekiwali rozpoczęcia wielkiego widowiska. Można to było wyczuć w pokrzykiwaniu dzieci, w gwarze rozmów, w nawoływaniu przekupniów, w skocznych melodiach wygrywanych przez czterech muzyków – fletnistę, lutnistę i dwóch gitarzystów.

Okolo południa na placu pojawił się ksiądz. Gestem uciszył wrzawę i wezwał zebranych do modlitwy. Przez długie, nieskończenie długie minuty słyhać było tylko chóralne, powtarzane w kółko słowa Pater Noster. Ciżba rosła, ludzie stali ciało przy ciele; Jonasz czuł, że z każdą chwilą robi mu się ciaśniej.

Żądni wrażeń widzowie tłoczyli się na balkonach i dachach okolicznych domów. Wreszcie tłum zafalował i dały się słyszeć okrzyki niezadowolenia: stojący najbliżej słupów zostali odepchnięci na boki przez ludzi sędziego – nadjeżdżali skazańcy.

Przywieziono ich trzema dwukółkami ciągnionymi przez osły. Tak przejechali przez miasto wśród gwizdów i szyderstw gawiedzi licznie zebranej wzdłuż całej trasy przejazdu. Było ich jedenaścioro – wszyscy w spiczastych czapkach pokutników. Troje spośród nich – dwóch mężczyzn i jedna kobieta – nosiło żółte sambenita z ukośnie nakreślonym krzyżem. Tym pozwolono wrócić do ich rodzimych parafii, gdzie mieli dopóty nosić te długie pokutne koszule, dopóki nie okażą dość chrześcijańskiej skruchy, pokory i nabożności, by można im było darować winy i przyjąć z powrotem na łono Kościoła. Sambenita sześciu mężczyzn i dwóch kobiet były czarne; wymalowano na nich demony i ognie piekielne, co oznaczało, że czeka ich śmierć. Na placu ściągnięto nieszczęśników z wozów i rozebrano do naga. Przez tłum przebiegł szmer podobny fali przypływu. Wszyscy wyciągnęli szyje, aby lepiej widzieć. Pohańbienie skazanych nagością było częścią ich kary.

Jonasz patrzył na to ze zgrozą, mimo to skonstatował w duchu, że Anna Montalban wygląda teraz starzej niż w ubraniu, gdy nie widać było jej obwisłych piersi i żalosnej kęпки posiwiałych włosów w dole brzucha. Izabela Peropan natomiast nago wyglądała młodziej, pośladki miała jędrne jak dziewczyna. Ale jej mąż... Przeważenie i rozpacz tak poraziły biedaka, że nie był w stanie iść o własnych siłach. Żołnierze powlekli go na miejsce kaźni. Siedmioro skazanych na śmierć doprowadzono do słupów, tak że dotykali ich plecami, po czym wykręceno im ręce do tyłu i mocno skrępowano sznurem.



Włochate ciało Izaaka de Marspery nie nosiło żadnych śladów tortur. Jego hebrajskie modlitwy i buntownicza postawa wystarczająco dowodziły winy. Uniknął tortur, za to teraz miał ponieść najśrodszą karę – karę *quemadera*. W przedniej ścianie pieca pozostawiono tak niewielki otwór, że trzeba było siły trzech mężczyzn, by wepchnąć do środka rosnącego skazańca. Rozradowany tłum powitał ten widok gradem szyderczych docinków. Izaak w odpowiedzi zaczął grzmiącym głosem recytować Szma. Słysząc go było nawet wtedy, kiedy dwaj ludzie zamurowali już otwór.

Bernardo Espina modlił się po łacinie.

Ludzie sędziego i liczni ochotnicy z tłumy zaczęli obkładać skazańców polanami i wiązkami chrustu. Wiązki te, układane jedna na drugiej, wkrótce sięgnęły ofiarom do pasa, litościwie kryjąc siniaki, krwawe pręgi i blizny, jak również tu i ówdzie wstydlive plamy – mimowolne świadectwa śmiertelnego strachu. Wokół pieca ułożono tyle drewna, że po chwili nie było go już widać.

Kwartet zaczął wygrywać hymny.

Przy czworgu skazanych, którzy podczas śledztwa wyrazili pragnienie pojednania z Chrystusem, stali kapłani, a do ich słupów przypięto garoty – wąskie stalowe opaski, które zaraz założono im na szyje. Na dany sygnał ludzie stojący z tyłu mieli je zaciskać aż do skutku, przykręcając oba ich końce śrubami do słupa. Kościół w miłosierdziu swoim okazał tym czworgu łaskę, pozwalając im umrzeć, zanim zostaną spaleni. Zaczęto od Izabeli, uznanej za winną mimo błagań o litość, zapewnień o wierności Chrystusowi i szaleńczych denuncjacji, którymi tak mocno obciążyła swych współtowarzyszy. Że jednak przysłużyła się inkwizycji, zastosowano wobec niej akt łaski, skazując ją na śmierć przez uduszenie.

Kiedy w taki sam sposób stracono Espinę, a potem dwóch braci z Almagro, Isidoro Alvarez kolejno obszedł wszystkie stosy,

dotykając każdego płonąca pochodnią. Suchy chrust natychmiast buchnął płomieniem.

Im bardziej wzmagał się ogień, tym głośniejsze było na placu. Ludzie zależnie od temperamentu wznosili okrzyki podziwu albo zgrozy, trwogi lub radości, żalu bądź szyderstwa. Ku przestrodze i nauce podnoszono do góry małe dzieci, aby mogły zobaczyć, jak płoną piekielne ognie i jaki los czeka grzeszników.

Wokół *quemadera* z rykiem szalał ogień. Izaak Marspera piekł się tam jak kurczę. A przecież nawet drobiu nie piecze się żywcem, myślał struchlały Jonasz. Ciała ludzi przywiązanych do słupów wiły się i skręcały... Widział ich otwarte usta, lecz krzyki nieszczęsnych tonęły w ogólnym wrzasku. Włosy Izabeli uniosły się w górę, tworząc złoto-niebieskawą aureolę wokół strasznej purpurowej twarzy. Na Espinę nie patrzył – nie zniósłby tego widoku. Po chwili wszystko zasnuły kłęby gryzącego dymu. Mógł teraz płakać bezpiecznie – ten dym wyciskał łzy z oczu. Na ramieniu poczuł nagle rękę, ktoś krzychał mu gniewnie nad uchem. Sędzia!

Wskazując dopalające się stosy, Isidoro wyzwał go najpierw od leni, a potem kazał iść do strażników. Trzeba migiem przywieźć furę chrustu!

Po załadowaniu wozu Jonasz nie wrócił już na miejsce kaźni. Z cichego teraz więzienia zabrał swe jedyne ruchomości – złamaną motykę i chudy tobołek – i pobiegł rozpętać Mojżesza.

Wydostali się z miasta bez trudu. Jonasz jechał przed siebie jak ślepy, chory z żalu i przerażenia. To straszne autodafe dało mu przedsmak własnej okrutnej śmierci, jeśli wpadnie w ręce prześladowców. Jakaś część jego istoty krzychała wielkim głosem, że trzeba się ratować! Trzeba poszukać życzliwego księdza, przyjąć chrzest, prowadzić spokojny żywot. Może jeszcze nie jest za późno!

Nie zapomnij, coś przyrzekł ojcu, swemu Bogu, przodkom i sobie – odezwał się w nim drugi głos.

Ach, po raz pierwszy nienawiść do inkwizycji wzięła w nim górę nad strachem. Nie mógł i nie chciał wymazać z pamięci tych jakże okrutnych scen kaźni, przemówił więc do Boga nie jak błagalnik, lecz z furją, jak ktoś, kto ma prawo żądać odpowiedzi: Czemuś to zrobił? Jakiż to Boski zamysł wart jest męki tylu mych współbraci? Dlaczegoś mnie uczynił ostatnim żydem w Hiszpanii?

## **Rozdział 16**

### ***Margarita***

Przenikliwą woń spalenizny zabrały ze sobą dopiero wody Gwadiany, gdy podczas przeprawy przez rzekę natrafił pośrodku na głębię z bystro płynącym nurtem. Ulotniła się z jego odzienia, chociaż niestety nie z duszy, lecz Jonasz uznał, że dobre i to.

Z wolna ruszył pociętą polami doliną w kierunku południowo-wschodnim, mając wciąż po lewej stronie łańcuch gór Sierra Morena. Późna jesień była przyjemnie łagodna. Kilka razy zatrzymywał się po drodze to w tym, to w innym gospodarstwie, gdzie za strawę i nocleg pracował przy zbiorze późnej cebuli i oliwek lub najmował się do wyciskania winnego moszczu z ostatnich w tym roku owoców.

Kiedy zaczęła się zima, skierował się na południowy zachód, ku ciepłu, tam gdzie Andaluzyja sięga brzegiem południowej Portugalii. Napotykał tu jedną po drugiej malutkie ubogie wioski, wszystkie skupione wokół wielkich posiadłości ziemskich, gdyż im to właśnie mieszkańcy wiosek zawdzięczali całą swoją skromną egzystencję. Większość tych majątków zakończyła już doroczne

zbiory, udało mu się jednak znaleźć inną pracę w ogromnym latyfundium pewnego szlachcica, don Manuela Zúnigi.

– Karczujemy teraz kawał lasu, aby z wiosną obsiać tę ziemię. Do tej roboty możemy cię przyjąć – powiedział Jonaszowi rządca. Nazywał się Lampara. Jonasz przekonał się wkrótce, że ludzie po cichu mówią na niego *lamparón* – tłusta plama.

Praca była tu cięższa od wszystkiego, co dotąd robił – wykopywanie wielkich kamieni, rozłupywanie potężnych głazów, których żadnym sposobem nie dało się ruszyć z miejsca, ścinanie drzew, a potem mocowanie się z ich korzeniami, karczowanie i palenie krzewów – ale Jonasz miał już zaprawę. Nie bał się żadnej roboty, a w majątku Zúnigi było jej tyle, że spokojnie mógł tu przezimować. Z początku pewną obawą napawał go widok oddziału żołnierzy obozujących na pobliskim polu, gdy jednak przekonał się po paru dniach, że zajęci są swoim rzemiosłem – maszerowaniem i musztrą – na niego zaś nie zwracają najmniejszej uwagi, postanowił zostać. Klimat był tu tak łagodny, że trudno by marzyć o lepszym, a jedzenie tak obfite, że choćby już z tego powodu warto było tutaj przeczekać zimę.

Nadal trzymał się z dala od ludzi. Wszystko, co widział i przeżył, odgradzało go od nich nieprzebytym murem. Z tą różnicą, że tutaj najsilniejsi nawet mężczyźni czuli przed nim wyraźny respekt. Mimo młodego wieku miał w twarzy coś takiego, że strach go było zaczepiać.

Aby przegnać okropne wspomnienia pojawiające się wciąż jak mara na widok płonących krzewów i ściółki, harował z głuchym zapamiętaniem do utraty sił. Po takim dniu walił się wieczorem na ziemię u boku wiernego Mojżesza i z ręką na swojej motyce natychmiast zasypiał jak kamień. Śnił o kobietach, o ich ciałach, o tym, że posiadał niewiastę, lecz gdy budził się rankiem, nie umiał

ocenić, czy śniło mu się to jak trzeba. W tych sprawach wciąż jeszcze nie nabył żadnych praktycznych doświadczeń.

Zdjął z szyi srebrny pierścień i schował go do tobołka, gdzie trzymał cały swój skromny dobytek. W ciągu dnia ów dobytek, mocno przywiązany sznurem, spoczywał na grzbiecie Mojżesza, który zawsze pasł się w takim miejscu, aby Jonasz miał go na oku. Mógł teraz pracować bez koszuli, lubując się łagodnym powiewem wiatru, który jakże rozkosznie chłodził utrudzone ciało.

W dniach gdy do posiadłości zjeżdżał właściciel, nawet najwięksi próżniacy zaczęli pracować równie gorliwie jak Jonasz. Don Manuel Zúniga, niewysoki, starzejący się wielmoża, tak zawsze nadęty, jakby chciał tym wyrównać niedostatek postury, z wielkim namaszczeniem wizytował stodoły, pola i obory, choć w gruncie rzeczy niewiele potrafił tam dostrzec, a rozumiał chyba jeszcze mniej. Zostawał zwykle trzy noce, które spędzał z dwiema dziewczynami z wioski, a trzeciego dnia rankiem wyjeżdżał. Wszyscy oddychali wtedy z ulgą – i rozpuszczali języki. Don Manuel nie cieszył się tu dobrą sławą. Mówiono o nim pogardliwie *el cornudo* – rogacz. Jonasz dowiedział się z czasem, skąd wzięło się to przezwisko.

Majątek prowadzili rządcy i nadzorcy, lecz osobą budzącą największy respekt u zatrudnionych tu ludzi – chłopów z pobliskiej wioski – była dawna metresa don Manuela, Margarita Vega. Jako jeszcze nie całkiem dojrzała kobieta urodziła mu dwoje dzieci, a kiedy po rocznym pobycie we Francji pan Zúniga wrócił do majątku, ku niezmiernej uciechu folwarcznej gawiedzi zastał swoją lubą z trzecim dzieckiem, które spłodził jeden z robotników. Wydał ją wtedy za męża, a w prezencie pożegnalnym ofiarował jej dom. Mąż Margarity z sobie tylko znanych powodów uciekł od niej po niespełna roku. Od tej pory wybierała sobie coraz to nowych mężczyzn, dzięki czemu doczekała się kolejnej trójki dzieci z różnych

ojców. Miała teraz trzydzieści pięć lat: była szerokobiodrą, surowołą kobietą, której nikt się nie chciał narazić.

Mówiono, że don Manuel nie lubi tu przyjeżdżać, bo wciąż jeszcze kocha Margaritę, więc kiedy zastaje ją z nowym kochankiem, przeżywa to zawsze jak zdradę. W życiu Jonasza kobieta owa również miała odegrać niemałą rolę.

Usłyszawszy kiedyś ryk osła, zobaczył, że pewien młodzik imieniem Diego zdjął już tobolek z grzbietu Mojżesza i zaczyna go rozwiązywać. Odrzuciwszy motykę, z takim impetem natarł na intruza, że obaj potoczyli się po ziemi, wzbijając w powietrze tumany kurzu, kamyki i żdźbła suchej trawy. Zaraz jednak poderwali się na nogi i zaczęli z rozmachem okładać pięściami. Jonasz nie miał pojęcia, że jego przeciwnik, choć jeszcze młody, jest budzącym postrach zabijaką. Zaślepiiony gniewem, nie pamiętał o obronie – i ciężka pięść Diega złamała mu nos. Mimo to ani myślał kapitulować. Był o parę lat młodszy od tamtego, lecz niewiele lżejszy i znacznie wyższy, przez co dalej sięgał rękami. Walczył w dodatku z ogromną furią, dając upust całej nagromadzonej w sobie nienawiści. Jakby pękła w nim nagle jakaś tama, wyzwalając wszystkie zapiekłe urazy, cierpienia i zgrozę, których zaznał w czasie swej tułaczki. Przeciwnik odwzajemniał mu się wet za wet. Odgłosy ich zderzających się pięści brzmiały jak głucho uderzenia młotem w twardą ziemię. Obu ogarnęła żądza mordu.

Po chwili zebrał się przy nich tłum widzów, a ich gromkie okrzyki sprowadziły nadzorcę, który klnąc i okładając obu rywali gradem potężnych kułaków, zdołał ich w końcu rozdzielić. Diego miał rozbite usta, a lewe oko zamknięte. Wydawał się bardzo kontent, gdy nadzorca odciągnął go od Jonasza i nakazał wszystkim wracać do roboty. Jonasz zaczekał, aż się rozejdą, po czym związał swój

tobołek i starannie umocował do linki pętającej nogi osiołka. Z nosa obficie płynęła mu krew, więc wytarł ją wierzchem dłoni, kiedy zaś podniósł głowę, zobaczył przed sobą Margaritę. Trzymając dziecko na ręku, przyglądała mu się uważnie i... z wyraźnym zainteresowaniem.

Nos spuchł mu jak bania i zsiniał, rozbite kłykcie bolały go przy każdym ruchu, mimo to nie żałował, że wdał się w bójkę – dzięki niej wpadł w oko tej hożej niewieście. Widać było wyraźnie, że Margarita ma na niego chętkę. Ilekroć na nią spojrzął, podawała dziecku nabrzmiałą brązową pierś, jakby to jej niemowlę było wiecznie głodne. Ludzie też spostrzegli to i owo. Ze śmiechem tręcali się łokciami, widząc, jak często teraz Margarita znajduje sobie powody, żeby pójść akurat w to miejsce, gdzie pracuje ów rostry milczący robotnik. Odnosiła się do niego bardzo życzliwie, a jej uśmiech wiele obiecywał...

Zaczęła wynajdywać mu drobne zajęcia we własnym obejściu, kiedy zaś kończył pracę, częstowała go chlebem i winem. Ani się spostrzegł, jak znalazł się z nią w łóżku, z niedowierzaniem dotykając nagiego kobiecego ciała, smakując mleko tak często spijane przez śpiącego obok oseska. Ciało miała ciężkie, lecz nadal całkiem apetyczne – muskularne nogi, głęboki pępek, brzuch z lekką tylko wypukłością mimo tyłu dzieci. A jej mięsista płeć była jak dzikie zwierzątko ze zjeżoną brązową sierścią. Chętnie udzieliła mu wszelkich instrukcji, za co był jej niewymownie wdzięczny – w jego snach wszystko będzie odtąd jak trzeba! Za pierwszym razem spłonął zbyt szybko, był jednak młody i silny, a ona umiała sprawić, by zaraz wrócił mu wigor. Przystąpił teraz do dzieła z taką samą furią, z jaką walczył z tamtym zabijaką, aż oboje legli bez siły i bez tchu.

Leżąc na wznak w półśnie, poczuł na sobie jej palce. Dotykała go w taki sposób, jakby zastanawiała się nad kupnem młodego byczka.

– Jesteś przechrztą, co?

Natychmiast odbiegła go senność.

– Tak...

– Kiedy się nawróciłeś na prawdziwą wiarę?

– Ach... Kilka lat temu. – Znów zamknął oczy w nadziei, że wystarczy jej ta odpowiedź.

– A gdzie to było?

– W Kastylji. W mieście Cuenca.

– Cuenca? – wybuchnęła śmiechem. – Tam się urodziłam! Tam też przez osiem lat mieszkałam z don Manuelem! Wielu moich nadal tam żyje. Brat i dwie siostry, i nasza stara babcia. Ha, stara, ale jara! Przeżyła moich rodziców. Powiedz, w którym to kościele cię chrzcili? U Świętego Benita czy Świętego Marka?

– Chyba... u Świętego Benita.

– Chyba? – spojrzała na niego bacznie. – Nie wiesz, czyje imię nosił kościół?

– Tak tylko mi się powiedziało. To był kościół Świętego Benita. Bardzo ładna świątynia.

– Prawda, że piękna! A który to był ksiądz?

– Ten stary.

– Obaj są starzy! – przestała się uśmiechać. – To jak: padre Garcillaso czy Ramón?

– Padre Ramón.

Skinęła głową, lecz zaraz podniosła się z łóżka.

– Wiesz co? Nie wracaj do roboty. Leż tu sobie i dobrze się wyśpij. Wrócę, gdy skończę obrządki, a ty masz być silny jak lew. Jeszcze się zabawimy, co?

– Dobrze – odrzekł potulnie, ale coś go tknęło.



Gdy po chwili wyjrzał przez okienko, zobaczył Margaritę wybiegającą z domu. Była pora sjesty, gorąco, a ona dźwigała dziecko i to jej odzienie... Musiała je nakładać w ogromnym pośpiechu, bo spódnicę zadartą miała z jednej strony aż po rozłożyste biodro. Był teraz prawie pewien, że w Cuence nigdy nie było żadnego ojca Ramóna. Może nawet nie ma tam kościoła pod wezwaniem Świętego Benita.

Odział się czym prędzej i pognął po Mojżesza, którego zostawił w ocienionym miejscu nieopodal domu Margarity. Wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Większość miejscowych na szczęście odbywała sjestę, a dwaj napotkani mężczyźni nie zwrócili na niego uwagi. Wkrótce obaj z osiołkiem wspinali się po górskiej ścieżce.

Z tej wysokości posiadłość była dobrze widoczna. Jonasz dostrzegł w dole pięć małych figurek – Margaritę, a za nią czterech żołnierzy. Łatwo ich było rozpoznać, bo obnażone miecze i krótkie stalowe kolczugi raz po raz błyskały w słońcu. Wszyscy szybko zmierzali w stronę domu, z którego właśnie się wymknął. Tu jednak był całkiem bezpieczny, tak bezpieczny, że myśląc o Margarity, nie czuł do niej żalu, lecz tylko bezmierną wdzięczność. Dziękuję ci, westchnął.

Pragnął zaznać więcej takich przyjemności. Wiedząc, że obrzezanie zawsze będzie go zdradzać, postanowił być teraz sprytniejszy. W przyszłości będzie mówił kobietom, że ochrzczono go w wielkiej katedrze, najlepiej w Barcelonie. Tytu tam musi być księży, że kto by ich wszystkich spamiętał!

Nos ciągle go bolał, ale co tam! Wcale się tym nie przejmował. Głowę miał zaprzątniętą przypominaniem sobie różnych części ciała Margarity, dźwięków, zapachów, wszystkiego! Nie do wiary, że zaznał kobiety!

Gorąco podziękował Temu, Którego Imię jest zbyt święte, aby je wymawiać, za to, że pozwolił mu pozostać wolnym, że dał mu zdrowe ciało i umysł, że stworzył kobietę, ofiarowując ją mężczyźnie za towarzyszkę, i tak to cudownie uczynił, że pasują do siebie jak klucz do zamka. I że jego, Jonasza, tak długo utrzymał przy życiu, by sam mógł się o tym przekonać.

A stało się to... – szybko przeliczył daty – ...w dwunastym dniu miesiąca szwat. Tak mówię, powiedział sobie w duchu, bo nie nazywam się Tomás Martín, tylko Jonasz Toledano. Jestem drugim synem złotnika Chilkiasza z plemienia Lewiego. Pozostałe miesiące to adar, nisan, ijar, siwan, tamuz, aw, elul, tiszri, marheshwan, kislew i tewet... Powtórzył te nazwy jeszcze kilka razy, przeplatając je na zmianę wersetami z Pisma i strzępami znanych kiedyś modlitw. Mojżesz tymczasem wytrwale szedł w górę – coraz dalej w głąb Sierra Morena.

Cz ę ś ć c z w a r t a

## *Pasterz*

*Sierra Morena*

*11 listopada 1495 roku*

### **Rozdział 17** ***Odgłosy stada***

Wędrował znów z wolna na północ – wzdłuż granicy z Portugalią. Krajobraz z dnia na dzień tracił barwy lata: z pól znikła zieleń, ustępując rozmaitym odcieniom brązu – trop w trop szła za nim jesień. Jonasz od czasu do czasu miał się różnych zajęć w mijanych po drodze majątkach, ale były to tylko krótkie przystanki w podróży. Na dłużej zatrzymał się dopiero w Salamance, gdzie akurat najmowano ludzi do prac przy remoncie katedry.

Przedstawił się nadzorcy jako Ramón Callicó.

– Co umiesz? – spytał tamten, spodziewając się pewnie, że trafił mu się murarz albo cieśla.

– Umiem pracować – odrzekł Jonasz.

Przyjęto go bez dalszych pytań.

W pobliskiej oborze, gdzie trzymano woły i ciężkie konie pociągowe zdolne do wleczenia olbrzymich kamiennych bloków, umieścił Mojżesza, a wieczorem wracał tam na nocleg. Zasypiał

u boku swego towarzysza wśród szmeru zwierzęcych oddechów, cichych parsknięć i szelestu ściółki. Przywykł do nich jak do kołysanki.

Za dnia stawał się członkiem małej roboczej armii, złożonej z murarzy, kamieniarzy, woźniców i takich jak on ludzi do wszystkiego. Stało przed nimi nie lada zadanie! Zmurszałe kamienne bloki w ścianach prastarej katedry trzeba było zastąpić nowymi, miejscami zaś grubość tych bloków sięgała dziesięciu stóp! Ludzie zmuszeni byli wyciskać z siebie siódme poty, taka to była praca, a towarzyszył jej w dodatku przeraźliwy hałas: protesty zmordowanych zwierząt, wrzaskliwe przekleństwa woźniców i nadzorców, łoskot żelaznych i drewnianych młotów, nad wszystkim tym zaś bez przerwy niósł się przesywający uszy zgrzyt wielkich kamieni wleczonych po opornym gruncie. Te mniejsze dźwigali ludzie. Zastępowali też konie i woły na ostatnich odcinkach. Ustawieni rzędem ciągnęli kamień na linach lub stojąc ramię przy ramieniu, popychali przed sobą nienawistny ciężar.

Jonasz nie narzekał na to zajęcie; był nawet kontent, że pracuje przy remoncie domu modlitw, mimo że nie była to jego świątynia. Zresztą nie on jeden był tu innowiercą. Do prac w kamieniu i drewnie wszędzie najmowano Maurów, którzy w obu tych kunsztach osiągnęli zgoła niedościgłą biegłość. Jonasz nie widział w tym żadnej sprzeczności; pamiętał, co rabi Ortega powiedział ojcu, gdy ten nie był pewien, czy jemu, żydowi, przystoi modelować naczynie dla chrześcijańskiej relikwii: „Pomagać ludziom w modlitwie to micwa”. Przypomniawszy też sobie, kto wykonał piękne ornamenty na obu żydowskich świątyniach w Toledo: zarówno owe kunsztowne ozdoby, jak i wszystkie delikatne prace były wszak dziełem arabskich mistrzów.

Prawda, tyle że to, co robił Jonasz, nie było tworzeniem piękna, lecz morderczym wysiłkiem, który pożerał wszystkie siły, uprawiając człowieka w głuche otępienie. Jonasz podobnie jak inni pracował bez uśmiechu i prawie bez słowa, uważał jednak, że to nawet lepiej: mniej wścibstwa, to i mniej gadania. Łatwiej zachować sekret. Czasami łączono go w parę z łysym peonem, podobnym z budowy do tych ciężkich kamiennych bloków, które wspólnie musieli dźwigać. Nigdy nie poznał jego nazwiska, słyszał tylko, że nadzorca mówi do niego „Leon”.

Pewnego ranka w ósmym tygodniu tej pracy mordowali się obaj z jakąś piekielną płytą, usiłując wstawić ją na miejsce, gdy z katedry wyszła procesja zakapturzonych mnichów w sandałach i czarnych sutannach. Musiała przed chwilą skończyć się tam jutrznia. Wspólnik Jonasza nagle opuścił ręce i z wyraźnym zdumieniem jął wpatrywać się w wysoką postać starszego już zakonnika kroczącego na czele procesji.

– A niech mnie! Wszak to sam Tomás Torquemada, główny inkwizytor! – rzucił zdławionym szeptem. – Znam go dobrze z widzenia, bo pochodzę z Santa Cruz, gdzie on jest przeorem!

Więc tak wygląda wielki inkwizytor, pomyślał Jonasz. Torquemada miał długi prosty nos, spiczasty podbródek, a jego opuszczone oczy zdawały się patrzeć do wewnątrz. Kiedy minął ich szybkim krokiem, teraz z kolei Jonasz doznał nagłego wstrząsu, bo oto w samym środku długiej kolumny duchownych zobaczył innego, równie wysokiego mnicha. Ta twarz! Rozpoznałby ją wszędzie! Bonestruca zajęty rozmową ze swym towarzyszem prawie otarł się o robotników. Był tak blisko, że Jonasz dostrzegł małe zadrapanie na jego szyi i ranek na górnej wardze. W pewnej chwili, o zgrozo! szare oczy mnicha prześliznęły się po jego twarzy...

Na szczęście nie zapalił się w nich błysk rozpoznania ani ciekawości. Mimo to Jonasz długą chwilę stał jak skamieniały.

– Jakaż to potrzeba sprowadza ojca Torquemadę do Salamanki? – zapytał wreszcie Leona, lecz ten w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

Jonasz dowiedział się tego w parę godzin później z rozmowy nadzorca z którymś z robotników: do Salamanki zjechali inkwizytorzy z całego królestwa, aby odbyć tu jakąś naradę. Zaczął się zastanawiać, czy Pan Bóg po to go ocalił i przywiódł do tego miasta, by mógł tu dokonać zemsty? Sprawiedliwej zemsty na mordercy ojca i brata.

Nazajutrz z wielką uwagą obserwował inkwizytorów wychodzących z katedry po jutrzni. Gdzie zaatakować Bonestrucę? Uznał, że najłatwiej mu będzie dopaść go zaraz po wyjściu, niedaleko swego miejsca pracy. Wiedział, że trzeba to zrobić szybko – czasu wystarczy mu tylko na zadanie jednego ciosu, bo natychmiast zostanie obezwładniony. Jedno niezawodne uderzenie... Pomyślał o swojej motyce. Jeśli dobrze wymierzy i ugodzi jej ostrzem w gardło, powinno się udać...

Tej nocy długo przewracał się z boku na bok. W dziecięcych marzeniach często bywał wojownikiem, a w ostatnich latach wciąż sobie powtarzał, że pomsta za ojca i brata przyniesie mu radość i ulgę, lecz teraz gdy nadarzała się taka okazja, zaczęła go dręczyć niepewność: czy naprawdę potrafi zabić? Błagał Boga, by użyzył mu sił i odwagi.

Rankiem jak zwykle udał się do pracy.

Kiedy we wrotach katedry pojawił się pierwszy zakonnik, chwycił motykę i stanął w upatrzonym miejscu. Prawie natychmiast zaczął niepowstrzymanie drzeć na całym ciele.

Za pierwszym mnichem wyszło jeszcze pięciu – i koniec. Bonestruki nie było.

– Cóż to? Chory jesteś? – zapytał Jonasza nadzorca widząc, że stoi beczynnie, a twarz ma bladą jak płótno.

– Nie, señor, nic mi nie jest.

– Masz dziś pomagać w mieszaniu zaprawy? – nadzorca spojrział na motykę.

– Tak, señor.

– No to migiem bierz się do roboty!

Na wieść, że spotkanie strażników prawdziwej wiary zakończyło się już wczoraj po południu, Jonasz pomyślał gorzko, że jest zbyt głupi, zbyt nieudolny, by stać się karzącym ramieniem Boga! Za długo zwlekał i Bonestruca mu umknął. Będzie nadal zabijać niewinnych ludzi, bo on, Jonasz Toledano, nie sprostął swemu zadaniu...

Prace przy remoncie katedry trwały do późnej wiosny. Leon w połowie marca zerwał sobie w plecach jakiś mięsień i padł jak rażony piorunem, krzyząc i wijąc się z bólu. Dźwignięto go na wóz i gdzieś wywieziono – Jonasz więcej już go nie widział. Stawał teraz do pary z innymi, kiedy zaszła taka potrzeba, ale nic go z nimi nie łączyło. Ciągły strach kazał mu odwracać się do ludzi plecami, więc i oni odpłacali mu tym samym. Nie znalazł tu żadnych przyjaciół.

Nie wykonano jeszcze wszystkich napraw, kiedy roboty ustały z powodu gwałtownego sporu wokół dalszych losów katedry. Liczyła już sobie 355 lat i wielu mieszkańców Salamanki uważało, że nie jest ani zbyt duża, ani zbyt okazała. W kaplicy Świętego Marcina były wprawdzie freski sprzed ponad dwóch wieków, ale całej budowli brakowało przepychu – złocień, ornamentacji, tego wszystkiego, czym zadziwiały inne hiszpańskie katedry.

Co ambitniejsi wielmoże zaczęli zbierać już fundusze na budowę nowej, toteż remont starej wstrzymano.

Utraciwszy zajęcie, Jonasz pociągnął znów na południe. Tak się złożyło, że siódmego maja, w dniu swych osiemnastych urodzin, akurat znalazł się w Corii, mieście graniczącym z Portugalią, mógł więc urządzić sobie święto. Siedział właśnie w gospodzie nad misą koźliny z soczewicą, gdy przypadkiem usłyszał rozmowę, która całkiem odebrała mu apetyt. Trzech mężczyzn przy sąsiednim stole rozprawiało o losie żydowskich uchodźców w Portugalii.

– Za półroczny pobyt w swym królestwie jego wysokość król Jan zażądał od nich czwartej części całego dobytku i do tego dukata od głowy – mówił jeden z trójki nieznajomych. – Razem kosztowało ich to straszną sumę: sto dwadzieścia tysięcy dukatów! W lutym minęło pół roku i wiecie, co uczynił ten król bez sumienia? Ogłosił wszystkich Żydów niewolnikami Korony!

– Aj, cóż za podłość! Niechaj Bóg przeklnie jego i jego potomków!

Jonasz odgadł, że to konwertyci. Chrześcijan na pewno tak by nie obszedł los żydów. Chętnie słuchałby dalej, niestety, któryś z nieznajomych musiał spostrzec, że nadstawia ucha, bo szepnął coś pozostałym, po czym wszyscy wstali i wyszli. Po tym, co usłyszał, z tym większym uznaniem pomyślał o ojcu i stryju Aronie. Oni od początku uważali, że bezpieczniej jest jechać na wschód aniżeli do Portugalii. Nie pierwszy to raz ich słowa okazały się szczerą prawdą... Długo jeszcze tak dumał nad ostygłą koźliną.

Jadąc dalej tego popołudnia, usłyszał beczenie owiec i wkrótce natrafił na wielkie ich stado. Musiało się tutaj coś stać, bo puszczone samopas zwierzęta zdążyły się już rozejść we wszystkie możliwe strony. Po dalszych kilku krokach odkrył powód tego zamieszania: na ziemi leżał bezsilnie wychudły siwowłósy pasterz.



– Umieram – wyszeptał na widok Jonasza.

Jego twarz na tle murawy zdawała się równie biała jak włosy, z ust wydobywał mu się bolesny urywany świst. Jonasz ostrożnie ułożył chorego na plecach i przyniósł mu wody. Chciał wymościć też jakieś posłanie, aby chociaż w ten sposób ulżyć umierającemu, ten jednak w swojej ostatniej godzinie martwił się tylko o owce.

– Mogę je zawrócić – zaofiarował się Jonasz, dosiadając osła. Uznał, że to nic trudnego, wiele razy przecież zajmował się stadem stryja Arona. Nie było ono wprawdzie tak liczne i połowę stanowiły kozy, lecz były tam też owce, więc poznał ich obyczaje. Te nie rozbiegły się zbyt daleko; po kilku chwilach przygnał je z powrotem, zbite w ciasną grupę.

Starzec wydyszał, że nazywa się Geronimo Pico.

– W czym jeszcze mogę wam pomóc? – Widać było, że chory bardzo cierpi. Kurczowo trzymał się za pierś.

– Owce... trzeba zwrócić właścicielowi... To don Emilio de Valladolid... ma posiadłość koło Plasencii...

– Wy też musicie tam wrócić – zdecydował Jonasz. Dźwignął starca i posadził go na osła, sam zaś wziął do ręki jego kij.

Posuwali się naprzód dość powoli, bo raz po raz musiał mocno nauganiać się za owcami, żeby utrzymać je w kupie. Późnym popołudniem pasterz nagle spadł z osła. Coś – może to, że runął jak worek, a może bezwład rozkrzyżowanego ciała – od razu powiedziało Jonaszowi, że starzec nie żyje. Mimo to jeszcze chwilę nawoływał go po imieniu, klepał po twarzy i rozcierał ręce, nim uznał, że to już koniec.

– Aj! A niech to!

Szepecząc kadisz nad zmarłym, choć była to przecież czysta niedorzeczność, przerzucił jego ciało przez grzbiet Mojżesza i ruszył

dalej, pędząc przed sobą stado. Do Plasencii było już blisko. Wkrótce napotkał w polu dwoje ludzi, kobietę i mężczyznę.

– Czy to posiadłość don Emilia de Valladolid?

– Ano tak – odrzekł mężczyzna. Przyjrzał się zwłokom i szybko przeżegnał. – To Geronimo, nasz pasterz!

– Wiem.

– Do majątku łatwo trafić. Tu zaraz będzie wielkie drzewo rozłupane przez piorun, potem strumień, a jak przejdiesz przez wodę, to na prawo zobaczysz budynki.

Dom był duży i dobrze utrzymany, w całym obejściu panował wzorowy ład. Kiedy tylko owce znalazły się na dziedzińcu, z zabudowań wybiegło trzech ludzi, którzy ujrzawszy zwłoki, bez pytania zrozumieli, co się stało. Mamrocząc coś ze współczuciem, zdjęli ciało z osła i zniknęli z nim w jakichś drzwiach.

Właściciel majątku był zażywnym mężczyzną o mocno czerwonej twarzy i sennych oczach, a jego wytworny strój nosił na sobie niezliczone ślady tłustych potraw. Był akurat w połowie kolacji, kiedy doszło go beczenie owiec. Bardzo niezadowolony z tej przerwy w posiłku stanął w progu i krzyknął na rządcę:

– A cóż to za tumult? I skąd się tu wzięły owce?

– Pasterz nie żyje. Ten oto chłopak przywiózł jego ciało.

– Zabierajcie stąd zaraz te przeklęte stwory!

– Tak jest, don Emilio.

Rządca, szczupły mężczyzna średniego wzrostu o ciemnych siwiejących włosach i brązowych oczach, w których widać było rozwagę i spokój, przywołał swych synów i razem pomogli Jonaszowi zapędzić owce na pastwisko. Jonasz od razu polubił tych chłopców. Cały czas przekomarzali się z sobą ze śmiechem, docinając jeden drugiemu ot tak, dla zabawy. Adolfo, krzepki i wyrośnięty, wyglądał na szesnaście lat, Gaspar był o kilka lat młodszy... Jak

Eleazar... Ojciec kazał im przynieść dwie miski pszennej polewki i obaj z Jonaszem zjedli ją w milczeniu, siedząc w trawie tuż obok pasących się owiec. Rządca, wyskrobawszy miskę, beknął donośnie i zmierzył przybysza uważnym spojrzeniem.

– Nazywam się Fernando Ruiz, a ty, chłopcze?

– Ramón Callicó.

– Wygląda mi na to, Ramónie Callicó, że umiesz się troszczyć o owce – w głosie rządcy zabrzmiała nuta uznania. Wiedział, co by się stało, gdyby ktoś inny znalazł umierającego Geronima. Prawie każdy zostawiłby ciało, a stado by uprowadził, i to tak szybko, że ażby się za nim kurzyło. Takie stado to przecież fortuna. Ten chłopak postąpił inaczej, co mogło oznaczać tylko jedno z dwojga: jest albo szalony, albo uczciwy. Wypadło mu, że uczciwy, bo w oczach młodego człowieka nie dostrzegł oznak obłądu. – Potrzebny nam pasterz – oznajmił. – Mój Adolfo ma na to chętkę, tylko że jeszcze jest trochę za młody. Za rok już się nada. Mógłbyś tymczasem ty doglądać owiec. Chciałbyś?

Stado spokojnie szczypało trawę, dookoła panowała przedwieczorna cisza. Od czasu do czasu przerywało ją tylko łagodnie pobekiwanie zwierząt. Po zgiełku Salamanki ten spokój i cisza wydawały się takie kojące...

– Pewnie, czemu nie?

– Ale musisz je stąd zabrać. Daleko.

– A co? Don Emilio nie lubi owiec?

Fernando rozejrzył się po pastwisku i choć w pobliżu nie było nikogo, zniżył głos do szeptu:

– Spytaj lepiej, co on lubi – powiedział drwiąco. – Mnie się widzi, że chyba nic. Ani człeka, ani stworzenia. Taki już jest.

Zgadając się wypasać owce don Emilia, Jonasz nie miał pojęcia, że spędzi w ich towarzystwie taki kawał czasu – trzy lata bez dwóch

miesiący. Nie planował tego, ale tak jakoś wyszło... Po kilku tygodniach tak już przyzwyczaił się do zwierząt, że potrafił rozpoznać każdą sztukę w stadzie; wiedział, która jest łagodna i uległa, a która uparta jak muł, która cieszy się dobrym zdrowiem, a której coś dolega. Wiedział o nich wszystko. Były to duże i raczej głupie zwierzęta, całe tak porośnięte długą białą wełną, że widać im było tylko ślepia i czarne czubeczki nosów. Nic nadzwyczajnego, on uważał jednak, że są piękne. W ładną pogodę specjalnie przepędzał je przez górski strumień, żeby spłukać z nich warstwę brudu. Im tłustsza była wełna, tym łatwiej łapała kurz, a on bardzo nie lubił, gdy na pięknym bielutkim runie tworzyły się żółte placki.

Fernando dał mu na drogę trochę prowiantu i sztylet – dość kiepski, bo z lichej stali, zawsze jednak była to broń. Mógł wypasać stado, gdzie zechce, byle dwa razy w roku wracał do posiadłości. Wiosną odbywały się tam postrzyżyny, jesienią zaś kastrowano młode barany, wybierając zarazem niektóre sztuki na ubój.

Na miejsce pierwszego wypasu Jonasz wybrał podnóże Sierra de Gredos. Nie musiał się spieszyć, pozwolił zatem zwierzętom wędrować ich własnym tempem. Kiedyś u stryja Arona miał dobrego pomocnika w postaci dużego moregowatego kundla, a teraz tę rolę zaczął dobrowolnie pełnić Mojżesz – i to z jakim powodzeniem! Aby utrzymać stado w posłuchu, Jonasz początkowo godzinami nie zsiadał mu z grzbietu, a po paru zaledwie tygodniach mądry osioł działał już sam. Nawet prawdziwy owczarek lepiej by nie ścigał maruderów.

Za każdym powrotem Jonasza do majątku młody Adolfo uczył go czegoś nowego. Wkrótce potrafił już niezłe strzyc owce, jakkolwiek nigdy nie udało mu się w tym dorównać Fernandowi i jego synom, kastrować barany, a nawet zarzynać wybrane sztuki, tylko z oprawianiem ciągle szło mu kiepsko.

- Nie martw się - pocieszał go Adolfo - z czasem nabierzesz wprawę.

Miał zwyczaj przynosić dzban wina i razem szli na pastwisko, gdzie całymi godzinami rozprawiali o życiu pasterzy, dochodząc zgodnie do wniosku, że najbardziej dokuczliwe są dla nich trzy rzeczy: brak kobiet, samotność i wilki. Z wilkami, twierdził Adolfo, najłatwiej sobie poradzić; najgroźniejsze są nocą, więc żeby je odstraszyć, dobrze jest głośno śpiewać.

Zdaniem samego Jonasza pasterstwo było bezsprzecznie najlepszym z możliwych zajęć dla takiego jak on uciekiniera. W górach rzadko trafiały się wioski, więc łatwo ich było unikać. Nikt też się nie dziwił, że nie zbliża się do ludzkich siedzib. Po cóż by miał to robić? W odludnych partiach tych gór dość było trawiastych polan, by stado miało co jeść. Nawet gdy przypadkiem pojawił się tu jakiś człowiek, to na widok ponurego samotnika nie zdradzał ochoty do rozmów... Wolał raczej przyspieszyć kroku.

Omijali go nawet okoliczni złoczyńcy - i nic dziwnego, zważywszy na jego wygląd. Był obdarty jak nędzarz, a przy tym wysoki i krzepki. Kasztanowate włosy opadały mu aż na plecy, broda zasłaniała pół twarzy, oczy patrzyły wilkiem. W lecie chodził prawie nago, bo używane łąchy, które musiał kupić, kiedy wyrósł ze swoich przyzwoitszych ubrań, były teraz już tak znoszone, że miejscami świeciły dziurami. Żył, jak się dało. Wiele zawdzięczał swym owcom. Kiedy którąś spotykał śmiertelny wypadek, byle jak odzierał ją ze skóry i zaczynał uctować. Jadł mięso, dopóki nie zaczęło cuchnąć, co w lecie, niestety, działo się już zaledwie po paru godzinach. W porze ostrych zimowych wiatrów chroniły go owcze skóry, którymi obwiązywał sobie nogi, ramiona i tułów. Dobrze mu było w tych górach. Nocami, siedząc na grani, wpatrywał się

w wielkie, jasno świecące gwiazdy. Wydawało się, że są tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki.

Kij odziedziczony po Geronimie był nie najlepszy, wystrugał więc sobie nowy z gałęzi orzecha. U jednego końca miała takie akurat wygięcie, jakie powinien mieć dobry pasterski kij. Starannie oczyścił ją z kory i na całej długości wyrzeźbił piękne ornamenty, wzorowane na tych, które arabscy mistrzowie wyryli na ścianach synagog w Toledo. A potem przez długie godziny nabierał na rękę tłuszczu z owczego runa i cierpliwie wcierał go w drewno, aż całe pokryło się ciemną patyną.

Były dni, gdy czuł się jak dzikie zwierzę, ale nawet wtedy nie tracił kontaktu z tą drugą, łagodniejszą częstką swej natury. Modlił się regularnie rano i wieczorem, codziennie też przeliczał sobie daty z chrześcijańskich na hebrajskie, by jak trzeba uszanować święta. Czasami w wigilię szabat udukało mu się nawet wykąpać. W lecie nie było to trudne – ktokolwiek zobaczyłby go wtedy w rzece, złożyłby to oczywiście na karb upału, a nie religii. Później... cóż, różnie to było. W chłodne dni jesieni, choć szczękał zębami z zimna, zmuszał się jeszcze do przetarcia ciała mokrą szmatą, ale w zimie... w zimie pozwalał sobie cuchnąć. A niech tam, nie jest wszak niewiastą, której nie wolno zbliżyć się do męża, dopóki nie pójdzie do mykwy.

Kobiety... Cierpiał z powodu ich braku tak cieleśnie, jak i duchowo. Trudno tu było o niewiastę, zwłaszcza taką, której by mógł zaufać. W jednej z okolicznych tawern znalazł ladacnicę, która dwukrotnie rozłożyła przed nim nogi w swojej brudnej norze na zapleczu. Kosztowało go to dwie monety. Niekiedy też gdy owce pasły się spokojnie, pozwalał sobie ulec lubieżnej pokusie i marnotrawił nasienie, popełniając przez to ten sam grzech, za który Pan Bóg pokarał Onana śmiercią.

Czasami wyobrażał sobie, jak by wyglądało jego życie, gdyby nie te nieszczęścia, co wygnały go z domu... Byłby pewnie czeladnikiem w warsztacie ojca, poślubiłby pannę z dobrej rodziny, może nawet miałby już syna... A teraz... Choć tak bardzo się starał pozostać człowiekiem, czuł, że coraz bardziej bierze w nim górę coś niskiego i zwierzęcego. To przez tę straszną samotność. Były chwile, gdy zaczynał myśleć, że jest już nie tylko ostatnim żydem w Hiszpanii, ale i ostatnią ludzką istotą na świecie. Przez tę myśl parę razy popełnił niebezpieczne głupstwo. Za radą Adolfa nocami wyśpiewywał pieśni, żeby odstraszyć wilki, i oto siedząc kiedyś przy ogniu pośród swoich owiec, zaczął na całe gardło wyrzaskiwać żydowskie modlitwy trochę po hebrajsku, trochę w ladino. Wydawało mu się, że razem z iskrami z ogniska ulatują gdzieś w ciemne niebo, a przecież, jak uświadomił sobie dopiero za którymś razem, ktoś zwabiony blaskiem ognia mógłby go usłyszeć! A gdyby to był inkwizytor albo donosiciel? Na szczęście nic się nie stało.

W swych modlitwach do Boga starał się być rozsądny. Nie prosił Wszechmocnego o cud, o to, by strażnik Izraela, archanioł Michał zstąpił na ziemię i poraził ognistym mieczem wszystkich prześladowców ludu wybranego. Prosił tylko o to, aby Pan Zastępów zezwolił jemu, Jonaszowi, synowi złotnika Chilkiasza, wyręczyć wielkiego archanioła. Przyrzekł samemu sobie, Bogu i swoim milczącym zwierzętom, że jeśli jeszcze kiedykolwiek dana mu będzie druga sposobność dokonania zemsty, na pewno już nie zawiedzie. Stanie się karzącym mieczem archanioła, mordercą nad mordercami, bezlitosnym sędzią tych wszystkich, przez których jego życie runęło w gruzy.

Kiedy trzeciej jesieni przypędził owce do posiadłości, zastał rodzinę Fernanda w żałobie. Rządca, choć jeszcze niestary, upadł

nagle, idąc któregoś dnia w pole, i już się nie podniósł. W całym majątku panował okropny zamęt. Don Emilio ani sam nie potrafił nim kierować, ani wyznaczyć nowego rządcy. Był wściekły i wciąż tylko krzyczał.

Śmierć Fernanda Ruiza stała się dla Jonasza jawnym sygnałem, że czas ruszać w drogę. Postanowił raz jeszcze pójść z Adolfem w pole i jak to mieli w zwyczaju, wypić ostatni dzban wina.

– Z serca ci współczuję – powiedział przyjacielowi. Któż lepiej niż on mógł zrozumieć, co znaczy utracić ojca? Prawdziwie też żałował Fernanda Ruiza, bo dobry był z niego człowiek. Powiadomił Adolfa, że musi odejść, chciałby jednak wiedzieć, co będzie z owcami. Kto się nimi zajmie?

– Ja – odrzekł Adolfo.

– Mam pomówić o tym z właścicielem?

– Nie, sam mu powiem. Jemu wszystko jedno, kto to będzie, byleby trzymał stado z dala od jego nosa!

Uściskawszy chłopca, Jonasz ofiarował mu na pamiątkę swój piękny pasterski kij. Pod wieczór był już kawał drogi od Plasencji.

W środku nocy coś go obudziło. Jakiś dźwięk? Po chwili uświadomił sobie, że nie, że obudziła go cisza, bo tak już nawykł do nocnych odgłosów stada, iż teraz mu ich brakuje. Nie ma co oglądać się za siebie, pomyślał. Trzeba żyć dalej.

## **Rozdział 18**

### ***Błazen***

Jechał na południe, by uciec przed zimą. Pragnął choć raz rzucić okiem na to południowe morze po drugiej stronie gór Sierra Nevada, ale już w pobliżu Grenady nocami zaczął doskwierać mu chłód. A co by to było w tych wysokich, ośnieżonych górach!



Nie. Nie uśmiechało mu się pokonywać ich zimą. Postanowił wjechać do miasta i za parę oszczędzonych monet zaznać odrobinę wygod. Mojżeszowi należało się to również.

Pod murami Grenady przeraził go widok zatkniętych nad bramą gnijących ludzkich głów, wystawionych tu pewnie na postrach złoczyńcom. Tutejsi przestępcy widać jednak nie byli strachliwi, gdyż już w drodze do oberży Jonasz natknął się na dwóch zbirów, którzy właśnie zamierzali dokonać rabunku.

Ofiarą był karzeł sięgający bandytom zaledwie do pasa, z ogromną głową, potężnym torsem i niezwykle długimi ramionami. Za to nóżki miał krótkie i cienkie. Nawet nie próbował uciec. Stał i czujnie śledził ruchy napastników zachodzących go z obu stron. Jeden uzbrojony był w nóż, drugi w drewnianą maczugę.

– Dawaj sakiewkę, a ocalisz swój nędzny tyłek! – syknął ten pierwszy, wymachując nożem.

Jonasz bez namysłu pochwycił motykę i zeskoczył z osła, niestety, nic więcej nie zdołał zrobić. Ani się spostrzegł, jak leżał na ziemi, powalony potężnym uderzeniem w głowę. Ogłuszony bólem, półprzytomnie zerknął w górę i zobaczył nad sobą ogromną maczugę gotową do zadania śmiertelnego ciosu.

Coś mignęło mu przed oczami – karzeł! Mały człowieczek ledwo dostzegalnym ruchem wyszarpnął spośród fałd tuniki groźne stalowe ostrze, które w jego długim i niewiarygodnie wprost gibkim ręku zaczęło błyskać niczym język jadowitej żmii. W tym samym rytmie poruszały się jego malutkie nóżki, wykonując zręczne skoki w przód, w bok i do tyłu, a wszystkie tak szybko, że trudno było nadażyć wzrokiem. Już po chwili roztańczone ostrze minęło niezdarną obronę rabusia i z rozmachem cięło go w ramię.

Złodziej wrzasnął z bólu i upuścił nóż, po czym złoczyńcy pierzchli w popłochu. Malutki zwycięzca na pożegnanie rzucił jeszcze za nimi kamieniem, który z głuchym stuknięciem trafił jednego w kark.

Karzeł tymczasem wytarł zakrwawiony nóż w spodnie i pochylił się nad Jonaszem.

– Jak tam? Dychasz?

– Nic mi nie będzie... – odrzekł Jonasz, choć nawet w jego uszach słowa te brzmiały nieszczerze. Z trudem spróbował usiąść. – Jak napiję się wina... – dodał wstydliwie. – Właśnie miałem iść do oberży.

– Tam nie dostaniesz nic porządnego. Dźwignij swoje dupsko i chodź ze mną – zakomenderował karzeł, wyciągając rękę, by go podnieść. Ramię miał zdumiewająco silne. – Wypada się poznać. Jestem Mingo Babar.

– A ja Ramón Callicó.

Kiedy opuściwszy miasto, zaczęli wspinać się w górę, Jonaszowi raptem przyszło na myśl, że choć ów dziwny człowieczek wygląda na łatwą ofiarę, to sam może być złodziejem albo i mordercą. Postanowił mieć się na baczności. Karzeł jednak nie zdradzał żadnych złych zamiarów. Lazł w górę niczym pająk, raz po raz dotykając rękami ziemi, jakby miał cztery nogi zamiast dwóch.

– To ty, Mingo? – rozległo się ciche wołanie z góry. Na wznoszącej się nad nimi skale ktoś stał... Chyba wartownik.

– Ja! Z przyjacielem!

Po kilku krokach minęli rozjaśniony miękkim światłem lampy otwór w zboczu góry, a po nim kilka następnych. W jaskiniach musieli być ludzie, bo dały się słyszeć okrzyki:

– To Mingo!

– Dobry wieczór, Mingo!

– Witamy!

Mingo skrupulatnie pozdrawiał każdego z osobna. W pewnej chwili zatrzymał osła i dał znak Jonaszowi, że ma iść za nim. Weszli w jakiś tunel wiodący w mroczne trzewia góry. Było tu bardzo ciemno, mimo to Mingo pewnie doprowadził go do legowiska przykrytego miękką matą.

– Śpij dobrze – mruknął.

Cóż za osobliwe miejsce, myślał Jonasz, zamykając oczy.

Prawdziwe zdumienie ogarnęło go dopiero rankiem, gdy rozejrzył się po otoczeniu. Znajdował się w najdziwniejszej w świecie jaskini: jakby herszt rozbójników urządził sobie pałac w niedźwiedziej norze. W przyćmionym blasku lamp wspomaganym smugą szarego światła bijącego od wejścia mieniły się wszystkimi kolorami tęczy wspaniałe kobierce na ścianach i dnie wielkiej groty. Stały tu ciężkie, bogato rzeźbione meble, gdziekolwiek zaś spojrzeł, widział jakiś instrument muzyczny albo lśniące miedziane naczynia.

Długi sen dobrze mu zrobił. Pamiętał, co się stało zeszłego wieczoru, stwierdził jednak z ulgą, że myśli już mu się nie plącają, a ból głowy minął.

Ujrawszy siedzącą w pobliżu przyjemnie pulchną niewiastę, zajęętą polerowaniem miedzianego dzbana, wstał i pozdrowił ją grzecznie. W odpowiedzi błysnęła uśmiechem, odsłaniając dwa rzędy pięknych białych zębów. W przeciwieństwie do Minga była normalnego wzrostu.

Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył Minga wyplatającego rzemienny kantar dla konia. Towarzyszyło mu dwoje dzieci prawie dorównujących mu wzrostem.

– Witaj, młodzieńcze.

– Dzień dobry, Mingo.

Rozejrzawszy się dookoła, Jonasz teraz dopiero zobaczył, że znajdują się bardzo wysoko nad miastem. Widoczna w dole

Grenada przypominała zielony bukiet, w który ktoś powrzucał białe i różowe klocki.

– Ładne miasto.

– O tak – gorliwie przytaknął Mingo. – Wiedz, że Grenada to miasto Maurów. Oni ją zbudowali. Od zewnątrz ich domy zawsze wyglądają skromnie, za to w środku! Założę się, żeś jeszcze nie widział tak wielu pięknych ornamentów.

Na wzgórzu znacznie niższym od tego, na którym stali, widać było mury obronne, a nad nimi zębate różowawe wieże. Ich surowy wdzięk i majestat zapierały dech w piersiach. Jonasz patrzył jak urzeczony.

– Co to takiego?

– Och, to cytadela i pałac słynne w całym świecie – odrzekł z uśmiechem Mingo. – Alhambra.

Jonasz zrozumiał już pierwszego dnia, że znalazł schronienie wśród bardzo szczególnych ludzi, toteż zarzucał Minga pytaniami. Karzeł nie miał mu tego za złe i chętnie odpowiadał na wszystkie – czasami poważnie, czasami żartem. Góra z jaskiniami nazywała się Sacromonte.

– Znaczy to „Święta Góra” – wyjaśnił Mingo – a święta dlatego, że wielu pierwszych chrześcijan poniosło tu męczeńską śmierć.

Spytany, kim są jego ludzie, odrzekł, że to Cyganie, którzy sami siebie zwą Romami, a mieszkają w tych jaskiniach, odkąd przywędrowali do Grenady. On, Mingo, był jeszcze wtedy dzieckiem.

– Skąd przywędrowali?

Mingo zatoczył ręką krąg, co miało oznaczać cały świat.

– Kiedyś, bardzo dawno temu, ich przodkowie opuścili swój daleki kraj na wschodzie, gdzie płynie święta rzeka Ganges. Odtąd Romowie stale wędrują po świecie. Moi ludzie też długo przynosili

się z miejsca na miejsce, odbywając swoje wędrówki raz po Hiszpanii, to znów po kraju Franków. Osiedli dopiero w Grenadzie, kiedy zobaczyli te jaskinie. No i nic dziwnego, zważywszy, jak doskonałe to miejsce do życia.

Jaskinie w rzeczy samej były przewiewne i suche, niektóre nie większe od jednej izby, lecz inne łątwo zmieściłyby ze dwadzieścia, tak daleko sięgały w głąb góry. Nawet komuś tak mało obeznanemu ze sztuką wojenną jak Jonasz nie trzeba było tłumaczyć, że w razie wrogiej napaści można tu długo się bronić, a w ostateczności uciec lub dobrze się ukryć, gdyż jak mówił Mingo, wiele tych skalnych komnat łączy się z sobą za pośrednictwem licznych naturalnych korytarzy.

Pulchna niewiasta imieniem Mana była żoną Minga, który z dumą oznajmił, że dochował się z nią czworga dzieci. Dwoje już dorosło i mieszka z dala od rodziców. Widząc nieme pytanie w oczach Jonasza, dorzucił z uśmiechem:

– Wszystkie moje dzieci są zupełnie n o r m a l n e g o wzrostu.

Przez cały ten dzień Jonasz ciekawie przyglądał się Romom. Ci, których dostrzegł przy koniach na niżej położonej łące, zajmowali się pewnie hodowlą tych zwierząt – na sprzedaż. Niektórzy już rankiem poszli do Grenady, gdzie jak sądził, musieli mieć stałe zajęcia, inni pracowali na miejscu, naprawiając dziurawe garnki i różne narzędzia przyniesione z miasta. Wszystko to piętrzyło się na stołach ustawionych przed jedną z jaskiń. Tu też przystanął na dłużej, z przyjemnością słuchając dźwięku młotków uderzających o metal – tak bardzo przypominało mu to warsztat ojca!

Romowie traktowali go bardzo życzliwie; wystarczyło im słowo Minga, by od razu przyjęli go jak swego. Karzeł musiał się tu cieszyć ogromną estymą. Jonasz zauważył, że ludzie co chwila zwracają się do niego o radę i pomoc w różnych swoich sprawach,

toteż gdy koło południa dowiedział się, że Mingo jest ich wodzem, czy też, jak to oni mówili, „naczelnikiem”, wcale go to nie zdziwiło.

– A oprócz tego, że nimi rządzisz, co jeszcze robisz? Zajmujesz się końmi czy naprawą garnków? – Ten mały człowiek budził w nim coraz większą ciekawość.

– Umiem i jedno, i drugie, bo od małego przyuczano mnie do takich zajęć, ale jeszcze do niedawna pracowałem tam – machnął ręką Mingo.

– W mieście? I co tam robiłeś?

– W Alhambrze. A robiłem tam z siebie głupca.

– Głupca? Nie pojmuję...

– Tak, chłopcze. Byłem błaznem na dworze sułtana.

– Mówisz prawdę?

– Najprawdziwszą. Moim panem był sułtan Boabdil, powszechnie znany jako Muhammad Dwunasty, ostatni emir Grenady.

Jonaszowi nie mieściło się to w głowie. Kiedy się już przywykło do widoku jego postaci, naczelnik Romów wydawał się osobą doprawdy godną tego wielkiego szacunku, jakim darzyli go wszyscy członkowie plemienia. I taki ktoś zarabiał na chleb błazeństwem?

Mingo zauważył tę jego rozterkę.

– Mogę cię zapewnić, że wykonywałem to zajęcie z ogromnym upodobaniem, no i byłem w tym doskonały! Sam pomyśl: moja karłowatość stała się nagle zaletą! A jakie korzyści przynosiła moim ludziom! Przebywając na dworze, mogłem ich w porę uprzedzać o każdym niebezpieczeństwie. Wielu z nich pracowało dzięki mnie w Alhambrze, musiałem więc nad nimi czuwać, aby nie stracili zatrudnienia. Władcy też łatwo można się było narazić...

– Jaki on był, ten Boabdil?

– Okrutny. Powinien się być urodzić w innej epoce, kiedy islam był wielką potęgą. Dzisiaj już ona minęła. Wiedz bowiem, że muzułmanie, których przodkowie prawie osiemset lat temu przybyli tu z Afryki, narzucili islam wszystkim mieszkańcom Iberii. Wkrótce jednak chrześcijańscy Baskowie zaczęli zawzięcie z nimi walczyć, a potem Frankowie wygnali ich z północno-wschodniej Hiszpanii. I to był początek ich końca. Przez następne stulecia chrześcijańskie wojska przywróciły większą część Iberii władzy katolickich królów. Sułtan Grenady, Mulej Hacen, nie chciał jednak płacić im trybutu i w roku 1481 wszczął wojnę przeciw chrześcijanom, podczas której zajął warowne miasto Zahara. Boabdil był jego synem, ale poróżnili się z sobą tak mocno, że wojska Muleja zaczęły ścigać Boabdila, który w poszukiwaniu azylu trafił na dwór hiszpański. Kiedy Mulej odszedł z tego świata, co stało się w roku 1485, jego syn przy pomocy wiernych stronników wstąpił na tron Grenady. A ja parę miesięcy później przybyłem do Alhambry, by mu pomagać w rządzeniu – zakończył swą opowieść Mingo.

– Długo byłeś jego błaznem?

– Prawie sześć lat. Pod koniec, to jest w roku 1491, już tylko Grenada pozostawała w rękach muzułmanów. Ferdynand i Izabela, odebrawszy Maurom Rondę, Marbellę, Loję i Malagę, nie mogli ścierpieć, by na tronie Grenady siedział Boabdil, a Mingo Babar służył mu światłą radą. Oblegli więc miasto, a nam, uwięzionym w jego murach, głód zaczął zaglądać w oczy. Mieszkańcy Grenady, a przynajmniej spora ich część, dzielnie walczyli o pustym brzuchu, jednakże z początkiem zimy stało się jasne, że to już koniec. Dobrze pamiętam ten wieczór. Księżyc doszedł właśnie do pełni, jego blask igrał srebrzyście w sadzawce z rybkami... W stali tronowej pozostaliśmy tylko my dwaj, Boabdil i ja. „Poradź mi, mój mądry

Mingo. Rzeknij, co mam uczynić”, rozkazał mi sułtan. „Musisz, mój panie, odłożyć oręż i zaprosić katolickich monarchów na ucztę – odrzekłem. – A gdy przybędą, powitaj ich uprzejmie na Dziedzińcu Mirtowym i poprowadź oboje do Alhambry”. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się krzywo: „Oto słowa godne błazna! Wszak teraz gdy ma władza dobiega już końca, godność i majestat mej osoby są mi droższe nad wszelkie klejnoty! Nie będę ich witał na dziedzińcu. Zastaną mnie tutaj, siedzącego na tronie jak udzielny władca. W tych ostatnich chwilach mego panowania zachowam się dumnie jak prawdziwy emir”

– Tak też uczynił. Drugiego stycznia 1492 roku ostatni raz zasiadł w tej sali, by podpisać akt kapitulacji. A gdy uciekł do Afryki, kraju swoich berberyjskich przodków, ja również, podobnie jak wielu innych, musiałem opuścić Alhambrę.

– W Grenadzie pewnie wiele się zmieniło, odkąd rządzą tam chrześcijanie?

Mingo wzruszył ramionami:

– W meczetach są teraz kościoły, ale tak to już jest. Wyznawcy każdej religii zawsze uważają, że tylko ich modłom Pan Bóg nadstawia ucha. Dla Boga musi to być rzecz bardzo dziwna!

Wieczерę spożyto wspólnie. Jonasz już wiedział, że taki tu zwyczaj. Przy licznych ogniskach krzątali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety, piekąc soczyste mięsiwa, których wspaniały aromat mile drażnił nozdrza. Ucztowano do syta, a krążące dokoła skórzane bukłaki pełne były zycznego wina pięknie pachnącego pizmowym ziele. Po jedzeniu z jaskiń wyniesiono instrumenty – drumle, gitary, cymbały, wirole i lutnie – i zaczęło się muzykowanie. Jonasz nigdy dotąd nie słyszał takiej muzyki ani nie oglądał takich tańców – swobodnych i pełnych zmysłowego wdzięku. Ogarnęła go radość, że znów jest wśród ludzi, wśród tylu pięknych kobiet.



Podobali mu się ci Romowie, ich śniada skóra, ciemne błyszczące oczy, czarne kędzierzawe włosy. A wesołe, różnobarwne stroje podnosiły jeszcze ich urodę. Podobało mu się w nich i to, że tak umieli się cieszyć, smakować najdrobniejsze nawet przyjemności życia. Pod wpływem tych myśli serdecznie podziękował Mingowi za gościnność i okazaną mu przyjaźń.

– To dobrzy ludzie – powiedział karzeł. – I nie lękają się *gažo*, jak między sobą nazywamy obcych. Ja sam byłem dla nich *gažo*, bom nie urodził się w tym plemieniu. Zauważyłeś pewnie, że się od nich różnię.

Jonasz wiedział, że Mingo nie mówi o swoim wzroście. Włosy na jego ogromnej głowie zaczynały już gdzieś tam siwieć, nie był wszak młodzieniaszkiem, lecz większość zachowała swą pierwotną barwę, znacznie jaśniejszą niż włosy Romów, bo prawie złocistą, oczy zaś miał koloru błękitnego nieba.

– Oddano mnie Ludziom, gdy obozowali nieopodal Reims. Jakiś wytworny mężczyzna zaofiarował im dobrze wypchaną sakiewkę, jeśli wezmą mnie na wychowanie. Rodzice nie chcieli dziwoląga, bo taki się urodziłem: długie ręce, a nóżki tyciutkie. Przyznaj, że miałem dużo szczęścia! – wykrzyknął Mingo. – Takie dzieci dusi się zwykle zaraz po urodzeniu. Romowie mogli też to zrobić, ale oni dotrzymują słowa. Wychowali mnie jak swego, nigdy też nie taili prawdy o moim pochodzeniu, przeciwnie, ciągle powtarzali, że muszę być dzieckiem wysokiego rodu, kto wie nawet, czy w moich żyłach nie płynie krew francuskich królów! Ten, który mnie im oddał, odziany był w jedwabne szaty, miał też przednią zbroję i oręż, a wyrażał się jak wielki pan.

Jonasz słysząc to, pomyślał, że Mingo w istocie ma bardzo szlachetne rysy.

– Nigdy nie żałowałeś tego, co ci los odebrał? Tego, kim mógłbyś być?

– Nigdy. A los wcale nie był dla mnie taki zły. Prawda, że mógłbym być baronem czy nawet księciem, lecz prawdą jest również, że mogłem zostać uduszony, jak tylko opuściłem łono matki. – W jego błękitnych oczach nie było śladu szyderstwa. – A wśród moich Romów wkrótce przestałem być *gazo*. Wchłonałem ich duszę wraz z mlekiem mamki, która była mi matką. Całe plemię to moi krewni. Oddałbym za nich życie tak jak oni za mnie.

Mijały dni, a Jonasz coraz bardziej przywiązywał się do Ludzi; tak dobrze było przecież pławić się w ciepłe czyjejs przyjaźni! Opuściwszy rankiem swą pustą jaskinię, szedł między Romów i aby odwdzińczyć się im za gościnność, pomagał mężczyznom naprawiać garnki. Chilkiasz dobrze go wyuczył podstaw roboty w metalu, mógł więc teraz przekazać przyjaciołom kilka wynalezionych przez ojca bardzo skutecznych technik łączenia metalu mocnymi, równiutkimi spoinami. Romowie byli tym uszczęśliwieni. On sam też sporo się od nich nauczył, obserwując różne ich metody stosowane podobno od wieków, przekazywane zaś synom przez ojców.

Pewnego wieczoru po wesołej zabawie z tańcami po raz pierwszy od ponad trzech lat sam wziął do ręki gitarę. Z początku grał trochę niepewnie, wkrótce jednak jego palce odzyskały sprawność. Grał pijutim – melodie psalmów śpiewanych w synagodze; Jocer – pierwsze błogosławieństwo przed poranną Szma, Sulat – pieśń, którą śpiewa się zaraz po Szma, Kerowę – melodię towarzyszącą trzem pierwszym błogosławieństwom Amidy, zakończył zaś mrocznymi tonami slichy, pieśni skruchy śpiewanej przez wiernych w Dniu Pojednania.

Kiedy Ludzie zaczęli się rozchodzić, Mana czule dotknęła jego ramienia, a gdy podniósł głowę, ujrzał wpatrzone w siebie mądre oczy Minga.

– Grałeś hebrajskie melodie, czy tak? Słysząc w nich było smutek.

– Tak, mój przyjacielu.

Pominąwszy jedynie to, że nigdy nie został ochrzczony, opowiedział Mingowi o swojej rodzinie, o relikwiarzu i tragicznej śmierci ojca i brata.

– Życie jest wspaniałe, lecz bywa też bardzo okrutne – rzekł Mingo.

– O tak! Wiesz, bardzo bym pragnął odzyskać relikwiarz ojca.

– Słabe masz na to widoki, przyjacielu. Z tego, co mówiłeś, rozumiem, że to rzecz jedyna w swoim rodzaju. Prawdziwe dzieło sztuki. Ci, co je ukradli, nie mogli czegoś takiego odsprzedać nikomu w Kastylii, bo tam wszyscy wiedzą o kradzieży. Jeśli więc sprzedali cyborium, to gdzieś daleko. Jest już teraz pewnie za granicą.

– Kto handluje takimi rzeczami?

– Są u nas specjalne szajki zajmujące się kupowaniem głównie kradzionych relikwii, ale też naczyń kościelnych, rzeźb i obrazów, które potem odsprzedają z zyskiem. Jedna z nich działa na północy i o tej nic nie wiem... Tej drugiej, południowej, przewodzi niejaki Anselmo Lavera.

– Gdzie można go znaleźć?

Mingo skrzywił się ponuro i pokręcił głową.

– Nawet nie próbuję zgadnąć. A tobie nie radzę go szukać. To straszny człowiek. – Pochylił się naprzód i powiedział, patrząc Jonaszowi w oczy: – Ty też powinieneś dziękować Bogu, że nie uduszono cię po urodzeniu. Zapomnij o gorzkiej przeszłości. Spraw, by twoja przyszłość stała się słodka.

– Dziękuję za radę, przyjacielu. Życzę ci spokojnej nocy.

Mingo przyjął za pewnik, że Jonasz jest konwertytą.

– Romowie też dawniej nie byli chrześcijanami – zwierzył mu się pewnego dnia. – Wierzyli w duchy światła walczące z duchami ciemności, ale później łatwiej im było modlić się do bogów tych krajów, przez które przebiegał szlak ich wędrówki, więc w Europie stali się chrześcijanami. By jednak rzec całą prawdę, ci z nas, co znaleźli się pod władzą Maurów, w większości przyjęli islam.

Wziąwszy Jonasz pod swoje skrzydła, Mingo okazywał mu wiele troski. Niepokoiło go zwłaszcza to, że nowy przyjaciel nie umie skutecznie się bronić.

– Ta twoja motyka... to tylko złamana motyka. Powinieneś władać prawdziwie męską bronią. Nauczę cię walczyć nożem.

I tak zaczęły się lekcje. Mingo z pogardą odrzucił sztylet darowany Jonaszowi przez Fernanda Ruiza.

– Weź ten – powiedział, wręczając mu nóż z doskonałej arabskiej stali. Pokazał też, jak go trzymać: – Połóż na dłoni i ściśnij, zamiast chwytać w palce. Tym sposobem – wyjaśnił – uderzasz mocniej, przez co ostrze wnika głębiej, a pociągnięte w górę, rozpruwa ciało.

Nauczył go także zasypywać przeciwnika gradem szybkich ciosów, aby tamten nie miał czasu zgadnąć, z której strony padnie następny. Najważniejsze, mówił, to obserwować oczy i ciało rywala, by przewidzieć jego zamiary. Musisz być jak dziki kot! Na cel wystawiaj jak najmniej ciała, a wrogowi nie pozwalaj uciec! Mówił to wszystko z tak wielką powagą, stawiając zarazem uczniowi tak bezlitośnie twarde wymagania, że przypominał rabina nauczającego maluczkich najważniejszych mądrości z Pisma. Pod okiem takiego mistrza Jonasz szybko się uczył i ani się spostrzegł, kiedy zaczął tak myśleć i działać, jakby władał nożem od kolebki.

Ich wzajemna sympatia nadzwyczaj szybko przerodziła się w tak wielką przyjaźń, jakby znali się wiele lat, nie zaś krótkich parę miesięcy.

Pewnego dnia w Sacromonte zjawił się posłaniec z Alhambry z wieścią, iż nowo mianowany chrześcijański zarządca twierdzy, don Ramón Rodriguez, chce się widzieć z Mingingiem.

– A ty, Jonaszu, chciałbyś zobaczyć Alhambrę? – zagadnął go karzeł.

– O, i jak jeszcze!

Już nazajutrz wyruszyli zatem do Alhambry, nie zważając na to, jak cudaczny przedstawiają razem widok: jeden tak wysoki, że siedząc na małym osiołku, dotykał stopami ziemi, drugi tak malutki, że na swoim siwym wspaniałym ogierze podobny był pchle na psim karku.

Mingo przez całą drogę snuł opowieść o dziejach Alhambry.

– Pierwszym władcą, który wybudował tu warowny pałac, był Muhammad Pierwszy, znany też jako Al Ahmar ibn Nasir, miał bowiem rude włosy, a działo się to w trzynastym stuleciu. Sto lat później Jusuf Pierwszy wybudował Dziedziniec Mirtowy. Następni emirowie też ciągle coś dodawali. Muhammad Piąty Dziedziniec Lwów, a Muhammad Siódmy Wieżę Infantek. – Dotarli właśnie do wysokich różowawych murów, gdzie Mingo zatrzymał konia. – Teraz z tych murów wznosi się trzynaście wież. Stoimy zaś pod Bramą Sprawiedliwości. Spójrz tam – wskazał rękę i klucz wyryte na dwóch zbiegających się nad bramą łukach. – Tych pięć palców miało przypominać wiernym, że każdej doby powinni pięciokrotnie modlić się do Allaha: rano, w południe, po południu, wieczorem i nocą.

– Dużo wiesz o wierze muzułmanów – zauważył Jonasz.

Za bramą ktoś rozpoznał i pozdrowił Mingo, poza tym jednak nikt nie zwracał na nich uwagi. W murach fortecy było rojno jak w ulu. By utrzymać piękno i obronność tej starej królewskiej siedziby, zajmującej obszar czternastu hektarów, miało tu co robić kilka tysięcy ludzi. Zostawili zwierzęta w pałacowych stajniach i Mingo poprowadził Jonasza długą promenadą obrośniętą po obu stronach pięknie rozkwitłą wistarią.

Zdjęty podziwem Jonasz nie wiedział, na co wpierw patrzeć. Już widziana z daleka Alhambra wyglądała oszałamiająco, a teraz... teraz odnosił wrażenie, iż śni o jakiejś czarodziejskiej krainie pełnej dziwów i cudów. Zaczynało już kręcić mu się w głowie od tych niezliczonych wież, kopuł i łuków we wszystkich kolorach tęczy, zdobnych w koronkowe sztukaterie, od tych sklepień jak plaster miodu, iskrzących się mozaik i przepięknych delikatnych arabesek. Czerwone, niebieskie i złote tynki w korytarzach i patiach uformowano w tak przemyślny sposób, jakby po ich ścianach i sufitach pięły się żywe kwiaty. Posadzki były marmurowe, a dolna część ścian wyłożona rzędami zielonych i żółtych płytek. W ogrodach i na dziedzińcach kwitły prawdziwe kwiaty, wszędzie tryskały fontanny, na drzewach śpiewały słowiki.

Mingo kilkakrotnie zachęcał go do spojrzenia to przez jedno, to przez inne okno. Z niektórych doskonale widać było Sacromonte i rzymskie jaskinie, inne wychodziły na lesisty wąwóz, którego środkiem bystro płynęła woda.

– Maurowie wiedzą, ile znaczy woda. Pięć mil stąd zagrodzili tamą rzekę Darro i skierowali ją do pałacu za pomocą sprytnie skonstruowanych wodociągów, które zasilają wszystkie sadzawki i fontanny, a nawet, wystaw sobie, doprowadzają wodę do każdej sypialnej komnaty. Na tej oto ścianie napisane jest po arabsku:

„Ten, kto przychodzi do mnie dręczony pragnieniem, znajdzie tu świeżą wodę, słodką i czystą”

Przechodząc przez Salę Ambasadorów, słyszeli donośne echo swych kroków. Tutaj sułtan Boabdil podpisał akt kapitulacji. Ciągle jeszcze stał tu jego tron.

– A to są łaźnie – oznajmił Mingo – *baños arabes*. Tutaj kobiety z haremu, zdjawszy szaty, dokonywały ablucji, a sułtan obserwował je z tego balkonu, aby wybrać sobie na noc towarzyszkę. Marny byłoby nasz los, gdyby nadal rządził tu Boabdil! Za to, żeśmy śmieli wtargnąć do haremu, kazałby nas uśmiercić! Jego ojciec ściął głowy szesnastu członkom pewnego rodu i ułożył z nich piramidę na tej oto fontannie, bo przywódca owego rodu zbałamucił jedną z jego żon!

Czas oczekiwania na Minga, który poszedł spotkać się z zarządcą, Jonasz spędził na ławce wśród fontann, słuchając łagodnego plusku tysięcy spadających kropel. Mingo zresztą wrócił dosyć szybko i natychmiast zaczął opowiadać, czego się dowiedział. A były to ważne nowiny. Do Alhambry przybywa para królewska wraz z dworem!

– Król Ferdynand i królowa Izabela mają się tutaj zatrzymać na dłużej – mówił Mingo. – Podobno ostatnimi czasy narzekali na nudę, więc ten nowy rządca, chcąc im się przypodobać, zasięgnął o mnie języka, a dowiedziawszy się, że jestem gorliwym chrześcijaninem, postanowił mnie znów zatrudnić. Wracam więc do Alhambry jako nadworny błazen ich katolickich mości!

– I co? Jesteś z tego kontent?

– Rad jestem, że moi ludzie wrócą do Alhambry jako stajenni, ogrodnicy, peoni. Co do mnie... Nie tak łatwo być błaznem. Codziennie stąpa on po linii cienkiej jak ostrze noża. Musi być zuchwały, prawić monarchom impertynencje, tak jednak, by ich

pobudzić do śmiechu, a nie do złości. Cała rzecz w tym, by broń Boże, nie przeciągnąć struny... Jak ci się to uda, kochają cię i piezczą, ale gdy bodaj o włos posuniesz się za daleko, o, wtedy dostajesz cięgi! Dobrze jeszcze, kiedy kończy się na batach, a nie na ucięciu głowy. Sam byłem tego bliski. Boabdila dręczyły wyrzuty sumienia z powodu ojca, bo gdy Mulej Hacén umierał, byli śmiertelnymi wrogami, usłyszawszy więc kiedyś moją opowiastkę o niewdzięcznym synu, pomyślał, że mówię o nim, i wpadł w furję. Chwytał miecz i przycisnął sztychem mą najcenniejszą część ciała, a gdy padłem przed nim plackiem, znów skierował ostrze w to samo miejsce, tyle że teraz od drugiej strony. „Błagam cię, panie, zacząłem szlochać, nie kłuj mojego małego dzieciątka! Wcale mu tego nie trzeba. On sam nieźle kłuje swym dzióbkiem, za co tak go hołubią i piezczą, że nie pragnie już lepiej się sprawiać! Kontent jest z tego, co jest. Gdzież on nie bywał, czego nie widział!” „Sam wyglądasz jak ten twój nędzny dzieciątek!”, warknął Boabdil nie cofając miecza, poczułem jednak, że ręka mu drży, a po chwili zaczął już cały trząść się ze śmiechu. Byłem uratowany. Nie martw się o mnie, przyjacielu – dodał z pośpiechem, widząc chmurną minę Jonasza. – Sztuką jest być głupcem, bo wymaga to nie lada wiedzy i sprytu, ale ja, stary Mingo, jestem królem wśród błaznów. – Pochyliwszy się nad uchem Jonasza, dorzucił z uśmiechem: – Co zaś do mego ptaszka, to wcale nie jest taki mały. Boabdil ze swoim mógłby się przy nim schować!

Dosiadłszy swych zwierząt, przejechali obok kilku arabskich nadzorców kierujących budową nowego skrzydła pałacu, co znów pobudziło Mingo do kolejnych uwag. Tym razem chodziło o Maurów.



– Nie chcą wierzyć, że czeka ich wkrótce taki sam los jak Żydów. Zobaczysz, nadejdzie dzień, gdy i oni będą zmuszeni stąd odejść. Chrześcijanie mają długą pamięć. Nie zapomną, ilu prawych katolików poniosło śmierć w walkach z islamem. Maurowie popełnili wielki błąd, podnosząc przeciwko nim miecze, tak samo jak Żydzi, którym się zdawało, że wyrosli ponad chrześcijan i mogą sprawować nad nimi władzę. I jedni, i drudzy wzlecieli zbyt wysoko... Jak te ptaki, co unosząc się coraz wyżej, zanadto zbliżyły się do słońca i spłonęły w jego ogniu. – Kiedy Jonasz nic na to nie odrzekł, Mingo rzucił jakby od niechcienia: – W Grenadzie są Żydzi.

– Żydzi, co zmienili wiarę!

– Tak jak i ty – obruszył się karzeł. – A co mieli począć? Chcesz się z nimi zaznajomić? Idź na targowisko. Handlują jedwabiem.

## **Rozdział 19**

### ***Inés Denia***

Jonasz dotychczas unikał przechrztów, lecz tak już się stęsknił za ludźmi swego wyznania, że gotów był teraz zadowolić się nawet nowymi chrześcijanami. Kiedyś przecież i oni obchodzili szabat. Pragnął zobaczyć tych Żydów, o których wspominał Mingo. Nic złego wszak się nie stanie, jeśli zerknie na nich z dala... Z tą myślą któregoś ranka pojechał na targowisko. Wiedział od Minga, że odkąd w Alhambrze ruszyły roboty, handel w Grenadzie znów ożył.

Bazar w rzeczy samej był wielki i gwarny, a te widoki, wonie i dźwięki!... Jonasz tak długo był ich pozbawiony, że teraz z rozkoszą sycił nimi wszystkie swe zmysły. Tu sprzedawano chleb i słodkie ciasta, tam znowu ryby różnej wielkości – duże bez głów, mniejsze z oczkami jak paciorki, aby widać było, że są świeże. Trochę dalej

mięso: całe prosiaki i szynki, tłuste tusze i smętnie patrzące świńskie łby, jagnięta i barany, surowe i pieczone, a obok mnóstwo bielutkiego runa. Jeszcze dalej ptactwo domowe żywe i bite. Największe i najbarwniej upierzone sztuki rozwieszono tak sprytnie, by rzucały się ludziom w oczy. Wszędzie piętrzyły się sterty owoców – morele, śliwki, czerwone granaty i żółte melony...

Jedwabiami handlowało dwóch kupców.

Pierwszy nie wyglądał zbyt zachęcająco: z kwaśną miną rozwijał dziesiątą już chyba sztukę materiału przed dwojgiem niezdecydowanych klientów, którzy zamiast kupować, wciąż tylko miętosili w palcach coraz to inną tkaninę.

Przy drugim kramie zgromadziło się ponad pół tuzina chętnych, lecz uwagę Jonasza przyciągnął nie jego właściciel, wysoki kupiec w turbanie, tylko młoda kobieta zajęta odcinaniem kawałków jedwabiu z wielkiej szpuli, którą zręcznie rozwijał przed nią jakiś chłopiec. Jej twarz... kiedyś pewnie oglądał bardziej ujmujące, ale... teraz już nie mógł ich sobie przypomnieć.

Kupiec tłumaczył właśnie klientowi, że o jakości jedwabiu decyduje rodzaj liści, na których żerują gąsienice motyli zwanych jedwabnikami.

– Tam skąd pochodzi ten oto perłowy jedwab, liście mają szczególną właściwość. Nadają nitce niezwykle subtelny połysk. Widzicie, jak wygląda ten materiał? Jakby w nim błyskały małe okruszki złota.

– No tak, Izaaku – odezwał się klient – ale cena! Strasznie drogi ten jedwab!

– Drogi – zgodził się kupiec – lecz taka materia to rzadkość. Istny cud zdziałany przez skromne robaczki i pracowitych tkaczy, których ręką sam Bóg błogosławi.

Jonasz nie słuchał gadaniny kupca. Próbował wtopić się w tłum, by właściciel straganu nie spostrzegł, że jak urzeczony gapi się na tę dziewczynę.

Była młoda, ale już dojrzała, ciało miała smukłe, lecz gdzie trzeba widniały przyjemne krągłości, a trzymała się prosto jak trzcina. Wyglądała na zdrową i silną. Jej długie włosy, luźno opadające na plecy, lśniły ciepłym odcieniem brązu. Oczy... chyba nie był to kolor niebieski, stał jednak za daleko, by dokładnie określić ich barwę. Twarz miała smagłą, widocznie od słońca, bo gdy podczas odmierzania tkaniny na chwilę podwinął jej się rękaw, zobaczył, że naprawdę skórę ma bielszą niż jedwab. Uśmiechnął się w duchu, myśląc, jak to dobrze, że za miarkę służy jej własna ręka – od kłykci do łokcia. Przypadkiem podniosła głowę i na moment krótki jak uderzenie serca spotkały się ich spojrzenia. Czym prędzej spuściła oczy, lecz Jonasz zauważył – nie do wiary! – jak na jej prześliczną szyję z wolna wypływa leciutki rumieniec.

Podszedł do straganu z drobiem, gdzie pośród rozgłośnego gdakania, odoru pierza i ptasiego łajna dowiedział się od sprzedawcy, że kupiec w turbanie nazywa się Izaak Saadi. Długo kręcił się w pobliżu jego kramu, czekając, aż zrobi się tam trochę luźniej. Kupujących było niewielu, lecz ludziom podobały się jedwabie, toteż ciągle podchodziło mnóstwo chętnych, żeby chociaż popatrzeć i dotknąć. Jonasz nie bardzo wiedział, jak zwracać się do kupca, lecz po krótkim namyśle postanowił połączyć hebrajskie pozdrowienie z chrześcijańskim:

– Pokój z wami, señor Saadi.

– I z tobą, señor – dobrotliwie odpowiedział kupiec, ujęty pełnym szacunku tonem nieznanego. Młoda kobieta za jego plecami nie podniosła głowy; wydawała się nadal pochłonięta pracą.

– Jestem Jonasz Toledano. – Czuł, że przed tymi ludźmi nie powinien ukrywać swojej tożsamości. – Mam do was prośbę, señor. Szukam pracy. Czy moglibyście mnie polecić komuś ze swych znajomych?

Señor Saadi spochmurniał, a w jego oczach odbiła się podejrzliwość. Jonasz wiedział, co myśli kupiec, widząc jego ubogie odzienie, niechlujną brodę i włosy i jeszcze ten złamany nos!

– Nie wiem o nikim, kto by potrzebował pomocnika. Skąd znacie moje nazwisko?

– Pytałem o was sprzedawcę ptactwa. Mam wielkie uznanie dla waszej profesji, señor. – Uśmiechnął się blado z powodu swego głupiego kłamstwa, mimo to brnął dalej: – Pewien kupiec jedwabny z Toledo, Sadok z Paterniny, był serdecznym przyjacielem mego ojca, Chilkiasza Toledana, oby spoczywał w pokoju! Znać może señora Sadoka?

– Tylko ze słyszenia, lecz jego reputacja jest mi dobrze znana. Jakże się miewa?

– Był wśród tych, którzy musieli opuścić Hiszpanię – wzruszył ramionami Jonasz.

– A twój ojciec... czy także był kupcem?

– Był sławnym złotnikiem. Zginął niestety podczas... zamieszek.

– Aj, jaka szkoda! Niechaj spoczywa w pokoju – westchnął señor Saadi. Był w ciężkiej rozterce. Tak jemu, jak i Jonaszowi wpojono zasadę, że każdemu nieznanemu Żydowi, który poprosi o pomoc, należy okazać gościnność. Dziś jednak zaproszenie obcego do domu mogło oznaczać ściągnięcie na siebie nieszczęścia... A jeśli ten nieznanomy jest szpiegiem Świętej Inkwizycji? Myśl ta kazała mu odstąpić od swojej żelaznej zasady. – Życzę ci powodzenia, Jonasz Toledano. Idź z Bogiem – wymamrotał.

Widać było, że czuje się bardzo nieswojo.

– I ja życzę wam szczęścia.

Jonasz uklonił się i odszedł, lecz nie zrobił jeszcze dwóch kroków, kiedy kupiec wybiegł z za lady:

– Powiedz mi: masz jakieś schronienie?

– Tak, mam gdzie spać.

– Musisz zatem przyjść do mego domu na wieczerę. – Jonasz mógłby przysiąc, że słyszy nie wypowiedzianą myśl kupca: „A, do licha! Wszak to znajomy Sadoka z Paterniny!” – W piątek przed zachodem słońca.

Dziewczyna podniosła głowę znad jedwabiu i Jonasz zobaczył jej uśmiech.

Pocerował jak mógł swoją odzież, wytłukł z niej brud w strumieniu, a potem z tym samym wigorem wyszorował się cały od stóp do głów. Mana na jego prośbę przystrzygła mu brodę i włosy. Mingo, który tak jak kiedyś bywał teraz często w Alhambrze, z widocznym rozbawieniem śledził te przygotowania.

– Tyle zachodu z powodu wieczerzy u jakiegoś kupca! – zakpił. – Ja nawet dla królów tak się nie staram!

Gdyby działało się to dawniej, kiedy Jonasz miał jeszcze dom i rodzinę, zaniósłby z pewnością gospodarzom zacny bukłak koszernego wina, teraz jednak niestety nie stać go było na taki wydatek. Minęła już pora winogron, kupił więc na targowisku trochę świeżych, nabrzmiałych słodkim sokiem daktyli. Idąc do domu kupca, nie przestawał myśleć o dziewczynie. Może jej tam nie ma? Może wcale nie jest córką, tylko służką Saadiego? Pomaga mu handlować i tyle.

Siedziba Izaaka okazała się małym, skromnym domkiem w starej arabskiej dzielnicy Albaicin, opuszczonej przez większość Maurów po ostatnim zwycięstwie chrześcijan. Gospodarz grzecznie powitał go w progu, dziękując za daktyle zwyczajową żydowską formułką.

Dziewczynę zastał w domu: b y ł a córką Saadiego. Na imię miała Inés. Jej matka, Zulejka Denia, była szczupłą, milczącą niewiastą o dużych płochliwych oczach. Przedstawiono mu także starszą córkę, Felipę, tak pulchną, że prawie otyłą, z piersiami jak mocno przejrzane melony, na koniec zaś jej córeczkę, ładną sześcioletnią dziewczynkę imieniem Adriana. Nie było męża Felipy, Joaquima Chacona, który według słów gospodarza pojechał do południowych portów po jedwab.

Po prezentacji na moment zapadła cisza. W spojrzeniach czworga dorosłych Jonasz dostrzegał nerwowość, uśmiechała się tylko dziewczynka. Zulejka podała mężczyznom daktyle, sama zaś z córkami poszła przyrządzić wieczerzę.

– Twój ojciec, oby spoczywał w spokoju... Mówisz, że był złotnikiem? – zagaił rozmowę Izaak Saadi, wypluwając w garść pestki daktyli.

– Tak.

– Powiadasz, w Toledo?

– Tak.

– Szukasz zajęcia, rozumiem zatem, że po śmierci ojca nie przejąłeś jego warsztatu.

– Nie – odrzekł Jonasz.

Widoczna powściągliwość jego odpowiedzi nie mogła ująć uwagi gospodarza, który mimo to ani myślał zaprzestać dalszej indagacji.

– Czyżby interes szedł źle?

– Przeciwnie! Mój ojciec był świetnym złotnikiem. Ubiegano się o jego usługi, słynął bowiem ze swojego kunsztu.

W tym właśnie momencie do pokoju weszła Zulejka z metalowym pojemnikiem w ręku. Dmuchnąwszy w żarzące się węgle, wetknęła między nie szczapę i zaczęła zapalać lampy, co uczyniwszy, przeszła do pokoju obok, by tam również pozapalać

świece. Jonasz z napięciem śledził jej poczynania. Szabatowe świece? Kto wie? A potem... Nie wiedział, co właściwie robi ta kobieta, ponieważ stała do niego tyłem, gdy nagle zauważył ledwo dostrzegalne ruchy ramion... modlitewne kiwanie! Więc to jednak szabatowe świece!

Gospodarz też to zauważył i na jego kanciastej twarzy pojawił się wyraz napięcia. Jonasz z gwałtownie bijącym sercem czekał na ciąg dalszy. Konwersacja wbrew ich usilnym staraniom wyraźnie zaczynała kuleć.

Kiedy cały domek wypełniła rozkoszna woń drobiu i pieczonych warzyw, wygaszono wszystkie światła i Saadi poprowadził Jonasza do stołu. Inés przyniosła wino i chleb. Gdy po chwili wszyscy zasiedli przy stole, niepokój gospodarza stał się już całkiem widoczny.

– Niech nasz gość i nowy przyjaciel zaintonuje modlitwę – powiedział ze sztucznym uśmiechem.

Zrzucasz więc na mnie całą odpowiedzialność, pomyślał Jonasz. Sprytnie! Gdybyś był naprawdę uczciwym chrześcijaninem, podziękowałbyś Chrystusowi za dary, które mamy spożyć... Czyżbyś chciał się przekonać, kim jestem? Uznał, że w tej sytuacji najbezpieczniej będzie zrobić to właśnie, co powinien był zrobić Saadi: po prostu podziękować Bogu. I oto w chwili gdy otworzył usta, coś w nim podjęło inną decyzję: powiedzieć, kim jest, tej kobiecie, która tak niezręcznie starała się ukryć swą prawdziwą wiarę. Podnosząc szklankę, zaczął cicho śpiewać po hebrajsku pochwałę soboty, królowej tygodnia, zakończył zaś podziękowaniem Bogu za słodki dar wina.

Widząc, że trzy kobiety siedzą jak skamieniałe, upił łyk ze szklanki i podsunął Saadiemu bochenek chleba. Ten wahał się

chwilę, w końcu jednak ułamał kawałek i jął wyśpiewywać dziękczynienie za ów bezcenny dar ziemi.

Hebrajskie słowa i melodie, tak miłe sercu Jonasza, wyzwoliły w nim nagłą falę wspomnień, a że były to wspomnienia pełne bólu, radość i smutek mieszały się w jedno. Może też dlatego jego brachot nie było wołaniem do Boga, lecz do tych, za którymi tęsknił – do matki, ojca i braci, do stryja i jego żony, do wszystkich dawnych przyjaciół...

Kiedy modlitwy dobiegły końca, jedna tylko Felipa zdawała się poirytowana czymś, o co szeptem spytało ją dziecko. Twarz Izaaka Saadiego była smutna, lecz pełna spokoju. Zulejce zwilgotniały oczy, a Inés... Jonasz zauważył, że wpatruje się w niego z żywym zainteresowaniem.

Izaak Saadi wstał nagle od stołu – wyglądało na to, że po długich wahaniach uporał się wreszcie z jakąś decyzją – wziął do ręki zapaloną lampę i ustawił ją w oknie od frontu. Kobiety tymczasem zaczęły wnosić potrawy, które Jonaszowi tak często śniły się po nocach: duszone w warzywach kurczaki, ryż z rodzynkami i szafranem, pestki granatu mocno nasiąknięte winem. Nim skończyli posiłek, pojawiła się pierwsza osoba, przywołana widocznie płonąącym w oknie światełkiem. Był to rosły, przystojny mężczyzna z czerwonym znamieniem na szyi; miało kształt zgniecionej maliny i zdaniem Jonasza dodawało mu nawet uroku.

– To nasz najbliższy sąsiad, Micheasz Benzaquen – przedstawił go Saadi. – A ten młodzieniec to Jonasz ben Chilkiasz Toledano, nasz przyjaciel z Toledo.

Micheasz oznajmił Jonaszowi, że miło mu go poznać.

Po chwili ściągnęli następni goście: Carlos ben Sagan i jego żona Sancha Portal, Abraham Montelvan z żoną Leoną Patras, a po nich Nachman Redondo i Pedro Serrano. Dalsze nazwiska... tych już



Jonasz nie zdołał spamiętać, za dużo ich było. Drzwi przestały się otwierać dopiero wtedy, gdy przybyła piętnasta osoba. W małym domku zrobiło się tłoczno. Wszyscy ubrani byli zwyczajnie, odświętne stroje bowiem mogłyby wzbudzić podejrzenia. Gospodarz każdemu z osobna przedstawił Jonasza, mówiąc, że jest przyjacielem domu, który właśnie przybył w odwiedzinę.

Postawiono na czatach chłopaka sąsiadów i rozpoczęły się modły. Nie mieli Tory, więc Micheasz Benzaquen intonował modlitwy z pamięci, obecni zaś chórem powtarzali jego słowa. Modlono się półszepem – aby dźwięki hebrajskiej liturgii nie dotarły do czyichś nieprzyjaznych uszu. Kiedy już wyrecytowano osiemnaście błogosławieństw, a po nich Szma, zaczęto śpiewać hymny; były też śpiewane modlitwy i starodawne pieśni bez słów zwane nigun.

Wspólna modlitwa i poczucie duchowej łączności z ludźmi tej samej wiary były kiedyś dla Jonasza rzeczą zwykłą: teraz gdy zostały zakazane, przeżywał je o wiele głębiej, całym sercem i duszą. Żałował, że wszystko trwało tak krótko. Ludzie zaczęli się rozchodzić, ściskając się na pożegnanie. „Dobrego szabatu”, rozległy się szepty. Jonasza traktowano jak członka wspólnoty. Był przyjacielem Izaaka i to wystarczyło, by stał się od razu przyjacielem wszystkich.

– W przyszłym tygodniu u mnie – szepnął mu do ucha Benzaquen. Z radością przyjął zaproszenie.

Szkoda, że Saadi popsuł mu tę chwilę, pytając nagle z uśmiechem:

– Czy w niedzielę rano zechcesz pójść z nami do kościoła?

– Niestety, nie mogę.

– Więc może w następną? I weź to sobie do serca. Są ludzie, którzy ciągle mają nas na oku, pojmujesz?

Przez kilka następnych dni Jonasz warował w pobliżu straganu, wyczekując chwili, by Inés została sama. Już prawie stracił nadzieję,

gdy wreszcie kupiec gdzieś poszedł, zostawiając kram pod opieką córki. Z trudem powściągając podniecenie, zbliżył się do niej rozmyślnie powolnym krokiem.

– Dzień dobry, señorita.

– Dzień dobry, señor. Mego ojca nie ma.

– Ach, w rzeczy samej, ale nic nie szkodzi. Wstąpiłem jedynie po to, by raz jeszcze podziękować za gościnność. Zechcesz, señorita, przekazać ojcu wyrazy mojej wdzięczności?

– Z przyjemnością. My... Jesteście mile widziani w naszym domu.

Mówiąc to, zaczerwieniła się po same uszy. Musiała spostrzec, jak na nią patrzy. Ach, starał się zapamiętać każdy jej rys z osobna. Piękne duże oczy, prosty nos, usta niezbyt wydatne, ale tak wrażliwe, że można z nich było wyczytać wszystkie jej uczucia. Podczas wieczerzy starał się nie przyglądać Inés zbyt nachalnie – jej rodzicom mogłoby się to nie spodobać. Wtedy, w świetle lampy, jej oczy wydawały się szare, teraz skłonny był myśleć, że są jednak niebieskie, chyba że to błękitny jedwab nadawał im taki odcień.

– Dziękuję, señorita.

– Nie ma za co, señor Toledano.

Gdy znów wziął udział w piątkowych modlitwach, tym razem w domu Benzaquena, co chwila pozwalał sobie ukradkiem zerkać na Inés. Stwierdził z przyjemnością, że nawet siedząc, zachowuje królewską postawę, a twarz ma niezwykle interesującą.

Nadal chodził na rynek, aby patrzeć na nią z ukrycia, świadom jednak coraz wyraźniej podejrzliwych spojrzeń rzucanych mu przez wielu kupców. Myślał pewnie, że planuje rozbój! Postanowił zmienić dotychczasowy zwyczaj i zamiast rankiem, wybrać się na targowisko po południu. Już za pierwszym razem dopisało mu szczęście: właśnie pojawiła się Felipa, by zastąpić siostrę za ladą. Zobaczył, że Inés wychodzi z budki wraz z małą Adrianą i zaczyna

kupować żywność. Zręcznie manewrując między straganami, wreszcie dopiął swego: udało mu się niby to przypadkiem zastąpić dziewczynom drogę.

– Cóż za spotkanie! Witaj, señorita!

– Witajcie, señor. – Na jej ustach wykwitł ciepły uśmiech.

Zamienili jeszcze kilka zdań, a ponieważ go nie pożegnała, ośmielił się towarzyszyć jej w dalszych zakupach. Patrząc, jak wkłada do sakwy soczewicę, ryż i rodzynki, a potem daktyle i granaty, na to zaś jeszcze dwie białe kapusty, uznał, że będzie to dla niej za ciężkie.

– Ja to poniosę. Proszę mi pozwolić!

– Ach nie, nie mogę...

– Ależ tak – zaczął nalegać ze śmiechem. – Za nic nie ustąpię.

Zaniósł jej sakwę do domu. Rozmawiali po drodze – ale o czym? Chciał sobie później przypomnieć i nie mógł. Po tym spotkaniu zostało mu tylko jedno przemożne pragnienie: znów ją zobaczyć.

Wiedząc już teraz, o jakiej porze Inés kończy pracę, łatwiej mu było na nią czatować. Dwa dni później spotkali się znów na rynku. Tym razem także była z dzieckiem. Wkrótce wszyscy troje spotykali się już regularnie.

– Dobry wieczór – mówił zawsze z ogromną powagą, a ona równie uroczystym tonem odwzajemniała pozdrowienie:

– Dobry wieczór, señor.

Mała Adriana bardzo go polubiła już po paru spotkaniach. Na jego widok natychmiast biegła mu naprzeciw, radośnie wykrzykując jego imię. Czuł, że również Inés znajduje przyjemność w jego towarzystwie. On sam Iгнаł do niej coraz mocniej. Budziła w nim tyle uczuć! Urzekały go jej trafne uwagi, wzruszał płochliwy wdzięk, a skryte pod skromnym odzieniem kształty wprawiały

w straszną udrękę. Któregoś popołudnia poszli na rynek, gdzie jakiś wędrowny muzykant przepięknie grał na piszczałce.

Jonasz mimo woli jął poruszać się w rytm muzyki, tak jak to widział u Romów, i oto nieoczekiwanie dla samego siebie przekonał się nagle, że i on potrafi samym tylko ciałem wyrazić rozmaite rzeczy, i to nawet takie, które trudno byłoby ująć w słowa. Zaskoczona Inés przyglądała mu się z półuśmiechem, ale gdy wyciągnął do niej rękę, nie przyjęła jego propozycji. Wbrew jej odmowie pozwolił się ponieść fantazji, myśląc, że gdyby byli sami, nie na ludnym placu, lecz w jakimś ustronnym miejscu, byłoby pewnie inaczej... Porwawszy na ręce piszczącą z zachwytu Adrianę, zaczął z nią wirować coraz szybciej i szybciej. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy oboje stracili oddech.

Usiedli potem z Inés nieopodal grajka i patrząc na Adrianę zajęta zabawą gładkim czerwonym kamyczkiem, zaczęli rozmawiać. Inés powiedziała, że pochodzi z Madrytu; tam też pięć lat temu cała jej rodzina przeszła na katolicyzm. W Toledo nie była nigdy. Słyszac, że Jonasz nie ma nikogo bliskiego, gdyż ci, co przeżyli, poszli na wygnanie, z oczyma pełnymi łez leciutko dotknęła jego ramienia. Zastygł w bezruchu, smakując ów gest całym ciałem, niestety, prawie zaraz cofnęła rękę. Później po wielekroć przypominał sobie ten moment, żałując, że zdarzyło się to tylko raz.

Następnego dnia po południu krążył jak zwykle między straganami, wyczekując nadejścia Felipy, gdy nagle zobaczył jej matkę. Zulejka Denia stała przy kramie z drobiem, rozmawiając o czymś z handlarzem. Ten spostrzegł Jonasza i coś jej szepnął. Odwróciła się szybko i posłała mu takie spojrzenie, jakim gromi się kogoś obcego. Spytała o coś jeszcze handlarza, po czym ruszyła już prosto do straganu swojego męża. Prawie zaraz pojawiła się znowu, prowadząc przed sobą Inés, a Jonasz uświadomił sobie wtedy,

że po raz pierwszy ogląda tę dziewczynę taką, jaka jest naprawdę. Dotychczas widział jej dumną postawę, wielkie tajemnicze oczy, cudownie wrażliwe usta... Teraz dopiero zobaczył, jak bardzo jest piękna. Tak szybko zniknęła mu z oczu! Zauważył, że matka trzyma ją za ramię zupełnie jak sędzia prowadzący więźnia do celi. Dlaczego?

Czyżby Inés napomknęła o ich spotkaniach? Był prawie pewien, że nie. Ilekroć odprowadzał ją do domu, zawsze odbierała od niego sakwę w miejscu niewidocznym z okna. Tam też się zawsze żegnali. Może któryś z handlarzy szepnął coś matce? A może zdradziła ich mała Adriana? Niechący, jak to dziecko? Tak czy inaczej, Zulejka Denia zawrzała na niego gniewem. Ale za co? Nie uczynił przecież nic takiego, co by mogło zaszkodzić czi Inés. Czyżby to, że towarzyszył dziewczynie podczas zakupów i potem w drodze do domu, tak rozgniewało jej matkę? Nie chciało mu się w to wierzyć!

Tymczasem przez dwa dni z rzędu Inés nie pokazała się w kramie. Jej miejsce zajęła Felipa. Tej nocy nie zmrużył oka, wyobrażając sobie, jak by to było cudownie mieć w łóżu umiłowaną kobietę, taką jak Inés, nazywać ją żoną, żyć z nią w myśl przykazania: miłujcie się i mnożcie.

Trzeba pomówić z jej ojcem.

Gdy jednak zebrawszy całą odwagę udał się na targowisko, przed kramem Saadiego czekał na niego Benzaquen. Poszli razem na rynek, gdzie Micheasz od razu przystąpił do rzeczy:

– Jonaszu Toledano, mój przyjaciel Izaak Saadi uważa, że podoba ci się jego córka. – Po tych słowach taktownie zawiesił głos.

– To prawda.

– Inés to klejnot bez ceny.

Jonasz w milczeniu skinął głową.

– Urodziwa, bogobojna, a jaka zdolna! Umie pomóc matce, a i ojcu w sklepie. Dla Izaaka to wielki honor, że syn Chilkiasza, sławnego złotnika z Toledo, darzy jego rodzinę przyjaźnią, ma do ciebie jednak parę pytań. Mogę ci je zadać?

– Oczywiście.

– Na przykład... Co powiesz o swojej rodzinie?

– Cóż... Jestem potomkiem rabinów, a także wielu uczonych tak ze strony ojca, jak i matki. Mój dziadek, a jej ojciec...

– Tak, tak, zacni to przodkowie, ale żyjący krewni?... Czy ktoś z twoich bliskich prowadzi może interes, w którym taki jak ty młodzieniec mógłby zostać wspólnikiem?

– Mam stryja, lecz przebywa na wygnaniu. Nie wiem gdzie.

– Ach, to niedobrze. Wspominałeś jednak, iż ojciec wyuczył cię złotnictwa. Jesteś zatem mistrzem w tym rzemiośle?

– Miałem właśnie zostać czeladnikiem, ale ojciec umarł...

– Och, jesteś więc zaledwie terminatorem... Niedobrze, niedobrze.

– Szybko się uczę. Poradziłbym sobie w handlu jedwabiem.

– Jestem tego pewny, tylko że Izaak Saadi ma już jednego zięcia za wspólnika.

Jonasz wiedział, ku czemu zmierza ta rozmowa. Tak jak kilka lat temu byłby dla Saadiego najlepszym z możliwych konkurentów, tak teraz nie przedstawia najmniejszej wartości dla kupca i jego rodziny. A gdyby jeszcze wiedzieli, że nie jest przechrztą, tylko zbiegiem!...

Micheasz krytycznie zlustrował jego złamany nos.

– Czemuż to nie chodzisz do kościoła? – spytał nagle. Czyżby umiał czytać w myślach?

– Byłem... bardzo zajęty.

Benzaquen wzruszył ramionami. Nie zapytał Jonasza, czym się zajmuje. Cokolwiek to było, nie mogło przynosić pieniędzy.

Wystarczyło spojrzeć na ubranie stojącego przed nim młodzieńca, aby nie mieć co do tego wątpliwości.

– Coś ci powiem, Jonaszu Toledano. Jeśli znów kiedyś zechcesz spacerować z jakąkolwiek niezamężną niewiastą, nie wolno ci dźwigać jej sakwy – oznajmił z całą powagą. – W przeciwnym razie bardziej... hm... pożądati konkurenci mogą sobie pomyśleć, że niewiasta owa jest zbyt słaba, by pełnić trudne powinności żony.

Po tych słowach pożegnał Jonasza, życząc mu dobrej nocy.

## **Rozdział 20**

### ***Czego dowiedział się Mingo***

Któregoś wieczoru Mingo przywiózł z Alhambry nie najlepsze wieści:

– Jak ci już mówiłem, wkrótce zjadą tu król i królowa, dlatego inkwizycja zamierza przyjrzeć się jak najdokładniej wszystkim tutejszym marranom i Moryskom, aby nikt fałszywą wiarą chrześcijańską nie obrażał królewskich oczu.

Jonasz słuchał tego w milczeniu.

– Póty będą szukać heretyków, póki nie wyłapią tyłu, że wystarczy ich na wielkie autodafe. Inkwizycja musi bowiem okazać monarchom swą chrześcijańską gorliwość, skuteczność i niezawodność. Lękam się, że stosy mogą tu zapłonąć wiele razy... Dworacy lubią takie widowiska, a kto wie, czy i monarchowie nie zaszczycą ich swą obecnością. Mówię ci to dlatego, drogi przyjacielu – dodał łagodnie Mingo – że lepiej byłoby stąd zniknąć... Znaleźć sobie miejsce, gdzie nikt tak skrupulatnie nie będzie ci liczył, ile razy dziennie mówisz Pater Noster.

Pierwszą myślą Jonasza, kiedy to usłyszał, było ostrzec znajomych Żydów o grożącym im niebezpieczeństwie. Mówił sobie,

że to jego ludzki obowiązek – tak przecież winien postąpić każdy przyzwoity człowiek – lecz było to tylko pół prawdy. Gdzieś w głębi serca tliła mu się bowiem nadzieja, szalona i niedorzeczna, że być może zyska sobie przez to wdzięczność rodziców Inés. Może spojrzą na niego przychylniej?

Nadzieja ta jednak okazała się płonna: dom Izaaka był pusty. Podobnie jak wszystkie okoliczne domy zajmowane dotychczas przez nowych chrześcijan. Musieli pewnie usłyszeć o rychłym przyjeździe dworu do Alhambry i świadomi, czym to im grozi, natychmiast uciekli.

Poczuł się strasznie samotny w tej opuszczonej dzielnicy. Przykucnąwszy w cieniu wielkiego platana przed jednym z owych pustych domostw, zaczął bazgrać patykiem po piasku, ot tak, z braku lepszego zajęcia. Po chwili namysłu nakreślił przed sobą cztery kółka. Jedno oznaczało starych chrześcijan, drugie Maurów, trzecie przechrztów, czwarte zaś jego, Jonasza Toledano. Pomyślał, że na tym świecie będzie zawsze samotny, bo za bardzo różni się od wszystkich. Nie jest już nawet takim żydem, jakim był jego ojciec i dawni przodkowie. Bardzo chciałby być taki jak oni, lecz niestety, to już niemożliwe...

Postanowił, że jego prawdziwą religią będzie odtąd już tylko jedno: przetrwać, pozostając żydem. Aby dopiąć tego jakże skromnego celu, trzeba żyć w pojedynkę, tak jak przedtem... Smutne to, ale trudno, inaczej się nie da.

Przed opuszczonym domostwem Saadiego leżał w piasku czerwony kamyczek Adriany. Podniósł go i schował do tobołka. Tyle pozostanie mu po Inés... Był pewien, że jej obraz długo jeszcze będzie nawiedzał go w snach.

Mingo pojawił się znów w Sacromonte, mocno już teraz zaalarmowany tym, czego się dowiedział z podsłuchanej rozmowy



szpiegów:

– Akcja przeciwko nowym chrześcijanom ma się zacząć od zaraz! Dziś jeszcze musisz stąd uciekać!

– A twoi Romowie? – zatroskał się Jonasz. – Myślisz, że nie stanie im się żadna krzywda?

– Moi ludzie to tylko stajenni i ogrodnicy. Nie ma wśród nas nikogo o takich ambicjach, jakie mieli żydowscy bankierzy czy lekarze i jakie nadal żywią arabscy budowniczości. *Gažo* nie mają nam czego zazdrościć! Rzadko który w ogóle nas dostrzega. A gdyby inkwizytorzy chcieli nam się jednak przyjrzeć, niechże sobie patrzą. Zobaczą tylko maluczkich i dobrych chrześcijan – stwierdził Mingo. Następna jego uwaga trafiła Jonasa prosto w serce: – Powinieneś zostawić tu swojego osła. Niewiele ma już biedak przed sobą. Jak go zgonisz na szlaku, rozchoruje się wkrótce i padnie.

Jonasz z bólem serca musiał mu przyznać rację.

– Powierzam go tobie – powiedział w końcu, choć ciężka to była decyzja.

Wziął jabłko i poszedł na pastwisko. Dał Mojżeszowi ulubiony owoc i chwilę stał przytulony do boku wiernego osiołka, drapiąc go leciutko za uszami. Och, jakże trudno było mu odejść!

Mingo na pożegnanie wyświadczył mu jeszcze ostatnią przysługę: wyprawił go w drogę wraz ze swymi ludźmi, braćmi Manigo, Ramónem i Macotem, którzy mieli dostarczyć konie handlarzom w Bænie, Jænie i Andujarze.

– Macot – powiedział karzeł – ma oprócz tego wysłać do Tangeru paczkę. Nie pytaj o jej zawartość. Zabierze ją kapitan pewnej łodzi, która będzie na was czekać w Andujarze. To łódź arabskich przemytników, a my... od lat robimy z nimi niezłe interesy. Macot postara się przekonać kapitana, żeby wziął cię na pokład, Jonaszu. Dopłyniesz tą łodzią aż do ujścia rzeki Gwadalkiwir.

Nie było czasu na długie pożegnania. Mana dała mu bochenek chleba i gomółkę sera owinięte w kawałek płótna, a Mingo piękny sztylet z niezawodnej arabskiej stali i dodał do tego gitarę, tę, na której Jonasz grywał wieczorami i którą już zdążył pokochać.

– Proszę cię, Mingo, bądź ostrożny... Staraj się zbytnio nie rozgniewać króla i jego małżonki.

– Nie martw się o mnie, przyjacielu. Z serca życzę ci dobrego losu. Lecz i ty się postaraj uczynić swe życie szczęśliwym.

Jonasz opadł na kolana i mocno uściśnął malutkiego naczelnika Romów.

Obaj bracia Manigo odznaczali się pogodnym usposobieniem, lubili śmiać się i żartować, a ich smykałka do zwierząt zaiste graniczyła z magią. Patrząc, jak pędzą dwudziestkę potężnych ogierów, można było pomyśleć, że to dla nich dziecinna igraszka. Jonasz poznał ich już w Sacromonte, a teraz szczerze polubił, bo też trudno byłoby o lepszych kompanów na szlaku. Macot umiał ugotować coś z niczego, a że wzięli ze sobą spory zapas wina, więc żołądki zwykle mieli pełne, głowy zaś wesołe. Gdy po długich godzinach w siodle otarte pośladki zaczynały im zbyt już doskwierać, wyjmowali instrumenty – Ramón lutnię, a Jonasz gitarę – i ból mijał jak ręką odjął.

Te godziny w siodle sprzyjały też długim rozmyśleniom. Odkąd Jonasz poznał Minga, często porównywał go z tym strasznym mnichem, Bonestrucą. W jakże przedziwny sposób natura uformowała tych dwóch mężczyzn! Jednego obdarzyła niezwykłą urodą, czyniąc go zarazem złym do szpiku kości, drugiemu dała pokraczne ciało i tyle dobroci, że starczyłoby jej dla dziesięciu.

Już tęsknił za Mingiem, a czekało go jeszcze rozstanie z braćmi Manigo! Wiedział, że teraz gdy dane mu było zaznać czyjejś dobroci i tak potrzebnego każdemu ciepła ludzkiej przyjaźni, bardzo trudno

mu będzie podjąć znowu samotną tułaczkę. Nadal bolała go utrata Inés, lecz zaczął już z wolna utwierdzać się w przekonaniu, że ich drogi musiały się rozejść. Pozwolił sobie za to boleć całym sercem nad utratą jedyne go przyjaciela, który z takim oddaniem służył mu ponad trzy lata, nic prawie nie żądając w zamian. I choć był to tylko zwyczajny osiołek, wiedział, że długo jeszcze nie otrząśnie się z żalu po wiernym zwierzaku, po swym mądrym, kochanym Mojżeszcu.

Cz ę ś ć p i ą t a

## *Płatnerz z Gibraltaru*

*Andaluzja*

*12 kwietnia 1496 roku*

### **Rozdział 21**

#### ***Majtek***

Zbyt długo zamarudzili w Bænie u cygańskiego handlarza, który uraczył ich ucztą, tak był kontent z pięciu przywiedzionych koni. Podobnie stało się w Jænie, gdzie pozostawili następne sześć sztuk. Nim z ostatnią dziewiątką dotarli do Andujaru, byli już prawie o dzień spóźnieni, obawiali się zatem, że łódź, która miała tu na nich czekać, dawno odbiła od brzegu. Tymczasem, o dziwo, zastali ją w porcie. Kapitan, wysoki Berber w burnusie, z siwą krzaczastą brodą, wylewnie powitał Macota. Traf chciał, jął wyjaśniać, że i oni mają opóźnienie, ale w tak długiej podróży może się to zdarzyć. Popłynęli daleko w górę rzeki, żeby sprzedać przywieziony z Tangeru haszysz, no i zmitrężyli trochę czasu. Dziś jednak ruszają już w drogę powrotną. Zatrzymają się tylko na krótko w Kordobie, Sewilli i Gibraltarze, aby nabyć towary zamówione przez tangerskich kupców.

Jonasz, który stał na uboczu, śledząc jednak ukradkiem przebieg tej rozmowy, zauważył, że Macot, wysłuchawszy wyjaśnień Araba, zaczyna gorliwie przemawiać w jego sprawie. Sądząc z miny, kapitan nie był zachwycony perspektywą wzięcia pasażera, ostatecznie jednak skinął głową.

– No to płyniesz, Jonaszu! Załatwione! – zawołał Macot. Obaj bracia uściskali go serdecznie. – Niech cię Bóg prowadzi.

– I was niechaj ma w swej opiece.

Patrząc, jak odjeżdżają wraz z koniem, który go tu przywiózł, poczuł dotkliwą tęsknotę za Grenadą, za przyjaciółmi, których pozostawił w Sacromonte i za tymi dwoma chłopakami. Gdybyż mógł z nimi wrócić! Nie dane mu było jednak oddawać się zbyt długo tęsknym myślom. Kapitan krzyknął, że ma zaraz brać się do roboty – na tej łodzi nie ma pasażerów! Pracował więc aż do zmroku przy załadunku oliwy.

Dopiero wieczorem, gdy kapitan rozkazał podnieść kotwicę, mógł wreszcie chwilę odetchnąć. Oparty plecami o wielką beczkę oliwy, starał się uchwycić szybko umykające sprzed oczu widoki. Rzeka Gwadalkiwir płynęła tu wąskim korytem, a jej rwący nurt chyżo niósł naprzód niewielki płaskodenny statek. Jonasz po chwili wydobyl gitarę i lekko przebiegł palcami po strunach. Nie chciał myśleć ani dokąd płynie, ani o tym, że nie ma pojęcia, co teraz zgotuje mu los.

Nie miał też pojęcia o pracy na statku, stał więc najniżej wśród członków załogi. Wszystkiego musiał się dopiero uczyć, począwszy od podnoszenia i zwijania żagla – na szczęście był tylko jeden, wielka trójkątna płachta – kończąc zaś na takim zabezpieczeniu ładunku, by nie groziło to katastrofą. W razie sztormu jedna źle umocowana beczka mogła uszkodzić statek, a nawet posłać go na dno.

Kapitan imieniem Mahmud rządził za pomocą pięści, a używał ich z lada powodu. Jego majtkowie – dwóch czarnych, Jesus i Cristobal, oraz dwóch Arabów, Jafet i Almar, którzy też na zmianę gotowali strawę – spali na pokładzie, tam gdzie który znalazł sobie trochę miejsca. Wszyscy pochodzili z Tangeru, byli krzepcy i muskularni, a przy tym młodzi i pełni werwy, toteż Jonasz wkrótce ich polubił. Wieczorami często grywał na gitarze, wtedy też zazwyczaj ci, którzy w tym czasie nie pełnili wachty, siadali obok i zaczęli z nim śpiewać. Trwało to zwykle dopóty, dopóki nie przerwał im Mahmud, wrzeszcząc, że mają zamknąć „te parszywe gęby i kłaść się spać!”

Praca na rzece nie była zbyt ciężka, harówka zaczynała się dopiero w porcie. Jonasz przekonał się o tym w Kordobie, gdzie przybyli nad ranem trzeciego dnia podróży. Ładowali na statek tak ogromne skrzynie, że musiało je nieść dwóch ludzi. Jonasz tworzył parę z Cristobalem. Pracowali przy świetle skwierczących pochodni, których odór zatykał nozdrza. I oto z mroku wyłoniła się grupa skutych łańcuchami ludzi. Strażnicy pędzili ich jak bydło w stronę zacumowanego nieopodal statku.

– Sporo tu macie przestępców! – zaśmiał się Cristobal.

Strażnik skrzywił się i splunął.

– To przechrzty.

Jonasz ukradkiem przyjrzał się więźniom. Wyglądali na oszołomionych, jakby nie mogli pojąć, co się z nimi dzieje. Niektórych poddano pewnie torturom, bo wlekli się z trudem, jak starcy. Widać było, że każdy krok sprawia im ból. Starał się tego nie okazać, lecz widok ten zmroził mu krew.

Mahmud zgromadził już większość ładunku – powrozy, olinowanie do żagli, noże i sztylety – wciąż jednak za mało było oliwy, której w tym roku brakowało jakoś na rynku. W Tangerze

tymczasem niecierpliwie czekało na nią wielu kupców. Kiedy więc ósmego dnia rzucili cumę w długim, przypominającym szeroko otwartą paszczkę ujściu rzeki Gwadalkiwir, starał się wszelkimi siłami powiększyć liczbę cennych baryłek. Niestety, w Jerez de la Frontera, gdzie liczył na dużą dostawę, handlarz rozłożył ręce:

– Błagam o wybaczenie, nie mamy ani baryłki. Poczekajcie, proszę, trzy dni. Będzie nowa dostawa.

Wściekły z powodu tej zwłoki Mahmud zapędził załogę do szorowania pokładu, drobnych napraw i innych niezbyt pilnych zajęć. Bez przerwy wrzeszczał na ludzi, Cristobala zaś stłukł jak psa – za lenistwo i opieszałość.

W Jerez de la Frontera Jonasz znów zobaczył tych więźniów, których widział niedawno w Kordobie. Mieli tu dołączyć do innych nowych chrześcijan z kilku nadrzecznych miast, skazanych na śmierć wyrokiem Świętej Inkwizycji za sprzeniewierzenie się Chrystusowi. Byli wśród nich zarówno przechrzczeni żydzi, jak i dawni muzułmanie. W mieście rozłożył się już obozem duży oddział wojska. Wywieszona na rynku czerwona flaga zapowiadała rychłą egzekucję – ogromne autodafe, na które z całej okolicy ciągnęły tłumy ludzi.

W drugim dniu postoju Mahmud dostał znów ataku furii, którego ofiarą padł tym razem Jafet: przesuwał ładunek, aby zrobić miejsce dla oliwy, niechcący przewrócił baryłkę z winem. Nie stało się nic złego, z baryłki nie wyciekła ani kropla, mimo to wściekły kapitan zaczął młócić biedaka pięściami.

– Ty nędzniku! Śmierdzielu! Parszywy wieprzu! – ryczał z pianą na ustach. Zwaliwszy w końcu na ziemię Bogu ducha winnego człowieka, chwycił kawał liny i jął na oślep chłostać leżącego.

Jonasz czuł, że krew w nim się burzy; zrobił już krok do przodu, by nie bacząc na nic powstrzymać wściekłego oprawcę, lecz

Cristobal chwycił go za ramię i osadził w miejscu. Wieczorem, gdy kapitan poszedł do zamtuza, majtkowie wykradli odrobinę bezcennej oliwy i natarli nią pobitego.

– Ty, Jonaszu, nie musisz bać się tego drania – powiedział Almar. – Wie, że opiekują się tobą Romowie. Nie zechce się im narażać.

Jonasz nie ufał wszakże ani rozsądkowi Mahmuda, ani sobie. Wiedział, że nigdy więcej nie potrafi patrzeć beczynn timer na takie bestialstwo, jakiego dzisiaj był świadkiem. Poczekał, aż zrobi się ciemno, i cichcem wymknął się z łodzi.

Wędrował potem pięć dni. Nie miał przed sobą określonego celu, szedł więc bez pośpiechu. Droga cały czas prawie biegła wzdłuż wybrzeża, a on lubił patrzeć na morze. Nawet jeśli chwilami szlak skręcał w głąb lądu, to nie na długo, tak że niebawem znów mógł oglądać nie kończący się bezmiar cudownie błękitnej wody. W mijanych wioskach widział zacumowane łodzie rybackie, jedne mniej, drugie bardziej wysrebrzone solą i słońcem, wszystkie jednak porządnie utrzymane i sprawne. Nic dziwnego – wszak to dzięki nim ludzie tu mieli co jeść. Często oglądał tych ludzi – andaluzyjskich rybaków – przy ich codziennych zajęciach: naprawie sieci, uszczelnianiu dna łodzi pakułami i dziegiem, smołowaniu kadłuba, a nieraz nawet z nimi rozmawiał. Kiedy wszakże pytał o pracę, przeważnie milkli i wzruszali ramionami. Wyglądało na to, że tutejsze załogi rybackie składają się z samych krewnych lub starych przyjaciół. Dla obcych nie było tu miejsca.

Tak dotarł aż do Kadyksu. Stał właśnie na nabrzeżu, gdy jednemu z majtków wyładowujących towary z jakiegoś statku zdarzyło się zrobić fałszywy krok. Dźwigając ogromną belę materiału, zasłonił nią sobie widok, a że stąpał akurat po wąskiej, chybotliwej kładce, runął z niej prosto na głowę, i to tak nieszczęśliwie, że uderzył



skronią o żelazną kratę cumowniczą. Bela tymczasem miękko wylądowała w piasku.

Na miejscu wypadku zebrali się gapie, rannego majtka zanesiono do medyka. Jonasz cierpliwie doczekał końca zamieszania i wtedy dopiero poszedł do bosmana.

– Jestem Ramón Callicó. Mogę pomóc przy załadunku – powiedział.

Bosman, siwiejący zwalisty brodac z głową obwiązaną kolorową chustką i licznymi bliznami na twarzy, jednym spojzeniem oszacował jego mięśnie, kiwnął głową i polecił wejść na pokład. Tam powiedzą mu, co ma robić.

Kazano mu nosić towar do ładowni, gdzie w piekielnym upale pracowało dwóch półnagich majtków, Joan i César. Obaj mówili dziwnym językiem: wydawał się podobny do hiszpańskiego, a jednak trudno go było zrozumieć. Niektóre słowa brzmiały jakoś inaczej... Jonasz raz po raz zmuszony był prosić o powtarzanie poleceń.

– Cóż to, głuchy jesteś? – wrzasnął w końcu César.

– Po jakimu wy mówicie? – bąknął, zupełnie skonsternowany.

– Po katalońsku! – zaśmiał się drugi majtek. – Wszyscy na tym statku to Katalończycy.

Od tej chwili jednak ku wielkiej uldze Jonasza zaczęli mówić z nim po kastylijsku.

Krótko przed końcem załadunku medyk przysłał chłopaka z wiadomością o rannym: odniósł tak ciężką kontuzję, że wymaga dłuższej kuracji. Na pokład wyszedł tymczasem kapitan. Był niezmiernie wyniosły, choć wyraźnie młodszy od bosmana: w jego czarnych włosach i krótko przystrzyżonej bródce nie widać było śladu siwizny. Bosman czym prędzej pospieszył do niego

z meldunkiem. Jonasz pracował w pobliżu, słyszał więc, o czym mówią.

– Josep musi tu zostać, mocno się zranił.

– Hm... – kapitan gniewnie zmarszczył brwi. – To źle. Będzie luka w załodze. Bardzo tego nie lubię.

– Rozumiem, panie kapitanie. Ten dryblas, co zastąpił go przy załadunku, wydaje się chętny do pracy. Może by...

Jonasz poczuł na sobie badawczy wzrok kapitana.

– Dobrze. Zezwalam wam z nim pomówić.

– Ramónie Callicó! – zawołał po chwili bosman. – Powiedzcie no, co umiecie. Znacie się na żeglarstwie?

Powiedzieć, że tak? Jonasz nie chciał kłamać, lecz musiał przecież coś jeść, a zostało mu zaledwie parę soldów...

– Pływałem po rzece – odrzekł zgodnie z prawdą, aczkolwiek nie była to cała prawda, pominął bowiem milczeniem rzecz bardzo istotną: że jego służba na łodzi trwała zbyt krótko, by zdołał porządnie się czegoś nauczyć.

Został przyjęty. Kazano mu dołączyć do majtków ciągnących liny: podnoszono akurat dwa małe trójkątne żagle. Kiedy wyszli z portu, wciągnięto na maszt ogromny grotżagiel, który w jednej chwili rozwinął się z głośnym furkotem, statek zaś skoczył naprzód jak koń ukłuty ostrogą. Jonasz nie mógł się nadziwić, że z taką prędkością płyną pod wiatr! Już po chwili brzeg zniknął im z oczu.

Załoga składała się z siedmiu ludzi. Jonasz po paru dniach wiedział już, co kto robi i jak ma na imię. Jaume był cieślą, Carlos naprawiał liny, Antonio, któremu u lewej ręki brakowało małego palca, pełnił obowiązki kucharza. Pozostali – w tym on sam oraz Mario, César i Joan – robili wszystko, co im kazano. Płatnikiem był mały człowieczek o skórze białej jak mleko; była to rzecz osobliwa, zważywszy, że wszyscy inni mieli twarze aż czarne od słońca. Cała

załoga mówiła o nim „don Sknera”. Jonasz do końca rejsu nie poznał jego nazwiska. Señor Pau Roure, kapitan, przeważnie siedział w kajucie, a gdy wyjątkowo pojawiał się na pokładzie, nie zaszczycał załogi ani jednym słówkiem. Wszystkie rozkazy wydawał bosmanowi, Gasparowi Gatuellesowi. Ten był surowy, ale nie okrutny. Czasami zdarzało mu się krzyknąć, nigdy jednak nikogo nie uderzył.

Statek nosił nazwę „La Leona” – „Lwica”. Miał dwa maszty i sześć żagli, które Jonasz wkrótce nauczył się rozpoznawać. Był więc wielki prostokątny grotzagiel, trochę mniejszy od niego bezan, nad nimi dwa trójkątne żagle gniezdne i jeszcze dwa małe nad bukszprytem, długim ukośnym drzewcem wystającym poza dziób statku. Na dziobie widniał malunek płowej lwicy z białym jak alabaster obliczem pięknej kobiety. Tym, co od początku przejmowało Jonasa śmiertelnym strachem, była wysokość grotmasztu: a jeśli bosman każe mu wleźć na wierzchołek?

Myśl ta już pierwszej nocy tak długo nie pozwalała mu zasnąć, że zmusił się do wejścia na wątlą sznurową drabinę. Z duszą na ramieniu wspiął się do połowy masztu i spojrzął w dół... Z tej wysokości pokładowe lampy przypominały błędne ogniki. Zewsząd otaczało go bezkresne morze barwy ciemnego wina. Czuł, jak oblewają go zimne poty. Na dalszą wspinaczkę nie miał już odwagi.

Powiedziano mu, że „La Leona” to mały statek, jemu jednak wydawała się ogromna w porównaniu z łodzią Mahmuda. Pod pokładem miała dwie malutkie, zawsze wilgotne kajuty; w jednej, przeznaczonej dla pasażerów, stało sześć koi, drugą, jeszcze mniejszą, zajmowali kapitan, bosman i płatnik. Załoga tu także spała na pokładzie, gdzie się dało. Jonasz znalazł sobie miejsce za sterem. Leżąc tam, słyszał szum wody rozbijającej się z sykiem o kadłub,

a przy każdej zmianie kursu drzenie statku przenosiło się na jego ciało.

Podróż po otwartym morzu w niczym nie przypominała rejsu po rzece. Dobrą jej stroną było świeże morskie powietrze przesycone leciutkim posmakiem soli i rześkie podmuchy wiatru, które znacznie łagodziły upał, złą zaś to okropne kołysanie! Jonasz prawie bez przerwy cierpiał na mdłości. Zbuntowany żołądek raz po raz podchodził mu do gardła, wywołując gwałtowne ataki torsji – ku jawnej ucieście pozostałych członków załogi. Łatwo im było się śmiać! Byli od niego starsi co najmniej o dziesięć lat i spędzili te lata na morzu. I ten ich język! Wszyscy mówili po katalońsku, najczęściej zapominając, że Jonasz źle ich rozumie. Kiedy któryś przypominał sobie o tym, odzywał się po kastylijsku, lecz zdarzało się to raczej rzadko. Od początku przeczuwał, że wśród tych ludzi czeka go samotność, i tak też się stało.

Wszyscy jasno widzieli, że brak mu obycia z morzem, toteż zrazu powierzano mu tylko najprostsze zajęcia, lecz czwartego dnia nagle rozpętał się sztorm. I oto w chwili gdy pośród szaleńczych przechyłów statku próbował przejść na zawietrzną, by oddać morzu daninę, bosman rozkazał mu wejść na maszt. Już sama wspinaczka po rozhuśtanej drabince kosztowała go tyle strachu, że zupełnie zapominał o mdłościach. A był to dopiero początek. Tym razem musiał dojść wyżej niż podczas swej pierwszej próby – ponad wierzchołek grotmasztu! Trzeba było zwinąć łopoczący u góry trójkątny żagiel. Liny napinające ten żagiel luzowano z pokładu, ktoś jednak musiał go ściągnąć i przymocować do rei. Wymagało to kilku ludzi i kociej zręczności, należało bowiem, chwytając się rei, przejść z drabinki na kawałek liny. Zawahał się, zdjęty grozą, lecz po linie szedł już jeden z majtków, dwaj inni wspinali się po drabince, obrzucając go stekiem przekleństw. Nie miał wyjścia.

Wyciągnął nogę i stanął na cienkiej linie, kurczowo czepiając się rei. W końcu stanęli tam wszyscy. Niełatwo jest ściągnąć ciężki od wody żagiel z rozkołysanego masztu, zwłaszcza kiedy robi się to jedną ręką, statek zaś przypomina piekielną huśtawkę, kładąc się to na jedną, to na drugą burtę. W momentach najgłębszych przechyłów czterej ludzie na maszcie widzieli pod sobą tylko białą szalejącą kipieli.

Gdy udało im się wreszcie umocować żagiel i znaleźli się na pokładzie, Jonaszowi trzęsły się nogi. Nie chciało mu się wierzyć, że dokonał takiego wyczynu. Dla innych była to rzecz zwykła. Na chwilę dano mu spokój, po czym bosman posłał go pod pokład, rozkazując sprawdzić ładunek.

Czasami obok statku pojawiały się smukłe ciemnoszare delfiny, aby towarzyszyć im przez wiele mil, raz też podpłynęła tak ogromna ryba, że Jonasz zamarł ze zgrozy. Dotychczas nie bał się wody, wychował się wszak nad rzeką, pływał też całkiem nieźle, tam jednak zawsze widać było brzeg. Tutaj, jak okiem sięgnąć, rozpościerało się morze. Jak długo zdołałby płynąć, nimby całkiem utracił siły? Wyobrażał też sobie, że w morskich głębinach roi się od monstrów. Gdyby znalazł się sam wśród tych fal, stałby się dla nich przynętą jak robak dla pstrąga. Jak jego biblijny imiennik... Wprost widział wyłaniającą się z fal rozwartą paszczę Lewiatana... Deski pokładu wydały mu się nagle niebezpiecznie kruche.

Jeszcze cztery razy posyłano go na maszt, nigdy jednak tego nie polubił. Widać Bóg go nie stworzył na majtkę. Osiągnął tylko tyle, że nauczył się trochę lepiej znosić morską chorobę. Płynęli na północ wzdłuż wybrzeża, cumując kolejno w Maladze, Kartagenie, Alicante, Denii, Walencji i Tarragonie, aby wyładować towary i na ich miejsce wziąć nowe, a nieraz też pasażerów.

Szesnastego dnia, licząc od wyjścia z Kadyksu, przybili do portu w Barcelonie, skąd wzięli kurs na Minorę.

Była to niewielka wyspa o skalistych poszarpanych brzegach, a zamieszkująca ją ludność składała się z rybaków i chłopów uprawiających warzywa i winną latorośl. Przyszło mu na myśl, że dobrze by się tu żyło. Wydawało mu się, że na tej odległej wyspie można by się ukryć nawet przed czujnym okiem inkwizycji. Przestał tak myśleć, kiedy w porcie Ciutadella weszło na pokład trzech dominikanów. Jeden usadowił się zaraz na beczce i wsadził nos w brewiarz, dwaj jego towarzysze stanęli przy burcie, patrząc na oddalające się miasto. Rozmawiali czas jakiś, po czym jeden skinął na Jonasza. Krew zastygła mu w żyłach. Musiał użyć całej siły woli, by nie rzucić się do ucieczki.

– Señor? – Własny głos zabrzmiał mu w uszach jak krakanie wrony.

– Dokąd popłynie wasz statek, kiedy już okrąży okoliczne wyspy?  
– spytał mnich.

Miał małe brązowe oczka, wcale niepodobne do szarych oczu Bonestruki, wystarczył wszakże jego habit, aby wprawić Jonasza w panikę.

– Nie wiem, señor.

Drugi zakonnik prychnął z irytacją.

– Wszak to ignorant! Jemu wszystko jedno, gdzie płynie – powiedział do swego towarzysza. – Trzeba spytać jakiegoś oficera.

– Oto nasz bosman, señor – rzekł Jonasz, wskazując stojącego na dziobie Gatuellesa.

Ci dwaj mnisi wysiedli na większej wyspie o nazwie Majorca, trzeci przestał czytać brewiarz dopiero na Ibizie tuż przed samym zejściem na ląd.

To spotkanie pokazało mu jasno, że jeśli chce przeżyć, musi nadal przemieszczać się z miejsca na miejsce, kłamać i zmieniać tożsamość. Inkwizycja jest wszędzie. Nie ma w Hiszpanii takiego zakątka, gdzie mógłby czuć się bezpiecznie.

## **Rozdział 22**

### ***Miasto pod skałą***

Zaledwie rzucili kotwicę w Kadyksie, na nabrzeżu pojawił się Josep, zdrowy i pełen sił. Po niedawnym wypadku pozostała mu na czole tylko świeża blizna. Słyszając gromkie okrzyki radości, którymi powitała go załoga „Lwicy”, Jonasz wiedział bez pytania, że jego służba na morzu właśnie dobiega końca. Prawdę mówiąc, był z tego kontent. Kiedy bosman podziękował mu za dobrą pracę i uczciwie wypłacił zasługi, bez żalu opuścił statek. Dobrze było znowu poczuć po stopami ziemię.

\*

Wędrował nadmorskim szlakiem w kierunku południowo-wschodnim. Dni były tu upalne, lecz nocami nastawał przyjemny chłodek. Codziennie przed zmierzchem próbował sobie znaleźć jakieś miejsce na nocleg – stóg siana na czyjejs łące albo skrawek piaszczystej plaży – ale równie dobrze mógł się obejść bez takich wygód. Kładł się wtedy, gdzie stał, i zasypiał jak suseł. Co rano z wielkim upodobaniem pławił się w cudownie ciepłym morzu, uważając jednak, by zanadto nie oddalić się od brzegu. Bał się, że tam dalej mógłby raptem poczuć na ciele ostre zęby lub o zgrozo, macki jakiegoś monstrum. Morska woda zostawiała mu na skórze gryzącą warstewkę soli, lecz to także nie był wielki kłopot: wystarczyło napotkać jakiś strumyk czy choćby końskie koryto.

Któregoś dnia ktoś podwiózł go kawał drogi. Jechał sobie wygodnie na wielkiej stercie szeleszczącej słomy, gdy nagle woźnica zatrzymał woły i spytał:

– Wiesz, co to za miejsce?

Jonasz zdziwiony rozejrzył się dookoła: nie widział tu doprawdy nic osobliwego. Ot, pusta droga, okolica również.

– Ha! W tym miejscu kończy się Hiszpania. To „najdalej wysunięty na południe skrawek Iberii”, jak mówi nasz proboszcz – oznajmił właściciel wozu z taką satysfakcją, jakby to on wyznaczył tę granicę.

Druga taka okazja nadarzyła się Jonaszowi trochę dalej na tej samej drodze. Tym razem wypadło mu jechać w towarzystwie suszonych sztokfisy w zamian za pomoc przy ich rozładunku. Zatrzymali się w tym celu w osadzie położonej u podnóża ogromnej samotnej skały.

– Zwie się „Gibraltar” – powiedział woźnica.

Woń ryb sprawiła, że Jonasz poczuł się straszliwie głodny, lecz na szczęście była tu oberża. Kiedy znalazł się w mrocznej, nisko sklepionej izbie, inna woń uderzyła go w nozdrza: zastarzały odór skwaśniałego wina, potu i tysięcy wypalonych polan. Przy dwóch długich stołach popijało z pół tuzina mężczyzn; paru posilało się jakąś rybną potrawą perkoczącą obok na ogniu.

Jonasz także zamówił miskę tej potrawy i do tego skromny kubek wina. Wino było kwaśne, ryba natomiast okazała się nadszpiewanie smaczna – dobrze przyprawiona cebulą i jakimś aromatycznym ziołem, choć było w niej mnóstwo ości. Ale przecież nie musiał się spieszyć. Jadł powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Tak bardzo smakowało mu to danie, że opróżniwszy miskę, od razu zamówił drugą. Do oberży tymczasem wkroczył jakiś starzec, który rozejrzawszy się po izbie, zajął wolne miejsce tuż obok Jonasza.



– Señor Bernaldo – zawołał do właściciela – podajcie mi puchar wina!

Gospodarz uniósł w górę warząchew, którą właśnie nakładał Jonaszowi rybę, i kpiąco wyszczerzył zęby:

– Nie mogę, Vicente, chyba że poszukasz sobie fundatora. Może znajdzie się taki wśród tych dobrych ludzi.

Przy stołach rozległ się chóralny śmiech. Jonaszowi słowa oberżysty nie wydały się wcale zabawne. Patrząc na przygarbione plecy starca, poczuł nagłe współczucie. Coś w tym człowieku – jego rzadkie białe włosy, a może wyraz twarzy? – przywiodło mu na myśl obraz umierającego pasterza, Geronima Pica.

– Dajcie mu wina – polecił oberżysta. – Kubek, a nie puchar – dodał szybko, przypominając sobie, jak skromne są jego zasoby.

– Ho, ho, Vicente, aleś sobie znalazł rozrzutnika! – odezwał się niski chudy mężczyzna. W jego słowach i tonie nie było krzty wesołości, lecz tylko jadowity sarkazm, a jednak wywołały znowu gromki wybuch śmiechu. – Gdzie też mieści się w tobie tyle trunku, ty nędzny szurze? – kpił dalej chudy szyderca. – Nie zdarzyło mi się widzieć, żebyś choć raz miał go dosyć!

– Ej, Luis, zamknij tę parszywą gębę – rzucił ktoś znużonym tonem.

– Może sam byś chciał mi ją zamknąć, co, José Gripo?

O, to pytanie wydało się Jonaszowi prawdziwie zabawne, Gripo był bowiem wysokim, barczystym chłopem, nie tylko dużo cięższym od swego rywala, lecz i znacznie od niego młodszym, przez co butne wyzwanie Luisa brzmiało jak pisk myszy odgrządzającej się kotu, że zaraz przegryzie mu gardło. Nikt wszakże jakoś się nie śmiał. Siedzący obok Luisa mężczyzna średniego wzrostu, trochę chyba od niego młodszy, powoli podniósł się z miejsca, prostując na całą wysokość swą smukłą, muskularną postać. Jego sprężyste

ruchy świadczyły o dobrej kondycji i o tym, że to chyba tęgi zabijaka. Twarz jednak miał odpychającą – złożoną jakby z samych twardych płaszczyzn, ostry nos w kształcie haczyka i aroganckie spojrzenie. Z widocznym zainteresowaniem przyjrzał się Gripie i już zrobił krok w jego stronę, gdy rozległ się głos oberżysty:

– Siadaj, Angel, albo wynoś się stąd, i to migiem! Twój mistrz kazał się powiadomić, jeśli wy dwaj, ty i Luis, spróbujecie raz jeszcze wywołać tu burdę!

Muskularny mężczyzna popatrzył na oberżystę z jawnym wyzwaniem w oczach, lecz po chwili namysłu wzruszył ramionami, jednym haustem osuszył swój kubek i odstawił go z trzaskiem na stół.

– Idziemy, Luis! Nie mam dziś ochoty nabijać kabzy naszemu przyjacielowi. Żegnaj, Bernaldo!

Właściciel odprowadził ich wzrokiem, po czym podał Jonaszowi napełnioną miskę. Po chwili powrócił z winem, które postawił przed starym.

– Na zdrowie, Vicente. Ci dwaj to łotry.

– Sprytnie to sobie wykombinowali – wtrącił się José Gripo. – Już to kiedyś widziałem: najpierw Luis rozmyślnie kogoś drażni, a potem Angel bierze się do bitki.

– Angel Costa to dobry szermierz – odezwał się ktoś zza stołu. – No, ale nie dziwota, jest głównym fechmistrzem u Fierry.

– Stary z niego żołnierz i dobrze zna swe rzemiosło – przytaknął Gripo – szkoda tylko, że taki z niego łajdak.

– Luis też nie lepszy, możecie mi wierzyć – dodał Vicente. – Wiem to, bo dzielimy jedną izbę, choć zupełnie mi to nie w smak. Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość: z metalu potrafi robić istne cuda.

Jonasz nadstawił uszu: metal?

– Ja także pracowałem w tym fachu i właśnie szukam zajęcia. Powiedźcie mi, co tu się robi?

– Mamy tu warsztat płatnerski – odrzekł José Gripo. – Parę kroków stąd. Masz doświadczenie z bronią?

– Umiem władać sztyletem.

– Nie o tym mówię. Pytałem, czy umiesz wyrabiać broń.

– Nie, w tym nie mam żadnej wprawy, ale odbyłem długoletnią praktykę u złotnika. Znam się też na żelazie i stali, chociaż nie tak dobrze jak na srebrze.

Vicente z westchnieniem dopił ostatni łyk wina.

– Pogadaj więc z naszym mistrzem Manuelem Fierro. Słyszałeś chyba o słynnym płatnerzu z Gibraltaru?

\*

Za parę wręczonych Bernaldowi soldów Jonasz kupił sobie nocleg przy piecu w oberży, właściciel zaś rano dodał mu jeszcze obfitą porcję polewki. Tak więc wyspany i syty wyruszył w drogę do kuźni. Nie musiał wędrować daleko. Już po krótkiej chwili pod samotną kamienną górą zobaczył kilka długich a niskich budynków. Za skałą widać było morze.

Płatnerz okazał się krępy, szerokim w barach mężczyzną z bujną strzechą siwych włosów. Nos, czy to z urodzenia, czy skutkiem jakiegoś wypadku, miał lekko skrzywiony w lewo. Psuło to trochę symetrię rysów, lecz zarazem łagodziło znacznie surowość jego oblicza, czyniąc je weselszym i bardziej swojskim. Może właśnie dlatego to, co Jonasz powiedział o sobie mistrzowi, było dość bliskie prawdy. Nazywa się Ramón Callicó, był uczniem słynnego złotnika z Toledo, Chilkiasza Toledana, lecz ponieważ ów mistrz był Żydem, musiał udać się na wygnanie, on zaś wskutek tego przedwcześnie zakończył swój termin. Później przez parę miesięcy

pracował w romskim warsztacie w Kordobie, gdzie naprawiano garnki, patelnie i inne przedmioty z metalu.

– Romskim?

– Cygańskim.

– Cygańskim! – Fierro wydawał się tym ubawiony. – No dobrze, poddam cię kilku próbom. – Odłożywszy parę srebrnych ostróg, nad którą akurat pracował, wziął do ręki kawałek stali. – Niech ci się zdaje, że to ostroga. Wyrzyj na niej ten oto wzór.

– Wolałbym spróbować na prawdziwej – odrzekł Jonasz, ale mistrz odmownie pokręcił głową. Czekał potem bez słowa na wynik próby, choć sądząc po minie, nie wiązał z nią wielkich nadziei. Ożywił się znacznie, kiedy Jonasz bez dalszych protestów gładko uwiął się ze swym zadaniem, a potem zręcznie i szybko połączył dwie części stalowego nałokietnika równą i mocną spoiną.

– Umiesz coś jeszcze? – spytał go Fierro.

– Umiem czytać i pisać. Nie chwaląc się, powiem, że piszę szybko i bardzo czytelnie.

– Doprawdy? – Mistrz przyjrzał mu się teraz z prawdziwym zainteresowaniem. – Takie umiejętności u terminatora to rzecz niezbyt częsta. Jakże to się stało, że je posiadasz?

– Ojciec mnie nauczył. Mój ojciec był człowiekiem światłym. Wiele umiał.

– Mogę przyjąć cię do terminu. Trwa on u mnie dwa lata.

– Dziękuję. Będę bardzo się starał...

– W moim rzemiośle jest taki zwyczaj, że za naukę się płaci. Stać cię na to?

– Niestety nie.

– Zatem po ukończeniu terminu przepracujesz rok jeszcze za niższą stawkę. Wtedy pomówimy o reszcie. Jak dobrze się sprawisz, przyjmę cię na czeladnika. Co ty na to?

– Zgoda.

O tak, bardzo odpowiadała mu ta praca. Lubił kształtować metal, cieszył się więc na myśl, że będzie to robił znowu, nie tylko wykorzystując posiadane już umiejętności, lecz i ucząc się czegoś nowego, jako że zbroje i oręż wymagają nieznanym mu technik.

Sam warsztat też mu się podobał. Wciąż słychać tu było dźwięczny stukot młotków, brzęk i dzwonienie metalu dochodzące chwilami równocześnie z kilku pomieszczeń. Rytmiczne czy bezładne, dla niego zawsze brzmiało to jak muzyka. A Manuel Fierro okazał się na dodatek doskonałym nauczycielem.

– Hiszpania może być dumna ze swych osiągnięć w obróbce żelaza. Dokonaliśmy wszak wielu ważnych wynalazków – tymi słowami rozpoczął swoją pierwszą lekcję. – Ha, trwało to parę tysięcy lat! Z początku wkładano kawałki rudy pomiędzy płonące węgle. Nie były dość gorące, by z rudy wytopić żelazo, dość jednak ciepłe, by ją zmiękczyć, tak że dawała się kuć i kształtować. Wielokrotne rozgrzewanie i kucie tych samych kawałków rudy usuwało z niej nieczystości i tak powstawało kute żelazo. Z czasem ludzie nauczyli się tak wzmacniać ogień, aby stał się bardziej gorący. Wdmuchiwali do pieców powietrze, wprawdzie ustnie, przez rurę, a potem za pomocą miechów. W ósmym stuleciu hiszpańskim hutnikom udało się wybudować lepszy piec, zwany katalońskim. Miesza się w nim rudę z węglami, a powietrze wdmuchiwane jest od spodu, pod palenisko, za pomocą miechów poruszanych siłą wody. Dzięki temu żelazo jest lepsze, a wytwarza się je dużo szybciej. Stal otrzymujemy z żelaza przez usunięcie z niego różnych nieczystości, przede wszystkim węgla. Mówię ci o tym dlatego, że nawet najzręczniejszy płatnerz nie zrobi dobrej broni ze złej stali. Najlepszą wytwarzają Maurowie, toteż najlepsze są miecze arabskie. – Uśmiechnął się

do Jonasza, jakby coś innego przyszło mu nagle na myśl: – Ha, ja terminowałem u Maura, a ty u Żyda! Zabawna rzecz, nie uważasz?

Mruknąwszy, że i jemu wydaje się to zabawne, Jonasz bardzo gorliwie zajął się sprzątnięciem. Rozmowa zbaczała na niebezpieczne tory; lepiej ją było zakończyć.

Minęły dwa tygodnie. Siedział w kuchni nad miską porannej polewki, kiedy wszedł Angel Costa. Wybierał się pewnie na łowy, bo na plecach miał łuk, a przy pasie kołczan pełen strzał. Nic nie mówiąc, stanął przed Jonaszem i zaczął mu się przyglądać. A patrz sobie do końca świata, pomyślał Jonasz. Niespiesznie dojadł polewkę, odstawił miskę i z wolna podniósł się z ławy. Skierował się już do wyjścia, gdy tamten zastąpił mu drogę.

– Czego chcecie? – spokojnie zapytał Jonasz.

– Powiedz no mi, uczniaku, dobrze władasz mieczem?

– Mieczem? Nigdy nawet nie miałem go w ręku.

Uśmiech Costy był równie paskudny jak jego spojrzenie. Kiwnął głową i wyszedł. Obecny przy tym kucharz Manuel, imiennik mistrza, zaprzestał szorowania garnka i patrząc za odchodzącym, splunął na podłogę.

– Nie sposób lubić tego drania! Kilku z nas mieszka z nim razem w wędzarni, a to prawdziwy krzyż pański! Powiada, że mamy go słuchać, bo z woli Pana Boga musi dbać o nasze zbawienie. Rano i wieczorem każe nam klęczeć i póty odmawiać pacierze, póki nie powie, że dosyć.

– Dlaczego mu na to pozwalacie? – w głosie Jonasza brzmiało tyleż zdziwienia co przygany.

Kucharz posłał mu spojrzenie pełne niemej urazy.

– Bo się go boimy – rzucił przez zęby.

Terminowanie miało tę dobrą stronę, że jako chłopak na posyłki Jonasz stale biegał po kramach i składach, dzięki czemu dowiadywał się ciekawych rzeczy o mieście pod skałą. Ściśle mówiąc, trochę domów stało też na dolnej części zbocza. Fierro miał licznych dostawców, wśród których nie brakowało ludzi bardzo dumnych z tego, że żyją w tak szczególnym miejscu. Ci nader chętnie zaspokajali ciekawość przybysza.

U bednarza na przykład dowiedział się od sprzedawcy, że Gibraltar przez siedemset pięćdziesiąt lat był miastem Maurów, czego ślady do dziś są widoczne. Wciąż jeszcze pachnie tu Orientem. Hiszpanie odbili miasto dopiero w roku 1462, a stało się to „akurat podczas uroczystości ku czci świętego Bernarda”. Właścicielem składu ze wszystkim, co potrzebne do gospodarstwa, okazał się José Gripo, którego Jonasz poznał już w czasie swej pierwszej bytności w karczmie. Zajęty był mierzeniem i zwijaniem liny, co nie przeszkodziło mu wszakże wyjaśnić, skąd wzięła się nazwa „Gibraltar”. Powstała, powiedział, z połączenia słów „Dżabal” i „Tarik”, co po arabsku znaczy „Skała Tarika”. Przysłuchujący się temu pomocnik, szczupły sędziwy mężczyzna o bardzo szlachetnych rysach – nazywał się Tadeo Deza – uzupełnił tę informację:

– Tarik był arabskim wodzem i on też wybudował pierwszą twierdzę u stóp naszej skały.

Ludzie pracujący u Fierry niewiele umieli powiedzieć o mieście i jego dziejach. Było ich sześciu. Ci prości chłopcy mieli za zadanie utrzymywać porządek w obejściu i na żądanie płatnerzy donosić im surowiec. Był bardzo ciężki, a przechowywano go w składach. Razem z Anzelem Costą i kucharzem Manuelem robotnicy ci mieszkali w kamiennej chałupie przypominającej wielkością i kształtem stodołę. Wszyscy nazywali ją „wędzarnią”. Płatnerzy – poza mistrzem – było dwóch: Luis Planas i Paco Parmiento.

Pierwszy był starym kawalerem, drugi wdowcem. Zajmowali w kuźni najwyższą pozycję, byli bowiem mistrzami w swoich specjalnościach. Paco formował miecze i inne rodzaje oręży, Luis kolczugi i zbroje. Jonaszowi wyznaczono miejsce do spania w ich chacie. Mieszkał tam również Vicente, starzec, któremu z litości postawił wino w gospodzie. Ujrawszy w progu Jonasza, od którego przybycia minęło już kilka dni, przestał nagle zamiatać podłogę i spytał:

– Jakże to cię zwą, nieznajomy młodzieńcze? Mówiłeś chyba, alem zapomniał.

– Ramón Callicó, dziadku.

– A ja Vicente Deza i nie jestem twym dziadkiem, chyba że ten, co cię spłodził, był bękartem – zachichotał stary, tak kontent ze swego dowcipu, że i Jonasz musiał się uśmiechnąć.

– Jesteście krewnym Tadea Dezy, tego, co pracuje u Gripa?

– Ano jestem, choć on się do mnie nie przyznaje. Wiem, przynoszę mu nieraz wstyd, żebrząc o wino, sam widziałeś. – Znow parsknął zgrzytliwym śmiechem. – Więc mamy tu razem mieszkać... z Luisem i Pakiem, hm, Luis to Luis... Lecz i tak masz szczęście, młodziku, bo to mocna chata. Na głowę ci nie nakapie. Żydzi zbudowali ją bardzo porządnie.

– Skądże tu wzięli się Żydzi? – spytał Jonasz umyślnie niedbałym tonem.

– O, kiedyś było ich tu wielu! Ze dwadzieścia lat temu czy trochę więcej prawi katolicy wzburzyli się przeciwko tym, co zwali siebie nowymi chrześcijanami. Bo nie byli to prawdziwi chrześcijanie. W duszy każdy z nich pozostał żydem. Gdy w Kordobie i Sewilli zrobiło im się gorąco, przybyły ich stamtąd setki. Dlaczego akurat tutaj? Ano, bo Gibraltar został właśnie odebrany Maurom, ludzi tu było mało, więc ci Żydzi myśleli, że znajdą tu sobie bezpieczną



przystań... Panem tej ziemi był wówczas książę Medina Sidonia, z którym rozpoczęli negocjacje. Za prawo osiedlenia się w Gibraltarze zapłacili mu sporo zaraz na początku, zobowiązując się też łożyć w przyszłości na utrzymanie stacjonującego tu hufca jazdy. No i przyjechali. Setki osadników. Zbudowali domy i stragany, pootwierali warsztaty... Ale koszty utrzymania wojska były dużo większe, niż myśleli. A gdy doszły do tego jeszcze i wyprawy przeciwko Portugalczykom, skończyły im się pieniądze. Książę, dowiedziawszy się o tym, przyciągnął tu zaraz z wojskiem i kazał im się wynosić.

– Tę chatę, w której mieszkamy, i tamtą, zwaną wędzarnią, zbudowali ci właśnie Żydzi i czas jakiś wędzili tam ryby, by łądować je potem na statki, i posyłać morzem do różnych miast. Jak w wilgotny dzień pociągniesz nosem, wciąż jeszcze wyczujesz woń dymu... Nasz mistrz wydzierzawił te chaty od księcia, a obok wybudował stajnię i wszystko, co tu teraz widzisz. – Po tych słowach Vicente zmrużył lewe oko i zakończył z wyraźną satysfakcją: – Widzę, że cię zadziwił. Tak, mój młodziku, Vicente Deza wie o wielu rzeczach! Jak chcesz dowiedzieć się czegoś o mieście, mnie o to pytaj!

Vicente miał rację, mówiąc, że swą osobą wzbudził ciekawość Jonasza. Nie omieszkał on skorzystać z pierwszej sposobności, by wypytać o tego dziwnego starca. Okazja ku temu nadarzyła się jeszcze tego samego dnia w pracowni Paca Parmienty, dokąd poszedł zanieść nabyte dla niego zakupy. Paco od początku wydawał mu się sympatyczny. Głowę miał całkiem łysą, postać dość okrągłą – widać było, że lubi sobie dobrze pojeść – a na gładko wygolonym policzku długą białą szramę. Często bywał tak roztargniony, że patrzył, nie widząc. Podobno tyle uwagi pochłaniały mu projekty nowych mieczy i sposoby ich formowania,

że świat chwilami przestawał dla niego istnieć. Teraz też chyba tak było, bo na widok Jonasza mruknął, że niczego nie potrzebuje. Zależy mu tylko na porządku w warsztacie, ale tym przecież zajmuje się Vicente.

– Szczęście, że go mamy – oznajmił.

– Czy Vicente też jest płatnerzem? Umie robić miecze jak wy, mistrzu? A może zbroje? – pospieszył zapytać Jonasz.

– On? A gdzie tam! Ani trochę się na tym nie zna. Żyje tu tylko z łaski mistrza Fierry. A ty nie powinienes mu wierzyć – oświadczył nieoczekiwanie. – Nie mówię, że to łgarz, lecz ma rozum półgłówka. Stale coś mu się zwiduje, toteż plecie niestworzone rzeczy.

Podobnie jak większość skalistych regionów Hiszpanii Gibraltar miał też swe jaskinie. Największa, olbrzymich zaiste rozmiarów, znajdowała się na samym szczycie skały. Z niewielkiej części tej ogromnej groty wydobywano pewien specjalny rodzaj rudy, w którą tu właśnie zaopatrywał się Fierro, choć większość stali kupował od Maurów w Kordobie. Do jaskini prowadziła niebezpiecznie wąska dróżka biegnąca frontową ścianą skały.

Jonasz trzykrotnie jeździł tam z mistrzem, zawsze z tęsknotą myśląc o Mojżeszu, który tak doskonale umiał chodzić po górskich ścieżkach. Ta biegła tak stromo i na taką wysokość, że czuł się tu gorzej niż w bocianim gnieździe „Lwicy”. Każdy fałszywy krok groził śmiercią. Szczęściem dwa osły mistrza Fierry zdążyły już nawyknąć do tego zaiste piekielnego szlaku. Nie spłoszyły się nawet wtedy, gdy nagle zagrodziło im drogę sześć dużych bezogoniastych małąp o dziwnej cynamonowej sierści. Była wśród nich samica piastująca malutkie małąpiątko.

– Żyją tu od dawna – uśmiechnął się Fierro, spozostzegłszy, że jego uczeń drgnął na widok zwierząt. Wydobył z sakwy parę kawałków chleba i wraz z jakimś przejrzalym owocem rzucił je w miejsce

odległe od ścieżki. Małpy pognały za jedzeniem, oni zaś mogli jechać dalej.

– Przez myśl mi nawet nie przeszło, że w Hiszpanii są takie zwierzęta! – Jonasz wciąż jeszcze nie mógł ochłonąć z podziwu.

– Według legendy przybyły tu z Afryki podmorskim tunelem, który ponoć biegnie pod cieśniną i uchodzi do którejś z tych jaskiń

– wyjaśnił Fierro. – Co do mnie, skłonny jestem raczej myśleć, że uciekły z jakiejś afrykańskiej łodzi.

Z tej wysokości wybrzeże Afryki wydawało się tak zwodniczo bliskie, że łatwo było uwierzyć legendzie.

– Jak daleko jest do Afryki, señor Fierro?

– Przy dobrym wietrze można dopłynąć w pół dnia. A wiesz, że stoimy właśnie na jednym ze słynnych Słupów Herkulesa? Spójrz, tam jest drugi – wskazał górę po przeciwnej stronie cieśniny. – W kraju, co zwie się Maroko.

Woda dzieląca dwa słupy miała kolor błękitny jak niebo, a słońce zapalało w niej złociste błyski. Był to widok tak piękny, że zapierał dech w piersiach.

Chyba w tydzień po pierwszej rozmowie Costa znowu zaczepił Jonasz:

– Słuchaj no, Callicó, dużo jeździłeś konno?

– Bardzo rzadko. Długomiałem osła.

– Uhm, lepiej ci pasuje.

– Dlaczego mnie o to pytacie? Raz o miecz, teraz znów o konia? Szukacie ludzi na jakąś wojnę?

– Niezupełnie – burknął Costa. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Po wielu dniach biegania na posyłki, wrzucania rudy do pieca i dźwigania surowej stali, kazano mu wreszcie iść do warsztatu. Bardzo się z tego ucieszył, myśląc jednocześnie z dużym niepokojem

o Luisie, któremu przydzielony został do pomocy. Zdążył już poznać jego złośliwość. Ogarnęła go ulga, kiedy tamten jasno i wyraźnie powiedział mu, co ma robić. Okazało się, że w pracy to nie ten sam człowiek.

– Masz to wypolerować – polecił. – Nie chcę tu widzieć żadnych zadrapań, plamki czy nierówności. Nawet takiej jak główka od szpilki.

Jonasz dawniej nie cierpiał polerowania, ale teraz robił to z zapałem. Kiedy po tygodniu zawziętego tarcia luźne kawałki metalu zaczęły lśnić niczym lustro, zobaczył, że ma przed sobą dwie jednakowe części stalowego napierśnika zbroi.

– Pamiętaj, obie muszą być bez skazy! – raz jeszcze napomniął go Luis. – Wiedz, że to najwspanialsza zbroja, jaka kiedykolwiek powstała w tej kuźni. Paco pracuje nad mieczem. Obaj trudzimy się nad tym już ponad trzy lata.

– Dla kogo przeznaczony jest ten rynsztunek?

– Dla pewnego hrabiego z Tembleque. Nazywa się Fernán Vasca.

Och! Jonasz zląkł się nagle, że Luis usłyszy bicie jego serca. Hrabia Vasca! Jak to się dzieje, że dokądkolwiek się uda, dopadają go zawsze wspomnienia z Toledo? Jakby stale szły jego tropem!

Doskonale pamiętał, ile i za co ów hrabia winien jest ojcu: sześćdziesiąt dziewięć reali i szesnaście maravedís. Ojciec wykonał dla niego tyle przepięknych przedmiotów! Była wśród nich złota róża ze srebrną łodyżką, kilka srebrnych luster i grzebieni, dwanaście pucharów do wina... Jakże inaczej potoczyłyby się losy całej jego rodziny, gdyby hrabia Vasca miał zwyczaj uczciwie płacić swe długi... Gdyby choć teraz dało się je odzyskać...

Nie, powiedział sobie trzeźwo, nigdy się to nie uda. Nie ma o czym myśleć.

## Rozdział 23

### *Święci i gladiatorzy*

Kiedy Manuel Fierro utwierdził się już w przekonaniu, iż nowy uczeń rzetelnie wypełnia wszystkie polecenia i że można na nim polegać, powierzył Jonaszowi pierwsze poważne zadanie. Było nim wykucie ozdobnego wzoru na pancerzu hrabiego Fernána Vaski. Wzór ten, kreślony przez samego mistrza bądź Luisa tak cieniułkami liniami, że prawie niedostrzegalny, trzeba było wykucć w stali, wykonując w niej setki malutkich wgłębień za pomocą dwóch prostych narzędzi: młotka i dłuta. Srebro, w porównaniu ze stalą, łatwiej poddawało się takiej obróbce, z drugiej strony wszakże pewne błędy groziły tutaj katastrofą. W stali, znacznie twardszej i wytrzymalszej, nie było to tak niebezpieczne, mimo to Jonasz początkowo pracował bardzo ostrożnie, wykonując każdy rowek dwoma uderzeniami młotka. Pierwsze, leciutkie, pozwalało mu się upewnić, że przyłożył dłuto we właściwe miejsce, potem mógł już uderzyć z odpowiednią siłą. Po paru dniach wszystkie jego uderzenia nabrały jednakowej mocy i rytmu, świadcząc dowodnie, że wróciła mu pewność siebie.

– Manuel Fierro ma zwyczaj poddawać swoją broń i zbroje wielu próbom – oznajmił pewnego dnia Paco – toteż od czasu do czasu urządzamy tu zawody na podobieństwo rycerskich turniejów. Mistrz dowiaduje się tym sposobem, co w jego projektach wymaga zmian bądź udoskonalień. Planuje właśnie taki turniej i życzy sobie, żebyś wziął w nim udział.

– Ma się rozumieć, señor, że rad spełnię życzenie mistrza – odrzekł Jonasz, nie spodziewając się jednak, że przyjdzie mu je spełnić tak szybko.

Już nazajutrz, ubrany w pikowane pludry i kaftan, stał w wielkim okrągłym dole, spoglądając z pewnym niepokojem na zardzewiałe tu i ówdzie elementy metalowej zbroi, które Paco Parmiento przytwierdzał mu do wszystkich części ciała. Po drugiej stronie Luis w ten sam sposób ubierał Angela Costę, dookoła zaś zebrali się wszyscy zatrudnieni w kuźni. Przypominali widzów czekających na walkę kogutów.

– Hej, Vicente, idź lepiej do chaty i dobrze wymość posłanie temu rycerzowi! Będzie mu wkrótce potrzebne! – zawołał Luis. Odpowiedziały mu śmiechy i głośne kpiny.

– Nie przejmuj się Luisem i tym, co gada – mruknął Paco, ocierając z łysiny wielkie krople potu. Jonasz nie miał pojęcia, że tak trudno przysposobić rycerza do walki, a być nim chyba jeszcze ciężiej.

Klatkę piersiową i plecy okrywał mu pancerz, ramiona i nogi owinięte miał kawałkami metalowej kolczugi, barki, łokcie, kolana i przedramiona chroniły stalowe osłony, a łydki także nagolenniki. Wbicie stóp w twarde i ciężkie buty ze skóry wzmocnionej warstwami stalowych blaszek już kosztowało go mnóstwo wysiłku, lecz najgorszy okazał się hełm, bo gdy Paco opuścił przyłbicę, zrobiło się strasznie duszno.

– Nie mogę oddychać i nic nie widzę! – Starał się mówić spokojnie, choć naprawdę chciało mu się krzyczeć.

– Zdaje ci się – uspokajał go Paco. – Przez otwory wpływa dość powietrza.

– Wcale tego nie czuję.

Paco przez chwilę się wahał, w końcu podniósł przyłbicę.

– Zostawmy ją więc otwartą – zdecydował. – Wszyscy przecież tak robią – dodał jeszcze, jakby upewniając sam siebie o słuszności własnej decyzji.

Pewnie, pomyślał Jonasz. Niby jak inaczej można by zobaczyć przeciwnika? Dostał jeszcze parę skórzanych rękawic ze stalowymi palcami, okrągłą tarczę i miecz. Z całym tym rynsztunkiem ważył chyba ze trzy razy więcej.

– Krawędzie i czubek miecza zostały dla bezpieczeństwa tak sklepane i zaokrąglone, że bardziej przypomina teraz maczugę – wyjaśnił Paco.

Tylko jak go trzymać? – zastanawiał się Jonasz. W sztywnej rękawicy trudno było nawet porządnie uchwycić rękojeść.

Angel Costa uzbrojony był podobnie i po chwili ruszyli ku sobie, chrzęszcząc i ciężko powłócząc nogami. Jonasz wciąż jeszcze rozmyślał, gdzie najlepiej byłoby uderzyć, kiedy miecz Costy zawisł mu nad głową. Ledwie zdążył osłonić się tarczą.

Rywal tymczasem zaatakował go istnym gradem przerażająco szybkich ciosów, zadawanych w dodatku wciąż z tą samą piekielną siłą. Od ich parowania ramię mu osłabło i zrobiło się ciężkie jak ołów. Nie zdążywszy osłonić się w porę, otrzymał straszliwe cięcie w żebra, które ani chybi rozplatałoby go na dwoje, gdyby była to walka na ostre. Nawet przez grube osłony odczuł je we wszystkich kościach, a był to zaledwie pierwszy z serii ciosów, którymi uraczył go Costa.

Jemu tylko dwa razy udało się trafić rywala. Choć mistrz przerwał zawody, rzucając długą tyczkę między przeciwników, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że w prawdziwym pojedynku on, Jonasz, byłby już dawno zabity. Costa co najmniej kilkanaście razy mógł zadać mu *coup de grâce*.

Kiedy wreszcie skończyło się to widowisko, usiadł bez tchu na ławie, pozwalając, by Paco sam pozdejmował z niego te blachy. Bolało go całe ciało, lecz od bólu silniejszy był wstyd, że poniósł tak sromotną klęskę. Najchętniej czym prędzej by uciekł, lecz i to

nie było mu dane, bo podszedł Fierro i zaczął wypytywać go o różne rzeczy. Jak czuł się w zbroi? Czy nie wydała mu się zbyt ciasna? Czy ma jakiś pomysł, co by trzeba zrobić, żeby blachy mniej uwierały, a lepiej chroniły ciało? Odpowiedział zgodnie z prawdą, że wcale o tym nie myślał, nigdy dotąd bowiem nie walczył, nie ma więc doświadczenia... Mistrz dostrzegł, rzecz jasna, jak ciężkie upokorzenie przyniosła mu ta porażka.

– Nikt tu nie oczekuje, że pokonasz Angela Costę – powiedział z uśmiechem – nawet o tym nie myśl! Za dobry z niego wojak. Wiedz, że przez osiem lat walczył z Saracenami, a były to krwawe boje! Tak do tego przywykł, że nawet w tych naszych turniejach walczy jak żądny krwi demon. Nie sprostałby mu żaden z moich ludzi. Nie masz się czego wstydić!

Odniesione obrażenia nie pozwalały Jonaszowi tak łatwo zapomnieć o klęsce. Na lewym boku miał wielki siniak, przy każdym zaś ruchu odczuwał tak ostry ból w piersiach, że nasuwało to nawet obawę o poważne uszkodzenie żeber. Przez kilka nocy mógł leżeć jedynie na plecach, a jeżeli zdarzało mu się zasnąć, prawie zaraz budził go ból. I właśnie w takim momencie usłyszał dziwne odgłosy: jęki, chrapliwy bełkot, westchnienia... Wydawało mu się, że dochodzą z drugiego końca chaty. Tłumiąc własny jęk, stanął na nogi i zaczął nasłuchiwać. Po chwili już wiedział: to Vicente! Po omacku odnalazł posłanie starca i ukląkł obok wezgłowia.

– Co ci jest, Vicente?

– Peregrino... Santo Peregrino... – wybełkotał stary człowiek urywanym szeptem, który brzmiał niemal jak łkanie. – El Compasivo! Santo Peregrino el Compasivo!

Święty pielgrzym? Miłosierny?

– O czym ty mówisz, Vicente? Co to znaczy?



Kiedy zamiast odpowiedzi usłyszał bezładne modlitwy to do Pana Boga, to do świętego pielgrzyma, zaczął podejrzewać, że Vicente majaczy chyba w malignie. Dotknąwszy jego policzka, był już tego pewien. Co robić? Podnosząc się z klęczek, niechcący przewrócił stojącą przy postaniu flaszkę z wodą, która z głośnym turkotem potoczyła się po podłodze. Nagły hałas obudził Luisa.

– Kto, do diabła, tłucze się po nocy?

– Co... co się dzieje? – sennie wymamrotał Paco.

– Vicente majaczy. Dostał gorączki.

– To zatkaj mu gębę albo wyrzuc na dwór! Niech tam sobie zdycha! – warknął Luis.

Jonasz puścił to mimo uszu – myślał, jak pomóc choremu. Co robił *aba*, gdy któryś z nich trzech dostawał gorączki?... Wyszedł z chaty i brnąc jak ślepiec w ciemnościach, dotarł po chwili do kuźni. W piecu pełgały jeszcze czerwone języki ognia, rzucając krwawy odblask na ściany, narzędzia i stoły. Zapaliwszy lampę oliwną, znalazł jakąś misę, napełnił ją wodą z konwi i ruszył z powrotem do chaty, zabierając po drodze kilka szmat przygotowanych do polerowania.

Postawił lampę na podłodze i lekko dotknął ramienia chorego:

– To ja, Vicente... Nie bój się.

Widząc, że stary nie zdjął nawet butów, zaczął go rozbierać. Choć bardzo się starał zachowywać cicho, coś znowu zbudziło Luisa – szelest siennika, a może blask lampy.

– Niech cię diabli porwą! – wrzasnął, siadając. – Kazałem ci go wyrzucić! Nie słyszałeś?

Ty draniu bez serca, pomyślał Jonasz, czując, jak nagły gniew obala w nim wszystkie tamy. Odwrócił się od chorego i postąpił krok w stronę Luisa.

– Kładź się i śpij – rzucił przez zęby. Na usta cisnęły mu się inne słowa, lecz zdołał je w porę powstrzymać. Nie chciał, nie wolno mu było obrazić tego okrutnika. Tamten i tak już gapił się na niego z otwartymi ustami. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że jakiś uczeń przybłęda śmie tym tonem przemawiać do mistrza! W końcu jednak opadł na siennik i odwrócił się twarzą do ściany. Paco widać też nie spał, bo od jego posłania dał się słyszeć zduszony chichot. Luis pewnie i jemu nieźle zalaźł za skórę.

Rozebrawszy starego, Jonasz zamarł na widok jego ciała: składało się z samych kości obleczonych tak brudną skórą, że przekraczało to wszelkie pojęcie. Najgorsze były stopy, na których wieloletnie chyba warstwy brudu utworzyły coś na kształt wyschłych krowich placków. Przewyciężając odrazę, wziął się do roboty. Długo szorował starego od zaskorupiałych stóp aż po głowę, dwa razy zmieniając wodę. Wytarł go potem do sucha i szczelnie otulił derką.

Rankiem Vicente czuł się lepiej, gorączka spadła. Jonasz przyniósł z kuchni miskę rozgotowanej kaszy rozcieńczonej gorącą wodą i własnoręcznie nakarmił chorego, podając mu jak dziecku łyżkę po łyżce. Sam przez to nie zjadł śniadania, bo spóźniłby się do pracy, a miał się dzisiaj stawić u Luisa. Spieszył właśnie do jego warsztatu, kiedy zatrzymał go Fierro. Pewien, że Luis zdążył już złożyć skargę, oczekiwał srogiej reprymendy, mistrz wszakże spytał całkiem spokojnie:

– Jakże się miewa Vicente?

– Ufam, że wyzdrowieje. Gorączka spadła.

– To dobrze, a teraz posłuchaj, bo chcę ci coś rzec. Wiem, jak to jest być uczniem. Sam miewałem nieraz ciężkie chwile, terminując w Maladze u Abu Adala Khiry, jednego z najświetniejszych arabskich płatnerzy. Odszedł już do Allaha, nie ma też jego kuźni. Luis terminował wraz ze mną. Po wyzwoleniu wziąłem go z sobą

tu, do Gibraltaru. Charakter ma nieznośny, ale to prawdziwy artysta w swym fachu. Jest mi potrzebny, rozumiesz?

– Tak, mistrzu.

– Wyznaję, że popełniłem błąd, umieszczając ciebie i starego pod jednym dachem z Luisem. Byłeś kiedy w tej małej chacie za kuźnią?

– Tak.

– To wiesz, że zbudowana jest bardzo solidnie, a leży tam tylko trochę narzędzi. Przenieś je gdzie indziej i wprowadźcie się tam z Vicentem. Stary ma wielkie szczęście, że byłeś przy nim dziś w nocy, że chciałeś mu pomóc. Dobrześ postąpił, Ramónie Callicó, ale coś jeszcze ci powiem: mądrze zrobisz, pamiętaj, że uczniowi nie wolno pod żadnym pozorem odnosić się do mistrza grubiańsko. Druga taka impertynencja nie ujdzie ci płazem, rozumiano?

– Tak jest, señor – odrzekł Jonasz.

Luis oczekiwał, że Fierro wyrzuci zuchwałego ucznia, spuściwszy mu w pierw tęgie baty, więc gdy tak się nie stało, dotkliwie dawał odczuć Jonaszowi swój gniew i urazę. Traktował go teraz niesłychanie zimno i surowo, Jonasz zaś wyłaził wprost ze skóry, by przypadkiem nie zasłużyć na naganę. Tak długo polerował ostatnie już części zbroi hrabiego Vaski, że lśniły jak samo słońce i nawet złośliwe oko Luisa nie było w stanie wykryć najmniejszej usterki.

W tych okolicznościach z niemałą ulgą usłyszał od mistrza, że ma iść do miasta po zakupy.

Czekając na dostarczenie ze składu wszystkich towarów zamówionych przez mistrza, powiadomił Tadea Dezę o ciężkiej chorobie jego krewniaka.

Sędziwy kupiec stanął w pół kroku jak wryty:

– Czy to znaczy, że Vicente umiera?

– Nie, nie! Gorączka nawracała parę razy, ale jest już lepiej. Myślę, że wyzdrowieje.

Tadeo prychnął z pogardą:

– Widać nawet śmierć stroni od tego prostaka!

Jonasz kierował się już do wyjścia, lecz nagle zawrócił, przypomniawszy sobie bredzenia starego.

– Señor Tadeo, wiecie coś może o Santo Peregrino el Compasivo?

– Tak, to miejscowy święty.

– Dziwne imię: Święty Pielgrzym Miłosierny.

– Żył tu przed kilkuset laty. Legenda głosi, że był cudzoziemcem. Jedni wywodzą go z Francji, inni z Germanii, na pewno jednak wiadomo, że przybył skądś jako pielgrzym do Santiago de Compostela, gdzie znajdują się relikwie świętego Jakuba i gdzie jak wiesz zapewne, pielgrzymują chrześcijanie z całego świata. A może i ty tam byłeś?

– Nie, señor.

– Ach, powinienes się tam kiedyś udać! Święty Jakub był trzecim apostołem wybranym przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Był też świadkiem Przemienienia Pańskiego, a darzono go tak wielką czcią, że cesarz Karol Wielki nakazał swoim poddanym dawać wodę, schronienie i ogień wszystkim bez wyjątku wędrowcom odbywającym pielgrzymkę do jego relikwii. Pielgrzym, o którym mówiłeś, po długich modlitwach w Santiago de Compostela uległ duchowej przemianie. Postanowił nie wracać do dawnego życia, powędrował więc na południe i osiadł w naszej okolicy, by do końca dni swoich pielęgnować chorych i wspierać ubogich.

– A jak się nazywał naprawdę?

– Nie wiadomo. W ogóle niewiele o nim wiadomo. Należało go jakoś nazwać, więc nadano mu imię Świętego Pielgrzyma. Nie wiemy nawet, gdzie go pochowano. Niektórzy powiadają, że gdy

mocno się już postarzał, wywędrował stąd gdzieś daleko, tak samo niepostrzeżenie, jak kiedyś przybył, inni znów utrzymują, że mieszkał tu samotnie aż do śmierci i tak też umarł... Podobno gdzieś niedaleko. Ludzie od wielu pokoleń poszukują jego grobu. Można by rzec nawet, że to nasza największa rozrywka, coś niczym łowy na grubego zwierza, chociaż dotąd nie przyniosły rezultatu. A skoro już o tym mowa: od kogóż to słyszałeś o Świętym Pielgrzymie?

Powiedzieć?... Jonasz uznał, że lepiej nie. Krewniak starego miałby nowy powód do narzekań.

– Ktoś o nim mówił, ale kto...? Wiem tylko, że rozbudziło to moją ciekawość...

– Pewnie gadał o tym ktoś w karczmie – uśmiechnął się señor Tadeo. – Jakoś tak jest, że przy winie ludzie dużo lepiej widzą swoje grzechy... A każdy, kto lęka się kary, chciałby mieć przy sobie jakiegoś orędownika, który by szepnął za nim słówko Panu Bogu, i stąd to gadanie o świętym...

Jonasz był uszczęśliwiony, gdy Manuel Fierro przydzielił go do warsztatu Paca Parmienty. Miał tam ostrzyć i polerować krótkie szable do walki z konia i długie dwusieczne miecze noszone przez rycerzy i rodową szlachtę. Były to piękne miecze o jakże szlachetnej linii – szersze u rękojeści, niżej zaś zwężające się aż do czubka. Lecz choć z wielkim zapałem wziął się do roboty, ostrzenie pierwszego miecza poszło mu nie najlepiej. Paco aż trzy razy kazał go poprawiać.

– Sam miecz walki nie wygrywa, lecz powinien w tym pomagać szermierzowi – oświadczył. – Obie krawędzie musisz tak długo ostrzyć, jak długo pozwala ci na to stal.

Paco miał wysokie wymagania, mimo to Jonasz go lubił. Był zupełnie inny niż Luis. Tamten przypominał lisa, Paco zaś

przywodził na myśl dobrotliwego niedźwiedzia. Z dala od swego warsztatu bywał roztargniony i często niezręczny, lecz gdy tylko zasiadał do pracy, jego ruchy nabierały zdecydowania. Każdy wydawał się niezbędny. Jonasz wiedział od Fierry, że klingi mistrza Parmienty cieszą się ogromnym wzięciem.

U Luisa pracowało się zwykle bez słowa, nie licząc krótkich uwag czy poleceń, u Paca natomiast można było sobie pogawędzić. Mistrz mieczy musiał to lubić, gdyż chętnie odpowiadał na wszystkie pytania.

– Czy i wy, mistrzu, terminowaliście razem z Luisem i señorem Fierro? – zagadnął go któregoś dnia Jonasz.

– Nie, jestem od nich starszy. Kiedy oni odbywali termin, ja byłem już czeladnikiem u płatnerza w Palmie. Tam też znalazł mnie mistrz Fierro.

– A jakim sposobem trafił tu Angel? I na czym polega jego praca? Paco wzruszył ramionami.

– Jego też wynalazł gdzieś Manuel. Krótco po tym, jak Costa zakończył wojaczkę. Fierro uczynił go naszym zbrojmistrzem, prawdą jest bowiem, że Angel to wielki wojownik, a na broni zna się jak nikt, doskonale też włada każdym rodzajem oręża. Chcieliśmy wyuczyć go płatnerstwa, nie miał jednak do tego zdolności, więc mistrz ustanowił go w końcu zwierzchnikiem naszych robotników.

W obecności mistrza mniej było rozmów, ale jego wizyty bynajmniej nie psuły dobrego nastroju. Mistrz dosyć często odwiedzał warsztat Parmienty, by pracować tu nad projektem szczególnie mu drogim. Jego brat, Nuño Fierro, medyk z Saragossy, nadesłał mu za pośrednictwem wędrownych kupców rysunki różnych instrumentów chirurgicznych wraz z listem, w którym prosił o ich wykonanie. Mistrz użył do tego najtwardszej stali

wytworzonej z owej rzadkiej rudy, którą razem z Jonaszem wozili z wielkiej naskalnej jaskini, własnoręcznie formował też wszystkie narzędzia: skalpele, lancety, piły, skrobaczki, szczypce i zgłębniki. Jonasz oglądał te narzędzia – Paco pokazał mu kilka gotowych, mówiąc, że to przykład najwyższego kunsztu, jaki można osiągnąć w obróbce metalu.

– Każdemu z tych drobnych przedmiotów Manuel poświęca tyle samo czasu co na formowanie miecza czy kopii. Wkłada w tę robotę całe serce – dodał ze szczerym uznaniem. Pochwalił się też Jonaszowi, że gdy mistrz postanowił zrobić miecz dla siebie, właśnie jego poprosił o pomoc. – Wykuliśmy go także z tej specjalnej stali – opowiadał. – Musiało to być ostrze jedyne w swoim rodzaju, wiedz bowiem, że nikt, kogo znam, nie włada tak mieczem jak Manuel Fierro.

– Nawet Angel Costa? – Jonasz z wrażenia aż przestał polerować szablę.

– Angel to niezrównany zabójca – odrzekł Paco – nauczyła go tego wojna. Z jednakową wprawą włada każdym rodzajem oręża i w tym chyba nikt mu nie sprosta, ale w pojedynku na same miecze nawet on nie dorówna mistrzowi.

Zanim uszkodzone zebra zdążyły mu się zagoić, znowu poproszono Jonasza, żeby wziął udział w turnieju. Za przeciwnika ponownie miał Angela Costę, tyle że sam pojedynek wyglądał trochę inaczej. Tym razem, przybrany znowu w pełną zbroję, dosiadał bojowego siwego araba, trzymając w ręku podobnie jak Angel długą kopię zakończoną drewnianą kulą. Dla większego bezpieczeństwa omotano ją z wierzchu warstwą pakuł i kawałkiem worka. Na znak dany przez mistrza ruszyli ku sobie galopem.

Gdybyż to umiał jeździć na takiej ognistej bestii! Nie musiałby wtedy myśleć jedynie o tym, jak utrzymać się w siodle, całkiem

zapominając o kopii, której kulisty czubek, zamiast godzić w przeciwnika, to zataczał wariackie kręgi, to znów podskakiwał na wszystkie strony zależnie od beładnych ruchów jego ciała. Siwy ogier tymczasem niósł go w stronę drewnianej przegrody dzielącej obu zawodników. Była ona tej wysokości, że chroniła przed zderzeniem konie, ale nie jeźdźców.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Jonasz nie zdążył nawet pomyśleć o taktyce. Pamiętał tylko nagły łoskot końskich kopyt, gwałtownie rosnącą mu w oczach kulę na kopii Angela, która raptem zrobiła się wielka jak księżyc i... z ogromnym impetem gruchnął o ziemię.

Leżąc jak krowa z przetrąconym grzbietem, usłyszał parę wiwatów. Aplauz nie był zbyt wielki, bo nikt tutaj nie lubił Costy. Tylko Luis donośnie dawał upust wesołości. Wciąż jeszcze ryczał ze śmiechu, gdy Paco przy pomocy paru ludzi uwolnił wreszcie od zbroi niefortunnego rycerza. Przestał dopiero wtedy, gdy tak się już uśmieł, że łzy pociekły mu z oczu. Jonasz nie mógł nawet mieć mu tego za złe; jemu także chciało się płakać – z upokorzenia i wstydu.

Zaraz po południu, skrzętnie starając się ukryć, że lekko kuleje, udał się do wędzarni, gdzie zastał swojego pogromcę przy kamiennym kole do ostrzenia strzał. Costa wydawał się tak tym zajęty, że nie zaszczycił gościa nawet przelotnym spojrzeniem, a jego pozdrowienie puścił mimo uszu.

– Wiem, że nie umiem walczyć... – zaczął Jonasz.

Costa parsknął śmiechem, który zabrzmiał całkiem jak szczeknięcie psa.

– Ani trochę!

– Ale bardzo chciałbym się tego nauczyć – mówił dalej Jonasz. – Przychodzę więc spytać, czy bylibyście skłonni udzielić mi jakichś



instrukcji.

Costa posłał mu drwiące spojrzenie spod zmrużonych powiek.

– Nie udzielam lekcji – prawie wypluł te słowa, sprawdzając równocześnie palcem grot strzały. – Mogę jedynie powiedzieć, co powinieneś zrobić, aby osiąść umiejętności, które pozwoliłyby ci stanąć ze mną w szranki. Idź na wojnę z Maurami i potykaj się z nimi przez dwadzieścia lat, zabijając ich wszelką możliwą bronią, a jak trzeba, to i gołymi rękami. Jak którego utrupisz, odcinaj mu tę jego obrzezaną pytę, a gdy zbierzesz ze sto takich trofeów, przyjdź do mnie i rzuć mi wyzwanie. Porównamy swoje kolekcje, a potem chętnie cię zabiję. Tak szybko, że nawet nie poczujesz.

Manuel Fierro okazał się bardziej litościwy.

– Znów klęska, co, Ramón? – zapytał z humorem, natknąwszy się na Jonasza po jego wyjściu z wędzarni. – Nie jesteś ranny?

– Nie, mistrzu, ucierpiała tylko moja duma.

– Udzielę ci zatem paru rad. Pierwsza: ruszając z miejsca, musisz mocniej trzymać kopię. Chwyć ją oburącz, a na koniec przyciśnij łokciem do boku. Druga: ani na chwilę nie spuszczaaj oczu z przeciwnika. Musisz śledzić każdy jego ruch i tak wodzić za nim kopią, by jej czubek zawsze godził w ciało. Pojmujesz, co mówię?

– Pojmuję, mistrzu – powiedział Jonasz z taką rezygnacją, że Fierro nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Nie trać nadziei, mój chłopcze. Musisz tylko pewniej jeździć konno. Wiesz, jeździec i koń powinni stanowić jedno. Kiedy to osiągniesz, będziesz mógł spokojnie puścić lejce i skupić całą uwagę na kopii. W dni trochę wolniejsze od zajęć pozwalałam ci ćwiczyć na tym siwym koniu. A jak skończysz, dobrze go oporządź, napój i zadaj mu paszę. Zobaczysz, że i tobie, i jemu wyjdzie to na dobre.

Powróciwszy do chaty, Jonasz poczuł się tak zmordowany, że mógł tylko z westchnieniem rzucić się na siennik.

– Dobrze, żeś przeżył. Ten Angel to podlec jakich mało – odezwał się ze swego kąta Vicente. Wyglądał już i mówił zupełnie przytomnie.

– Gorączka ci nie wróciła?

– Ano nie.

– To dobrze, rad jestem widzieć cię w zdrowiu.

– A ja dziękuję ci za starania. – Vicente odkaszlnął, by przeczyścić gardło. – W tej malignie nawiedzały mnie straszne sny. Musiałem pewnie bredzić od rzeczy.

– Tylko trochę – uśmiechnął się Jonasz. – Modliłeś się o coś. Parę razy wzywałeś Świętego Pielgrzyma.

– Doprawdy?

Na chwilę zapadło milczenie, po czym stary z wysiłkiem usiadł na pościeli.

– Muszę powiedzieć ci o czymś, Ramónie. To rzecz wielkiej wagi, lecz chcę się nią z tobą podzielić, bo tylko ty troszczyłeś się o mnie w chorobie – wydyszał z niezwykłym przejęciem. Głos tak mu się łamał, że Jonasz ogarnął niepokój: czyżby nawrót maligny?

– Cóż to takiego, Vicente?

– Ja go znalazłem!

– Kogo?

– Santo Peregrino el Compasivo! Świętego patrona pielgrzymów!

– Co ty mówisz, Vicente? – Jonasz zaniepokoił się jeszcze bardziej. Gorączka mogła wrócić, już tak przecież było w ciągu ostatnich trzech dni, tyle ich bowiem minęło od owej krytycznej nocy.

– Myślisz, że straciłem rozum?

To również było możliwe. Vicente, jak wielu sędziwych ludzi, mógł popaść w nieszkodliwy obłąd. Co on robi? zastanawiał się Jonasz, widząc, że stary niezdarnie gmera pod siennikiem. Jego

zdziwienie wzrosło, kiedy odnalazłszy to, czego szukał, Vicente podpełzł do niego na czworakach i wcisnął mu coś do ręki.

– Weź to – wychrypiał.

Jonasz wyczuł dotykiem, że ów przedmiot jest mały i bardzo kruchy. Podniósł go do góry i zbliżył do światła, lecz i teraz nie stał się mądrzejszy.

– Cóż to takiego?

– Kość! Kość z palca tego świętego! – Vicente kurczowo ścisnął go za ramię. – Musisz iść ze mną, Ramónie! Sam zobaczysz! Pójdziemy? W niedzielę rano!

Jonasz zaklął w duchu: w niedzielę! Robotnicy mieli wtedy wolne pół dnia, żeby mogli pójść do kościoła. On miał je tylko dla siebie – na wspomnienia i własne modlitwy. W najbliższą niedzielę zamierzał też skorzystać z rady mistrza i zawrzeć bliższą znajomość z arabskim ogierem. Nie uśmiechało mu się wcale trwonić tych paru jakże cennych godzin na mrzonki starego dziwaka, obawiał się jednak, że jeśli odmówi, Vicente nie da mu spokoju.

– Nie wiem, czy w niedzielę obaj będziemy mogli chodzić, ale jeśli tak, to pójdziemy – obiecał, zwracając rzekomą relikwię.

Tak jak przewidywał, Vicente przez następne dni zamęczał go gadaniną o swoim wielkim odkryciu. W takich chwilach zaczynał się znów zachowywać jak człowiek niespełna rozumu, pod innymi względami wszakże wydawał się całkiem zdrowy. Poruszał się żwawo, wróciła mu też ochota do jadła i trunku, w niedzielę rano wyruszyli zatem w drogę.

Po przejściu piaszczystej mierzei łączącej skałę Gibraltaru z lądem skręcili na wschód, a pół godziny później idący przodem Vicente oświadczył:

– To tutaj.

Tutaj? Jonasz widział przed sobą zwykłą piaszczystą ziemię poprzecinaną mnóstwem granitowych odkrywek – niskich poszarpanych skałek. Miejsce nie wyglądało na takie, gdzie można dokonać wielkiego odkrycia. Nie zdradzając jednak swoich wątpliwości, posłusznie szedł za Vicentem, który tak rażno forsował kamienne kopce, jakby kilka dni temu wcale nie był chory. Odnalazłszy poszukiwane miejsce, triumfalnie wskazał je ręką. Była to grupa skałek podobna do wielu innych, tyle że w samym środku widniała szeroka szczelina, do której prowadziło coś na kształt naturalnej kamiennej pochylni. Trzeba było stanąć na jej szczycie, by zobaczyć wejście do jaskini.

Jonasz rozdmuchał żarzące się węgle, które Vicente przyniósł w metalowej puszcze, i zapaliwszy od nich dwa ogarki, zapuścili się w mroczny otwór. Jaskinia przypominała wielkością pieczarę Minga w Sacromonte; było tu też równie sucho, gdyż w razie deszczu cała woda spływała po pochyłości, wsiąkając w widoczną poniżej otworu sporą piaszczystą łachę. U swego końca kamienna komnata zwężała się w ciasną szczelinę, która pewnie gdzieś dalej musiała wychodzić na powierzchnię, gdyż czuć było powiew świeżego powietrza.

– Spójrz tu! – szepnął Vicente.

W pełgającym świetle ogarka Jonasz zobaczył biały ludzki szkielet. Górna połowa wydawała się nietknięta, lecz kości obu nóg musiał ktoś przesunąć, leżały bowiem dalej, niż powinny. Przyjrzawszy się z bliska szczątkom, zauważył na nich wyraźne ślady zębów. Musiały tu żerować jakieś zwierzęta. One też pewnie, przyciągnięte wonią potu i zawartej w nim soli, pożarły ubranie zmarłego, a zajęły się tym tak gorliwie, że tylko tu i ówdzie pozostały kłaczki materiału.

– Patrz! – rozległ się okrzyk Vicentego – A nie mówiłem?

To, co wskazywał Vicente, przypominało najprostszy ołtarz ułożony z trzech równo przyciętych gałęzi. Stały przed nim trzy gliniane garnki. Ich zawartością też niewątpliwie już dawno napasły się jakieś stworzenia.

– Myślę, że składano tu ofiary jakiemuś pogańskiemu bóstwu – rzekł Jonasz.

– Nie! – żywo zaprotestował jego towarzysz, oświetlając przeciwległą ścianę. – Przypatrz się temu!

Pod ścianą stał wielki krzyż, a obok, wyryty w kamieniu, widniał wizerunek ryby, znak pierwszych chrześcijan.

– Kiedy to znalazłeś? – spytał Jonasz w drodze powrotnej.

– Może w miesiąc po tym, jak do nas przybył. Zaczęło się od tego, że wszedłem w posiadanie flaszki wina...

– Jak to? Czyżbyś ją znalazł?

– Wyznaję, że ją ukradłem. Bernaldowi. Lecz wiedz, że do tego czynu musieli mnie skłonić aniołowie. Trzeba mi było, pojmujesz, udać się gdzieś na ubocze, by nikt nie przeszkadzał mi w picciu, no i nogi same zaniósły mnie prosto w to miejsce.

– I co chcesz teraz uczynić z tym swoim odkryciem?

– Są u nas tacy, co dobrze płacą za święte relikwie. Chciałbym, abyś w moim imieniu dobił z nimi targu. Postaraj się uzyskać jak najwyższą cenę.

– O nie!

– Dobrze ci za to zapłacę, ma się rozumieć.

– Nie.

Vicente chytrze zmrużył oko:

– Aha, widzę, że nieźle umiesz się targować! Zgoda, dostaniesz połowę, obiecuję!

– Och, wcale mi o to nie chodzi. Mówię nie, bo z handlarzami relikwii nie chcę mieć do czynienia. Przecież to źmije, Vicente,

jadowite żmije! Gdybym był tobą, poszedłbym do kościoła... Jakże zwie się wasz proboszcz?

– Ojciec Vasquez.

– Właśnie. Przyprowadziłem tu tego księdza i pokazał mu szkielet. Niechby on powiedział, czy to naprawdę szczątki jakiegoś świętego.

– Nie! – Vicente wyglądał znowu jak w malignie. Twarz poczerwieniała mu z gniewu. – Sam Bóg kierował moimi krokami, to On przyprowadził mnie do świętego! Pewnie sobie pomyślał: „Ten Vicente nie jest taki zły, chociaż ma słabość do trunków. Kiepsko mu się wiedzie, więc ofiaruję staremu fortunę, by choć pod koniec swych dni zaznał odrobinę wygód!”

– Zrobisz, jak zechcesz, Vicente, ale ja ci w tym nie pomogę.

– Więc trzymaj gębę na kłódkę. Nikomu ani słówka o tym, coś tu widział.

– Chętnie o wszystkim zapomnę.

– Bo jeżeli zamýślasz sprzedać relikwie za mymi plecami, to przysięgam, że dopilnuję, abyś gorzko tego pożałował!

Jak możesz tak do mnie mówić? pomyślał zdumiony Jonasz. Widać bardzo krótką masz pamięć.

– Rób sobie, co chcesz, Vicente, handluj nawet z samym diabłem!  
– rzucił sucho.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.

## **Rozdział 24**

### ***Wybrany przez Boga***

Kiedy rankiem w następną niedzielę Jonasz wraz z siwym arabem cichaczem wymykał się z kuźni, wszyscy jeszcze spali. Podczas tej pierwszej sekretnej wyprawy nie stawiał sobie zbyt

wygórowanych celów; próbował jedynie oswoić się z koniem, uwolnić od lęku przed siedzeniem na grzbiecie takiej końskiej bestii. Dopiero po czterech tygodniach odważył się puścić wodze. Obyło się bez upadku, nabrał więc otuchy, pomny wszakże wskazówek mistrza, wiedział, że na tym nie koniec. Nie wystarczy utrzymać się w siodle, mówił Fierro, trzeba nauczyć się jeszcze wydawania koniowi komend bez użycia cugli i wędzidła. Podał mu też kilka takich komend: uderz go piętami, to pójdzie galopem, raz ściśnij mu boki, zatrzyma się w miejscu, a gdy szybko powtórzysz to kilka razy, zacznie się cofać.

Jonasz przekonał się ku swej radości, że koń rozumie wszystkie te instrukcje i wypełnia je bez uchybień. Mistrz Fierro dobrze go wyszkolił. Zaczął teraz ćwiczyć zawzięcie, powtarzając wszystko po wielekroć. Nauczył się przy tym panować nad własnym ciałem. Zrozumiał, że kiedy koń rusza galopem, trzeba się unieść w strzemionach, a gdy zwalnia, opaść na siodło, i że wydając komendę „stój”, musi być przygotowany na wstrząs. Wkrótce potrafił już także wykonywać gwałtowne zwroty i uchylać się przed przeciwnikiem.

Czuł się zupełnie jak giermek, który wkrótce zostanie rycerzem.

Czas mijał jak z bicza strzelił. Zaczynał terminować późnym latem i zanim się spostrzegł, już była wiosna. Tu, na dalekim południu Hiszpanii, wcześniej robiło się ciepło. Pewnego pięknego dnia Manuel Fierro, przyjrawszy się bacznie wszystkim częściom zbroi hrabiego Fernána Vaski, polecił Luisowi połączyć je w całość. Gotową zbroję wraz z pięknym mieczem wykutym przez Paca Parmientę wystawiono na dziedzińcu, aby wszyscy mogli je podziwiać. Stały tam dumnie, lśniąc takim blaskiem, że raził oczy, mistrz zaś oznajmił pracownikom, że zamierza niebawem wyprawić

je do Tembleque pod opieką kilku zaufanych ludzi, dopiero wtedy jednak, gdy pokończą pilne zamówienia.

Podziałało to na wszystkich jak ostroga; z kuźni i pracowni płatnerzy niósł się dwakroć szybszy stukot młotków. Satysfakcja z ukończenia trudnego przedsięwzięcia, a pewnie i sama wiosna dodały również wigoru mistrzowi, gdyż raptem oświadczył, że nim wyśle w drogę posłańców ze zbroją, chce urządzać jeszcze jeden turniej.

Jonasz, usłyszawszy tę zapowiedź, przez dwie kolejne niedziele wymykał się rannem na odległe pole, by zgodnie z radami mistrza opanować teraz jazdę z kopia. Wybrawszy sobie za cel jakiś krzak, wypuszczał konia galopem, starając się przy tym tak mocno i pewnie dzierżyć drzewce, by kulisty czubek ciężkiej broni ani na moment nie zbaczał z celu. Po gwałtownym najeździe na krzak natychmiast zawracał konia i zaczynał wszystko od początku.

Vicente tymczasem zniknął gdzieś na długie godziny. Kilka razy wrócił późną nocą, a spity być musiał na umór, bo ledwo padł na posłanie, zaczynał chrapać jak niedźwiedź. Tadeo Deza, z którym Jonasz widział się w tym czasie w sklepie Joségo Gripy, bardzo cierpko wyrażał się o krewniaku:

– Upija się tak prędko, że wstyd na to patrzeć! I każdemu, od kogo wyżebrze bodaj kubek najlichszego wina, opowiada niestworzone rzeczy!

– A co takiego?

– Że Bóg uczynił go swoim wybrańcem! Powiada, że odnalazł kości jakiegoś świętego i że wkrótce wszystkich zadziwi hojną ofiarą, którą zamierza obdarować Kościół! On, który nie ma czym płacić nawet za to marne wino!

– No cóż... – bąknął zakłopotany Jonasz – nikomu tym przecież nie szkodzi... najwyżej sobie...



– Skaranie boskie z takim krewniakiem – westchnął Tadeo Deza. – Zapije się w końcu na śmierć.

Kiedy Manuel Fierro zapytał Jonasza, czy zgadza się zmierzyć raz jeszcze z Costą, można było pomyśleć, że mistrz pragnie się przekonać, jaki pożytek przyniosły niedzielne wyprawy z koniem. Jonasz zastanawiał się nawet, czy nie po to właśnie urządza turniej.

Tak czy inaczej, już dwa dni później rześkim wiosennym rankiem Paco nakładał mu znowu tę samą co przedtem pokiereszowaną zbroję, po drugiej zaś stronie areny Luis ubierał Angela Costę. Obaj urządzali sobie prześmiewki, udając, że jeden jest giermkim, a drugi rycerzem i że ów pojedynek przejmuje ich śmiertelną trwogą.

– Ach, spójrz – wołał Costa – z kim mi się przyjdzie potykać! To przecież jakiś wielkolud! O, biada mnie nieszczęsnemu! Cóż radzisz nam począć, mój wierny sługo?

Luis w odpowiedzi złożył ręce i wzniosł je do góry, jakby błagał niebiosa o litość, po czym obaj ryknęli śmiechem.

Na to już nawet dobroduszny Paco poczerwieniał z gniewu:

– Nikczemnicy! Przydałaby im się nauczka!

Obu zawodnikom trzeba było pomóc w dosiadanu koni, Costa jednak uczynił to zręcznie i szybciej. Jonaszowi udało się w końcu przerzucić nogę przez grzbiet siwego ogiera, kosztowało go to wszakże tyle wysiłku, że postanowił później opisać tę trudność mistrzowi. Ale on to pewnie już wie, pomyślał, napotkawszy uważne spojrzenie Fierry.

Kiedy obaj z Costą siedząc na koniach ustawili się na liniach twarzami do siebie, Jonasz starał się udawać trwogę – lewą ręką kurczowo ścisnął lejce, w prawej kołysała mu się opuszczona kopia – lecz gdy tylko mistrz machnął chustką, natychmiast odrzucił wodze i mocno uchwycił drzewce, jego arab zaś runął naprzód.

Po dziesiątkach najazdów na krzak nie czuł już strachu na widok zbliżającego się jeźdźca; teraz widział w nim tylko cel, w który należy trafić. I oto kulisty czubek jego kopii sam jakby odnalazł środek napierśnika Costy, broń Angela tymczasem przemknęła mu obok ramienia, nie czyniąc najmniejszej krzywdy. Przez moment krótki jak mgnienie oka odczuwał już radość zwycięstwa, nim spostrzegł, że połowa jego kopii wielkim łukiem wzbija się w powietrze. Zobaczył też, że Costa, choć zachwiał się w siodle, odzyskał zaraz równowagę. Minęli się pełnym galopem, każdy dojechał do swego końca przegrody i tam też obaj zawrócili konie.

Widząc, że mistrz Fierro nie zamierza przerywać zawodów, Jonasz odrzucił ułomek kopii i choć nie miał broni, bez wahania popędził znów naprzód. Kula na drzewcu Angela ogromniała mu w oczach, lecz i teraz nie czuł przed nią strachu. W ostatniej chwili, gdy dzieliło ich już tylko jedno uderzenie kopyt, ścisnął kolanami końskie boki i jego rozpędzony arab nagle stanął w miejscu. Kopia Costy minęła go może o piędź; była tak blisko, że uchwycił ją i szarpnął z całej siły, sygnalizując zarazem mądrymu zwierzęciu: „Do tyłu!” Costa, szarpnięty z podwójną siłą, wypuścił kopię i tylko dzięki temu nie wyleciał z siodła. Rozjechali się znowu i po kolejnym nawrocie teraz Jonasz był górą: miał w ręku zdobyczny oręż, a przed sobą nieuzbrojonego rywala.

Gromkie wiwaty widzów brzmiały mu w uszach jak muzyka i w tejże chwili mistrz Fierro zasygnalizował: „Koniec!”

– Dobrześ się sprawił! Zuch z ciebie, chłopcze! Pięknie go zażyłeś!  
– powtarzał uradowany Paco, pomagając Jonaszowi zdjąć zbroję. – Myślę, że Manuel chciał oszczędzić Angelowi wstydu i dlatego zakończył pojedynek.

Jonasz zerknął spod oka na przeciwników. Costa już się nie śmiał. Luis, stojąc przed mistrzem, kierował do niego jakieś gwałtowne

protesty, mistrz jednak nie wydawał się tym poruszony.

– Zły to dzień dla naszego zbrojmistrza – zachichotał Paco.

– Niby czemu! Utrzymał się przecie w siodle. Pojedynek nie został rozstrzygnięty.

– I dlatego się wścieka! Dla takiego zbroja jak Angel nie odnieść zwycięstwa to zupełnie to samo, co ponieść klęskę. Nie pokocha cię on za to, Ramónie Callicó!

Jonasz poczuł się rozczarowany, gdy po powrocie z turnieju nie zastał w chacie starego. Wśród widzów też go nie było. Szkoda. Miał wielką ochotę pogadać o swoim sukcesie. Brakowało mu kogoś, z kim mógłby dzielić radość. Z podniecenia nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wyczerpała go ta walka, czuły to jednak jego mięśnie i nerwy, toteż ledwo położył się na pościeli, zasnął jak zabity. Obudził się dopiero rano. Rozejrzawszy się po chacie, stwierdził, że jest pusta. Wyglądało na to, że Vicente nie wrócił na noc.

Paco i Manuel byli już w warsztacie. Mistrz uśmiechnął się na powitanie.

– Dobrze się wczoraj spisałeś.

– Dziękuję, señor – Jonasz poczuł miód w sercu.

Polecono mu ostrzyć sztylety, zasiadł więc do pracy, lecz nieobecność starego dziwaka coraz bardziej nie dawała mu spokoju: wszak dotąd się to nie zdarzyło!

– Señor Paco, czyście widzieli dziś Dezę albo wy, mistrzu? – spytał po chwili.

Obaj pokręcili głowami, że nie.

– Pytam, bo nie spał dziś w chacie.

– Pewnie się upił i chrapie gdzieś pod drzewem – odrzekł Paco i nagle zamilkł, przypomniawszy sobie pewnie, że stary opój cieszy się wielką atencją mistrza, choć trudno pojąć, z jakiego powodu.

– Miejmy nadzieję, że nie wróciło mu to choróbsko – westchnął Fierro. – Oby tylko nie spotkało go nic złego. – Widać było, że jest zaniepokojony.

Jonasz, równie strapiony, pokiwał głową.

– Chciałbym go zobaczyć, kiedy się zjawi – dodał mistrz. – Zawiadomcie mnie, jak tylko wróci.

Gdyby podczas robienia rachunków mistrzowi nie zabrakło inkaustu, Jonasz nie byłby świadkiem odnalezienia swego współlokatora, wysłany wszakże do miasta po parę uncji atramentowego proszku, zbliżał się właśnie do sklepu Joségo Gripy, gdy od nabrzeża doszło go jakieś larum.

– Topielec! Topielec! – rozległy się krzyki.

Z różnych stron biegli tam już ludzie, pobiegł więc i on. Na miejscu wypadku zjawił się akurat w chwili, gdy z wód cieśniny wydobyto zwłoki. Rozpoznał je od razu: Vicente! Spod rzadkich kosmyków pozlepianych włosów wyzierała głęboka rana, ze zmasakrowanej twarzy martwo patrzyły otwarte oczy...

– Gdzież on się tak pokaleczył? – wyszeptał Jonasz ze ściśniętym sercem.

– Spadł pewnie z nabrzeża i potłukł się biedak o skały – powiedział cicho José Gripo.

Tadeo Deza, który słysząc krzyki wyszedł zobaczyć, co się dzieje, najpierw stanął jak wryty, a potem upadł na kolana i przytulił do piersi poranioną głowę krewniaka.

– Vicente... Vicente... – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Dokąd zaniemiemy ciało? – Jonasz rozejrzył się po ludziach.

– Mistrz Fierro go lubił – odrzekł Gripo – może więc pozwoli mu spocząć u siebie za kuźnią.

Kilku ludzi wzięło na ramiona ciało starca; Gripo, Jonasz i Deza zamykali ów smutny pochód.

– Jako chłopcy kochaliśmy się jak bracia – szeptał wstrząśnięty Tadeo. – Nigdyśmy się nie rozstawali... Później... cóż, Vicente miał swoje wady... w sercu jednak pozostał dobrym człowiekiem, a ja... – urwał i wybuchnął płaczem.

A tak źle o nim mówiłeś, kiedy żył, pomyślał Jonasz.

Gripo miał słuszność mówiąc, że Manuel Fierro zechce oddać ostatnią posługę biedakowi, którego za życia darzył tak bezinteresowną życzliwością, jakby należał do jego rodziny. Vicente spoczął na jego ziemi, w niewielkim zielonym zakątku za warsztatem Paca Parmienty. Wszyscy ludzie mistrza, zwolnieni na ten czas z obowiązków, uczestniczyli w złożeniu ciała do grobu. W skupieniu wysłuchano egzekwii odprawionych przez ojca Vasqueza, po czym wszyscy rozeszli się do pracy.

Ta śmierć rzuciła swój cień na Jonasza. W chacie zrobiło się nagle straszliwie pusto i cicho. Przez ponad tydzień po pogrzebie zrywał się w środku nocy i do rana nie potrafił zmrużyć oka. Przytłaczała go martwa cisza zionąca z kąta, gdzie sypiał Vicente. W dzień było lepiej – absorbowowała go praca.

Wszyscy teraz uwijali się jak w ukropie, starając się pokończyć pilne zamówienia, aby ludzie wyznaczeni przez mistrza mogli wreszcie wyruszyć do Tembleque z mieczem i zbroją wielmożnego hrabiego Vaski. Dlatego też Manuel Fierro był trochę niezadowolony, kiedy przybiegł chłopiec z wiadomością, że do Gibraltaru przybył właśnie krewniak señoora Callicó i czeka na niego w karczmie.

– Rozumie się, że musisz iść – zdecydował Fierro – byleś tam zbyt długo nie mitrężył.

Jonasz wymamrotał jakieś słowa podziękowania, starając się nie okazać, w jaki popłoch wprowadziła go ta wiadomość. Do miasteczka umyślnie szedł noga za nogą, by trochę uporządkować myśli. Stryj

Aron? Niemożliwe. Już choćby dlatego, że on by nie szukał Ramóna Callicó! Wszak to nazwisko wyssane z palca! Taki człowiek w ogóle nie istnieje! A może jednak? A jeśli gdzieś tutaj mieszka prawdziwy Ramón Callicó i ten nieznajomy naprawdę jest jego krewnym?

Przed karczmą czekało dwóch mężczyzn z owym chłopcem, co przybiegł do kuźni. Nie znali „krewniaka”, bo dopiero gdy chłopiec pokazał im palcem Jonasza, jeden z nich wręczył mu monetę i pozwolił odejść.

Mężczyzna ów nosił się jak szlachcic: miał na sobie strój z drogiej materii i piękną kolczugę, a twarz okoloną starannie przyciętą spiczastą bródką. Jego towarzysz widać mniej dbał o swoją, bo przypominała szurze gniazdo, odzienie też miał pospolitsze, ale i on nosił miecz. Dwa konie uwiązane do tylnej furtki były dobrej rasy.

– Señor Callicó? – spytał ten z bródką w szpic.

– Tak, to ja.

– Przejdźmy się kawałek. Rad bym rozprostować nogi.

– Jak się nazywacie, señor? I który to z was jest moim krewnym?

– Wszystkich nas stworzył Pan Bóg, czyż więc wszyscy nie jesteśmy krewniakami? – uśmiechnął się nieznajomy. – Nazywam się Anselmo Lavera.

Lavera! Człowiek, o którym mówił Mingo! Przywódca południowej szajki handlarzy kupczących kradzionymi relikwiami! Drugi mężczyzna milczał, Lavera zaś nie uznał za stosowne dokonywać dalszych prezentacji.

– Spotykamy się z wami, señor, na prośbę Vicentego Dezy – oznajmił.

– Vicente Deza nie żyje.

– Cóż za nieszczęście! Wypadek?

– Utonął.

– Jaka szkoda! Ale zdążył nam powiedzieć, że znacie położenie pewnej jaskini...

Jonasz już wiedział: to oni zabili starego!

– Poszukujecie któregoś z pieczar w wielkiej skale?

– Nie, nie w skale. Z tego, co mówił Deza, wiemy z całą pewnością, że znajduje się ona gdzieś dalej. Za cieśniną.

– Żałuję, señor, ale nic mi nie wiadomo o takiej jaskini.

– Rozumiem, że czasem trudno coś sobie przypomnieć, pamięć jednak często powraca, trzeba ją tylko ożywić... Są na to sposoby. Jesteśmy skłonni zacnie was wynagrodzić, jeśli tak się stanie.

– Mówicie, señor, żeście rozmawiali z Dezą. Czemuż więc wam nie powiedział, gdzie szukać owej jaskini?

– Ach, bardzo niefortunnie się złożyło, że odszedł z tego świata! Miał kłopoty z pamięcią, starano się zatem mu pomóc... Niestety, dość niezręcznie i z nazbyt wielkim zapalem.

Jonasz poczuł ciarki na grzbiecie słysząc, z jakim spokojem ten człowiek przyznaje się do zbrodni.

– Nie było mnie przy tym – mówił dalej Lavera – i bardzo tego żałuję. Nie musielibyśmy wtedy was fatygować... A tak... W chwili gdy wasz przyjaciel stał się wreszcie skłonny udzielić potrzebnych wskazówek, n i e m ó g ł, Niestety, już tego uczynić. Ale zapytany o kogoś, kto byłby w stanie nam pomóc, wymienił jedynie wasze nazwisko.

– Dziwne, bo jak już rzekłem, ja nic nie wiem. Popytam tutejszych ludzi. Może ktoś słyszał o tej jaskini – obiecał Jonasz.

– Oglądaliście Vicentego Dezę po śmierci?

– Tak. Byłem tam, gdy wyciągnięto go z wody.

– Biedaczysko. Pewnie kiepsko wyglądał?

– Bardzo.

– Straszne to, ale cóż, morze nie zna litości – stwierdził cynicznie Lavera, świdrując Jonasza wzrokiem. – Spieszno nam teraz w drogę, lecz za kilka dni, nie więcej niż za dziesięć, wypadnie nam tędy wracać. Myślcie więc o nagrodzie, señor, i o tym, co wasz nieszczęsny Vicente radziłby wam uczynić.

Jonasz w owej chwili potrafił myśleć tylko o jednym: za dziesięć dni ci ludzie nie mogą go tu zastać, w przeciwnym razie on również zginie, wszystko jedno, czy im zdradzi, gdzie leżą szczątki świętego, czy nie. Przyznali się wszak do zbrodni, a żaden zbrodniarz nie zostawi przy życiu nikogo, kto by mógł go oskarżyć o morderstwo. Zrobiło mu się niewymownie smutno, bo tu dopiero po raz pierwszy od ucieczki z Toledo znalazł miejsce i pracę, które szczerze polubił. Najbardziej żał mu było opuszczać Manuela Fierre. Szlachetność i dobroć tego człowieka czyniły zeń doprawdy rzadki wyjątek wśród mistrzów.

– Zechciej więc skutecznie pobudzić swą pamięć, przyjacielu – usłyszał znów głos Lavery. Głos ten brzmiał mile dla ucha, wystarczyło wszakże przypomnieć sobie żalosne zwłoki starego Dezy, aby nie mieć złudzeń co do tego, kim jest ów człowiek.

– Zrobię co w mojej mocy – grzecznie odrzekł Jonasz, dodając w myślach: już mnie nie zobaczysz, ty zimny morderco!

– I cóż, widziałeś się z krewniakiem? – spytał Fierro.

– Tak, mistrzu, lecz to dość daleki krewny. Ze strony matki.

– Zawszeć jednak krewny, a rodzinę trzeba szanować. Dobrze, że przyjechał teraz, bo za parę dni już by cię tu nie zastał. Postanowiłem wysłać cię do Tembleque. Pojedziecie we czterech, ty, Luis, Paco i Angel. Costa będzie waszym dowódcą, Paco i Luis w razie czego dokonają wszelkich poprawek, gdyby hrabia miał takie życzenie, ty zaś, Ramónie, zaprezentujesz mu zbroję – oświadczył Fierro. – Powierzam ci to zadanie, bo najczyściej mówisz



po hiszpańsku, umiesz też czytać i pisać. Przywieziesz mi pisemne pokwitowanie hrabiego, rozumiano?

– Tak, señor, wszystko pojąłem – odrzekł Jonasz po krótkiej zwłoce. Kończył właśnie dziękować Bogu za cudowne ocalenie.

Ulga, że uniknie powtórnego spotkania z Laverą, byłaby jeszcze większa, gdyby nie obawa przed powrotem w rodzinne strony. Jonasz z lękiem myślał o Toledo: a jeśli tam ktoś go rozpozna? Odpędził w końcu tę myśl, mówiąc sobie, że opuścił Toledo jako wyrostek, wraca zaś jako dojrzały mężczyzna. Czy w tej twarzy ze złamanym nosem, przesłoniętej w dodatku zarówno gęstą brodą, jak i długimi włosami opadającymi na czoło i policzki, ktokolwiek mógłby się dopatrzeć dawnego Jonasza Toledana? Jedzie tam ponadto jako uczeń sławnego płatnerza z Gibraltaru w towarzystwie trzech jego ludzi. Komu przyszłoby na myśl kwestionować jego tożsamość?

Fierro zebrał wszystkich czterech, by wyłożyć im najpierw, czego oczekuje od całej grupy, później zaś jasno i wyraźnie sformułował powinności każdego z członków wyprawy.

– Nie będzie to bezpieczna podróż – ostrzegł ich na początek – byłoby zatem szaleństwem powiększać zagrożenia przez wzajemne animozje czy swary. Oczekuję od was zgodnego współdziałania. I niech każdy robi, co do niego należy! Dowódcą wyprawy jest Angel. On odpowiada za wasze zdrowie i bezpieczeństwo. Paco z Luisem mają dbać o całość i dobry stan zbroi i miecza, Ramón zaś przekaże je hrabiemu i upewni się, czy jest z nich kontent, czego świadectwem będzie pisemne pokwitowanie, które ma mi przywieźć.

Nie poprzestając na tym, mistrz wypytał jeszcze po kolei każdego ze swych posłańców, czy dokładnie zrozumiał wszystkie instrukcje, i wtedy dopiero zarządził przygotowania do wyjazdu. Sam doglądał

ich baczynym okiem. Żywności mieli wziąć niewiele – parę sakw suszonego grochu i sucharów. „Świeżego mięsa musi wam dostarczać Angel” – zdecydował Fierro. Każdemu z członków wyprawy osobiście przydzielił konia, w trosce zaś o ich dobrą prezencję zakupił nowe ubrania, przykazawszy im wszakże surowo przywdziać je dopiero u celu podróży. Zbroję hrabiego Vaski miały transportować cztery juczne muły. Czterej ludzie dostali też porządne miecze, Costa i Jonasz ponadto stalowe kolczugi. Angel uzupełnił swój ekwipunek parą ogromnych ostróg, gdzieś trochę już zardzewiałych, a do juków zapakował łuk i kilka wiązek zaostrzonych strzał.

– Spójrz na jego minę – szepnął z uśmiechem Parmiento. – Każdy w mig rozpozna, kto tu jest dowódcą. Gdyby nawet chciał ją zmienić, nic z tego. Ta mina przyrosła mu już do gęby.

Jonasz też się uśmiechnął: był ogromnie kontent, że będzie z nim Paco.

Kiedy wszystko było już gotowe, czwórka podróżników udała się na nabrzeże, aby wsiąść na pokład pierwszego przybrzeżnego statku, który zawinie do portu. Statkiem tym – osobliwym zaiste trafem! – okazała się „La Leona”. Stojący na schodkach kapitan każdego z pasażerów witał miłym słowem, a na widok Jonasza, do którego nie odezwał się ani razu podczas jego służby na morzu, wykrzyknął teraz z ukłonem:

– Kogóż to widzę! Miło mi powitać cię znów na „Leonie”, señor!

Ku wielkiemu zdumieniu Angela, Paca i Luisa nadbiegli też zaraz członkowie załogi, by powitać dawnego kolegę. Kilku majtków pomogło Jonaszowi uwiązać zwierzęta do burty na rufie, gdyż jako uczeń on miał sprawować nad nimi pieczę: nosić im siano z ładowni, obrządzać i poić.

Wyłynęli przy dobrej pogodzie, lecz już po dwóch dniach rozpętał się sztorm i Luis dostał morskiej choroby. Angel i Paco czuli się dobrze, a i Jonasz ku swemu zadowoleniu stwierdził, że nic mu nie jest. Co dziwniejsze, na okrzyk bosmana: „Załoga na maszty!”, bez namysłu wspiął się po drabince na sam czubek ogromnego grotu, który dawniej tak go przerażał, i już po chwili, wisząc na linach jak pająk, pomagał majtkom zwijać i mocować żagle. Kiedy wrócił z tej swojej podniebnej podróży, podbiegł do niego Josep, majtek, za którego pełnił kiedyś służbę, i z szerokim uśmiechem poklepał go po ramieniu. W pierwszej chwili Jonasz poczuł z siebie dumę, rozważając jednak później możliwe skutki owego wyczynu, uznał swe zachowanie za zbyt ryzykowne: kolczuga! Gdyby wpadł w niej do morza, poszedłby na dno jak kamień. Postanowił odtąd pamiętać, że tym razem jest tu tylko pasażerem.

W tych okolicznościach wkrótce zaczęła doskwierać mu nuda – podobnie jak wszystkim jego towarzyszom. Angel Costa trzeciego dnia wyjął swój łuk, postanawiając rozerwać się trochę strzelaniem do ptaków.

– Mówię ci, on szyje z łuku jak jaki przeklęty *Inglés* – szepnął Jonaszowi Paco. – Ale nic dziwnego! Urodził się w takiej andaluzyjskiej wiosce, co słynie z łuczników. Jako łucznik też odbył swoją pierwszą służbę w oddziale tamtejszej milicji.

Tym razem wszakże Costa nie zdążył wypuścić nawet jednej strzały, bo nadbiegł Gaspar Gatuellas, krzyząc już z daleka:

– Co wy robicie, señor!

– Mam ochotę ustrzelić parę mew – beztróska odpowiedział Angel.

– O nie, señor! – wykrzyknął wyraźnie wstrząśnięty bosman. – O tym nawet nie myślcie! Nie będziecie tu zabijać ptaków! To

by ściągnęło na nas nieszczęście! Chcecie nas posłać na dno?

Sądząc po wilczym spojrzeniu Costy, awantura wisiła w powietrzu, szczęściem Paco zdołał zręcznie załagodzić sprawę:

– Poniechaj tego, Angel. Wkrótce zejdziemy na ląd, gdzie będziesz sobie polować do woli. Boję się nawet, czy nie obrzydną ci łowy, a pamiętaj, że masz nas żywić.

Ku ogólnej uldze Costa zdjął strzałę z cięciwy i odłożył łuk. Usiedli razem na pokładzie, wpatzeni w otaczający ich wokół jednakowy błękit morza i nieba.

– Opowiedz nam lepiej o wojnie – poprosił po chwili Luis nadąsanego dowódcę.

Zgodził się dopiero po długich naleganiach. Żaden z jego towarzyszy nigdy nie był na wojnie, toteż zrazu słuchali go z ciekawością, jak długo wszakże można słuchać w kółko o krwawych jatkach, puszczaniu z dymem całych wiosek, szlachtowaniu zdobycznego bydła i gwałceniu kobiet?

Wkrótce mieli tego dosyć, a Costa wciąż jeszcze snuł swoje wspomnienia...

Spędzili na statku całe dziesięć dni. Monotonia i nuda rychło zrobiły swoje, wywołując drażliwość i skłonność do sprzeczek. Aby im zapobiec, czterej pasażerowie na mocy milczącej umowy starali się w miarę możliwości trzymać z daleka od siebie. Były dni, gdy nie oglądali się przez kilka godzin. Jonasz przez cały ten czas nie przestawał się głowić, jak wyjść z opresji, w którą go wpędził Lavera. Jeszcze do niedawna wydawało mu się, że powrót do Gibraltaru to pewna śmierć, teraz zaświtała mu nadzieja, że być może sprawa nie jest jeszcze przesądzona, a zaczął tak myśleć po starciu bosmana z Costą. Na statku większą władzę dysponował bosman, dlatego nawet ktoś tak niebezpieczny jak Angel Costa musiał się przed nią ugiąć, co nasuwało kolejny ogólniejszy

wniosek: chcąc unieszkodliwić jedną siłę, trzeba przeciwstawić jej drugą, potężniejszą. Gdyby więc udało mu się znaleźć kogoś silniejszego od Lavery, zdolnego utrzymać go w ryzach, a w ostateczności nawet unicestwić, on, Jonasz, byłby ocalony. W pierwszej chwili uznał ten pomysł za mżonkę – bo niby gdzie miałby szukać takiej siły? – jednakże w miarę jak mijały godziny samotnego wpatrywania się w morze, zaczął z wolna rysować mu się w głowie pewien plan...

W każdym porcie, do którego zawijał statek, czterej podróżnicy sprowadzali z pokładu stadko swoich zwierząt, aby mogły sobie pohasać, toteż gdy „La Leona” dobiła wreszcie do portu w Walencji, zarówno konie, jak i juczne muły były zdrowe i w dobrej kondycji.

W dniach gdy na mocy królewskiego edyktu hiszpańscy Żydzi opuszczali ziemie podległe jurysdykcji Świętego Oficjum, o porcie w Walencji krążyły straszne opowieści. Jonasz słyszał, że statki stały tu burta przy burcie, lecz było wśród nich wiele takich, które wcale nie nadawały się do żeglugi. Przypięto im żagle jedynie po to, by oskubać wygnańców do cna... Na tych, które wychodziły w morze, ludzi upychano w ładowniach ciaśniej niż bydło, a gdy zaczynali chorować, porzucano ich na skałach i bezludnych wyspach. Bywało i tak, że zaledwie statek odpłynął kawałek od brzegu, załogi zaczynały mordować pasażerów, wyrzucając ich ciała za burtę. Teraz jednak panował spokój – w porcie, na morzu i w mieście.

Jonasz dziękował Bogu, że w owych strasznych dniach nie było tu stryja, jego żony i Eleazara. Może dopisało im szczęście, może w którejś z rybackich wiosek trafili na statek z uczciwą załogą i żyją spokojnie gdzieś na obcej ziemi? Wiedział, że nigdy ich już nie zobaczy, a jednak na przekór rozumowi wypatrywał rysów swego brata w twarzy każdego chłopca w jego wieku. Eleazar miałby teraz

trzydzieści lat. Jeśli żyje i pozostał wierny Bogu swoich przodków, może już wchodzić w skład minjanu...

Mówiąc sobie, że zachowuje się jak głupiec, nadal nie przestawał rozglądać się dookoła, otaczały go jednak same obce twarze.

Z Walencji pojechali na zachód. Siwy ogier pozostał w stajni. Ach, żaden z koni niosących członków wyprawy nie mógł się z nim równać! Jonasz miał teraz pod sobą ciemnobrązową kobyłę o płaskich uszach i cienkim ogonie dyndającym jak sznurek pośrodku ogromnego zadu. Wyglądała mało okazale, była jednak niezmordowana i tak łatwo dawała się prowadzić, że zyskała tym jego sympatię. Przodem jechał Angel, za nim Paco z dwoma mułami, dalej Luis z dwoma pozostałymi, Jonasz zaś zamykał pochód. Bardzo dobrze. Był z tego zadowolony.

W drodze każdy urozmaicał sobie czas na swój sposób. Angel zaczynał zniechęcać wyśpiewywać nabożne hymny, tak fałszywie i wrzaskliwie, że brzmiały bardziej jak sprośne śpiewki z burdelu. Wtórował mu Paco głębokim dudniącym basem. Luis przeważnie drzemał sobie w siodle, Jonasz zaś rozmyślał o wielu sprawach. Jedną z nich był plan działania przeciwko Laverze. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że konkurujący z nim handlarze kradzionych świętości muszą mieć swą siedzibę gdzieś nieopodal Toledo... Uczepił się myśli, że jeśli tylko zdoła do nich dotrzeć i podsunąć im dobry powód do pozbycia się groźnego rywala, z pewnością chętnie to zrobią, on zaś będzie ocalony.

Wiele godzin upływało mu także na przypominaniu sobie wersetów z Pisma, hebrajskich słów i melodii, całego owego bogactwa, które kiedyś miał w swym posiadaniu, a które w tak krótkim czasie wyleciało mu z głowy. Zdołał przywołać na pamięć ledwie kilka urywków i choć były w nich luki, wciąż powtarzał je sobie w myślach. Dokładnie udało mu się odtworzyć jedynie

niewielki fragment rozdziału 22 z Księgi Rodzaju, gdyż ten właśnie ustęp wypadło mu wyrecytować, kiedy po raz pierwszy został wezwany do czytania Tory. „I przyszli na miejsce, które mu ukazał Bóg; tam zbudował ołtarz i ułożył na nim drwa, a związawszy Izaaka, syna swego, włożył go na ołtarz na stos drew. I wyciągnął rękę, i porwał miecz, aby ofiarować syna swego”.

Fragment ten zawsze go przerażał. Jakże Abraham mógł nakazać Izaakowi, aby ten narębał drwa na ofiarę całopalną z samego siebie? Jak mógł w ogóle pomyśleć o zabiciu własnego syna? Dlaczego bez wahania spełnił wolę Boga, nie pytając o nic, nie próbując nawet jednym słowem sprzeciwić się Jego okrutnym rozkazom? *Aba* nigdy by nie poświęcił żadnego ze swoich synów, wolał sam się poświęcić, żeby on, Jonasz, mógł żyć. Jeszcze gorsza była inna myśl: skoro Bóg jest sprawiedliwy, dlaczego poświęcił tylu hiszpańskich żydów?

Wiedział, co na to pytanie odrzekłby ojciec lub rabi Ortega: nie wolno kwestionować woli Boga, bo człowiek nie jest w stanie przeniknąć Jego zamysłów. Lecz jeśli ów zamysł wymagał czegoś tak okropnego jak palenie ludzi na stosie, Jonasz nie mógł, nie potrafił pogodzić się z tym bez szemrania. Nie dla takiego Boga stał się Ramónem Callicó zmuszonym uprawiać niebezpieczną grę pozorów, nie dla Niego chciał przetrwać i pozostać żydem. Robił to dla ojca, dla swoich bliskich, w imię tego dobra, którego uczyła Tora. Jego Bóg był Bogiem Miłosierdzia, tym, który nakazał swemu ludowi opuścić domy i iść na tułaczkę, lecz przecież w końcu doprowadził wygnańców do ziemi obiecanej, tak jak im przyrzekł.

Kiedy zamykał oczy, wydawało mu się, że widzi ciągnącą przez pustynię karawanę wozów, a za nimi siebie gdzieś pośród niezliczonej rzeszy strudzonych wędrowców. Widział, jak każdego

wieczoru zatrzymują się na pustyni, jak rozbijają na piasku tysiące namiotów, jak modlą się wspólnie przed Arką Przymierza...

Z owych snów na jawie wyrwał go zwykle głos Angela Costy, który widząc coraz dłuższe cienie ludzi i koni, zarządził postój na nocleg. Uwiązawszy zwierzęta do drzew, mogli iść na stronę za potrzebą i rozprostować zeszywniałe członki, potem zbierali drewno i niecili ogień. Gdy tylko w zawieszonym nad ogniem kociołku zaczynała bulgotać wieczorna polewka, Angel klękał i zaczynał klepać modlitwy, Pater Noster i Ave Maria, zmuszając wszystkich do tego samego.

Jonasz klękał z ociąganiem, zazwyczaj ostatni, lecz zgromiony surowym spojrzeniem dowódcy, spuszczał głowę i zaczynał coś mamrotać. W głosach obu mistrzów brzmiał nie tyle modlitewny zapał, ile raczej ciężkie znużenie, ale może Bóg tego nie słyszał, bo wszystkich zagłuszał Angel, wyszczekując słowa modlitwy jak komendy.

Pierwszego ranka na szlaku bladym świtem udał się na łowy. Jego trzech towarzysze zdążyli zaledwie objuczyć muły, kiedy on już wrócił z ustrzelonym ptactwem: czterema gołębiami i parą tłustych przepiórek. Oskubali je już w siodłach, pozostawiając za sobą długą pierzastą wstęgę. Zatrzymali się potem na krótko, aby upiec mięso nad ogniem, nadziawszy je na świeżo zerwane gałęzie, jeszcze wilgotne od rosy.

Angel bardzo sumiennie wywiązywał się ze swych zadań. Każdego dnia przynosił już to parę zajęcy, już to tyle różnego ptactwa, że jedzenia mieli pod dostatkiem. Jazda bez dłuższych postojów nie stwarzała okazji do waśni, wieczorami zaś zgodnie z poleceniem mistrza każdy starał się zapomnieć o animozjach i zachować spokój.



Jedenastego dnia rozbijając wieczorem obóz, zobaczyli nareszcie mury Tembleque; widać je było tylko przez krótką chwilę, bo zaraz zrobiło się ciemno, nie ulegało wszakże wątpliwości, że nazajutrz dotrą do zamku. Uznawszy, że wypada zmyć z siebie wielodniowy brud, nim przywdzieje nowe ubranie, Jonasz jeszcze przed świtem pobiegł do strumienia. Szczękając zębami w ciemności, pomyślał drwiąco, iż żadna chyba dziewica nie kryje tak skrzętnie swego przyrodzenia jak on, towarzysze zaś, widząc go w nowym stroju, jęli sobie pokpiwać, jak to pilno mu zrobić z siebie „don Ramóna”.

Widok zamku obudził w nim wspomnienia pierwszej podróży z ojcem. I całkiem tak samo jak wtedy strażnik srogo okrzyknął ich z murów, pytając, kto i po co przybywa do zamku, tyle że teraz odpowiedział mu Costa głosem równie tubalnym i srogim:

– Rzemieślnicy z Gibraltaru od mistrza Manuela Fierry z nowym mieczem i zbroją hrabiego Fernána Vaski!

Kiedy podniesiono kratę, wyszedł im naprzeciw nowy rządca, lecz powiedział to samo co przed laty jego poprzednik:

– Wielmożny hrabia Vasca poluje w lasach na północy.

– Kiedy wróci?

– Kiedy zechce – kwaśno odrzekł rządca. Gdy jednak napotkał spojrzenie Costy, czym prędzej zerknął na mury, jakby chciał się upewnić, czy stoją tam nadal jego zbrojni żołnierze. – Pewnikiem długo już tam nie zabawi – dodał mrukliwie.

Costa wycofał się o parę kroków, by naradzić się z towarzyszami.

– Teraz już wiemy, że wieziemy z sobą fortunę. Jak zostaniemy w zamku lub udamy się do miasta z mieczem i zbroją, te albo inne sucze syny mogą podstępnie nas zabić. Kto wie, czy nie sprzedadzą ich potem nawet samemu hrabiemu!

Wszyscy zgodnie przyznali, iż może się to zdarzyć, polecono zatem Jonaszowi podjąć pertraktacje z rządcą.

– Wydano nam rozkaz – oświadczył twardo – iż w razie nieobecności hrabiego miecz i zbroja mają zostać umieszczone w jego skarbcu, wy zaś musicie poświadczyć na piśmie, żeśmy je dowieźli w całości i oddali we właściwe ręce. Jestem pewien – powiedział z naciskiem, widząc gniewną minę rozmówcy – że hrabia bardzo niecierpliwie oczekuje zbroi mistrza Fierry. – Nie musiał dodawać: „I urwie ci łeb, jeśli straci ją z twojej winy”, jako że rozumiało się to samo przez się.

Rządca, nadal wściekły, że jacyś obcy mają czelność mu rozkazywać, poprowadził ich jednak do skarbcza i pokazał, gdzie złożyć przywiezione rzeczy. Jonasz na oczekaniu napisał pokwitowanie, cóż, kiedy wyszło na jaw, iż pewny siebie rządcą wspaniałego zamku kiepsko zna litery, toteż odczytanie paru linijek pisma przy wydatnej pomocy Jonasza zajęło mu sporo czasu. Paco i Luis z podziwem spoglądali na swojego ucznia, tylko Angel, pozbawiony na tę chwilę autorytetu dowódcy, manifestacyjnie patrzył w okno, mrużąc ze złością: „Prędzej, no prędzej, do wszystkich diabłów!”

Po długich a ciężkich cierpieniach rządcą nabazgrał wreszcie swój znaczek.

W pobliżu znalazła się gospoda, a że pozbycie się odpowiedzialności za losy cennego rynsztunku znacznie poprawiło humory czterem podróżnikom, w dobrym nastroju zasiedli za stołem.

– Bogu dzięki, żeśmy bezpiecznie dowieźli tę zbroję – westchnął z ulgą Paco, wyrażając na głos uczucia swych towarzyszy.

– Nareszcie wygodnie się wyśpię. Tego mi trzeba najbardziej – rzekł Luis.

– A mnie trunku! – oświadczył Costa, waląc pięścią w stół.

Wino okazało się piekielnie cierpkie, a przyniosła je przysadzista tęga kobieta o dziwnie zmęczonych oczach. Kiedy napełniała im kubki, Costa niby to niechcący przeciągnął ręką po jej brudnym fartuchu w miejscu, gdzie okrywał mięsiste uda i okazałe pośladki. Gdy nie napotkał oporu, stał się jeszcze śmielszy.

– Urodziwa jesteś!

Obdarzyła go zachęcającym uśmiechem. Widać było, że to dla niej nie pierwszozna, że przywykła do mężczyzn odwiedzających gospodę po długich tygodniach w siodle. Wkrótce oboje z Anzelem odeszli od stołu i stojąc nieopodal, jęli żywo uzgadniać cenę. Dobiwszy targu, skinęli głowami i skierowali się do wyjścia. Angel już prawie od drzwi zawrócił na chwilę do swych towarzyszy.

– Bądźcie tu za trzy dni – zakomenderował. – Pojedziemy wtedy do zamku. Do tego czasu Vasca pewnie wróci z polowania. – Okręcił się na pięcie i podążył za swoją zdobyczą.

## **Rozdział 25**

### ***Toledo***

Paco i Luis nie pragnęli niczego więcej, jak tylko położyć się do łóżka i nareszcie odespać niewygody długiej podróży. Wynajawszy kwaterę w zajeździe, zasnęli, nie domyślając się nawet, że ich uczeń, znany im jako Ramón Callicó, przeżywa właśnie swój sen na jawie, w którym staje się znowu Jonaszem Toledanem, synem złotnika Chilkiasza, powracającym do domu swojego dzieciństwa.

Każde uderzenie kopyt karej klaczy po zalanej porannym słońcem drodze z Tembleque do Toledo przybliżało go ku temu, co minęło, wyzwalając wartki potok wspomnień. Były one tak żywe

i wyraziste, jakby wszystko to działo się teraz. Zaczął nucić tę samą piosenkę, którą kiedyś śpiewał tutaj ojciec:

*O, wilk zamieszka wtedy wraz z barankiem,  
Kozłą z panterą leżeć będą współ,  
Krowa i niedźwiedź karmić się jednako,  
Lew zaś jeść słomę będzie jako wół.*

Widok każdego znajomego miejsca przepęłniał mu serce radością i bólem, słodko-gorzką tęsknotą za dawnym życiem, za przyjaciółmi z dzieciństwa. To tutaj przychodził z chłopakami dyskutować o poważnych sprawach: o lekcjach Talmudu, o tym, co będą robić, gdy dorosną, co to znaczy „obcować z niewiastą” i dlaczego kobiece piersi tak bardzo się różnią wielkością i kształtem...

O, na tej skale siedzieli z Meirem, grając na zmianę na jego arabskiej gitarze. A dwa dni później Meir już nie żył... Daj mu, Panie, wieczny odpoczynek.

Tą ścieżką szło się do domu medyka Bernarda Espiny... Boże, bądź litościw jego katolickiej duszy... Daj i jemu wieczny odpoczynek.

To droga do gaju, gdzie zamordowano Meira.

A na tej łące pasły się kozy i owce Arona. On, Jonasz, pilnował tu nieraz stryjowego stada. Teraz przed domem Arona i Juany zobaczył jakieś nieznajome dzieci.

Odnalazłszy znaną płyciznę, wprowadził konia do rzeki. Promyki słońca odbite w jej przejrzystym nurcie zakłuły go w oczy ostro jak igiełki; spod ciężkich kopyt klaczy wzbiły się fontanny wody, mocząc go aż po uda.

Po chwili zaczęli piąć się po stromym skalistym szlaku. Kolebiąc się na grzbiecie żałośnie niezdarnej klaczy, prychającej raz po raz ze zdenerwowania, z czułością myślał o Mojżeszu. Ten potrafił

stąpać po skałach! Szedł pewnie jak po stole, choć przecież było wtedy ciemno i w dodatku zdążali w dół, a to większa trudność dla zwierzęcia.

Stanął na szczycie urwiska i rozejrzał się dookoła: nic się nie zmieniło. Mój Boże, pomyślał, niezbadane są Twoje wyroki. Nas rozproszyłeś po świecie, wielu posłałeś na śmierć, a te domy jak stały, tak stoją.

Ruszył powoli wąską znajomą drogą biegnącą skrajem urwiska. Wszystko wyglądało tu tak, jak pamiętał. Dawny sąsiad, Marcelo Troca, pielął chwasty w swoim ogródku, obok niego zaś stał osiołek, apatycznie wyjadając odpadki z wielkiej sterty śmieci.

Dom ojca, j e g o dom, stał na swoim miejscu. Zalatywało stamtąd jakimś smrodem wzmagającym się z każdym krokiem. Dom został wyremontowany, ale jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć i uważnie przyjrzał się ścianom, mógł jeszcze tu i ówdzie dostrzec ślady ognia...

Jonasz zatrzymał konia i zeskoczył z siodła.

Widać było, że dom jest zamieszkały. Po chwili ze środka wyłonił się nowy właściciel, który drgnął na widok Jonasza stojącego bez ruchu przed furtką.

– *Buenos días, señor*, macie do mnie jakąś sprawę?

– Nie, tylko raptem poczułem słabość. Pewnie od słońca. Pozwolicie mi schronić się w cieniu za domem? – poprosił Jonasz. – Rad bym choć trochę odpocząć.

Nowy gospodarz, pospolity mężczyzna w średnim wieku, przez chwilę przyglądał mu się podejrzliwie, szacując wzrokiem konia, stalową kolczugę, miecz zwisający u pasa i zatknięty za pas sztylet Minga. Ten obcy brodac z krzepkim ciele i twardym spojrzeniem nie budził w nim zaufania.

- Możecie schronić się w cieniu – przyzwolił z wyraźną niechęcią.
- Mam w domu chłodną wodę. Zaraz wam przyniosę. Na słabość nie ma to jak woda.

Za domem wszystko wyglądało niby tak samo, a jednak inaczej. Skrytka za luźnym kamieniem, gdzie Jonasz pozostawił wiadomość dla brata i gdzie teraz skierował swoje pierwsze kroki, została zamurowana. Kamień ani drgnął. Siedliskiem wstrętnego odoru okazało się miejsce za dawnym warsztatem ojca, gdzie zobaczył półwyprawione i dopiero co zdjęte zwierzęce skóry; część suszyła się na powietrzu, inne mokły w kadziach. Poszukał wzrokiem tego skrawka ziemi, gdzie złożono ciało jego ojca, i ujrział tam drzewo. Był to młody dąbek prawie dorównujący mu już wzrostem.

Pojawił się nowy właściciel domu, przynosząc wodę w drewnianym kubku. Jonasz opróżnił go do dna, chociaż woda nieznośnie śmierdziała skórami.

- Widzę, że jesteście garbarzem – spróbował nawiązać rozmowę.
- Garbuję skóry tylko na własny użytek. Służą mi do oprawiania ksiąg – odrzekł gospodarz, nadal przyglądając się bacznie nieproszonemu gościowi.
- Wolno mi posiedzieć jeszcze chwilę?
- Siedźcie sobie do woli.

Czujny, pomyślał Jonasz, widząc, że mężczyzna nie kwapi się odejść. Boi się, że go okradną? Z czego? Z tych śmierdzących skór? Zaraz jednak uświadomił sobie, że w warsztacie mogą leżeć cenne inkunabuły, a może i złoto potrzebne przecież do tłoczenia liter. Zamknął oczy i zaczął odmawiać kadisza. Mówił go z cichą rozpaczą w sercu, wiedząc już teraz na pewno, że nigdy nie zdoła pogrzebać szczątków ojca w poświęconej ziemi, tak jak mu to kiedyś przyrzekł. Pozostaną na zawsze bezimienne w tym cuchnącym, niegodnym

miejscu. Lecz przysięgam ci, *aba*, że nigdy nie wyprę się swojej wiary i tej obietnicy dotrzymam, wyszeptał bezgłośnie.

Otworzywszy oczy, zobaczył, że czujny gospodarz nadal stoi obok. Teraz dopiero zauważył wystający mu zza pasa wielki zakrzywiony nóż przeznaczony do cięcia skóry. Uzbroidł się pewnie w to groźne narzędzie, kiedy poszedł do domu po wodę. Cóż, broni swego.

Nie żywił urazy do tego człowieka. Podziękował mu za uprzejmość i odszedł. Czuł, że to ostateczne pożegnanie z miejscem, które kiedyś było jego domem.

Synagoga wyglądałaby jak dawniej, gdyby nie zatknięty na jej szczycie wysoki drewniany krzyż. Teraz był tam kościół katolicki. Cmentarz żydowski zniknął. Wszystkie kamienie nagrobne usunięto. W różnych rejonach Hiszpanii Jonasz często widywał takie kamienie wmurowane w ściany nowych domów lub użyte do budowy drogi. Łatwo je było rozpoznać – pozostały wszak na nich hebrajskie napisy. Na dawnym cmentarzu żydowskim w Toledo było teraz wspólne pastwisko. Miejsce spoczynku swych bliskich mógł określić tylko w przybliżeniu, poszedł tam jednak odmówić kadisz. Modlitwa za zmarłych pośród stada kóz i baranów, pomyślał z goryczą. Gdyby ktoś mnie tu teraz ujrzął, rzekłby, iż to nader osobliwy widok.

Jadąc w stronę rynku, spostrzegł zbiegowisko koło miejskich pieców, gdzie ludzie z całego Toledo przynosili swój chleb do pieczenia. Grupa rozwścieczonych kobiet obległa tłustego piekarza, złorzecząc mu okrutnie: wszystkie chleby spalone na węgiel! Jonasz dobrze znał tę piekarnię. Kiedyś była koszerna, więc co piątek przynosił tu parę bochenków domowego chleba. Wtedy prowadził ją Żyd nazwiskiem Vidal, który znał się na swoim fachu. Obecny piekarz nic pewnie nie miał na swe usprawiedliwienie, bo nie próbował się nawet tłumaczyć.

– Ty leniu, ty głupi brudasie! – łajęła go jedna z kobiet, młoda i urodziwa, choć nieco już może zbyt pulchna. Chwyciwszy przypalony bochenek chleba, podsunęła go pod nos winowajcy. – Co ty sobie myślisz? Mam przynosić tu dobry chleb, żebyś ty go zamieniał w psie gówno? Powinnam ci go wepchnąć do gardła, ty tępy spasiony wole!

Odwróciła się, żeby odejść, i teraz dopiero, gdy stanęła do niego twarzą, Jonasz zobaczył, że to Lucía Martín, jego pierwsza młodzieńcza miłość. Prześliznęła się po nim wzrokiem raz, potem drugi, minęła go jednak tak spiesznie, jak jej na to pozwalał ciężki koszyk z przypalonym chlebem. Poczekał, aż zniknie w wąskiej uliczce, i bardzo powoli pojechał tą samą drogą, uważając, by jej nie wyprzedzić, ale jak tylko wydostał się poza domy, wyszła nagle zza drzewa. Czekąca.

– To ty? Naprawdę ty? – Podbiegła i stanęła przy koniu, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

Powinien był zaprzeczyć. Powiedzieć z uśmiechem, że wzięła go za kogoś innego, a potem grzecznie pożegnać. Wiedział, że tak trzeba zrobić, a jednak zeskoczył z konia.

– Witaj, Lucía. Jak ci się wiedzie?

Chwyciła go za rękę, oczy jej rozbłyły:

– Jonasz! Wiedziałam, że to ty, choć trudno mi było uwierzyć, żeś wrócił! Gdzieś ty zniknął? I dlaczego, mój Boże, dlaczego? Mogłeś zostać synem mego ojca! Mogłeś być moim bratem!

Była pierwszą kobietą, którą widział nago. Pozostały mu po niej tak czułe i słodkie wspomnienia, że nawet teraz krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

– Nie chciałem być twoim bratem.

Nie wypuszczając jego ręki z uścisku, opowiedziała mu szybko, że wyszła za męża, trzy lata temu, za Tomása Cabreriza, którego



rodzina ma za rzeką wielkie winnice...

– Nie pamiętasz Tomása?

Tak, Jonasz przypominał go sobie mgliście: ponury, wciąż nadąsany wyrostek, który lubił ciskać kamieniami i urągać Żydom.

– Mam dwie córeczki, a teraz znowu jestem przy nadziei. Modłę się do Matki Najświętszej o syna. – Lucía na chwilę umilkła. Patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, jakby nadal nie wierzyła własnym oczom. Zauważył, że przygląda się kłaczy, jego ubraniu i broni. – Jonasz! Jonasz! Gdzieś ty bywał? Powiedz, jak ci się żyje? Gdzie mieszkasz?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – rzekł miękko. – Jakże się miewa twój ojciec? Zdrowy?

– Nie żyje. Zmarł dwa lata temu. Był całkiem zdrow i raptem pewnego ranka znaleźliśmy go bez życia.

– Och! Niechaj spoczywa w pokoju. – Jonasz powiedział to ze szczerym żalem. Benito Martín zawsze był mu życzliwy.

– Niech Zbawiciel ma jego duszę w opiece. – Lucía przeżegnała się nabożnie. – A wiesz, nasz Enrique wstąpił do zakonu dominikanów – oznajmiła z widoczną dumą.

– A twoja matka? Żyje?

– Żyje. Ale ty, Jonasz, nie pokazuj się jej na oczy. Ona by cię wydała.

– A ty? Ty mnie nie wydasz? – Zaniepokoila go jej pobożność.

– Jak możesz? – W jej oczach błysnęły łzy. Spojrzała na niego gniewnie. – Nigdy bym cię nie wydała! Ani wtedy, ani teraz!

Ze wstydu miał ochotę uciec.

– Pożegnajmy się, Lucío. Idź z Bogiem.

– I ciebie niech Bóg prowadzi. Nigdy cię nie zapomnę, mój najlepszy przyjacielu z dzieciństwa.

Łagodnie uwolnił rękę, lecz nie mógł się powstrzymać, by nie zadać jej jeszcze ostatniego pytania:

– Mój brat... Powiedz mi, Lucío, czy się tu nie pokazał?

– Nie, nigdy.

– I nic o nim nie wiesz? Nie pisał do Enrique?

Pokręciła głową:

– Nie. Nie dostaliśmy żadnej wiadomości ani od Eleazara, ani od nikogo. Och, Jonaszu, spośród wszystkich Żydów, którzy kiedyś żyli w Toledo, tylko ty jeden wróciłeś.

Wiedział już teraz, co powinien zrobić, by uchronić się przed Laverą. Wiedział też, kogo ma szukać. Posuwając się z wolna środkiem miasta, minął dawną dzielnicę żydowską; murów nie zburzono, lecz wszystkie bramy stały otworem. Teraz mieszkali tutaj chrześcijanie. Tuż obok wznosiła się katedra; jej wysokie mury i wieże górowały nad całym miastem.

Na rynku przyległym do tyłów świątyni roiło się od ludzi. Świadom, że w takiej ciżbie może łatwo natknąć się na kogoś, kto rozpozna go tak jak Lucía, Jonasz bał się patrzeć ludziom w twarz. A Lucía... Czy na pewno była z nim szczerą? Przyszło mu na myśl, że do tej pory mogła go zadenuncjować. Być może okrutne szpony inkwizycji czyhają już gdzieś w pobliżu, by zgnieść go jak nędzną muchę. Co krok natrafiał to na żołnierzy, to znów na gwardzistów. Kręciło ich się tu mnóstwo. Zmuszając się do spokoju, rozmyślnie omijał ich bardzo powoli. Na szczęście nie zwracali na niego uwagi. Co najwyżej ktoś czasem obrzucił go krótkim spojrzeniem.

Obiecał solda brudnemu szczerbatemu chłopcu za popilnowanie konia, a sam skierował się do katedry. Wybrał wejście zwane „wrotami radości”. Jako chłopiec zawsze był ciekaw, czy zaraz za tymi drzwiami ogarnia człowieka uniesienie, lecz gdy wszedł do przedsionka, jakoś nic w nim nie drgnęło. Z kościoła wyszedł

jakiś obdartus, zanurzył palce w chrzcielnicy i ukląkł na jedno kolano. Jonasz przezornie odczekał, aż wstanie, i sprawdziwszy, czy nikt go nie widzi, wśliznął się do głównej nawy.

Katedra była ogromna. Wysoką kopułę sklepienia podpierały kamienne kolumny dzielące całą tę otchłanną przestrzeń na pięć naw. Wnętrze przez swój ogrom sprawiało wrażenie niemal pustego, choć klęczało tu wielu wiernych i czarno ubranych duchownych. Falujący szmer modlitw przypominał szum morza. Wystarczyło sobie wyobrazić, jak potężnie muszą brzmieć głosy wszystkich rozmodlonych chrześcijan niosące się ku Bogu z niezliczonych hiszpańskich kościołów, aby zważyć, czy wśród tego chóru Wiekuisty może usłyszeć czyjś głos. Czy choć raz dotarły do Ciebie me prośby? myślał Jonasz. A czy teraz słyszysz moje wołanie? Głos samotnego strwożonego Żyda?

Przejście przez główną nawę zajęło mu długą chwilę, lecz choć bacznie przyglądał się twarzom, nie dostrzegł tu osoby, której szukał. Po wyjściu z mrocznej katedry blask słońca boleśnie uderzył go w oczy. Wręczwszy małemu przyobiecane gołdy, zapytał go, czy zna pewnego mnicha, niejakiego Bonestruce.

Szczerbaty uśmiech zniknął jak zdmuchnięty.

– Tak, señor.

– A wiesz, gdzie bym go mógł znaleźć?

Chłopiec wzruszył ramionami:

– Pewnikiem u dominikanów. Tam mieszka najwięcej mnichów. – Ściskając monetę w umorusanej garści, umknął, jakby go kto gonił.

Naprzeciw siedziby dominikanów Jonasz znalazł podłą spelunkę – trzy deski podparte skrzyniami – gdzie zamówił równie podłe wino i sącząc je po kropelce, zaczął obserwować wejście do klasztoru. Chyba po półgodzinie z drzwi wyłonił się jakiś mnich, po kilku

minutach dwóch księży zatopionych w gorącej dyspacie, po czym znowu nastąpiła dłuższa przerwa.

Lorenzo de Bonestrucza zmierzał dopiero w stronę klasztoru, kiedy Jonasz go zauważył. Rozpoznał go też natychmiast, zaledwie u końca ulicy mignął mu czarny habit. Po wejściu do klasztoru mnich zniknął na tak długo, że Jonasz zmuszony był zamówić jeszcze jeden kubek paskudnego wina. Zostawił je bez żalu widząc, że Bonestrucza wychodzi znów na ulicę. Wskoczył na konia i zachowując bezpieczną odległość, podążył w ślad za zakonnikiem. Okazało się, że mnich zmierza do niewielkiej oberży uczęszczanej głównie przez spóśółstwo imające się najcięższych robót. Minęła chwila, nim Jonasz uwiązał konia. Bonestrucza zdążył w tym czasie nie tylko rozsiąść się za stołem u końca ciemnej piwniczki, ale i pokłócić z właścicielem.

– ... gdyby choć małą zaliczkę na poczet długu... – prosił ów człowiek.

– Jak śmiesz, nędzny łotrze?

Nietrudno było dostrzec, że oberżysta boi się swego klienta. Chyba tylko ostateczna desperacja popchnęła go do prośby o zapłatę, bo po słowach Bonestruczy zaczął giąć się w pokłonach.

– Błagam o wybaczenie, wielebny ojcie! Już podaję wino! Za nic w świecie nie chciałem was urazić.

– Ty łachudro! Za mały jesteś, aby mnie urazić.

Bonestrucza przybrał na ciełe, ale rysy miał piękne jak dawniej: arystokratyczne brwi, wysokie kości policzkowe, długi wąski nos, szerokie usta o zmysłowo pełnych wargach, mocno zarysowany i zarazem pełen wdzięku owal twarzy. Piękno tej twarzy mąciły jedynie wielkie szare oczy. Tyle w nich było pogardy dla całego świata, że robiło się od tego zimno.

Oberżysta z widocznym pośpiechem przyniósł mu kubek wina, z ukłonem postawił go na stole i dopiero wtedy podszedł do Jonasza.

– Kubek wina dla mnie i drugi dla tego zacnego mnicha.

– Tak jest, señor.

Jonasz poczuł na sobie kamienne spojrzenie Bonestruki.

– Bóg zapłać. Niechaj Jezus ma cię w swej opiece.

– Dziękuję, wielbny bracie. Mogę się do was przysiąc?

Odpowiedziało mu obojętne skinienie głową. Przyjmując to za dobrą monetę, wziął swój kubek i usiadł naprzeciw człowieka, przez którego stracił ojca, który zamordował mu brata, który skazał na śmierć Bernarda Espinę i wielu innych zacnych i szlachetnych ludzi.

– Pozwólcie, że się przedstawię: jestem Ramón Callicó.

– Lorenzo de Bonestruca.

Opróżnił duszkiem swój kubek, wychylił darowane wino, a gdy Jonasz zamówił następną kolejkę, krzyknął do właściciela:

– Tym razem przynieś dwa puchary!

– Spędziłem dziś dłuższą chwilę na modlitwie w tutejszej katedrze

– zagaił rozmowę Jonasz. – Piękna budowla. Toledo doprawdy ma się czym poszczycić.

Bonestruca skinął głową z jawnym zniecierpliwieniem. Takim gestem odprawia się intruza. Oberżysta przyniósł dwa puchary.

– Widziałem – brnął dalej Jonasz – że trwają tam jakieś prace?

– Wiadomo mi tylko, że robią coś przy drzwiach – odparł mnich znudzonym tonem.

– Czy i wy, wielbny bracie, służycie Bogu w katedrze?

– Służę Mu gdzie indziej i na inny sposób. – Bonestruca paroma łykami osuszył pękaty puchar.

Jonasz zaczynał się lękać, czy aby jego sakiewka okaże się dość zasobna, by rozmowa przybrała pożądany obrót. Po chwili wszakże zaświtała mu nadzieja, że nie będą to pieniądze wyrzucone w błoto. Oczy jego rozmówcy nabrały życia, ruchy stały się swobodniejsze. Ożywa po winie niczym kwiat po deszczu, pomyślał z ulgą.

– Długo już służycie Bogu, wielebny bracie?

– Od pacholęcia. – Bonestruca rozsiadł się wygodniej.

Wino rozwiązało mu język, stał się więc bardziej rozmowny. Już bez dalszej zachęty zaczął mówić o sobie i swojej rodzinie. Przyszedł na świat w Madrycie jako drugi syn możnego pana.

– Ale „Bonestruca” to nazwisko katalońskie. Moi przodkowie wiele pokoleń temu przybyli do Madrytu z Barcelony.

Wywodzi się bowiem, oświadczył rzeczowo, z bardzo starego rodu, który szczyli się *limpieza de sangre*, najczystsza, najszlachetniejszą krwią. W wieku lat dwunastu oddano go do klasztoru Dominikanów, „na szczęście”, jak się wyraził, gdyż jego „święta matka” pragnęła, by został franciszkaninem jak jej brat, on zaś nie znosi „tych piskliwych żalosnych żebraków”. Był więc ogromnie kontent, kiedy przeważyła wola ojca, który postanowił posłać go do klasztoru dominikanów, miał wśród nich bowiem kilku wybitnych krewnych.

Skończywszy swą opowieść, Bonestruca wlepił wzrok w Jonasza, który nagle skurczył się ze strachu. Dobrze pamiętał te szare przenikliwe oczy! I tak jak kiedyś Bernardo Espina, tak on w tej chwili poczuł się nagi przed tym pięknym, a tak strasznym mnichem. Jakby tamten jednym spojrzeniem wydobył z niego wszystkie grzechy, wszystkie najskrytsze sekrety...

– No a wy? Skąd jesteście?

Świadom, że nie wolno mu ulegać takim myślom, Jonasz wziął się w garść.

– Z południa. Terminuję u mistrza Manuela Fierry, sławnego płatnerza z Gibraltaru.

– Z Gibraltaru! Do kaduka, macie za sobą ładny kawał drogi! I jesteście uczniem płatnerza? Czy więc nie przywieźliście czasem pięknej zbroi niecierpliwie oczekiwanej przez pewnego możnego szlachcica? Mam wymienić jego imię?

Jonasz nie potwierdził, iż domysł był trafny, lecz i nie zaprzeczył. Uśmiechnął się tylko i z wolna pociągnął łyk wina.

– Przybyłem tu z kilkoma towarzyszami. – Powiedział to tak, jakby grzecznie chciał zmienić temat.

Bonestruca, ubawiony widać tą powściągliwością, żartobliwie postukał się palcem po nosie. Miało to oznaczać: mnie nie oszukasz!

Jonasz uznał, że pora wypuścić strzałę. To, gdzie upadnie, było bardzo ważne.

– Poszukuję światłego duchownego, któremu bym mógł się zwierzyć. Pilnie potrzebna mi dobra rada – oznajmił, starając się zaobserwować, z jakim przyjęciem spotka się ta wypowiedź.

Na twarzy rozmówcy zobaczył jedynie zniecierpliwienie i nudę. Aha, bierzesz mnie za petenta, który chciałby się wypowiadać, a siedzenie w konfesjonale to dla ciebie istny dopust boży, choć podobno są wśród was i tacy, co rzucają się na ludzkie grzechy niczym głodny jastrząb na kurę. Pomyliłeś się, mnichu, nie zamierzam prosić cię o rozgrzeszenie.

– Chodzi mi o to – dodał – co powinna zrobić osoba, która uważa, że... hm... odkryła wielką świętość?... Komu pokazać taką rzecz? Musi przecie to być ktoś, kto potrafi ocenić jej wartość.

Tak, to przyniosło pożądaný skutek. Szare oczy patrzyły nań teraz z uwagą.

– Mówicie o jakiejś relikwii?

– Hm... Tak. O relikwii.

– Mniemam, iż nie jest to fragment prawdziwego Krzyża Świętego? – rzucił kpiąco Bonestruca.

– Nie.

– Ha, skoro owa rzecz nie jest świętą drzazgą, to komu ona potrzebna? – mnich po raz pierwszy pozwolił sobie parsknąć śmiechem. Nie był to miły śmiech, a i żart nie wydawał się zbyt przedni. – Mało to mamy fałszywych relikwii? Dajmy na to, iż rzecz, o której mowa, jest kością. Myślicie, że to kość świętego albo męczennika? Akurat! Wyjęto ją z trupa jakiegoś prostaka, woźnicy albo świniarza, którego gwałtem wyprawiono na tamten świat, nim się zdążył wypowiadać ze swych licznych grzechów. Można też trafić gorzej, gdy taki szczątek to kość z dużego palca właściciela burdelu albo pięty jakiejś ladacznicy. Padliście pewnie ofiarą oszustwa.

– To możliwe, wielebny bracie – pokornie zgodził się Jonasz.

– Możliwe! To więcej niż pewne!

Na stole pojawiły się napełnione na nowo puchary. Bonestruca znowu wychylił swój aż do dna, mimo to ciągle był trzeźwy. Należał do takich pijaków, po których nic prawie nie znać, choćby wylali w siebie beczkę trunku. To, co wypił, musiało jednak trochę przytępić mu umysł, rozmyślał Jonasz. Łatwiej byłoby go teraz zabić... Pozwolił sobie poigrać z tą myślą, ale tylko po to, by choć trochę zaspokoić swe pragnienie zemsty. Zabicie Bonestruki byłoby teraz wielkim błędem. Ten morderca musi żyć, jeśli Ramón Callicó chce bezpiecznie wrócić do Gibraltaru.

Skinął na oberżystę i wręczył mu zapłatę, ten zaś poczęstował ich jeszcze chlebem i oliwą, co zdaniem Jonasza było miłym gestem. Ale nie dla Bonestruki.

– Fałszywy chrześcijanin! – mruknął przez zęby. – Parszywa żydowska świnia. Nie ominie go sprawiedliwość.



W ustach Bonestruki słowa te nabierały tak złowrogiej treści, że Jonasz poczuł mróz w kościach. Podczas nocnej wędrówki przez uśpione ulice Toledo nie potrafił pozbyć się myśli, jaki by czekał go los, gdyby został rozpoznany...

## **Rozdział 26**

### ***Bombarda***

Hrabiemu nie było pilno do powrotu – kazał czekać na siebie jeszcze cztery dni.

Jonasz, pomny obietnicy złożonej Bernardowi Espinie na krótko przed jego śmiercią, rozpoczął poszukiwania wdowy po medyku z nadzieją, że zdoła nareszcie zadośćuczynić ostatniemu życzeniu owego zacnego człowieka, przekazując synowi jego brewiarz. Niestety, spotkał go zawód.

– Estrella de Aranda wróciła tu z dziećmi wkrótce po śmierci męża – powiedziała mu jedna z dawnych sąsiadek medyka – krewni bowiem odmówili jej dalszej gościny. Nie chcieli mieć do czynienia z wdową po heretyku, którego spalono na stosie. Udzieliliśmy schronienia jej i tym niebożętom, ale długo tu nie zabawili. Nie minął tydzień, jak zaczęła sposobić się do drogi, mówiąc, że chce zostać zakonnica, bo i cóż miała począć, biedaczka? Poszła do konwentu Santa Cruz i wkrótce tam zmarła... Dzieci przygarnął Kościół, lecz nie wiemy, gdzie teraz są. Słyszeliśmy tylko, że Marta i Domicela rozpoczęły nowicjat i że Francisco też ma zostać mnichem.

Druga ważna dla Jonasza sprawa także nie posuwała się naprzód: rozmowa z Bonestrucą nie przyniosła jak dotąd zamierzonych skutków. Jonasz był pewien, iż mnich ma swój udział w zakazanym, acz nader intratnym handlu relikwiami,

obejmującym tak kradzież, jak i kupowanie cennych świętości, by odsprzedać je później z zyskiem za granicą, spodziewał się zatem, że wkrótce po owym spotkaniu w oberży ktoś nawiąże z nim pertraktacje. Tymczasem dni mijały i nikt się nie zjawiał. Czyżby Bonestruca był bardziej pijany, niż się wydawało, i o wszystkim zapomniał? Jeśli zaś połknął przynętę, dlaczego tak długo zwleka? Wie przecież, że on, Jonasz, pozostanie tu tylko do powrotu Vaski z polowania.

Hrabia pojawił się wreszcie na zamku, pojechali więc dokonać przymiarki nowego rynsztunku. Ujrawszy imponującą postać pana na Tembleque, Jonasz przestał się dziwić ogromnym rozmiarom zbroi. Oprócz krzepkiej postury wielmożny hrabia miał ogniście rudą brodę i także włosy z plackowatą łysiną na czubku głowy, a jego władcze spojrzenie znamionowało człowieka nawykłego myśleć, że wszyscy dookoła stworzeni zostali po to tylko, aby spełniać jego rozkazy.

Wszyscy czterej wysłannicy mistrza Fierry pomagali mu nakładać zbroję, gdy zaś z mieczem w dłoni jął przechadzać się w niej po dziedzińcu, baczny okiem śledzili każdy jego ruch, starając się wywnioskować, jaka też będzie ocena. Wyłoniwszy się w końcu z blach, hrabia wyraził zadowolenie z nowej zbroi, wyjąwszy jedną niewielką usterkę: w prawym ramieniu miał jakoby za mało luzu. Służba w mgnieniu oka zaczęła budować piec we wskazanym miejscu na dziedzińcu, a kiedy rozpalono ogień, Paco i Luis wzięli się do roboty.

Po dokonaniu żądanej poprawki hrabia poprzez swego rządcę zawezwał do siebie Ramóna Callicó.

- Podpisał pokwitowanie? – spytał Jonasz.
- Jest gotowe i czeka na was.

Przechodząc przez tyle zamkowych komnat, że kręciło się od tego w głowie, uświadomił sobie w którejś chwili, że mimo woli rozgląda się dookoła w poszukiwaniu bodaj jednego ze srebrnych przedmiotów wykonanych przez ojca dla hrabiego Vaski. Nie dostrzegł żadnego, lecz przecież widział tylko niewielką część zamku. Czego może chcieć Vasca? zastanawiał się przez całą drogę. Na pewno nie wezwał go w sprawie pieniędzy, te bowiem miały być przekazane do rąk własnych mistrza za pośrednictwem walenckich kupców prowadzących handel z Gibraltarem. Oby tylko mistrzowi powiodło się lepiej niż ojcu, westchnął w duchu. Ten hrabia nie zwykł się spieszyć z zapłatą.

Rządca tymczasem zatrzymał się przed ciężkimi dębowymi drzwiami, zastukał w nie z jawnym respektem i zaanonsował:

- Wasza wielmożność, jest tu ten człowiek, Callicó.
- Niech wejdzie!

Przestąpiwszy wysoki próg, Jonasz znalazł się w długiej mrocznej komnacie. Mimo że dzień był ciepły, w kominku żarzyły się głownie. Dwa spośród trzech ogarów leżących u stóp swego pana na zarzuconej sitowiem posadzce na widok nieznanego czujnie podniosły głowy, trzeci zaś jednym skokiem znalazł się przy Jonaszu, warcząc i szczerząc kły. Powstrzymany w ostatniej chwili ostrym: „Leżeć”, przywarował z wyraźną niechęcią, gotów w każdej chwili wznowić atak.

- Słucham, wasza wielmożność – zameldował się Jonasz.

Vasca skinął głową i podsunął mu pokwitowanie.

- Jestem niezmiernie kontent ze zbroi i miecza. Przekaż me słowa mistrzowi.

- Mistrz Fierro będzie uszczęśliwiony, wielmożny panie.

- Chętnie w to wierzę. Dobrze jest otrzymywać przyjemne wieści. A wiesz, że i do mnie dotarła ciekawa wiadomość? Podobno

odkryłeś cenną relikwię.

Ach, więc tutaj upadła strzała wymierzona w Bonestrucę! Jonasz z wrażenia na moment przestał oddychać.

– To prawda – odrzekł ostrożnie.

– Co to za relikwia? – spytał hrabia, a widząc, że indagowany zwleka z odpowiedzią, przynaglił go niecierpliwie: – No dalej, mówże! Czy to kość?

– Nie jedna. Jest ich dużo. Cały szkielet.

– Czyj?

– Jakiegoś świętego. Niezbyt znany to święty, ale ludzie z Gibraltaru darzą go wielką estymą.

– Chcesz powiedzieć, że to kości Santo Peregrino el Compasivo?

O, Jonasz innym okiem spojrział teraz na tego wielmożę. Taka znajomość rzeczy mogła budzić podziw.

– Tak, to on. Czyżbyście znali tę legendę?

– Znam wszystkie legendy o świętych i ich relikwiach. Ale rad bym wiedzieć, skąd ty masz pewność, że to Święty Pielgrzym?

Jonasz opowiedział mu o starym Dezie i o wspólnej wyprawie do jaskini, opisując szczegółowo wszystko, co tam widział. Vasca wysłuchał go z wielką uwagą, a potem zapytał zniechęcony:

– Czemuż to na powiernika wybrałeś sobie brata Bonestrucę? Dlaczego akurat jego?

– Myślałem, że może zna kogoś... kogo taka rzecz zainteresuje.

– Musiałeś mieć powód, aby tak myśleć, nieprawdaż?

– Cóż... Piliśmy razem wino. Wydawało mi się, że lepiej będzie zwrócić się z tym do mnicha, co lubi pić, niż do jakiegoś skwaszonego księdza, który tylko pokręci nosem i odprawi mnie z niczym.

– Postawmy zatem rzecz jasno: chodziło ci o znalezienie kupca na relikwię, a nie o zwykłego duchownego.

– Tak.

– Chcesz bowiem za swe informacje zażądać wysokiej ceny, czy tak?

– To zależy... Wysoka jest dla mnie, lecz może nie dla innych.

– I przyjechałeś aż tutaj w poszukiwaniu kupca? Czyżby ich nie było na południu?

– Jeden się znalazł. Nazywa się Anselmo Lavera – odparł Jonasz, dodając w duchu: o czym przecież wiesz doskonale.

Nie mając nic do stracenia, opowiedział hrabiemu o śmierci Vicentego i o wizycie Lavery.

– Siedzę teraz w pułapce bez wyjścia – rzekł na zakończenie. – Bo czy zaprowadzę go do tej jaskini, czy nie, jego ludzie i tak mnie zabiją. Rozum mi mówi, że powinienem stamtąd uciekać, ale żal mi pracy! Chcę wrócić do Gibraltaru do mistrza Fierry. Chcę dalej u niego pracować.

– Wymień więc swoją cenę.

– Pragnę pozostać przy życiu.

Vasca pokiwał głową. Jeśli nawet uśmiechnął się w duchu, nie dał tego po sobie poznać.

– Ta cena jest do przyjęcia – oświadczył. – Masz – podał Jonaszowi papier, pióro i atrament – narysuj mapę. Muszę wiedzieć, jak trafić do jaskini.

Jonasz starał się to zrobić najdokładniej, jak umiał, umieszczając na mapie wszystkie znaki orientacyjne, jakie zdołał sobie przypomnieć.

– Jaskinia, wielmożny panie – powiedział oddając rysunek – leży na jałowym pustkowiu i ze szlaku w ogóle jej nie widać. Gdzie spojrzeć, nic tylko piasek i skałki, pośród których rośnie parę krzaków i marnych karłowatych drzewek.

– Dobrze, a teraz zrób kopię tej mapy – polecił mu Vasca. – Zabierzesz ją do Gibraltaru, a kiedy znów nawiedzi cię Lavera, dasz mu rysunek, mówiąc, że nie możesz mu towarzyszyć. Potrafisz chyba wymyślić jakiś powód? Pamiętaj: nie możesz z nim iść do jaskini. Zrozumiałeś?

– Tak, panie, zrozumiałem.

\*

Nie widział już potem hrabiego. Nagrodę przyznaną przez pana zamku – po dziesięć maravedís na głowę – wypłacił im mocno skwaszony rządca. Zgodnie z poleceniem Fierry Angel Costa sprzedał juczne muły, dzięki czemu mogli jechać szybciej.

Czekając w Walencji na statek, trzej towarzysze Jonasza zdecydowali się przehulać część swych gratyfikacji, zanosіło się zatem na huczną biesiadę i wielkie picie. Miał i on ochotę tego sobie popić, lecz świadomość, że wino rozwiązuje język, a dla niego to rzecz niebezpieczna, kazała mu odstąpić od tego zamiaru. Postanowił wziąć udział w hulance, uważając wszakże, by nie przebrać miary.

Zaledwie przybyli do karczmy, Luis swoim zwyczajem spróbował wywołać awanturę, potrącając w drzwiach jakiegoś zażywnego jegomościa, a potem udając poszkodowanego.

– Ty barani łbie! – wrzasnął. – Patrz, gdzie leziesz!

Potrącony wybałuszył oczy.

– O co chodzi, señor? – spytał po hiszpańsku, lecz jego akcent zdradzał Francuza. Na widok Angela z mieczem w ręku uśmiech zniknął mu z twarzy, a w oczach pojawiła się czujność. Nie był uzbrojony. – Przepraszam za niezręczność – bąknął lodowatym tonem i spieszenie opuścił karczmę.

Widząc zadowolone gęby Luisa i Costy, Jonasz z trudem opanował gniew:

– A jeżeli tu wróci z kilkoma zbrojnymi kompanami?

– To będziemy walczyć! – odparował Costa. – Boisz cię, Callicó? – rzucił wyzywająco.

– Dla waszej rozrywki, twojej i Luisa, nie będę nikogo ranił czy zabijał.

– A mnie się widzi, że tchórzysz. Bo prawdziwa walka to co innego niż zabawa w turniej. Do tego trzeba być mężczyzną.

Mogło się to źle skończyć, gdyby nie Paco, który ostro wkroczył pomiędzy zwaśnionych:

– Pamiętajcie, co powiedział Fierro? Udawało nam się dotąd uniknąć utarczek i tak też musi być dalej. Nie zamierzam tłumaczyć się przed mistrzem z czyichś ran albo śmierci! – Klasnął na właściciela i kazał podawać wino.

Pili do późnej nocy, nazajutrz zaś nawinął się statek pocztowy, wsiedli więc na pokład. Aby uniknąć niesnasek, zbierali się teraz we czwórkę tylko na wspólne modlitwy rano i wieczorem, przy czym twardo upierał się Angel. Przez resztę dnia Luis i Costa trzymali się razem – i dobrze, Jonasz wcale nie tęsknił za ich towarzystwem. Kiedy miał ochotę porozmawiać, szukał Paca, częściej wolał jednak być sam. Był markotny i niespokojny. Doskwierały mu wyrzuty sumienia, że zawarł pakt z diabłem, sprzymierzając się z ludźmi, którzy prawie na pewno mieli ręce splamione krwią jego ojca i brata. Mimo to ogarnęła go przedziwna radość, kiedy statek zacumował pod znajomą skałą. Pomyślał, że dobrze jest wracać tam, gdzie człowiek czuje się potrzebny.

Nie było czasu na wypoczynek. Do kuźni napłynęły zamówienia na zbroje i oręż od kilku arystokratów, członków najbliższego otoczenia króla. Jonasz siedział teraz w warsztacie Paca, pomagając

we wstępnej obróbce pancerza dla księcia Carmony. W całej kuźni wrzała gorączkowa praca – ani na chwilę nie ustawał dźwięczny stukot młotków bijących jak dzień długi w rozpaloną stal.

Mimo nawału pilnych zamówień Fierro nie zaprzestał pracy nad kompletem instrumentów chirurgicznych przeznaczonych dla swego brata. Każde z tych narzędzi wychodziło spod jego ręki gładkie jak jedwab, lśniące jak klejnot i ostre jak najlepszy miecz.

Jonasz, ukończywszy swoje powinności, biegł zasiąść do pracy nad swym pierwszym twórczym przedsięwzięciem. Za surowiec posłużyła mu stal z przetopionego ostrza złamanej motyki. Teraz gdy dorobił się lepszej broni, przestała już być mu potrzebna. Przystąpił do pracy bez żadnego konkretnego planu i oto spod młotka, jakby sam z siebie, zaczął się wyłaniać niewielki kielich, stalowa replika srebrnego relikwiarza dla klasztoru Wniebowzięcia. Nie był zbyt dobrze wymodelowany, stal bowiem trudniej poddawała się obróbce niż srebro czy złoto; postacię zdobiące tamto cyborium tutaj zaznaczone zostały tylko z grubsza, a i gładź pozostawiała wiele do życzenia. Choć nie w pełni kontent z rezultatu, postanowił zachować tę rzecz na pamiątkę, później zaś przyszło mu na myśl, że ów kielich może też posłużyć za kubek do kiduszu podczas dziękczynienia za winne grona. A gdyby ktoś nieżyczliwy przeszukał jego dobytek, krzyż na kubku wraz z brewiarzem Bernarda Espiny mogą stać się widomym świadectwem, iż Ramón Callicó, uczeń mistrza Manuela Fierry, jest gorliwym chrześcijaninem.

\*

Niecałe dwa tygodnie po powrocie z Toledo zjawił się posłaniec z wiadomością, że ktoś spokrewniony z Ramónem Callicó oczekuje go przed gospodą. Tym razem Fierro mocno się nachmurzył.



– Nie pójdziesz – powiedział krótko – za dużo mamy roboty. Jeśli twój krewniak chce cię zobaczyć, niech przyjdzie tutaj, byle nie na długo.

Przekazawszy tę wiadomość chłopcu, Jonasz powrócił do pracy. Starał się zachować spokój, co chwila wszakże zerkał na bramę, a gdy zobaczył dwóch jeźdźców, wybiegł im naprzeciw.

Lavera zsunął się z konia, rzuciwszy lejce swemu giermkowi, który pozostał w siodle.

– Witaj! Byliśmy już tutaj, tak jak ci przyrzekłem, lecz oznajmiono nam, że cię nie ma.

– To prawda. Odwoziłem zbroję.

– Miałeś zatem więcej czasu na myślenie. I cóż? Przypomniałeś sobie, gdzie spoczywają szczątki świętego?

– Tak, señor. Macie dla mnie nagrodę za dobre wieści?

– Nagrodę? Ma się rozumieć, że mam. Zaprowadź nas do świętego, a zaraz ją otrzymasz.

– Chciałbym, ale nie mogę. Za dużo tu teraz roboty. Nie pozwolono mi nawet iść do gospody.

– Kto by tam dbał o solda, gdy czeka go rychłe bogactwo? Po kiego licha ci praca? Chodźmy, szkoda czasu!

Jonasz zerknąwszy w okno warsztatu spostrzegł, że Fierro odłożył narzędzia i z niezadowoleniem spogląda w ich stronę.

– Nie. Ci ludzie poszliby za mną, a przy nich nie chcielibyście chyba wydobywać kości. Zrobimy inaczej. – Wyjął zza pazuchy mapę i podał Laverze. – Weźcie to. Jaskinia jest tu, w tym miejscu. Zazaczyłem ją tak wyraźnie, że traficie tam i beze mnie. Leży na stałym lądzie zaraz za mierzeją.

Lavera przez chwilę przyglądał się mapie.

– Na wschód czy na zachód za mierzeją?

– Na wschód. Od mierzei to tylko kawałek drogi... – Dodał jeszcze parę wskazówek, jak najłatwiej odnaleźć wejście.

– Zobaczymy – zdecydował Lavera, wskakując na siodło. – Jeśli powiedziałaś prawdę, wrócimy tu później z nagrodą.

\*

Dzień włókł się niemiłosiernie. Aby go jakoś przeżyć, Jonasz ogłuszał się pracą. Do wieczora nikt się nie zjawił.

W nocy nie zmrużył oka, nasłuchując stukotu kopyt, odgłosu kroków, skrzypienia otwieranych drzwi... lecz i w nocy nie było nieproszonych gości.

Minął następny dzień, a potem drugi i trzeci. Kiedy upłynął tydzień, Jonasz nabrał wiary, że Lavera i jego człowiek już nie przyjdą. Że hrabia z Tembleque zapłacił uzgodnioną cenę.

Zamówienia zostały prawie ukończone, ustał nerwowy pośpiech, można więc było wznowić zawody. Fierro dwukrotnie wystawił znów Jonasza przeciwko Angelowi Coście. Raz był to pojedynek w pełnych zbrojach na zaokrąglone miecze, po raz drugi walczyli bez zbroi, za broń zaś służyły im szpady z końcem zabezpieczonym okrągłym szpuntek. W obu zwyciężył Costa. Podczas drugiej walki pofolgował niechęci, którą musiał żywić do Jonasza, nie szczędząc mu obelg rzucanych donośnym szeptem:

– Walczże, ty śmierdzący tchórze, ty miękki fajfusie, ty krowie łajno! – Jego pogarda była tak jawna, że musieli ją zauważyć wszyscy widzowie.

– Może nie chcesz już walczyć z Costą? – zagadnął Jonasza Fierro.  
– Wystawiam cię do zawodów, bo jesteś tu najmłodszy i najsilniejszy, ale może zbyt często cię do tego zmuszam? Powiedz, jeżeli ci to nie w smak.

– Nie, mistrzu – odrzekł Jonasz, gwoli uczciwości jednak musiał dodać: – Ale przyznaję, że wolałbym walczyć na koniu. Myślę, że w takim starciu mógłbym go pokonać.

– A cóż ci to da, że będziesz dobrze władał kopią? Nie jesteś rycerzem. Wiesz, po co urządzam te zabawy na miecze i szpady? Żebyś się uczył od Costy. Żadnemu mężczyźnie nie zawadzi być dobrym szermierzem. A przez te pojedynki Angel, chcąc nie chcąc, musi udzielać ci lekcji.

Jonasz bardzo się starał opanować tę trudną sztukę. Prawda, że poprzez ciągłe ćwiczenia i podpatrywanie Costy powoli nabywał pewnych umiejętności, cóż, kiedy wciąż jeszcze nie były one takie, jak by sobie życzył. Rozumiał, że to kwestia czasu i wprawy; kiedyś i on nauczy się parować cięcia i celnie zadawać ciosy, będzie umiał w porę odskoczyć, a zaraz potem nagłym wypadem pójść do przodu. Czuł, że stać go na to. Na razie niestety przeciwnik, choć starszy, był od niego szybszy i silniejszy, bronią zaś władał zgoła po mistrzowsku. On, Jonasz, mógł dać z siebie wszystko, a Costa i tak wygrywał.

Od czasu do czasu Angel urządzał pokazy strzelania z kuszy, chociaż jak sam mówił, nie lubił tej broni.

– Każdy potrafi szybko się tego nauczyć. Niewielka to sztuka puszczać strzałę za strzałą w ciasny szyk nieprzyjaciela. Ale kusza jest ciężka, trudna więc do noszenia, zasięgiem zaś nie umywa się nawet do łuku.

Przy takich okazjach opowiadał też nieraz o wojnie i o tym, co się może zdarzyć podczas bitwy.

– Kiedy rycerz, utraciwszy konia, zostaje spieszony, musi nieraz odrzucić część zbroi, aby nie pozostać w tyle za ciurami noszącymi miecze, włócznikami, pikinierzami i łucznikami, którzy chociaż gorzej osłonięci, są jednak nieporównanie lżejsi. Co się tyczy zbroi, to wam

powiem, że nie da się jej tak zrobić, żeby osłaniała wszystkie bez wyjątku miejsca na ciele. Gdyby tak było, nie dałoby się walczyć w niej pieszo.

By przekonać wszystkich, że ma słuszność, kazał wypchać słomą starą tunikę, zaznaczyć na niej wszystkie nie osłonięte miejsca, sam zaś zaczął szyć z łuku. I choć mierzył z dużej odległości, prawie każda z wypuszczonych strzał trafiała prosto w którąś z wąskich jak nitka szczelin między różnymi częściami wyimaginowanej zbroi. Ilekroć udał mu się szczególnie trudny strzał, mistrz Fierro nagradzał go monetą.

Pewnego popołudnia mistrz urządził im inny pokaz. Zebrawszy wszystkich na arenie, polecił paru robotnikom przytaszczyć i ustawić jakieś dziwne nieporęczne działo.

- A cóż to takiego? – zdziwił się Luis.
- Francuska bombardarda!
- Jaki z niej pożytek? Do czego to służy? – dopytywał się Paco.
- Zaraz zobaczycie.

Bombardarda była wielką rurą z kutego żelaza zaopatrzoną z wierzchu w żelazne obręcze – dla wzmocnienia, jak wyjaśnił Fierro. Kazał ludziom przytwierdzić ją łańcuchami do potężnych grubych kłoców ułożonych na ziemi i dał znak, że można ładować.

Do rury wepchnięto opasaną żelazem ciężką kamienną kulę, którą następnie podsypano prochem. Proch ten składał się z saletry, węgla drzewnego i siarki. Mistrz długą chwilę biedził się przy śrubie, w którą zaopatrzona była ta machina, aby unieść do góry jej wylot i skierować na wybrany cel. Nakazawszy odsunąć się wszystkim, wetknął czubek płonącego drąga do zapału, jak nazywał otwór w dolnej części bombardy, i trzymał go tam dopóty, dopóki saletra nie zaczęła dymić. Czym prędzej puścił wtedy tyczkę i umknął ile sił w nogach. Upłynęła jeszcze chwila, zanim proch

dobrze się zajął, a potem huknęło tak strasznie, jakby sam Wszehmocny klasnął w ręce, i kula ze świstem przecięła powietrze. Minąwszy o spory kawał wyznaczony cel, rąbnęła w drzewo i choć był to już dobrze wyrosnięty dąb, złamała go jak drewienko.

Rozległy się wiwaty, ale też śmiechy.

– Co za korzyść z maszyny wojennej, która nie trafia w cel? – Myśleli tak wszyscy, lecz na głos wyraził to Jonasz.

Fierro przyjął to pytanie bez urazy.

– Kula nie trafiła w cel z mojej winy – jął tłumaczyć – bo nie umiem posługiwać się bombardą, mówiono mi jednak, że to nie takie trudne. Poza tym w czasie bitwy bombardier nie musi zbytnio dbać o celność, bo z tych machin można strzelać siekańcami. Są to kule zawierające kawałki ołowiu i kamieni, które siłą wybuchu rozrywa tak gwałtownie, że z ogromną szybkością rozlatują się na wszystkie strony. Wyobraźcie sobie, jakie spustoszenie sieje kilka takich bombard wśród uformowanych w szyk nieprzyjaciół, wszystko jedno, czy są to piechurzy czy jeźdźcy! Ci, co nie zdążą uciec, padają jak trawa pod kosą!

Paco dotknął rury i szybko cofnął rękę.

– Gorąca!

– O, tak! Podobno po zbyt wielu strzałach rozgrzewa się tak mocno, że aż pęka. Dlatego niektórzy myślą, że może lepiej byłoby odlewać te maszyny z brązu.

– Straszna to broń – orzekł Costa. – Przy niej zbroja staje się bezużyteczna. Czy zaczniemy odlewać bombarady?

Fierro popatrzył na złamane drzewo i wolno pokręcił głową.

– Chyba nie.

## **Rozdział 27**

### ***Denuncjacja***

Od ostatniej bytności Lavery i jego giermka minęło już kilka tygodni, kiedy Jonasz niedzielnym rankiem wybrał się do jaskini. Uwiązawszy siwego araba do krzaka, zaczął badać grunt przy otworze. Żadnych śladów nie było. Jeśli nawet ktoś je pozostawił, zniknęły, starte z kamienistej ziemi przez wiejące tu gwałtowne wiatry. Parę razy spadł też skąpy deszcz, który dokonał reszty.

Jaskinia była pusta. Zniknęły szczątki świętego, gliniane garnki i stary drewniany krzyż. W poszukiwaniu cennych świętości grabieżcy zrujnowali ubogi ołtarzyk. Jedyнным świadectwem, że nie uroił sobie wszystkiego, co tu przedtem widział, było parę rozrzuconych gałęzi, i wyryty na ścianie wizerunek ryby. Widniała pod nim ciemnordzawa plama, a gdy zniżywszy świecę przykłęknął i przyjrzał się z bliska kamiennej podłodze, zobaczył ich więcej... Całe kałuże zaschłej krwi...

Pomyślał, że ludzie, którzy zastawili tę pułapkę, są pewnie zadowoleni. Mało, że trafił im się smakowity kąsek, to za jednym zamachem pozbyli się też konkurentów. On doznawał mieszanych uczuć. Wiedział, że dając mapę Laverze, skazuje dwóch ludzi na pewną śmierć. Tak pewną, jakby własną ręką poderżnął im gardła. Prawda, że stawką było jego życie, mimo to... Wracał do kuźni z ulgą, ale i z ciężkim sumieniem. Z ponurą świadomością, że stał się mordercą.

Odkąd wrócili z Tembleque, Angel Costa zrobił się jeszcze gorliwszym żołnierzem świętej wiary.

– Słuchaj no, Callicó, jakim to prawem urządzasz sobie przejażdżki w każdą niedzielę rano? – zaatakował Jonasza.

– Mistrz Fierro dał mi pozwolenie.

– Ale Bóg ci go nie dał. W niedzielne poranki prawy chrześcijanin winien się do Niego modlić. Oddawać cześć należną trzem Jego Boskim Osobom!

– Przecie modłę się często... – bąknął Jonasz nabożnym tonem, co jego adwersarz skwitował gniewnym prychnięciem:

– Nie chodzisz na mszę! Spośród wszystkich naszych ludzi, mówię o tej kuźni, tylko ty i mistrz nie czcicie dni świętych jak należy! Lepiej popraw swe obyczaje, ty uczony mądralo!

Paco, który to słyszał, pokiwał głową:

– I kto to gada! Morderca i grzesznik, którego ani chybi czekają piekielne ognie. Widać tak to już jest, że im bardziej ktoś grzeszny, tym gorliwiej się troszczy o dusze lepszych od siebie.

Jonasz dowiedział się od Fierry, że Costa jemu również udzielił podobnego upomnienia.

– Ponadto José Gripo ostrzegł mnie po przyjacielsku, że nieobecnością na niedzielnych nabożeństwach zwróciłem na siebie uwagę, co jest nader niebezpieczne – powiedział mistrz. – Musimy więc obaj zmienić obyczaje. Koniec z przejazdzkami w niedzielne poranki. Mądrze byś zrobił, gdybyś w tym tygodniu poszedł na mszę.

Jonasz zastosował się do rady mistrza. W najbliższą niedzielę wybrał się do kościoła dużo wcześniej niż inni, mógł więc zająć miejsce w końcu nawy. Zauważył, że Costa już od progu obrzucił go spojrzeniem ciężkim jak kamień. Po przeciwnej stronie świątyni zobaczył mistrza toczącego miłą pogawędkę z kilkoma znajomymi z miasta. Na razie nic się nie działo, siedział więc spokojnie, przyglądając się Chrystusowi rozpiętemu na krzyżu nad ołtarzem. Wszedł ojciec Vasquez i zaczęło się nabożeństwo. Głos miał wysoki i tak monotony, że przypominał brzęczenie pszczoły. Jonasz teraz także nie czuł niepokoju. Patrzył na ludzi i robił to samo co oni: klękał, wstawał, poruszał ustami, udając, że się modli. Nie było to takie trudne. Stwierdził nawet, że z przyjemnością słucha łacińskich

słów mszy, że budzą w nim podobne uczucia jak kiedyś słowa hebrajskie. Oba te języki miały w sobie coś uroczystego.

Poczuł zdenerwowanie dopiero po nabożeństwie, kiedy ludzie ustawili się w dwie kolejki – do konfesjonału i przed księdzem udzielającym komunii. Od dzieciństwa karmiono go strasznymi opowieściami o tym, co spotkało Żydów oskarżonych o świętokradztwo, kradzież bądź zbezczeszczenie tych opłatków. Sam ich widok sprawił, że ogarnęło go drzenie. Wyśliznął się chyłkiem z kościoła – i oto daleko przed sobą zobaczył znajomą postać: mistrz Fierro szybkim krokiem oddalał się w stronę kuźni.

\*

Obaj chodzili na mszę przez cztery niedziele z rzędu. Kiedyś zdarzyło się nawet, że razem wracali do domu, gawędząc z sobą jak chłopcy radzi, że są już po lekcjach.

– Opowiedz mi o swoim mistrzu – poprosił w pewnej chwili Fierro. – Tym, co cię uczył złotnictwa.

Jonasz opowiedział mu o ojcu i choć podawał się za jego ucznia, mówił o nim z nietajoną miłością i dumą.

– Chilkiasz Toledano był prawym i mądrym człowiekiem, a jak znał się na metalu! Bóg doprawdy obdarzył go rzadkim talentem. Miałem szczęście, że mogłem być jego uczniem. – Wstydlivość nie pozwoliła mu wyznać, że terminowanie u takiego mistrza jak on, Manuel Fierro, też jest wielkim szczęściem.

– Czy ów Chilkiasz miał synów?

– Dwóch – odrzekł Jonasz. – Jeden umarł. Ten drugi był jeszcze dzieckiem. Wyjechał wraz z ojcem, kiedy Żydów wygnano z Hiszpanii.

Mistrz pokiwał głową i zmienił temat. Pogadali sobie o rybach. Gibraltarscy rybacy mieli tego roku dobry sezon.



Właśnie od tego czasu Fierro zaczął mu okazywać jeszcze więcej uwagi niż dotąd. Jonasz początkowo nawet myślał, że chyba to sobie uroił. Mistrz taki już jest, przekonywał sam siebie. Lubi ludzi, dla każdego znajdzie dobre słowo... A mnie zawsze darzył życzliwością. Niewątpliwie jednak Fierro rozmawiał z nim teraz częściej i znacznie dłużej.

Costa również miał na niego oko. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie czuł na sobie jego zimne i wrogie spojrzenie. Miał też powody sądzić, że pod nieobecność Angela śledzą go inne oczy. Mógłby przysiąc, że pewnego razu Luis laźł za nim do miasta. Niepokojące było i to, że ktoś kilka razy szperał w jego rzeczach. Nic nie zginęło, leżały jednak trochę inaczej, niż je pozostawił. Próbował spojrzeć na swój skromny dobytek okiem wścibskiego szperacza: parę sztuk odzieży, gitara, stalowy kubek i brewiarz Bernarda Espiny... Żadna z tych rzeczy nie mogła budzić podejrzeń, mimo to widać było, że ktoś stale patrzy mu na ręce. Nie wiedział, co o tym myśleć.

W ciągu paru dziesiątków lat spędzonych w Gibraltarze Manuel Fierro stał się tu szanowaną i wpływową osobistością. Dorobił się także liczego grona znajomych i wielu bliskich przyjaciół, toteż gdy czasem pojawiał się w karczmie – choć czynił to rzadko, bo znał miarę w picciu – nigdy samotnie nie siedział nad kubkiem. Wcale się więc nie zdziwił, gdy owego wieczoru przysiadł się do niego José Gripo i prawie bez słowa wychylił swój kubek; José nigdy nie był nadmiernie rozmowny. Lecz gdy stary przyjaciel wymamrotał szeptem, że ma mu coś do powiedzenia, niech więc zaraz przyjdzie na nabrzeże, po czym odstawił kubek i głośno powiedział: „Dobranoc”, Fierro ze zdziwienia zamrugał oczami. Co się stało? Dlaczego José Gripo wyszedł sam? Nie chciał, by widziano ich razem? Z jakiego powodu? Paroma łykami dopił swoje wino

i po krótkiej chwili też pożegnał wszystkich, grzecznie dziękując kilku znajomym za propozycję następnej kolejki. Innym razem!

Gripo czekał na niego w połowie drogi do portu, ukryty za jakimś składem. Nie tracąc czasu na uprzejmości, z miejsca przystąpił do rzeczy:

– Złożono na ciebie donos, Manuelu. Powinieneś być już dawno pozbyć się tego niewdzięcznego łotra! Niechby sobie szedł w diabły razem z tym swoim mieczem i łukiem!

– Costa?

– A któż by inny? To zawistny niegodziwiec, a tobie zazdrości sławy i powodzenia, choć zdobyłeś je uczciwą pracą – stwierdził z goryczą Gripo.

Fierro nie zapytał, skąd zna osobę oskarżyciela. Inkwizycja nie ujawniała nazwisk swych informatorów, José miał jednak w rodzinie kilku wpływowych księży.

– O co jestem oskarżony?

– Och, Manuelu! Ten szubrawiec nagadał inkwizytorom, żeś terminował u muzułmańskiego czarownika i że na wszystko, co sprzedajesz prawym chrześcijanom, czy jest to miecz, czy też zbroja, nakładasz klątwę krwi! No i nie chodzisz do kościoła, lecz o tym już ci mówiłem.

– Ostatnio bywałem na mszy w każdą niedzielę.

– Za późno. Już cię uznano za sługę szatana i zacieklego wroga świętego Kościoła katolickiego – odrzekł ze smutkiem Gripo.

– Dziękuję ci, przyjacielu – szepnął Fierro. Odczekał, aż José rozplynie się w mroku, i powoli ruszył w stronę kuźni.

Następnego dnia opowiedział wszystko Jonaszowi. Było piękne popołudnie, wolne od pilnych zajęć, siedzieli więc we dwójkę w warsztacie, polerując ostatnie już narzędzia chirurgiczne. Fierro mówił bardzo spokojnie, głosem tak pozbawionym emocji, jakby

rozmawiali o pracy bądź innych codziennych sprawach. Nie wymienił nazwiska Gripa, powiedział tylko, że denuncjatorem jest Costa.

– A skoro doniósł na mnie, z pewnością nie omieszkał oskarżyć i ciebie – zakończył tonem konkluzji. – Obaj więc musimy uciekać, i to szybko!

Jonasz poczuł, że blednie.

– Dziękuję, señor, żeście mnie ostrzegli.

– Masz się gdzie schronić?

– Nie.

– A twoi krewni? Ci dwaj, co tu byli?

– To nie byli moi krewni. Ci ludzie chcieli mnie skrzywdzić. Na szczęście już nie wrócą.

– W takim razie, Ramónie, wyświadcz mi przysługę. Postanowiłem jechać do Saragossy, do mego brata. Czy zechcesz mi towarzyszyć jako mój strażnik, dopóki nie dotrę na miejsce?

Jonasz dobrą chwilę nie mógł zebrać myśli – świat po raz drugi rozpadł mu się w gruzy.

– Tak, mistrzu – powiedział wreszcie. – Pojadę z wami i będę wam służył. Może choć w taki sposób odpłacę się wam za dobroć.

Widać było, że Fierro jest mu za to wdzięczny.

– Nie ma zatem co zwlekać. Zbierajmy się do podróży.

Jeszcze tej nocy Jonasz po cichu udał się do domu mistrza, gdzie wspólnie spakowali wszystko co niezbędne na tak długą podróż – żywność, kilka derek, kociołek do gotowania i sporo innego sprzętu, bez którego trudno żyć na szlaku, na koniec zaś mocne buty z ostrogami, kolczugi i broń. Jonasz otrzymał bardzo dobry miecz, lecz gdy zobaczył miecz mistrza, zaparło mu dech z wrażenia. Na rękojeści nie było klejnotów ni ozdobnych rytów, lecz jak pięknie wykuto klingę! Kształt, wyważenie i ostrość tej broni nie

miały sobie równych! Podczas gdy Jonasz zachwycał się mieczem, Fierro pieczołowicie owijał w płótno instrumenty chirurgiczne i starannie układał je w niewielkiej skrzynce.

Kiedy wszystko zostało spakowane, ostrożnie poszli do stajni, skąd mistrz wyprowadził muła i skinąwszy na Jonasza, kazał mu iść za sobą. Tym razem udali się do szopy stojącej daleko od reszty zabudowań. W połowie wypełniały ją stalowe blachy, zardzewiałe zbroje i skrawki różnych metali, a po drugiej stronie piętrzyły się stosy równo ułożonych polan przeznaczonych do pieca w odlewni. Na znak mistrza zaczęli wspólnie rozbierać tę stertę we wskazanym przez niego miejscu. Po dłuższej chwili spod drew wyłonił się zgrabny skórzany kuferek, nie większy od skrzynki mieszczącej narzędzia medyczne, tak jednak ciężki, że Jonasz stęknął z zaskoczenia, kiedy spróbował go podnieść. Teraz już wiedział, do czego potrzebny był muł. Umieściwszy kuferek na jego grzbiecie, zatarli wszelkie ślady swojej działalności, a mistrz zamknął drzwi na kłódkę.

– Tylko mi teraz nie ryknij – szepnął do zwierzęcia, głaszcząc je po karku. – Masz głos, który mógłby zbudzić umarłego.

Udało im się bez hałasu dowieźć kuferek do domu. Na dzisiaj koniec, orzekł Fierro. Kazał Jonaszowi odprowadzić muła i wracać do chaty.

Tej nocy Jonasz prawie nie zmrużył oka, choć padał z nóg ze zmęczenia. Dopiero nad ranem nawiedził go krótki, niespokojny sen.

Mimo że zachowywali się tak ostrożnie, ich nocna wyprawa nie uszła czujnemu oku Costy. Wychodząc o świcie na polowanie, spostrzegł obok stajni świeże łajno, a przecież wszystkie zwierzęta stały w zagrodach.

– Któż to tej nocy potrzebował konia czy muła? – spytał niedbale, nie kierując pytania do nikogo w szczególności. Nikt też mu nie odpowiedział.

– Jakiś nocny jeździec pewnie zmylił drogę – odezwał się w końcu Paco, wzruszając ramionami i ziewając. – Zawrócił, gdy zobaczył, że mógłby stąd trafić już tylko do morza.

Costa niechętnie kiwnął głową, lecz jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Jonasz znów zauważył, że świdruje go wzrokiem.

Najchętniej by uciekł już najbliższej nocy, Fierro wszakże miał tu jeszcze coś do załatwienia. Jednym z jego przyjaciół był wysoki urzędnik królewski pełniący w mieście funkcję sędziego, u którego chciał złożyć w depozyt zapieczętowaną kopertę z prośbą o otwarcie jej po dwóch tygodniach. W środku znajdowały się pieniądze, które mieli otrzymać jego ludzie – każdy według zasług i długości służby – oraz pożegnalny list mistrza. Był to zarazem dokument gwarantujący im wspólną własność ziemi, warsztatów i odlewni, kończył się zaś życzeniami, by nadal prowadzili kuźnię i by wiodło im się jak najlepiej.

– Teraz już czas nam w drogę – oznajmił ku niezmiernej uldze Jonasza, wróciwszy wieczorem z miasta. Oczekali jeszcze kilka godzin, bo Fierro chciał wyruszyć o takiej porze, żeby było już widno, gdy wyjadą poza znajome tereny, i nareszcie poszli siodłać konie. Mistrz wybrał dla siebie czarną klacz, o której mówiono, że to najlepszy koń w stajni i na której najczęściej jeździł, Jonaszowi zaś kazał wziąć siwka.

– Przywykłeś do niego, a i on cię lubi.

Nie trzeba mu było dwa razy tego powtarzać! Zdążył już pokochać siwego araba.

Osiodławszy konie, zostawili je jeszcze na chwilę w zagrodach, sami zaś wzięli muła i po raz ostatni udali się do domu Fierry –

ubrać się do podróży i przytroczyć mułowi juki. W chwili gdy prowadząc za sobą troje zwierząt wyszli poza teren kuźni, właśnie zaczynało świtać.

Obaj milczeli. Jonasz z żalem myślał o Pacu – jaka szkoda, że nie mógł się z nim pożegnać. Wiedząc, co znaczy opuszczać dom, pracę, przyjaciół, miejsca, które się kochało, mógł też sobie łatwo wyobrazić, co teraz czuje jego mistrz. Słyszając więc ciche chrząknięcie, pomyślał, że to westchnienie, lecz spojrzawszy na swego towarzysza, zobaczył pierzastą strzałę tkwiącą w gardle Fierry tuż nad samym brzegiem stalowej kolczugi. Biła spod niej fontanna jaskrawoczerwonej krwi.

Costa! Stał w odległości chyba ze czterdziestu kroków, w dodatku było jeszcze prawie ciemno! Mój Boże, za taki strzał mistrz nagroziłby go pewnie sztuką złota... Na własną zgubę...

Jonasz rozumiał, dlaczego Angel posłużył się łukiem – bał się, że w starciu na miecze nie pokona mistrza. Jego wszakże wcale się nie lęka... Zobaczył, że Costa odrzuca łuk i rusza w jego stronę, sięgając w biegu po miecz. W przypiływie ślepej paniki chciał wskoczyć na siodło i uciekać ile sił w końskich nogach, ale mistrz... Może jeszcze żyje... Zostawić bezbronnego na pastwę temu mordercy? Później już nie było czasu na myślenie. Zdążył tylko wydobyć broń i zrobić krok naprzód, a już Costa runął na niego jak huragan i stał uderzyła o stal.

Nie miał wielkiej nadziei, że zdoła wyjść z tego żywy. Nigdy dotąd nie udało mu się wygrać z Costą. Widząc w oczach przeciwnika dobrze znany wyraz – szyderstwo zmieszane z pogardą – wiedział, że i tamten tak myśli. Pewnie zastanawia się tylko, którym cięciem i z jakiej pozycji najszybciej zakończyć sprawę...

Chyba jedynie rozpacz i poczucie nieuchronnej śmierci dodały mu tyle sił, że zdołał unieruchomić miecz Costy, rękojeść przy rękojeści,

pięć przy pięści. Zaczęli zmagać się z sobą i w tej właśnie chwili, długiej jak wieczność, Jonasz nagle usłyszał głos Minga. Słyszał go tak wyraźnie, jakby dawny przyjaciel siedział mu w głowie i dokładnie instruował, co ma robić.

Lewą ręką ukradkiem sięgnął do pasa i z wiszącej tam małej pochewki błyskawicznie dobył sztylet.

„Uderz! – powiedział głos Minga. – Pociągnij nożem do góry!”

Tak zrobił. W chwili tej obaj z Costą spojrzeli na siebie z jednakowym osłupieniem. Obaj myśleli to samo: nie tak się to miało skończyć! A potem Costa powoli osunął się na ziemię.

Fierro już nie żył. Jonasz próbował przynajmniej wyjąć mu z gardła tę morderczą strzałę, grot jednak tkwił zbyt głęboko, ułamał więc tylko drzewce tuż przy samej ranie. Nie mógł zostawić tu mistrza. Gdyby znaleziono zwłoki, inkwizycja kazałaby je spalić wraz z żywymi ofiarami najbliższego autodafe. Nie! Manuel Fierro nie spłonie na stosie!

Wziął ciało mistrza na ręce i przeniósł je w miejsce mało widoczne ze szlaku. Tam też wykopał płytką mogiłę – swoim nowym mieczem i dwiema własnymi rękami. Ziemia była tu kamienista, toteż ostrze miecza uległo zniszczeniu. Po chwili wahania wymienił go na wspaniały miecz Fierry. Pozostawił mistrzowi srebrne ostrogi, wziął natomiast jego sakiewkę i z szyi zdjął mu kluczyki do skrzynek.

Wiele czasu i siły kosztowało go przykrycie ciała najpierw wielkimi odłamkami skał, by uchronić je przed zwierzętami, potem zaś warstwą ziemi. Na koniec trzeba ją było wyrównać, przyrzucając dla niepoznaki kamieniami, suchymi gałązkami i liśćmi. Kiedy wrócił na szlak i przyjrzał się temu miejscu, ziemia wyglądała na nienaruszoną.

Na trupie Costy siedziało już kilka much; pomyślał, że wkrótce zleci się tu cała chmara, mimo to postanowił go tak pozostawić – upewniwszy się najpierw ponad wszelką wątpliwość, że niedawny przeciwnik nie żyje. Teraz mógł stąd odjechać!

Puścił kłusem siwego ogiera, prowadząc za sobą czarną klacz Fierry i jucznego muła. Wstawał dzień, gdy przebył przesmyk łączący skałę Gibraltaru z lądem. Dalej! Wciąż jeszcze nie pozwalał odetchnąć zwierzętom. Nawet nie popatrzył na pustą jaskinię Świętego Pielgrzyma. Dopiero gdy znalazł się w górach – musiało już być po południu, bo słońce stało wysoko – gdy tak jak dawniej poczuł się bezpieczny wśród samotnych skalistych szczytów, mógł nareszcie dać upust tłumionym łzom. Długo płakał jak dziecko z żalu za utraconym mistrzem i nad swoją utraconą niewinnością. Posłał dwóch ludzi na śmierć, a teraz zabił człowieka! Czuł, że do końca życia będzie nosić na sobie brzemię winy, bo tego, co uczynił, nie są w stanie zmyć żadne łzy.

Pewien wreszcie, że nikt go nie ściga, pozwolił zwierzętom iść noga za nogą mało uczęszczanym górskim szlakiem biegnącym ku wschodowi. Po pięciu dniach wędrówki skręcił na północny wschód, nadal na wszelki wypadek trzymając się linii górskiego pasma. Bezpieczniej było mieć je pod bokiem. Podróżował tak aż do Murcji. Raz tylko otworzył skórzaną sakwę. Nie zaskoczyła go jej zawartość: tak ciężkie mogły być jedynie złote monety. Mieścił się tu cały kapitał Fierry, owoc dwudziestu lat pracy. A że był sławnym mistrzem, o którego wyroby ubiegali się wielcy i możni, uzbierało się tego niemało. Dla Jonasza taka góra złota była czymś nierzeczywistym. Nawet nie dotknął tych monet – czym prędzej zamknął kuferek i włożył go z powrotem do wielkiego płóciennego worka. Pieniądze należały do mistrza, a mistrz z pewnością chciałby przekazać je bratu.



Życie na szlaku wkrótce odmieniło jego wygląd. Włosy i broda znów wyrosły mu jak ongiś, a błyszczące ostrogi i kolczugę upstrzyły brzydkie rdzawe plamy – od spania w wilgotnych trawach. Dwa razy wstępował po żywność do małych samotnych wiosek, lecz poza tym unikał kontaktów z ludźmi. Nie zdawał sobie sprawy, że nie musi się ich obawiać, bo na swoim bojowym rumaku, ze wspaniałym mieczem u boku wygląda jak czarny rycerz, groźny zabijaka, któremu najlepiej zejść z drogi...

Za Murcją podążył dalej na północ. Po kilku tygodniach minął Walencję, a po kilku następnych dotarł do Aragonii. Opuścił Gibraltar pod koniec lata; teraz dni stały się chłodne, nocami zaś robiło się bardzo zimno. Żeby nie zamarznąć, sypiał owinięty derką zszytą ze skór kilku owiec, którą nabył po drodze od jakiegoś pasterza. Za zimno było na mycie, co w połączeniu z ostrym odorem surowej skóry sprawiało, iż mocno cuchnął. Kiedy dotarł do Saragossy, z wyczerpania dwoiło mu się w oczach. Pora była jeszcze dość wczesna, na rynku dopiero zaczynał się ruch.

– Znacie tutejszego medyka? – zapytał jakiegoś człowieka zajętego ładowaniem drewna na furę zaprzęzoną w osła. – Nazywa się Fierro.

Człowiek obrzucił go trwożnym spojrzeniem.

– Znam, señor, pewnie, że znam.

Kiedy zaczął tłumaczyć, że trzeba wrócić za miasto i skręcić na ścieżkę wiodącą do samotnego gospodarstwa, Jonasz przypomniał sobie to miejsce. Minął je, jadąc do miasta.

Wróciwszy po własnych śladach, stanął przed domem medyka. Przylegała do niego obszerna stodoła, choć nie było tu widać żadnych zwierząt z wyjątkiem jednego konia skubiącego zbrązowiałą zimową trawę. Drzwi uchyliła kobieta; owionął go rozkoszny zapach gorącego chleba. Kobiecie nie mógł się dokładnie

przyjrzeć: w wąskiej szparze widział tylko połowę miłej twarzy o wyraźnie chłopskich rysach, jedno okrągłe ramię i jędrną krągłość piersi.

– Do doktora?

– Tak.

Nuño Fierro okazał się podstarzałym, łysiejącym mężczyzną o wydatnym brzuchu i spokojnych zamysłonych oczach. Choć dzień był chmurny, mrużył je jak człowiek oślepiiony słońcem. Musiał być starszym z braci. Nos w przeciwieństwie do Manuela miał prosty, twarz inną, nie, nie był podobny do mistrza. Tamten był bardziej żywotny, miał w sobie więcej męskiego wigoru. Kiedy jednak medyk wyszedł z domu, Jonasz zauważył pewne podobieństwo – w sposobie trzymania głowy, w chodzie, w przelotnym wyrazie twarzy...

Wieści o śmierci brata wysłuchał w milczeniu; stał tak nieruchomo, jakby nagle i z niego uszło życie.

– Umarł śmiercią naturalną? – zapytał po długiej chwili.

– Nie, to był napad.

– Mówicie, że go zabito?

– Tak. Zabito... i obrabowano – dodał Jonasz nieoczekiwanie dla samego siebie. Nie zamierzał przecież zatrzymać pieniędzy mistrza... tylko nagle zrozumiał, że nie chce ich oddać i nie odda temu człowiekowi. Podeszedł do muła, wydobył z juków skrzynkę z narzędziami i podał ją medykowi. – Zrobił je dla was. Własnymi rękami. Niektóre pozwolił mi wypolerować, ale każde uformował sam.

Nuño znów długą chwilę przyglądał się instrumentom, dotykając ich z taką czułością, jakby dotykał ręki brata. Otrząsnął się wreszcie z bolesnej zadumy i przytomniej spojrzął na Jonasza. Musiał dostrzec jego wyczerpanie, a pewnie i poczuć zapach.

- Wejdźcie do domu.
- Nie, dziękuję.
- Musicie odpocząć...
- Nie, jeszcze raz dziękuję! Życzę wam wszystkiego dobrego – szorstko uciął Jonasz, wskakując na siodło. Starał się jechać wolno, by nie wyglądało to na uciezkę. Widział, że medyk stoi wciąż przed domem, patrząc za nim z takim wyrazem twarzy, jakby nie mógł pojąć, co mu się stało.

Jechał na północ, nie bardzo wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Mówił sobie, że ten lekarz to już stary człowiek, w dodatku zamożny, niepotrzebne mu pieniądze brata. Teraz dopiero zrozumiał, że pokusa, aby je zatrzymać, tkwiła w nim już od dawna, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Wyszła na jaw, kiedy zaczął pojmować, co to znaczy mieć w ręku takie bogactwo. Byłby głupi, gdyby nie chciał z niego skorzystać. Spadło mu przecież jak z nieba, jakby Ten, Którego Imienia nie wolno wymawiać, zesłał mu znak Swej pamięci, jakby chciał powiedzieć, że go nie opuścił.

Siedząc w siodle, do którego tak już przywykł, że przylegało mu do tyłka niczym własna skóra, godzinami oddawał się myślom o tysięcznych możliwościach, jakie otwiera przed nim to złoto. Było ich tyle, że kręciło się od tego w głowie. Może teraz zamieszkać, gdzie tylko zechce, kupić wszystko, czego zapragnie. Świat stoi przed nim otworem.

Znów znalazł się w górach, w miejscu, które zawsze działało na niego jak balsam, a jednak w nocy nie mógł zmrużyć oka. Siedział przy ogniu tak jak wtedy, kiedy był pasterzem, nad głową świeciły mu te same gwiazdy, ten sam księżyc srebrzył drzewa na skraju polany, lecz on patrzył już na to inaczej. W jego życiu wszystko się zmieniło.

Pieniądze to władza. Pieniądze mogą mu zapewnić trochę bezpieczeństwa. Tyle przynajmniej, żeby żyć wśród ludzi.

Rankiem podniósł się na nogi, rozkopał zwęglone resztki ogniska i mieląc w ustach brzydkie przekleństwo, dosiadł wierzchowca.

Powoli zjechał ze zbocza i zawrócił konia na południe. W stronę Saragossy.

Nuño Fierro stanął w drzwiach akurat w chwili, gdy Jonasz wyjmował kuferek ze złotem. Postawiwszy go przed medykiem, odpiął od pasa miecz mistrza.

– To także należało do waszego brata – powiedział, kładąc miecz na szkatule. – Zwierzęta również.

Zobaczył utkwione w siebie spokojne oczy medyka.

– Ty go zabiłeś?

– Och, nie! Jakżebym mógł!... Ja go kochałem! Był... prawdziwym mistrzem! Dobrym, szlachetnym człowiekiem! Wielu ludzi go za to kochało!

– Wejdz – powiedział medyk z Saragossy, szeroko otwierając drzwi.

## **Rozdział 28**

### ***Książki***

Uczciwość nakazywała Jonaszowi powiedzieć bratu Manuela Fierry całą prawdę o tym, co zdarzyło się w Gibraltarze owego ostatniego ranka, więc choć nie było to łatwe, tak jak stał, brudny i utrudzony, zaczął mu opowiadać o zdradzieckiej strzale Angela Costy i o tym, jak on, Jonasz, broniąc własnego życia, uśmiercił mordercę mistrza. Nuño Fierro siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami. Kiedy Jonasz skończył swą opowieść, w milczeniu kiwnął głową i wyszedł z izby. Widać było, że chce zostać sam.

Gospodyni medyka, krzepka, choć niezbyt już młoda niewiasta – z bliska wyglądała na dobre czterdzieści lat – trzymała się na uboczu, tak cicho, jakby jej nie było, czujna wszakże i baczna na wszystko. Na imię miała Reyna. Reyna Fadique. Postawiła przed gościem obfity posiłek i bez utyskiwań nagrzała mu wody na kąpiel. Nareszcie czysty, przespał potem półtorej doby, budząc się tylko dwa czy trzy razy, by załatwić potrzebę, zjeść coś lub napić się wody.

Podniósłszy się z pryczy drugiego dnia po południu, znalazł swe odzienie wyprane i wyczyszczone. Ubrał się szybko, a że w domu panowała cisza, wyszedł rozejrzeć się po okolicy. Klęczał właśnie nad wartkim strumykiem, przypatrując się malutkim pstrągom śmigającym w wodzie jak srebrzyste strzałki, kiedy odnalazł go Nuño. Na widok gospodarza z pośpiechem zerwał się na nogi.

– Dzięki za gościnność, señor. Odpocząłem i gotów już jestem wyruszyć... – powiedział i umilkł z nagłego zażenowania. Wzdragał się przed myślą o pieszej wędrówce, a nie miał dość pieniędzy, by odkupić siwego konia. Ale może starczyłoby na muła? Nim jednak zdążył wystąpić z tą prośbą, Nuño odezwał się pierwszy:

– Otworzyłem tę skórzaną sakwę...

W tonie medyka Jonasz wyczuł coś tak szczególnego, że drgnął i ostro popatrzył mu w twarz.

– Czyżby czegoś brakowało?

– Nie, wręcz przeciwnie. Było tam coś, czego nie spodziewałem się znaleźć – odrzekł Fierro, wyjmując z kieszeni nierówno oddarty skrawek papieru. Widniały na nim słowa skreślone ręką Manuela: „Mam powody sądzić, że oddawca tej sakwy jest nowym chrześcijaninem”.

Mistrz wiedział! Jonasz zaniemówił z zaskoczenia. Wszyscy dali się oszukać, ale nie Manuel Fierro! Nie zmyliło go ani fałszywe

nazwisko, ani nabożne miny. Wiedział, że Ramón Callicó jest Żydem! Z tego, co napisał, widać było jasno, iż wierzył w jego uczciwość, w to, że złoto trafi do rąk Nuña. Poczł wzruszenie i wdzięczność za ten dowód uznania, myśląc zarazem ze wstydem, jak niewiele brakowało, aby sobie na to nie zasłużył. Ale że mistrz uznał za stosowne ostrzec brata, iż wpuszcza do domu Żyda...? Tym poczuł się rozczarowany.

Nuño zauważył jego zmieszanie.

– Chodź ze mną – powiedział szybko. – Muszę ci coś pokazać.

W izbie służącej mu za pracownię medyk odsunął ozdobną makatę, odsłaniając niewielką wnękę w grubej kamiennej ścianie. Leżały tam owinięte w płótno dwa pakunki, starannie obwiązane skrawkami tkaniny. Kiedy je rozwinął, Jonasz zobaczył dwie książki. Napisane, o nieba! po hebrajsku!

– Terminowałem u jednego z najlepszych podówczas lekarzy, sławnego w całej Hiszpanii – wyjaśnił gospodarz w odpowiedzi na nieme pytanie gościa – później zaś miałem honor wraz z nim praktykować. Był Żydem. Nazywał się Gabriel ben Nissim Sporanis. Inkwizycja skazała na śmierć jego brata, lecz jemu Bóg miłosierny pozwolił dożyć sędziwego wieku i spokojnie zamknąć oczy w tym oto domu. Powołał go do siebie dwa miesiące przed owym fatalnym edyktem, ale jego rodzina, dwoje dzieci i siostra, musiała pójść na wygnanie. Nie mieli dość pieniędzy, odkupiłem więc od nich ten dom wraz z ziemią i książki, które tu widzisz. Powiedziano mi, że jedna z nich to „Komentarz do «Aforyzmów» Hipokratesa” pióra Mojżesza ben Majmona, którego wy, Izraelici, zwiecie Majmonidesem, druga zaś jest dziełem Awicenny, znanego też pod arabskim imieniem Ibn Sina. Ta księga to jego „Kanon medycyny”, słynne kompendium wiedzy medycznej. Pisałem

Manuelowi, że wszedłem w posiadanie tych dzieł i że bardzo bym chciał je przeczytać, i oto przysłał mi nowego chrześcijanina!

Jonasz z ogromnym wzruszeniem wziął do ręki jedną z tych cennych książek, lecz gdy przebiegł wzrokiem stronicę, drogie sercu litery, za którymi tak bardzo tęsknił długie lata, wydały mu się teraz dziwne i nieznajome. Zaczęły nagle mienić mu się w oczach i poruszać, jakby wykluły się z nich setki żywych malutkich węży.

– Czy macie może, señor, inne dzieła Majmonidesa? – spytał ochryple. Cóż by dał za „Miszne Tora” pióra owego wielkiego filozofa! Ojciec miał tę książkę. Majmonides opisał w niej szczegółowo żydowskie praktyki religijne. Ach, było tam wszystko, co przez lata tułaczki wyleciało mu z głowy.

Niestety, Nuño Fierro odpowiedział przeczącym gestem.

– Było jeszcze kilka książek, lecz zabrali je synowie Gabriela. Ale powiedz – zapytał niespokojnie – potrafiłbyś przetłumaczyć te dwie?

Kiedy Jonasz ponownie przyjrzał się stronicy, dziwne wężyki stały się na powrót drogim sercu pismem, jednakże...

– Nie wiem – odparł z wahaniem. – Kiedyś bez trudu czytałem po hebrajsku, ale już tyle lat nie widziałem tych liter ani nie słyszałem mowy... – Dziewięć okrutnych lat, odpowiedział sobie w myślach.

– A gdybym cię poprosił, żebyś został u mnie i spróbował?

Doprawdy? Oszłomiła go myśl, że mógłby dzięki temu przypomnieć sobie język ojca, odzyskać choć trochę z tego, co utracił... Jakże dziwne są ścieżki życia!

– Dobrze, señor – odrzekł po chwili – mogę zostać z wami jakiś czas.

Gdyby to od niego zależało, zacząłby od Majmonidesa, zwłaszcza że księga wyglądała na bardzo starą, a jej kruche stronice mogły

rychło rozsypać się w proch. Zastosował się wszakże do życzeń medyka, który pragnął zapoznać się najpierw z dziełem Awicenny.

Nie był pewien, czy da sobie radę. Z początku szło mu bardzo opornie. Każde zdanie, każde słowo wymagało długiego namysłu.

– No i jak? Co o tym myślisz? – zapytał po pierwszym dniu Nuño. Mógł na to tylko wzruszyć ramionami.

Powoli jednak zapomniane litery stawały się znowu znajome i bliskie, a ileż budziły w nim wspomnień! Przypominały mu ojca, bo to *aba* uczył go hebrajskiego. Pamiętał, jak dyskutowali o znaczeniu rozmaitych słów, o tym, które z nich najlepiej wyrażają uczucia do ludzi, do Boga, do wszystkiego, co żyje... Poczł się nagle tak, jakby ktoś otworzył przed nim zatrzaśnięte drzwi do tamtego utraconego świata. Słyszał nieskładny chór głosów, starych i młodych, recytujących raz pełne radości strofy, kiedy indziej przejmujące smutkiem słowa pożegnania zmarłych. Strzępy modlitw i wersetów z Pisma zaczęły całą chmarą wypływać mu raptem z najgłębszych zakątków pamięci jak płatki opadłe z kwitnącego drzewa, kiedy z nagła poruszy je wiatr. I choć słowa tej księgi nie miały w sobie nic wzniosłego – mówiły o szczękościsku, zapaleniu opłucnej, zimnicy i naparach łagodzących rozmaite bóle – w jego uszach brzmiały jak muzyka. Przypominały mu pieśni i wiersze, i własną młodzieńczą żarliwość utraconą przez długie lata tułaczki, wiecznego głodu i strachu.

Od czasu do czasu natrafiał na słowa, których w ogóle nie znał; zapisywał je wtedy po hebrajsku, nic innego nie dało się zrobić. Czuł jednak, że pomału zaczyna mu wracać znajomość tego języka. Wiedział, że kiedyś władał nim doskonale, i to dodawało mu otuchy. Pracował z takim zapamiętaniem, iż o tym, że gdzieś w pobliżu niespokojnie krąży Nuño Fierro, przypominał sobie zwykle dopiero wieczorem, kiedy padało pytanie:



– No i jak?

Nadszedł w końcu dzień, gdy mógł odpowiedzieć:

– Zaczynam robić postępy.

Nuño Fierro uznał wkrótce za konieczne uczciwie ostrzec swego gościa, że Saragossa nie jest miastem bezpiecznym dla Żydów.

– Inkwizycja wcześniej ustanowiła tu swoje rządy, a były to rządy twarde i srogie – powiedział Jonaszowi.

Torquemada już w maju 1484 roku przysłał do miasta dwóch inkwizytorów, którzy z takim zapałem wzięli się do tępienia opornych ich zdaniem Żydów, że pierwsze autodafe odbyło się zaraz 3 czerwca, i to bez zastosowania edyktu łaski. Edykt ów pozwalał oskarżonym o herezję nowym chrześcijanom dobrowolnie przyznać się do winy i tym samym uniknąć stosu. Tu natomiast bez ceregieli spalono żywcem dwóch oskarżonych, a wraz z nimi ekshumowane zwłoki kobiety pośmiertnie uznanej za winną.

– Była wtedy w Saragossie grupa uczciwych ludzi – opowiadał Nuño. – Byli to powszechnie szanowani członkowie rady miasta, którzy wstrząśnięci i oburzeni tym, co się stało, zaczęli protestować przeciwko samowolnym działaniom inkwizycji. Wyjednawszy audiencję u króla, oświadczyli, że zarówno nominacje dokonane przez Torquemadę, jak i egzekucje, które tak rychło zarządzili jego przedstawiciele, były nielegalne, a konfiskata majątku ofiar stanowiła jawne pogwałcenie praw królestwa Aragonii. Ludzie ci nie protestowali przeciwko tępieniu herezji, prosili jedynie króla, by nakazał inkwizycji działać mniej surowo. Można przecież łagodniej nawracać grzeszników na łono Kościoła, przez nauki i napomnienia, a i kary dla opornych nie powinny być tak okrutne. Nie wolno, mówili, skazywać zacnych i pobożnych ludzi na podstawie fałszywych donosów. Utrzymywali również, iż w Aragonii nie ma zatwardziałych heretyków. Król Ferdynand

odprawił ich krótko: skoro w Aragonii nie ma heretyków, to po co zawracają mu głowę inkwizycją?

– W nocy 16 czerwca 1485 roku – ciągnął Nuño – jeden z inkwizytorów, Pedro Arbués, został zamordowany podczas modlitwy w katedrze. Nikt nie był świadkiem tej zbrodni, mimo to władze natychmiast uznały, że dokonali jej nowi chrześcijanie. Od razu też, podobnie jak w kilku wcześniejszych przypadkach, kiedy to chodziło o wymaginowane spiski knute rzekomo przez przechrztów, aresztowano przywódcę ludności żydowskiej. Był to Jaime de Montesa, starszy, powszechnie szanowany jurysta, członek najwyższej instancji sądowej w mieście. Aresztowano również wielu znajomych Montesy, ludzi, którzy całym swym życiem dowiedli, że są prawdziwymi chrześcijanami. Kilka pokoleń ich przodków wyznawało wiarę Chrystusową, a oni sami mieli synów i braci w klasztorach. Zajmowali wysokie pozycje we władzach miasta i w handlu, kilku otrzymało nawet tytuły szlacheckie! Mimo to każdego po kolei uznano za *judio mamas*, człowieka urodzonego z matki Żydówki, czyli „prawdziwego Żyda”. Poddano nieszczęsnych okrutnym torturom, podczas których wymuszono na nich przyznanie się do spisku. W grudniu 1485 roku spalono na stosie dwóch pierwszych z tej grupy, a począwszy od lutego następnego roku już regularnie co miesiąc odbywało się autodafe. Jak zatem widzisz, musisz być bardzo ostrożny – zakończył Nuño. – Czy Callicó to twoje prawdziwe nazwisko?

– Nie, pod prawdziwym poszukuje mnie inkwizycja – wyznał Jonasz.

– Więc mi go nie wyjawiaj – uśmiechnął się Nuño. – Pozostań Ramónem Callicó. Będziemy mówić, że pochodzisz z Gibraltaru i jesteś starym chrześcijaninem. Aha, zapamiętaj, jakie łączy nas pokrewieństwo: jesteś siostrzeńcem żony mojego zmarłego brata.

Nietrudno tu było ukryć swą tożsamość. Jonasz nie widywał żołnierzy ni księży, bo nawet jeśli gdzieś wychodził, nie oddalał się zanadto od domostwa. Gabriel ben Nissim Sporanis zbudował je bardzo mądrze: na tyle daleko od miasta i głównego szlaku, aby tylko potrzeba pomocy medyka kazała przychodzić tu obcym.

Posiadłość Nuña Fierry obejmowała trzy długie stoki niezbyt stromego wzgórza. Gdy po kilku godzinach pracy hebrajskie litery zaczynały znów migać mu przed oczami i zamieniać się w czarne wężyki, Jonasz odkładał księgę i zaczynał wędrować po wzgórzu. Sądząc po różnych oznakach, poprzedni właściciele troszczyli się o swoją ziemię, czego niestety nie dało się powiedzieć o obecnym. Jonasz odkrył tu gaj oliwny i niewielki sad owocowy, gdzie drzewa wyglądały na zdrowe, lecz zostały strasznie zaniedbane, aż żal było patrzeć. Zdziczałe gałęzie wielkim głosem wołały o przycięcie, a ponieważ w nim na ten widok obudziła się chłopska dusza, zabrał się do roboty. Znalezione w stodole piłąk poprzycinał najbardziej zdziczałą część drzewek, gałęzie zaś ułożył w stertę i spalił, tak jak to robił ongiś. Za stodołą stało koryto z wyschniętym końskim nawozem i ściółką, które dobrze wymieszał z popiołem i zasilił tą miksturą z pół tuzina drzewek.

Po północnej stronie wzgórza leżało zapuszczone pole, które Reyna nazywała Polem Potępionych. W rzeczywistości był to cmentarz bez mogił i krzyży, grzebano tu bowiem nieszczęśników, którzy własną ręką odebrali sobie życie. Kościół katolicki potępiał samobójstwo, uznając je za grzech śmiertelny, i tym, którzy je popełnili, odmawiał pochówku w poświęconej ziemi.

Dom Nuña stał przy południowym zboczu. Był to najlepszy kawałek ziemi – żyzny i dobrze nasłoneczniony, cóż, kiedy z wyjątkiem niewielkiego warzywnika Reyny cały zarósł dzikimi

krzewami i zielskiem. Szkoda, myślał Jonasz. Gdyby ktoś chciał uczciwie popracować na tej ziemi, mógłby tu wiele zdziałać...

Zgadząc się przetłumaczyć dwie stare księgi, Jonasz nie zamierzał pozostać u Fierry na stałe, lecz tak go wciągnęło odkrywanie na nowo hebrajskich słów i ich znaczeń, że pochłonięty pracą nawet nie zauważył, jak mijają tygodnie, a on coraz bardziej przywyka do życia pod dachem. Polubił ten dom pełen zapachu świeżego chleba, gotujących się potraw i ciepła bijącego z wielkiego kuchennego pieca. Tuż obok niego stała skrzynia z drewnem na opał i teraz Jonasz dbał o to, żeby zawsze była pełna, czym pozyskał sobie wielką wdzięczność Reyny, której ubył jeden z uciążliwszych obowiązków. Całe przyziemie domu zajmowała obszerna izba, gdzie odbywało się gotowanie i jedzenie posiłków i gdzie po pracy można było odpocząć przy ogniu. Na piętrze po jednej stronie znajdowała się duża sypialnia pana domu, po drugiej mniejsza izdebka Reyny. Środkowe pomieszczenie, mały składzik z siennikiem na drewnianej pryczy, zajmował Jonasz.

Dzieliły ich od siebie tak cienkie ścianki, że każdy doskonale wiedział, kiedy sąsiad korzysta z nocnika. Wkrótce złapał się na tym, że nadśłuchuje odgłosów dochodzących z izby Reyny. Wystarczyło mu usłyszeć ziewnięcie i od razu wyobrażał ją sobie przeciągającą się na posłaniu jak wielka zadowolona kotka. Miło jej pewnie tak sobie poleniuchować... W ciągu dnia przyglądał jej się ukradkiem, chociaż od początku wiedział, że nie może liczyć na jej względy. Zdarzało mu się nieraz słyszeć, jak wieczorem ostrożnie otwiera drzwi i idzie do sypialni Nuña; czasami dochodziły go stamtąd stłumione odgłosy miłosnych zmaganiań.

Brawo, medyku! tobie to dobrze, myślał wtedy z uczuciem przykrego ucisku w lędźwiach. Rano po takiej nocy Nuño i Reyna zachowywali się znowu jak pan i służąca – grzecznie, lecz bez

żadnych oznak zażyłości. Te ich nocne spotkania nie były zresztą zbyt częste; Nuño Fierro nie miał już chyba nadmiernych potrzeb cielesnych. Jonasz szybko zauważył, że gdy pan domu ma ochotę spędzić noc we dwoje, powiadamia o tym Reynę zawsze tym samym sygnałem: mówiąc po kolacji, że na jutrzejszy obiad chętnie zjadłby kawałek piezonego drobiu. Widząc jej milczące skinienie głową, wiedział już, co go czeka: nie zaśnie, póki nie usłyszy, że Reyna nareszcie otwiera drzwi i idzie spełnić życzenie swego pana.

Z początku nie zdawał sobie sprawy, że Nuño nie cieszy się dobrym zdrowiem. Zauważył to dopiero pewnego popołudnia, gdy na chwilę wstał znad tłumaczenia i zobaczył medyka siedzącego z zamkniętymi oczami na schodach.

– Señor, czy mogę wam pomóc? – zawołał, zbiegając z piętra.

– Nie – szepnął Nuño, podnosząc rękę. Błady był jak ściana. – Pozwól mi tak posiedzieć. To nic wielkiego, lekki zawrót głowy.

Nie wiedząc, co mógłby zrobić, Jonasz wrócił do pracy. Po chwili usłyszał, że Nuño podnosi się z trudem i idzie do swojej sypialni.

Kilka dni później rozpętała się nagle wichura, przynosząc równie gwałtowną co uporczywą ulewę, która wreszcie przerwała długotrwałą suszę. Przed świtem obudziły ich okrzyki i łomotanie w drzwi: ktoś wzywał pomocy medyka.

Reyna w samej koszuli zbiegła po schodach, wołając:

– Idę już, idę! Co się stało?

– Jestem Ricardo Cabrera. Miejcie litość, otwórzcie! Potrzebny nam señor Fierro! Mój ojciec ciężko się potłukł!

– Już idę! – krzyknął Nuño ze szczytu schodów.

– Gdzie mieszkacie? – spytała Reyna, uchyliwszy drzwi ledwo na palec.

– Kawalek od drogi do Tauste.

– Ależ to za Ebro!

– Da się przejść przez rzekę. Przeprowadziłem się bez trudu – błagalnie nalegał mężczyzna.

Jonasz zdumiał się słysząc, że Reyna zaczyna sprzeczać się z medykiem, zupełnie jakby była jego żoną:

– Przestań! Pakujesz tę swoją torbę jak gdyby nigdy nic! To za daleko! I trzeba przeprowić się przez wodę! Nie wolno ci wychodzić w taką noc!

Nuño widać nie posłuchał, bo przybiegła na górę i bez ceregieli weszła do składziku.

– Señor Fierro nie czuje się dobrze. Jedź z nim. A dopilnuj, żeby wrócił cały.

Nuño nie był chyba taki pewny siebie, jak udawał, gdyż widok zbiegającego ze schodów Jonasza wyraźnie sprawił mu ulgę.

– Señor, konie waszego brata są bardzo posłuszne i wytrzymałe. Może weźmiecie któregoś? – spytał Jonasz w drodze do stajni.

– Nie, wolę swego. Wiele razy przechodził przez Ebro.

Jonasz osiodłał mu gniadosza, a dla siebie siwego ogiera i ruszyli gęsiego za kudłatym kucykiem młodego Cabrery. Deszcz lał wciąż jak z cebra. Strumyk zamienił się w rwący potok, a droga w błotne grzęzawisko. Szum gwałtownie wzbierającej wody stawał się coraz głośniejszy. Jonasz wziął torbę Nuña, aby medyk pewniej trzymał wodze. Tylko tak był w stanie mu pomóc. Nim dotarli do Ebro, zdążyli przemoknąć do nitki. Przy takiej ulewie zniknęły spokojne płycizny na rzece; spieniona woda sięgała im powyżej strzemion. Na szczęście nawet mały kucyk zdołał ją przebyć bez szwanku. Przyjechali na miejsce, szczękając zębami z chłodu, nie było jednak czasu myśleć o sobie i własnej wygodzie.

Pascuala Cabrerę zastali w oborze; leżał biedak na gołym klepisku. Jego żona, uzbrojona w widły, zadawała zwierzętom paszę.

– Spadłem ze skał na polu – wyszeptał poszkodowany na widok lekarza. Jęknął głucho i zamilkł. Widać było, że z trudem oddycha.

– Bo trzeba wam wiedzieć – podjęła opowieść żona – że grasuje tu głodne wilczysko. Będzie ze dwa tygodnie, jak zeżarł nam nowo narodzone jagnię. Syn zastawił już wnyki, lecz póki się bestia nie złapie, musimy tych parę kóz i owieczek zaganiać na noc do obory. No i wczoraj ta oto uparta koza ani rusz nie chciała zejść z pola. Wszystkie dały się zagnać, a ta nie i nie! – skrzywiła się gniewnie kobieta, celując palcem w chudą czarną kozę żującą tuż obok siano. – Wdrapała się przekłeta na skały, bo mamy taki skalisty kawałek w samym rogu pola, i za nic nie chciała zejść. Takie to już stworzenia, że lubią się wspinać.

Ranny wymamrotał coś tak słabym szeptem, że Nuño go nie dosłyszał.

– Powtórzcie – poprosił.

– Ta koza... to nasza najlepsza... daje najwięcej mleka.

– Prawda – przytaknęła żona. – Więc jak Pascual wlaźł po nią na górę, ona zeskoczyła na dół i pognała prosto do obory, a jemu omsknęła się noga. Wiadomo, skała śliska od tego deszczu. No i stoczył się aż do podnóża. Leżał tam chwilę jak nieżywy, potem się jakoś pozbierał i przywłókł sam do obory. Zdjęłam z niego te mokre szmaty, ale z bólu nie pozwolił mi się nawet wytrzeć. Przykryłam go derką i tak leży.

Jonasz zobaczył teraz zupełnie innego Nuña – szybkiego i zdecydowanego.

– Weź latarnię i stań w tym miejscu – zakomenderował, sam zaś odrzucił derkę i położył ręce na ciele ofiary wypadku. Jakże zwinne były te ręce i jak delikatne! – Pękło wam kilka żeber – orzekł

po dłuższej chwili – i chyba też kość w ramieniu. Spróbujemy temu zaradzić.

Wyjął z torby długie paski płótna i owinął nimi ciasno całą górną połowę ciała rannego. Jęki ustały. Pascual Cabrera wydał westchnienie ulgi.

– O, teraz mi ździebko lepiej.

– Trzeba jeszcze opatrzeć wam ramię – stwierdził Nuño, podwiązując uszkodzoną rękę. Kazał Jonaszowi i młodemu Cabrerze przymocować do derki dwie mocne żerdzie, które spostrzegł w kącie obory, położyć na derce chorego i ostrożnie zanieść go do łóżka.

Nie był to jeszcze koniec wizyty. Nuño dopiero wtedy zaczął się zbierać do domu, gdy wydzielił żonie Cabrery odpowiednią porcję różnych ziół, z których kazał jej uwarzyć napar łagodzący bóle i napoić nim zaraz męża.

– Inaczej nie zaśnie – powiedział na pożegnanie – a potrzebny mu wypoczynek.

Na dworze wciąż jeszcze mżyło, lecz wiatr ucichł, rzeka również była spokojniejsza. Nim dojechali do domu, przestało padać i na niebo wypłynęło słońce. Zapowiadał się piękny dzień. Reyna czekała z gorącym winem, zaczęła też zaraz grzać wodę na kąpiel dla pana domu. Jonasz tymczasem pobiegł do swego mrocznego składziku, gdzie trzęsąc się cały jak w febrze, jał rozcierać zziębnięte ciało kawałkiem jutowego worka. Słuchając dochodzących z dołu łagodnych utyskiwań Reyny, zadumał się nad pewną myślą, która przyszła mu dziś do głowy...

Kiedy po kilku dniach sam Nuño zwrócił się do niego z prośbą, aby towarzyszył mu do chorego, Jonasz zgodził się z ochotą. W ciągu tygodnia odbyli wspólnie siedem wizyt. Potem rozumiało się już samo przez się, że Nuño zabiera go z sobą, kiedy musi jechać do pacjenta.



Przy okazji jednej z tych wizyt, u kobiety chorej na zimnicę, Jonasz znów miał sposobność dowiedzieć się czegoś o losach swoich współbraci zbiegłych do Portugalii. Podczas gdy Nuño starał się ulżyć pacjentce, jej mąż, kupiec bławatny, zabawiał drugiego gościa opowieścią o portugalskim jedzeniu i winie, jako że właśnie wrócił z Lizbony. Wyczerpawszy ów temat, zaczął z innej beczki:

– Teraz i Portugalczycy mają za swoje z tymi przeklętymi Żydami!

– Jak to? – zdziwił się Jonasz. – Słyszałem, że król Portugalii uczynił z nich niewolników.

– Tak było, ale już nie jest. Kiedy na tron wstąpił Emanuel, przywrócił wolność tym przeklętnikom! Wkrótce tego pożałował, bo gdy chciał poślubić księżnę Izabelę, córkę naszych miłościwych monarchów, zganili go za zbyt miękkie serce! Postanowił być odtąd surowszy, ale nie takie to łatwe. Za dużo by stracił, wypędzając Żydów, bo handlować to oni potrafią, on zaś niemałe czerpie z tego zyski!

– Hm, i ja to słyszałem – rzekł Jonasz – ale czy to prawda, że tacy z nich wyborni kupcy?

– O tak! Przekonałem się o tym na własnej skórze, a wiem od innych, że oni również. Ale chcę wam powiedzieć, jaki to sposób na Żydów wymyślił sobie Emanuel. Kazał siłą ochrzcić wszystkie żydowskie dzieci od czterech lat do czternastu, a potem wybrać z nich siedem setek i wywieźć na Wyspę Świętego Tomasza. Leży ona bardzo daleko, gdzieś u wybrzeży Afryki. Miały tam prowadzić chrześcijańskie życie z dala od swoich rodzin, tylko że prawie wszystkie wymarły wkrótce na febrę, więc królewski plan się nie powiódł. Ponieważ większość ochrzczonych dzieci pozostała w Portugalii, zażądano od ich rodzin, żeby przeszły na katolicyzm, grożąc opornym wydaleniem z królestwa. Wielu wskutek tego się przechrzciło, podobnie jak kiedyś u nas, ale wątpliwe, o czym

dobrze wiemy, aby *judio mamás* stał się uczciwym chrześcijaninem, nieprawdaż?

– A co z tymi, którzy odmówili chrztu? Dokąd się udali?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, póki nie próbują wracać do Hiszpanii – odrzekł kupiec.

Na tym zakończyła się ta rozmowa, bo chora zaczęła jęczeć i małżonek pospieszył do jej łóża.

Pewnego dnia w posiadłości Nuña pojawiło się dwóch grabarzy, prowadząc za sobą osła, który niósł na grzbiecie owinięte w całun zwłoki. Reyna, poproszona przez nich o wodę, w pierwszej chwili nie dostrzegła owego ładunku, zapytała więc przybyszów, czy potrzebny im medyk. Roześmiali się głośno, mówiąc, że na to za późno.

Nieboszczyk na osle był czarnoskórym nieznanym włóczęgą. Musiał to być jakiś desperat, bo w biały dzień na rynku poderznął sobie nagle gardło – wyjaśnili grabarze w odpowiedzi na pytanie Reyny, czyje to wiozą zwłoki... Podziękowali za wodę i poszli na Pole Potępionych.

Nuño w środku nocy obudził nagle Jonasza:

– Potrzebna mi twoja pomoc.

– Do usług, señor. Co mam zrobić?

– Przede wszystkim powinienes wiedzieć, że to, o co cię proszę, jest w oczach Kościoła uprawianiem czarów i zarazem śmiertelnym grzechem. Jeśli się to wyda, obu nas spalą na stosie.

Jonasz już dawno doszedł do wniosku, że Nuño Fierro jest człowiekiem godnym zaufania, odrzekł więc bez namysłu:

– I tak chcą mnie spalić, mistrzu, a dwukrotnie tego nie zrobią.

– W takim razie weź szpadel i załóż mułowi uzdę.

Noc była jasna, tak jednak zimna, że chłód przenikał do szpiku kości. We dwóch poprowadzili muła na cmentarz samobójców.

Nuño już był tu przed zmierzchem, by odnaleźć miejsce pochówku, mógł zatem teraz bez zwłoki zapędzić Jonasza do kopania.

– Grób jest płytki – powiedział – bo ci grabarze to leniwe szelmy. Mówiła mi Reyna, że już idąc tutaj, mieli tęgo w czubie.

Jonasz bez większego trudu wydobył z ziemi owinięte całunem zwłoki. Władowali je na muła i z pośpiechem zawieźli do stodoły, gdzie Nuño już wcześniej porozstawiał lampy dookoła długiego stołu.

Sądząc po twarzy i ciele, zmarły był człowiekiem w średnim wieku. Miał czarne, mocno skręcone włosy, cienkie ręce i nogi z licznymi sińcami na goleniach, a na całym ciele dużo starych blizn. Na jego szyi widniała okropna rana.

– Kolor skóry mnie nie obchodzi – oświadczył Nuño. – Nie odgrywa on żadnej roli. Człowiek jest człowiekiem bez względu na to, jaką ma skórę. Jej kolor zależy od klimatu. U ludzi żyjących w Afryce, gdzie panują dotkliwie upały, wytworzyła się czarna skóra, by ich chronić przed słońcem, a znów na północy, w takich krajach jak ziemie Słowian, zimny klimat powoduje, że mieszkańcy mają skórę białą jak papier.

Wziął do ręki jedno ze lśniących narzędzi, w które Manuel Fierro włożył wszystkie swe umiejętności, i przybliżył je do piersi trupa.

– Wiedz, że sekcji zwłok dokonywano już w zamierzchłych czasach, odkąd powstała sztuka leczenia. – Po tych słowach jednym zdecydowanym cięciem otworzył zwłoki od mostka aż po kość łonową. – Każde ciało, tak białe, jak i czarne, mieści w sobie różnego rodzaju gruczoły, od których zależą poszczególne funkcje organizmu.

Jonasz spazmatycznie zaczerpnął oddechu i odwrócił głowę. Buchająca ze zwłok woń rozkładu przypawiła go o nagłe mdłości.

– Wiem, że ci słabo – zauważył Nuño, nie przestając pracować. – Ze mną było tak samo, gdy po raz pierwszy asystowałem przy sekcji mojemu mistrzowi. Jestem medykiem – mówił – a nie księdzem czy diabłem, nie powiem ci zatem, co dzieje się po śmierci z duszą, ale wiem z całą pewnością, że nie pozostaje ona w ciele. To, co tu leży, jest tylko pustą skorupą, którą można jedynie złożyć do ziemi, gdzie rychło rozsypie się w proch.

Zaczął po kolei wyjmować z ciała różne organy, każąc Jonaszowi zapisywać ich wagę i rozmiary w wielkiej, oprawnej w skórę księdze.

– To jest wątroba. Od niej zależy, jak odżywione jest ciało. Uważam, choć to tylko domysł, że jest ona miejscem, gdzie rodzi się krew... To, co trzymam w ręku, to śledziona... a to pęcherzyk żółciowy, od którego zależy temperament. A to... – Mój Boże. Jonasz nie mógł uwierzyć, że trzyma w dłoniach ludzkie serce! – ...to organ, bez którego nie ma życia. Serce wciąga w siebie krew – tłumaczył Nuño – i posyła ją do wszystkich części ciała. Natura krwi pozostaje wciąż dla nas zagadką, natomiast co do serca wiadomo na pewno, że dzięki niemu żyjemy. Bez serca człowiek byłby rośliną. Spójrz, jak zmyślnie jest zbudowane: przypomina dom o czterech izbach. Myślę, że w jednej z tych komór tkwi mój wyrok śmierci – powiedział z westchnieniem – Pan Bóg kształtując moje serce musiał popełnić jakiś błąd. Ale może się mylę, może to coś w płucach.

– Czy sprawia wam to ból, mistrzu?

– Czasami kiepsko się czuję. Miewam kłopoty z oddychaniem, ale... przychodzą i odchodzą – krótko odrzekł medyk.

Zaczął teraz pokazywać Jonaszowi, w jaki sposób kości i więzadła podtrzymują ciało i do czego służą różne błony. Odpowiadał w końcu czubek głowy trupa, aby Jonasz mógł zobaczyć ludzki mózg i to, jak

ów organ łączy się ze rdzeniem pacierzowym oraz pewnymi nerwami.

Było jeszcze ciemno, gdy wszystkie narządy wróciły na miejsce, nacięcia zaś zostały zaszyte równiutkim, starannym ścięciem, zaiste godnym dobrej szwaczki. Owinęli znów zwłoki całunem i odwieźli je na wzgórze. Jonasz wykopał zmarłemu głębszy grób i obaj z medykiem uczcili go modlitwą – chrześcijańską i żydowską. Świt obu zastał w łózkach. Po sekcji nie zostało ani śladu.

\*

Przez cały następny tydzień Jonasz nie mógł sobie znaleźć miejsca. Tak się złożyło, że właśnie przetłumaczył pewien fragment dzieła Awicenny, który wciąż teraz przychodził mu na myśl: „Celem medycyny jest podtrzymywanie zdrowia i leczenie schorzeń, poczynając od poznania przyczyn, które je wywołują, a tkwią w chorym ciele”. Kiedy razem z Nuñem odwiedzał teraz pacjentów, patrzył na nich zupełnie inaczej: widział kości, serce, wątrobę i wszystkie organy oglądane w czasie nocnej sekcji. Dojrzewała w nim pewna decyzja, którą pragnął przedłożyć medykowi, wciąż jednak zwlekał, niepewny, czy zostanie dobrze przyjęta. Po tygodniu zdobył się nareszcie na odwagę.

– Señor Fierro, pragnąłbym zostać waszym uczniem.

Nuño przez chwilę mierzył go chłodnym spojrzeniem:

– Nagle cię to naszło? Może to tylko słomiany ogień?

– Nie, dużo o tym myślałem. Wasza praca to służba boża.

– Służba boża! Coś ci powiem, Ramónie: czasami wierzę w Boga, a czasami wcale.

Jonasz zamilkł, bo i cóż mógł na to powiedzieć?

– Czy możesz mi podać inne powody tej decyzji?

– Medyk przez całe życie pomaga ludziom...

– Aha, ty zaś chcesz przysłużyć się ludzkości?

Jonasz poczuł, że Nuño trochę sobie z niego pokpiwa.

– Tak, bardzo bym chciał! – rzucił z rozdrażnieniem.

– A wiesz, jak długo trzeba się uczyć medycyny?

– Nie...

– Cztery lata. Byłby to już trzeci twój termin, a ja nie mogę ci przyrzec, że go na pewno ukończysz... Nie wiem, czy Pan Bóg zechce dać mi jeszcze cztery lata, bym mógł, jak to mówisz, pełnić Jego dzieło.

Taka szczerość wymagała wzajemności.

– Nie chcę błądzić po świecie bez celu – cicho wyznał Jonasz. – Pragnę czynić coś dobrego...

Nuño zacisnął wargi i długą chwilę patrzył na niego w milczeniu.

– Będę dla was ciężko pracował!

– Już to robisz – odrzekł łagodnie medyk. – Dobrze! – zdecydował się nagle. – Spróbujemy!

C z ę ś ć   s z ó s t a

## *Medyk z Saragossy*

*Aragonia*

*10 lutego 1501 roku*

### **Rozdział 29**

#### ***Uczeń medyka***

Kiedy teraz odwiedzali chorych, Jonasz już nie czekał bezczynnie, aż Nuño zakończy swoje powinności, lecz stojąc u boku medyka, pilnie słuchał wszystkich jego uwag.

– Widzisz tę wilgotną pościel? Czujesz ten kwaśny oddech? – pytał Fierro przyciszonym głosem, a potem wyjaśniał żonie chorego, że jej mąż cierpi na kolkę z gorączką, należy zatem trzymać go na diecie: same lekkie potrawy bez przypraw, i codziennie przez cały tydzień podawać mu specjalny leczniczy napar.

Do chorych jechali zazwyczaj z pośpiechem, za to w drodze powrotnej pozwalali koniom iść stępa, a Jonasz mógł wtedy zadawać pytania, które nasunęły mu się podczas wizyt.

– Wspomnieliście, mistrzu, że kolka miewa różne symptomy. Czy znaczy to, że dzisiaj widzieliśmy tylko niektóre?

– W rzeczy samej. Czasami towarzyszy jej gorączka i silne poty, a czasami nie. Przyczyny mogą też być różne. Na przykład ostre

zaparcie, na które dobrym remedium są figi, dotąd gotowane w oliwie i miodzie, aż tak zgęstnieją, że powstanie z nich papka. Drugi powód to biegunka, przy której konieczna jest inna dieta. Należy uprażyć ryż na brązowo, potem go ugotować i wolno, łyżka po łyżce karmić nim chorego.

Nuño zazwyczaj też miał parę pytań.

– Powiedz mi, czy to, cośmy dziś oglądali, zgadza się z teorią Awicenny dotyczącą wykrywania chorób?

– Tak, pisze on bowiem, że chorobę często rozpoznaje się po wydzielinach, takich jak plwociny, stolec, pot i uryna.

Pracował nadal nad tłumaczeniem „Kanonu”, przekonując się coraz dowodniej, że twierdzenia sławnego arabskiego lekarza pokrywają się w całej rozciągłości z naukami Nuña Fierry. Niedawno przełożył taki oto fragment:

„Symptomy poznajemy przez fizyczne badanie ciała. Są objawy widoczne, takie jak żółtaczka i obrzęk; niektóre daje się uchwycić uchem, jak choćby bulgotanie w brzuchu u chorych na wodną puchlinę; kiedy indziej znów brzydki zapach atakuje zmysł powonienia, jak na przykład w przypadku ropiejących wrzodów; bywają objawy, takie jak kwaśność w ustach, które medyk rozpoznaje smakiem; również dotyk pozwala rozpoznać wiele symptomów, na przykład twardość spowodowaną przez...”

Następne słowo brzmiało „sartan”. Oznaczało pewnie jakąś chorobę, ale jaką? Napotykać nie znany mu termin medyczny, a było ich wiele, Jonasz prosił o pomoc mistrza. Zrobił tak i tym razem.

– Jestem prawie pewien – powiedział Nuño po przeczytaniu całego fragmentu – iż słowo to oznacza raka: „Dotyk pozwala rozpoznać... twardość spowodowaną przez raka”



Już przez samo tłumaczenie dzieła Awicenny Jonasz nabywał sporo wiadomości o przyczynach i leczeniu chorób, okazało się jednak wkrótce, że na pracę tę zostaje mu coraz mniej czasu. Nuño jako nauczyciel był niezmiernie wymagający, zapędził więc swego ucznia do lektury klasycznych podręczników medycyny, takich jak dzieło Teodoryka Borgognoniego o chirurgii, praca Izaaka o gorączkach i Galena o pulsach.

– Nie wystarczy tylko przeczytać – zapowiedział, wręczając Jonaszowi księgi. – Naucz się wszystkiego, co zawierają te dzieła, i to tak, byś w przyszłości nie musiał do nich zaglądać. Książka może zaginąć lub spłonąć, a tego, co masz w głowie, nikt ci nie odbierze.

Czasami, choć z rzadka, trafiały im się zwłoki, które można było poddać sekcji. Pewnego razu wykopali ze wzgórza ciało kobiety, która odebrała sobie życie, skacząc do Ebro. Z jej macicy Nuño wydobył nie całkiem uformowany jeszcze płód wielkości maleńkiej rybki, takiej jaką każdy przyzwoity wędkarz wrzuca z powrotem do wody.

– Życie powstaje ze spermy, lecz nie wiemy, co sprawia, że przekształca się ona w płód. Niektórzy uważają, że zarodki życia znajdujące się w płynie wydzielanym przez mężczyznę zostają pobudzone do wzrostu przez naturalne ciepło kobiecej pochwy. Inni natomiast wysuwają hipotezę, że decyduje o tym dodatkowa ilość ciepła powstająca wskutek tarcia powodowanego przez ruchy męskiego członka. Trudno powiedzieć, które z tych twierdzeń jest prawdziwe.

Po rozcięciu piersi nieboszczki ukazała się gąbczasta tkanka, w której jak stwierdził Nuño, często tworzą się guzy. Dodał też zaraz, iż sama pierś służy nie tylko do karmienia dzieci.

– Sutki – oznajmił – to obszar erogenny, jedno z kilku takich miejsc na ciele. Pobudzanie ich ustami lub ręką przygotowuje kobietę do stosunku, niewielu jednak mężczyzn, nawet anatomów, zdaje sobie sprawę, iż głównym siedliskiem rozkoszy jest u kobiety to oto sekretne miejsce – pokazał Jonaszowi organ wielkości groszku ukryty w podwójnych fałdach skóry nieco powyżej wejścia do wagi.

Wykład ten przypomniał mu chyba o sprawach praktycznych, gdyż nie omieszkał ostrzec swego ucznia:

– W mieście jest wiele kobiet, które z chęcią nader dyskretnie zaspokoją każdą z męskich potrzeb, nawet najbardziej wymyślną, lecz trzymaj się od nich z daleka! Ladacznicę często mają kiłę, zwaną też syfilisem. Choroby tej trzeba się strzec jak ognia, bo skutki jej są okropne.

Jakby chciał mu tę lekcję wbić młotkiem do głowy, pozwolił Jonaszowi zobaczyć owe skutki na własne oczy. Jeszcze w tym samym tygodniu wybrali się do miasta, gdzie Nuño, zatrzymawszy się przed jakimś domem, zawołał:

– Señora Porta, przychodzę odwiedzić dzieci! Dzień dobry – grzecznie powitał ponurą kobietę, która po chwili otworzyła drzwi.

Nie odpowiedziała na pozdrowienie, wpuściła ich jednak do środka. Pierwszym pacjentem okazał się wątył malutki chłopczyk, który głośno sapiąc, stał pod ścianą w kuchni. Nie poruszył się nawet, gdy weszli, patrzył na nich tylko dziwnie tępym wzrokiem.

– Witaj, Fernando – uśmiechnął się Nuño. – Dałbyś mu dziewięć lat? – zapytał szeptem Jonasa, któremu na te słowa ścisnęło się serce. Biedny dzieciak wyglądał na cztery, najwyżej pięć lat! I te nóżki! Mało, że króciutkie, to jeszcze wygięte w kabłąk! Chłopczyk nie protestował, gdy zaczęli go badać. Na mosznie i wokół odbytu

miał kępki ciemnych narośli przypominających drobne winogrona. – Przypatrz im się – powiedział Fierro – bo nieczęsto zdarza nam się widzieć te objawy. Występują tylko w niektórych przypadkach. – Podprowadził małego do okna i otworzył mu buzię, by pokazać Jonaszowi dziurę w podniebieniu. Również dwa przednie górne zęby wyglądały bardzo osobliwie: były dużo węższe u dołu niż u góry i dzieliła je szeroka przerwa. – Dziura w podniebieniu to z kolei objaw bardzo częsty – mruknął medyk – podobnie jak zniekształcone zęby.

Młodsze dziecko, chyba kilkumiesięczne, zanosilo się od płaczu. Na ustach i koło nosa miało bąble i krwawiące ranki.

– Señora, macie jeszcze tę maść, którą przepisałem wam ostatnim razem?

– Nie, całą już zużyłam.

– Idźcie więc do apteki brata Mediny. Powiem, by przygotował dla was nową porcję.

Jonasz odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie wyszli z tego domu.

– Maść nie na wiele się przyda... – westchnął Nuño. – Ani żadne inne środki. Młodszemu te bąble z czasem znikną, ale zęby wyrosną mu z pewnością tak samo zniekształcone jak u brata. A i to jeszcze nie koniec. Zdarzają się też gorsze komplikacje. Miałem kilku starszych pacjentów, którzy nagle popadli w obłąd i wyobraź sobie, co się okazało: wszyscy w młodości przechodzili kiłę! Nie potrafię dowieść związku między tymi dwiema chorobami, lecz czyż nie jest zastanawiające, że tak często pojawiają się obie u tych samych ludzi?

Potem nie rozmawiali już o kile, ale Jonasz nie zapomniał słów mistrza. Wypłynęły mu one z pamięci wiele lat później, i to w zgoła nieoczekiwanej sytuacji...

Nuño oświadczył po paru tygodniach, iż jego uczeń musi regularnie uczęszczać do kościoła. Och, Jonasz początkowo mocno się temu sprzeciwiał. Co innego w Gibraltarze, tam musiał udawać chrześcijanina, ponieważ był obserwowany, ale tutaj? Po co komu taka obłuda? Wszak sam gospodarz tego domu przyznawał się do niedowiarstwa!

Nuño mógł sobie być niedowiarkiem, jednakże w kwestii praktyk religijnych okazał się nieustępliwy.

– Kiedy ukończysz termin, będziesz musiał stanąć przed komisją, która zadecyduje, czy przyznać ci patent medyka, a ja będę musiał pójść z tobą. Jeżeli w oczach członków tej komisji nie będziesz gorliwym chrześcijaninem, nie pozwolą ci praktykować. – Na koniec wytoczył najcięższy argument: – Jeśli wyjdzie na jaw, kim jesteś, wszyscy zginiemy, ty, ja i Reyna.

– Ale ja... ja ledwie parę razy byłem na mszy... – wymamrotał Jonasz. – Starałem się naśladować siedzących w pobliżu ludzi, ale to przecież za mało! Jak mam udawać katolika, gdy nie umiem zachować się w kościele? Boję się, mistrzu, że właśnie niewiedzą mogę nas narazić na niebezpieczeństwo.

– Och, szybko się tego nauczysz! – zapewnił go mistrz.

Od tej pory po lekcjach medycyny zaczynał się inny instruktaż: kiedy należy klękać w czasie mszy, a kiedy wstawać, jak się żegnać wchodząc do kościoła, aby wyglądało to naturalnie, jak recytować łacińskie pacierze. Po miesiącu nieustannej musztry Jonasz tak się wyuczył Pater Noster i Ave Maria, że potrafił recytować je jak Szma, a żegnał się z taką swobodą, jakby robił to od urodzenia.

Wiosna w Saragossie zaczynała się później niż w Gibraltarze, lecz w końcu i tutaj dni stały się dłuższe i bardziej słoneczne. Drzewa, które Jonasz przyciął i zasilił, przepięknie rozkwitły. Zaglądał teraz często do sadu, patrząc, jak z ukwieconych gałęzi z wolna opadają

wonne różowe płatki, a ich miejsce zajmują twarde zielone kuleczki – przyszłe czerwone jabłka i złoto-różowe brzoskwinie.

Któregoś z tych wiosennych dni, wilgotnych od ciepłego deszczu, do lecznicy przyszła wdowa, drobna kobieta o jasnej skórze, blisko osadzonych oczach i włosach koloru mysiego futerka. Nazywała się Loretta Cavaller. Ze wzrokiem wstydliwie utkwionym w ścianę zaczęła opowiadać o swoich dolegliwościach: w ostatnich dwóch latach jej miesięczne krwawienia prawie zupełnie zanikły, pojawiły się natomiast przykre skurcze w brzuchu. Była już u dwóch położnych, które dały jej różne balsamy, stosowała nawet nostrum, medykament, który jak powiadają, pomaga na wszystko, niestety, bez żadnego skutku.

– A jak z waszym stolcem, señora? – spytał Nuño. – Miewacie go codziennie?

– Nie zawsze.

– Należy więc pozbyć się zaparc, a oto, co wam radzę...

Zalecił pacjentce namoczyć siemię lniane w zimnej wodzie i pić ją bez precedzania, razem z nasionami, widząc zaś przed domem jej wóz, przykazał odstawić go na dłuższy czas i jeździć tylko wierzchem. Na wzmożenie miesięcznych krwawień miała cztery razy dziennie pić wywar z kory drzewa wiśniowego, portulaki i liści maliny, dopóki nie powróci jej normalny okres, a potem jeszcze przez trzydzieści dni. Gdy bąknęła niepewnie, że nie wie, gdzie szukać tych ingrediencji, wyjaśnił, iż najlepiej kupić je w aptecce brata Mediny.

Jonasz tymczasem już następnego popołudnia nazbierał wszystkiego, co było potrzebne do sporządzenia owego wywaru, i wzięwszy ze sobą butelkę wina, pojechał z wizytą do wdowy. Jej mały domek stał w przyjemnym miejscu, tuż nad samym brzegiem Ebro. Kiedy otworzyła mu drzwi, zauważył, że jest boso, mimo to

zaprosiła go do środka, dziękując grzecznie za korę i liście. Zaraz też poczęstowała gościa kubkiem wina z darowanej flaszki, sobie zaś naląła drugi, po czym oboje zasiedli przy ogniu na dwóch jednakowych, przepięknie rzeźbionych krzesłach. Kiedy Jonasz wyraził swój podziw dla ich jakże kunsztownej formy, gospodyni powiedziała z dumą, iż są one dziełem jej zmarłego męża. Ów mąż, Jiménez Reverte, był cenionym mistrzem stolarskim.

– Od jak dawna jesteście wdową, señora? – pytał Jonasz, próbując podtrzymać rozmowę.

– Od dwóch lat i dwóch miesięcy. – Mąż, wyjaśniła, dostał nagle pleśniawki w gardle i zmogło go to chorobsko, ona zaś modli się codziennie o spokój jego duszy.

Nie kleiła im się pogawędka. Oboje czuli się skrępowani, raz po raz zapadała niezręczna cisza. Jonasz przyszedł tutaj w określonym celu, ale jak to powiedzieć? Nie miał wprawy w prowadzeniu takich rozmów. Kiedy wreszcie podniósł się z krzesła, ona wstała również, gotowa go pożegnać. Zdając sobie sprawę, że jeśli w tym momencie nie zacznie działać, nie pozostanie mu już nic innego, jak tylko odejść, desperackim gestem chwycił ją w ramiona i pocałował w usta.

Nie oddała mu pocałunku, a jej ciało nawet nie drgnęło. Po chwili tak samo beznamiętnie wysunęła mu się z ramion, wzięła zapaloną lampę i bez słowa skierowała się na wąskie schody. W sypialni zobaczył wielkie dębowe łóże, wyrzeźbione jeszcze piękniej niż krzesła – całe wezglowie wyglądało jak taca pełna fig, pomarańcz i granatów – lecz mógł je podziwiać ledwie przez moment, gdyż jego oblubienica czym prędzej wyniosła lampę na korytarz. Usłyszawszy w ciemności szelest zdejmowanej sukni, zaczął zrywać z siebie odzienie i rzucać je na podłogę...

Przypadli do siebie jak spragnieni wędrowcy do źródła, a jednak to krótkie, gwałtowne spełnienie przyniosło mu tylko ulgę. Było dziwnie bezradosne i wcale ich nie zbliżyło. Leżąc potem w ciemności, tak przesiąkniętej wonią ich zmagania, jakby wydalili z siebie całe pożądanie, jął wodzić dłońmi po ciele kochanki. Napotkał parę płaskich piersi, sterczące kości biodrowe i strasznie kanciaste kolana.

Ubrała się po ciemku, nie zobaczył jej więc nago ani tego wieczoru, ani później. Odwiedził ją potem jeszcze parę razy, ale zawsze było tak samo. Zawsze wychodził rozczarowany. Ich uściskom czegoś brakowało. Namiętności? Wzajemnego oddania? Za każdym razem opuszczał ją z uczuciem, że popełnił samogwałt przy pomocy czyjś wypożyczonego ciała... Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Po kilku zdawkowych słowach powitania szli do pięknie rzeźbionego łóżka, a potem wymieniali kilka niezręcznych zdań na pożegnanie i na tym koniec. Kiedy przyszedł po raz czwarty, już nie zaprosiła go do domu. Zerknąwszy nad jej ramieniem do izby, zobaczył znanego całemu miastu rzeźnika, Roquego Arellana. Siedział bez butów przy stole, popijając wino. Nietrudno było spostrzec, że to ta sama flaszka, którą on, Jonasz, przyniósł tu ostatnim razem.

Po kilku tygodniach pośród zapowiedzi małżeńskich odczytanych przez księdza podczas niedzielnego nabożeństwa usłyszał ich nazwiska. Loretta zaraz po ślubie zaczęła pracować w sklepie męża. Powodziło im się doskonale. Jonasz na prośbę Reyny zachodził tam czasem po mięso lub ryby, bo i te sprzedawali w niektóre dni. Loretta doskonale wyuczyła się nowego fachu. Szybkość, z jaką umiała rozrąbać ogromny udziec, a potem w mgnieniu oka podzielić go na kawałki, doprawdy budziła podziw. Arellano słono sobie liczył za towar, lecz Jonasz był klientem traktowanym

ze szczególną rewerencją. Żona właściciela witała go zawsze z radosnym błyskiem w blisko osadzonych oczach i w dowód sympatii dorzucała mu zwykle kilka darmowych kości ze szpikiem bardzo cenionych przez Reynę, dodawały bowiem niezwykłego smaku jej zupom, a zwłaszcza pieczonemu ptactwu.

Zarówno Reyna, jak i Nuño zamieszkali w gospodarstwie jeszcze za życia poprzedniego właściciela, po którym przejęli zwyczaj cotygodniowych kąpeli. Sporanis zgodnie z żydowską tradycją kąpał się w każdy piątek przed zachodem słońca; oni wybrali sobie inne dni – Nuño poniedziałek, a Reyna środę. Łatwiej było nanieść i nagzać wody na jedną aniżeli dwie naraz kąpiele. Służyła do tego wielka miedziana balia, którą stawiano przy piecu, gdzie na ogniu stał w pogotowiu kocioł pełen gorącej wody, aby w razie potrzeby można jej dolać.

Jonasz mógł kąpać się w piątek, tak jak to czynił Sporanis; bardzo sobie cenił ów luksus, choć nie najłatwiej mu było zmieścić w ciasnej balii długie nogi. W środowe wieczory, gdy korzystała z niej Reyna, czasami wychodził z domu, częściej jednak siedział u siebie na górze, grając na gitarze lub usiłując coś czytać. Ale jak miał się skupić na środkach przeczyszczających czy balsamach ściągających rany, gdy wciąż wyobrażał ją sobie w tej balii? Chwilami słyszał, jak Nuño zdejmuje z pieca kociołek i dolewa jej gorącej wody, podobnie jak ona jemu w poniedziałki. Mistrz zresztą świadczył te usługi także swojemu uczniowi. Dźwignięcie kotła sprawiało mu widoczną trudność; dyszał potem ciężko jak po długim biegu.

– Za dużo pracuje, a nie jest już młodzieniaszkiem – powiedziała pewnego dnia Reyna, kiedy medyk wyszedł do stodoły.

– Staram się mu ulżyć... – bąknął Jonasz. Czuł się winny, że swoim terminowaniem przysparza mistrzowi pracy.



– Wiem. Zapytałam go kiedyś, czemu poświęca tyle czasu i siły na uczenie cię swego fachu – powiedziała Reyna, jakby potrafiła czytać w myślach – a on mi na to: „Bo ten człowiek jest tego wart”. – Westchnęła po tych słowach i bezradnie wzruszyła ramionami.

Jonasz także niewiele mógł na to poradzić. Nuño był, jaki był, i nie zamierzał się zmienić. Bywały dni, kiedy Jonasz sam mógłby udzielić pomocy chorym, były to bowiem najpospolitsze przypadki, ale nie, Nuño też musiał jechać! A już gdy chodziło o naukę, robił więcej niż inni mistrzowie. Jonasz zgodnie z jego poleceniem przestudiował dzieło Razesa, który dowiódł, że nadmiar płynu i wszelkie trucizny wydalone są z ciała za każdym oddaniem moczu, ale dla Nuña to było za mało. On musiał praktycznie pokazać uczniowi, jakie zmiany w moczu wywołują konkretne choroby. Jonasz zobaczył więc na własne oczy, że uryna pacjenta z długotrwałą gorączką ma kolor cytryny, że gdy nabiera różowego zabarwienia, zapowiada to atak malarii, że gdy jest biała i pienista, świadczy często o ropnych wrzodach. Nie tylko zobaczył to wszystko, lecz nauczył się dobrze rozróżniać choroby po samym zapachu moczu. Prawda, że z takiej nauki odniósł dużą korzyść, ale jakim kosztem! Nuño najeździł się przy tym co niemiara, tracąc swe i tak już nadwątlone siły.

Jonasz podziwiał go coraz bardziej. Mistrz tyle umiał! Był równie dobrym farmaceutą jak medykiem. Potrafił suszyć i proskować zioła, sporządzać maści i różne nalewki, lecz choć może wygodniej byłoby mu robić je w domu, wolał z pewnych względów korzystać z usług starego franciszkanina, Luisa Guerry Mediny, którego znał już w czasach praktyki u Sporanisa.

– Lekarz często bywa posądzany o otrucie swojego pacjenta, a już gdy umrze któryś z członków rodziny królewskiej, prawie zawsze zostaje oskarżony – powiedział kiedyś Jonaszowi. – Cóż, trzeba

przyznać, że czasami nie bez powodu... Kościół na przykład zabraniał dawniej chrześcijanom zażywania lekarstw sporządzanych przez żydów, które miały być jakoby zatrute. Mimo tego zakazu nie wszyscy żydowscy lekarze zaniechali sporządzania własnych remediów i drogo za to zapłacili, wielu z nich bowiem oskarżono o próbę otrucia. A wiesz dlaczego? Bo pacjenci, którzy winni im byli pieniądze, woleli nie płacić długów! Podobny los spotkał zresztą także licznych lekarzy chrześcijańskich. Właśnie dlatego Gabriel Sporanis uznał, że dużo bezpieczniej będzie korzystać z usług aptekarza, który jest przecież czcigodnym katolickim mnichem. Ja postępuję tak samo, tym chętniej że brat Medina to przedni farmaceuta. On nie pomyli senesu z haszyszem.

Jonasz teraz dopiero zrozumiał, ile ryzykował, dostarczając Lorecie własnoręcznie zebrane zioła. Obiecał sobie, że nigdy już tego nie zrobi. Postanowił też we wszystkim słuchać Nuña Fierry – tak w sprawach medycznych, jak i życiowych. Chciał zostać takim lekarzem jak on.

Pewnego dnia, mniej więcej po roku praktyki, uświadomił sobie, że zmarło im w tym czasie aż jedenastu pacjentów. Na medycynie znał się już na tyle, by wiedzieć, że Nuño Fierro jest wyjątkowo dobrym lekarzem, i jakie to szczęście, że taki mistrz chciał wziąć go pod swoją opiekę, a jednak... jednak zaczynał bić się z myślami... Czy warto uczyć się zawodu, w którym człowiek tak często ponosi porażki?

Owe bolesne rozterki nie uszły uwagi Nuña. Widział wszak, z jaką pasją jego uczeń walczy o życie umierających i jaka ogarnia go rozpacz, gdy ów pojedynek kończy się przegraną. Pewnego wieczoru, gdy zasiedli przy ogniu z kubkiem wina w ręku, uznał, że pora o tym pomówić.

– Zabiłeś mordercę mego brata – powiedział cicho. – Chcę cię spytać, czy ktoś jeszcze zginął z twojej ręki?

– Tak – odrzekł Jonasz. Uczciwość nakazywała powiedzieć mistrzowi, w jaki sposób doprowadził do śmierci dwóch ludzi: Lavery i jego giermka.

– A gdyby to wszystko przydarzyło ci się po raz drugi? – zapytał Nuño, przyglądając mu się spod oka. – Czy postąpiłbyś teraz inaczej?

– Nie. Gdybym ich nie zabił, sam bym zginął. Mimo to... myśl, że odebrało się komuś życie, jest straszna. Cięży mi to jak kamień.

– Czy dlatego chciałeś zostać lekarzem? Myślisz, że ratując ludziom życie, zdołasz wyrównać rachunek za tamte przerwane żywoty?

– Prosząc was o przyjęcie do terminu, jeszcze o tym nie myślałem, ale teraz... Tak, ostatnio miewam takie myśli – wyznał Jonasz.

– Musisz zatem jaśniej zdawać sobie sprawę z tego, ile może medycyna. Lekarz nie jest w stanie pomóc wszystkim. Może nawet trzeba by powiedzieć, że tylko w nielicznych przypadkach potrafimy zaradzić cierpieniu, mimo to robimy, co się da: próbujemy leczyć ludzi z chorób, opatrujemy ich rany, zestawiamy złamane kości, pomagamy im się rodzić... Pomyśl jednak: każda żyjąca istota musi w końcu umrzeć. Taki jest los człowieka. Pamiętaj o tym, gdy mimo naszych wysiłków któryś z pacjentów umiera. Nie wolno ci popadać w rozpacz ani czuć się winnym. Mamy pewne umiejętności, nie jesteśmy jednak bogami zdolnymi zapewnić ludziom nieśmiertelność. Jeśli ci, co odchodzą, dobrze przeżyli swój czas tu, na ziemi, nie rozpaczajmy, lecz bądźmy wdzięczni, że dano im dar życia i pozwolono zaznać jego dobrodziejstw. Spróbuj to zrozumieć.

– Rozumiem, mistrzu.

– Mam nadzieję – rzekł Nuño. – Bo jeśli tego nie pojdziesz, marny będzie z ciebie lekarz. Zwyczajnie mówiąc, zwariujesz.

## **Rozdział 30**

### *Egzamin*

Pod koniec drugiego roku nauki Jonasz wyzbył się już wątpliwości. Miał przed sobą jasno określoną przyszłość, czuł się zadowolony z pracy, która w miarę nabywania wiedzy i doświadczeń wydawała mu się coraz ciekawsza, coraz bardziej pasjonująca. Prowadzili rozległą praktykę sięgającą daleko poza obręb samej Saragossy. Codziennie mieli licznych pacjentów zarówno we własnej lecznicy, jak i obłożnie chorych, których trzeba było odwiedzić w domu. Pacjentami Nuña byli w większości pospolicie ludzie z miasta i ze wsi. Od czasu do czasu zdarzało się też wezwanie od jakiegoś arystokraty i choć Fierro zawsze wtedy spieszył do chorego, sam nie zabiegał o takich pacjentów. Ci wielmoże, ostrzegał ucznia, traktują medyka jak sługę, w dodatku nie lubią mu płacić. Wszystkie te obiekcje przestały się jednak liczyć, gdy w dniu dwudziestym listopada roku 1504 otrzymał wezwanie do łoża królowej.

Pod koniec lata owego roku oboje królewscy małżonkowie zapadli na jakąś gwałtowną niemoc. Król, krzepki mężczyzna, któremu pół życia upłynęło na łowach i polach bitew, szybko pokonał chorobę, lecz jego małżonka, słabsza i delikatniejsza, zaczęła z wolna tracić siły. Obecnie w jej stanie zdrowia nastąpiło znaczne pogorszenie, a stało się to podczas królewskiej wizyty w mieście Medina del Campo. Zaniepokojony Ferdynand zawezwał do jej łoża najlepszych lekarzy z całego królestwa, a wśród nich Nuña Fierre, słynnego medyka z Saragossy.

– Mistrzu, nie powinniście tam jechać – jął protestować Jonasz, próbując jak najogólniej powstrzymać mistrza od tak uciążliwej wyprawy. – Do Medina del Campo jest dziesięć dni drogi! No, może osiem, gdy ktoś chce zajeździć konia i siebie. – W przypadku Nuña była to groźba bardzo realna, o czym obaj wiedzieli jednakowo dobrze.

Mistrz ogłuchł wszakże na jego prośby.

– To moja królowa, jestem jej to winien – oświadczył twardo. – Tak samo potrzebuje teraz mej pomocy jak każdy pospolity chory. Muszę spełnić swój obowiązek.

– Pozwólcie mi przynajmniej pojechać z wami!

– Nie. Nasi pacjenci nie mogą zostać bez opieki.

Jedyne ustępstwo, które wspólnym wysiłkiem wymogli na nim Jonasz i Reyna, polegało na tym, że zgodził się wziąć kogoś z sobą. Wynajął w tym celu człowieka z miasta, niejakiego Andrésa de Ávila, i już świtem następnego ranka galopem ruszyli w drogę.

Wrócili niespodziewanie po dziesięciu dniach, tak mokrzy i przemarznięci, że Jonasz musiał zdjąć mistrza z siodła, a Reyna czym prędzej zaaplikowała mu gorącą kąpiel. Ávila tymczasem zaczął opowiadać, co się stało.

Spełniły się niestety najgorsze obawy Jonasza. Po przeszło czterech dniach jazdy Nuño był już tak wyczerpany, że jego towarzysz zwątpił, by w tym stanie mógł jechać dalej. Minęli właśnie Atienzę, gdzie zaraz za rogatkami napotkali zajazd, zaczął mu więc perswadować, że potrzebny im jest bodaj krótki postój.

– Przekonałem go wreszcie, że trzeba coś zjeść i odpocząć, inaczej padnie po drodze. Wchodzimy do karczmy, a tam chmara jakichś moczymordów pije za duszę królowej Izabeli! Señor Fierro z początku nie chciał uwierzyć. Na szczęście było tam też paru całkiem trzeźwych podróżnych z zachodu, którzy potwierdzili tę

smutną nowinę, mówiąc, że kondukt żałobny ze zwłokami naszej królowej zmierza już do Grenady, gdzie wkrótce odbędzie się pogrzeb.

Nie było już po co jechać dalej, postanowili zatem przenocować w karczmie, lecz nawet na chwilę nie zmrużyli oka, tak żarli ich wszy. Ledwie zaczęło świtać, zebrali manatki, bo nie dało się tego wytrzymać.

– W tę stronę jechaliśmy już wolniej, ale cała ta podróż... Co tu gadać, zaczęła się w złą godzinę i tak też skończyła. Ten ostatni dzień, niech go licho! Ależ nam dał się we znaki! Nie dość, że zimno jak diabli, to jeszcze ta piekielna plucha! Psa szkoda wygnać w taką pogodę!

Nuño po kąpieli wciąż wyglądał marnie. Nadal był trupio blady i słaby jak mucha. Jonasz czym prędzej zaprowadził go do łóżka, Reyna zaś przybiegła z winem i miską posilnej zupy. Po tygodniu spędzonym w łóżku poczuł się trochę lepiej, lecz owa daremna podróż mocno nadszarpnęła jego siły, a przecież i przedtem nie miał ich w nadmiarze.

Nadszedł czas, gdy ręce zaczęły mu drżeć tak gwałtownie, że nie mógł już utrzymać skalpela ani innych instrumentów chirurgicznych. Używał ich teraz Jonasz, Nuño zaś, stojąc z boku, udzielał mu instrukcji, wyjaśniał wątpliwości, zadawał pytania, zawsze tak pomyślane, że każde stawało się zachętą do dalszego poszerzania wiedzy.

Kiedy Jonasz po raz pierwszy miał dokonać amputacji zmiążdżonego palca u ręki, mistrz kazał mu najpierw dokładnie obmacać własny.

– Wyczuwasz to miejsce, gdzie schodzą się kości? Jest między nimi malutki rozstęp. Tu właśnie powinieneś wykonać cięcie. Zostaw jednak nad nim kawałek skóry. Wiesz po co?

– Tak, trzeba nakryć nim miejsce cięcia.

Nuño uśmiechnął się z zadowoleniem.

Jonasz szczerze ubolewał nad niemocą mistrza, było jednak rzeczą niewątpliwą, że w tych okolicznościach on sam szybciej i skuteczniej nabiera wprawy w chirurgii. W ciągu ostatniego roku nauki wykonał dużo więcej różnych operacji, niż to zdarzało się uczniom. Nadal czuł się winny, że mistrz poświęca mu resztę swych sił, lecz gdy zwierzył się z tego Reynie, ta pokręciła głową:

– Teraz myślę, że to właśnie trzyma go przy życiu.

Chyba miała rację, bo gdy czwarty rok dobiegł końca, Nuño raptem poweselał, a oczy tak mu rozbłyły, jakby wygrał wyścig ze śmiercią. Postanowił też zaraz zgłosić swego ucznia do egzaminu. Miejska komisja medyczna, przed którą odbywał się ów egzamin, składała się z dwóch praktykujących w okręgu lekarzy wybieranych przez władze miasta na roczną kadencję. Wyboru egzaminatorów dokonywano zawsze w tym samym terminie: trzy dni przed Bożym Narodzeniem, Nuño doskonale znał tę procedurę, jako że sam już kiedyś zasiadał w owej komisji.

– Dla ciebie byłoby lepiej poczekać do przyszłego roku – powiedział Jonaszowi. – Teraz jednym z egzaminatorów jest Pedro de Calca, który niezbyt mnie lubi... – To, że ów medyk zazdrości mu sławy i powodzenia, było publiczną tajemnicą. – Tylko że ja, mój drogi, nie mogę tak długo czekać... Uważam zresztą, że jesteś już dobrym medykiem.

Jonasz zdał się całkowicie na opinię mistrza, ten zaś już nazajutrz pojechał do ratusza, by uzgodnić termin egzaminu.

Wcześniej wyruszyli z domu, jechali więc bez pośpiechu, zwłaszcza że ranek wstał jasny i ciepły. Obaj byli trochę niespokojni i przez to mało rozmowni. O sprawach medycznych nie było już teraz co mówić – mieli na to całe cztery lata.

Budynek ratusza wydzielał z siebie zastarzałą woń kurzu zmieszana z zapachem dziesiątek tysięcy ludzkich istot, które w ciągu kilku stuleci przewinęły się przez jego korytarze. Dzisiaj jednak nie było tu jeszcze nikogo prócz Jonasza, jego mistrza oraz dwóch egzaminatorów, znanych mu dotąd tylko z opowieści Nuña.

– Panowie, mam zaszczyt przedstawić wam señora Ramóna Callicó, mego ucznia – powiedział mistrz równym, spokojnym głosem.

Jonasz ukradkiem przyjrzał się swoim sędziom. Starszy, Miguel de Montenegro, był niewysokim mężczyzną o surowej twarzy okolonej długą białą brodą. Jako egzaminator był zdaniem Nuña bardzo wymagający, lecz sprawiedliwy. Ten drugi, Pedro de Calca, ożywiony, jowialnie uśmiechnięty, miał rude włosy i małą spiczastą bródkę. Cała jego tunika usiana była plamami zaschłej krwi, śluzu i ropy. Nuño wcześniej opisał Jonaszowi tę tunikę, mówiąc ironicznie, że w taki to sposób Calca zachwala swe umiejętności. A ile umie naprawdę? Przeczytał Galena i chyba niewiele więcej, tak że z góry wiadomo, o co będzie pytał.

Kiedy wszyscy czterej zasiedli przy stole, Jonasz nakazał sobie spokój: nie on pierwszy zdaje tu egzamin. Ćwierć wieku temu na jego miejscu siedział Nuño Fierro, a jeszcze wcześniej, w czasach gdy medykiem mógł być Żyd, sam Gabriel ben Nissim Sporanis. Skoro oni pomyślnie przeszli tę próbę, to i jemu powinno się udać.

Każdy z egzaminatorów miał mu zadać dowolną liczbę pytań w dwóch turach. Prawem starszeństwa egzamin rozpoczął Miguel de Montenegro.

– Jesteście gotowi, señor Callicó? Proszę nam więc powiedzieć o zaletach i wadach teriaku, czyli driakwi, jako antidotum przeciwko gorączkom.



– Zacznę od wad – odrzekł Jonasz – ponieważ są tylko dwie. Na lek ten składa się około siedemdziesięciu różnych ziół, trudno je zatem zebrać, co sprawia, iż cena medykamentu jest wysoka. I to są owe dwie wady. Główną zaletą natomiast jest skuteczność, z jaką zwalcza on gorączki, choroby jelit, a nawet pewne rodzaje trucizn... – Z łatwością rozwinął temat, gładko przechodząc od jednego punktu do drugiego. Uspokoił się już na tyle, że mógł myśleć zarówno o treści, jak i o formie swojej wypowiedzi. Chciał omówić rzecz wyczerpująco, lecz bez nadmiernego gadulstwa. Montenegro wydawał się zadowolony.

– Moje drugie pytanie dotyczy febry. Jaka jest różnica pomiędzy trzeciaczką a czwartaczką?

– Napady trzeciaczki występują co trzy dni, licząc dzień pojawienia się jako pierwszy, ataki czwartaczki zaś co cztery. I jednej, i drugiej sprzyja ciepły i wilgotny klimat, obu też najczęściej towarzyszą dreszcze, poty i ogromne osłabienie.

– Szybka i zwięzła odpowiedź. Czy do leczenia hemoroidów użylibyście noża?

– Tylko wtedy, gdyby nie pomogło nic innego. Czasami ból i inne dolegliwości wywołane przez to schorzenie można znacznie złagodzić odpowiednią dietą, pozbawioną ostrych, słonych, jak również zbyt słodkich potraw. Przy obfitych krwawieniach można zastosować substancje ściągające. Jeśli natomiast hemoroidy są nabrzmięte, lecz nie krwawią, można je przeciąć lub przystawić pijawki, które wyciągną z nich krew.

Montenegro skinął głową i dał znak koledze, że zakończył pierwszą rundę pytań. Pedro de Calca odchrząknął i pogładził swoją rudą brodę.

– Powiedzcie nam, na czym polega opisana przez Galena patologia humoralna. – Po tych słowach wygodniej rozsiadł się w krześle.

Jonasz, spodziewając się tego pytania, wziął głęboki oddech, przygotował sobie bowiem obszerną wypowiedź:

– Opiera się ona na kilku ideach zaczerpniętych ze szkoły Hipokratesa, a później zmodyfikowanych przez innych filozofów medycyny, w największym stopniu przez Arystotelesa. Galen z ich myśli ułożył teorię, według której wszystko, co istnieje, składa się z czterech elementów: ognia, ziemi, powietrza i wody. Produktami owych elementów są takie właściwości, jak gorąco, zimno, suchość i wilgoć. Pożywienie i napoje, które człowiek wchłania, przekształcają się pod wpływem naturalnego gorąca w cztery soki, czyli humory: krew, śluz, żółć żółtą i żółć czarną. Każdy z tych soków podporządkowany jest jednemu z czterech żywiołów. I tak powietrze zarządza krwią, która jest wilgotna i gorąca, woda flegmą, która jest wilgotna i zimna, ogień żółcią żółtą, suchą i gorącą, ziemia zaś żółcią czarną, suchą i zimną. Galen powiada, że część soków odżywia różne organy, wędrując do nich wraz z krwią, reszta zaś jest wydalana. Twierdzi, iż bardzo ważne są proporcje tych soków. Ich równowaga zapewnia człowiekowi zdrowie, a niedobór bądź nadmiar któregoś z humorów psuje tę równowagę, czego rezultatem jest choroba.

Calca znów pogładził się po brodzie.

– Co wiecie o wewnętrznym ogniu i pneumie?

– Galen twierdzi, podobnie jak przed nim Hipokrates i Arystoteles, że ów wewnętrzny ogień to istota życia, a jego paliwem jest pneuma, która powstaje w najczystszej krwi wątrobowej i wędruje żyłami po całym ciele. Pneumy jednak nie da się zobaczyć. Jest ona...

– Skąd wiecie, że nie można? – spytał nagle Calca. Jonasz poczuł, że Nuño ostrzegawczo trąca go kolanem.

O Boże! Wiem to stąd, że podczas sekcji Nuño specjalnie porozcinał rozmaite organy i żyły, aby mi pokazać, że są w nich jedynie tkanki i krew, nie widać natomiast nic takiego, co można by nazwać pneumą, myślał gorączkowo Jonasz, przeklinając się zarazem za głupotę. Wszak Calca domyśli się teraz, że uczestniczył w sekcji, bo tylko w ten sposób można się przekonać, że w ludzkim ciele na pewno nie widać pneumy. Na moment ogarnął go strach. Poczuł, że ściska mu gardło.

– Gdzieś... to przeczytałem.

– Gdzieście to przeczytali, señor Callicó? Bo mnie się zdaje, że nigdy nie natknąłem się na żadną wzmiankę o tym, czy pneumę można zobaczyć czy nie.

– Zaraz... – Jonasz udał, że się zastanawia. – Nie, to nie u Awicenny... i nie u Galena... Już wiem! Tak napisał Teodoryk Borgognoni.

Calca łypnął na niego spode łba.

– Bardzo słusznie! – odezwał się Miguel de Montenegro. – Przypominam sobie, że i ja dowiedziałem się o tym z dzieła Borgognoniego.

Nuño Fierro kiwnął głową na znak, że on także.

Teraz i Calca pokiwał głową:

– Prawda! Tak uważa Borgognoni, oczywiście!

W drugiej turze pytań Montenegro poprosił kandydata o porównanie sposobów postępowania w przypadku złamania kości i zwichnięcia kończyny. Odpowiedzi wysłuchał bez komentarza, po czym spytał o czynniki niezbędne dla zdrowia.

– Czyste powietrze, żywność i woda – jął wyliczać Jonasz – sen, który służy przywróceniu sił, i czuwanie, niezbędne dla uprawiania rozumnej działalności, umiarkowany wysiłek fizyczny dla pozbycia się osadów i zanieczyszczeń, regularne wypróżnienia i właściwa

doza radości. Wszystko to pozwala utrzymać ciało w dobrym zdrowiu.

– Jak rozprzestrzeniają się choroby podczas epidemii? – zapytał Calca.

– Rozkładające się ciała, a także cuchnące wody i mokradła wydzielają trujące miazmaty, które przenikają do powietrza, zwłaszcza gdy jest ono ciepłe i wilgotne. Oddychając takim powietrzem, można ulec infekcji, której następstwem staje się choroba. Dlatego podczas epidemii należy zachęcać zdrowych do ucieczki na taką odległość, gdzie wiatr nie doniesie już owych miazmatów.

Po kilku skubnięciach rudej brody nastąpiła seria krótkich pytań dotyczących rozpoznawania chorób na podstawie oględzin moczu:

– Co to znaczy, gdy uryna ma kolor żółtawy?

– Że zawiera umiarkowaną ilość żółci.

– A gdy jest koloru ognia?

– Że zawiera wielką ilość żółci.

– Czego oznaką jest ciemna czerwień?

– Tego, że w moczu znajduje się krew albo że pacjent najadł się szafranu.

– A jeżeli w moczu widać osad?

– Świadczy to o jakiejś wewnętrznej chorobie. Jeżeli ów osad przypomina otręby i cuchnie, wskazuje to na owrzodzenie przewodów moczowych, jeśli zaś widać w nim zepsutą krew, to gdzieś wewnątrz musi się znajdować naciek ropowiczy.

– A piasek w urynie? – pytał dalej Calca.

– Oznacza, że pacjent cierpi na kamicę lub ma gdzieś przynajmniej pojedynczy kamień.

– Dziękuję, jestem zadowolony z odpowiedzi kandydata – oświadczył rudobrody.

– Ja również. Kandydat godny swego mistrza – uśmiechnął się Montenegro.

Zdjął z półki oprawną w skórę wielką księgę municypalną, do której wpisał nazwiska egzaminatorów oraz promotora, poniżej zaś sentencję komisji. Jej treść brzmiała następująco: Señor Ramón Callicó z Saragossy poddany został egzaminowi z nauk medycznych, podczas którego wykazał się należytyym przygotowaniem do zawodu, zatem w dniu siedemnastym października roku pańskiego 1506 udziela mu się zezwolenia na prowadzenie praktyki medycznej.

W drodze do domu i uczeń, i nauczyciel chichotali jak pijane dzieci.

– Przeczytałem to u Borgognoniego! Już wiem! Tak, to na pewno Borgognoni! – przedrzeźniał Jonasza Nuño.

– Ale señor Montenegro... dlaczego przyszedł mi z pomocą?

– Miguel de Montenegro jest nie tylko dobrym katolikiem, lecz i ulubionym lekarzem wysokich rangą duchownych. Niech no tylko zachoruje gdzieś jakiś kardynał czy biskup, zawsze wzywany jest Miguel. Wiedz jednak, że to prawdziwy uczonec, który sam decyduje, co jest nauką, a co grzechem. Jako młodzi medycy wykonaliśmy wspólnie parę sekcji... On wiedział od razu, skąd taki jesteś pewien, co można zobaczyć w ludzkim ciele, a czego nie!

– Jestem mu bardzo wdzięczny. Miałem szczęście, że to on był w komisji.

– Prawda, że dopisało ci szczęście, lecz i pokazałeś, co umiesz! I to w sposób, który przynosi ci chlubę!

– Największe moje szczęście polegało na tym, że trafiłem do was, mistrzu.

– Nie powinienes już mówić do mnie „mistrzu”. Jesteśmy teraz kolegami.

– O nie, mistrzu! – uśmiechnął się Jonasz. – Dwom ludziom będę wdzięczny do końca życia, a ci ludzie to bracia Fierro. I jeden, i drugi zawsze pozostanie dla mnie mistrzem.

### **Rozdział 31**

#### ***Trudny dzień***

Mistrz już po paru tygodniach przekazał mu pod opiekę znaczną liczbę chorych, zmuszony był więc zapomnieć, że jest świeżo upieczonym praktykantem i pracować jak stary samodzielny lekarz. I tak też zaczynał się czuć.

Tego roku akurat tradycyjne spotkanie aragońskich medyków miało odbyć się w Saragossie.

– Doskonale się składa – orzekł Nuño. – Poznasz od razu wszystkich kolegów.

Poukładali tak swe zajęcia, aby obaj mogli uczestniczyć w zjeździe. Odbywał się on w jednej z podmiejskich gospód.

Kiedy przybyli na miejsce, zastali swych siedmiu kolegów nad winem i pieczoną kaczką dobrze natartą czosnkiem, bo już w drzwiach uderzył ich zapach. De Calca i Montenegro wstali, by ich powitać, Nuño zaś z widoczną satysfakcją przedstawił Jonasza pięciu przyjezdnym medykom. Po sutym obiedzie de Calca rozpoczął wykład o roli pulsów w diagnozowaniu chorób.

Zdaniem Jonasza był to źle przygotowany wywód. Zrobiło mu się wręcz przykro, że egzaminował go człowiek dysponujący tak ograniczoną wiedzą. Tym bardziej zaskoczył go aplauz, jakim pozostali uczestnicy zjazdu nagrodzili kiepskiego prelegenta. A kiedy Calca poprosił o pytania, nikt nie zabrał głosu! Jak mogli nie zauważyć, że mówca popełnił błąd, wymieniając zaledwie trzy rodzaje pulsów: silny, słaby i skaczący? Czy wypada sprostować tę

pomyłkę? Zdawał sobie sprawę, że jest dopiero początkującym lekarzem, w końcu jednak nie wytrzymał i podniósł rękę.

– O, señor Callicó? Proszę, proszę! – De Calca z jawnym rozbawieniem udzielił mu głosu.

– Pragnę dodać... zwrócić uwagę szanownemu gremium... iż Awicenna wymienia dziewięć rodzajów pulsu. Dwa pierwsze to puls równy, który ewidentnie świadczy o pełnym zdrowiu, oraz mocny, który jest silniejszy od pierwszego i mówi o szczególnie silnym sercu. Ich przeciwieństwem jest puls słaby, oznaczający, ogólnie mówiąc, mały zasób sił życiowych, Awicenna wszakże wymienia jeszcze sześć jego odmian: długi i krótki, wąski i pełny, powierzchowny i głęboki. – Rozejrzawszy się po sali, zauważył z lekką konsternacją ponurą minę de Calki.

– Jak to dobrze – rzucił żartobliwie Nuño, ciężko podnosząc się z ławy – że mamy tu zarówno młodego lekarza z głową nafaszerowaną świeżo nabytą wiedzą, jak i wytrawnego praktyka, który dzięki bogatemu doświadczeniu i własnym cennym obserwacjom doskonale umie wybrać te spośród reguł naszego rzemiosła, które najskuteczniej służą nam w codziennej praktyce.

Dały się słyszeć zduszone śmiechki, zaraz jednak znowu rozległo się tupanie i głośnie oklaski. Udobruchany Calca uśmiechnął się z zadowoleniem. Jonasz z trudem opanował irytację. Czerwony ze wzburzenia, bez słowa usiadł na ławie.

Pofolgował sobie dopiero w domu.

– Jak mogliście, mistrzu, mówić takie rzeczy, dobrze wiedząc, że to ja mam rację?

– Bo znam Pedra de Calcę – najspokojniej w świecie odrzekł Nuño. – Jeśli mu się narazisz, oskarży cię o herezję. Wszyscy obecni dzisiaj w gospodzie doskonale wiedzą, co to za człowiek. Może

kiedyś nadejdzie dzień, gdy wolno nam będzie nie zgadzać się z ignorancją i publicznie wyrażać sprzeciw bez groźby utraty życia, teraz jednak tak nie jest i nieprędkiem to jeszcze nastąpi.

Jonasz spuścił głowę: mistrz znów miał rację, a on znów zachował się jak głupiec. Wymamrotał kilka słów przeprosin, lecz Nuño jeszcze nie skończył. Nieraz bagatelizował różne incydenty, ale nie ten.

– Kiedy przyszedłeś do mnie przed laty, byłeś w pełni świadom konsekwencji, jakimi groziłoby ci ujawnienie swojej wiary. Słusznie, ale teraz musisz brać pod uwagę coś jeszcze: twoja obecna profesja też ma swoje niebezpieczne strony. Dlatego zalecam ci wielką ostrożność. – Uśmiechnął się nagle jak psotny chłopiec. – A poza tym chcę ci powiedzieć, że korygując wystąpienie Calki, sam popełniłeś pewien błąd. W tej części „Kanonu”, którą dałeś mi do przeczytania, Awicenna pisze, że jest dziesięć rodzajów pulsu, a wymienia ich tylko dziewięć! A ty tego nie zauważyłeś. Pisze również, że te subtelne różnice pulsów potrafi wyczuć tylko doskonale wyszkolony medyk. Przekonasz się z czasem, iż z czystym sumieniem da się to powiedzieć zaledwie o paru poznanych dzisiaj kolegach. Reszta... Niechaj Bóg ma w opiece ich pacjentów.

Trzy tygodnie po zjeździe Nuño poważnie zaniemógł. Szedł właśnie na górę, gdy poraził go rozdzierający ból w piersiach, nagły jak pchnięcie sztyletem. Ogarnęła go straszna słabość, tak obezwładniająca, że zmuszony był usiąść, inaczej runąłby ze schodów. Jonasz po powrocie z wizyt wprowadził akurat konia do stajni, gdy nadbiegła przerażona Reyna:

– Prędkiem! Strasznie z nim źle!

We dwójkę dźwignęli chorego i zatańczyli do łóżka. Nuño nawet teraz, blady i zlany potem, nie przestawał zachowywać się jak nauczyciel.



– Objawy... – dyszał urywanym głosem – zapamiętaj... Ból jest tępy... Tępy, a... nie ostry... ale silny... bardzo silny...

Puls miał tak nieregularny, że Jonasza ogarnęło przerażenie. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby czyjeś serce biło w taki sposób... takimi dzikimi zrywami. Niepodobna było uchwycić jakiegokolwiek rytmu. Podał choremu trochę jabłkowego likworu z kamforą, lecz ból nie ustawał ani nie łagodniał jeszcze przez cztery godziny. Dopiero pod wieczór zaczął nieco przycichać i wreszcie ustał.

Nuño, choć słaby jak kurczę, był całkiem spokojny i mógł już normalnie mówić. Poprosił Reynę, by ugotowała mu rosółu z kury, a po posiłku zapadł w głęboki sen. Jonasz siedział przy nim z poczuciem strasznej bezsilności. Dopiero teraz uświadomił sobie w całej pełni, jak niewiele może medycyna...

Po trzech dniach Nuño mógł już z pomocą Jonasza zejść na dół i zasiąść w swoim fotelu. Wydawało się, że idzie ku lepszemu, lecz pod koniec drugiego tygodnia wystąpiły tak groźne objawy, iż trudno już było łudzić się nadzieją: chory nie mógł oddychać, na klatce piersiowej pojawiły się przekrwienia, nogi zaczęły mu puchnąć. Jonasz próbował podpierać go na noc kilkoma poduszkami, lecz po dalszych dwóch dniach opuchlizna i trudności z oddychaniem tak bardzo się wzmogły, że Nuño uznał za bezcelowe taszczenie go na noc do łóżka – wolał siedzieć w fotelu przy ogniu. Jonasz skulony obok na podłodze ze zgrozą słuchał jego oddechu. Coś tak bulgotało mu w piersiach, jakby zamiast powietrza miał tam pełno wody.

W trzecim tygodniu nie było już wątpliwości, że zbliża się koniec. Płyn przelewający się w płucach chorego najwidoczniej przeniknął do wszystkich tkanek, gdyż ciało Nuña tak się rozduło, jakby w ciągu niespełna tygodnia drugie tyle przybrał na wadze. Jego

nogi wyglądały jak słupy, a brzuch miał tak wielki, że strach było patrzeć. Wiedział, że umiera, więc choć mówienie sprawiało mu straszliwą trudność, na koniec zebrał się w sobie i powoli, co chwila ustając, polecił Jonaszowi pochować się na wzgórzu. Mogła ma być bezimienna. Żadnych kamieni nagrobnych.

Jonasz w milczeniu skinął głową. On też nie mógł mówić – z żalu.

– Moja ostatnia wola... zapisz – wydyszał Nuño.

Wszystkie jego oszczędności miała otrzymać Reyna Fadique. Ziemię, domostwo, książki, instrumenty medyczne oraz skórzaną szkatułę Manuela Fierry razem z jej nienaruszoną zawartością pozostawiał swojemu uczniowi i następcy, Ramónowi Callicó.

– To o wiele za dużo, mistrzu – zaczął protestować Jonasz. – Ja... doprawdy nie mam takich potrzeb...

Nuño na chwilę opuścił powieki.

– A ja... nie mam krewnych... – szepnął, ucinając sprawę słabym ruchem ręki. Sięgnął po pióro i z wysiłkiem nabazgrał swój podpis. – Jest coś jeszcze... Chcę, żebyś mnie... zbadał...

Nie, na Boga! Jonasz wiedział, co mistrz ma na myśli, i nie wyobrażał sobie, aby mógł to zrobić! Co innego kroić zwłoki obcego człowieka...

– Błagam, mistrzu...

W oczach chorego błysnął gniew:

– Chcesz być... taki... jak Calca czy... taki jak ja?

Miał odmówić umierającemu?

– Chcę być taki jak wy – szepnął z twarzą zalaną łzami. – Kocham was, Nuño, i dziękuję za wszystko. Będzie, jak sobie życzycie, przysięgam.

\*

Nuño umarł w nocy z siedemnastego na osiemnasty stycznia roku 1507.

Jonasz długą chwilę przypatrywał się jego martwej twarzy. Dźwignął się wreszcie z podłogi, ucałował jeszcze ciepłe czoło mistrza i łagodnie zamknął mu powieki. Mimo swego wzrostu i siły z najwyższym trudem zaniósł obrzmiałe zwłoki do stodoły i ułożył je na długim stole. Przystępując do sekcji, starał się tak skrupulatnie trzymać procedury mistrza, jakby Nuño stał obok i udzielał mu wszelkich instrukcji.

Najpierw opisał wszystko, co zaobserwował w ostatnim stadium choroby. Chory kaszlał, w jego plwocinie widać było krew. Na skórze pojawiły się przekrwienia. Żyły na szyi miał nabrzmięte i pulsujące. Pocił się obficie, a rytm jego serca przypominał gonitwę oszalałej myszy. Na koniec napisał o trudnościach z oddychaniem, rozmięklej skórze i opuchliznie. Zamknawszy księgę, wziął do ręki lancet Manuela Fierry i po raz ostatni spojrzął w twarz zmarłego...

Gdy otworzył klatkę piersiową, odsłaniając serce, stwierdził już na pierwszy rzut oka, że wygląda ono inaczej niż te, które widział do tej pory. Na przedniej ścianie zauważył dziwne zacernienie, jakby tkanki w tym miejscu zostały czymś przypalone. Również w środku nic nie wyglądało jak trzeba. Część jednej z komór po lewej stronie też była czarna i wyraźnie uszkodzona, jakby coś z niej wyjadło tkanki. Uszkodzenie było tak rozległe, że sięgało przedniej ściany serca, wybiegając aż na powierzchnię. Żeby lepiej mu się przyjrzeć, musiał namoczyć płótno i wytrzeć krew. Nuño miał rację, to serce nie mogło dobrze pracować. Krew zamiast przepływać, zaczynała się tu cofać... I działająca pompa wtłaczała ją do obu lewych komór i kilku sąsiednich żył... A przecież zdaniem Awicenny człowiek może żyć tylko wtedy, kiedy jego serce pompuje krew prawidłowo, to znaczy tak, że przenika ona

do wszystkich części ciała i organów poprzez wielkie arterie i całą sieć żył, które w odleglejszych partiach stają się coraz węższe, aż w końcu przechodzą w cieniutkie jak włos kanaliki zwane kapilarami. Wadliwe serce Nuña sprawiło, iż cały ów system przestał działać, i to właśnie stało się przyczyną jego śmierci.

Kiedy rozciął opuchnięty brzuch, okazało się, że wszystko w środku jest mokre. Tak samo było w płucach. Nuño utopił się we własnych sokach. Ale skąd się wzięło tyle tego płynu?

Na to pytanie Jonasz nie potrafił sobie odpowiedzieć.

Skrupulatnie wykonał wszystkie kolejne czynności, tak jak to robili z mistrzem: zważył każdy organ, zapisał jego wagę, rozmiary i wygląd, po czym włożył je na miejsce i pozszywał zwłoki. Wyszorował się następnie szarym mydłem – tego także nauczył go Nuño – na koniec zaś wpisał do książki pozostałe obserwacje. Teraz dopiero pozwolił sobie pójść do domu.

Reyna stała przy piecu, gotując ranną polewkę. Wiedziała, że Nuño nie żyje. Domyśliła się tego na widok pustego fotela. Mimo to nie płakała.

– Gdzie on jest?

– W stodole.

– Mogę go zobaczyć?

– Nie.

Przeżegnała się i głośno wciągnęła powietrze, lecz przyjęła to bez protestu. Jonasz wiedział, że Nuño ufał tej kobiecie bez zastrzeżeń – powtarzał nieraz, że przez trzydzieści lat pracy u dwóch medyków przywykła do tego, co robią w stodole. On jednak nie znał jej tak dobrze... A jeśli zechce na niego donieść?

– Należę ci trochę zupy – powiedziała spokojnie.

– Nie trzeba, nie jestem głodny.

– Masz dziś wiele do zrobienia – odrzekła, stawiając na stole dwie miski.

Cóż, musiał jej przyznać rację. Zjedli w milczeniu, nie patrząc na siebie. Zapytał ją potem, czy może Nuño życzyłby sobie, aby ktoś z miasta uczestniczył w jego pogrzebie.

– Nie, poza nami nie miał nikogo bliskiego.

Podziękował za posiłek i wyszedł – trzeba było wziąć się do roboty. W jednej z końskich zagród znalazł jakieś zapomniane deski, stare, ale jeszcze mocne. Wybrał te najlepsze i wymierzywszy Nuña kawałkiem sznurka, zaczął je przycinać. Zbicie trumny zajęło mu prawie całe przedpołudnie – dobrze, że Reyna znalazła w domu trochę gwoździ.

Teraz musiał wykopać grób – w miejscu, które wybrał sobie Nuño. Była zima, lecz grunt na wzgórzu szczęśliwie nie zamarł. Kilkomu uderzeniami kilofa wyznaczył granice grobu. Minęły lata od czasu, kiedy trzymał w ręku to narzędzie, łatwo więc było przewidzieć, jak boleśnie odczuje to w kościach... Pracował powoli i uważnie, starając się, by otwór był równy, a boki nie miały występów. Uciążliwa to była praca. Ziemia wyrzucana z głębokiego wykopu wciąż osuwała się na dół, tłuste grudy i kamienie sypały mu się na głowę.

Wróciwszy do stodoły, owinął w płótno zakrwawione szmaty i wetknął je do trumny obok ciała. Był to najlepszy sposób, aby ich się pozbyć. Nie wątpił, że sam Nuño tak właśnie kazałby mu zrobić. Trzeba było usunąć wszelkie ślady sekcji.

Zapadał już zmierzch, gdy nareszcie ukończył sprzątanie. Zaprzągnął do wozu dwa konie i oboje z Reyną wynieśli trumnę ze stodoły.

Najtrudniejsze ze wszystkiego okazało się spuszczenie jej do grobu. Było ich tylko dwoje, rozciągnął więc nad dołem dwie liny, zawiązał ich końce w pętle i zarzucił je na cztery kołki mocno

wbite w ziemię. Liny wytrzymały, kiedy ustawili na nich trumnę, teraz jednak trzeba je było zdjąć z kołków i bardzo powoli popuszczać, uważając, by któraś nie wymknęła się z ręki. Reyna, jakkolwiek silna i nawykła do ciężkiej pracy, długo zmagła się z drugą pętlą, a kiedy wreszcie ją zdjęła, nie zdołała upilnować pierwszej i jeden róg trumny zarył się w ścianę wykopu.

– Reyna – Jonasz z trudem pohamował okrzyk – pociągnij mocno do siebie.

Na szczęście nie straciła głowy. Sama wiedziała, co zrobić. Trumna wciąż jeszcze wisiała krzywo, ale katastrofa została zażegnana.

Posuwając się naprzód krok po kroku, po troszeczkę opuszczali ciężką skrzynię, aż w końcu spoczęła na dnie mogiły. Jedna lina musiała się o coś zaczepić, bo w żaden sposób nie można jej było wyciągnąć. Trudno – postanowił ją tam zostawić.

Reyna odmówiła Pater Noster i Ave Maria, płacząc teraz cicho z opuszczoną głową, jakby wstyd jej było tych łez.

– Weź wóz i idź do domu – powiedział łagodnie. – Ja już sam skończę.

Jak każda wiejska kobieta umiała obchodzić się z końmi, mimo to patrzył za nią do połowy zbrocza, zanim znowu chwycił za łopatę. Za pierwszym razem starym żydowskim zwyczajem wbił ją wypukłą stroną do góry i tak zaczerpnął ziemi. Gest ten miał znaczenie symboliczne: mówił, że ciężkim obowiązkiem jest grzebać kogoś kochanego, czyj brak bardzo boleśnie odczują ci, co pozostali... Potem obrócił łopatę i miarowymi ruchami jął zasypywać trumnę. Łoskot grud i kamieni spadających na wieko z wolna przycichał, w miarę jak warstwa ziemi nad zmarłym stawała się coraz grubsza. Proch do prochu... Zapadła już noc, lecz księżyc świecił tak jasno, że mógł pracować dalej. Już prawie kończył, gdy wróciła Reyna.

– Długo jeszcze?

– Chwilę...

O nic już nie pytając, poszła z powrotem do domu.

Kiedy na koniec usypał wzgórek, formując go najlepiej jak umiał, położył rękę na głowie i odmówił kadisz za umarłych.

Po powrocie do domu nie zastał Reyny na dole, lecz przy piecu stała balia z gorącą wodą, a na ogniu dwa buchające parą kociołki. Na stole zobaczył wino, chleb, ser i oliwki. Zrzuciwszy wilgotną, zaplamioną odzież, wziął do ręki kawałek domowego mydła i usadowił się w balii. Myślał o Nuño. O tym, jaki był mądry i wyrozumiały, jaką miłością darzył swych pacjentów, jak wiele gotów był poświęcić dla medycyny... I o tym, ile wspaniałomyślniej dobroci okazał obcemu włóczędze, przyjmując go pod swój dach. O Nuño, jak bardzo odmieniłeś życie owego włóczęgi, który nigdy ci nie powiedział, jak się naprawdę nazywa! Ale może teraz już wiesz... Rozmyślał tak bardzo długo, póki woda całkiem nie wystygła.

## **Rozdział 32**

### ***Samodzielna praktyka***

Nazajutrz poszedł na wzgórze i starannie wyrównał usypany kopczyk. Spozregłszy nieopodal malutki dąbek, przypomniał sobie o tym, który tam, w Toledo, wyrósł na mogile ojca... Ostrożnie przesadził bezlistną roślinkę, wierząc, że i z niej wyrośnie piękne, rozłożyste drzewo. Niechaj osłoni swym cieniem ten kawałek ziemi, który Nuño Fierro wybrał na miejsce wiecznego spoczynku.

– Trzeba zawiadomić księży i dać na mszę za jego duszę – przypomniała mu Reyna.

– Dobrze, ale jeszcze nie teraz. Chcę najpierw opłakać go sam, w tym domu. Za tydzień zawiadomię księży i pójdziemy razem

na mszę.

Wzruszyła ramionami, mówiąc, że może robić, co uważa. Od początku wydawało mu się, że nie jest zbyt nabożna, a teraz miał tego dowód. Trzeba było dopiero majestatu śmierci, aby sobie przypomniała, że jest chrześcijanką. On sam czuł głęboką potrzebę obrzędowej żałoby po Nuño. Nie mógł spełnić tego obowiązku wobec ojca, chciał więc teraz należycie uczcić swego mistrza, który stał się dla niego drugim ojcem. Zgodnie z tym, co pamiętał z żałobnego rytuału, rozdarł jedną sztukę swej odzieży, zasłonił jedyne małe lustro, chodził bosy po domu i dwa razy dziennie recytował kadisz.

W ciągu tego tygodnia trzykrotnie proszono go o pomoc w nagłych przypadkach. Nastawił zwichniętą rękę pacjentowi, który rano przyszedł do lecznicy, dwóch innych poszkodowanych opatrzył w ich domach; odwiedził też z własnej woli czterech obłożnie chorych, lecz zaraz po powrocie z pracy podejmował znowu żałobny rytuał, skupiając wszystkie myśli na zmarłym.

Dopiero po tygodniu szary i chrześcijańskim nabożeństwie żałobnym zaczęło do niego docierać, że to on jest obecnie panem tego domu. Uświadomiła mu to Reyna, pytając, dlaczego wciąż sypia w składziku. Czyżby nie lubił sypialni zmarłego mistrza? Wszak to najładniejsza izba w całym domu... Prawda. Miała aż dwa okna, z których jedno wychodziło na wschód, drugie na południe, a szerokie łoże z wiśniowego drewna wyglądało doprawdy na bardzo wygodne. Poszli tam we dwoje przejrzeć odzież pozostałą po zmarłym. Nuño wprawdzie był niższy i cięższy, ale Reyna, która bardzo zręcznie władała igłą, zaofiarowała się przerobić niektóre sztuki, zwłaszcza że wszystkie uszyte były z doskonałych tkanin.

– Przyjemnie ci będzie włożyć czasem jakąś z jego rzeczy. Będzie ci go przypominać. – Resztę postanowiła rozdać ludziom ze swojej



wioski, którzy jak powiedziała, przyjmą taki dar z wdzięcznością.

Zajmując sypialnię Nuña, Jonasz po raz pierwszy od czasów Toledo miał spać znów w prawdziwym łóżku. Wyciągnął się w nim z uczuciem, że nie powinien, że to nie jego miejsce, nie trwało to jednak długo. Po dwóch tygodniach poczuł się już właścicielem tego domu i ziemi. Stały mu się tak swojskie i drogie, jakby przyszedł tutaj na świat.

Wielu dawnych pacjentów Nuña z prawdziwym smutkiem przyjęło wieść o jego śmierci. Ludzie pamiętali jego dobroć, jego delikatne ręce, to, że zawsze spieszył im z pomocą, nie bacząc na własną wygodę i zdrowie.

– Będę mu wdzięczny do końca życia – powiedział Pascual Cabrera.

Lecz ci sami ludzie zdążyli już dobrze poznać Jonasz, toteż nie tylko od razu zaczęli go uważać za swego lekarza, ale wydawali się nawet bardzo zadowoleni z jego usług. W tych okolicznościach łatwo było i jemu przywyknąć do nowej roli. Łatwiej chyba aniżeli do sypiania w łóżku. Był teraz zdany na własne siły, mimo to nie czuł się osamotniony. W każdym trudniejszym przypadku spieszyli mu z pomocą wielcy nauczyciele: Awicenna, Galen, Borgognoni, podpowiadając jeden przez drugiego, co ma robić, na koniec zaś odzywał się głos Nuña: „Przypomniałeś sobie, co mówią wielcy i czego ja cię uczyłem? Doskonale. To teraz obejrzyj dobrze pacjenta, powąchaj, połóż na nim ręce i sam zdecyduj, jak go trzeba leczyć”

Najtrudniej było mu odgrywać rolę pana domu wobec Reyny, ale ona uważała to chyba za rzecz naturalną. Po pewnym czasie ich codzienne stosunki ułożyły się podobnie jak dawniej między nią a Nuñem. Kiedy Jonasz był w domu, siedział zwykle u siebie, studiując dzieła medyczne lub pracując nad tłumaczeniem, ona zaś wykonywała swoje obowiązki, starając mu się nie przeszkadzać.

Po kolacji miał zwyczaj zasiadać przy ogniu z kubkiem wina i w takich to okolicznościach kilka miesięcy po śmierci Nuña usłyszał nagle pytanie:

– Czy jutro na obiad chciałbyś może coś specjalnego?

Zrobiło mu się gorąco – nie tylko od ognia i wina. Mój Boże, stała przed nim jak obraz przykładowej służącej, jakby wcale nie pamiętała brudnego zrozpaczzonego włóczęgi, jakby zawsze był tutaj panem!

– Byłbym ci wdzięczny – powiedział cicho – gdybyś jutro upiekła jakiegoś ptaka.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nie potrafił odgadnąć, co myśli Reyna – twarz miała nieprzeniknioną. Na koniec lekko skinęła głową i tej samej nocy po raz pierwszy odwiedziła jego łóżko.

Była od niego starsza o dobre dwadzieścia lat. W jej czarnych włosach błyskały już srebrne nitki, ale ciało wciąż miała silne i jędrne. Pracowała wprawdzie całe życie, lecz nie była to taka harówka jak na wsi, co zaledwie po paru latach odbiera kobiecie zarówno młodość, jak i miłosne zapały. O, Reyna była bardziej niż chętna dzielić jego łóżko! Z różnych jej uwag miał powody sądzić, że jako młoda dziewczyna sypiała też z mistrzem Nuña, Gabrielem Sporanisem, nie uważał jednak, by kolejni panowie domostwa dziedziczyli ją w spadku razem z całą resztą inwentarza. Wiedząc już teraz, jaka jest w łóżku, zrozumiał, że należy do tego gatunku kobiet, które tak naprawdę odżywają dopiero w ramionach mężczyzny. Chyba po prostu nie umiała się bez tego obejść, a tak się złożyło, że każdy z jej trzech pracodawców zaczynał z czasem budzić w niej sympatię. Uśmiechnął się skrycie, kiedy rankiem po tej pierwszej nocy stała się znów tylko przykładową gospodynią,

pełną szacunku dla swojego pana... Zupełnie tak samo jak z Nuñem. Niech ci będzie, pomyślał.

Życie zaczynało sprawiać mu przyjemność: miał pracę, którą tak pokochał, że czasami sam się temu dziwił, w domu zaś czekało smaczne jedzenie i dobra kobieta, która regularnie i z dużą ochotą umilała mu teraz noce. Jeśli coś go tutaj martwiło, to widok zaniedbanej ziemi. Nie zamierzał jednak tego zmieniać – z tych samych zresztą powodów co Nuño. Trzeba by zatrudnić ludzi, a nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zauważył, że przyległa do domu stodoła to nie zawsze tylko lecznica i że stół chirurgiczny służy nieraz też takim praktykom, które wielu uważa za czary. Z nadejściem wiosny postanowił więc zrobić tylko tyle, ile zdoła własnymi rękami. Postawił na zboczu trzy ule i przyciął znów kilka drzewek, zasilając je końskim nawozem i ściółką. Jeszcze w tym samym roku sad odpłacił się pięknym plonem. Mieli teraz własne owoce i to także sprawiało mu radość.

Nadal ogromnie uważał, by nie zdradzić swych prawdziwych wierzeń, lecz w zaciszu własnej sypialni zawsze w wigilię szabat zapalał teraz dwie świece i zaczynał szeptać modlitwę: „Bądź błogosławiony Panie, Boże nasz, Królu wszechświata, któryś dał nam Swoje święte przykazania! Oto tak jak kazałeś, zapalam szabatowe świece, aby oddać Ci hołd”. W życiu codziennym medycyna stała się dla niego czymś bardzo podobnym religii, nie do końca zaspokajała wszakże jego potrzeby duchowe. Tak bardzo pragnął pozostać żydem, a takie to było trudne! Nie potrafił już nawet modlić się jak ojciec. Pamiętał zaledwie fragmenty tradycyjnych rytuałów religijnych. Z modlitwami było podobnie – znał początek, nie pamiętał końca albo w środku ziała jakaś luka. Tak właśnie było z Amidą. Wiedział, że składa się ona z osiemnastu

błogosławieństw, a pamiętał tylko siedemnaście. Każda próba przypomnienia sobie, jak brzmiało osiemnaste, kończyła się fiaskiem, przynosząc tylko coraz większy zawód. Było w tym coś jeszcze. Jedno z owych błogosławieństw, dwunaste, zawierające prośbę o wyniszczenie heretyków, wprawiało go teraz w ogromną rozterkę. Kiedy jako chłopiec uczył się tych modlitw, nie wnikał zanadto w ich treść, teraz jednak, po tylu latach przeżytych w mrocznym cieniu inkwizycji, wołanie do Boga, by wygubił heretyków, trafiło go prosto w serce. Jak to? Czy ma to oznaczać, że gdyby u władzy byli żydzi, oni także paliliby innowierców? Czy każda religia osiągnąwszy władzę musi stać się bezwzględnie okrutna?

O, ha-Rakhaman, Ojciec nasz w niebiesiech, Jedyne Boże, czemuż pozwalasz, aby w Twoje Imię przelewano takie morze krwi?

Nie wątpił, że dawni mędrzy, którzy ułożyli Amidę, musieli być świętymi mężami, lecz zarazem był przekonany, że autor dwunastego błogosławieństwa nigdy by go nie napisał, gdyby zrządzeniem losu był ostatnim żydem w Hiszpanii.

Pewnego dnia pośród starych rupieci rozłożonych na rynku przed jednookim nędzarzem zobaczył przedmiot, na którego widok z wrażenia zaparło mu dech. Był to nieduży kubek do kiduszu, taki jakich wiele zrobił jego ojciec. Z pozorną obojętnością, choć narzucenie jej sobie wymagało całej siły woli, zaczął grzebać w stercie, wyciągając z niej na chybił trafił najpierw stalowe wędzidło, tak powyginane, że nie zmieściłoby się w żadnym końskim pysku, jakąś brudną płócienną sakwę, puste gniazdo os, wciąż jeszcze przyczepione do gałęzi... Kiedy wreszcie wziął do ręki kubek, spotkało go rozczarowanie: na spodzie nie było liter „CT”, którymi Chilkiasz Toledano oznaczał swoje wyroby. Ten powstał być może w jakimś tutejszym warsztacie, porzucono go zaś pewnie

dawno temu, w czasach gdy właściciele udawali się na wygnanie... Świadczyła o tym wieloletnia warstwa brudu i czarnej patyny. Srebro było też mocno porysowane. Mimo swego żałosnego stanu był to jednak kubek do kiduszu i Jonasz kupiłby go bez namysłu, gdyby nie nagła obawa... Czy nie został wyłożony na przynętę? Kogóż bowiem mogła zainteresować taka rzecz? Tylko żyda.

Odłożył wszystko i zaczął powoli krążyć po placu, przyglądając się bacznie mijanym bramom, dachom i oknom. Nie zobaczył nic podejrzanego. Chyba jednak nie była to pułapka. Wrócił do żebraka i ponownie odegrał komedię, udając, że interesują go inne rupiecie. Wybrał ich z pół tuzina, kubek zaś dorzucił na dokładkę. Zadbał też o to, by jak trzeba potargować się o cenę.

W domu zabrał się od razu do polerowania. Kubek odzyskał barwę, lecz miał tak głębokie rysy, że żadne polerowanie nie mogło temu zaradzić. Ale i taki, jak był, radował mu oczy i serce.

Jesień owego roku – 1507 – przyniosła dotkliwe chłody i deszcze. We wszystkich miejscach publicznych od świtu do nocy słychać było przeraźliwy kaszel. Jonasz miał tylu pacjentów, że pracował teraz za trzech, kaszląc przez ponad tydzień tak samo jak jego chorzy.

W październiku wezwano go do pewnej wiekowej już damy, właścicielki pięknego domu w najbogatszej dzielnicy Saragossy. Doña Sancha Berga – tak się nazywała – była matką trojga dorosłych dzieci, z których dwoje asystowało jej podczas badania. Starszy syn, don Berengario Bartolomé, zajmował się kartografią, córka Monika była żoną majątnego szlachcica z Alagónu. Brakowało tylko młodszego syna imieniem Geraldo, który wybrał sobie zawód kupca.

Doña Sancha, szczupła, inteligentna kobieta, była wdową po sławnym kartografie, Martínie Bartolomé. Nie wydawała się poważnie chora, jednakże ze względu na wiek – miała już

siedemdziesiąt cztery lata – konieczna była ostrożność. Jonasz zalecił jej zatem cztery razy dziennie pić wino rozcieńczone gorącą wodą i do tego parę łyków miodu.

– Czy dolega wam coś jeszcze, señoora?

– Nie, jeśli nie liczyć oczu. Coraz gorzej widzę – westchnęła.

Jonasz odsunął kotary, by wpuścić do komnaty więcej światła, i uniósłszy pacjentce powieki, przyjrzał się z bliska jej oczom. Tak jak przypuszczał, soczewki były zmętniałe.

– Cierpicie na schorzenie zwane kataraktą.

– Ślepotą w późniejszym wieku to w mej rodzinie dziedziczne nieszczęście. Matka, umierając, była niewidoma – wyjaśniła z rezygnacją doña Sancha.

– Czy nie ma na to ratunku? – żywo zapytał jej syn.

– Jest pewien zabieg chirurgiczny, zwany zdejmowaniem katarakty, czyli zmętniałej warstwy przesłaniającej źrenice. W wielu przypadkach skutkuje on pewną poprawą widzenia.

– A czy u mnie można by przeprowadzić ów zabieg?

Jonasz ponownie przyjrzał się oczom staruszki. Wykonywał już takie operacje: raz na zwłokach, dwukrotnie na żywych pacjentach przy pomocy Nuña. Widział też parę razy, jak robił to mistrz.

– Jeszcze trochę widzicie, prawda?

– Tak, lecz z dnia na dzień gorzej. Boję się, że wkrótce oślepnę.

– Uważam, señoora, że taki zabieg byłby u was możliwy, muszę jednak uprzedzić, że zbyt wielkiej poprawy nie należy się po nim spodziewać. Radziłbym z tym poczekać, dopóki w ogóle coś widzicie. Kataraktę łatwiej usunąć, kiedy już całkiem dojrzeje, proszę więc o cierpliwość. Będę tu zaglądał i gdy tylko nadejdzie właściwa pora, powiem wam o tym.

Doña Sancha podziękowała za tę odrobinę nadziei, a jej syn uprzejmie zaprosił gościa na szklaneczkę wina. Jonasz zawahał się.

Zwykle unikał kontaktów towarzyskich z chrześcijanami, groziło to bowiem mnóstwem niebezpiecznych pytań o rodzinę i wspólnych przyjaciół, w tym zwłaszcza duchownych, lecz don Berengario zaprosił go tak serdecznie, że trudno było odmówić. Przeszli do bardzo pięknego pokoju – była to biblioteka – gdzie stał pulpit do rysowania i aż cztery wielkie stoły zarzucone dziesiątkami map. Gospodarz podekscytowany możliwością usunięcia matce katarakty zaczął wypytywać go o szczegóły.

– Czy moglibyście polecić odpowiedniego chirurga, kiedy już nadejdzie pora?

– Sam mogę się tego podjąć – odrzekł Jonasz – lub jeśli wolicie kogoś innego, proszę zwrócić się do señora Miguela de Montenegro. Zaręczam, że doskonale wykona ten zabieg.

– Jesteście więc zarówno chirurgiem, jak i medykiem? – zdziwił się don Berengario, nalewając gościowi wina z kryształowej, pięknie rzeźbionej karafki.

– Podobnie jak señor Montenegro – uśmiechnął się Jonasz. – Prawda, że większość adeptów naszego rzemiosła poświęca się tylko jednej specjalności, chirurgii bądź medycynie, są jednak wśród nas i tacy, którzy łączą w swej praktyce obie te dziedziny, nierzadko w sposób doskonały. Mój zmarły mistrz i wuj, Nuño Fierro, który sam należał do owych nielicznych wyjątków, uważał, że nie jest dobrze zasklepić się w jednej tylko specjalności. Skutek jest bowiem taki, że ci, co wybrali chirurgię, wierzą potem tylko w zbawienne działanie noża, a medycy wyłącznie w leki, unikając jak ognia wszelkich operacji, a przecież czasami są one jedynym ratunkiem.

Jego rozmówca pokiwał głową na znak, że w pełni podziela ten pogląd, i z ukłonem wręczył gościowi szklaneczkę. Wino było dojrzale i bardzo szlachetne. Rozpływało się wprost na języku, ale

w tak arystokratycznym domu należało się tego spodziewać. Z pewnością nigdy nie pijano tu byle czego. Jonasz z każdą chwilą czuł się swobodniej. Don Berengario nie zadawał mu żadnych kłopotliwych pytań. Po wyczerpaniu kwestii medycznych konwersacja zaczęła się obracać wokół kartografii, rodzinnej profesji nobliwego gospodarza.

– Mój dziadek, Blas Bartolomé, pierwszy sporządził naukowe mapy przybrzeżnych wód całej Hiszpanii – wyznał z nie tajoną dumą. – Mój ojciec poświęcił się rzekom, ja zaś upodobałem sobie góry. Oznaczam ich wysokość, nanoszę również na mapy wszystkie przełęcze i szlaki.

Mapy były tak ciekawe, a gospodarz tak interesujący i sympatyczny, że Jonasz, rozgrzany wyśmienitym winem, zupełnie zapomniał o swoich obawach. Rozochocił się tak dalece, że nawet zaczął opowiadać, jak to w młodości był prostym majtkiem, pokazując kolejno na mapach trasy swych podróży po rzece i morzach. Czuł, że z tym człowiekiem mógłby się zaprzyjaźnić.

### **Rozdział 33**

#### ***Świadek***

Na początku kwietnia posłaniec sędziego Saragossy przyniósł Jonaszowi wiadomość, że wzywa się go do sądu w charakterze świadka. „Rozprawa odbędzie się w czwartek za dwa tygodnie”

Jonasz wspomniał o tym Reynie dopiero w przeddzień rozprawy. Siedziała akurat w kąpieli, on zaś zszedł na dół dolać jej gorącej wody.

– Chodzi o tych dwóch chłopców – wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytanie.



Sprawa była już głośna w całym mieście i okolicy, a zaczęło się od błahostki. Dwóch czternastolatków, Oliverio Pita i Guillermo de Roda, poróżniło się o zwykłą drewnianą zabawkę – małego konika. Od dzieciństwa bawili się nim wspólnie, byli bowiem najlepszymi przyjaciółmi. Konik przebywał na przemian to w jednym, to w drugim domu i nigdy nie wywoływało to sporów, aż nagle wybuchła zaciepła kłótnia o to, kto jest jego właścicielem. Jak to często bywa wśród chłopców, sprzeczka przerodziła się w bijatykę. Gdyby przeciwnicy byli nieco starsi, skończyłoby się pewnie krwawym pojedynkiem. Guillermo i Oliverio poprzestali na kilku kuksańcach, lecz ich wieloletnia przyjaźń ustąpiła miejsca wzajemnej niechęci. Sprawa uległa znacznemu zaostreniu, gdy wmieszali się w nią ojcowie: każdy utrzymywał z równą stanowczością, iż doskonale pamięta, że owa drewniana zabawka zawsze należała do jego rodziny.

Przy następnym spotkaniu wyrostków poszły już w ruch kamienie. Oliverio nie odniósł żadnych obrażeń, lecz Guillermo dosięgło kilka celnych pocisków przeciwnika, z których jeden uderzył go w prawą skroń. Na widok zakrwawionej twarzy syna przerażona matka posłała po Jonasza. Skaleczenie nie było groźne i cały incydent zostałby może z czasem zapomniany, gdyby nie fatalny zbieg okoliczności: kilka tygodni później poszkodowany chłopiec dostał nagle gorączki i umarł.

Jonasz wyjaśnił zrozpaczonym rodzicom, że ich syn zmarł wskutek złośliwej infekcji, nie zaś powierzchownego zranienia skroni, lecz ojciec, Ramiro de Roda, poszedł do sędziego i pod przysięgą oskarżył Oliveria Pitę o spowodowanie śmierci swego chłopca, twierdząc, iż choroba wywiązała się w następstwie odniesionej rany. Sędzia zarządził zatem przesłuchanie, które miało ustalić, czy Oliverio Pita zostanie oskarżony o zabójstwo.

– Prawdziwa tragedia – westchnęła Reyna. Czuła, że cała ta sprawa bardzo niepokoi Jonasza, nie rozumiała jednak dlaczego. – Niedobrze się stało, że wmieszali i ciebie w to wszystko, ale przecież nie masz się czego obawiać.

– Słyszałem, że do Saragossy ma przybyć nowy inkwizytor, który pewnie zechce się zaraz wykazać... Ja tymczasem, jeżeli chcę być uczciwy, muszę zaprzeczyć oskarżeniu Rody. Moje słowa przeciwko jego słowom, a to bardzo potężna familia... A jeśli ze złości doniesie na mnie inkwizycji?... Oboje wiemy, jak łatwo oskarżyć medyka. Można to uczynić anonimowo. Wcale mi się nie uśmiecha robić sobie wroga z Ramira de Rody.

– Cóż, zlekceważyć wezwania nie możesz...

– Nie mogę. Również dlatego, że bez moich zeznań mógłby zapaść bardzo niefortunny wyrok, a to znaczy, niestety, że pozostaje mi tylko jedno wyjście.

– Jakie? – spytała Reyna, wodząc kawałkiem mydła po ramieniu.

– Stanąć przed sądem i powiedzieć prawdę.

Kiedy Jonasz przybył do ratusza, niewielka sala na piętrze była już pełna po brzegi. Zaledwie przekroczył próg, rodzice oskarżonego, José Pita i jego żona Rosa Menendez, spojrzeli na niego z nadzieją, spodziewając się pewnie, że zezna to samo, co powiedział im wcześniej: że ich syn nie ponosi winy za śmierć kolegi. Oskarżony siedział sam, wlepiwszy w sędziego okrągłe ze strachu oczy. Sędzia tymczasem z bardzo urzędową miną bez zwłoki ogłosił początek rozprawy, stukając swym wielkim pierścieniem o blat stołu.

Oskarżyciel królewski, Alberto Porreño, nie odznaczał się wysokim wzrostem, miał za to bardzo dużą głowę, która wydawała się jeszcze większa z powodu niezwyklej obfitości kruczoczarnych włosów. Jonasz znał go tylko z widzenia – spotykając się na ulicy,

wymieniali uprzejme ukłony. Na pierwszego świadka Porreño powołał ojca zmarłego chłopaka.

– Señor de Roda, czy prawdą jest, że syn wasz, Guillermo de Roda, lat czternaście, odszedł z tego świata w dniu czternastym lutego roku pańskiego 1508?

– Tak, señor.

– Jak to się stało?

– Ktoś w gniewie uderzył go kamieniem w głowę, wskutek czego wywiązała się straszna choroba, medyk zaś – mówiąc to, Roda poszukał wzrokiem Jonasza – nie potrafił uratować mego jedynaka.

– Kto rzucił kamieniem?

– On – świadek wskazał palcem oskarżonego. – Oliverio Pita.

Wskazany, blady jak płótno, spuścił głowę i wbił oczy w stół.

– Skąd o tym wiecie?

– Powiedział mi o tym nasz wspólny sąsiad, señor Rodrigo Zurita.

– Czy obecny jest señor Zurita? – spytał oskarżyciel, a widząc uniesioną rękę chudego siwobrodego mężczyzny, ruszył w jego stronę. – Skąd wiecie, señor, że chłopcy rzucali w siebie kamieniami?

– Bom siedział na przyzbie, wygrzewając w słońcu stare kości. Wszystko widziałem.

– Coście takiego widzieli?

– Jak ten tam chłopak, synalek Joségo Pity, trafił kamieniem biednego Guillerma.

– Widzieliście, gdzie go trafił?

– Ma się rozumieć. W głowę, o tutaj! – Señor Zurita położył palec na środku czoła, między oczami. – Okrutne to było uderzenie. Z rany ciurkiem poląła się krew i ropa.

Prokurator podziękował świadkowi i zwrócił się do Jonasza:

– Señor Callicó, czy to wy udzielaliście pomocy ofierze owego zajścia?

– Tak, señor.

– I co wykazały wasze oględziny?

– Że nie było to mocne uderzenie – odrzekł z zakłopotaniem Jonasz. – Kamień zadrasnął jedynie skórę w okolicach prawej skroni, nieco powyżej ucha.

– A nie tutaj? – señor Porreño zbliżył się do niego i dotknął palcem środka jego czoła.

– Nie, señor, tutaj. – Teraz z kolei Jonasz dotknął skroni prokuratora.

– Co jeszcze możecie powiedzieć o ranie?

– Że była niewielka. Jak już powiedziałem, nazwałbym ją raczej draśnięciem. Zmyłem krew z twarzy, skaleczenie zaś przetrąłem winem, co dobrze robi takim obrażeniom. Zwykle szybko goją się same, żadna inna interwencja nie była zatem potrzebna. Pamiętam, co sobie wtedy pomyślałem: miał chłopak szczęście, bo gdyby ten kamień trafił go odrobinę bardziej w lewo, mogłoby to skończyć się znacznie gorzej.

– Twierdzicie zatem, panie medyku, że to nic wielkiego, kiedy z rany leje się krew pomieszana z ropą?

Jonasz westchnął w duchu, lecz musiał powiedzieć prawdę:

– Nie było ani śladu ropy. – Widząc wściekłe spojrzenie Rodriga Zurity, jął wyjaśniać: – Ropa nie jest taką substancją jak krew, która znajduje się w ludzkiej skórze i zaczyna z niej wypływać, gdy skóra ulegnie uszkodzeniu. Ropa tworzy się dopiero później, kiedy do otwartej rany przedostaną się z powietrza zgniłe wonie, takie na przykład jak odór rozkładającego się ciała. Powtórzę, co już powiedziałem: w ranie nie było ropy ani zaraz po skaleczeniu, ani trzy tygodnie później, gdy ponownie odwiedziłem chłopca. Wtedy już utworzył się na niej strupek. Był chłodny, nie stwierdziłem

żadnego zaognienia. Uważałem, że poszkodowany jest prawie wyleczony.

– A jednak po dwóch tygodniach nie żył! – odparował prokurator.

– Niestety. Ale przyczyną śmierci nie było tamto lekkie skaleczenie głowy.

– Cóż zatem było powodem?

– Ciężki kaszel i śluz nagromadzony w płucach, czego następstwem była śmiertelna gorączka.

– A co wywołało tę chorobę?

– Sam chciałbym wiedzieć, señor. Mogę jedynie stwierdzić na podstawie obserwacji, że choroba ta występuje z zatrważającą wręcz regularnością i że u niektórych pacjentów kończy się śmiercią.

– Twierdzicie zatem stanowczo, że to nie kamień ciśnięty przez Oliveria Pitę doprowadził do śmierci Guillerma de Rodę?

– Jestem tego najzupełniej pewien.

– Możecie to potwierdzić przysięgą?

– Jestem gotów.

Kiedy na rozkaz sędziego przyniesiono Biblię, Jonasz położył na niej rękę i przysiągł najuroczyściej, że wszystko, co zeznał, jest prawdą i tylko prawdą.

Oskarżonemu nakazano powstać, sędzia zaś ostrzegł go surowo, że jeśli ponownie zdarzy mu się stanąć przed obliczem sprawiedliwości, spotka go szybka i sroga kara. Na koniec po raz ostatni zastukał pierścieniem w stół, by ogłosić zebranym, że młody Pita jest wolny.

\*

– Señor... – wyjąkał zdławionym głosem José Pita, tuląc do piersi łkającego syna. – Señor... do śmierci będziemy wam wdzięczni.

– Powiedziałem jedynie prawdę – odrzekł Jonasz, umykając przed dalszymi podziękowaniami.

Jadąc przez miasto, starał się zapomnieć pełne nienawiści spojrzenie Ramira de Rody. Znał tę rodzinę. Tak oni, jak i wszyscy ich poplecznicy póki życia nie przestaną wierzyć, że chłopak został zabity. Trudno. Musiał powiedzieć prawdę, lecz wolał już o tym nie myśleć.

W pewnej chwili zobaczył trzech jeźdźców zbliżających się z naprzeciwka. Dwaj z nich byli żołnierzami, trzeci miał na sobie czarny habit.

Jakiś zakonnik. Nawet na siedząco wydawał się bardzo wysoki...

Dobry Boże! Nie, to niemożliwe!

Lecz nawet tak mówiąc, wiedział, że wzrok go nie myli – to Bonestruca! Znacznie przybrał na wadze, na nosie miał ciemne żyłki, a na głowie tonsurę, jednakże mimo tych zmian niepodobna go było nie poznać. Trójka jeźdźców była już blisko. Widząc, że spotkanie jest nieuchronne, Jonasz nakazał sobie spokój.

– Pochwalony – grzecznie pozdrowił konnych, gdy znaleźli się obok siebie.

Mnich w odpowiedzi lekko skinął głową, lecz nim Jonasz ujechał kilka kroków, dobiegł go z tyłu okrzyk: „Señor!” Zawrócił siwego araba, tamci zaś wstrzymali konie.

– Wasza twarz, señor, wydaje mi się znajoma – powiedział z namysłem mnich.

– Nie mylicie się, bracie Bonestruca. Poznaliśmy się kilka lat temu w Toledo.

– Ach tak, w Toledo. A... jakże was zwał?

– Ramón Callicó. Przywiozłem wówczas zbroję dla jego wysokości hrabiego Tembleque.

– Ha, na mą duszę! Uczeń płatnerza z Gibraltaru! Podziwiałem tę zbroję, a hrabia do dziś się nią szczyli! Przybyliście do Saragossy z podobną przesyłką?

– Nie, osiedliłem się tutaj na stałe. Mój wuj i mistrz, płatnerz Manuel Fierro, zakończył niestety swój ziemski żywot, przybyłem więc do Saragossy, aby uczyć się medycyny u jego brata Nuña.

– Obrodziło wam w dobrych wujów – zauważył Bonestruca.

– Wypada mi przyznać wam rację. Muszę jednak powiedzieć ze smutkiem, że i Nuño, wyuczysz mnie swojej sztuki, odszedł niedawno z tego świata. Przejąłem po nim praktykę i jestem tu teraz medykiem.

– Medykiem... Będziemy się zatem czasami widywać, bo i ja przybyłem tu na stałe.

– Ufam, że spodoba wam się Saragossa. Miasto jest przyjemne, a ludzie tu dobrzy.

– Doprawdy? Dobrzy ludzie to skarb bez ceny, choć przekonałem się już bardzo dawno, że pod pozorami prawości kryje się często całkiem co innego.

– I w tym przyznaję wam rację.

– Miło jest spotkać kogoś znajomego w nowym miejscu, gdzie wszystko wydaje się obce. Musimy się wkrótce zobaczyć, señor Callicó.

– Będę rad. Do usług.

– Dziś już was żegnam, jedźcie z Bogiem.

– I was niechaj Bóg prowadzi.

Jonasz wracał do domu tak oszołomiony tym spotkaniem, że bezwiednie puścił wodze, z czego zaraz skorzystał jego sprytny ogier, zbaczając ze szlaku w cień wielkiego drzewa, gdzie spokojnie zaczął skubać trawę. Jonasz pochłonięty myślami o Bonestruce nawet tego nie zauważył. Trzecie spotkanie z tym przeklętnikiem!

Przypomniawszy sobie Salamankę, gdzie chciał go zabić, a potem karczmę w Toledo, gdzie wykorzystał tego morderczego mnicha, aby pozbyć się swoich wrogów. Co stanie się teraz, gdy Bonestruca zamieszka w pobliżu?

Po chwili uświadomił sobie z niejakim zdziwieniem, że już nigdy więcej nie podejmie próby zabicia tego człowieka. Wyrzuty sumienia po śmierci Lavery i jego opryszka, a potem Angela Costy sprawiły, że został medykiem. Czuł, że gdyby teraz popełnił morderstwo, nie byłby już dobrym lekarzem... Nie wiedział dokładnie, od kiedy zaczął tak myśleć, z pewnością jednak nastąpiło to w czasie praktyki u Nuña. Walka ze śmiercią stała się dla niego rodzajem kapłaństwa, czymś, co zastąpiło mu religię, tradycję, a nawet rodzinę. Była daleko ważniejsza od gorzkiej i jałowej satysfakcji, którą mogłaby mu przynieść zemsta. Żadna zemsta nie przywróci życia umarłym.

Nie oznaczało to wcale, że wyzbył się nienawiści do Lorenza Bonestruki i hrabiego Vaski, nie zamierzał im też wybaczyć udziału w morderstwie ojca i brata. Postanowił obserwować mnicha w nadziei, że być może nadarzy się sposobność oddania tego łajdaka w ręce sprawiedliwości. Niechaj sąd wymierzy mu karę. Pokrzepiony tą myślą, mocno chwycił wodze i cmoknął na konia. Czas było wracać do domu.

## **Rozdział 34**

### ***Dom zakonnika***

Lorenza de Bonestrucę przeniesiono do Saragossy bynajmniej nie w uznaniu dla jego zasług, lecz aby wymierzyć mu karę za gorsząca nieobyčajność. Głównym sprawcą jego kłopotów stał się arcybiskup Toledo, Francisco Jiménez de Cisneros. Objąwszy ten



urząd w roku 1495, natychmiast wypowiedział świętą wojnę zepsuciu i korupcji szerzącym się jak zaraza w całym hiszpańskim Kościele. Sytuacja istotnie dojrzała do reform. Styl życia większości księży i zakonników rażąco odbiegał od idei głoszonych przez Kościół w okresie wczesnego chrześcijaństwa. Duchowni, miast służyć Bogu i ludziom, stali się posiadaczami ogromnych dóbr ziemskich, licznej służby, kochanek i wspaniałych rezydencji, a ich zamiłowanie do zbytku przekraczało wszelkie granice.

Cisneros pozyskał dla swojej krucjaty potężnego sojusznika w osobie żyjącej podówczas jeszcze królowej i oboje zaczęli podróżować po kraju. Izabela odwiedzała klasztory żeńskie, by prośbą i groźbą nakłaniać mniszki do wyrzeczenia się ziemskich dóbr, a że była królową i niezwykle gorliwą katoliczką, zawsze stawiała na swoim. Arcybiskup w brązowym habicie prostego mnicha dosiadał muła i w takiej to skromnej postaci wizytował zgromadzenia męskie, spisując ich majątki i nawołując braci do rozdania ubogim wszystkiego, co im samym, katolickim mnichom, nie było niezbędne do życia. Przywrócił też obowiązek noszenia tonsury, przypominając zakonnikom, iż jest ona symbolem korony cierniowej umęczonego Zbawiciela, któremu zobowiązali się służyć.

Lorenzo de Bonestrucą padł ofiarą tych reform jako jeden z pierwszych. Na początek arcybiskup własnoręcznie ogolił mu głowę, pozostawiając z bujnej czupryny tylko wąski wianuszek krótko przystrzyżonych włosów.

Piękny mnich nie nawykł do takich rygorów. W celibacie wytrwał tylko pierwsze cztery lata, a zaznawszy słodczy cielesnego związku, zaczął często i chętnie oddawać się owym rozkoszom. Przez ostatnie dziesięć lat nie tylko utrzymywał nałożnicę, Marię Juanę Salazar, ale spłodził z nią pięcioro dzieci, z których przeżyło troje.

Tego, iż żyje z nią jak z żoną, nie starał się nawet zbyt skrzętnie ukrywać. Nie było takiej potrzeby – robił wszak tylko to, co robiło bardzo wielu innych. Do czasu. Pierwsze delikatne jeszcze ostrzeżenie przekazał mu spowiednik, przypominając, że skończyła się swoboda obyczajów i że Kościół wymaga poprawy od wszystkich, którzy sprzeniewierzyli się jego regułom, wobec opornych zaś zastosuje najsurowsze sankcje. Kiedy Bonestrucza zlekceważył owo ostrzeżenie, arcybiskup wezwał go do siebie i oświadczył już teraz bez ogródek:

– Musisz pozbyć się tej kobiety, i to zaraz. Jeśli tego nie uczynisz, narazisz się na mój gniew.

W obliczu tej groźby winowajca postanowił udać skruchę. Przeniósł Marię Juanę i dzieci do innej wioski, położonej w pół drogi pomiędzy Tembleque a Toledo, a jeżdżąc tam w odwiedziny, stosował nadzwyczajne środki ostrożności. Czasami nie widywał ich nawet tygodniami. Przez całe sześć lat mydlił w ten sposób oczy zwierzchnikom, aż w końcu pewnego dnia otrzymał ponowne wezwanie do arcybiskupstwa. Tym razem przyjął go nie arcybiskup, lecz jakiś nieznajomy dominikanin, który krótko i zwięźle przekazał mu decyzję Cisnerosa: będzie pełnił obowiązki inkwizytora w Saragossie, dokąd ma się udać natychmiast.

– Bez niczyjego towarzystwa – dorzucił zakonnik jawnie sardonicznym tonem.

Bonestrucza zastosował się do rozkazu, lecz już podczas podróży z Toledo do Saragossy zdążył dojść do wniosku, iż zwierzchnicy zamiast go ukarać, wyświadczyli mu właściwie ogromną przysługę.

Minął mniej więcej miesiąc od spotkania z Bonestruczą, kiedy do Jonaszowej posiadłości przybył młody braciszek w brązowej szacie nowicjusza i grzecznie poprosił señora medyka, by zechciał udać się zaraz na rynek, gdzie czeka na niego wielebny Lorenzo.

Na widok Jonasza mnich podniósł się żywo z jedynej ocienionej ławki, rośło tu bowiem tylko jedno drzewo, i od razu przystąpił do rzeczy:

– Wiedz, że mam troje dzieci. Miałem ich pięcioro, lecz jedno umarło przy urodzeniu, a drugie w szóstym tygodniu życia. Tym droższa jest mi pozostała trójka. Najmłodsze źle się czuje, zabieram cię więc do domu, ale pamiętaj, nie wolno ci o tym pisać ani słówka, w przeciwnym razie ściągniesz na siebie mój gniew, a przysięgam, że bywa on straszny. Zrozumiałeś?

Jonaszowi udało się zachować spokój.

– Zrozumiałem.

– W takim razie jedź za mną – polecił mu Bonestruca, ruszając naprzód wielkimi krokami.

Po drodze raz po raz oglądał się za siebie, najwidoczniej chcąc sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Gdy dotarli do rzeki, bez wahania podwinął sutannę i wkroczył do wody. Po drugiej stronie stał mały, świeżo widać odrestaurowany domek, gdyż futryny i ramy okienne lśniły jeszcze nowością. Bonestruca wszedł bez pukania, gestem zapraszając Jonasza do środka. Za drzwiami piętrzyła się sterta bagaży – nie rozpakowane worki z ubraniami, drewniana skrzynia i skórzany kufer. W przyjemnie urządzonej izbie Jonasz zobaczył dość młodą jeszcze kobietę z malutkim dzieckiem na ręku; dwoje starszych trzymało się jej spódnicy.

– To Maria Juana – przedstawił ją Bonestruca.

Jonasz szarmancko zdjął kapelusz i złożył jej ukłon, rejestrując jednym rzutem oka pulchną, acz kształtną postać, śniadą skórę, twarz w kształcie serca, ciemne, szeroko rozstawione oczy i pełne czerwone wargi. Na materiale opinającym krągłe piersi widniały ciemne plamy z mleka.

– To znajomy medyk, Ramón Callicó – powiedział Bonestrucą, jakby chciał uspokoić swoją towarzyszkę. – Zbada Filomenę.

Niemowlę popłakiwało z powodu gorączki i brzydkiego owrzodzenia wokół ust. Najstarsza z trójki dzieci, siedmioletnia Hortensja, była ładną i przynajmniej na pozór całkiem zdrową dziewczynką, lecz na widok jej młodszego brata, pięcioletniego Dionizego, Jonasz poczuł litość. Chłopczyk wydawał się nie tylko wątły, lecz i słabo rozwinięty umysłowo, w dodatku jedną nóżkę miał wygiętą w kabłąk. Dalsze badanie ujawniło dziurę w podniebieniu i dwa charakterystycznie zniekształcone zęby, na które przed laty zwrócił mu uwagę Nuño. Jakby i tego było nie dość, biedny malec bardzo źle widział. Na obu gałkach ocznych Jonasz wykrył zmętnienie podobne do starczej zaćmy.

Bonestrucą tymczasem, jakby tego nie widział, oświadczył beztrósko, że dzieci wciąż jeszcze nie doszły do siebie po podróży. Zaledwie przed dwoma dniami przybyły tutaj z Toledo, a to przecież straszny kawał drogi.

– Co do wrzodów Filomeny, jestem dobrej myśli – powiedział równie lekko. – Ufam, że wkrótce znikną. Starsze dzieci też je miały i proszę, teraz nie ma śladu!

– Mówicie, że nawet Hortensja miała takie owrzodzenia?

– Tak, ona również.

– Jesteście ojcem wszystkich trojga dzieci?

– Ma się rozumieć.

– Czy w młodości chorowaliście na syfilis, *malum venereum*?

– Czyż nie jest to przypadłość nader pospolita wśród młodych ludzi? Rzekłbym, że każdy prędzej czy później ją złapie. Cały byłem pokryty wrzodami jak łuską, z czasem jednak wyleczyłem się zupełnie. Nigdy już potem nie miałem takich objawów.

– No tak... tyle że przekazaliście tę chorobę waszej... señoze Marii Juanie...

– Tak było, nie przeczę.

– A ona przekazała ją waszym dzieciom. Dlatego wasz synek ma krzywą nóżkę i słabo widzi.

– Czemuż więc Hortensja ma nóżki proste jak struny i widzi doskonale?

– Choroba ta niejednakowo atakuje ludzi – stwierdził Jonasz.

– Ale Filomenie wrzody znikną – powtórzył jego rozmówca tonem ostatecznej konkluzji.

– Tak – potwierdził Jonasz, pytając w duchu: a co z nogą i zębami twego syna? Te zniekształcenia na pewno nie znikną. A i to może jeszcze nie wszystko... Nie wiemy, ile innych nieszczęść może grozić dzieciom spłodzonym przez rodziców chorych na kiłę.

Przepisał małej Filomenie maść na owrzodzenia i zaczął się żegnać.

– Przyjdę za tydzień zobaczyć waszą córkę.

Na pytanie, ile się należy, rzeczowym tonem wymienił zwykłą stawkę, starając się wyraźnie dać do zrozumienia, że jego bytność w tym domu jest zwyczajną usługą, nie zaś przyjacielską wizytą. O nie! Wszystko, tylko nie przyjaźń z bratem Bonestrucą!

Następnego ranka do jego lecznicy przybyło starsze małżeństwo. Mężczyzna, niejaki Evaristo Montalvo, powiedział krótko:

– Oto moja żona, seño, Blasa de Gualda. Jest ślepa.

– Podejdź do światła, seño. – Ująwszy kobietę za rękę, Jonasz podprowadził ją do okna.

Stwierdził, że cierpi na zaćmę, i to bardziej zaawansowaną niż ta, którą oglądał niedawno u doñi Sanchy, matki gościnnego kartografa. Tu katarakta była tak dojrzała, że obie źrenice przybrały żółtawy odcień.

– Czy możecie mi pomóc?

– Niczego nie obiecuję, señora, mogę jednak spróbować, jeśli sobie tego życzyacie. Upprzedzam, że wymagałoby to operacji.

– Trzeba by mi coś wyciąć? Z oczu?

– Tak, señora. Macie obustronną kataraktę. To coś takiego jak kotary na oknach. I jedno, i drugie nie przepuszcza światła.

Pacjentka westchnęła ciężko:

– Tak bardzo chcę widzieć! Jeśli będę widzieć tak jak kiedyś...

– Tak jak kiedyś to już niemożliwe – łagodnie przerwał jej Jonasz.

– Jeśli nawet uda nam się zabieg, będziecie widzieć tylko z bliska, rzeczy znajdujące się w zasięgu ręki. Na czymś, co leży dalej, nie zdołacie skoncentrować wzroku.

– Ale przynajmniej mogłabym gotować. A może nawet szyć?

– Może... Ale w razie niepowodzenia do końca życia pozostaniecie niewidoma, i to już bez żadnej nadziei.

– Och, señor, przecież i tak jestem ślepa! Błagam, spróbujmy tej... chirurgii!

– Przyjdźcie więc jutro rano.

Po południu przygotował stół operacyjny i wszystko co potrzebne do zabiegu, a potem zasiadł pod lampą z dziełem Borgognoniego w ręku i kilkakrotnie przeczytał wszystko, co o zdejmowaniu katarakty napisał ów wielki medyk.

– Będzie mi potrzebna twoja pomoc – powiedział Reynie po kolacji. Uniósł jej powieki, by pokazać, jak je należy trzymać. Pacjentka nie może mrugać, wyjaśnił, a już w żadnym wypadku nie wolno jej zamykać oczu.

– Chyba nie potrafię na to patrzeć – wyznała ze strachem. – To okropne ciąć nożem oczy!

– Możesz odwrócić głowę, bylebyś tylko trzymała powiekę. No co? Dasz radę?

Po jej minie widać było, że nadal ma wątpliwości, obiecała jednak, że spróbuje.

Nazajutrz polecił mężowi pacjentki udać się na długi spacer, kobiecie zaś zaaplikował dwa kubki spirytusu ze środkiem wywołującym senność. Oboje z Reyną pomogli jej położyć się na stole, po czym przywiązali ją do desek kawałkami mocnego płótna ciętego w tak szerokie pasy, aby nie wrzynało się w skórę; unieruchomili jej w ten sposób nadgarstki, nogi i głowę. Jonasz już poprzedniego dnia wybrał sobie najmniejszy skalpel z bogatej kolekcji Nuña. Trzymając go teraz w ręku, dał znak Reynie, że ma unieść kobiecie powieki, po czym szybko i pewnie zaczął wykonywać drobniutkie nacięcia dookoła źrenicy lewego oka.

Pacjentka gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Już, już prawie kończę – pocieszył ją Jonasz. – Niedługo będzie po wszystkim.

Zerknąwszy ukradkiem na Reynę, stwierdził, że trzyma się dobrze. Posługując się końcem ostrza jak malutką dźwignią, zaczął bardzo ostrożnie podwierać naciętą błonkę – w kierunku od wewnętrznego kącika do zewnątrz. Kiedy ustąpiła i odpadła, szybko zoperował drugie oko.

Odłożywszy lancet, podziękował Reynie za pomoc i dzielną postawę. Teraz można już było rozwiązać pacjentkę. Położył jej na oczy zimny kompres i uspokajająco pogładził po włosach:

– Proszę tak chwilę poleżeć, señora.

Po jakimś czasie zdjął kompres i pochylił się nad kobietą. Leżała spokojnie, choć spod zamkniętych powiek obficie płynęły jej łzy. Otarł je delikatnie.

– Señora Gualda, proszę otworzyć oczy.

Gwałtownie zamrugła powiekami – widocznie raziło ją światło.

– Och, señor – szepnęła z uśmiechem – macie twarz zacnego człowieka.

Wybierając się po tygodniu z wizytą do małej Filomeny, myślał, jakie to dziwne, że ktoś taki jak Bonestruca, okrutny morderca i złodziej, może być równocześnie kochającym i troskliwym ojcem! Miał nadzieję, że w domku nad rzeką zastanie tym razem tylko kobietę i dzieci, gdy jednak drzwi otworzył mu sam gospodarz, starannie ukrył niezadowolenie. Dzieci już wypoczęte po trudach podróży wyglądały lepiej, wydawały się też weselsze. Jonasz uznał za stosowne porozmawiać z matką o ich dziecie. W odpowiedzi na jego pytania oświadczyła dumnie, że jej dzieci jedzą dużo mięsa i jajek. Są do tego przyzwyczajone.

– A ja do wyborowego wina! – zawołał Bonestruca. – Którym pragnę też uraczyć naszego medyka.

Było rzeczą oczywistą, że najgrzeczniejsza nawet odmowa stałaby się ciężkim kamieniem obrazy, Jonasz pozwolił zatem poprowadzić się do pracowni, gdzie z najwyższym trudem zdołał zachować obojętną minę na widok licznych trofeów zgromadzonych przez mnicha w czasie jego uporczywej wojny z Żydami. Był tam komplet filakterii – zwitków pergaminu z wersetami z Pięcioksiągu, które podczas modlitw przywiązuje się do czoła lub ramion – była prawdziwa jarmułka i była Tora! Cały zwój Tory!

Starał się nie patrzeć w tę stronę, udając zajętego sączeniem wina, które w rzeczy samej było wyśmienite. Myślał tylko o tym, jak by tu uciec z tego domu, cóż, kiedy żaden sensowny pretekst jakoś nie przychodził mu do głowy.

– Umiesz grać w tureckie warcaby? – spytał Bonestruca.

– Warcaby? Nigdy nawet o czymś takim nie słyszałem.

– Ach, to wspomniała gra, wymagająca bystrego umysłu! Nauczę cię zasad – zdecydował gospodarz ku wielkiemu strapieniu Jonasza,



zdejmując z półki dwa nieduże płócienne woreczki i kwadratową tablicę.

Podzielona była na jasne i ciemne kwadraty – sześćdziesiąt cztery, jak powiedział Bonestruca – a w każdym z woreczków znajdowało się dwanaście kamyków – w jednym czarne, w drugim jasnoszare. Mnich wręczył mu czarne i kazał ustawić je na czarnych polach w dwóch pierwszych rzędach. Sam podobnie postąpił ze swymi.

– Mamy więc cztery rzędy żołnierzy i jesteśmy w stanie wojny, panie medyku!

Wojna ta miała swoje reguły. Kamyki wolno było przesuwac ukośnie z jednego czarnego kwadratu na drugi – wciąż naprzód.

– Czarnym przysługuje pierwszy ruch – wyjaśnił Lorenzo. – Jeżeli mój żołnierz znajdzie się przed twoim, a następny kwadrat jest pusty, stawiasz tam swego wojaka, mojego zaś bierzesz do niewoli, usuwając go z pola bitwy. Jak już mówiłem, żołnierze mogą maszerować tylko naprzód, lecz gdy któryś dojdzie do końca tablicy, to jest do pierwszego rzędu przeciwnika, zostaje królem w nagrodę za swe bohaterstwo. Kładzie się wtedy na nim drugi kamyk tej samej barwy i taki podwójny rycerz może się poruszać zarówno w przód, jak i w tył, królowi bowiem wolno robić, co mu się podoba. Wygrywa ten, kto weźmie do niewoli wszystkich nieprzyjacielskich żołnierzy lub zapędzi ich na takie pozycje, z których nie będą mogli zrobić ani kroku. Zatem do dzieła, medyku, atakuj!

Stoczyli potem pięć bitew. W dwóch pierwszych Jonasz poniósł szybką i okrutną klęskę, czegoś się jednak nauczył: zrozumiał, że w tej grze nie wolno wykonywać przypadkowych ruchów. Mnich kilka razy zastawił na niego pułapkę, poświęcając jednego ze swoich żołnierzy, aby w zamian wziąć do niewoli kilku czarnych.

Po dwóch sromotnych porażkach potrafił już rozpoznać takie sztuczki.

– Ha! szybko się uczysz! – pochwalił go Bonestruca. – Widzę, że wkrótce będę miał w tobie godnego przeciwnika!

Następną ważną rzeczą, która objawiła się Jonaszowi, było to, że trzeba nieustannie obserwować pole bitwy, aby przewidzieć, co zamierza zrobić nieprzyjaciel, i w miarę możliwości udaremniać jego zamysły. Starał się ponadto zapamiętać sposoby, jakimi tamten próbuje zwabić go w sidła. Pod koniec piątej rozgrywki nauczył się już nawet paru obronnych osłon.

– No, no, señor, chytry jesteś jak lis! – usłyszał kolejną pochwałę, mimo to i teraz został pokonany.

– Powinienem już iść – mruknął niechętnie, bo naprawdę miał ochotę zostać.

– Musisz więc znów mnie odwiedzić. Koniecznie. Kiedy się spotkamy? Jutro po południu czy pojutrze?

– Niestety, to niemożliwe. Po południu odwiedzam pacjentów.

– No tak, prowadzisz rozległą praktykę. Więc może w środę wieczorem? Postaraj się przyjść jak najwcześniej. Będę czekał!

Czemu nie? pomyślał Jonasz.

– Przyjdę – obiecał. Gra w warcaby wiele mówiła o sposobie myślenia rywala, a dobrze byłoby wiedzieć, jak pracuje umysł tego mnicha...

W środę wieczorem Bonestruca poczęstował go znowu dobrym winem i migdałami. Łupiąc je między jednym a drugim ruchem, Jonasz bacznie obserwował twarz rywala, starając się odgadnąć, jakimi ścieżkami biegną jego myśli. Na próżno. Oblicze mnicha nie zdradzało nic z tego, co dzieje się w jego głowie. A jednak z każdą kolejną potyczką Jonasz dowiadywał się czegoś nowego o samej grze i co nieco też o swoim przeciwniku. Rozegrali znowu pięć partii.

– Wszystkie gry trwały dziś dłużej – zauważył Bonestruca.

Kiedy zaproponował następne spotkanie, znów w środę, Jonasz przystał na to tak ochoczo, że wywołał tym uśmiech mnicha.

– Oho, widzę, żeś się zapalił! Są rzeczy, co łatwo zniewalają duszę, a ta gra do nich należy.

– Ze mną tak nie jest, wielebny bracie. Ja oddaję jej tylko umysł.

– Zatem następnym razem popracuję nad twoją duszą, szanowny panie medyku!

Dopiero po trzech tygodniach Jonasz odniósł pierwsze zwycięstwo, cóż, kiedy potem przez ponad miesiąc znów nie był w stanie rozgromić wrogiego wojska! Wciąż bardzo się starał przeniknąć taktykę gospodarza, co w końcu musiało przynieść pewne skutki. Zaczął czasami wygrywać, a wszystkie potyczki trwały teraz o wiele dłużej. Nie sprzedawał już skóry tak tanio jak na początku.

Przyglądając się grze Bonestruki, Jonasz doszedł do wniosku, że w życiu mnich postępuje bardzo podobnie. Życie też jest dla niego grą, w której tak samo zręcznie zwodzi i oszukuje swe ofiary, z takim samym upodobaniem igra sobie z ludźmi, zanim zada im śmiertelny cios. Nie ufał mu ani trochę. Mimo że za każdym razem witano go w tym domu z promiennym uśmiechem i rozbrajającą wręcz życzliwością, nigdy nie czuł się tutaj swobodnie. Zbyt dobrze wiedział, że pod owym miłym uśmiechem czai się mroczne zło gotowe lada chwila wychynąć z ukrycia.

– Rozczarowałeś mnie, mój medyku – oświadczył pewnego razu Bonestruca po gładko wygranej potyczce. – Twój umysł nie jest jednak tak dobry, jak by się zdawało.

Mimo to po każdym spotkaniu domagał się następnego.

Jonasz coraz usilniej starał się go pobić. Zaczął podejrzewać, że Bonestruca może być tchórzem, że należy do ludzi, co z wielkim

upodobaniem znęcają się nad słabszymi, ale kładą uszy po sobie, kiedy trafią na silniejszego. Nie od rzeczy byłoby się o tym przekonać.

– Krótco jestem w Saragossie, a już zdemaskowałem tu żyda! – oświadczył chętnie pewnego wieczoru zakonnik, przeskakując jednego z żołnierzy Jonasza.

– Tak? – Jonasz spokojnie przesunął swój kamyk, odpierając tym ruchem planowany atak.

– Tak! A sprytna z niego sztuka. Dobrze udaje starego chrześcijanina.

Jonasza ogarnął nagły niepokój: czyżby Bonestruca jego upatrywał sobie na ofiarę? Nie odrywając oczu od planszy, podniósł swój kamyk i przeskoczył dwóch wojaków mnicha.

– Raduje was łapanie żydów. Rozpoznaję to po waszym głosie – zauważył obojętnym tonem, dziwiąc się samemu sobie, że mówi to tak spokojnie.

– Nie inaczej, lecz sam pomyśl, czyż nie jest napisane, że kto sieje wiatr, zbiera burzę?

Niech cię piekło pochłonie, pomyślał Jonasz.

– Czyż nie jest też napisane – odrzekł, patrząc mnichowi w oczy – „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią”?

– Jest – uśmiechnął się Bonestruca. Wyglądało na to, że dobrze się bawi. – W ewangelii świętego Mateusza. Ale... zastanów się nad tym: „Jam jest zmartwychwstanie i życie; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A wszelki, który żyje, a wierzy we mnie, nie umrze na wieki”. Czyż nie jest zatem aktem miłosierdzia ocalenie duszy nieśmiertelnej od piekła? A to właśnie czynimy, pozwalając żydowskim duszom pojednać się z Chrystusem, nim ich ciała zgorzeją w ogniu. Kończymy ich błędny i przez to żałosny żywot, ofiarowując im w zamian wieczny pokój i chwałę wiekuistą.

– A co z tymi, którzy nie chcą takiego pojednania? Gdzie tu miłosierdzie?

– Odpowiem ci na to znów słowami Mateusza: „Jeśli więc prawe oko twoje gorszy cię, wyrwij je i odrzuć od siebie, albowiem pożyteczniej jest tobie, aby zginął jeden z członków twoich, niżby całe ciało twoje miało być wrzucone do piekła”

Po chwili z uśmiechem powiadomił Jonasza, iż ów heretyk udający starego chrześcijanina zostanie wkrótce aresztowany.

Przez całą bezsenną noc Jonasz bił się z myślami: uciekać? Czyżby tamten miał jakieś dowody? Na tyle jednak znał już Bonestrucę, aby brać pod uwagę i inną możliwość: cała ta rozmowa o fałszywym chrześcijaństwie mogła być chytrą pułapką. Może ten przebiegły łajdak chce się przekonać, czy ofiara chwyci przynętę? Jeśli tak jest w istocie, natychmiastowa ucieczka byłaby potwierdzeniem jego domysłów. Jeżeli nie ma dowodów, a tylko coś podejrzewa, najlepiej będzie zachowywać się normalnie – jak co dzień.

Tak też zrobił. Rano pracował w lecznicy, popołudnie spędził u pacjentów. Po powrocie z wizyt zaczął właśnie zdejmować koniowi uprząż, gdy na ścieżce prowadzącej do domu zobaczył nagle dwóch konnych. Żołnierze sędziego! Spodziewając się tego, miał u pasa miecz Fierry i sztylet darowany mu niegdyś przez Minga. Nie zamierzał poddać się bez walki. Jeżeli spróbują wziąć go siłą, może miecz zmarłego mistrza przyniesie mu szczęście. A jeżeli zginie, lepsza taka śmierć aniżeli powolna męka w płomieniach...

Sztwywny z napięcia postąpił krok naprzód, lecz ku jego zdumieniu jeden z jeźdźców pozdrowił go grzecznie:

– Witajcie, señor Callicó. Sędzia bardzo was prosi o niezwłoczne przybycie do więzienia. Potrzebują tam waszej pomocy.

– Co się stało? – Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że nie chodzi o aresztowanie.

– Jakiś żyd chciał oderżnąć sobie przyrodzenie – odrzekł żołnierz. Ten drugi skrzywił się tylko i prychnął z najwyższą pogardą.

– Co za żyd? Wiecie może, jak się nazywa?

– Bartolomé.

Było to jak cios obuchem w głowę. Ten właściciel pięknego domu, wykształcony szlachcic, który tak interesująco opowiadał o mapach?

– Don Berengario Bartolomé? Kartograf?

Zapytany żołnierz wzruszył ramionami, ale jego towarzysz skinął głową i splunął:

– Ten sam.

Tuż za drzwiami więzienia siedział młody czarno ubrany duchowny – pewnie po to, by notować nazwiska odwiedzających na późniejszy użytek inkwizycji.

– Przyprawiliśmy medyka – zameldował żołnierz.

– Dobrze, możecie odejść – odrzekł ów ksiądz czy zakonnik. – Don Berengario Bartolomé osadzony w tutejszym więzieniu stłukł kubek i kawałkiem skorupy próbował dokonać samoobrzezania – poinformował Jonasza, po czym dał znak strażnikowi, żeby zaprowadził go do celi.

Ranny leżał na podłodze. Strażnik, wpuściwszy Jonasza do środka, zamknął za nim drzwi.

– Krzyknijcie na mnie, jak już będziecie wychodzić. Idę stąd. Nie chcę na to patrzeć.

Dla Jonasza też nie był to widok łatwy do zniesienia. Człowiek leżący na brudnej podłodze był przecież osobistością znaną w całym mieście, potomkiem starej szlacheckiej rodziny, wnukiem

sławnego kartografa! A teraz leżał jak nędzarz w spodniach aż sztywnych od krwi, cuchnąc tą krwią i uryną.

– Przykro mi, don Berengario, że widzę was w takim stanie.

Ranny w milczeniu skinął głową. Kiedy Jonasz zsunął mu spodnie, jęknął głucho z bólu, a na widok butelki spirytusu wydobytej z obszernej lekarskiej torby, sięgnął po nią czym prędzej i łapczywie pociągnął kilka wielkich łyków.

Jego penis był w fatalnym stanie. Większa część napletka została odcięta, reszta była tak poszarpana, jakby ktoś wyrywał ciało po kawałku. Wprost nie mieściło się w głowie, że człowiek zdolny jest sam sobie zadać taki ból. Myśląc z przykrością, że będzie musiał przysporzyć go jeszcze nieszczęsnemu więźniowi, Jonasz wziął skalpel i wyrównał poszarpaną tkankę, dokonując tym samym pełnego obrzezania. Kartograf wydał z siebie głośny jęk, po czym jak spragnione dziecko wyssał mocny trunek do ostatniej kropli.

Legł później na wznak, ciężko dysząc, osłabły i zlany potem. Jonasz zaaplikował mu kojący balsam, na koniec zaś luźno owinął ranę.

– Miną dwa tygodnie, nim się to wygoi. Na razie będzie bolało, nie wkładajcie więc spodni. W razie chłodu radzę okryć się derką, ale tak, by nie dotykała bolącego miejsca. – Zamilkł i spojrzał leżącemu w oczy: – Dlaczegoście to zrobili? Jaka z tego korzyść?

– Nie zrozumiecie tego, señor.

– Przyjdę jutro, jeśli mi pozwolą – powiedział z westchnieniem Jonasz. – Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Gdybyście mogli przynieść trochę owoców mojej matce...

– Co?! Doña Sancha jest tutaj?

– Wszyscy tu jesteśmy. Moja matka, moja siostra Monika, jej mąż Andrés i mój brat Geraldo.

– Zrobię, co w mojej mocy – wyjąkał wstrząśnięty Jonasz. – Strażnik! – krzyknął przez kratę. – Otwórzcie celę!

Zanim zdążył zapytać młodego księdza o stan zdrowia innych uwięzionych, tamten sam go poprosił o zbadanie doñi Sanchy.

– Zdaje się, że bardzo potrzebny jej lekarz – powiedział z zakłopotaniem.

Wydawał się tym szczerze strapiony. Porządny człowiek w takim miejscu? zastanawiał się Jonasz. Co on tu robi?

Na widok doñi Sanchy poczuł łyzy pod powiekami. Piękna starsza dama leżała na podłodze jak kwiat zdeptany ciężkim butem. Gdy podniosła na niego niewidzące oczy, zobaczył, że jej katarakta już prawie dojrzała do zdjęcia. Wiedział też, że nigdy jej nie zoperuje...

– Señora, to ja, Ramón Callicó, medyk – powiedział łagodnie.

– Ach, señor... jestem tak... poraniona...

– Jak to się stało?

– Położyli mnie na kole...

Prawe ramię miała złamane. Musiał zawołać strażnika, żeby pomógł mu nastawić kość. Krzyczała biedaczka wniebogłosy. Kiedy skończył, nie przestała płakać.

– Señora, czy nie czujecie się teraz odrobinę lepiej?

– To nie dlatego... – wyszeptała. – Skazałam na śmierć moje piękne dzieci. Wszystko to moja wina.

– I jak? Jakże się miewa? – żywo zapytał duchowny przy wyjściu.

– To już starsza osoba, kości ma słabe i kruche. Większość jest zapewne połamana. Myślę, że umiera.

Wracał do domu pełen rozpacz. Czuł się tak strasznie bezsilny...

Następnego dnia przyniósł do więzienia pełny koszyk rodzynek, fig i daktyli. Don Berengario nadal bardzo cierpiał.

– Jak moja matka?



– Zrobiłem dla niej co w mojej mocy.

– Dziękuję, señor.

– Powiedźcie, jak doszło do tego nieszczęścia? Jesteście przecież starymi chrześcijanami?

– Tak. Zawsze myśleliśmy tak o sobie. Ród mego ojca był od niepamiętnych czasów katolicki, ale moja matka urodziła się w rodzinie żydowskiej, która przeszła na katolicyzm, kiedy ona była prawie dzieckiem. Matka wyniosła z domu pewne nieszkodliwe tradycje żydowskie, które i w naszej rodzinie stały się zwyczajem. Na przykład w każdy piątek o zmierzchu zapalała świece... Nie wiem nawet dlaczego. Może na pamiątkę swych bliskich? W piątkowe wieczory zasiadaliśmy wszyscy do uroczystej wieczerzy. Pamiętam, że było wtedy dużo smacznych potraw i modlitwy dziękczynne za chleb i wino... – Więzień na chwilę zamilkł, jaby przeniósł się myślą w tamte czasy. – Cóż – podjął po przerwie – ktoś ją zadenuncjował. Moja matka nie miała wrogów, ale... niedawno odprawiła służącą... za pijaństwo. Możliwe, że to ta kuchenna dziewczka z zemsty doniosła na nią inkwizycji.

– Ach, señor, poddano ją strasznym torturom! – mówił dalej. – A ja... ja musiałem słuchać jej krzyków! Czy można wyobrazić sobie coś gorszego? Moja krucha, delikatna matka na kole tortur... Wyznała im w końcu wszystko, czego chcieli. Że brała udział w żydowskim spisku, do którego wciągnęła wszystkie swoje dzieci, ach, oskarżyła nawet naszego zmarłego ojca! Powiedzieli mi to jej oprawcy, kiedy mnie z kolei wzięto na przesłuchanie. Wiedziałem, co nas czeka... że nie ma dla nas ratunku... I pomyślałem, że choć wszyscy uważaliśmy się zawsze za starych chrześcijan, to jednak każde z nas ma w sobie jakąś żydowską cząstkę... Nie jesteśmy więc ani prawdziwymi katolikami, ani żydami, lecz czymś takim jak łódź bez steru, którą fale miotają od jednego brzegu do drugiego, a ona

nigdzie nie może przybić. Nie chciałem być taką łodzią. Jeśli mam spłonąć na stosie za żydostwo, pomyślałem, powinienem przed obliczem Stwórcy stanąć jako żyd. W desperacji potłukłem kubek i... zrobiłem to, co zrobiłem... Wiem, że wy tego nie zrozumiecie – zakończył tak samo jak poprzednim razem.

– Mylicie się, don Berengario – odrzekł Jonasz. – Ja rozumiem. Rozumiem to bardzo dobrze.

Wychodząc z więzienia, usłyszał nagle głos strażnika: „Tak, padre Espina” – i stanął jak wryty.

– Czy dobrze słyszałem? – zapytał z bijącym sercem. – Nosicie nazwisko „Espina”?

– Tak.

– Mogę was spytać o imię?

– Francisco Rivera de la Espina.

– Czy waszą matką nie jest przypadkiem señora Estrella de Aranda?

– Była moją matką. Już nie żyje. Niech jej ziemia lekka będzie – odrzekł młody duchowny, przyglądając się Jonaszowi. – Czy my się znamy, señor?

– Powiedzcie jeszcze, ojcze, czy pochodzicie z Toledo?

– Tak. – W głosie duchownego zabrzmiała nuta niechęci.

– Mam u siebie coś... co należy do was.

## **Rozdział 35**

### ***Spełniony obowiązek***

Oddając młodemu Espinie brewiarz zmarłego ojca, Jonasz przyglądał mu się uważnie. Takim gestem ujął modlitewnik, jakby książka ta mogła go skazić albo rzucić na niego zły urok.

Otworzywszy ją końcami palców, głośno odczytał słowa skreślone ręką Bernarda:

– „Dla mego syna, Francisca Rivery de la Espiny, aby modląc się co dzień z tej książki do Jezusa Chrystusa, naszego Boskiego Zbawiciela, pamiętał o swym ziemskim ojcu. Z dozgonną miłością, Bernardo de la Espina”. Dziwne to sentymenty jak na heretyka – rzucił cierpkim tonem, zamykając brewiarz.

– Wasz ojciec nie był heretykiem – żywo zaprotestował Jonasz.

– Był, señor, i spłonął za to na stosie. W mieście Ciudad Real. Byłem wtedy chłopcem, ale poinformowano mnie o wszystkim. Wiem, jak skończył!

– Poinformowano was fałszywie, a już z pewnością nie powiedziano wam całej prawdy. Ja byłem wtedy w Ciudad Real, codziennie widywałem waszego ojca i wiem, w co wierzył! Nie miał tam żadnych przyjaciół, więc choć byłem ubogim, nic nie znaczącym młodzikiem, on zaś dojrzłym mężczyzną i doskonałym lekarzem, przed śmiercią zwrócił się do mnie z prośbą, bym was odnalazł i przekazał wam jego modlitewnik. Szukałem was wiele lat, wszędzie gdzie tylko rzuciły mnie losy.

– Señor, jesteście pewni tego, co mówicie?

– Najzupełniej. Wasz ojciec był niewinny. Nie popełnił żadnej z tych zbrodni, o które go oskarżono.

– Oskarżono go fałszywie? Więc taka jest prawda? – Mimo że siedzieli w ustronnej więziennej komórce, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchać, Francisco zniżył głos do szeptu.

– Mogę na to przysiąc. Wasz ojciec codziennie modlił się z tej książki; miał ją w ręku prawie do ostatniej chwili, zanim wyprowadzono go z celi na śmierć. Ten brewiarz to jego ostatnia wola. Pozostawił wam tylko to jedno: swoją wiarę w Jezusa Chrystusa.

Chociaż młody duszpasterz był człowiekiem nawykłym powściągać swoje uczucia, teraz zdradziła go bladość.

– Wychował mnie Kościół. Rosłem w przekonaniu, że to hańba mieć takiego ojca, przeklętego na wieki odszczepieńca. A wpajano mi to przekonanie jak psu, którego uczy się porządku, wtykając mu nos we własne szczyny – powiedział z goryczą.

Niezbyt przypominasz ojca, pomyślał Jonasz, masz tylko jego oczy.

– Wasz ojciec był najgorliwszym chrześcijaninem, jakiego zdarzyło mi się poznać. I jeszcze coś wam powiem, padre: w całym swym życiu niewielu spotkałem tak szlachetnych ludzi.

Odbyli potem długą poufną rozmowę. Padre Espina mówił o losach swych bliskich. Matka po śmierci ojca wstąpiła do klasztoru de la Santa Cruz, pozostawiając trójkę dzieci w Escalonie – na łasce dalszej rodziny. Każde znalazło się w innym domu. Kiedy zmarła po roku na jakąś złośliwą gorączkę, krewniacy czym prędzej pozbyli się kłopotu. Nikt nie miał ochoty chować dzieci heretyka. Dziesięcioletniego Francisca oddano do dominikanów, jego siostry do klasztorów żeńskich. Każde wywieziono do innego miasta.

– Nie widziałem sióstr od czasów Escalony – powiedział ze smutkiem Francisco. – O Domiceli nic nie wiem, nawet tego, czy żyje. O Marcie dowiedziałem się dwa lata temu, że jest w jakimś klasztorze w Madrycie. Mój Boże, tak bym chciał ją odwiedzić!

Jonasz powiedział mu o sobie tylko to, co niezbędne: że pracował w więzieniu w Ciudad Real, że po ucieczce stamtąd terminował najpierw u płatnerza Manuela Fierry, potem zaś u jego brata w Saragossie, u którego wyuczył się medycyny, a następnie przejął po nim praktykę. Nie wspomniał, że pochodzi z Toledo i że Bernardo Espina leczył jego matkę, ale i Francisco wolał pewne

sprawy pominąć milczeniem. Powiedział, że w Saragossie pracuje od ośmiu miesięcy w tutejszym urzędzie Świętego Oficjum i choć o tym nie mówił, łatwo było wyczuć, że narzucono mu te obowiązki i że wcale nie ma do nich serca.

– Wyjeżdżam stąd za parę dni – oznajmił z nie tajoną satysfakcją.  
– Jeden z mych nauczycieli, ojciec Enrique Sagasta, został właśnie biskupem sufraganem w Toledo i bierze mnie na pomocnika. Padre Sagasta to wielki chrześcijański uczony, historyk, a że i ja żywię podobne zainteresowania, zachęcił mnie do pójścia w swe ślady. Jak więc widzicie, señor, ja także rozpocznę wkrótce terminowanie, i to u wielkiego mistrza.

– Ojciec byłby z was dumny.

– Nie wiem doprawdy, jak wam dziękować. Zwróciliście mi ojca.

– Czy mógłbym jutro odwiedzić swoich pacjentów?

Na twarzy księdza odbiło się zakłopotanie. Nie chciał się wydać niewdzięczny, lecz nie mógł też zbyt wyraźnie sprzeciwiać się zwierzchnikom.

– Możecie przyjść rano, lecz będą to już pewnie ostatnie odwiedziny. Bardzo mi przykro, señor.

Gdy nazajutrz Jonasz przybył do więzienia, powiedziano mu, że doña Sancha nie żyje. Jej syn przyjął tę wiadomość po stoicku:

– Dobrze, że już nie cierpi.

Samego don Berengaria i pozostałych członków jego rodziny powiadomiono tego ranka, że wyrokiem sądu skazani zostali na śmierć. Publiczna egzekucja przez spalenie na stosie odbędzie się w najbliższych dniach.

– Spalenie żywcem – zaczął Jonasz ze ściśniętym gardłem – to najstraszniejszy rodzaj śmierci. – Nie było niestety mniej okrutnego sposobu nawiązania rozmowy w sprawie, z którą tutaj przyszedł.

– Po co mi to mówicie? Myślicie, że nie wiem?!

Obu im w tym momencie stanęły przed oczami te same sceny: wijące się w męce poczerńiałe ciała, przeraźliwe wycie skazańców, kiedy krew zaczyna gotować się w żyłach...

– Można tego uniknąć. Musicie pojednać się z Kościołem.

– Doprawdy, panie medyku? – zimno spytał więzień. Jonasz pojął, że don Berengario zobaczył w nim nagle zagorzałego katolika, dla którego każda inna wiara jest grzechem. – Za późno. Wyrok już zapadł. Koniec.

– Za późno, żeby uratować życie, lecz wciąż jeszcze można kupić sobie szybką śmierć. Lepsza garota niż stos.

– Myślisz więc, zacny medyku, że dla kaprysu zadałem sobie tyle bólu? Że po to opowiedziałem się za wiarą mej matki, żeby się jej zaraz wyprzeć? Czyż nie mówiłem, że pragnę umrzeć jako żyd?

– Nikt wam tego nie broni. W sercu pozostaniecie żydem, nawet kiedy udacie skrucę. Według żydowskiego prawa każdy, kto urodził się z matki żydówki, do końca życia pozostaje żydem i żadna deklaracja tego nie zmieni. Wasza babka przekazała swą wiarę doñi Sanchy, a ona wam, swoim dzieciom. Czyż więc po to, by uniknąć najstraszliwszej śmierci, nie warto wypowiedzieć tych paru słów, które chce usłyszeć inkwizycja?

Don Berengario, zamknąwszy oczy, zastanawiał się przez chwilę.

– Byłoby to jednak tchórzostwo – powiedział wreszcie. – Gdybym zrobił tak, jak mówicie, umierałbym z poczuciem, że moja śmierć nie ma sensu.

– Nie, to nie jest tchórzostwo – nie dawał za wygraną Jonasz. – Większość uczonych rabinów powiada, że zmiana wiary pod groźbą śmierci nie jest grzechem.

– Skąd tyle wiecie o rabinach, o prawie Mojżeszowym? – zdziwił się don Berengario, spoglądając na niego badawczo. I nagle zrozumiał. – Mój Boże! – wyszeptał.

- Czy możecie jakimś sposobem porozumieć się z rodziną?
- Czasami o tej samej porze wyprowadzają nas na dziedziniec. Można wtedy zamienić kilka słów.
- Musicie im powiedzieć, żeby okazali skruchę. Wyjaśnijcie im dlaczego.
- Zarówno moja siostra, jak i jej mąż są gorliwymi chrześcijanami. Ich nie trzeba będzie przekonywać. Bratu powiem o wszystkim i poradzę postąpić tak, jak mówicie.
- To nasze ostatnie widzenie. Więcej mnie tu nie wpuszczą – cicho powiedział Jonasz. Podeszedł do więźnia i ucałował go w oba policzki.
- Miejmy nadzieję, mój przyjacielu, że spotkamy się w szczęśliwszym miejscu – szepnął don Berengario. – Idź w pokoju.
- Pokój z wami – odrzekł Jonasz, odwracając się szybko, by ukryć łzy.

Wieczorem zdarzyło się coś dziwnego. Była środa, Jonasz więc jak zwykle odwiedził Bonestrucę i właśnie siedzieli nad partią warcabów, w której zdołał już nawet wywalczyć przewagę, kiedy jego przeciwnik poderwał się od stolika i zaczął przed dziećmi skakać, podrygiwać, stroić miny, wydawać z siebie ucieszne dźwięki. Wyglądało to z początku na miłą swawolę. Rozbawione dzieci śmiały się głośno i same zaczęły dokazywać. Nawet apatyczny zazwyczaj Dionizy tak się rozochocił, że mrużąc swoje słabe oczka, podbiegł do rozbrykanego ojca, by rzucić w niego drewnianą kulka.

Po kilku minutach wszakże zaczęło robić się jakoś dziwnie: z twarzy Bonestruki zniknął uśmiech, policzki mu poczerwieniały, na czoło wystąpiły wielkie krople potu... Widać było, że goni ostatkiem sił, mimo to nie zaprzestawał dzikich harców. Wirował teraz w miejscu z takim zapamiętaniem, że jego habit wzdymał się

i furkotał jak żagiel na wietrze. Już nie wydawał się wcale zabawny. Jego piękna twarz, wykrzywiona grymasem wściekłości, stała się odrażająco brzydka, z gardła wydobywały się jakieś głucho, niesamowite pomruki.

Dzieci ucichły, a potem pierzchły do kąta. Oczy ze strachu zrobiły im się okrągłe, Hortensja otworzyła usta jak do krzyku. Podbiegła do nich matka i szepcząc coś uspokajająco, wyprowadziła oboje z pokoju.

Jonasz najchętniej zrobiłby to samo, że jednak nie wypadało mu tak postąpić, musiał dotrwać do końca okropnego tańca. Bonestruca wreszcie osłabł; kręcił się coraz wolniej, aż całkiem wyczerpany opadł na klęczki.

Maria Juana, która właśnie wróciła do izby, wytarła mu twarz mokrym płótnem i pobiegła po wino. Dopiero gdy duszkiem wypił dwie szklaneczki, pozwolił posadzić się na krześle. Upłynęła dłuższa chwila, nim przemówił.

– Czasami coś mnie nachodzi... Jakby ktoś rzucił zły urok.

– Rozumiem – bąknął Jonasz.

– Doprawdy? A cóż takiego rozumiesz?

– Nic, nic... tak mi się tylko powiedziało.

– Naszło mnie to niedawno w towarzystwie paru księży i zakonników, z którymi pełnię obowiązki. Teraz mnie śledzą.

Chora imaginacja? zastanawiał się Jonasz.

– Szli za mną aż tutaj. Wiedzą o Marii Juanie i dzieciach.

Mogła to być prawda.

– I co teraz? Co zamierzają zrobić? – spytał Jonasz, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

Bonestruca wzruszył ramionami:

– Czekają. Pewnie chcą się przekonać, czy mi to przejdzie. A ty co o tym powiesz?



Że to szaleństwo, pomyślał Jonasz, przypominając sobie w tym momencie, co mu kiedyś opowiadał Nuño o swych dotkniętych obłędem pacjentach. Wielu z nich, jak stwierdził, przeszło w młodości *malum venereum*. Mówił też, że między jedną a drugą chorobą upływało zwykle wiele lat. Nuño nie potrafił ustalić, na czym miałyby polegać ich związek, zaobserwował wszakże tyle tych przypadków, że uznał za stosowne zwrócić na nie uwagę swego ucznia. Wszystko to teraz przyszło Jonaszowi na myśl.

– Nie jestem pewien, czy mam rację – powiedział ostrożnie – ale może to mieć związek z syfilisem.

– Syfilis, dobre sobie! Mylisz się, medyku, już od dawna nie mam syfilisu! I wiesz, co ci powiem? To szatan walczy o mą duszę! Ciężko jest potykać się z duchem ciemności, ale ja go przepędzam, ilekroć próbuje mnie zażyć jakąś swoją nieczystą sztuczką!

Cóż można było na to odpowiedzieć? Na szczęście Bonestruca przypomniał sobie o grze.

– Czyj teraz ruch? Mój czy twój?

– Wasz, wielobny bracie.

Powrócili do gry, lecz cała ta niesamowita scena tak rozstroiła Jonasz, że z chwili na chwilę popełniał coraz więcej błędów. Bonestruca tymczasem wydawał się nie tylko niezmiernie rześki, lecz rozegrał partię po mistrzowsku – z iście morderczą logiką – a odniesiona wiktoria wprawiła go w świetny humor.

Wbrew ostrzeżeniom ojca Espiny Jonasz udał się nazajutrz do więzienia, nie wpuszczono go jednak, przy wejściu siedział bowiem jakiś inny duchowny, który w odpowiedzi na prośbę o widzenie z don Berengariem łypnął tylko na niego spod oka i odmownie pokręcił głową.

Autodafe odbyło się sześć dni później. Owego ranka medyk Ramón Callicó opuścił Saragossę, aby udać się do pacjentów

zamieszkałych na samym krańcu prowincji. Wrócił do domu dopiero po kilku dniach. Nękała go obawa, czy tym razem nie posunął się za daleko, ujawniając przed skazańcem całą prawdę o sobie. Gdyby Berengaria wzięto na tortury, mógłby nie wytrzymać... mógłby wydać go inkwizycji. Ale nie, nic takiego się nie stało. Gdy powrócił do Saragossy, znalazło się wielu pacjentów więcej niż chętnych podzielić się z nim swymi wrażeniami z ostatniego widowiska na rynku. Wszyscy członkowie żydowskiej rodziny Bartolomé umarli w stanie łaski. Każde ucałowało krzyż podsunięty mu przez kapłana. Śmierć mieli lekką: kilka szybkich obrotów śruby zaciskającej garotę – i koniec.

## **Rozdział 36**

### ***Warcaby***

Kiedy Jonasz następnym razem zjawił się w domku nad rzeką, Maria Juana miała opuchnięte lewe oko i ogromny siniak na policzku. Zauważył też świeże sińce na rączkach Hortensji.

Bonestrucą, nieskory tego dnia do rozmów, wydawał się całkowicie pochłonięty grą. Był niezmiernie skoncentrowany i po zaciętej walce wygrał bezapelacyjnie pierwszą potyczkę. Podczas drugiej wszystko się zmieniło: nagle zmarkotniał i już w pierwszych kilku ruchach popełnił tak wiele błędów, że zanosilo się na rychłą klęskę, a gdy mała Filomena zaczęła kwilić, zerwał się na równe nogi, wrzeszcząc jak furia:

– Cisza! Ma być cicho!

Maria Juana chwyciła dziecko i popychając przed sobą dwójkę starszych, spieszenie wyprowadziła je z pokoju. W całym domu zapadła cisza jak makiem zasiał; słycać było tylko leciutki stukot kamyczków przesuwanych po czarno-białej desce.

Kiedy podczas trzeciej rozgrywki kobieta zjawiła się znowu z winem i tacą daktyli, Bonestruca spoglądał na nią jak na wroga. Odczekawszy, aż wyjdzie, zapytał Jonasza, gdzie mieszka.

– Dobrze – zdecydował. – Następnym razem zagramy u ciebie. Chyba że ci to nie odpowiada?

– Oczywiście, że odpowiada – zapewnił go Jonasz.

Nie wypadało mu powiedzieć nic innego, nie pomyślał jednak o Reynie. Przybladła na widok niezwykłego gościa. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Saragossy wiedziała, kim jest ten mnich i jaką cieszy się sławą. Zachowała się nienagannie – wprowadziła go do domu, usadowiła w wygodnym fotelu, zakrzętnęła się też zaraz wokół poczęstunku, ale oczy miała cały czas spuszczone i gdy tylko dopełniła swoich powinności, czym prędzej zniknęła. Widać było, że jest przerażona tak bliską komitywą z osławionym mnichem, mimo to swoim zwyczajem milczała. Za dnia nigdy nawet o pół kroku nie zdarzyło jej się przekroczyć bariery dzielącej pana od sługi. Przeszawała nią być tylko w łóżku. Jonasz zdziwił się trochę, kiedy po tygodniu postanowiła na całe trzy dni udać się do swojej wioski, nie podejrzewał jednak nic złego, toteż gdy po powrocie powiedziała mu, że właśnie kupiła dom i zamierza odejść ze służby, była to dla niego przykra niespodzianka.

– Kiedy? – wykrzyknął.

– Jeszcze nie wiem. Ale już niedługo.

– Dlaczego?

– Chcę wrócić do swoich. Z tymi pieniędzmi, co mi je zostawił Nuño, będę tam bogatą kobietą.

– Będę za tobą tęsknił – powiedział szczerze.

– Ale nie tak strasznie, żebyś z tego usechł – uśmiechnęła się lekko. – Wygodnie ci ze mną, i tyle. – Ruchem ręki przecięła jego protesty. – Daj spokój, mogłabym być twoją matką. Prawda,

że lubię dzielić z tobą łożę, ale częściej myślę o tobie jak o synu czy miłym sercu siostrzeńcu. Nie martw się o gospodarstwo. Przyślę ci na swoje miejsce młodą robotną dziewczuchę.

Wyjechała po dziesięciu dniach. Wszystkie jej ruchomości zgromadzone przez ponad trzydzieści lat służby zmieściły się na małej furce zaprzężonej w osła.

– Reyno, jesteś pewna, że dobrze robisz? Naprawdę chcesz odejść?

Tliła się w nim jeszcze iskierka nadziei, że może się rozmyśli. Kiedy wszakże w odpowiedzi pogładziła go po policzku, łamiąc po raz pierwszy swoje żelazne zasady, zrozumiał, że jej decyzja jest nieodwołalna.

Po jej odejściu dom opustoszał. Zrobiło się w nim strasznie cicho.

Zapomniał już, jak gorzko smakuje samotność, i oto znowu zmuszony był się z nią zmierzyć. Najlepszym sposobem na tę dolegliwość była praca, zwłaszcza że zapewniała kontakty z ludźmi. Coraz dalej jeździł do pacjentów, coraz częściej przedłużał wizyty, coraz chętniej zatrzymywał się po drodze – na pogawędki z tym czy innym przygodnym znajomym. Przyciął znów i zasilił kilka zdziczałych oliwek, poświęcał też więcej czasu Awicennie. Przetłumaczył już większą część „Kanonu”, a myśl, że niebawem będzie mógł napisać „koniec”, dodawała mu skrzydeł.

Reyna zgodnie z obietnicą przysłała mu młodą i krzepką dziewczuchę, niejaka Carlę Santellę. Pracowała z ochotą – wszystko aż lśniło czystością – lecz straszny był z niej milczek i nie gotowała tak, jak lubił. Odprawił ją po kilku tygodniach. Jeszcze szybciej, bo zaledwie po czterech dniach, rozstał się z jej następczynią, Petronilą Salvą. Była wdową i może dlatego umiała dobrze gotować, cóż, kiedy zamęczała go swoim gadulstwem, a na twarzy miała brodawki...

Po tych dwóch próbach Reyna dała za wygraną.

\*

Z coraz większą niechęcią myślał o każdym zbliżającym się spotkaniu z Bonestrucą. Niepodobna było przewidzieć, kto zasiądzie do gry: olśniewający precyzją przeciwnik czy ponury półszaleniec. Grywali teraz na zmianę raz w jednym, raz w drugim domu.

Kiedy dwa miesiące po wyjeździe Reyny wypadło mu odwiedzić dom mnicha, zastał go przy stole nad otwartą książką. Być może czytał ją wcześniej, teraz jednak leżała porzucona, Bonestruca zaś z wielkim skupieniem studiował własne odbicie w niewielkim ręcznym lusterku. Przez chwilę jakby nie dostrzegał swego gościa, po czym spytał go nagle, nie przestając przeglądać się w lustrze:

– Powiedz no, medyku, co widzisz, gdy na mnie patrzysz? Dostrzegasz w moich rysach zło?

– Widzę oblicze rzadkiej urody – odzекł ostrożnie Jonasz, uważnie dobierając każde słowo.

– Piękne oblicze, powiadasz?

– O tak, niezwykle urodziwe.

– Czy to twarz uczciwego człowieka?

– Wasza twarz zachowała w sobie bardzo wiele młodszej niewinności, a czas prawie nie naznaczył jej swym piętnem.

– Czy znasz długi poemat pod tytułem „Boska komedia”? – ni stąd, ni zowąd spytał Bonestruca. – Napisał go pewien Florenetyńczyk, Dante Alighieri.

– Niestety nie.

– Szkoda. – Mnich na moment przeniósł wzrok na Jonasza. – Pierwsza część tego poematu nosi tytuł „Piekło” i zawiera opis wszystkich jego kręgów.

– Ten florencki poeta od dawna nie żyje, nieprawdaż? – bąknął Jonasz, byle coś powiedzieć.

– Uhm... nie żyje... – Bonestrucu ponownie utkwiał wzrok w lusterku.

– Rozstawię nasze wojska – zaproponował Jonasz, podnosząc się z krzesła.

Obchodząc stół, zobaczył odwrotną stronę zwierciadełka i teraz dopiero spostrzegł, że jest srebrne. Pokrywała je gruba warstwa patyny, mimo to w górnej części uchwytu widać było wyraźne litery „CT”. Mój Boże, wszak to jedno z lusterek wykonanych przez ojca dla hrabiego Vaski!

– Bracie... – usłyszał w swym głosie napięcie, które łatwo mogło go zdradzić, mnich wszakże wydawał się głuchy i ślepy. Wciąż patrzył w lusterko, ale takim wzrokiem, jakby śnił z otwartymi oczami.

Szaleńcza pokusa, aby bliżej zbadać to lusterko, zwyciężyła w Jonaszu zarówno obawę, jak i wszelki rozsądek, lecz kiedy spróbował wyjąć je mnichowi z ręki, okazało się to niemożliwe – srebrny uchwyt tkwił w zaciśniętych palcach jak w imadle. Po chwili daremnych wysiłków przyszło mu raptem na myśl, że tamten tylko udaje szaleństwo. Wie o wszystkim! Ogarnięty paniką, rzucił się do ucieczki.

– Señor? – zawołała zdumiona Maria Juana, wychodząc z drugiej izby.

Minął ją bez słowa i czym prędzej wybiegł z tego domu.

Następnego dnia po powrocie z wizyt zastał tę kobietę przed własnym domem. Siedziała w trawie, piastując na ręku niemowlę, obok niej stał spętany osioł. Zaprosił ją do domu, ale odmówiła, tłumacząc się, że musi zaraz wracać – starsze dzieci zostały bez opieki.

– I co ja mam z nim począć? – spytała z rozpaczą.

Cóż, mógł jej tylko współczuć. Zastanawiał się, jakim sposobem związała się z Bonestrucą. Przed laty musiała być bardzo ładna. Czy Bonestrucą ją uwiódł, wykorzystując naiwność młodziutkiej dziewczyny? Mógł też zniewolić ją siłą. Chociaż... Może była tak lekkomyślna, że bawiły ją igraszki z pięknym mnichem? Gdyby mogła wiedzieć, jaka czeka ją przyszłość... Ale pewnie o tym nie myślała.

– Czy on was bije, señora?

– Zbił mnie kiedyś zaraz na początku, ale potem już nigdy... aż do teraz. Boże, byle co wyprowadza go z równowagi. Z dnia na dzień jest coraz gorzej.

– Kiedy się to zaczęło? Te zmiany na gorsze?

– Kilka lat temu, ale wtedy nie było jeszcze tak źle. Powiedźcie, señor, jaka jest tego przyczyna?

– Nie wiem, señora, może ma to coś wspólnego z kiłą.

– Ale przecież nie chorował na to od lat!

– Zdaje się, że taka właśnie jest natura tej choroby. Ustępuje, a potem nawraca.

– I nie ma na to ratunku?

– Powiem wam prawdę. Niewiele wiem o przyczynach wywołujących pomieszenie zmysłów, nie mogę wam też polecić nikogo bieglejszego w tej materii. Obłąd to dla nas, lekarzy, wciąż jeszcze wielka zagadka... Nie wiemy, skąd się bierze ani jak go leczyć... Czy wczoraj długo tak jeszcze siedział z tym lusterkiem?

– Prawie do północy. Dopiero jak mu dałam grzanego wina, zwałił się na łóżko i zasnął.

Jonasz sam był mocno niewyspany, bo czytał do późnej nocy, starając się dowiedzieć czegoś więcej o szaleństwie. Przed rokiem wzbogacił odziedziczony po Nuñu zbiór ksiązek o traktat zatytułowany „De parte operativa”, płacąc zań kwotę

odpowiadającą dwumiesięcznym dochodom z praktyki. Autor tego dzieła, Arnold de Villanova, był zdania, że przyczyną manii jest nadmiar suchej żółci, która rozgrzewając mózg, wywołuje wzburzenie, krzyki i napastliwość.

– Kiedy zaczyna być... podniecony, trzeba mu podawać chłodny napar z tamaryndy i ogórecznika – pouczył Marię Juanę – kiedy zaś popada w taki letarg jak wczoraj – Villanova nazywał ten stan po francusku *folie paralitica* – proszę poić go grzanym winem z dodatkiem mielonego pieprzu. – To z kolei radził Awicenna, utrzymując, że pacjenta w stuporze należy koniecznie rozgrzać.

Maria Juana słuchała go z oczyma pełnymi łez.

– Tak dziwnie się zachowuje... – powiedziała żałośnie. – W każdej chwili może popełnić... wielką nieostrożność. Lękam się o naszą przyszłość.

Biedna kobieta, myślał Jonasz, i biedne te dzieci. Potrafił sobie wyobrazić, jak ciężkie musi być życie z kimś takim jak Lorenzo Bonestruca, a jeszcze w tym stanie... Wypisał jej recepty, prosząc, by udała się z nimi do apteki brata Mediny, a gdy dosiadła osiołka, długą chwilę stał przed domem, odprowadzając ją wzrokiem.

Choć wcale nie miał ochoty tak rychło oglądać znowu Bonestruki, już następnego dnia przed południem popędził do domku nad Ebro, gnany niepokojem o Marię Juanę i dzieci – czy nie stała im się jakaś krzywda? Ale nie. Mnich siedział nieruchomo w izbie na tyłach domu.

– Cały ranek płakał – szepnęła Maria Juana już w drzwiach.

W odpowiedzi na pozdrowienie Jonasza zakonnik apatycznie skinął głową.

– Jakże się dziś czujecie?

– Licho. Pali mnie jak ogniem, gdy idę się wysrać.



– To skutek tego napoju, który wam przepisałem. Nie martwcie się jednak, pieczenie ustąpi.

– Ktoś ty?

– Medyk Callicó. Czyżbyście mnie nie pamiętali?

– Nie... Nie pamiętam.

– Pamiętacie swego ojca? – indagował go dalej Jonasz.

Bonestrucu utkwił w nim tępe spojrzenie.

– A matkę?... Ach, mniejsza o to, przypomnicie ich sobie kiedy indziej. Powiedzcie, nęka was smutek?

– A jakże. Przez całe życie byłem smutny.

– Tak? A z jakiego powodu?

– Bo Go umęczono i ukrzyżowano.

– Macie rację, to smutne, a czy żal wam też innych pomordowanych?

Mnich spojrzał na niego, lecz nie odpowiedział.

– Pamiętacie Toledo?

– Toledo... pamiętam.

– Rynek?... Katedrę?... Urwisko nad rzeką?...

Mnich milczał.

– A pamiętasz pewną nocną wyprawę?

Cisza.

– Przypomnij sobie! Jechałeś wtedy konno. Kto ci towarzyszył?

Bonestrucu wciąż patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

– Kto był z tobą podczas tej nocnej wyprawy?

Długa chwila ciszy. Jakby czas stanął w miejscu.

– Hrabia – padła odpowiedź. Głośna i wyraźna.

– Hrabia Vasca, tak?

Na to już nie było odpowiedzi. Mnich znowu zamilkł. Jakby zapadł się w siebie.

– Pamiętasz młodego posłańca? Niósł cyborium do klasztoru Wniebowzięcia. Dopadliście go i zabili w gaju oliwnym. Pamiętasz? Bonestruca odwrócił głowę.

– Ci piekielni Żydzi! Gdzie spojrzeć, wszędzie ich pełno! – jął mamrotać do siebie tak cicho, że Jonasz musiał pochylić się nad nim, aby zrozumieć, co mówi. – Niech będą przeklęci! – wyszeptał.

– Zabrali go do więzienia! Tego mniejszego, gdzie trzyma się szaleńców i dłużników! – krzyknęła Maria Juana, gdy następnego ranka Jonasz otworzył jej drzwi. Była tak wzburzona, że z trudem dobywała z siebie głos, a jej zdyszany osioł nosił na bokach liczne ślady bata.

– Wracajcie do domu, señora – zdecydował Jonasz, usłyszawszy, że zostawiła dzieci z jakąś dziewczyną z sąsiedztwa. – Pojadę tam i zobaczę, czy da się coś zrobić.

Więzienie dla szaleńców i dłużników cieszyło się ponurą sławą. Karmiono tam ludzi tak skąpo, że nieszczęśni przymierali głodem, kupił więc po drodze dwa bochenki chleba i dwie małe gomółki koziego sera, jednakże żadne zasłyszane opowieści nie były w stanie oddać całej grozy tego miejsca. Już przed ciężką więzienną kratą uderzył go w nozdrza przeraźliwy fetor – stężona do granic możliwości woń brudu i ludzkich odchodów – a jakby i tego było nie dość, towarzyszyła jej ogłuszająca kakofonia krzyków i wrzasków, przekleństw i bluźnierstw, obłąkańczych śmiechów i jęków, długich oracji i niezrozumiałych bełkotów, straszliwa mieszanina tego wszystkiego, co rodzi się w chorym umyśle.

Lokatorzy owego straszego przybytku nie budzili zainteresowania Świętego Oficjum, można było zatem odwiedzać ich bez trudności. Jonasza kosztowało to jedną monetę.

– Chciałbym się zobaczyć z bratem Bonestrucą.

– Hm... Wątpię, czy dacie radę wypatrzeć go w tej ciźbie... – strażnik zawiesił głos. Miał ziemistą gębę z dziobami po ospie, a oczy pozbawione wszelkiego wyrazu. – Lepiej zostawcie mi to jedzenie. Sam go nakarmię, bo jak dacie mu chleb do ręki, wszyscy rzucą się na niego hurmem i nie zobaczy nawet okruszynki. – Spiorunował Jonasza wzrokiem, kiedy ten odmownie pokręcił głową.

Nie było tu osobnych cel, tylko jedno wielkie pomieszczenie oddzielone od korytarza taką samą kratą jak tamta przy wejściu. W ciźbie kłębiących się ciał nie sposób było odróżnić dłużników od obłąkanych – wszyscy wydawali się równie szaleni.

– No to go sobie szukajcie – burknął strażnik.

Jonaszowi dopiero po dłuższej chwili udało się wypatrzeć Bonestrucę. Pótleżał jak łachman na brudnej podłodze, z głową opartą o ścianę.

– Bracie Bonestruca!

Mimo wielokrotnych nawoływań mnich nawet nie drgnął. Był za daleko, żeby coś usłyszeć w tym piekielnym zgiełku. Jonasz zaczynał już tracić nadzieję, kiedy do kraty przepchnął się jakiś obdarty głodomór, najwyraźniej znęcony widokiem jedzenia, bo gapił się w chleb jak w tęczę. Jonasz czym prędzej odłamał kawałek i wsunął rękę za kratę, lecz nim zdążył wypowiedzieć słowo, człowiek ów wyrwał mu spieczoną pajdę i pochłonał ją w mgnieniu oka.

– Przeprowadź mi tego mnicha – krzyknął Jonasz, wskazując palcem Bonestrucę – a dostaniesz pół bochenka!

Nie minęła nawet minuta, a mnich został postawiony na nogi i przyciągnięty do kraty. Jonasz wręczył obdartusowi obiecane pół bochenka, ten jednak nie ruszał się z miejsca, wgapiony głodnym

wzrokiem w pozostałą część wiktuałów. Za jego plecami zebrał się gęsty tłum więźniów.

Bonestrucu patrzył dość przytomnie. Sądząc po wyrazie oczu, musiał zdawać sobie sprawę, że przebywa w jakimś strasznym miejscu, ale widok Jonasza nie wzbudził w nim zainteresowania.

– Nie poznajesz mnie? Jestem Ramón Callicó, twój medyk. Przyniosłem ci jedzenie – mówił Jonasz, próbując go wyrwać z letargu.

Kiedy nie odniosło to żadnego skutku, wcisnął mu w rękę dwa serki. Bonestrucu przyjął je bez słowa. Jonasz jeszcze przez chwilę usiłował nawiązać z nim kontakt. Na próżno: mnich odwrócił głowę i patrzył gdzieś w przestrzeń. Nie słyszał pytań czy nie chciał na nie odpowiadać? Tak czy inaczej, dalsza indagacja nie miała sensu.

– Nie mogę się ubiegać o zwolnienie cię z tego więzienia – powiedział Jonasz, zbierając się do odejścia. – Mógłbyś stąd wyjść tylko wtedy, gdyby wróciło ci trochę rozsądku, lecz u ciebie nigdy to już nie nastąpi. – Jakąś częścią swej duszy nadal nienawidził Bonestruki, ale widok tego nieludzkiego miejsca, panujący tu smród i hałas sprawiły, że ciężko mu było wyrzec te słowa.

Podał więźniowi połówkę chleba, a potem cały bochenek – i nagle rozpętało się piekło, mnich bowiem upuścił w tym momencie jedną z ofiarowanych mu wcześniej gomółek. Nim zdążył się po nią schylić, już chwycił ją ten obdarty, równocześnie zaś jakiś młody, aż czarny od brudu nagus wyrwał mu z rąk oba chleby. Niedługo się nimi cieszył. Natychmiast zwała się na niego taka chmara więźniów, że zniknął pod kotłującą się masą ich ciał jak płotka w ławicy krwiożerczych monstrów. Harmider sięgnął zenitu.

Okropna łysa starucha rzuciła się nagle na kratę, wpijając Jonaszowi w ramię iście krogulcze szpony. Odskoczył do tyłu półżywy ze wstrętu. Uciekać! Wszystko jedno dokąd, byle dalej od tego miejsca! Spojrzawszy raz jeszcze w stronę Bonestruki, zobaczył jego wielkie pięści młóćące miarowo jak cepy... Kiedy wokół zrobiło się pusto, mnich opuścił ręce, otworzył usta i zawył. Brzmiało to jak wycie wilka znienacka schwytanego w sidła.

Jonasz był już daleko za bramą, a głos ten jeszcze go ścigał.

Pozostał mu do spełnienia jeszcze jeden przykry obowiązek. Czuł się zmuszony przekazać Marii Juanie to, co podpowiadał mu instynkt medyka: szaleństwo nie opuści Bonestruki. Jeśli coś się zmieni, to tylko na gorsze. Wysłuchała tego bez łez. Chyba w głębi duszy spodziewała się takich wieści.

– Było tu trzech duchownych ze dwie godziny temu. Przed wieczorem mają przyjść znowu... Obiecali nas zabrać. Podobno nie do przytułku, tylko do jakiegoś klasztoru... – powiedziała z rezygnacją.

– Współczuję wam z serca, señora.

– A może, señor Callicó... może wiecie o jakimś domu, gdzie potrzebna jest gospodyni? – spytała nieśmiało. – Nie boję się ciężkiej pracy, a dzieci tak niewiele jedzą...

Wiedział tylko o jednym takim domu – własnym. Zastanowił się szybko, czy mógłby żyć pod jednym dachem z tą biedną kobietą i jej nieszczęsnymi dziećmi. Nad wszystkimi wszak ciąży tragiczny wyrok, ta straszna choroba. Czy miałby dość siły patrzeć, jak się spełnia? I dosyć dobroci, aby poświęcić im własne życie?

Nie. Czuł, że nie stać go na taki gest. Trzeba by na to być świętym. Czy jakoś inaczej nie dałoby się im pomóc?... Przyszła mu nagle na myśl żydowska kolekcja Bonestruki. Były w niej filakterie! I Tora!

– Może sprzedalibyście mi, señora, jakieś rzeczy po wielebny? Chętnie zachowałbym coś na pamiątkę...

– Żałuję, señor, ale ci księży już wszystko zabrali. Proszę zobaczyć.

Ze wszystkiego, co jeszcze do wczoraj znajdowało się w pracowni Bonestruki, ocalały jedynie warcaby. Zabrano nawet poemat Dantego z wyjątkiem kilku luźnych stronic, przeoczonych zapewne w pośpiechu, leżały bowiem pod deską do gry. Pierwsza z tych stronic zawierała straszny opis piekła:

*Ściany wqwozu pleśń obległa śliska;  
Węch i wzrok mdlały rażone oparem,  
Który się stęchły wznosił z trzęsawiska.*

*Wzrok dna nie zgonił przepaścistym jarem,  
Aż gdy się doszło przelęczy chochołu,  
Co nad przepaścią przegiął się wiszarem.*

*Tam gdy staniemy, w samej głębi dołu  
Widzę lud w strasznym pławiony kanale,  
Jakby wszech kloak brud mieścił pospołu.*

*Okiem powiodę i ujrzę łeb w kale  
Tak umazany ciężkim i smrodliwym,  
Że ksiądz czy laik nie rozeznać wcale.<sup>[1]</sup>*

Odkładając stronicę, Jonasz uświadomił sobie nagle, że żadna kara boska czy ludzka nie może chyba być gorsza od tego, co spotkało Lorenza de Bonestrucę. Czując, że opuszcza go cała nienawiść, podziękował za warcaby, które Maria Juana wcisnęła mu w rękę, a gdy wyszła z pokoju, pozostawił na stole wszystkie złote i srebrne monety, jakie miał w sakiewce. Wracając do domu,

prosił Boga, by zechciał wziąć pod opiekę tę biedną kobietę i jej dzieci.

## **Rozdział 37**

### ***Wyprawa do Hueski***

Jak zwykle pod koniec zimy Jonasz nie miał chwili wytchnienia. Na gorączki ludzie zapadali cały rok, lecz w zimie liczba chorych rosła, a w tym roku była wyjątkowo duża. Wszystkich nękał uporczywy kaszel, wszyscy narzekali na to samo:

– Señor Callicó, okropnie łamie mnie w kościach... I gardło... nie mogę łykać! Co za ból!... To mi gorąco, to znów strasznie zimno.

Pięć osób zmarło: dwóch mężczyzn, młody i stary, dwie starsze kobiety i dziecko. Po każdej przegranej ze śmiercią zawsze ogarniał go gniew i zawsze w takich chwilach słyszał głos zmarłego mistrza: „Myśl o żywych!” Mistrz oczywiście miał rację, więc Jonasz brał się w garść i robił, co trzeba: jeździł od domu do domu, ocierał spoczone czoła, przepisywał kaszlącym grzane wino z miodem i driakiew przeciw gorączce.

Nie była to jeszcze pandemia ani nawet epidemia o szczególnej sile, lecz i tak zdarzały się dni, kiedy ledwo udawało mu się odwiedzić wszystkich pacjentów. Nie upadał mimo to na duchu, mówiąc sobie, że dopóki choroba nie zaczyna się w tym samym dniu u wszystkich naraz, potrafi z nią sobie poradzić. Po kolei zapewniał każdego, że jeśli przez dziesięć dni z rzędu będzie ściśle przestrzegał wydanych zaleceń, gorączka i kaszel ustąpią jak ręką odjął. W większości przypadków tak było.

Sam jakoś się trzymał, wieczorami jednak bywał tak zmęczony, że choć nieraz przez tydzień nie jadał nic gorącego, dom zaś z dnia na dzień coraz bardziej zarastał brudem, nie miał już sił ni ochoty

brać się za gotowanie czy porządki. Czasami rozstawiał na stole warcaby, próbując grać na dwie strony, lecz po chwili zaczynało go to irytować. Taka gra, bez przeciwnika, nie dawała żadnej satysfakcji. Zaczynał w ogóle odczuwać coraz większe niezadowolenie, niepokój i niecierpliwość... Kiedy wreszcie gorączka wygasła, postanowił dać sobie wolne i odwiedzić Reynę.

Mieszkała niedaleko – pół godziny drogi od rogatek Saragossy – w niewielkiej osadzie czy raczej skupisku kilkudziesięciu domków zamieszkanym przez drwali i rolników, właścicieli maleńkich poletek, takich, które jak to mówią, da się przyrzucić płaszczem. Osada nie miała wójta ani nazwy, lecz miejscowi przywykli nazywać ją *El Pueblecito* – Wioska. Łączyło ich też silne poczucie wspólnoty – każda tutejsza rodzina miała na cmentarzu kilka pokoleń swych przodków.

Kiedy Jonasz wjechał do osady, pierwsza napotkana kobieta siedząca w słońcu na przyzbie wskazała mu domostwo Reyny: to tam, koło tracza. Przy domu wykopany był dół, w którym dwóch obsypanych trocinami mężczyzn – jeden starszy, z długimi siwymi włosami, drugi młody i muskularny – piłowało sosnową kłodę.

Reynę zastał bez butów – przy szorowaniu kamiennej posadzki. Wyglądała zdrowo jak zawsze, ale chyba przybyło jej zmarszczek... a może to tylko jemu wydawała się przedtem młodsza? Uśmiechnęła się na jego widok i wycierając ręce o suknię, żywo podniosła się z klęczek.

– Przywiozłem ci trochę wina, takiego jak lubisz.

– Dziękuję. Usiądź, proszę. – Postawiła na stole dwa kubki i swój gąsiorek z jakimś napitkiem. Okazało się, że jest w nim koniak. – *Salud!*

– *Salud!* Dobrze! – Aż zmrużył oczy, tak mocny był ten jej trunek.

– No i jak tam? Znalazłeś już sobie gospodynię?



– Jeszcze nie.

– Posłałam ci dwie kobiety, uczciwe i robotne. Obie odprawiłeś!

– Może przyzwyczaiałem się do ciebie... Do twego sposobu prowadzenia domu.

– Więc musisz przywyknąć do nowego. Całe ludzkie życie to jedna wielka zmiana. Przysłać ci inną kobietę? Zbliża się wiosna, trzeba będzie porządnie posprzątać.

– Sam to zrobię.

– Ty? Nie marnuj czasu na takie rzeczy! Ty powinienesz leczyć ludzi – powiedziała surowo.

– Znalazłaś sobie piękny dom – zauważył, rozglądając się dookoła. Wolał zmienić temat.

– Mnie też się podoba. Mam zamiar urządzić tu zajazd – oznajmiła Reyna. – Nigdzie w pobliżu nie uświadczysz miejsca do spania, a chętnych byłoby wielu. Nasza Wioska leży przy drodze do Monzonu i Katalonii, więc przejeżdża tędy moc podróżnych... Ale jeszcze trochę potrwa, nim otworzę ten zajazd. Potrzebne mi różne sprzęty, a i dom wymaga przeróbek.

Jonasz przekazał jej nowinki i najnowsze plotki z Saragossy, ona opowiedziała mu o swojej Wiosce i jak jej się tutaj żyje. Całej ich pogawędce towarzyszył stłumiony zgrzyt piły.

– Pewnie jesteś głodny! Kiedyż to ostatnio jadłeś? – zaniepokoiła się nagle Reyna.

– Hm... Wczesnym rankiem.

– Zrobię ci coś do jedzenia – zdecydowała, wstając od stołu.

– A mogłabyś mi podać kawałek pieczonego drobiu? – zapytał z poważną miną.

– Tej potrawy już nie podaję. – Usiadła znów naprzeciwko i popatrzyła mu w oczy. – Widziałeś tych dwóch przed domem?

– Widziałem.

– Za jednego z nich wychodzę za mąż. Już wkrótce.

– O! Za tego młodszego?

– Żarty sobie stroisz! Za tego drugiego. Na imię mu Alvaro. Włosy ma siwe, ale krzepy niejednen młodzik mógłby mu pozazdrościć. I umie pracować – dodała rzeczowo.

– Życzę ci szczęścia. Zasługujesz na to – powiedział szczerze, chociaż z pewnym smutkiem.

– Dziękuję.

Był świadom, że Reyna wie doskonale, po co tu przyjechał: chciał namówić ją do powrotu. Poczł się zawiedziony – o tym też wiedziała – mimo to uśmiechnęli się do siebie, ona zaś po chwili położyła na stole bochenek świeżego chleba, jajka na twardo, smakowitą pastę czosnkową, pół gomółki sera, cebulę i drobne przepyszne oliwki. Wypili jeszcze potem parę kubków wina i Jonasz zaczął się żegnać.

Mężczyźni przed domem nadal pracowali. Ułożyli właśnie nową kłodę w poprzek rowu i młodszy wskoczył do wykopu.

– Miłego popołudnia – pozdrowił ich grzecznie Jonasz. Młodszy nic na to nie odrzekł, lecz ten imieniem Alvaro uśmiechnął się i skinął głową. Wydawał się sympatyczny.

Zbliżało się święto Pesach, więc choć nie był pewien, w którym dniu dokładnie wypada, postanowił rozpocząć gruntowne porządki. Odkurzył sprzęty, wymiółł śmieci ze wszystkich zakamarków, pootwierał i umył okna, wytrzepał kilimy, na koniec zaś wyszorował kamienne posadzki i przyrzucił je świeżo naciętym sitowiem. Samotność miała tę dobrą stronę, że przynajmniej mógł uczcić święto zgodnie z nakazem swej wiary. Upiekł przaśny chleb, rozkładając niezbyt foremne porcje ciasta na blasze zawieszanej nad otwartym ogniem, i choć rezultat jego wysiłków różnił się trochę od tego, co pamiętał z domu – był z wierzchu nieco przypalony,

w środku zaś odrobinę za miękki – z pewnością była to prawdziwa maca! Z uczuciem triumfu i dumy zasiadł do samotnego sederu. Zgodnie z paschalną tradycją miał na stole pieczony jagnięcy udziec oraz gorzkie zioła na pamiątkę srogich losów synów Izraela zmuszonych uciekać z Egiptu.

– Dlaczego ten wieczór tak różni się od wszystkich innych? – zapytał głośno. Odpowiedziała mu cisza, bardziej gorzka niż te gorzkie zioła. Niepewność co do daty święta sprawiła, że powtarzał seder przez cały tydzień, choć mięso smakowało mu tylko trzy dni – później zaczęło już cuchnąć. Resztki zakopał w sadzie.

Po kilku wiosennych dniach powróciła zima, chłodna i dżdżysta, zamieniając drogi w głębokie potoki szkaradnego błota. Gdy nie było wezwań do chorych, cóż mógł robić w taką pogodę? Godzinami siadywał przy stole, snując niewesołe rozmyślenia. Był teraz bogatym człowiekiem, szanowano go jako medyka, miał solidny murowany dom i kawał urodzajnej ziemi, a jednak... jednak w bezsenne noce czasami wydawało mu się, że pośród żalosnego zawodzenia wiatru słyszy cichy głos swego ojca: żyjesz, synu, tylko w połowie...

Nie chciał dłużej w samotności odmawiać modlitw, do których powinien się zebrać minjan, zmęczyło go siedzenie w klatce i choć ową klatką była cała Hiszpania, wydawała mu się duszna i ciasna. Nachodziły go myśli o ucieczce – do Francji lub Portugalii – lecz po głębszym zastanowieniu musiał je odrzucić. Bez znajomości języka? W dodatku gdyby nawet jakoś przemknął się przez granicę, tamtejsze władze mogłyby zażądać świadectwa chrztu, a bez tego w Portugalii stałby się niewolnikiem, we Francji zaś groziłby mu nawet stos. Tu, w Saragossie, uważany był przez wszystkich za starego chrześcijanina, mógł pracować bez przeszkód, a kochał tę pracę tak bardzo, że gotów był dla niej ponieść wiele ofiar.

Mimo to jakaś część jego istoty domagała się czegoś więcej. Czego? Nie umiał nazwać swych tęsknot. Nocami śnili mu się zmarli albo jakieś obce kobiety. Budząc się po takim śnie, stwierdzał z zażenowaniem, że te niewieście widziadła wysysają z niego nasienie. Czasami już myślał, że popada w obłąd – jak Bonestruca. Kiedy wreszcie zrobiło się ciepło i na niebie zaświeciło słońce, nie chciało mu się wierzyć, że naprawdę przyszedł koniec słoty.

Całe szczęście, że przy tak złej aurze nie powróciły gorączki, bo dowiedział się od brata Mediny, że w aptece zabrakło teriaku. Stary franciszkanin był tym poważnie zmartwiony:

– Dobrą driakiew można kupić jedynie w Huesce u rodziny Aureliów – wyjaśnił w odpowiedzi na pytanie Jonasza, gdzie szukać tej cennej mieszanki. – Jeździłem tam dotąd rokrocznie, ale to długa podróż, pięć dni w jedną stronę, i sił mi już na to nie staje...

– Możemy wyprawić posłańca...

– To na nic. Na teriaku trzeba się znać, a gdzie takiego znaleźć? Laik weźmie ziele, co rok już leży na składzie, bo i skąd ma wiedzieć, że utraciło całą swą leczniczą moc? Nie, to musi być ktoś, kto wie, jak wygląda i pachnie zdrowy teriak! Mieszanka musi być świeża, a kupić należy tylko taką ilość, jaką da się zużyć w ciągu roku.

– W takim razie ja pojedę – oświadczył Jonasz, ciesząc się skrycie z takiego obrotu sprawy. Miał ochotę wyrwać się z domu i oto nadarzyła się świetna okazja!

Przed wyjazdem musiał zadbać o swoich pacjentów, z tym wszakże nie było kłopotu. Przejął ich Miguel de Montenegro na spółkę z protegowanym przez siebie medykiem, młodym Pedrem Palmą, którego sam zresztą wyuczył zawodu. Był to rewanż za podobną przysługę, którą wyświadczył mu Jonasz, kiedy señor Montenegro został pilnie wezwany do Teruelu, do łóża tamtejszego

biskupa złożonego złośliwą gorączką. Wszystkim medykom ponadto bardzo potrzebny był teriak.

Kiedy tylko Jonasz wyjechał za miasto, od razu poczuł się lepiej. Lubił wędrować po świecie, a od ostatniej włóczęgi minęło już tyle lat! Pogoda była piękna, drogi suche, tak że mógłby jechać bardzo szybko, nie zamierzał się jednak spieszyć. Siwy ogier zaczynał się starzeć, a nie było żadnej potrzeby nadweręzać wiernego druha. Aby zaoszczędzić mu dźwigania juków, zabrał ze sobą muła. Sam szlak nie był trudny. Biegł przez podgórskie doliny, gdzie na łąkach pasły się owce, a po małych poletkach grasowały świnie specjalnie wypuszczone z przydomowych zagród, aby zryły ziemię przed siewem. Wszędzie po drodze było mnóstwo przepięknych zakątków, które wprost zapraszały, żeby wybrać je sobie na nocleg. Malownicze pagórki przeszły niebawem we wzgórza, które z każdą milą stawały się coraz to wyższe.

Po przybyciu do Hueski Jonasz bez trudu odnalazł rodzinę Aureliów – wystarczyło zapytać ludzi. Wszystkich czworo – trzech mężczyzn i jedną kobietę – zastał przy pracy, zajętych rozdrabnianiem suchych roślin, tłuczeniem ich na proszek i sporządzaniem rozlicznych mieszanek. W całym obszernym pomieszczeniu, przerobionym z dawnej obory, unosił się przyjemny aromat ziół. Mistrz zielarski, Reinaldo Aurelio, okazał się sympatycznym bystrookim mężczyzną w średnim wieku. Miał na sobie długi zgrzebny fartuch, cały pokryty suchymi drobinami roślin.

– Czym mogę wam służyć, señor?

– Dużą ilością teriaku. Jestem Ramón Callicó, medyk z Saragossy, a przybywam w zastępstwie brata Luisa Mediny.

– Ach, od brata Mediny! Czemuż to sam nie przyjechał? Czyżby zapadł, nieborak, na zdrowiu?

– Zdrowie, chwalić Boga, wciąż mu dopisuje, ale lata lecą i siły już nie te co kiedyś.

– Mówicie, że po teriak... Mamy go na składzie, señor Callicó. – Właściciel podszedł do półki i otworzył stojącą tam drewnianą skrzynkę.

– Mogę zobaczyć? – Jonasz zaczerpnął odrobinę proszku, roztarł go między palcami, na koniec zaś podniósł do nosa. – Nie, mistrzu – powiedział z uśmiechem – brat Luis urwałby mi głowę, gdybym przywiózł mu taki towar.

Zielarz uśmiechnął się także.

– Niezgorszy z niego dziwak, a już co do wymagań, to nikt nie ma takich jak on.

– Za co my, medycy, jesteśmy mu bardzo wdzięczni – stwierdził z naciskiem Jonasz. – Potrzebny nam świeży teriak. W takiej ilości, żeby wszyscy lekarze praktykujący w naszej prowincji mieli go pod dostatkiem, ale nie na dłużej niż rok.

– Dla nas to żaden kłopot – odrzekł Aurelio. – Cała rzecz w tym, że takiej ilości świeżej mieszanki nie da się sporządzić na poczekaniu. Trochę to potrwa.

– Jak długo?

– Przynajmniej dziesięć dni... Może nawet więcej.

Rozumiejąc, że nie ma innego wyjścia, Jonasz wyraził zgodę. Prawdę powiedziawszy, był nawet kontent, że sprawy tak się ułożyły – będzie mógł dzięki temu powędrować dalej, w Pireneje. Obliczywszy wraz z mistrzem zapłatę za zioła, uiścił ją z góry – bo i po co wozic z sobą złoto? Brat Medina powiedział, że ludziom tym można zaufać... Zostawił u zielarza swojego jucznego muła, mówiąc, że nie wróci wcześniej niż za dwa tygodnie, mają więc dość czasu na solidne wykonanie zamówienia.

Słyszał od różnych ludzi, że między Huescą a granicą Francji zaczynają się niezmiernie wysokie góry, tak wysokie i strome, że wydają się dotykać niebios. Zobaczył je wkrótce i stwierdził, że to szczerą prawdą. Na wielu spośród owych niebotycznych szczytów widać było białe czapy śniegu. Rozłożywszy się obozem na podgórskiej łące gęsto już usianej wczesnymi kwiatami wiosny, pozwolił koniowi się popaść, sam zaś zaczął badać okolicę. Z gór spływał strumień pełen małych srebrzystych pstrągów, wyjął więc z juków wędkę i pudełko robaków, przezornie przywiezione z Saragossy w przewidywaniu takich właśnie okazji. Ryby brały aż za szybko jak na jego potrzeby i nastrój. Były jeszcze malutkie, lecz dzięki temu sprawił je w mgnieniu oka, nadział na długą świeżą gałązkę i upiekł nad małym ogniem. Smakowały wybornie. Można było jeść je razem z ośmi.

Koń też już niezgorzej się napasał, ruszyli zatem krętym szlakiem w górę. Jonasz z ciekawością przyglądał się górskim stokom. Niższe ich partie pokrywały gęste lasy; rosły tu buki, kasztany i dęby. Nad nimi widać było jednolite skupiska sosen i jodeł. Znając góry, wiedział, że im wyżej, tym będą rzadsze, aż w końcu zupełnie znikną. Może tylko tu i ówdzie uchowa się jakaś niewielka roślina. Ciepłe słońce szybko topiło śnieg na szczytach, z góry toczyły się więc wartkie strużki wody. Widoczny w dole strumień zaczął gwałtownie przybierać; już po niespełna godzinie spieniona woda wystąpiła z brzegów.

Kiedy po południu Jonasz dotarł do strefy jodeł, zobaczył na ziemi sporą warstwę śniegu, a na nim świeże niedźwiedzie ślady. Powietrze było tu dużo ostrzejsze. Wiedząc, że w nocy robi się jeszcze zimniej, postanowił gdzieś niżej poszukać miejsca na nocleg. Znalazł je w końcu pod sędziwą sosną. Zwieszało się z niej mnóstwo uschłych gałęzi – w sam raz na ognisko. Pamiętając

o niedźwiedzich śladach, uwiązał konia obok siebie i pilnował ognia przez całą noc. Minęła spokojnie i choć spał z przerwami, czuł się rankiem dobrze i rześko.

W trzecim dniu wędrówki przez góry zdecydował się zawrócić z powodu kopnego śniegu wypełniającego całą głęboką przełęcz, przez którą przebiegał szlak. Na upartego mógłby ją pokonać, ale szkoda mu było konia. Znadto by się utrudził. Zjeżdżając na dół, szukał wzrokiem jakiejś bocznej drogi, którą można by okrążyć tę górę. Znalazł ją w końcu siwy ogier, i to w takim miejscu, gdzie Jonasz widział tylko zwartą ścianę drzew. A jednak była tam ukryta ścieżka, która po kilkunastu krokach nieoczekiwanie przeszła w szeroki kamienisty trakt. Biegł on wzdłuż brzegu wartkiego strumienia, który musiał chyba przez długie stulecia żłobić sobie drogę w tym stromym skalistym zboczu.

Trakt ów prowadził wciąż na dół. Wydawał się nie mieć końca. Jonasz już zaczynał myśleć, czyby nie zawrócić, gdy zaleciał go zapach dymu. Las rozstał się nagle, ustępując miejsca niewielkiej dolinie, w której, o dziwo!, zobaczył kilkanaście kamiennych domków o stromych łupkowych dachach, pośrodku zaś zwieńczony krzyżem kościółek. Nieopodal pasło się bydło, dalej widać było kilka świeżo zaoranych kawałków gruntu. Któż to mieszka na takim odludziu?

Mijając dwa pierwsze domy, nie dojrzał nikogo; kiedy był jeszcze daleko, widział, że z trzeciego wyszła jakaś kobieta... Teraz zobaczył, że wraca – pewnie od strumienia – z wiadrem pełnym wody. Na widok obcego jeźdźca przyspieszyła kroku, udało mu się jednak zastąpić jej drogę jeszcze spory kawałek od domu.

– Dzień dobry, señora. Wolno spytać, co to za wioska?

Stanęła jak wryta.



– Pradogrande, señor. – Głos miała jasny i dźwięczny, lecz słysząc w nim było czujność.

Podjechał jeszcze parę kroków i teraz dopiero wyraźnie zobaczył jej twarz. Z wrażenia zaparło mu dech!

– Inés! To ty? – wykrztusił przez ściśnięte gardło, niezgrabnie zeskakując z konia.

Cofnęła się przed nim w popłochu.

– Nie, señor.

– Nie nazywasz się Inés Saadi Denia? Nie jesteś córką Izaaka Saadiego? – zapytał najgłupiej w świecie.

– Nie, señor. Nazywam się Adriana. Adriana Chacon.

Ofuknął się w duchu za głupotę. Przecież to młoda kobieta! Jak mógł pomyśleć, że to Inés? Kiedy się rozstawali, wyglądała jak ta dziewczyna, lecz od tego czasu minęło wszak wiele lat!

– Inés była moją ciotką. Daj jej, Boże, wieczny odpoczynek.

Poczuł bolesny skurcz serca: Inés odeszła! Za kolejną kochaną osobą los na zawsze zatrasnął drzwi.

– Niech spoczywa w pokoju – wymamrotał, uświadamiając sobie nagle, kto przed nim stoi: przecież to Adriana, córka Felipy, starszej siostry Inés! Pamięć natychmiast podsunęła mu przed oczy te chwile w Grenadzie, kiedy to spacerowali z Inés po ulicach, trzymając za rękę małą dziewczynkę... dziś młodą kobietę... – Pamiętam was, señora – powiedział z uśmiechem.

Spojrzała na niego niepewnie, zamierzał jej więc wyjaśnić, kiedy się poznali i w jakich okolicznościach, lecz nagle usłyszał czyjś okrzyk i zobaczył nadbiegających mężczyzn. Pędzili z dwóch stron z motykami w ręku, jakby chcieli go zaraz uśmiercić.

## **Rozdział 38** **Wysoka Łąka**

Do ataku nie doszło. Zapobiegł mu szczupły, lecz krzepki mężczyzna, który w tej samej chwili wyszedł z pobliskiego domu. Micheasz Benzaquen, przyjaciel i sąsiad Saadiego! Jonasz pamiętał go jako czterdziestolatka, teraz, choć nadal silny i żwawy, był już starym człowiekiem, nie zmienił się jednak na tyle, by nie można go rozpoznać. Zmierzył przybysza uważnym spojrzeniem – i na usta wypłynął mu uśmiech.

– Witajcie, señor! Dojrzeliście zaiste nad podziw! – brzmiały jego pierwsze słowa. – Kiedym was widział ostatnio, był z was chudy obdarty drań, nic tylko broda i włosy, a teraz, ho, ho! Jak widzicie, dobrze was pamiętam, ale wasze nazwisko całkiem wypadło mi z głowy. Zdaje się, że przypominało nazwę któregoś pięknego miasta?

– Zgadza się, señor – odrzekł Jonasz. – Nazywam się Toledano. – Trudno byłoby w tych okolicznościach udawać Ramóna Callicó.

– Tak, na mą duszę! Toledano!

– A na imię mam Jonasz. Miło was znów widzieć, señor.

– Gdzież teraz mieszkacie?

– W Guadalajarze. – Nie chciał, by ktokolwiek łączył jego prawdziwe nazwisko z Saragossą. Ku jego skrytemu żalowi młoda kobieta chwyciła wiadro i umknęła. Zbrojni w motyki mężczyźni, widząc domniemanego intruza w tak dobrej komitywie z Benzaquenem, podeszli do nich już teraz spokojnym krokiem.

– Pozwólcie, señor Toledano, że przedstawię wam naszych ludzi – powiedział Micheasz. – Oto Pedro Abulafin, Dawid Vidal i Durante Chazan Halevi. A ci – uzupełnił, gdy zbliżyła się druga grupa – to Joachim Chacon, Aser de Segarra, José Diaz i Fineas ben Portal.

Niedoszli napastnicy troskliwie zajęli się koniem Jonasza, a on sam znalazł się po chwili w gościnnym domu Micheasza Benzaquena. Lea Chazan, siwowłosa żona gospodarza, żywe

uosobienie wszystkich najlepszych cech hiszpańskiej matki, przygotowała zaraz miskę ciepłej wody i wręczywszy gościowi kawałek czystego płótna, zaprowadziła go do stodoły, by mógł spokojnie odświeżyć się po podróży. Kiedy wrócił do domu, zaczynało tam już pachnieć pieczonym jagnięciem, gospodarz zaś czekał z gąsiorkiem koniaku.

– Goście to u nas niebywała rzadkość – zauważył z uśmiechem. – Koniecznie trzeba to uczcić. *Salud!* Wasze zdrowie!

– I wasze, señor.

– Nie jesteście już teraz ubogim pasterzem – powtórzył Micheasz Benzaquen. Drogie ubranie Jonasza, jego siwy arab, piękny i niewątpliwie cenny miecz musiały na nim zrobić wrażenie.

– Ano nie. Zostałem medykiem.

– Medykiem? Ha, to doskonale!

Przy wybornym posiłku, który wkrótce podała jego żona, zaczął opowiadać gościowi o losach obecnych mieszkańców wioski po ich nagłej ucieczce z Grenady.

– Wyruszyliśmy w trzydzieści osiem wozów do Pampeluny, która jak pewnie wiecie, jest stolicą Nawarry. Aby tam dotrzeć, musieliśmy przemierzyć wzdłuż cały kraj. Straszna to była podróż! Niemiłosiernie długa, a jak uciążliwa! W Pampelunie mieszkaliśmy dwa lata. Kilkoro spośród naszych zawarło tam związki małżeńskie. Inés Denia... – zawahał się lekko na wspomnienie ostatniej, niezbyt miłej rozmowy z obecnym współbiedniakiem – Inés Denia wyszła wtedy za mąż za pewnego cieślę, Isadora Sabinę.

Uporawszy się w ten sposób z najtrudniejszą częścią opowieści, pociągnął łyk koniaku i mówił dalej:

– Niestety, dobre czasy rychło się skończyły. W miesiącu nisan wybuchła epidemia straszliwej gorączki połączonej z krwawą biegunką. Ludzie padali jak muchy. Co piąty spośród naszych

rozstał się z życiem. Wśród nich prawie cała rodzina Saadiego. On był pierwszy, Zulejka Denia zmarła ledwie w godzinę po nim. Wkrótce rozchorowała się Felipa, na koniec zaś Inés i jej mąż... Byli trzeci miesiąc po ślubie...

– „Przez was to wszystko, jeżeli szemrać mieszkańcy Pampeluny, to wyście przywlekli tu śmierć” – ciągnął Micheasz. – Cóż, obwiniano o to każdego przybysza. Zaraza tymczasem zbierała z dnia na dzień coraz większe żniwo. Wiedzieliśmy, że trzeba uciekać, inaczej wszyscy pomrzemy. Po długich a ciężkich dyskusjach zapadła decyzja: jedziemy do Francji. Do Tuluzy. Nie wszyscy zgadzali się z tą decyzją, ja zaś przeciwstawiłem się jej najmocniej. Ludzie, mówiłem, wszędzie, tylko nie do Tuluzy! Mało to w dawnych wiekach było tam pogromów? Od Francji dzielą nas ponadto Pireneje. Jak przez takie góry przeprowadzić nasze ciężkie wozy?

– Zakrzyczano mnie, mówiąc, że do Tuluzy przybędziemy nie jako żydzi, ale prawi katolicy, a przejście przez góry nie będzie znów takie trudne. W podgórskiej wiosce Jaca mieszkają doświadczeni przewodnicy, nowi chrześcijanie jak i my, którzy bezpiecznie przeprowadzą nas na drugą stronę. W ostateczności zostawimy wozy, a wszystko co cenne poniosą juczne zwierzęta. Tak postanowiono, ruszyliśmy więc w stronę Pirenejów.

– A jak znaleźliście tę dolinę? – spytał zaciekawiony Jonasz.

– Czystym przypadkiem – uśmiechnął się Micheasz. – Gdyśmy już wkroczyli na górskie szlaki, trudno było nieraz znaleźć dobre miejsce na nocleg dla tylu ludzi. Sypialiśmy wtedy na wozach ustawionych rzędem na szlaku. No i kiedyś jeden z moich koni uwolnił się z pęt, przekłęta bestia, i gdzieś sobie powędrował. Skrzyknąłem czterech ludzi, bo cenny to był koń, i poszliśmy go szukać. Idąc po końskich śladach, trafiliśmy na kamienną ścieżkę podobną do bitego traktu. Biegła w dół wzdłuż strumienia. Ona to doprowadziła nas do tej

dolinki. Był tu mój koń, nażarty po same uszy, bo trawa rosła tu przednia. Była też dobra woda. Od razu przyszło nam na myśl, że warto byłoby wszystkich sprowadzić tu na odpoczynek. Z wozami poszło nam dość gładko. Wystarczyło odtoczyć na bok kilka głązów i chyba w dwóch miejscach trochę poszerzyć ścieżkę.

– I co? Postanowiliście od razu tu zostać?

– Z początku chcieliśmy tylko odpocząć ze cztery, pięć dni... Okazało się jednak, że wielu uzekło piękno tej doliny i jej żyzna ziemia. No i położenie... To była rzecz wielkiej wagi! Najbliższa wioska, Jaca, o której wam wspominałem, leży w odległości dwóch dni drogi na wschód, i to jak uciążliwej, a i tam rzadko kto zagląda. Najbliższe miasto, Huesca, jeszcze dalej: trzy dni na południowy wschód, a skoroście stamtąd przybyli, to sami wiecie, że to nie bity gościniec. Niektórzy zaczęli mówić, że można by tu mieszkać jak u Pana Boga za piecem. Na takie odludzie nie zajrzy żaden żołnierz ani inkwizytor.

– Wszyscy się tu osiedlili?

– Nie – odrzekł Benzaquen. – Znowu zaczęły się spory. Z dwudziestu sześciu rodzin, bo tyle wyruszyło z Pampeluny, siedemnaście postanowiło zostać, reszta obstawała dalej przy Tuluzie. Cóż, każdy ma swoje racje... Chcą jechać, niech jadą. Wyprowadzić wozy na górę było już znacznie trudniej. Wszyscy stanęli do pomocy, a i tak zajęło nam to wiele godzin, od rana do popołudnia. Uściskaliśmy ich na pożegnanie, nie zabrakło też paru łez, no i pojechali...

Wśród osiedleńców przeważali kupcy, wieśniaków było tylko czterech. Podczas całej podróży, najpierw do Pampeluny, a później do Pradogrande, trzymali się na uboczu, zdając się we wszystkim na swych towarzyszy jako lepiej wykształconych i bardziej obytych w świecie. W dolinie role się odwróciły. Teraz ci, co umieli uprawiać

ziemię, zostali przywódcami całej grupy. To oni wyznaczyli miejsca pod pola, decydując od razu, co na nich zasiać, a że całą dolinę porastała bujna wysoka trawa, zaczęto ją nazywać „Pradogrande” – „Wysoka łąka”.

Wybrani przedstawiciele wszystkich rodzin wymierzyli siedemnaście równych działek gruntu, opatrując je numerami, by następnie dokonać losowania. Przy uprawie ziemi i zbiorach postanowiono pracować wspólnie, przy czym kolejność rozpoczynania robót miała się wciąż zmieniać. Pole, które w danym roku zostało zaorane jako pierwsze, w następnym przechodziło na koniec kolejki. W ten sposób każdy właściciel ziemi kolejno korzystał z przywileju pierwszeństwa, co oznaczało zarazem, iż żaden nie zdobywał go sobie na stałe. Czterej wieśniacy wyznaczyli też miejsca pod budowę domów, uważając, by w każdym dość było słońca i cienia i aby każdy stał dość blisko wody. Wznoszono je po kolei, przy czym tu także obowiązywała zasada wspólnego działania. Budulca było pod dostatkiem: na okolicznych zboczach i w potoku leżało mnóstwo głazów i odłamków skalnych, z których powstawały solidne, trwałe konstrukcje, zdolne oprzeć się wichrom i zimie. Tam gdzie teren na to pozwalał, stajnie i stodoły przylegały do domów, w miejscach bardziej pochyłych budowano je niżej.

Przed pierwszą zimą udało się postawić trzy domy, gdzie zaraz też zakwaterowano wszystkie kobiety i dzieci; mężczyźni koczowali nadal w swych furgonach. Budowę całej wioski wraz z kościołem ukończono dopiero po pięciu latach.

Czterej wieśniacy wzięli również na siebie obowiązek zaopatrzenia wioski we wszystko co niezbędne do uprawy ziemi i hodowli.

– Pojechali najpierw do Jaki – opowiadał Benzaquen – ale to malutka wioska i niewiele tam można kupić. Dopiero z Hueski

przywieźli więcej dobrego bydła, ziarna, narzędzi i sadzonek drzew owocowych. Dokupili też kóz i owiec, do tego trochę świń i warchlaków, kobiety zaś dostały kury i gęsi do chowu. Nie od razu wszystko szło nam gładko. Byli wśród nas, chwala Bogu, rymarz i stolarz, ale większość do tej pory parała się tylko kupiectwem. Musieliśmy zmienić wszystkie swe przyzwyczajenia, wiecie, jak to jest... Z początku ciężko nam było nagiąć kark do orki i dźwigania gładów, ale gdy duch silny, wszystkiego się człek nauczy, a my bardzośmy tego chcieli. Jesteśmy tu jedenaście lat i mamy się z czego cieszyć. Pięknie nam rodzą pola i sady – zakończył z nie tajoną dumą.

– Dokonaliście wielkich rzeczy – przytaknął Jonasz ze szczerym uznaniem.

– Dziś już za późno, ale jutro oprowadzę was po dolinie, sami zobaczycie.

Jonasz z roztargnieniem skinął głową – myślał o czym innym:

– Ta kobieta, Adriana... Jej mąż też uprawia rolę?

– Uprawiał, jak my wszyscy, ale już tego nie robi, bo mu się zmarło – odrzekł Micheasz, częstując gościa kolejnym kawałkiem jagnięcego combra.

– Ten medyk powiada, że mnie pamięta. Dziwne, bo ja go wcale – zwierzyła się Adriana swemu ojcu. – A ty?

– Ja też nie – odrzekł – ale czy ja wiem? Mogłem go kiedyś widzieć u twojego dziadka. Izaak znał wielu ludzi.

Wydawało jej się rzeczą osobliwą, że ten obcy przybysz może wiedzieć o niej coś takiego, czego ona sama nie pamięta. Próbowwała przypomnieć sobie dzieciństwo, ale było to jak oglądanie krajobrazu ze szczytu wysokiej góry: wyraźnie widać tylko to co bliskie, reszta zasnuta jest mgłą, im dalej, tym gęstsza. Z Grenady nie pozostał jej żaden obraz, z Pampeluny zaledwie kilka. Jej pierwsze prawdziwe

wspomnienia zaczynały się od długiej podróży wozem. Wozów tych było wiele, wszystkie osłonięte płachtami od słońca. Panował tak straszny upał, że podróżowali tylko rano i późnym popołudniem, w środku dnia każdy woźnica starał się znaleźć bodaj skrawek cienia. Skulona w tyle dusznego furgonu, cóż mogła widzieć? Pamiętała tylko ciągłe podskakiwanie kół na wybojach, skrzypienie rzemiennej uprząży i odgłos mozolnych końskich kroków, duszący kurz, który zgrzytał w zębach, i zalatujący świeżą trawą zapach końskiego łajna pozostawianego na drodze przez ciężko strudzone zwierzęta.

Miała wtedy ledwie osiem lat i właśnie straciła najbliższych – matkę, ukochaną ciotkę i dziadków. Czuła się bez nich tak strasznie samotna! Ojciec nie był zły, okazywał jej nawet czułość, gdy sobie o tym przypominał, lecz zdarzało się to dosyć rzadko. Pograżony we własnym bólu, godzinami milczał, ślepy i głuchy na wszystko, co działo się dookoła. Droga przez góry utrwałała się w jej pamięci strzępami niejasnych obrazów. Pewnego dnia znaleźli się w tej dolinie i... bardzo się ucieszyła, że nie musi już siedzieć w wozie.

Joachim Chacon, który kiedyś handlował jedwabiem, w pierwszych latach pobytu w Pradogrande pracował przy budowie domów. Nauczył się z czasem doskonale obrabiać kamienie i wznosić z nich solidne mury. Mimo to własnego domu doczekał się dopiero po pięciu latach, pierwszeństwo miały bowiem liczniejsze rodziny. Oboje z Adrianą przez cały ten czas pomieszkiwali kątem u innych. Ich dom był też najmniejszy ze wszystkich, ale jej wydawał się najpiękniejszy. Cóż to była za radość, kiedy wreszcie poszli na swoje! Skończyła wtedy trzynaście lat i był to najszcześniejszy jej rok w Pradogrande. Dumna ze swej roli pani domu, starała się jak najlepiej wygodzić ojcu, śpiewając z radości od rana do nocy. W tym właśnie roku zaczęły jej



rosnąć piersi; było to trochę straszne, choć przecież całkiem naturalne – wszystko w dolinie rosło i kwitło. Wiedziała już zresztą, że w kobiecym ciele zachodzą zmiany. Dwa lata wcześniej, kiedy po raz pierwszy zaczęła krwawić, Leona Patras, żona Abrama Montelvana, zastąpiła jej matkę, tłumacząc, dlaczego tak się dzieje i w jaki sposób troszczyć się o siebie w tych dniach.

W następnym roku do Pradogrande zawitała śmierć: zmarł Carlos de Sagan na jakąś płucną gorączkę. Po trzech miesiącach Joachim Chacon oznajmił córce, że zamierza poślubić wdowę po Carlosie, Sanchę Portal. Mężczyźni uważają, wyjaśnił, że szukanie żon poza wioską byłoby niebezpieczne, a w nadchodzących latach potrzebna będzie każda para rąk... Warunkiem pomyślności dla całego Pradogrande są liczne rodziny, dlatego wszyscy dorośli bez pary mają obowiązek żenić się jak najszybciej, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Tak postanowiono.

Sancha Portal przyjęła oświadczyzny, a że była wciąż jeszcze urodziwą i pełną wigoru niewiastą, Joachim bardziej niż chętnie przystąpił do spełnienia swego obowiązku. Powiadomił córkę, że zamierza przeprowadzić się do przyszłej żony, która jak wiadomo, ma pięcioro dzieci, więc w domu jest bardzo ciasno i dla Adriany nie ma tam już miejsca. Zapewnił ją zarazem, że nie będzie się czuła samotna; nowa rodzina pragnie gościć ją przy wspólnym stole we wszystkie niedziele i święta.

Kiedy tylko pośrodku doliny stanął kościół, a po nim plebania, Joachim wraz z kilkoma towarzyszami udał się do Hueski z prośbą o wyznaczenie kapłana dla nowo powstałej osady. Wrócili wraz z cichym, czarno ubranym duchownym. Ojciec Pedro Serafino pozostał w wiosce tylko parę dni, lecz zdążył w tym czasie udzielić ślubu Joachimowi i Sanchy, a po powrocie do Hueski zameldował swoim zwierzchnikom o nowym kościółku i miłej a pustej

księżówce. Po kilku miesiącach zjawił się znów w Pradogrande, oznajmiając mieszkańcom osady, że przybywa tym razem już jako ich stały duszpasterz.

Osadnicy przyjęli go z wielką atencją; z zapałem godnym najgorliwszych katolików wszyscy uczestniczyli w niedzielnej mszy.

– Teraz już nic nam nie grozi – powiedział Joachim córce – gdyby nawet inkwizycja przysłała tu swoich szpiegów. Niech sobie patrzą! Jak zobaczą nasz kościół i księdza, będą musieli przyznać, że Pradogrande to wioska prawdziwych chrześcijan!

Kiedy ojciec przeniósł się do Sanchy, Adriana wcale nie poczuła się osierocona, przeciwnie, przekonała się nawet, że dobrze jest mieszkać samej. Łatwiej było teraz utrzymać porządek w domu, mogła więc bardziej poświęcić się innym obowiązkom, a miała ich tyle, że dzień mijał nie wiadomo kiedy. Starła się pomóc nowej rodzinie ojca, piekąc chleb, hodując warzywa, sprzedając wełnę z ojcowskich owiec. Z początku wszyscy mieszkańcy doliny, tak mężczyźni, jak i kobiety, uśmiechali się do niej życzliwie, ale potem zaczęło się to zmieniać – kiedy z dziecka stała się kobietą. Za dużo męskich spojrzeń przyciągała jej smukła, lecz bardzo kobieca postać i pięknie uformowane, choć niezbyt obfite piersi. Niektóre żony zaczęły traktować ją oziębło, a ich uwagi stały się niezmiernie uszczypliwe. Rozumiała, czemu tak się dzieje, choć jej wiedza o sprawach płci kończyła się na tym, co czasami widziała u zwierząt. Domyślała się, że u ludzi musi wyglądać to jakoś inaczej, ale jak?... Nie miała nikogo, kto by jej mógł wyjaśnić, jak to jest, gdy niewiasta oddaje się mężczyźnie.

Jedyna życzliwa dusza, Leona Patras, tej wiosny ciężko zapadła na zdrowiu. Adriana starała się jej ulżyć, jak tylko mogła: nacierała klatkę piersiową chorej kamforą i gęsim tłuszczem, obstawiała łóżko garnkami z parującą wodą, aby łatwiej było jej oddychać, gotowała

posiłki mężowi Leony, choć ten stary burkliwy mężczyzna potrafił być bardzo niemiły. Niestety, chora czuła się coraz gorzej, nękana wzmagającym się z dnia na dzień kaszlem... Zmarła pod koniec wiosny. Ta śmierć sprawiła Adrianie wielki ból: odeszła jedyna kobieta, która okazywała jej czułość. Pomogła umyć zwłoki zmarłej przyjaciółki, wysprzątała cały dom żałoby, zaopatrzyła wdowca w jedzenie i to ona wylała najwięcej łez, gdy składano ciało do mogiły.

Lato owego roku było wyjątkowo piękne. Wśród drzew i w bujnie wyrosłych trawach śpiewały cudownie kolorowe ptaki, powietrze przesycone odurzającym aromatem kwiatów przyprawiało o zawrót głowy. Były dni, kiedy z tego wszystkiego chodziła jak błędna, nie bardzo słysząc, co się do niej mówi, toteż gdy ojciec oznajmił jej pewnego wieczoru, że ma poślubić Abrama Montelvana, małżonka zmarłej Leony, była pewna, że się przesłyszała.

Ojciec wiedział przecież doskonale, jakim nieznośnym człowiekiem jest ten wyłupiastooki, cuchnący kwaśnym potem staruch! Czekał na własny dom, na tyle długo mieszkali u niego kątem, że zdążyli zasmakować różnych jego przywar, w tym zwłaszcza wiecznego niezadowolenia i wściekłych wybuchów złości. I takiego człowieka ojciec każe jej poślubić?!

– Tak – oświadczył Joachim Chacon. – Nikogo innego tu dla ciebie nie ma. Pomyśl no trochę, dziewczyno! W dolinie mieszka siedemnaście rodzin, wliczając w to ciebie i mnie, nie masz więc wyboru. Wszyscy dorośli mężczyźni są już od dawna żonaci. Musiałabyś czekać, aż któryś znów owdowieje.

– Poczekam! – krzyknęła z rozpaczą.

– Nie – twardo powiedział jej ojciec. – Masz obowiązek wyjść za mąż i urodzić dzieci. Okryjesz mnie hańbą, jeśli się sprzeciwisz.

Podczas ceremonii ślubnej oblubieniec zachowywał się w taki sposób, jakby to nie on się żenił. Nie tylko nie odzywał się do przyszłej żony, lecz nawet na nią nie spojrzął. Mimo to wesele było bardzo huczne: odbywało się w trzech różnych domach, a stoły uginały się od jadła. Podano aż trzy gatunki pieczonego mięsa: z wiosennych jagniąt, z młodych koziołków i dziesiątków tegorocznych kurcząt. Pito i tańczono do białego rana. Państwo młodzi kolejno odwiedzili wszystkie trzy domy, kończąc weselny wieczór u Joachima i Sanchy, gdzie od razu przysiadł się do nich ojciec Serafino. Dzierżąc w ręku szklaneczkę szlachetnego trunku, jał długo i bardzo obszernie pouczać ich o świętości sakramentu małżeństwa i o obowiązkach chrześcijańskiej żony.

Gdy pośród śmiechów i głośnych wiwatów nareszcie wstali od stołu, nowo poślubiony małżonek tak kiepsko trzymał się na nogach, że ledwo doszedł do wozu.

Kładąc się do łóżka zmarłej przyjaciółki, Adriana była przerażona, lecz zrezygnowana: trudno, niech się dzieje, co chce. A to, co się działo, było okropne. Stary Abram Montelvan miał tak brzydkie ciało – chude ręce i zapadniętą klatkę piersiową, przy której jego obwisły brzuch wydawał się jeszcze większy! Kazał jej rozłożyć nogi, stawiając przy łóżku zapaloną lampę, żeby lepiej widzieć jej nagość. Przekonała się wkrótce, że to, co widziała u koni i owiec, ludziom przychodzi trudniej: ani rusz nie mógł jej przeniknąć tym miękkim kawałkiem ciała. Trykał ją niczym kozioł pozbawiony rogów, dysząc jej w usta smrodliwym oddechem, i kłął raz po raz jak szewc. Odetchnęła, kiedy w końcu dał za wygraną, stoczył się z niej i zasnął. Zostawił zapaloną lampę, więc wstała, żeby ją zgasić, a powróciwszy do łóżka, położyła się na samym brzegu – byle go tylko nie dotknąć.

Rankiem niestety znowu próbował ją posiąść, stękając i złorzecząc z wysiłku, lecz skończyło się na tym, że tylko oblał jej uda strumyczkiem jakiejś lepkiej cieczy. Przejęło ją to obrzydzeniem, a musiała czekać, aż wyjdzie z domu, by oczyścić się z tego paskudztwa.

Tak jak się obawiała, Abram Montelvan okazał się okropnym mężem. Od razu pierwszego dnia po ślubie zdzielił ją pięścią na odlew, wrzeszcząc: „I to ma być jajecznicą!”, po południu zaś oznajmił, że na jutro zaprosił gości, i zażądał obiadu dla dziewięciu osób. I żeby to było dobre jedzenie, a nie jakieś świństwo! Miał to być obiad rodzinny z udziałem jej ojca i macochy, dorosłego pasierba i jego żony oraz trojga ich dzieci. Adriana uświadomiła sobie nagle, że dla tej trójki – Clary, Leonory i Joségo – jest teraz babką, choć sama ma dopiero czternaście lat. Żeby już o tym nie myśleć, zabrała się do roboty: zabiła i upiekła dwie kury, przygotowała warzywa, przyniosła świeżej wody, by do jutra ustała się w chłodzie. Goście potraktowali ją jak sługę; nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt przez parę godzin nie powiedział do niej ani słowa, nawet własny ojciec. Cały czas śmiał się tylko z głupich opowieści jej pasierba, Anselma Montelvana, jakie to ucieszne błazeństwa potrafią wyczyniać jego kozy!

Mąż nadal nastawał na nią w łóżku i w końcu po trzech tygodniach wreszcie dopiął swego. Westchnęła z bólu, gdy w nią wtargnął, słuchając ze zgrozą i wstrętem jego zwycięskich pomruków. Na szczęście wycofał się szybko, aby wyrwać spod niej prześcieradło z małą plamką krwi. Komuż to chciał dowieść tej swojej wątpliwej męskości?

Pomyślała później, że chyba sobie, bo przez dłuższy czas nie ponawiał już takich prób, uznawszy pewnie, że skoro raz dokonał bohaterskiego wyczynu, nie musi go więcej powtarzać. Gdybyż to

całkiem chciał jej dać spokój! Niestety. Często budziła się rankiem, czując między nogami jego obmierzłą łapę. Nie pojmowała, o co mu chodzi, bo na pewno nie były to pieszczoty. Za dnia albo wcale jej nie dostrzegał, albo zaczynał bić. Jego ręce, choć usiane starczymi plamami, były bardzo silne, a pięści twarde jak skała.

Pewnego razu, kiedy trochę przypaliła chleb, wysmagał ją batem po nogach.

– Nie bij mnie, Abramie, przestań, to boli! – krzyknęła z płaczem.

Nie odpowiedział. Bił ją dalej, mocno i zawzięcie. Słyszała, jak nabiera oddechu za każdym uderzeniem bata.

Jej ojcu powiedział, że musi ją bić, bo ma z nią same utrapienia. Złej kobiety nie da się inaczej nauczyć rozumu.

– Przestań być upartym dzieckiem – upomniął ją ojciec. – Naucz się być dobrą żoną, taką jak twoja matka.

Nie patrząc mu w oczy obiecała, że się poprawi.

Starła się naprawdę dogodzić temu człowiekowi. Kiedy nauczyła się już gotować, tak jak sobie życzył, nie zaprzestał bicia, choć czynił to teraz trochę rzadziej, a humory z każdym miesiącem miewał coraz gorsze. Nękały go różne dolegliwości, co jeszcze pogarszało sprawę. Pewnie nadwerężył sobie krzyże, bo trudno mu się było położyć, chodząc zaś wciąż sykał z bólu. Już przedtem nie odznaczał się nadmiarem cierpliwości, a teraz nie miał jej wcale.

Pewnego wieczoru – byli wtedy ponad rok po ślubie – nalewając mu wody przed kolacją, niechcący wylała na stół kilka kropel – i to wystarczyło. Wstał i uderzył ją kułakiem w pierś. Nim zdążyła pomyśleć, co robi, dwukrotnie trzasnęła go w gębę, i to tak mocno, że zwałił się na krzesło.

– Nigdy więcej nie waż się mnie dotknąć – powiedziała twardo. – Nigdy więcej.

Najpierw zupełnie zbaraniał, potem zaczął płakać, ze złości i upokorzenia.

– Słyszałeś?

Odpowiedzi nie było, lecz Adriana zrozumiała wtedy, że ten niegodziwy staruch jest zarazem słaby i głupi. A znęcał się nad nią dlatego, że dała mu się zastraszyć.

Zostawiła go na krześle i poszła na górę. Po chwili przyszedł i on. Rozebrał się po ciemku i bardzo ostrożnie wgramolił do łóżka. Tym razem to on położył się na samym brzegu – jak najdalej od niej.

Przekonana, że opowie o wszystkim ojcu albo księdzu i zażąda dla niej srogiej kary, z rezygnacją czekała na ich wyrok. Mogła to być chłosta, jeżeli nie coś gorszego... Ku jej zdziwieniu nic się nie stało, nikt nie powiedział jej złego słowa. W końcu i to zrozumiała: ten tchórzliwy staruch wstydził się przyznać, że oberwał w gębę od kobiety. Wolał udawać starego lwa, który ciągle jeszcze ma dość siły, by utrzymać w garści młodą żonę.

Od tej pory nocowała na podłodze w kuchni. Za dnia nadal bez szemrania wypełniała wszystkie obowiązki żony: pracowała w ogrodzie męża, gotowała mu jedzenie, prała odzież, dbała o ład w jego domu. Kilka dni przed drugą rocznicą ślubu zaczął kaszleć. Położył się do łóżka i nigdy już z niego nie wstał. Pielęgnowała go dziewięć tygodni: poiła grzanym winem z kozim mlekiem, karmiła łyżką jak dziecko, wyносиła nocniki, wycierała mu tyłek, utrzymywała w czystości jego stare schorowane ciało. Kiedy umarł, ogarnęła ją niewysłowiona ulga. Po raz pierwszy, odkąd dorosła, poczuła prawdziwy spokój.

Przez prawie pół roku pozwolono jej żyć w spokoju, ale potem zjawił się znów ojciec, który powiadomił ją o decyzjach podjętych przez wszystkich mężczyzn w sprawie pozycji i uprawnień wdowy.

– Uchwalono, że właścicielem ziemi może być tylko mężczyzna, który wraz ze wszystkimi pracuje przy jej uprawie i zbiorach – oznajmił.

– Więc i ja będę pracować – odrzekła na to Adriana.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby była dzieckiem:

– Nie wiesz, jak ciężkiej pracy żąda się od mężczyzn. Nie dałabyś rady.

– Nauczę się ciężko pracować. Mogłeś ty przywyknąć, mogę i ja. Spójrz na mój ogród! Czy nie świadczy, że znam się na uprawie ziemi? W polu zrobię więcej niż mój zmarły mąż.

– Gdyby nawet – ojciec nadal uśmiechał się pobłaźliwie – to i tak nic z tego. Niezameżna niewiasta nie może posiadać gruntu. Skoro chcesz utrzymać działkę Abrama, musisz się zaręczyć, inaczej jego ziemia zostanie podzielona między wszystkich członków gminy.

– Nie chcę wychodzić za mąż! Nigdy więcej!

– Twój pasierb Anselmo chce utrzymać tę ziemię w rodzinie.

– Niby jak? Oświadczy mi się? Chce sobie wziąć drugą żonę?

Ojcu nie spodobał się jej ton, wciąż jednak starał się udawać wyrozumiałego rodzica:

– Proponuje ci zaręczyny ze swoim najstarszym synem.

– Dobrze sobie! Przecież José to jeszcze dziecko! Ma dopiero siedem lat!

– Do zaręczyn wystarczy. I do utrzymania ziemi. Nikogo innego tu dla ciebie nie ma – oświadczył ojciec, powtarzając ten sam argument, którym zmusił ją przedtem do ślubu z Abramem. – A zresztą – wzruszył ramionami – zaręczyny to jeszcze nie małżeństwo. Do tego jeszcze daleko. Kto wie, co się może zdarzyć przez tych parę lat? José może umrzeć, a może też z niego wyrosnąć całkiem udany młodzieniec. Wtedy sama będziesz go chciała.



Adriana nagle pojęła, że bardzo nie lubi ojca. Nigdy przedtem tak nie myślała, ale teraz... teraz zobaczyła całą jego małość. Zaczął szperać w jej koszu z warzywami i wyciągać co lepsze cebule.

– Zaniosę je Sanchy – oświadczył z promiennym uśmiechem – będzie uradowana. Mówi, że w całej wiosce nie ma takich cebul jak twoje.

Dzięki zaręczynom z malcem kupiła sobie dłuższy okres spokoju. Teraz od śmierci Abrama Montelvana minęły już trzecie żniwa. Przez cały ten czas życie w dolinie toczyło się bez większych zgrzytów. Każdej wiosny rzucano ziarno w żyzną ziemię, każdego lata koszone siano, a jesienią pszenicę – i wszystko było jak trzeba. Mężczyźni nie narzekali, co najwyżej czasami któryś mruknął coś gniewnie pod nosem. Z kobietami bywało różnie. Adriana stała się znowu przedmiotem niechęci niektórych żon, kilku mężów pozwalało sobie bowiem już nie tylko ścigać ją wzrokiem, lecz i rzucić za nią nieraz słodkie słówko... Ale jej nie w głowie byli mężczyźni. Zbyt dobrze pamiętała Montelvana i to, co przeżyła z nim w łóżku. Na zaczepki nauczyła się odpowiadać ciętym żartem i uśmieszkiem politowania: cóż za głupcy!

Czasami widywała swojego „narzeczonego”. Był to nawet dosyć ładny chłopiec z czarną kędzierzawą główką, malutki jak na swoje lata. Miał ich teraz dziesięć, a ciągle wyglądał jak berbec. W jakim wieku taki chłopak może stać się zdolny do małżeństwa? Przypuszczała, że musi mieć przynajmniej ze czternaście lat, więc na razie czuła się bezpieczna.

Kiedyś zauważyła, że cieknie mu z nosa.

– Nie wolno ci, mój panie, chodzić z takim smarkiem – powiedziała surowo, wycierając nosek zdumionemu dziecku. – Musisz mi obiecać, że już nigdy się to nie powtórzy. – Roześmiała się w głos, kiedy umknął jak spłoszony zając.

Rzadko teraz chciało jej się śmiać. Czuła w sobie osobliwy chłód, jakby nieświadomie połknęła bryłkę lodu, która zamiast stopnieć, zaczęła się nagle rozrastać zupełnie jak niechciane dziecko. Dolina, która kiedyś była dla niej całym światem, stała się więzieniem. Uciec nie miała dokąd, ale coraz częściej nachodziła ją pokusa, żeby ruszyć przed siebie... w góry... iść coraz wyżej i wyżej aż do utraty sił... Powstrzymywała ją od tego jedynie myśl, że mogłyby ją tam pożreć jakieś dzikie bestie. Sama śmierć nie wydawała jej się straszna, bo i cóż dobrego mogło czekać ją na tym świecie? Czyż nie przekonała się na własnej skórze, że szaleństwem jest spodziewać się od losu bodaj odrobiny szczęścia?

Tego popołudnia, kiedy z lasu wyłonił się nagle nieznajomy jeździec, najchętniej byłaby uciekła, bo w tej zardzewiałej kolczudze, z błyszczącym mieczem u pasa wydał jej się jakimś przeklętym rycerzem, z tych, którzy zawsze przynoszą ze sobą nieszczęście. Toteż wcale się nie ucieszyła, gdy nazajutrz zjawił się Benzaquen z uniżoną prośbą, by oprowadziła gościa po dolinie.

– Sam miałem mu towarzyszyć, ale moje owce na gwałt zaczęły się kocić, a niektórym będę musiał pomóc.

Nie wypadało odmówić. Micheasz powiedział jej wtedy, że ów przybysz jest medykiem z Guadalajary, że poznał go jeszcze w Grenadzie, po czym zaczął opowiadać, jak to było...

## **Rozdział 39**

### ***Medyk w Pradogrande***

Po dobrze przespanej nocy w stodole Micheasza Benzaquena Jonasz zakradł się cichcem do kuchni, wyjął z pieca parę żarzących się węgli i pobiegł z nimi nad strumień. Nie chcąc sprawiać kłopotu Lei, rozpalił nad brzegiem ognisko i zaczął gotować polewkę

z resztek suszonego grochu, który jeszcze pozostał mu w jukach. Był już po śniadaniu, gdy zjawiła się Adriana Chacon, mówiąc, że to ona, a nie Micheasz oprowadzi go dzisiaj po wiosce.

– Nie, señor, koń wam nie będzie potrzebny – powstrzymała go, widząc, że zamierza osiodłać swojego pięknego wierzchowca. – Pokażę wam dzisiaj wschodni kawałek doliny, gdzie lepiej pójść pieszo. Może jutro z kimś innym pojedziecie dalej.

Wciąż jeszcze zdumiewało go jej podobieństwo do Inés, choć przyglądając się baczniej tej młodej kobiecie, dostrzegł też pewne różnice. Była wyższa od swojej ciotki i szersza w ramionach, a mniej pełna w biuście. Przyjemnie było patrzeć na jej smukłą postać o pięknie zaokrąglonych biodrach, rysujących się tak wdzięcznie pod szarą bawełnianą suknią. Zauważył to w chwili, kiedy z nieświadomą gracją szła w jego stronę. Miał wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy ze swojej urody, a przecież była tak piękna! I zarazem tak pozbawiona wszelkiej kokieterii.

Wziął od niej koszyk schludnie przykryty białą serwetką i ruszyli ku wschodniej stronie doliny. Mijając pole, gdzie uwijało się chyba z pół tuzina mężczyzn, podniosła rękę w pozdrowieniu, nie zatrzymała się jednak, by dokonać prezentacji – widocznie nie chciała przeszkadzać im w pracy.

– Ten, co wydziela ziarno do siewu, to mój ojciec, Joachim Chacon.

– Ach tak, poznałem go wczoraj. Był wśród tych, co pędzili wam na ratunek – zauważył z uśmiechem.

– Pytałam go o was, señor, ale on was też nie pamięta.

– Nie może mnie pamiętać, bo nie było go wtedy w Grenadzie. Mówiono mi, że pojechał gdzieś na południe po jedwab.

– A mnie mówił Micheasz Benzaquen, żeście chcieli poślubić moją ciotkę.

Przeklęty plotkarz, zachnął się w duchu Jonasz, zaraz jednak przywołał się do porządku: przecież sobie tego nie wymyślił, tak było.

– To prawda, chciałem poślubić Inés. Micheasz Benzaquen, który jak wiecie, señora, był bliskim przyjacielem waszego dziadka, posłużył mu za pośrednika. Miał się wywiedzieć, czy rokuje jakieś nadzieje na przyszłość... Byłem wtedy młody i bardzo ubogi, a moje widoki na fortunę przedstawiały się dosyć kiepsko. Chciałem, aby wasz dziadek wyuczył mnie handlu jedwabiem, ale Micheasz oświadczył, że Izaak ma już zięcia, który jest z nim w spółce, Inés zaś musi poślubić człowieka z pozycją, najlepiej kupca lub mistrza w jakimś intratnym rzemiośle. Powiedział mi bez ogródek, że jego przyjaciel, Izaak Saadi, nie potrzebuje zięcia bez pieniędzy, któremu by musiał pomagać, no i tak to się skończyło.

– I co, ciężko wam było to znieść? – Zabrzmiało to trochę żartobliwie. Pewnie uważała, że po tylu latach ów młodzieńczy zawód nie jest już taki straszny.

– O, bardzo ciężko – wyznał. – Bolała mnie zarówno utrata Inés, jak i was, señora. Bo równie mocno jak Inés oczarowała mnie jej mała siostrzeniczka. Kiedyście wyjechali, znalazłem waszą zabawkę, taki gładki czerwony kamyk. Wziąłem go na pamiątkę i nosiłem przy sobie chyba ponad rok, póki gdzieś się nie zawieruszył.

Obrzuciła go szybkim spojzeniem.

– To prawda?

– Najprawdziwsza. Wielka szkoda, że Izaak nie przyjął mnie do rodziny, że nie zostałem wujem małej Adriany. Mógłbym patrzeć, jak rośnie, uczyć ją różnych pożytecznych rzeczy...

– Albo umrzeć wraz z Inés w Pampelunie.

– O, señora, jakaż z was trzeźwo myśląca kobieta! To prawda, mogło się tak zdarzyć.

Już od dobrej chwili czuć było ciężki zwierzęcy fetor, a teraz znaleźli się u jego źródła. W błotnistym bajorze taplało się stado chrumkających wieprzy. Trochę dalej stała wędzarnia, skąd na widok gości wyszedł jej drobny, chuderlawy właściciel.

– To nasz najlepszy hodowca, Rudolfo Garcia – przedstawiła go Adriana.

– Słyszałem, że mamy gościa z dalekiego świata – uśmiechnął się grzecznie, uchylając starego kapelusza.

– Przeprowadziłam tu señora Toledana, żeby mu pokazać największą chlubę naszej doliny.

W wędzarni, gdzie z całego podstrzesza zwisały ogromne, ciemnego koloru szynki, gość został poinformowany, że tutejsze świnię karmione są głównie żołądziami, które zbiera się na górskich zboczach, a szynki Rudolfa to istne delicje!

– Naciera je mieszanką różnych ziół i ostrych przypraw – wyjaśniła Adriana – a potem powolutku wędzi w wonnym dymie. Mięso dzięki temu nabiera szczególnego smaku i sami spójrzcie, nie ma wcale tłuszczu. Nasz Rudolfo wszystko robi doskonale – dodała z uśmiechem – wystarczy popatrzeć na jego pole. – Na pobliskim zagonie w istocie strzelały już z ziemi zielone pszeniczne kielki. – Zboże rokrocznie najwcześniej wschodzi u niego.

– Zawdzięczam to tym zwierzakom – stwierdził Garcia. – Zawsze przed siewem przenoszę ich zagrodę w pole. Nic tak dobrze nie spulchnia ziemi jak świńskie racice i ryje, a ich łajno sprawia, że staje się tłusta i żyzna.

Pożegnawszy hodowcę, poszli dalej, trzymając się brzegu strumienia. Pola po pewnym czasie ustąpiły miejsca lasowi. Na skraju stał warsztat stolarski pachnący wiórami i świeżym drewnem. Właściciel, Jacob Orabuena, wyrabiał tu różne meble –

wyglądały na bardzo solidne – i drewniane narzędzia, a z odpadków wszelakie drobiazgi potrzebne mieszkańcom wioski.

– Drewna tu tyle, że mógłbym pracować od świtu do nocy – zwierzył się Jonaszowi – ale w tak małej osadzie zapotrzebowanie na moje wyroby jest bardzo skromne. A gdzie indziej też ich nie sprzedam. Za daleko trzeba by jechać, no i droga trudna. Pewnie, że parę wozów z towarem dałoby się wywieźć do Jaki czy do Hueski, ale gdyby moje meble lub szynki Rudolfa zyskały sobie klientów, zaczęliby tu przyjeżdżać, a tego nie chcemy. Dopóki mało kto wie o tej dolinie, dopóty jesteśmy bezpieczni. A ja jak nie mam roboty w warsztacie, pomagam w polu. – Zakończywszy tę opowieść, stolarz na chwilę zamilkł, po czym z pewnym zakłopotaniem zwrócił się do gościa: – Miałbym do was prośbę, señor. Señora Chacon powiada, że jesteście medykiem...

– A co, potrzebna wam pomoc?

– Moją matkę często boli głowa. Bardzo wtedy cierpi.

– Chętnie ją zbadam – odrzekł Jonasz, tknięty w tym momencie pewną myślą. – Powiedźcie matce i wszystkim, którym potrzebny jest medyk, że jutro rano będę przyjmował chorych w stodole Micheasza Benzaquena.

– Dziękuję, señor – uśmiechnął się stolarz. – Ja na pewno przyprowadzę matkę.

Trochę dalej natknęli się na miejsce, gdzie strumień tworzył małe rozlewisko. Ów cienisty zakątek był tak uroczy, że postanowili zatrzymać się na odpoczynek. Adriana wydobyła z kosza świeży chleb, kozi serek, zielone cebule i rodzyunki. Popili tę ucztę wodą ze strumienia, klęcząc na brzegu i czerpiąc ją w stulone dłonie. Tuż pod powierzchnią śmignął nagle spłoszony pstrąg, umykając w gęstwinę korzeni zwisających z podmytego brzegu.

– Istny raj na ziemi ta wasza dolina – westchnął Jonasz.

Jego towarzyska nic na to nie rzekła. Starannie wytrząsnęła z koszyka okruszki i wrzuciła je do stawu – dla rybek.

– Czas na sjęstę – oznajmiła krótko, sadowiąc się pod drzewem. Oparła głowę o pień i zamknęła oczy.

Poszedł za jej przykładem. Szum wody i świergot leśnego ptactwa szybko ukołysały go do snu. Zbudził się niebawem świeży i wypoczęty. Adriana jeszcze spała, mógł więc napatrzeć się jej do woli. Miała twarz Saadich: długi prosty nos, szerokie usta o niezbyt pełnych wargach i ruchliwych kącikach zdradzających każde jej uczucie. Takie same usta miała Inés. Był pewien, choć przecież jej nie znał, że ta młoda kobieta zdolna jest do wielkich namiętności, a jednak wydawała się tak obojętna wobec mężczyzn. Nie zauważył w niej nic z tego, czym niewiasta delikatnie daje znać mężczyźnie, że pozwala się do siebie zbliżyć... Ale może to dlatego, że jego osoba nie budzi w niej zainteresowania albo że wciąż jeszcze opłakuje męża. Przez krótką chwilę zazdrościł zmarłemu, chociaż było to zupełnie niedorzeczne. Znów pomyślał, że ma piękne ciało, smukłe, lecz zdrowe i silne. Doskonałe kości... To one decydują o wszystkim... Kiedy otworzyła oczy, poczuł się przyłapany.

– Możemy już iść?

– Chodźmy. – Wstał i podał jej rękę, pomagając się podnieść. Palce miała suche i chłodne.

Po południu obejrzeni stada kóz i owiec, a potem rozmawiali z człowiekiem, którego obowiązkiem było zbieranie kamieni przydatnych do budowy domów. Szukał ich w górskich strumieniach, brodząc po całych dniach w wodzie. Wszystkie te znaleziska piętrzyły się w jego obejściu niczym pamiątkowe kopce, czekając dnia, gdy ktoś z wioski zechce coś zbudować.

Oboje byli zmęczeni, kiedy późnym popołudniem Adriana odprowadziła go do domu Micheasza. Powiedzieli już sobie

do widzenia, gdy nagle zawróciła:

– Jeśli zechcecie, señor, to jutro, jak skończycie przyjmować pacjentów, chętnie pokażę wam resztę doliny.

Raz jeszcze podziękował jej za uprzejmość, dodając:

– Będę uszczęśliwiony, señora.

Pierwszą pacjentką, która pojawiła się już wczesnym rankiem, była kobieta z bólem zęba, niejaka Viola Valenci.

– To ząb oczny, panie medyku – jęknęła. – Boli jak wszyscy diabli!

Nic dziwnego, pomyślał Jonasz, kiedy otworzyła usta. Ząb utracił naturalną barwę, a otaczające go dziąsła były prawie białe.

– Żałuję, señora, że nie było mnie tu wcześniej – mruknął, wyjmując szczypce.

Ząb już dawno należało wyrwać. Teraz był tak zepsuty, że przy pierwszym pociągnięciu mógł rozlecieć się na kawałki. Tak też się stało. Usunięcie zgorzałych korzeni zajęło mu sporo czasu – musiał się upewnić, czy gdzieś w szczęce nie pozostał jakiś szczątek – lecz w końcu wszystkie kawałki legły u stóp pacjentki. Obolała, ale szczęśliwa poszła do domu, błogosławiąc go z całego serca.

Przed stodołą tymczasem zebrało się już kilku chorych. Ustawiwszy ich w kolejkę, Jonasz poradził oczekującym oddalić się trochę od wejścia – po co słuchać cudzych narzekań? – i poprosił do środka następną osobę. A pacjentów wciąż przybywało. Dolegliwości były rozmaite. Durand Chazan Halevi miał wrośnięty paznokieć u dużego palca i trzeba go było wyciąć, Aser de Segarra skarżył się na częste rozwolnienia.

– Nie mam przy sobie leków, señor Segarra, a do apteki stąd kawał drogi, nie martwcie się jednak – pocieszył chorego – spróbujemy temu zaradzić. Kiedy zakwitną róże, trzeba zebrać kubek płatków, zagotować je w wodzie z miodem, a gdy wywar



ostygnie, dodać do niego kurze jajko. Picie tego napoju powinno złagodzić wasze dolegliwości.

W południe zjawiała się Lea Chazan z chlebem i miską rosółu, za co był jej niewymownie wdzięczny, bo zaczynał już opadać z sił. Pokrzepiwszy się nieco, powrócił do pracy: przeciął i wyczyścił parę karbunkułów, kilku osobom z niestrawnością zalecił odpowiednią dietę, kilka innych wysłał za stodołę, aby przyjrzeć się ich urynie. W pewnej chwili wśród oczekujących zobaczył Adrianę. Kilkakrotnie spojrzała w jego stronę, lecz gdy następnym razem poszukał jej wzrokiem, zdążyła już zniknąć.

Następnego ranka przyjechała po niego na brunatnej klaczy imieniem Doña. Udali się najpierw do kościoła, gdzie został przedstawiony księdzu. Ojciec Serafino zdumiał się, słysząc, że gość przybył aż z Guadalajary.

– Ho, ho, szmat drogi!

Wiedząc z doświadczenia, że jedno kłamstwo nieuchronnie pociąga za sobą sto innych, Jonasz czym prędzej zmienił temat, mówiąc, jak bardzo podoba mu się kościół.

– Nieduży, lecz solidny i bardzo ładny – zauważył. – Czy ma już imię?

– Jeszcze nie – odrzekł ojciec Pedro. – Chodzi mi po głowie kilka świętych imion, lecz zanim podejmę decyzję, chcę poradzić się swoich wiernych. Z początku myślałem nazwać nasz kościół imieniem świętego Dominika, ale tyle już świątyń ma go za patrona! A co myślicie o Kosmie i Damianie?

– Czy to święci, ojcze? – spytała Adriana. – Jakoś nigdy o nich nie słyszałam.

– Nie, moje dziecko, jeszcze nie są świętymi, choć kiedyś pewnie nimi będą, bo to jedni z pierwszych męczenników. Byli bliźniaczymi braćmi, a przyszli na świat w Arabii. Obaj zostali

medykami ubogich. Leczyli ich bez zapłaty, uzdrowili też wielu chorych. Kiedy rzymski cesarz Dioklecjan, ogłosiwszy się bogiem, zaczął prześladować chrześcijan, zażądał od braci, by wyrzekli się swojej wiary, a gdy odmówili, rozkazał ich ściąć. Czyżby pewien medyk wziął ich sobie za przykład do naśladowania? – zapytał z uśmiechem, spoglądając na Jonasza. – Słyszałem dziś rano, że leczy chorych, nie biorąc zapłaty.

– W zwykłych okolicznościach nie wzdragam się przed zapłatą – zaprotestował Jonasz. Nie czuł się godny takiej pochwały, a już z całą pewnością nie chciał być wliczony w poczet męczenników. – Nie, ojcze, nie jestem święty, lecz przebywam tu jako gość, a czyz gościowi przystoi brać zapłatę od gospodarzy?

– Pomagając bezinteresownie bliźnim, spełniliście dobry uczynek – odrzekł ojciec Serafino tonem wykluczającym dalsze protesty. Żegnając gości, obdarzył oboje swym błogosławieństwem.

Pojechali w najdalszą część doliny, gdzie stały domy najlepszych hodowców owiec, lecz ku cichej radości Jonasza jego przewodniczka postanowiła je dzisiaj ominąć. Zatrzymali się na ocienionej łące w pobliżu strumienia, Jonasz zamierzał bowiem nałowić pstrągów i upiec je nad ogniskiem, gdy okazało się jednak, że Adriana wbrew jego prośbom przywiozła i tym razem trochę chleba i sera, zadowolili się tym skromnym posiłkiem, by zaraz potem znów sobie uciąć południową drzemkę.

Kiedy ocknął się po dłuższej chwili, wydawało mu się, że Adriana wciąż jeszcze śpi, a że dzień zrobił się gorący, poszedł nad strumień ochlapać sobie twarz zimną wodą. Nadbiegła zaraz po nim i uklękła obok. Oboje równocześnie nabrali wody w dłonie, a pijąc ją, spojrzeli sobie prosto w oczy. Natychmiast odwróciła głowę. W drodze powrotnej specjalnie pozwolił się trochę wyprzedzić, aby na nią patrzeć. Wspaniale siedziała w siodle. Plecy

miała proste jak struna, a przecież nie takie to łatwe, kiedy jeździ się po kobiecemu. Był pełen podziwu, że nawet w galopie doskonale utrzymuje równowagę. I jak pięknie wyglądały jej rozwiane wiatrem długie kasztanowe włosy...

Przed domem rozsiódł ją konia, dziękując za towarzystwo. Marudził trochę z odjazdem, nie doczekał się jednak zaproszenia do domu. Uśmiechnęła się tylko i skinęła głową. Odjechał pełen żalu.

Po powrocie do domu Benzaquena dowiedział się od Lei, że mężczyźni, a z nimi Micheasz, zaczęli właśnie kopać rów irygacyjny, by zasilić wodą ze strumienia część łąki, która w ubiegłym roku ucierpiała mocno od suszy. Pomagał im przez godzinę, dźwigając wiadra z wykopaną ziemią, którą rozsypywał potem we wskazanych miejscach, ale nawet ta ciężka praca nic mu nie pomogła. Nadal odczuwał jakieś dziwne rozdrażnienie, choć przecież nie było powodu...

Nazajutrz pierwszą jego myślą było zobaczyć Adrianę. Postanowił iść do niej natychmiast, lecz zanim zdążył się ubrać, w stodole pojawił się Micheasz z prośbą od wszystkich mieszkańców wioski. Czy mógłby im wskazać jakieś lecznicze zioła? Zostaną przecież znów bez medyka, a znając takie rośliny, mogliby radzić sobie sami przynajmniej w niektórych chorobach.

– Chyba że, panie medyku, myślicie tu zostać na stałe?

Wyczuwając, że mimo lekkiego tonu pytanie to wcale nie jest żartem, Jonasz z uśmiechem pokręcił głową:

– Nie, nie zamierzam.

Zamiast do Adriany wyruszył więc na łąkę w towarzystwie Micheasza, Asera de Segarry i Pedra Abulafina. Zaskoczony nieoczekiwaną prośbą, z początku nie był pewien, czy jego wiedza zielarska okaże się wystarczająca, czy nie przeoczy jakichś cennych

ziół. Pozbył się tych obaw, kiedy tylko znaleźli się na łące: Nuño i tego dobrze go wyuczył, a ta dolina była istną skarbnicą leków! Zaczął pokazywać je swym towarzyszom, tłumacząc w zrozumiałym sposób, na które choroby i jak je stosować. Gorzka wyka na przykład dobrze goi wrzody, a wymieszana z winem łagodzi ukąszenia węży. Łubin natomiast, jeżeli zażywa go się z winem, pomaga na bóle kulszowe, rozmieszany zaś z octem wypędza robaki z kiszek.

– Również w ogrodach macie wiele medykamentów, takich jak choćby soczewica, która spożywana wraz z łuską powstrzymuje ostre rozwolnienia. Podobnie działają jabłuszka niesplika. Trzeba je pokroić na kawałeczki i zmieszać z winem lub octem. Rabarbar dla odmiany pomaga w zaparciach. Ziarna sezamu namoczone w winie dobre są na ból głowy, rzepa zaś na podagrę.

Po lekach ogrodowych przyszła kolej na leśne. Tutaj Jonasz zalecił swym słuchaczom dziki groch, który stosowany z miodem i jęczmieniem leczy parchy oraz żółtaczkę, kozieradkę z saletrą i octem na miesięczne bóle u niewiast, a także hiacynt, z którego można sporządzić doskonałą maść na bóle stawów. Trzeba spalić roślinę razem z rybią głową i popiół wymieszać z oliwą z oliwek.

Pedro Abulafin, który mieszkał nieopodal, wymknął się w pewnym momencie do domu, skąd wrócił z dwoma bochenkami chleba i sporym gąsiorkiem jakiegoś trunku. Było to wino o wytrawnym smaku, któremu tak długo pozwolono nabierać mocy, że biło do głowy prawie jak koniak.

Opróżniwszy gąsiorek, wyszli z lasu weseli i w tak doskonałej komitywie, jakby zjedli z sobą beczkę soli. W drodze powrotnej Jonasz postanowił odprowadzić Micheasza do domu i wymknąć się do Adriany – chyba jeszcze nie za późno na wizytę? – jednakże w stodole czekał na niego Rudolfo Garcia.

– Wybaczcie, señor, że was tu nachodzę, ale mam wielki kłopot. Moja najlepsza locha ani rusz nie może się oprosić. Trwa to już cały dzień. Wiem, żeście lekarzem ludzi, ale żal mi zwierzęcia. Przecie i ono cierpi.

I znowu zamiast do Adriany wypadło mu iść do świniarni. Widząc, że maciora leży na boku, ledwo dysząc, Jonasz czym prędzej zrzucił koszulę, nasmarował rękę słoniną i po kilku manipulacjach wydobył z łona matki martwego prosiaka. Udusił się biedak. Jego żywe rodzeństwo – osiem tłusciutkich prosiaczków – poradziło już sobie samo. Jeden po drugim wyskakiwały na świat jak z katapuły, a po paru minutach wzięły się do ssania.

Jedyną zapłatą, jaką Jonasz zgodził się przyjąć za tę usługę, była kąpiel. Uradowany Rudolfo migiem przytaszczył mu balię i dwa spore kociołki wrzątku. Kiedy wykąpany powrócił do swojej stodoły, znalazł tam tacę z kolacją owiniętą schludnie białym płótnem. Lea. Znow pomyślał, że zacna z niej kobieta. Zjadł ofiarowany posiłek, załatwił potrzebę pod drzewem i wlaż na swój stryszek, gdzie przesunął derkę pod dymnik, by popatrzeć sobie na gwiazdy, lecz zaledwie się położył, zasnął.

Następnego dnia, w niedzielę, idąc wraz z Micheaszem i Leą do kościoła, nie przestawał myśleć o Adrianie. Siedziała już w ławce obok swego ojca i macochy, nie zważając więc na ludzkie oczy, powędrował wprost do niej i zasiadł tuż przy jej boku. Lea i Micheasz, chcąc nie chcąc, zajęli miejsca obok niego.

– Dzień dobry, señora – powiedział szeptem.

– Dzień dobry.

Pragnął z nią pomówić, lecz zaczęło się nabożeństwo. Och, całym sobą odczuwał jej bliskość! Chwilami, klękając i podnosząc się z klęczek, ocierali się o siebie i wtedy przenikał go dreszcz. Zauważył, że śledzi ich wiele par oczu. Niecierpliwie czekał końca

nabożeństwa, licząc, że uda mu się odprowadzić Adrianę do domu. Nareszcie ojciec Pedro oznajmił, że zaraz po mszy pójdzie na zachodnią łąkę poświęcić rozpoczęty kanał – i zaintonował ostatnią pieśń. Kiedy jednak przeszedł do konfesjonału, cały plan Jonasza legł w gruzach.

– Señor Toledano – szepnęła Lea – jeżeli nie zamierzacie się spowiadać, to lepiej już chodźmy. Całe Pradogrande wybiera się dziś do nas w odwiedziny. Jedni chcą podziękować wam za pomoc, inni pragną was poznać. Muszę przygotować poczęstunek, dlatego spieszno mi do domu.

Jęknął w duchu, lecz cóż było robić?

Wielu gości przyszło z prezentami. Ofiarowano mu słodkie miodowniki, wino, oliwę i małą zgrabniutką szynkę. Jacob Orabuena przyniósł piękny dzeworyt przedstawiający drozda nad szeroką zieloną łąką. Kolory uzyskane z roślinnych barwników były tak prawdziwe, że obrazek wyglądał jak żywy.

Wśród gości była Adriana z ojcem i macochą, cóż, kiedy w żaden sposób nie dało się z nią zamienić ani słówka na osobności. Zzymał się w duchu, słuchając licznych podziękowań, a kiedy wyszła, z trudem dotrwał do końca przyjęcia.

## **Rozdział 40** ***Adriana Chacon***

Nie wiedział, że Adriana także nie przestaje o nim myśleć – odkąd zobaczyła go przy pracy. Ujęła ją zwłaszcza jego życzliwość i szacunek wobec pacjentów. Zrozumiała, że ten obcy przybysz to dobry, wrażliwy człowiek.

– Uważaj, córko – upomniał ją ojciec po wyjściu z kościoła. – Anselmo Montelvan za często widuje cię z tym medykiem.

Powiada, że to ujma dla jego syna, którego przyrzekłaś poślubić.

– Śmiechu warte! – odparła z gniewem. – Anselmo tyle dba o honor swojego dzieciaka co o zeszłoroczny śnieg, a o mnie jeszcze mniej! Chce utrzymać w garści ziemię swego ojca i stąd to całe gadanie!

– Tak czy inaczej, lepiej daj sobie spokój z señorem Toledanem. Chyba że ma on poważne zamiary. Wiesz coś o tym? Dobrze byłoby mieć tu medyka.

– Nic nie wiem o jego zamiarach i nie wydaje mi się, żeby miał jakiegokolwiek – rzuciła z rozdrażnieniem. A jednak gwałtownie zabiło jej serce, gdy w poniedziałkowy ranek zobaczyła go u swoich drzwi.

– Pójdiesz ze mną na spacer, Adriano?

– Pokazałam wam już całą dolinę, s e ñ o r – odrzekła zmieszana i poruszona tym, że zwrócił się do niej po imieniu.

– Pokaż mi wszystko raz jeszcze. Wyświadczyć mi tę łaskę!

Poszli tą samą ścieżką co za pierwszym razem. W południe Jonasz wyjął z kieszeni linkę z haczykiem i pudełko robaków uzbieranych przy kopaniu rowu, Adriana zaś poszła do domu po ogień. Kiedy wróciła z malutkim wiaderkiem pełnym żarzących się węgli, zdążył już złowić cztery ładne pstrągi. Leżały w trawie sprawione i czysto wymyte. Były tak smaczne, że zjadłszy świeżutkie, dobrze upieczone mięso, oboje z uśmiechem oblizali palce.

Podczas sjeisty ułożył się bliżej niż przedtem. Zасыpiając, słyszała szmer jego oddechu, a kiedy podniosła powieki, siedział obok bez ruchu, wpatrzony w nią jak w obrazek.

Zaczęli odtąd spotykać się regularnie. Mieszkańcy wioski codziennie widywali ich teraz na spacerze, tak zatopionych w rozmowie, jakby świat dla nich nie istniał, lub po prostu kroczących przed siebie w milczeniu niczym para starych przyjaciół. W czwartek rano, przewyciężywszy widać resztki nieufności,

Adriana zaprosiła go na obiad, a w drodze do domu zaczęła mówić o sobie: o swoim małżeństwie z Abramem Montelvanem, które bez wdawania się w szczegóły nazwała bardzo trudnym i nieszczęśliwym, o swoim dzieciństwie i o bliskich – matce, dziadkach, ciotce...

– Bardzo kochałam Inés. Była mi drugą matką... opiekowała się mną nawet bardziej niż ta prawdziwa. Już śmierć jednej byłaby dla mnie okropnym nieszczęściem, a tu obie mnie odumarły. Wszyscy odeszli... dziadek Izaak i kochana babcia Zulejka.

Ujął jej rękę i zamknął w mocnym uścisku.

– A ty? – zapytała. – Masz rodzinę? Opowiedz mi o niej.

Smutna to była opowieść: o matce, która zmarła po ciężkiej chorobie, o starszym bracie, którego zamordowano, o ojcu zabitym przez uliczną gawiedź, podjudzoną przez kogoś, kto śmiertelnie nienawidził Żydów, i o młodszym bracie, który przepadł gdzieś w dalekim świecie.

– Pogodziłem się jakoś z utratą tych, co umarli – powiedział na koniec ze smutkiem – ale Eleazar... Tego nie mogę przeboleć... Wciąż coś mi mówi, że on żyje, ale gdzie? Gdzie mam go szukać? Pojmujesz, Adriano? Czuję, że mój brat żyje, a wiem, że już nigdy go nie zobaczę, tak samo jak tych, co umarli...

Rozmowę przerwała im wrzawa i głuchy stukot kilofów. Rozpoczęty przed kilkoma dniami rów nawadniający sięgnął już prawie domu Adriany. Kilku kopaczy, widząc ją znowu w towarzystwie Toledana, podniosło głowy znad łopat i odprowadziło ich wzrokiem aż po same drzwi.

Zaledwie weszli do domu, zawładnęła nimi jakaś obca siła. Adriana zamierzała poprosić gościa, by na chwilę usiadł i odpoczął, zanim ona ugotuje obiad, ale słowa zamarły jej na ustach, bo nagle jakby na czyjś rozkaz oboje podbiegli do siebie i Jonasz zaczął



obsypywać ją pocałunkami. A ona, mój Boże!... zaczęła robić to samo. I gdy tylko poczuła jego usta na swoich, przywarła do niego całym ciałem...

Oszołomiona tym jakże dziwnym obopólnym żarem, na chwilę dała mu się ponieść, lecz gdy pod spódnicą poczuła męską rękę, zapragnęła już tylko uciec. Oto czego chcą mężczyźni, myślała ze zgrozą, wszyscy są tacy sami jak ten staruch. Nie mogła uciec, bo trzymał ją w mocnym uścisku, nadal obsypując drobnymi pocałunkami jej twarz, szyję i włosy, i nagle poczuła, że jego dotyk zaczyna jej sprawiać przyjemność. Dłoń tego mężczyzny była całkiem inna niż wstrętne łapsko Abrama, budziła też zgoła odmienne emocje – falę rozkosznego ciepła i dziwną omdłałość w członkach... tak wielką, że osunęła się na kolana. Ukląkł obok niej, nie przestając całować jej i pieścić.

Jak przez mgłę słyszała okrzyki kopaczy: „Nie, Durand, nie tam!”, „Hej, chłopie, tutaj kładź te przeklęte głazy, inaczej ta grobla nie utrzyma wody!”. Na moment ogarnął ją popłoch: za oknem są ludzie, a oni tu, półnadzy, na podłodze... zaraz jednak przestała o tym myśleć. Głosy ucichły, słychać było tylko suchy szelest i trzask sitowia pękającego pod ciężarem ich splątanych ciał.

Kiedy otworzyła się przed nim, znowu ogarnęło ją zdumienie: więc to takie łatwe? Można to zrobić bez żadnych trudności? No tak, ale to medyk, myślała bezładnie... I och, takiej przyjemności nie doznała jeszcze nigdy w życiu! Wiedziała, że to grzech tak myśleć, lecz i ta myśl zaraz ją odbiegła, bo zaczęło się dziać coś takiego, co ponownie przejęło ją strachem: wydawało jej się, że umiera. Nie, dobry Boże, pozwól mi żyć, westchnęła, jednakże to nie była śmierć – to świat zawirował i tak mocno zatrzęsł się w posadach, że z całych sił uchwyciła się swego mężczyzny, by nie ulecieć gdzieś w otchłań jak pyłek...

Wieczorem, kiedy tylko zaczęło się ściemniać, Jonasz pożegnał gospodarzy, później zaś niecierpliwie czekał chwili, aż zrobi się na tyle ciemno, aby nikt nie spostrzegł, jak wymyka się ze stodoły. Kluczył potem jak zając w drodze do domu Adriany, ponieważ świecił księżyc, a on starał się nie rzucać nawet cienia. Drzwi zastał otwarte, ją tuż za drzwiami. Czekwała na niego trawiona takim samym szaleńczym pragnieniem, z jakim on spieszył do niej. Opuścił ją jeszcze przed świtem, bo choć trudno im było się rozstać, musieli zachować pozory. Tu, w Pradogrande, ludzie bardzo wczesnie zaczynali obrządzać inwentarz.

Mimo owych środków ostrożności Benzaquen już w piątek rano wyciągnął Jonasa na spacer: „Musimy pogadać”, szepnął. Poszli kawałek za kościół, gdzie Micheasz wskazał mu szeroki lesisty pas ziemi sięgający od strumienia aż po zbocze góry.

– Spójrz – powiedział kusicielsko – to sam środek naszej doliny. Łatwo tu dojść z każdej strony. Przyznasz chyba, że to doskonałe miejsce na dom dla medyka.

Jonasz uśmiechnął się w duchu. Prowadzili już kiedyś podobną rozmowę, lecz w jakże innej sytuacji... Wtedy był nie chcianym petentem, któremu kazano iść precz, i oto ten sam człowiek zabiega o jego łaski.

– Ta ziemia – mówił dalej Micheasz – należała do Carlosa ben Sagana, daj mu Boże wieczny odpoczynek, a teraz jej właścicielem jest Joachim Chacon przez małżeństwo z wdową po Carlosie. Zauważył, że podoba ci się jego córka, więc prosił, bym powiedział ci w jego imieniu, że chętnie odda ten kawałek tobie i Adrianie.

Wiedzą, że za nią szaleję, uświadomił sobie Jonasz. Ofiarowywany kawał ziemi był zaiste nie do pogardzenia. Piękny las... dom mógłby stać wysoko, a zarazem tak blisko potoku, że byłoby słychać, jak szumi. W gorące dni można by się kąpać

w rozlewisku. Przed domem byłoby nieduże pole, a z tyłu lesiste zbocze. Można by tu żyć jak w raju...

– Pomyśl o tym – kusił go dalej Benzaquen. – Nasi ludzie zbudowaliby ci piękne domostwo. Prawda, że jest nas niewielu, musiałbyś więc leczyć też nasze zwierzęta i może czasami pomóc w polu – dodał szczerze.

Uczciwa propozycja wymagała uczciwej odpowiedzi. Dolina była tak piękna, że przywodziła na myśl rajski ogród, ale Jonasz miał już inny dom, który stał mu się bliski i drogi. Tu, w Pradogrande, nie widział dla siebie miejsca, mimo to nie chciał stanowczo odmawiać, póki się nie dowie, co o tym myśli Adriana.

– Pozwól mi się nad tym zastanowić.

Benzaquen wydawał się zadowolony z wyniku swej misji, bo z uśmiechem pokiwał głową. Widocznie bał się odmowy.

Gdy już wracali do domu, Jonaszowi przyszło nagle na myśl, że jest coś, co mogłoby go odwieść od powrotu do Saragossy.

– Pamiętasz, Micheaszu, to nasze spotkanie w Grenadzie? W domu Izaaka? Kiedy to świętowaliśmy szabat wedle starego obrządku? – zagadnął swego gospodarza.

– Pamiętam, a jakże.

– A mógłbyś zaprosić przyjaciół na wspólną modlitwę? Mamy dziś akurat piątek.

Benzaquen obrzucił go chmurnym spojrzeniem. Jakby raptem zobaczył kłopoty tam, gdzie ich przedtem wcale nie dostrzegał.

– Jeżeli bardzo ci na tym zależy... – powiedział w końcu, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Tak, Micheaszu, bardzo.

– W takim razie powiadomię ludzi.

Przyszli jednak tylko dwaj znajomi: Aser de Segarra i Pedro Abulafin, obaj zresztą mocno speszeni. Jonasz widząc ich miny

doszedł do wniosku, że zdobyli się na to wcale nie z przywiązania do starych tradycji, ale żeby mu sprawić przyjemność. Polubili go po prostu, a wiadomo: przyjaciołom się nie odmawia.

Zasiedli w piątkę przy stole, czekając, aż na niebie ukaże się trzecia gwiazda zwiastująca początek szabat.

– Już prawie nie pamiętam modlitw – odezwał się Aser.

– Ja też nie – odrzekł Jonasz.

Mógłby odmówić Szma, a oni powtarzaliby za nim, ale po co? Zrozumiał, że ci nowi chrześcijanie wolą uznać za prawdę to wszystko, czego ich naucza ojciec Serafino. W ostatnią niedzielę mówił im na przykład o Boskiej Trójcy: „Jest Ojciec, który tworzy, Syn, który zbawia dusze, i Duch, który uświęca grzeszników”. Ci ludzie już w to wierzą. Uwierzyliby we wszystko, byle tylko inkwizycja dała im święty spokój. I póki tak będzie, pozostaną gorliwymi katolikami. A skoro są z tego zadowoleni, to czyż on, Jonasz Toledano, ma prawo ich prosić, aby teraz znów zaczęli śpiewać: „Słuchaj, o Izraelu, Pan nasz i Bóg jest Jeden”?

Poczuł na ramieniu rękę Asera:

– Myślę, Jonaszu, że lepiej nie płakać nad tym, co minęło.

– Masz rację.

Podziękował wszystkim i wyszedł, życząc im dobrej nocy. To zacni ludzie, ale odstępcy. Nie będzie ich prosił o wspólną modlitwę, bo zrobiliby to tylko z łaski. Jeśli nie może mieć minjanu złożonego z prawdziwych żydów, to woli modlić się sam – tak jak dotąd. Wiedział już teraz, co robi.

– Usiądź, Adriano – rzekł tej nocy, zamknąwszy za sobą drzwi. – I pozwól, że zapalę lampę. Muszę ci coś powiedzieć.

– Co?... – z przestachem utkwiała w niego oczy. – Chcesz powiedzieć, że masz już żonę?

– Nie jestem żonaty, mam jednak innego Boga, niż myślisz.

Wyjawił jej w krótkich słowach, że jest żydem, który nigdy nie przyjął chrztu i od lat ukrywa się przed inkwizycją. Słuchała go w milczeniu, nieruchoma jak posąg. Nie miał pojęcia, co myśli, widział tylko, że nie spuszcza oczu z jego twarzy.

– Benzaquen w imieniu twego ojca i innych tutejszych mężczyzn poprosił mnie dzisiaj, żebym został w Pradogrande, ale to niemożliwe. Długo bym tu nie przetrwał. Tu ludzie wiedzą o sobie wszystko, a ja... już się nie zmienię. Mówię tak, bo znam siebie. Gdybym został, jestem pewien, że prędzej czy później ktoś by mnie zdradził. Nie z nienawiści. Ze strachu.

– A tam gdzie mieszkasz... jest bezpieczniej?

– Tak. Mój dom stoi na uboczu, niedaleko miasta, ale w takim miejscu, że nikt tam bez potrzeby nie zagląda. Inkwizycja jak wszędzie, tak i tam poczyną sobie dość okrutnie, ale mnie wszyscy uważają za starego chrześcijanina. Chodzę do kościoła, płacę sporą dziesięcinę... Nigdy nie miałem żadnych kłopotów.

– Zabierz mnie z sobą, Jonaszu!

– Och, niczego bardziej nie pragnę, niż cię poślubić, ale czy wolno mi tak cię narażać? Jeśli kiedyś wyjdzie na jaw, kim jestem, spalą mnie na stosie i to samo spotka moją żonę. A to straszna śmierć, możesz mi wierzyć!

– Straszna śmierć może spotkać każdego, wszędzie i o każdej porze – odrzekła w ten swój jakże rzeczowy sposób, który nieraz już u niej podziwiał. Wstała i objęła go mocno. – Uczyniłeś mi zaszczyt, obdarzając mnie zaufaniem. Chcę być z tobą, Jonaszu, na dobre i złe. Przetrwałeś sam, przetrwamy i razem! – Czuł, że ma mokry policzek, ale usta drgnęły jej w uśmiechu. – I wiesz co? Myślę, że umrzesz w moich ramionach, gdy będziemy już bardzo starzy. Dlatego musimy wyjechać bez zwłoki – zdecydowała nagle. – Masz rację, nasi ludzie to tchórze. Gdyby się dowiedzieli, że jesteś żydem, i to

żydem poszukiwanym przez inkwizycję, sami by mogli cię zabić. Jakie to wszystko dziwne – dodała w zadumie. – Przecież ja też urodziłam się w tej samej wierze co ty... To dziadek Izaak postanowił, że już nie będziemy żydami, ale babcia Zulejka do końca życia przygotowywała co piątek świąteczną wieczerzę i zawsze zapalała szabatowe świece. Odziedziczyłam po niej dwa stare brązowe świeczniki, które w każdy piątek wydobywała ze schowka.

– To dobrze – rzekł Jonasz. – Weźmiemy je z sobą.

Szarym świtem byli już w połowie kamiennego szlaku biegnącego z doliny ku górze. Nikłe światło z trudem rozpraszające czerń nocy przejmowało Jonasa drzeniem, przypominając mu ów straszny ranek, kiedy to mordercza strzała znienacka odebrała życie człowiekowi, którego w myślach wciąż nazywał mistrzem. Na razie nikt ich nie ścigał, mimo to wolał zachowywać czujność. Dopiero na drodze do Hueski pozwolił koniom iść stępa.

Teraz dopiero ogarnęło go uniesienie. Ilekroć spojrzął na swą towarzyszkę, miał ochotę krzyknąć z radości!

W zielarni Aureliów czekał już na niego okazały tobiół świeżego teriaku. Wystarczyło objuczyć muła pozostawionego tu na przechowanie i mogli znów ruszyć w drogę. Od tej pory zupełnie przestał się spieszyć, starając się na wszelkie sposoby oszczędzić trudów Adrianie.

Wyjawił jej już teraz całą prawdę: że nie jadą do Guadalajary tylko do Saragossy i że będzie tam żoną znanego medyka, Ramóna Callicó.

– Podoba mi się to nazwisko – stwierdziła z uśmiechem. Zaczęła też zaraz mówić do niego „Ramónie” – żeby się przyzwyczaić.

Kiedy wreszcie dotarli do Saragossy, ciekawie przyglądała się domom, ludziom i ulicom, lecz dopiero na dróżce wiodącej do jego

domu ogarnęło ją takie podniecenie, jakiego u niej jeszcze nie widział. Od razu chciała wszystko zobaczyć. Jonasz miał w owej chwili zupełnie inne pragnienia: wziąć kąpiel, pokrzepić się miską zupy i szklaneczką wina, a potem zalec we dwoje we własnym wygodnym łóżku i wreszcie porządnie się wyspać, czyż mógł jednak oprzeć się jej prośbom? Tłumiąc ziewanie, pokazał jej wszystko, co było do zobaczenia: gąik oliwny na stoku pagórka, grób Nuña, wartki strumyk, a w nim małe srebrzyste pstrążki, drzewa owocowe i zaniedbany warzywnik, który po odejściu Reyny całkiem zarósł zielskiem. Kiedy wreszcie on także zaspokoił wszystkie swe pragnienia, zasnęli w czułym uścisku i choć było to zaledwie wczesne popołudnie, obudzili się dopiero rankiem.

Następnego dnia wzięli ślub. Jonasz przymocował do krzeseł cztery równe kijki, na które narzucił derkę – i to był ich ślubny baldachim. Zapaliwszy świece, stanęli pod nim oboje z Adrianą, aby przysiąc sobie wierność. Zaczął Jonasz słowami modlitwy:

– Błogosławiony bądź, Panie nasz i Boże, któryś dał nam swoje święte przykazania, mnie zaś tę oto niewiastę w małżeństwo.

– Błogosławiony bądź, Panie nasz i Boże, któryś dał nam swoje święte przykazania, mnie zaś tego oto mężczyznę w małżeństwo – powtórzyła Adriana, podnosząc na niego błyszczące radością oczy.

Włożył jej na palec srebrny pierścień darowany mu przez ojca na trzynaste urodziny, choć był na nią o wiele za duży.

– Nie szkodzi – powiedział z uśmiechem. – Będiesz go nosić na szyi. Kupię ci łańcuszek.

Na znak żałoby po zburzonej Świątyni Jerozolimskiej rozbił obcasem szklanekę, lecz był to tylko gest: dziś ich serca przepełniała radość.

– *Mazeł tow, Adriano!*

– *Mazeł tow, Jonaszu!*

Podróż poślubną odbyli osobno. Ona poszła do ogródka wypieścić chwasty i poprzerywać cebule, on zaś do swego pacjenta, Pascuala Cabrery, któremu przed wyjazdem powierzył pod opiekę czarną klacz. Wkrótce już brykała po wygonie wraz z siwym arabem i Doñą Adriany.

– Czemu mówisz do nich „Czarna” i „Siwy”? Dlaczego twoje konie nie mają imion? – zapytała Adriana, śledząc końskie harce.

Jak miał jej wytłumaczyć, że dawno temu pewien chudy młodzik miał małego osiołka dwojga imion, a kiedy go stracił, nie potrafił już nigdy nadać imienia żadnemu zwierzęciu? Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Mogę ja je nazwać?

I tak siwy ogier został Sułtanem, a piękna klacz mistrza Fierry otrzymała imię Hermana – „Siostra” – gdyż zdaniem Adriany całkiem przypominała mniszkę.

Po południu nowa pani domu rozpoczęła wielkie porządki. Pod nieobecność gospodarza w izbach zaczęło trochę zalatywać pleśnią, toteż na początek otwarte zostały wszystkie drzwi i okna, a potem zaczęło się odkurzanie, szorowanie i polerowanie. Kiedy wszystko już lśniło czystością, młoda gospodyni poszła naciąć świeżego sitowia, przesunęła fotele bliżej ognia, na kominku zaś ustawiła stare babcine świeczniki i kolorowego drozda z Pradogrande.

Po dwóch dniach czuła się tak, jakby się tu urodziła. Teraz był to już jej dom.



Cz ę ś ć   s i ó d m a

## *Milczący człowiek*

*Aragonia*

*3 kwietnia 1509 roku*

### **Rozdział 41**

#### ***List z Toledo***

Jonasz po śmierci mistrza zyskał sobie przyjaźń Miguela de Montenegro, który obok Nuña był najlepszym ze wszystkich znanych mu medyków. Przyjaźń człowieka zwanego powszechnie „lekarzem biskupów” była niezwykle cenna dla kogoś takiego jak Jonasz, już choćby dlatego że mogli praktykować obok siebie nie jako zwalczający się konkurenci, ale wierni sojusznicy, gotowi w razie potrzeby pomagać jeden drugiemu. Montenegro przed paroma laty wyszkolił sobie ucznia, młodego Pedra Palmę, którego ostatnio uczynił swoim współnikiem, nie do końca wszakże był z niego zadowolony.

– Brak mu jeszcze wiedzy i doświadczenia – zwierzył się pewnego dnia Jonaszowi, kiedy korzystając z wolnej chwili, zasiedli nad szklaneczką wina w jednej z miejskich gospód. – Szczególnie w dziedzinie anatomii. Wiele by zyskał, gdyby przy sposobności mógł czasami popracować z tobą.

Rozumiejąc, że chodzi o sekcje, Jonasz poczuł się trochę nieswojo. Przykro mu było odmawiać, ale odkąd poślubił Adrianę, uważał za swój pierwszy obowiązek troszczyć się o jej bezpieczeństwo, sekcje zaś były rzeczą nader ryzykowną.

– Myślę, Miguelu, że sam jesteś doskonałym medykiem... – Uważnie dobierał słowa, aby nie urazić przyjaciela. – Możesz równie dobrze wyszkolić Pedra w anatomii, jak kiedyś mnie Nuño Fierro.

Montenegro przyjął to bez urazy. Domyślał się zresztą powodu.

– Jak tam twoja małżonka, Ramónie? Czy...

– Bez zmian, Miguelu.

– No cóż, sprawy te nieraz wymagają czasu, sam dobrze wiesz, jak to bywa. Czarująca niewiasta z tej twojej żony! Zechcesz jej przekazać moje pozdrowienia?

– Uczynię to z przyjemnością – uśmiechnął się Jonasz, dopijając wino.

Nie miał pojęcia, czy to Adriana jest niepłodna, czy też winę za brak potomstwa ponosi on. Mogło być i tak, z tego bowiem, co wiedział, żadnej niewiasty nie uczynił dotąd brzemienną. Tak czy inaczej, tylko to jedno mąciło ich szczęście. Wiedział, że dla jego żony jest to sprawa niezmiernie bolesna. Wystarczyło zobaczyć, z jakim smutkiem spogląda na cudze dzieci. W takich chwilach on także cierpiał, że nie umie temu zaradzić.

Kiedy zwierzył się z tego Miguelowi, wspólnie przestudiowali wszystkie dostępne dzieła traktujące o bezpłodności i jej leczeniu. W rezultacie owej narady postanowili zaaplikować Adrianie pewną leczniczą miksturę wynalezioną, jak głosiły źródła, przez islamskiego medyka, Alego ibn Ridwana. Składała się ona z ziaren grochu lub soczewicy, kamfory, cukru, kleiku jęczmiennego i korzenia mandragory rozmieszanych w winie. Adriana już od dwóch lat

skrupulatnie zażywała to lekarstwo i jeszcze z tuzin innych medykamentów, na razie jednak bez skutku.

Dni upływały im bardzo spokojnie. Adriana przywykła do takiego życia przez lata spędzone w Pradogrande. W niedzielę towarzyszyła wprawdzie mężowi do kościoła, uznawszy to za konieczne dla zachowania pozorów, lecz poza tym rzadko bywała w mieście, choć traktowano ją tam z wielkim szacunkiem, należnym żonie medyka. Wolała pracować w swojej posiadłości. Powiększony warzywnik cieszył teraz oko zarówno rzędami starannie utrzymanych grządek, jak i obfitością zbiorów; w sadzie i gaju oliwnym coraz więcej drzewek zaczynało jesienią dawać piękne plony. Starali się o to oboje z Jonaszem, lecz to pod jej ręką wszystko zieleniło się i kwitło – pewnie dlatego, że kochała tę pracę jak chłopka.

Dla Jonasza był to dobry okres: pomagał ludziom swoją wiedzą i doświadczeniem, co uważał za najwyższe życiowe posłannictwo, miał u boku ukochaną żonę, coraz więcej satysfakcji przynosiła mu też praca nad książką. Krótco po powrocie z Pradogrande ukończył tłumaczenie „Kanonu” Awicenny. Tak już zżył się z tym dziełem, że gdy doszedł do ostatniej strony, ogarnął go smutek jak przy rozstaniu z kimś bliskim. W końcowym akapicie swych porad Awicenna przestrzegał medyków przed puszczaniem krwi ludziom słabym, cierpiącym na biegunkę lub mdłości. Przetłumaczył ten fragment i postawił kropkę. Teraz pozostało mu jeszcze odnotować na osobnej stronie ostatnie już słowa wielkiego medyka:

*Sygnatura dzieła i podziękowanie*

*Oby ta nasza zwięzła rozprawa*

*o głównych zasadach sztuki medycznej*

*okazała się pożyteczna.*

*Następnym naszym zadaniem będzie skompilowanie  
dzieła o ziołach, za łaskawym przyzwoleniem Allaha.*

*Niechaj On będzie nam doradcą,*

*Jemu też składamy dzięki*

*za wszystkie Jego niezliczone*

*dobrodziejstwa.*

*Koniec księgi pierwszej*

*„Kanonu medycyny” Awicenny,*

*głównego medyka kalifa Bagdadu.*

Osuszywszy rękopis starannie przesianym piaskiem, Jonasz dołączył stronicę do reszty manuskryptu i przyjrzał się swojemu dziełu. Piętrząca się na stole sterta wyglądała imponująco! Przepęłniła go radość, owa szczególna radość znana jedynie pisarzom i uczonym kończącym po wielu latach swą żmudną samotną pracę. Jaka szkoda, że Nuño nie dożył tej chwili! Wszak to on postawił owo wielkie zadanie przed tak mało jeszcze doświadczonym uczniem...

Ułożył na półce hiszpańską wersję Awicenny, schował oryginał do skrytki, wydobył z niej natomiast „Medyczne aforyzmy”, dzieło Majmonidesa. Była to druga część zadania zleconego mu przez mistrza w dniu, kiedy przybył do tego domu. Do obiadu pozostało

jeszcze trochę czasu, usiadł więc znowu przy stole, otworzył księgę i rzuciwszy okiem na pierwszą stronicę wypełnioną rzędami hebrajskich znaków, zaczął ją przekładać na hiszpański.

\*

Prawie z nikim nie utrzymywali bliższej znajomości – wyjątkiem był Miguel de Montenegro. Wkrótce po przybyciu Adriany do Saragossy zaprosili go na obiad, on zaś, jako że był wdowcem, zrewanżował im się wyśmienitą ucztą w najlepszej miejskiej gospodzie i odtąd wspólne obiady stały się miłym zwyczajem. I to było wszystko, dopóki Adriana nie usłyszała o Reynie.

Zaczęło się od tego, że zapragnęła poznać dzieje swojego nowego domu.

– Opowiedz mi o ludziach, którzy mieszkali tu przed tobą, Ramónie – poprosiła któregoś dnia.

Spełniając jej prośbę, musiał też wspomnieć o Reynie, zgoła nie przypuszczając, że rozbudzi ona tak wielką ciekawość jego młodej żony.

– Och, to musi być niezwykła kobieta, skoro umiała zadowolić wszystkich trzech panów tego domu! – wykrzyknęła z podziwem. – Bardzo bym chciała ją poznać.

Jonasz miał nadzieję, że może o tym zapomni, nic z tego. Tak długo nie dawała mu spokoju, że wreszcie zmuszony był jechać do Wioski. Reyna z satysfakcją przyjęła zaproszenie. Złożyli sobie gratulacje, bo i ona tymczasem zdążyła wyjść za mąż za Alvara Saravię. Jonasz pochwalił mocno już zaawansowaną przebudowę domu i odjechał z obietnicą rychłych odwiedzin. Na pożegnanie Reyna raz jeszcze podziękowała mu za zaproszenie, mówiąc, że to dla niej przyjemność i zaszczyt być gościem w domu, gdzie przez tyle lat była służką.

W umówionym dniu przybyła wraz z mężem, przywożąc w podarunku dobre wino i piękny plaster miodu z własnego ula. Widząc, że obie z Adrianą są trochę onieśmielone i pewnie dlatego odnoszą się do siebie z nieco przesadną grzecznością, Jonasz wyciągnął Alvara na spacer – niech się poznamy.

Oprowadzając gościa po swej posiadłości, pokazał mu sad i przywrócone do życia drzewa, skromnie przypisując w tym większą zasługę Adrianie. Siwowłosy Alvaro szczerze pochwalił ich wysiłki, a znał się na rzeczy, był bowiem synem niezamożnego chłopca i długo pracował w gospodarstwie ojca.

– Skoro zamierzacie dalej ratować drzewa, byłoby dobrze postawić stodołę gdzieś bliżej szczytu pagórka – powiedział w pewnej chwili.

– Nie musi być duża. Można by tam trzymać narzędzia i przechowywać owoce.

Jonasz przyznał, że to dobra rada, obgadali więc szczegółowo zarówno koszty budowy, jak i sprawę budulca. Kiedy wrócili do domu, ich żony śmiały się wesoło, gawędząc jak stare znajome. Obiad był smaczny, nastroje przy stole doskonałe. Na pożegnanie kobiety uściskały się serdecznie, obiecując sobie spotkać się znowu.

– Ach, Ramónie – opowiadała Adriana, sprzątając ze stołu – Reyna mówi o tobie jak matka. I wiesz, zdaje mi się, że chętnie została by babką. Pytała mnie, czy już jakaś bułeczka jest w piecu.

– I co jej powiedziałaś? – spytał trochę niepewnie, wiedząc, jak bolesny to dla niej temat.

– Że jeszcze nie – odrzekła ze śmiechem – bo dopiero miesimy ciasto!

W pierwszym dniu lutego w Saragossie odbyło się znowu doroczne spotkanie aragońskich medyków. Mimo okropnej pogody przybyło aż ośmiu lekarzy, by wysłuchać wystąpienia Jonasza. Tematem było krążenie krwi według teorii Awicenny. Wywołał on

duże zainteresowanie; po wykładzie padło wiele pytań, po nich zaś wywiązała się żywa dyskusja. Na zakończenie Miguel de Montenegro odczytał list przekazany mu przez kurię biskupią, dokąd nadszedł w ostatniej poczcie:

„Do señora Miguela de Montenegro, medyka. Ślę wam pozdrowienia z Toledo, z siedziby tutejszej diecezji, z nadzieją w sercu, że list nasz zastanie was w dobrym zdrowiu.

Piszę w imieniu Jego Eminencji biskupa sufragana Enrique Sagasty, którego jestem pomocnikiem. Do Jego Eminencji, który jest zarazem głową tutejszego Urzędu Świętej Wiary, zwrócono się niedawno z prośbą o pomoc dla pewnego szlachcica z Tembleque złożonego okrutną niemocą.

Chorym tym jest hrabia Fernán Vasca, sławny rycerz zakonu Calatrava, wielki przyjaciel naszej Świętej Matki Kościoła i nadzwyczaj hojny dobroczyńca. Choroba, której uległ, uczyniła go niemym i nieruchomym jak kamień, mimo to nadal żyje.

Żaden z zawezwanych medyków, a było ich kilku, nie zdołał pomóc hrabiemu. Biskup Sagasta, wiedząc, jak wielką estymą cieszy się w całym królestwie, usilnie prosi was, señor, o pilne przybycie do Kastylii. Zarówno Kościół, jak i Jego Eminencja będą wam wielce zobowiązani, jeśli zechcecie przybyć osobiście, a gdyby z jakichś powodów było to niemożliwe, zarekomendować nam innego uczonego medyka z Saragossy, skoro wszyscy tutejsi zawiedli.

Biskup zapewnia, że wasze starania zostaną sownie wynagrodzone – podwójną zapłatą, jeśli chory powróci do zdrowia. To samo dotyczy wybranego przez was zastępcy.

Polecam się waszej pamięci.

## Wasz w Chrystusie

ojciec Francisco Rivera de la Espina,

Kancelaria Kaznodziejów”.

– Ja nie mogę jechać – stwierdził Montenegro, skończywszy czytać list. – Nie jestem już młodzieniaszkiem. I tak dość mi ciężko nadażyć na wezwania chorych biskupów. Gdybym jeszcze musiał spieszyć z pomocą każdemu arystokracji protegowanemu przez tę czy inną diecezję, wkrótce wyzionąłbym ducha. Mój współnik, Pedro Palma, jest znowu zbyt młody na takie zadanie. Czy któryś z obecnych chciałby się go podjąć?

Nikt się nie zgłosił. Zapadła cisza, przerywana jedynie chrząknięciami i szuraniem stóp po podłodze.

– To długa droga, a nasza szlachta znana jest z tego, że kiepsko płaci – odezwał się medyk z Ocanii, wzbudzając ogólny śmiech.

– Tutaj biskup gwarantuje zapłatę – przypomniał Montenegro. – Chociaż, no cóż... Osobiście nie znam biskupa Sagasty ani tego księdza.

– Ja go znam – nieoczekiwanie dla samego siebie odezwał się Jonasz. – Ojciec Espina był przez jakiś czas w Saragossie. Służył tu w naszym biskupstwie. Według mnie to bardzo zacny człowiek.

Gdy i teraz nie było chętnych, Miguel de Montenegro wzruszył ramionami i schował list do kieszeni.

Jonasz, rzecz jasna, ani myślał jechać do Toledo. W żadnym razie. Przynajmniej tak sobie mówił. Musiałby się rozstać z Adrianą, i to na jak długo! Nie, nie ma nawet co o tym mówić. Jeśli cokolwiek jest winien hrabiemu z Tembleque, to tylko zemstę.

„Doprawdy? – zabrzmiał mu w uszach głos zmarłego mistrza. – Więc chcesz leczyć tylko tych, którzy są tego godni, których kochasz



lub cenisz? A inni niech umierają? Kto ci dał prawo o tym decydować?”

Po dwóch dniach zaczął z wolna dochodzić do wniosku, że powinien jechać do Toledo, że ma tam coś do zrobienia. Zaczynał wierzyć, że to samo przeznaczenie wzywa go do łoża hrabiego Vaski. Czyż nie tam kryje się rozwiązanie pewnych ponurych tajemnic? Tylko w Tembleque może znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego dokonano tych okrutnych morderstw, które pozbawiły go całej rodziny.

Adriana z początku błagała go, żeby nie jechał, a potem żeby wziął ją z sobą. Nie mógł się na to zgodzić. Sama podróż była długa i niebezpieczna, niepodobna też było przewidzieć, z czym przyjdzie mu się zmierzyć u jej celu.

– Nie mogę, Adriano – powiedział łagodnie. Łatwiej by mu było, gdyby w jej oczach zobaczył gniew zamiast takiego lęku. Nigdy dotąd nie opuszczał jej na dłużej niż dwa, najwyżej trzy dni. – Wrócę do ciebie. Na pewno.

Rozgniewała się dopiero wtedy, gdy powiedział, że zostawia jej dużo pieniędzy na wypadek, gdyby coś się stało...

– Pieniądze! A nie boisz się, że wezmę to twoje złoto i zniknę?

Zaprowadził ją na tyły domu i pokazał miejsce, gdzie zakopał skórzany kuferek z pieniędzmi Manuela Fierry. Wznosiła się nad nim wysoka sterta końskiego nawozu.

– Jeżeli kiedykolwiek naprawdę zechcesz mnie opuścić, możesz zabrać wszystko, co tam leży.

– Za dużo kopania – odrzekła przez łzy.

Wziął ją w ramiona i zaczął całować. Udało mu się w końcu trochę ją pocieszyć.

Pojechał potem do Wioski prosić męża Reyny o opiekę nad swoją żoną. Alvaro przyrzekł, że co tydzień będzie ją odwiedzać. Obiecał,

że dopilnuje, aby nigdy nie zabrakło jej drewna na opał ani siana dla koni.

Miguel de Montenegro i jego wspólnik zgodzili się zaopiekować pacjentami, aczkolwiek bez większego entuzjazmu. Wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, że zastępstwo trwać może wiele tygodni.

– Tylko uważaj z tym hrabią – przestrzegł przyjaciela Montenegro.  
– Biskup biskupem, a ja wiem swoje. Szlachcic, jak wyzdrowieje, robi się zaraz tak hardy, że nie wyciśniesz z niego nawet solda.

Jonasz postanowił nie brać w tę podróż Sułtana. Siwy ogier już nie był tak szybki jak kiedyś. Wziął czarną klacz mistrza Fierry. Wciąż była silna i w dobrej kondycji. Adriana włożyła mu do sakwy dwa bochenki chleba, smażone mięso, suszony groch i rodzynki. W mglisty lutowy poranek ucałował ją na pożegnanie i odjechał, jakby go kto gonił – bał się jej łez.

Za rogatkami zwolnił, pozwalając klaczy iść lekkim kłusem. Świat znów stał przed nim otworem, lecz choć zawsze kochał włość, tym razem było inaczej. Teraz przed oczyma stała mu wciąż twarz Adriany... Z trudem zwalczył pokusę, aby wstrzymać konia i zawrócić do Saragossy.

Przez dzień ujechał szmat drogi. Gdy pod wieczór wypatrzył osłonięte drzewami miejsce na pustym polu i zatrzymał się tam na nocleg, był już bardzo daleko od miasta.

– Dobrze się spisałaś, moja czarna mniszko – pochwalił dzielną klacz, gładząc ją po lśniącej grzywie. – Wspaniałe z ciebie zwierzę, Hermano.

## **Rozdział 42**

### ***W zamku***

W dziewiątym dniu jazdy, minąwszy czerwoną równinę Sagry, dotarł do murów Toledo. Miasto już z daleka widać było jak na dłoni. Oświetlone słońcem popołudnia domy i wieże na wysokiej skale wyglądały z tej odległości jak zawieszony w powietrzu, w połowie drogi do nieba. Od chwili, gdy jako niedojrzały młodzik uciekał stąd w ślepej panice, dzieliła go cała epoka, a jednak już w bramie Vieja de Bisagra opadła go chmara wspomnień, tak żywych i bolesnych, jakby wszystko to działo się wczoraj. Budynek inkwizycji z kamiennym herbem przedstawiającym krzyż, gałązkę oliwną i miecz przywołał mu na pamięć słowa przyjaciela ojca, Dawida Mendozy, który przed laty tak oto wyjaśnił znaczenie owych symboli: „Kiedy przyjmujesz krzyż, dają ci gałązkę oliwną, a gdy odmawiasz, spada na ciebie miecz”.

Przed siedzibą biskupstwa uwiązał konia do drzewa i z trudem prostując zeszywniałe plecy, wkroczył do przedsionka, gdzie zaanonsował się mnichowi siedzącemu za stołem przy wejściu. Wskazano mu kamienną ławę, polecając czekać.

Ojciec Espina pojawił się prawie natychmiast.

– Ach, señor Callicó, jakże mi miło was widzieć! – zawołał z promiennym uśmiechem.

Wydawał się starszy i dojrzalszy, co było zrozumiałe, lecz zaszły w nim też inne zmiany. Wyraźnie nabrał światowej ogłady – był teraz dużo swobodniejszy, bardziej elokwentny i pewny siebie.

Ku znacznej uldze Jonasza nie okazał rozczarowania, widząc go zamiast señora de Montenegro. Nie pytając nawet o powód, od razu zaczął mu tłumaczyć, co ma powiedzieć w Tembleque i komu.

– Powiedźcie im tylko, señor, że przybywacie na prośbę biskupa Sagasty i moją. Zgłóście się do ojca Alberta Guzmána, który

z ramienia Kościoła zawiaduje tam całym gospodarstwem. W chwili gdy hrabiego powaliła ta fatalna niemoc, nie miał akurat zarządcy, więc aby pomóc jego żonie, hrabinie Marii del Mar Cano, posłaliśmy jej ojca Alberta. Hrabina to młoda dama, córka pewnego szlachcica z Madrytu, Gonzala Cana. Posiada on wielką fortunę i do tego świetne koligacje... A hrabia Vasca, no cóż... – westchnął i spojrzął Jonaszowi w oczy. – Jak pisałem w liście, ciężka to sprawa. Kilku medyków próbowało mu pomóc, niestety, bez skutku.

– Wiem – odrzekł Jonasz. – I ja podobnie jak oni mogę jedynie próbować.

Ojciec Espina zapytał, jak mu się wiedzie, wysłuchał paru nowinek z Saragossy, po czym zaczął mówić o sobie, o tym, jak wielką radość sprawia mu obecne zajęcie.

– Wspominałem wam kiedyś, że mój dobroczyńca, biskup Sagasta, jest wielkim znawcą dziejów Kościoła. Od paru lat pracuje nad dziełem poświęconym żywotom świętych. Ach, wielkie to przedsięwzięcie! Popiera je sam Ojciec Święty, ja zaś mam honor w nim uczestniczyć! Muszę wam powiedzieć, señor Callicó – tu z uśmiechem spojrzął na Jonasa – że codziennie modłę się z brewiarza mego ojca. Nawet się nie domyślcie, jak często was błogosławię, żeście mi zwrócili zmarłego rodzica. A teraz ponownie świadczycie mi cenną przysługę, czyniąc zadość mojej prośbie skierowanej do señora Montenegro. Powiększa to jeszcze mój dług wdzięczności, tak, nie protestujcie, jestem wam ją winien. Jeśli więc kiedykolwiek, teraz lub w przyszłości, mógłbym coś dla was zrobić, wystarczy jedno wasze słowo, a uczynię wszystko, co w mojej mocy. Może – zapytał żywo – chcielibyście odpocząć nieco po podróży, a do Tembleque pojechać jutro rano? Jeśli tak, zapraszam was do klasztoru na wieczerzę i nocleg. Wprawdzie to tylko zakonna cela, ale jest gdzie położyć głowę.

– Dzięki, ojciec – grzecznie wykręcił się Jonasz – lecz chciałbym jak najprędzej zobaczyć pacjenta. – Jakoś nie miał ochoty nocować w klasztornej celi. Nie zdradzając się nawet mrugnięciem oka, że doskonale zna drogę do zamku, głośno powtórzył wskazówki, których udzielił mu kapłan. – Powiedzcie mi jeszcze – poprosił – czy gdzieś w pobliżu znajdę dobrego farmaceutę? Potrzebne mi będą medykamenty. Znam się na lekach, ale nie zajmuję się ich sporządzaniem.

– Polecam wam aptekę Santiaga Lopeza. Mieści się przy północnej ścianie katedry – wyjaśnił Espina. – Jedźcie z Bogiem, señor.

Apteka była ciasna i niezbyt porządna, przenikał ją jednak krzepiąco zdrowy zapach ziół. Łysiejący aptekarz w średnim wieku dopiero na okrzyk Jonasza wychynął ze swego mieszkania na piętrze i przyjrawszy się przybyszowi zmrużonymi oczyma, powoli zstąpił ze schodów.

– Macie mirt? Balsaminę? *Acacia nilotica*? – zaczął indagować go Jonasz. – A kwas buraczany, kolokwintę i ziarna *pharbitis*?

– Mam wiele rzeczy, señor – spokojnie odparł aptekarz, choć w jego inteligentnych oczach błysnęła iskierka ironii – lecz pewnie nie wszystkie, gdyż żadna apteka nie może mieć wszystkiego. Wypiszcie recepty. Jak nie będę miał czegoś na składzie, powiadomię was o tym i za waszym pozwoleniem spróbuję zaoferować taki lub inny substytut.

Ponuro pokiwał głową, usłyszawszy, że przyjezdny medyk wybiera się do Tembleque:

– Mam nadzieję, señor, żeście nie na próżno jechali taki szmat drogi.

– Zobaczymy – rzekł Jonasz, zbierając się do odejścia.

Zanim przybył do zamku, zrobiło się ciemno i brama już była zamknięta.

- Hej, straż!
- Kto woła?
- Ramón Callicó, medyk z Saragossy.
- Zaczekajcie.

Strażnik zniknął z muru i po chwili zjawił się za bramą w towarzystwie kogoś z pochodnią. W ruchomym stożku jej żółtego światła dwie ciemne sylwetki wyglądały jak wielkie muchy uwięzione w kawałku bursztynu.

- Wejdźcie, panie medyku!

Krata uniosła się w górę z przeraźliwym zgrzytem. Spłoszona klacz drgnęła, niespokojnie strzygąc uszami, zaraz jednak ruszyła naprzód, krzesząc w ciemności deszcz iskier na wielkich płytach dziedzińca. I tak oto Jonasz po dziesięciu latach znalazł się znowu w Tembleque.

Ojciec Alberto Guzmán, surowy i przygarbiony, powitał go bez uśmiechu, proponując wszakże jadło i napitek.

- Dzięki za gościnność. Chętnie się pokrzepię po długiej podróży, ale najpierw chcę zbadać hrabiego.

- Poczekajcie lepiej do jutra, po co niepokoić go po nocy - odrzekł dość szorstko duchowny. Za jego plecami stał jakiś krępy, czerwonolicy mężczyzna w zgrzebnym odzieniu wieśniaka. Wokół głowy piętrzyła mu się strzecha siwiuteńkich włosów. Miał też gęstą brodę takiej samej barwy spływającą mu aż na pierś. - Hrabia leży jak kłoda - dodał cierpko Guzmán. - Nie rozumie, co się do niego mówi ani kto mu się kłania, nie musicie więc tak się spieszyć.

Jonasz zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Mimo to chcę zaraz zobaczyć pacjenta – powiedział z naciskiem.  
– Będę potrzebował dużo światła. Każcie ludziom przynieść świece i lampy. I niech je ustawią dookoła łóżka.

– Wedle życzenia – usta duchownego przybrały kształt cienkiej kreski. – Ojciec Sebbo – rzucił sucho do stojącego za nim człowieka – dopilnujcie, by zaraz przyniesiono światło.

Więc to też duchowny, zdziwił się Jonasz. Nie zdążył przyjrzeć się baczniej tej osobliwej postaci, gdyż ojciec Guzmán pochwycił lampę i ruszył wielkimi krokami przed siebie.

Idąc za nim przez niekończący się labirynt ciemnych korytarzy, klatek schodowych i komnat, Jonasz przypominał sobie swoją pierwszą bytność w tym zamku. Rozpoznał także komnatę, w której dobił śmiertelnego targu z hrabią... Tuż za nią mieściła się sypialnia. W pierwszej chwili w wąskim kręgu światła jedynej lampy zobaczył tylko odbity na ścianie cień olbrzymiego wezgłowania. Cuchnęło tu gorzej niż w psiarni.

Wyjąwszy lampę z rąk duchownego, oświetlił leżącą postać. Hrabia Vasca, mężczyzna o imponującej niegdyś posturze, stracił ponad połowę wagi. Otwarte oczy patrzyły tępo gdzieś w przestrzeń. Lewa część ust ostro opadała na dół, wykrzywiając stężałe oblicze grymasem wiecznego szyderstwa.

– Potrzebuję więcej światła!

Ojciec Alberto z gniewnym okrzykiem pospieszył do drzwi, lecz właśnie w tej chwili nadeszli ludzie prowadzeni przez Sebba, przynosząc żądane lampy i świece. Kiedy je zapalono, zrobiło się widno jak w dzień.

– Wielmożny panie – Jonasz pochylił się nad łóżkiem – jestem Ramón Callicó, medyk z Saragossy.

Dwie różnej wielkości źrenice poruszyły się lekko w nieruchomej twarzy. Vasca spojrzał w górę.

– Powiedziałem wam przecież, że odjęło mu mowę! – burknął Guzmán.

Chory przykryty był brudną derką, spod której wionęła fala smrodu, gdy Jonasz odrzucił ją na bok.

– Gniją mu plecy – obojętnie zauważył duchowny.

Vasca leżał na wznak, wyciągnięte ramiona wisały mu sztywno nad brzuchem. Jonasz z trudem domacał się pulsu – twarde żyły stawiały opór jego palcom. Oznaczało to, że krew chorego krąży pod wielkim ciśnieniem. Z łatwością uniósł wychudłe ciało, ułożył je na brzuchu i syknął ze zgrozy na widok pleców pacjenta pokrytych mnóstwem ropiejących wrzodów.

– To odleżyny – rzucił przez zęby. – Każcie służbie przynieść gorącej wody i czyste płótno. Prędej! – gniewnie podniósł głos, widząc, że stłoczeni pod drzwiami służdy nie ruszają się z miejsca.

– Ostatni medyk, Carlos Sifrina z Fonseki, stanowczo zakazał mycia, by uchronić ciało hrabiego przed wchłonięciem wodnych humorów – oświadczył ojciec Alberto.

– Carlos Sifrina z Fonseki nigdy widać nie musiał leżeć plackiem we własnym gównie – odparował Jonasz. Pora była wprowadzić tu inne porządki. – Gorącej wody, mydła i czystych szmat – jął spokojnie wydawać rozkazy. – Przynieście mi też papier, pióro i atrament, muszę wypisać recepty. Mam przy sobie balsam na rany, lecz potrzebne mi będą jeszcze inne medykamenty. Pchnijcie zaraz jeźdźca do apteki Santiaga Lopeza. Jeśli śpi, niech posłaniec wyciągnie go z łóżka. – Kiedy ojciec Alberto urażony do głębi, lecz zrezygnowany postąpił krok w stronę drzwi, by wykonać jego polecenie, wydał mu kilka następnych: – Niech służba przyniesie dużo owczych skórek, trzeba nimi wyścielić łóżko. A powiedzcie, że mają być miękkie i czyste! Do tego czystą derkę, prześcieradła i świeżo wypraną koszulę!



Było już bardzo późno, kiedy skończył krzątać się przy chorym. Dopiero gdy Vasca umyty, opatrzony, przebrany w czystą koszulę leżał w świeżej pościeli na miękkich jagnięcych skórkach, mógł wreszcie pomyśleć o sobie. W brzuchu burczało mu z głodu, lecz z ofiarowanego kawałka zimnej baraniny niewiele dało się przełknąć, tak była twarda i tłusta, chleb zaś czerstwy, a wino kwaśne. Łóżko w ciasnej komnatce zionęło wonią niemytego ciała. Pewnie Carlosa Sifrinę z Fonseki, pomyślał z rezygnacją. Na szczęście od razu zasnął.

Kiedy rano postawiono przez niego lepsze wino i porządną porcję szynki, na wszelki wypadek najadł się do syta.

Stwierdziwszy, że w sypialni pacjenta panuje półmrok – było tam tylko jedno małe okienko prawie pod sufitem – kazał zaściąć sofę w przyległym salonie, przesunąć ją pod większe południowe okno i przenieść tam hrabiego Vascę. Chory w świetle dziennym wyglądał gorzej niż w nocy. Wskutek zaniku mięśni palce miał tak nienaturalnie wygięte do tyłu, że kłykcie uwypuklały się do wewnątrz. Trzeba było coś zrobić, aby kości wróciły na miejsce. Wyjaśniony wezwanemu słudze, o co chodzi, Jonasz kazał mu uciąć i przynieść dwa kawałki okrągłej gałęzi, zagiął wokół nich palce Vaski i mocno obwiązał płótnem.

Wszystkie cztery kończyny hrabiego pozbawione były czucia. Przesuwając tępą stroną lancetu wzdłuż ramion, Jonasz miał wrażenie, że w prawym wyczuwa jakiś słaby odzew, lecz praktycznie było to bez znaczenia. Porażeniu uległo całe ciało z wyjątkiem oczu i powiek. Pacjent mógł je unosić i zamykać, poruszał też gałkami ocznymi, wyglądało więc na to, że widzi.

Dotykając różnych miejsc na ciele i zadając choremu pytania, Jonasz bacznie patrzył mu w oczy:

– Czy odczuwacie coś w tym miejscu? A tu? No, panie, teraz dotykam stopy i co? Czy coś was boli?

Za całą odpowiedź z bezwładnego ciała wydobywał się czasem słaby jęk lub najwyżej ciche stęknienie. Vasca na pewno był niemy, ale czy głuchy? Ojciec Alberto, który chwilami zaglądał do komnaty, by z wyraźnym szyderstwem obserwować wysiłki upartego medyka, stracił w końcu cierpliwość:

– Dajcie spokój gadaniu. On nic nie rozumie.

– Jesteście pewni?

– Jak tego, że tutaj stoję. Przyjechaliście na próżno. Ziemski żywot hrabiego dobiega końca, taka jest wola Boga. Wszystkich nas to czeka.

Tego ranka Jonasz poznał małżonkę hrabiego Vaski. Przyszła z miską i łyżką, by nakarmić chorego męża. Była mniej więcej w wieku Adriany, miała jasne włosy i niezwykle białą cerę. Pomyślał, że jest urodziwa, a jej twarz o malutkich ustach, wysokich kościach policzkowych i dużych oczach, którym sztucznie nadano kształt migdałów, przedłużając ich kąciki czarną kreską, ma w sobie coś kociego. Zauważył, że nosi kosztowną, ale brzydko poplamioną suknię i że mocno pachnie skisłym winem. Na jej długiej kształtnej szyi dostrzegł duże czerwone znamię, kiedy jednak przyjrzał mu się bliżej, stwierdził, że to nie znamię, ale ślad po czyichś namiętnych ustach...

– Jesteście nowym medykiem? – spytała, obrzucając go krótkim, lecz baczny spojrzeniem.

– Tak, pani, a wy? Czy mam przyjemność z wielmożną panią hrabiną?

– We własnej osobie. Czy będziecie w stanie pomóc choć trochę mojemu mężowi?

– Za wcześnie, bym mógł coś powiedzieć... Czy to prawda, że wielmożny hrabia choruje już ponad rok?

– Wkrótce będzie czternaście miesięcy.

– Hm, tak, rozumiem... Od dawna jesteście po ślubie?

– Wiosną miną cztery lata.

– Byliście przy nim, pani, gdy nastąpił atak?

– Uhm.

– Chciałbym dowiedzieć się szczegółowo, jak to było. Co wielmożny hrabia robił owego dnia, jak się czuł...

– Cóż... – hrabina wzruszyła ramionami – chyba to co zwykle. Rankiem pojechał na łowy.

– A po powrocie z polowania?

– Och, señor, od tego czasu minęło tyle miesięcy, że trudno wszystko pamiętać, ale zaraz... Tak, jedno wiem na pewno: wziął mnie do łóża.

– Przed południem? O tak wczesnej porze?

– W południe. – Posłała choremu uśmiech. – Gdy chciał ze mną legnąć, nie zważał na porę.

– Wybaczcie mi to pytanie, ale muszę wiedzieć... Czy tego dnia mąż dobrze sprawiał się w łóżku? – spytał Jonasz z lekkim zakłopotaniem.

– Nie pamiętam – odrzekła, taksując go wzrokiem – ale pewnie tak. Zawsze dobrze się sprawiał we wszystkim, co robił. A wtedy... – dodała po krótkim namyśle – nic nie zapowiadało nieszczęścia. Pod wieczór powiedział, że boli go głowa, lecz jak zwykle zasiadł do wieczerzy. Właśnie podano pieczone, gdy spostrzegłam, że tak dziwnie wykrzywiły mu się usta i że z trudem oddycha... Zaczął osuwać się z krzesła, więc krzyknęłam na służbę... – na chwilę zamilkła. – Trzeba było zabić jego psy, bo nie pozwalały się do niego zbliżyć.

– Czy raz tylko doznał takiego ataku, czy były może następne?

– Niestety tak. Po tym pierwszym nie był jeszcze zupełnie bezwładny. Mógł poruszać prawą ręką i nogą, no i mówił. Niezbyt wyraźnie, ale można go było zrozumieć. Wydał mi wtedy instrukcje, jak mam go pochować. Wtedy jeszcze myślałam, że wydobrzeje, lecz po dwóch tygodniach przyszedł drugi atak i od tej pory tak leży. Bezwładny i niemy jak kamień.

– Dzięki wam, pani, za te informacje.

Łaskawie skinęła głową i spojrzała na męża.

– Bywał szorstki jak wielu silnych mężczyzn, wiem też, że popełniał okrutne czyny, lecz dla mnie był zawsze najlepszym panem i mężem...

Jonasz podparł pacjenta kilkoma poduszkami, aby żona mogła go nakarmić, i z dużym zainteresowaniem ją przyglądać się tej operacji.

– Może łykać?

– Nie wszystko. Rosołem i winem się krztusi, mięsa też nie przeżuje, ale gdy dam mu rzadki kleik, to łyka, sami zresztą widzicie. Dzięki temu żyje.

Milczeli oboje, dopóki w misce nie pokazało się dno.

– Nie mówiliście mi chyba, jak się nazywacie? – odezwała się wtedy hrabina.

– Callicó.

Zanim z lekkim ukłonem opuściła komnatę, ponownie obrzuciła go krótkim spojrzeniem. Jakby coś jej chodziło po głowie.

## **Rozdział 43**

### ***Hrabina***

Było po północy, gdy Jonasz wyszedł opróżnić urynał i nagle w przeciwnym końcu korytarza spostrzegł gołego mężczyznę, który z odzieniem pod pachą opuszczał apartamenty hrabiny. W korytarzu paliły się ścienne pochodnie, widział więc wyraźnie zarówno masywną sylwetkę nocnego gościa, jak i jego mięsiste oblicze. Nie zamierzał się odzywać w tej nader niezręcznej sytuacji, ale nagus, widząc go przed sobą, przystanął w pół kroku jak wryty.

– Dobry wieczór – mruknął Jonasz, nie wiedząc, co innego wypada mu zrobić.

Tamten bez słowa skręcił do komnaty sąsiadującej z jego sypialnią i czym prędzej zatrzęsął drzwiami.

Chcąc znów rankiem przenieść hrabiego Vascę do salonu, Jonasz poprosił o pomoc ojca Sebba. Ów stary kapłan był tu jedyną osobą, z którą mógł swobodnie porozmawiać. Układali właśnie chorego na kanapie, gdy do pokoju wtargnął ten sam mężczyzna, którego w nocy widział bez ubrania.

– Do wszystkich diabłów, gdzież ona się podziewa? – warknął, rozejrzawszy się po komnacie.

Zdaniem Jonasza wyglądał na awanturnika. Miał małe, złe oczka, ledwo widoczne w pyzatej gębie zakończonej krótką czarną brodą, i wielki, prawie łysy czerep otoczony jedynie skąpym wianuszkiem kędzierzawych włosów. Mięśnie miał, owszem, potężne, lecz mocno już obrosłe tłuszczem, a łapska wielkie jak u gladiatora. Na obu błyszczały ciężkie, krzykliwe ozdobne pierścienie.

– Gdzie ona jest? – powtórzył niecierpliwie, zwracając się wyłącznie do ojca Sebba, Jonasza zaś ostentacyjnie ignorując.

– Nie wiem, señor – odrzekł oschle duchowny. Z jego tonu łatwo było wyczuć, że nie darzy sympatią rozmówcy, który po tych słowach arogancko obrócił się na pięcie i wyszedł.

– Kimże jest ten grubianin? – spytał Jonasz, okrywając Vascę lekką derką.

– To Daniel Fidel Tapia, kompan pana hrabiego. Ostatnimi czasy zaczął nazywać się jego wspólnikiem.

– Czemuż to mówi „ona” o osobie, której poszukuje? Jakby nie miała imienia!

– Bo jest pewien, że wiem, o kogo chodzi – odparł ojciec Sebbo. – On i hrabina to para bliskich przyjaciół. Szczególnych – dodał znacząco.

W stanie pacjenta nie widać było żadnych zmian – na lepsze ani na gorsze. Jego puls bił czasami mocno i szybko, kiedy indziej ledwo się kołatał nierównym, skaczącym rytmem. Ojciec Guzmán zaprzestał wystawania za plecami Jonasza. W komnacie hrabiego zjawiał się obecnie raz dziennie, by rzucić okiem na Vascę, następnie zaś stwierdzić ponuro, że wygląda dziś gorzej niż wczoraj.

– Bóg mi mówi, że koniec jest bliski.

Ciekawe, czemu akurat tobie Bóg miałby to mówić? myślał zgryźliwie Jonasz. Sam mocno wątpił, aby jakiegokolwiek starania mogły uratować Vascę, lecz obowiązkiem medyka było walczyć do końca. Zabójcza choroba pana na Tembleque nie była szczególną rzadkością. Jonasz już jako samodzielny praktyk kilkakrotnie miał z nią do czynienia. Niektórym pacjentom tak samo wykrzywiała usta, a u prawie wszystkich wywoływała bezwład i sztywność kończyn, tyle że ów bezwład częściej ogarniał jedną stronę ciała niż obie. I to było wszystko, co wiedział. Nie miał pojęcia, co jest przyczyną tej choroby ani czy istnieje na nią jakiś sposób. Przychodziło mu na myśl, że być może gdzieś w ludzkim ciele znajduje się organ, który zarządza mięśniami, pozwalając im się poruszać, a gdy zaczyna szwankować, człowiek traci siły i władzę nad ciałem. Jeżeli tak jest naprawdę, to pewnie u Vaski ów organ

wygląda podobnie jak tamto zacernione miejsce w sercu Nuña... Były to jednak wyłącznie domysły nie poparte żadnym fizycznym świadectwem. Gdybyż to można było dokonać sekcji!

– Zdziwiłbyś się, hrabio, gdybyś wiedział, z jaką ochotą zabrałbym twe zwłoki do swojej stodoły – mruknął półgłosem.

Vasca w tym momencie gwałtownie otworzył oczy i spojrzał prosto na niego. Jonasz mógłby przysiąc, że dostrzegł w tych oczach zdziwienie. Czy to możliwe, pomyślał wstrząśnięty, by ten niemy człowiek rozumiał przynajmniej chwilami, co się koło niego dzieje?

W następnych dniach wszakże zaczął znów w to wątpić. Mimo że godzinami przesiadywał przy łożu Vaski, nie przestając do niego przemawiać, podobny kontakt wzrokowy już się nie powtórzył. Wydawało się, że chory prawie cały czas śpi. Oddychał powoli i chrapliwie, a kiedy wypuszczał powietrze, policzki wydymały mu się jak miechy. Gdyby nie to, sprawiałby wrażenie trupa.

Drugą osobą poświęcającą hrabiemu wiele uwagi, niemal tyle samo co Jonasz, był ojciec Sebbo. Dwa razy dziennie przychodził do chorego odczytywać mu głośno modlitwy, choć słyhać było wyraźnie, jak wielką sprawia mu to trudność. Głos strasznie mu chrypiał i co chwila się łamał; często ustawał w pół słowa, a potem długo chrząkał i kaszłał. Widząc, że powodem tego jest chroniczny katar, Jonasz zaaplikował mu spirytus kamforowy, czym zyskał sobie wdzięczność starego kapłana. Ich wzajemne stosunki zaczęły odtąd układać się jeszcze lepiej.

– Nie musicie siedzieć przy chorym, kiedy ja tu jestem – życzliwie powiedział ojciec Sebbo widząc, że Jonasz kiwa się na krześle. – Lepiej idźcie uciąć sobie drzemkę. Przyda wam się chwila odpoczynku. Jonasz często ulegał tym namowom, a że czytanie modlitw trwało bardzo długo, mógł wtedy bez przeszkód włączyć się po zamku. Czynił to z nadzieją, że w którejś z tych ponurych

i zimnych komnat, nigdy nie ogrzewanych mimo mnóstwa kominków, uda mu się odnaleźć jakiś przedmiot wykonany ręką ojca, a dotąd nie zapłacony przez hrabiego Vascę. Najbardziej ze wszystkiego pragnął zobaczyć kunsztowną złotą różę ze srebrną łodyżką. Czy naprawdę jest taka piękna, jak zapamiętał ją z dzieciństwa?

Podczas tych poszukiwań przekonał się, że Vasca już dawno pomyślał o własnej śmierci. W jednym z zamkowych pomieszczeń, gdzie przechowywano narzędzia i inne potrzebne rzeczy, stała wielka kamienna trumna czy raczej olbrzymi sarkofag z łacińską inskrypcją: „Cum Matre Matris Salvus”. Zaopatrzony był w tak potężne kamienne wieko, że oparłoby się ono nie tylko wszelkiemu robactwu, ale nawet smokom. Złotej róży niestety nigdzie nie było. I dopiero gdy wszedł do zbrojowni, zobaczył coś dobrze znanego: wspaniałą zbroję rycerską, tę, którą przed laty przywieźli tutaj we czterech: on, Angel, Luis i Paco.

Czy to możliwe, myślał z podziwem, dotykając lśniącej jak lustro blachy, że i on ma swój udział w tym wspaniałym dziele? Ale przecież pamiętał owe chwile, gdy własną ręką wykuwał w stali te jakże misterne wzory. Ogarnęła go duma, że miał zaszczyt być uczniem Manuela Fierry, wielkiego płatnerza z Gibraltaru.

Coraz większą przyjemność sprawiały mu pogawędki z ojcem Sebbem, bo z czasem polubił starego kapłana. Interesował go ten człowiek o dłoniach szorstkich jak u wieśniaka.

- Opowiedzcie mi o sobie, ojcie – poprosił pewnego dnia.
- O, señor, to doprawdy nic ciekawego.
- Przeciwnie. Im dłużej się znamy, tym bardziej was jestem ciekaw. Choćby to wasze odzienie. Czemu nie nosicie się jak inni księża?



– Nosilem kiedyś czarne sutanny pięknie przykrojone na moją miarę, pod nimi zaś próżność i światowe ambicje, jakie nie przystoją bożemu słudze. Zawiodłem jednak swoich zwierzchników, którzy powierzyli mi ważny obowiązek, i zostałem za to ukarany. Wygnano mnie w świat z kijem i sakwą żebraczą, abym głosił maluczkim słowo boże, żywiąc się tym, co użebrzę. Czułem się jak dusza potępiona. Prerażony takim losem, nie wiedziałem, dokąd iść, gdzie się obrócić, szedłem więc jak ślepy przed siebie, gdzie nogi poniosą... Zrazu byłem zbyt pyszny, aby żebrac. Żywiłem się jagodami i tym, co ukradłem w cudzych sadach. Ja, sługa boży, zostałem złodziejem!... Z czasem spokorniałem, uwierzyłem też w ludzką dobroć. I to ci najubożsi najchętniej dzielili się ze mną swą skąpą łyżką strawy...

– Z wytwornego habitu – mówił dalej – pozostały wkrótce strzępy. Chodziłem obdarty i bosy, z włosami, które dawno zapomniały, co to nożyce... Żyd wśród biednych, razem z nimi modliłem się i pracowałem. Czasami ci moi biedacy dawali mi jakąś sztukę odzieży po zmarłym, za co byłem im głęboko wdzięczny, bo choć wtedy właśnie zacząłem rozumieć świętego Franciszka, nie zdobyłem się na to, by za jego przykładem chodzić nago po świecie. Na to trzeba być ślepym, a na ciele mieć święte stygmaty, ja zaś jestem zwyczajnym zbłąkanym człowiekiem, lecz tak jak święty Franciszek nauczyłem się pogody ducha. Zostałem bożym wagabundą i tak też żyję od lat.

– Cóż więc robicie w tym zamku?

– Czasami coś mnie tu ciągnie. Przychodzę, wysłuchuję spowiedzi strażników i służby, udzielam im Komunii Świętej i idę dalej. Tym razem ojciec Guzmán poprosił mnie, bym został dłużej. Dopóki hrabia nie skona.

– Ojciec Sebbo, nigdy nie słyszałem waszego imienia. Wszyscy tutaj wołają was po nazwisku.

– „Sebbo” to nie nazwisko. Tak zaczęli nazywać mnie moi biedacy, zdrobniając moje chrzestne imię Sebastian – uśmiechnął się stary duchowny. – Naprawdę nazywam się Sebastian Alvarez.

Jonasz zamilkł z wrażenia. Nie wyciągaj pochopnych wniosków, skarcił się zaraz w duchu. Wszak wielu ludzi może nosić to samo nazwisko. Wpatrzony w siedzącego naprzeciw starca, próbował sobie przypomnieć, czy widział już kiedyś tę twarz. Jak by wyglądała, gdyby zetrzeć z niej ślady paru dziesiątków lat?

– A przedtem, ojciec, nim zostaliście wędrownym księdzem, w którym kościele służyliście Panu Bogu?

– Rzadko już o tym myślę... Wydaje mi się, że działo się to w innym życiu, skoro jednak chcecie wiedzieć... Był kiedyś w Toledo klasztor pod wezwaniem Wniebowzięcia. Byłem tam przeorem.

Siedząc tego wieczoru przy łożu hrabiego Vaski, Jonasz przeniósł się myślą w czasy, kiedy jeszcze żył Meir, a ojciec zaczynał dopiero szkicować pierwsze projekty przyszłego relikwiarza dla klasztoru Wniebowzięcia. On, Jonasz, zaledwie dwa razy widział wtedy przeora Alvareza, lecz z tych dwóch wizyt w klasztorze pozostało mu wspomnienie kogoś nawykłego do rozkazywania i bardzo pewnego siebie. Wprost trudno było uwierzyć, że tamten wyniosły arystokrata i dzisiejszy pokorny księżyna to ten sam Sebastian Alvarez. Był pewien, że zna przyczynę, dla której ojciec Sebbo tak często odwiedza Tembleque. On też musi wiedzieć, że za kradzieżą cyborium, a potem cennej kości świętej Anny stał nie kto inny, lecz pan tego zamku, hrabia Fernán Vasca.

Nie przestawał przemawiać do tego półtrupa w nadziei, że zdoła choć na chwilę przywrócić go do przytomności. Opowiadał mu o pogodzie, o tym, jakich zbiorów można się spodziewać jesienią, o jastrzębiu szybującym tak wysoko w chmurach, że gdy patrzy się na niego z okna, wydaje się mniejszy od ćmy. Po kilku dniach takiej gadaniny sam miał już dosyć słuchania swojej monotonnej i nudnej tyrady. Vasce zaś, jeśli coś słyszał, mogła ona tylko uśpić. Nie, to go nie ożywi, powiedział sobie, trzeba spróbować inaczej.

– Wielmożny panie – odezwał się innym tonem – pora pogadać o mojej zapłacie. Gwoli uczciwości powinniśmy też wyrównać dawne rachunki. Dziesięć lat temu przywiozłem wam piękny rycerski rynsztunek, za co dostałem od was dziesięć maravedís. Ale to nie wszystko. Dobiliśmy wtedy pewnego targu. Ja wskazałem wam sekretną grootę na południowym wybrzeżu, gdzie spoczywały kości świętego, wy zaś obiecaliście mi w zamian pozbawić życia dwóch mężczyzn, którzy zamierzali mnie zabić.

Zauważył, że opuszczone powieki chorego lekko drgnęły.

– Posłałem tych dwóch zbirów do jaskini świętego pustelnika, gdzie spotkała ich śmierć. Dzięki temu pozostałem przy życiu, wy zaś pozbyliście się konkurentów, zyskując zarazem cenne relikwie. Pamiętacie?

Vasca powoli otworzył oczy i Jonasz po raz pierwszy zobaczył w nich wyraźne zainteresowanie.

– Dziwne są koleje losu – mówił dalej. – Nie jestem już dziś płatnerzem, ale waszym medykiem, który pragnie wam pomóc, do tego jednak konieczna jest wasza współpraca.

Już wcześniej obmyślił sposób porozumiewania się z hrabią, na wypadek gdyby ten kiedykolwiek odzyskał świadomość.

– Wiem, że odjęto wam mowę, lecz i bez niej możemy się porozumieć. Będę wam zadawał pytania, wy zaś w odpowiedzi

mrugnijcie oczami. Jedno mrugnięcie będzie oznaczało „tak”, dwa „nie”. Po każdym mrugnięciu na chwilę przymknijcie oczy, będę wtedy wiedział, że nie jest to mimowolny ruch powiek, lecz odpowiedź. Zaczniemy zatem. Jedno mrugnięcie znaczy „tak”, dwa „nie”. Rozumiecie?

Niecierpliwie czekał, co się stanie – na próżno.

– Zróbcie, o co proszę, wielmożny hrabio! Raz „tak”, dwa razy „nie”. Czyście zrozumieli?

Zobaczył jedno wyraźne mrugnięcie.

– Dobrze, doskonale! Powiedzcie mi teraz, czy w nogach pozostało wam choć trochę czucia?

Dwa mrugnięcia.

– A w głowie?

Tak.

– Czy w głowie lub w jej okolicach odczuwacie jakąś dolegliwość?

Tak.

– W ustach lub w szczęce?

Nie.

– W oczach?

Vasca mrugnął raz.

– Aha, dolegają wam oczy. Czy to ostry ból?

Nie.

– Swędzenie?

Hrabia odpowiedział mu jednym mrugnięciem, po którym na chwilę opuścił powieki, jakby chciał to wyraźnie potwierdzić.

Uradowany Jonasz przemył mu wpierw oczy ciepłą wodą, potem zaś wyprawił konnego posłańca do apteki z receptą na kojącą maść.

Okolo południa u chorego pojawiła się hrabina, która aż pobladła z wrażenia usłyszawszy, co się stało.

– Czy to znaczy, że jest poprawa? Wyzdrowieje?

Nie mógł i nie chciał jej łudzić.

– Być może wasz mąż na krótko odzyskał świadomość – powiedział, wyprowadzwszy ją na korytarz – mógł też cały czas być przytomny, co niestety wcale nie oznacza, że choroba ustąpi.

– Możemy jednak modlić się o to i mieć nadzieję – zawołała żarliwie.

– Nadzieję, señora, musimy mieć zawsze, lecz... – Wolał jej nie mówić, że w każdej chwili może nastąpić kolejny atak, tym razem ostatni.

Hrabina wróciwszy do komnaty usiadła przy łożu i ujęła męża za rękę, wciąż przytwierdzoną płótnem do kołka dla ochrony przed dalszą deformacją. Zaczęła do niego przemawiać, lecz Vasca nie otwierał oczu.

– Może śpi – powiedział Jonasz. – Zaczekajmy, aż się obudzi.

Nie chciała czekać ani chwili.

– Mój panie, mój drogi mężu! – zaczęła powtarzać w kółko coraz głośniej, coraz natarczywiej. – O Boże, obudź się wreszcie! Fernánie, na rany Chrystusa, spójrz na mnie!

Vasca otworzył oczy.

Pochyliła się nad nim tak nisko, że prawie musnęła go twarzą.

– Czy słyszysz mnie, mój kochany?

Widząc, że pacjent mrugnął powiekami, Jonasz uznał za stosowne dyskretnie zostawić ich samych.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Zachęcony osiągniętym rezultatem, zastanawiał się, co robić dalej, jak skuteczniej ożywić świadomość Vaski. Czy zamiast obchodzić się z nim delikatnie, nie lepiej byłoby go zaatakować? Rankiem zaczął od tego, że wypytał pacjenta o samopoczucie. Dowiedział się, że odleżyny mniej mu dolegają, swędzenie oczu też nie jest już tak dokuczliwe, pojawił się

natomiast ból w lewej stopie. Zabrał się do masowania i kiedy ból ucichł, pochylił się znów nad wezglowiem.

– Wielmożny panie, czy pamiętacie tutejszego złotnika, Chilkiasza Toledana? – zapytał.

Chory nie zareagował.

– Wykonał dla nas wiele cennych przedmiotów – mówił dalej Jonasz – a wśród nich przepiękną różę ze złota i srebra. Bardzo bym chciał obejrzeć parę tych arcydzieł. Czy wiecie, gdzie one są?

Vasca kilkakrotnie mrugnął powiekami, lecz były to tylko mimowolne ruchy. Potem zamknął oczy.

– Do diabła, panie! Odpowiedzcie!

Vasca uparcie nie otwierał oczu.

– Wiecie, że Chilkiasz był Żydem, ale nie wiecie, że był moim ojcem. Tak, mój panie, medyk, który was pielęgnuje, jest Żydem!

Poskutkowało! Vasca gwałtownie uniósł powieki. I ach, jakże zmienił mu się wyraz oczu! Jonaszowi wydało się nagle, że zalewa go fala złych uczuć – niechęci, gniewu, pogardy, wszystkiego, co ten człowiek nagromadził w sobie przez lata.

– Gdzie są dzieła mojego ojca, wasza przeklęta wielmożność? – zawołał z furią. – Trzy duże misy, cztery małe srebrne lusterka i dwa duże, złota róża ze srebrną łodyżką, dziewięć pięknych grzebieni, osiem krótkich i jeden długi, i dwanaście pucharów do wina ze srebra i elektrum, że nie wspomnę o relikwiarzu! Gdzieście to wszystko ukryli?

Vasca wciąż nie spuszczał z niego wzroku. Czyżby jego wykrzywione usta lekko drgnęły? Trudno tu było o pewność, lecz Jonasz odniósł wrażenie, że zanim hrabia opuścił powieki, w jego oczach błysnęło coś na kształt drwiny, a może złośliwej uciechy.

Następnego dnia odpowiadał z początku na pytania żony, ale potem i jej nie chciał słuchać: zamknął oczy i ogłuchł na wszelkie

błagania. Pełna smutku siedziała nadal przy łóżku i gdy lekko odwróciła głowę, Jonasz zobaczył na jej lewym policzku dwa świeże sińce.

– Wielmożna pani – zająknął się zakłopotany. – Czy nie potrzebujecie... w czymś mojej pomocy?

Zabrzmiało to dosyć niezręcznie, nie zdziwił się zatem, gdy odrzekła z wyniosłym chłodem:

– Nie, señor, dziękuję.

Do wieczora już jej nie widział, jednakże o świcie, kiedy jeszcze spał, jakiś sługa gwałtownie szarpnął go za ramię: pani pilnie potrzebny jest medyk!

Leżała w poprzek łóżka, przyciskając do twarzy zakrwawione płótno. Na jej posiniaczonym policzku widniało teraz brzydkie rozcięcie, długie na jakieś trzy palce.

– Czy to od pierścienia?

Nie odpowiedziała, lecz był tego pewien. Tapia. Musiał uderzyć ją wierzchem dłoni... Gdyby użył pięści, rana byłaby głębsza.

Wyjął z torby woskowane nici i najcieńszą igłę, kazał hrabinie wypić kielich koniaku i wziął się do szycia. Pracował powoli, nie zważając na bolesne grymasy i jęki. Nie chciał jej oszpecić, szwy musiały być jak najmniejsze. Na koniec namoczył płótno w winie i przetarł nim ranę.

Zaczęła mu dziękować, lecz urwała w pół zdania i padła na łóżko, wstrząsana bezgłośnym płaczem. Miała na sobie tylko cieniutką jedwabną koszulę, która więcej odsłaniała, niż mogła ukryć, toteż gdy wreszcie usiadła i zaczęła jak dziecko wycierać łzy wierzchem dłoni, musiał użyć całej siły woli, by odwrócić oczy.

– Señora – powiedział łagodnie – obawiam się, że hrabia wkrótce umrze. Może należałoby wtedy udać się do Madrytu? Krewni

wzięliby was pod opiekę. – Pamiętał, co padre Espina mówił o bogactwie i wpływach jej ojca.

– Tapia powiada... że będzie mnie ścigał, jeżeli spróbuję uciec. I że mnie zabije.

Ten Tapia nie może być takim głupcem, pomyślał Jonasz. Gdyby mu przemówić do rozsądku... Postanowił najpierw sam spróbować, a w razie niepowodzenia poprosić o to duchownych: ojca Sebba albo Espinę.

– Jeśli mi pozwolicie, zobaczę, co da się zrobić – powiedział z zakłopotaniem, czując, że to zbyt duża poufałość. Poczł się jeszcze gorzej, gdy hrabina zaczęła opowiadać o swoim romansie z Tapią. Wolałby tego nie słyszeć.

– To moja wina. Widziałam przecież, jak na mnie patrzy. Od dawna. Powinmam go była zniechęcić, ale ja wolałam go zwodzić. Pochlebiał mi ten jego głodny wzrok... Niczym mi to nie groziło, bo wiedziałam, że boi się mojego pana i nigdy by się nie ośmielił sięgnąć po jego żonę. Znali się od lat. Tapia służył hrabiemu, skupując dla niego relikwie. Fernán zna ludzi łasych na takie rzeczy i zawsze umiał je odsprzedać z zyskiem.

Jonasz w milczeniu słuchał tych wynurzeń.

– Gdy Fernána powaliła ta okropna niemoc, ogarnął mnie strach. Bo... co tu dużo mówić, jestem kobietą, która potrzebuje męskiego ramienia. Pewnej nocy... to ja poszłam do komnaty Tapii – wyznała szczerze. – Ale... spotkał mnie zawód. Ten człowiek to okrutnik, prawdziwa bestia. Obmyślił sobie, że mnie poślubi, jak tylko zostanę wdową. Nie dlatego, że darzy mnie uczuciem... Hrabia nie ma dziedzica. Jego tytuł wygaśnie, a cała fortuna przejdzie po mojej śmierci na własność Korony, ale póki żyję, mogę z niej korzystać. Dlatego Tapia chce mnie poślubić, a gdy tak się stanie, postara się,



bym żyła jak najdłużej. – Zabrzmiało to bardzo gorzko. – W przeciwnym razie grozi mi śmiercią. Chce pieniędzy.

– Jest też coś jeszcze – podjęła po chwili. – Wbił sobie do głowy, że Fernán ukrył w tym zamku coś bardzo cennego. Teraz już wierzy, że nic o tym nie wiem, ale przedtem nie dawał mi spokoju. Nadal tego poszukuje i póki nie znajdzie, nie ruszy się z zamku.

Jonaszowi z wrażenia zabrakło tchu.

– Czy to relikwia? – ośmielił się wreszcie zapytać.

– Nie wiem, nie wiem! Och, señor, nie zaczynajcie teraz wy mnie dręczyć! – Podniosła się chwiejnie i dotknęła twarzy. – Będę miała bliznę?

– Tak, ale niewielką – pocieszył ją Jonasz. – Z początku będzie czerwona, z czasem jednak zblednie. Mam nadzieję, że prawie nie będzie jej widać.

Uklonił się hrabinie i wyszedł. Pora była zająć się jej mężem.

## **Rozdział 44**

### ***Wiosna***

Jeszcze w tym samym dniu Jonaszowi dopisało szczęście. Kiedy ojciec Sebbo zastąpił go przy chorym, ruszył znowu na poszukiwania i tak zawędrował do piwnic. Znalazł tam wielką szafę pełną zakurzonych ram od obrazów, połamanych krzeseł i innych starych rupieci – i oto na górnej półce zobaczył dwa rzędy masywnych poczerniałych kubków. Tknięty przecuciem, wziął jeden do ręki i podszedł z nim do okienka. Nie omyliła go pamięć – pucharek był dziełem ojca! Nie czyszczone od wielu lat srebro nabrało szaroczarnej barwy, lecz na spodzie widniały czytelne litery „CT”. Podniecony odkryciem, zaczął badać wszystkie po kolei. Były proste w kształcie, ale bardzo piękne, czasie miały z litego srebra,

a podstawy z elektrum. Dwa spośród dziesięciu były mocno uszkodzone, pełne rys i głębokich wgnieceń, jakby ktoś z całej siły ciskał nimi o ścianę, chcąc w ten sposób wyładować wściekłość. Ale zaraz... Pamiętał doskonale, że hrabia Vasca zalegał ojcu z zapłatą za dwanaście naczyń do wina, tu natomiast było ich tylko dziesięć. Skrupulatnie przetrząsnął całą szafę w nadziei, że być może te dwa brakujące zawieruszyły się gdzieś wśród rupieci, ale nie, tutaj ich nie było.

Przez kolejne dwa dni wymykał się do piwnicy tylko po to, by potrzywać w ręku te ojcowskie kubki, nacieszyć się ich wagą i kształtem. Za trzecim razem zastał tam Daniela Tapię. Najwidoczniej on także prowadził poszukiwania, gdyż cała zawartość szafy rozrzucona była po podłodze.

– Czego tu chcecie? – warknął arogancko.

– Niczego w szczególności, señor – odrzekł Jonasz z dobrze udaną swobodą. – Podziwiam jedynie piękno tego zamku. W przyszłości będzie o czym opowiadać dzieciom.

– Jak tam hrabia? Myślicie, że umrze?

– Tak, myślę, że tak.

– Kiedy? – spytał niecierpliwie Tapia.

Jonasz wzruszył ramionami i zmierzył go chłodnym spojrzeniem. Odkąd Adriana zwierzyła mu się z tego, co wycierpiała od pierwszego męża, krew zaczynała się w nim burzyć na samą myśl o brutalach znęcających się nad kobietami.

– Zmuszony byłem niedawno opatrywać małżonkę hrabiego Vaski. Mam nadzieję, że wielmożna pani nie dozna więcej podobnych obrażeń – powiedział znacząco.

W złych oczkach Tapii odbiło się niedowierzanie: nie mieściło mu się w głowie, że jakiś medyk ma czelność przemawiać do niego w ten sposób!

– Wypadki chodzą po ludziach – wycedził. – Na waszym miejscu na przykład nie łąziłbym po zamku ot tak, bez eskorty... Ktoś może was wziąć za złodzieja i nieszczęście gotowe!

– Nieszczęście spotkałoby tego, kto by mnie spróbował zranić albo zabić – odrzekł Jonasz z niemiłym uśmiechem. – Dawno minęły te czasy, kiedy byle łotrzyk mógł na mnie bezkarnie nastawać.

Wygłosivszy to ostrzeżenie, oddalił się rozmyślnie powolnym krokiem.

Niedwuznaczne pogrożki Tapii nasuwały oczywisty wniosek: ten zuchwalec jest przekonany, iż to, czego szuka, zostało ukryte gdzieś w zamku, dlatego tak mu zależy, aby nikt się tutaj nie kręcił. Pewnie! Ktoś przecież mógłby go ubiec. Wiedząc już teraz, że w osobie Tapii będzie miał twardego rywala, Jonasz z tym większą energią zabrał się do poszukiwań. Obmyśliwszy sobie plan wędrówki, zaczął systematycznie przetrząsać zamkowe komnaty, korytarze i antykamery, zapuszczając palce w każdą ścienną wnękę, w której podobnie jak w jego domowym schowku mogła kryć się cenna zawartość. Niestety, jeśli udawało mu się coś tam znaleźć, to tylko pajęczyny albo mysie gniazda. Wkrótce z pustymi rękami wrócił do punktu wyjścia. Stojąc przed wielką kamienną trumną, godną szczątków udzielnego księcia, raz jeszcze przestudiował wyrytą na niej inskrypcję:

„Cum Matre Matris Salvus”

Łaciny zaledwie liznął, a ciekaw był, co to znaczy, natknąwszy się zatem na ojca Guzmána, który czyniąc zadość swoim świeckim powinnościom stał akurat na schodach, nadzorując naprawę uszkodzonej balustrady, nie omieszkał skorzystać z okazji.

– Czy znacie łacinę, ojczcze?

– Ma się rozumieć! – brzmiała dumna odpowiedź.

– Na trumnie, w której kazał pochować się hrabia, jest łaciński napis: „Cum Matre Matris Salvus”. Chciałbym się dowiedzieć, co to znaczy.

– Inskrypcja ta głosi – odrzekł z ważną miną duchowny – iż hrabia po śmierci pozostanie na wieczność u boku Najświętszej Matki Zbawiciela.

Czemu Jonasz tej nocy nie mógł zmrużyć oka?

Kiedy szarym świtem doszedł go odgłos wiosennej ulewy, wyskoczył z łóżka i pochwyciwszy pochodnię, popędził do pomieszczenia z trumną, gdzie z najwyższą uwagą jął się jej przyglądać.

Siedząc nieco później przy chorym, niecierpliwie oczekiwał ojca Sebba.

– Ojcie – zapytał, zrywając się z krzesła na widok starego kapłana – czy dobrze znacie łacinę?

– Ha – uśmiechnął się duchowny – znajomość łaciny to jedyny powód, który czasem dziś jeszcze przywodzi mnie do grzechu pychy.

– A jak byście przetłumaczyli słowa „Cum Matre Matris Salvus”?

Uśmiech jak zdmuchnięty zniknął z twarzy księdza, na policzki wybiła mu krew.

– Co?! – rzucił szorstko.

– Pytam, co to znaczy?

– Jak... skąd przyszły wam na myśl te akurat słowa?

– Znamy się od niedawna, ojcie, rozumiem zatem wasze wątpliwości. Spróbujcie jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, czy możecie mi zaufać.

Sebbo chwilę milczał, patrząc mu w oczy.

– Mogę – powiedział z westchnieniem. – Muszę wam zaufać. Napis ten znaczy: „Bezpieczny z Matką Matki”. – Krwiste rumieńce zniknęły mu z twarzy.

– Wiem, ojciec Sebastianie, czegoście szukali przez tyle lat – powiedział łagodnie Jonasz – i myślę, żeśmy to znaleźli.

Nocą wspólnie zbadali trumnę. Ogromne kamienne wieko oparte o ścianę u jej wezgłowia było monolitem wyciętym z jednego fragmentu skały. Z podobnych monolitów wykonano spód trumny oraz trzy jej boki, czwarty natomiast był inny – wyraźnie grubszy od swego odpowiednika po przeciwnej stronie. Górny brzeg tego boku stanowiła poziomo osadzona płyta z inskrypcją.

– Posłuchajcie, ojciec – szepnął Jonasz, stukając ręką w ów napis. – Słyszycie? W środku jest puste miejsce. Musimy wyjąć tę płytę.

– Nie teraz – jął hamować go kapłan. – Za blisko stąd do komnat sypialnych, a zrobić to za dnia będzie jeszcze trudniej. Niedaleko jadalnia, w dodatku wciąż kręcą się tu ludzie... Trzeba poczekać na chwilę, gdy wszyscy w tym zamku, służba i żołnierze, będą zajęci czym innym.

Wypadki jednak nie pozwoliły im zbyt długo czekać. Jeszcze przed nadejściem następnego ranka Jonasz został gwałtownie wyrwany ze snu przez służącą, która nocą czuwała przy Vasce. Hrabia znów doznał ataku. Pół twarzy tak mu obwisło, że lewe oko znajdowało się teraz niżej niż prawe. Puls bił mu mocno i szybko, z piersi wydobywał się powolny, rzęzący oddech. Już sam ten oddech zwiastował nieuchronny koniec.

– Prędko! Sprowadź wielmożną panią i księży! – nakazał Jonasz kobiecie.

Przybyli co tchu wszyscy razem. Hrabina z włosami w nieładzie i różańcem w ręku, ojciec Guzmán przybrany w stosowne na tę okoliczność fioletowe szaty liturgiczne, z przewieszoną przez ramię stułą, którą ojciec Sebbo należycie założył mu na szyję dopiero przy łożu chorego.

Hrabiemu oczy wychodziły z orbit. Jego wygląd przypomniał Jonaszowi fragment dzieła Hipokratesa z opisem nadchodzącej śmierci: „Nos ostry, skronie zapadnięte, uszy zimne i wydłużone, ich płatki zwiotczałe i zmięte, skóra na twarzy twarda, naprężona i sucha, kolor twarzy szary”

Ojciec Sebbo otworzył złotą buteleczkę z olejami świętymi i wylał kropelkę krzyżma na prawy kciuk ojca Guzmána, który uroczyście namaścił nim oczy i uszy, a po nich dłonie i stopy umierającego. Komnatę wypełnił mocny aromat melisy i egzotycznych korzeni; zaraz potem czternasty i ostatni hrabia na Tembleque wydał z siebie długie zdławione westchnienie – ostatnie.

– Został rozgrzeszony – oznajmił Guzmán. – Jego czysta dusza stoi w tej chwili przed obliczem Pana.

Jonasz i ojciec Sebbo porozumieli się wzrokiem, myśląc o tym samym: kamienna trumna spocznie wkrótce głęboko pod ziemią. Trzeba działać.

– Musimy powiadomić służbę i żołnierzy o zgonie ich pana. Trzeba zaraz zgromadzić wszystkich na dziedzińcu i odprawić uroczystą mszę za jego duszę – oświadczył ojciec Sebbo.

– Tak myślicie? – zatroskał się ojciec Alberto. – Tyle jest do zrobienia... – Jako świecki zarządca zamku miał teraz na głowie mnóstwo obowiązków.

– Najpierw nabożeństwo. To rzecz najważniejsza – stwierdził stanowczo starszy duchowny. – Będę wam asystował w ostatniej posłudze, jednakże pośmiertne posłanie musicie wygłosić wy, wielebny ojcze. Ja, cóż... jako mówca nie mogę się z wami równać.

– Ach, to nieprawda! – skromnie zaprotestował ojciec Guzmán, lecz mile połączony komplementem, już bez dalszych ceregieli zgodził się wygłosić żałobne orędzie.

– Medyk niech tymczasem umyje zmarłego i godnie przygotuje ciało do pochówku – zarządził ojciec Sebbo.

Jonasz skinieniem głowy przyjął to do wiadomości.

Dopóty udawał, że wciąż jeszcze krząta się przy zmarłym, dopóki nie zaczęła się msza. Dopiero gdy z dziedzińca dobiegły go głosy obu kapłanów intonujących modlitwy, a po nich chóralne odpowiedzi wiernych, popędził do magazynu.

Uzbrojony w zgłębnik chirurgiczny, jał pospiesznie zdrapywać murarskie spoiwo dookoła płyty z inskrypcją. Uśmiechnął się w duchu, gdy przyszło mu na myśl, jak zdumiony byłby mistrz Fierro widząc, do jakiej roboty można użyć tego instrumentu! Niewielkie narzędzie sprawiało się całkiem dobrze. Oczyszczył już z zaprawy dwie krawędzie płyty, gdy usłyszał za sobą:

– A cóż ty tu robisz, medyku?

Ze wzrokiem utkwionym w trumnę stał za nim Daniel Tapia.

– Sprawdzam, czy... czy wszystko tu jest gotowe.

– W rzeczy samej! – w głosie Tapii słychać było kpinę. – Myślisz więc, że ów przedmiot został tam ukryty? Mam nadzieję, że się nie mylisz! – warknął, wyrywając nóż z pochwy.

Najwidoczniej nie zamierzał podnosić alarmu, co oznaczało, rzecz jasna, że sam chce przetrząsnąć trumienną skrytkę, pozbywszy się najpierw rywala. Oceniając swe szanse, Jonasz musiał przyznać, że tamten ma nad nim przewagę. Obaj byli wprawdzie równego wzrostu, ale Tapia przewyższał go wagą, w dodatku miał nóż, podczas gdy on trzymał w ręku jedynie malutki zgłębnik. Zamarkował atak tą niegroźną bronią i uskoczył w bok, ledwie unikając zadanego z rozmachem ciosu. Ostrze minęło go o pół palca, rozcinając mu tunikę aż do pasa. Uratowało go to, że czubek noża zahaczył o materiał, opóźniając następny atak. Bo choć była to

zwłoka nie dłuższa niż jedno uderzenie serca, zdążył w tym czasie chwycić Tapię za przegub uzbrojonej ręki i mocno nim szarpnąć.

Zrobił to bardziej odruchowo niż z rozmysłem, skutek był jednak taki, że napastnik stracił równowagę i runął naprzód, lądując całym swym ciężkim ciałem w poprzek otwartej trumny. Nie przestał wszakże być groźny, nie wypuścił bowiem z ręki noża, a mimo pokaźnej wagi potrafił być piekielnie szybki...

Pokrywa! Chwyciwszy bez namysłu oparte o ścianę wieko, Jonasz zwątpił, czy zdoła je bodaj poruszyć, lecz gdy napinając mięśnie aż do bólu, odchylił od ściany brzeg kamiennej płyty, jej własny ciężar wyrwał mu ją z ręki i pociągnął na dół. Tapia zaczynał się właśnie podnosić, gdy ów ciężar spadł mu na kark. Jego ciało stłumiło nieco odgłos upadku, mimo to huk, chociaż głuchy, odbił się echem w całym pomieszczeniu.

Jonasz na chwilę zamarł: a jeśli usłyszano go na dziedzińcu? Na szczęście modły wciąż trwały. Widząc, że Tapia wciąż dzierży nóż, z niemałym trudem wyłuskał go z kurczowo zaciśniętych palców. Stękając z wysiłku, ostrożnie dźwignął kamienne wieko.

– Tapia? – Odpowiedzi nie było. – Och, nie, do diabła! – mruknął półgłosem widząc, że niedawny przeciwnik jest martwy. Wieko złamało mu krzyż.

Nie było czasu na żale. Zataszczył denata do jego sypialni, ułożył na pościeli, zdjął z niego wierzchnie odzienie i zamknął mu oczy.

Z desperackim pośpiechem powrócił do pomieszczenia z trumną. Msza już się skończyła, z dziedzińca dobiegał nosowy głos mówcy sławiącego chwalebnie chrześcijański żywot hrabiego Fernána Vaski. Teraz liczyła się każda chwila.

Usunąwszy ostatnią warstwę zaprawy, uniósł wreszcie płytę z inskrypcją i tak jak przypuszczał, zobaczył pod nią głęboką skrytkę. Gdy drżąc z podniecenia zapuścił tam rękę, natrafił na coś obłego,



grubo omotanego kilkoma warstwami tkanin. Z zewnątrz ów przedmiot spowity był płótnem, spod którego wyłoniła się pięknie haftowana jedwabna sakwa. Rozwiązał ją drżącymi palcami i oto trzymał go w ręku: srebrno-złoty relikwiarz, najwspanialsze dzieło swego ojca, które jak na ironię zgubiło jego rodzinę, przynosząc jej tylko nieszczęście i śmierć.

Po południu hrabina znalazła martwego Tapię. Na jej krzyki natychmiast wezwano medyka i księży.

Dla Jonasza była to nadzwyczaj ciężka próba. Już dwa razy w życiu z powodu zabójstwa musiał borykać się z własnym sumieniem, mówiąc sobie na koniec, że w obu wypadkach było ono usprawiedliwione. Tak, ale wtedy nie był medykiem. Nie musiał fałszywie stwierdzać zgonu człowieka, którego pozbawił życia. Teraz czuł, że w szczególnie niegodziwy sposób korzysta z przywileju własnej profesji. Bał się nawet pomyśleć, co by o tym powiedział Nuño.

– Señor Tapia zmarł nagle – oznajmił obecnym, co w ostateczności można było uznać za prawdę, zakończył już wszakże wierutnym kłamstwem: – Śmierć zaskoczyła go we śnie.

– Czy to jakaś zaraza, która może zagrozić nam wszystkim? – spytał trwożnie ojciec Alberto.

Jonasz spiesznie uspokoił go, że nie; to jedynie czysty przypadek, iż hrabia i jego wspólnik zmarli jednego dnia. Mówiąc to, podchwycił dziwne spojrzenie wdowy.

– Daniel Tapia nie miał żadnych krewnych, nie musimy więc nikogo zawiadamiać – powiedziała spokojnie. Wstrząs, jakiego doznała znalazłszy zwłoki, już minął. – Nie życzę sobie, by pochówek tego człowieka przeszkadzał nam w uroczystościach ku czci mego męża – dodała już z wyraźnym chłodem.

Wypełniając ów rozkaz, owinięto zmarłego w derkę, którą miał pod sobą, wyniesiono poza mury zamku i tam pogrzebano – szybko i bez zbędnych ceremonii. Obecni byli tylko ojciec Sebbo, który odmawiał żałobne modlitwy, Jonasz, który od czasu do czasu mruczał „amen”, oraz dwaj żołnierze, którym polecono wykopać mogiłę, a po złożeniu ciała gładko wyrównać ziemię.

W zamku tymczasem trwały przygotowania do uroczystego pogrzebu.

O zmierzchu zwłoki hrabiego otoczone dziesiątkami świec spoczęły w paradnej sali. Aż do świtu czuwały nad nim służebne kobiety, wspominając przyciszonym głosem życie i czyny swojego pana.

Przed południem dwunastu krzepkich rycerzy wzięło na ramiona królewski sarkofag, by w pełnym powagi milczeniu ustawić go pośrodku wielkiego dziedzińca. Chwilę potem ku trumnie ruszył długi korowód żałobników złożony z żołnierzy i służby. Mężczyźni oddawali zmarłemu honory, kobiety szeptały modlitwy. Gdyby komukolwiek przyszło wtedy na myśl dotknąć którejs z wąziutkich szczelin widocznych wokół płyty z łacińską inskrypcją, odkryłby ze zdumieniem, że wypełniono je dość niedbale cienką warstewką pomarańczowej maści do oczu, byle jak zmieszanej z resztkami zaprawy – jakby ktoś bardzo się spieszył. Nikt jednak nie patrzył na takie szczegóły. Wszystkie spojrzenia skupiała na sobie majestatyczna postać zmarłego pana zamku.

Fernán Vasca, czternasty hrabia Tembleque, przybrany w swą świetną zbroję, z rękami pobożnie złożonymi na piersi, przywodził na myśl rycerskie postacie z legend. U jednego boku miał hełm, u drugiego wspaniały miecz wykuty przez Paca Parmientę. Południowe słońce odbite w wypolerowanej stali otaczało go

kręgiem oślepiającego blasku podobnym ognistej aureoli, sprawiając, że wyglądał jak uśpiony święty.

To wczesnowiosenne słońce przypiekało już jednak tak mocno, że zbroja zaczęła niebawem buchać żarem jak rozgrzany rondel, a nad wonią aromatycznych ziół rozsianych po płytach dziedzińca coraz bardziej brał górę przenikliwy odór rozkładu i śmierci. W tych okolicznościach hrabina zmuszona była zrezygnować z pozostawienia ciała na dziedzińcu przez kilka następnych dni, by jak mówiła, „pozwolić maluczkim z całej okolicy pożegnać swego pana”.

W rogu dziedzińca obok grobów trzech poprzednich hrabiów wykopano głęboką mogiłę. Cała armia ludzi brała udział w przeniesieniu ciężkiego sarkofagu na miejsce wiecznego spoczynku, lecz gdy ustawiono go już nad mogiłą, hrabina niespodziewanie powiedziała ludziom, że mają się wstrzymać, sama zaś spiesznie pobiegła do zamku.

Wróciła po paru chwilach z jedną szlachetną różą na długiej wysmukłej łodyżce. Umieściwszy ją w dłoniach zmarłego męża, skinęła na ludzi, że mogą opuszczać trumnę.

Jonasz, który do tej chwili stał w odległości jakichś ośmiu kroków, teraz dopiero tknięty nagłą myślą gwałtownie postąpił naprzód. Ta róża!... Wydawała się tak prawdziwa, jakby właśnie zerwano ją z krzaka. Ale... Czy kiedykolwiek w życiu widział tak doskonale piękną różę? Chciał podbiec bliżej, było już jednak za późno. Wielkie kamienne wieko opadło na trumnę, zasłaniając łaciński napis, martwego rycerza i cudowną złocistą różę z wysmukłą srebrną łodyżką.

## **Rozdział 45**

### ***Pożegnania***

Jonasz zbierał się do wyjazdu. Kiedy rankiem pakował sakwy, odwiedziła go młoda wdowa, cała w żałobnej czerni. Ze spiczastego czepca spływał jej na twarz czarny welon, zasłaniając niewielką bliznę, z której zaledwie przed paroma dniami ostrożnie usunął szwy.

– Jadę do Madrytu – oznajmiła. – Tutaj wszystkim zajmie się rządca, którego przyśle mój ojciec. Pojedziesz ze mną, medyku?

– Nie mogę, señora. W Saragossie czeka na mnie żona.

– Szkoda – westchnęła. – Musisz zatem odwiedzić mnie później – podjęła zaraz z uśmiechem. – Może kiedyś zapragniesz odmiany? Mój ojciec hojnie cię wynagrodzi. Gdyby nie ty, Tapia wyrządziłby mi wielką krzywdę.

Minęła chwila, nim Jonasz zrozumiał, co ta kobieta sobie uroiła: że zabił Tapię, aby jej bronić.

– Mylicie się, señora, tak oceniając to, co się stało.

– Nie, ja się nie mylę. – Postąpiła krok naprzód i podniosła welon.

– Musisz przyjechać do Madrytu, bo wiedz, że i ja pragnę cię sowicie wynagrodzić. – Pocałowała go w usta i wyszła.

A to dopiero! myślał zły i zatroskany. Kiedy zacznie opowiadać ojcu, jak to pomógł jej pewien medyk z Saragossy... Do licha! Każdy, kto to usłyszy, od razu pomyśli, że ów medyk posłużył się dla niej trucizną! Ludzie zaczną szeptać, a plotka ma skrzydła. Niech to wszyscy diabli! Musiał przyznać, że ta kobieta to łakomy kąsek, nawet gdyby nie była młoda i piękna, ale właśnie dlatego poprzysiągł sobie z daleka omijać Madryt.

Zanim skończył pakowanie, złość mu przeszła. Wychyliwszy się z okna, zobaczył hrabinę i wbrew sobie musiał się uśmiechnąć: wyjeżdżała właśnie za bramę w towarzystwie młodego, nadzwyczaj krzepkiego gwardzisty. Ha, pewnie i jemu obiecała sowitą nagrodę w Madrycie.

Kiedy nieco później wyszedł na dziedziniec, ojciec Sebbo z tobołkiem na plecach i długim kijem w ręku stał już gotowy do drogi, wymieniając pożegnalne grzeczności z ojcem Guzmánem.

– Przychodzę w sprawie zapłaty – oznajmił Jonasz zarządcy.

– Ach, tak... Ale teraz to niemożliwe. Trzeba wpierw wdrożyć procedury spadkowe i ustalić kwestie własności. Kiedy wszystko to zostanie załatwione, pośrednik wypłaci wam zasługi.

– Mógłbym zamiast pieniędzy przyjąć coś innego – zaproponował Jonasz. – Widziałem tu na przykład dziesięć srebrnych kubków.

– Dziesięć srebrnych kubków! – powtórzył Guzmán ze zgrozą. – A nie uważacie, iż ich cena wielokrotnie przewyższa stawkę najznamienitszego medyka? – rzucił sucho. A ty w dodatku nie umiałeś uratować chorego, mówiło jego spojzenie. – Weźcie cztery, jeśli chcecie.

– Ojciec Francisco Rivera de la Espina zaręczył mi własnym słowem, że zostanę dobrze wynagrodzony.

Alberto Guzmán wiedział z doświadczenia, ile zamieszania potrafią narobić dostojnicy z kurii, nie zamierzał jednak zbyt łatwo ustąpić.

– Zatem sześć – powiedział twardo.

– Zgodzę się na sześć, jeśli mi sprzedacie pozostałe cztery. Oglądałem te kubki. Dwa są paskudnie pokiereszowane.

Cena, którą ojciec Guzmán wyznaczył za cztery pucharki, była nieprzyzwoicie wysoka, lecz dla Jonasza znaczyły one więcej niż te pieniądze. Zdecydował się bez wahania zapłacić żądaną sumę, choć dla zachowania pozorów udawał niezadowolony.

Ojciec Sebbo, który z lekkim uśmiechem przysłuchiwał się całej rozmowie, teraz już powiedział „do widzenia” i po chwili przez nikogo nie zatrzymywany przeszedł przez bramę, po raz ostatni błogosławiąc uniesioną dłonią żegnających go z muru strażników.

Po godzinie ci sami strażnicy zatrzymali przed bramą Jonasza.

– Wybaczcie, señor, lecz mamy rozkaz przeszukać wasze sakwy – wyjaśnił zakłopotany sierżant.

Wszystko, co tak starannie pakował przez cały ranek, zostało wyrzucone na ziemię, lecz choć widok ten wzbudził w nim furie, utrzymał nerwy na wodzy.

– Na te pucharki mam pokwitowanie – powiedział w miarę spokojnie.

W końcu pozwolono mu jechać. Przeprowadził Hermanę przez bramę i zaraz za murem porządnie upakował swoje rzeczy. Bez żalu opuszczał ten zamek.

Przed siedzibą biskupstwa czekał już ojciec Sebbo.

– Dotarliście tu bez kłopotu?

– Podwiózł mnie znajomy woźnica. Jechałem sobie jak król.

Razem weszli do budynku, gdzie zasiedli na ławie, czekając w milczeniu, aż brat odźwierny zaanonsuje ich Espinie. Wrócił po paru chwilach z wiadomością, że ojciec Espina jest teraz wolny i może ich przyjąć u siebie.

Jonasz zauważył, że młody duchowny zdziwił się wyraźnie, widząc go w towarzystwie Sebastiana Alvareza. Wyjaśnienia wziął na siebie ojciec Sebbo.

– Czeka was długa i dziwna historia – powiedział, gdy już wszyscy usiedli za stołem, a otrzymawszy zapewnienie, że zostanie wysłuchana z uwagą, zaczął opowiadać o młodym i bardzo ambitnym księdzu, który chciał być przeorem wielkiego zakonu, korzystając zatem z rodzinnych koneksji wyżebrał od Rzymu cenną relikwię.

Ta wielka świętość stała się niestety przedmiotem intryg, kradzieży i morderstw. Tu ojciec Sebbo wspomniał też o pewnym

medyku, który przez to wszystko stracił życie – dlatego, że pewien kapłan poprosił go o przysługę...

– To był wasz ojciec, Bernardo de la Espina, a tym kapłanem byłem ja – wyznał ojciec Sebbo. – Postanowiłem odzyskać to, co nam skradziono. Przez długie lata wszędzie, gdziekolwiek zaniósł mnie nogi, starałem się czegoś dowiedzieć. Nie było to łatwe. Ludzie najczęściej wzruszali ramionami, ale ja byłem uparty, a i czasu miałem pod dostatkiem. Tu usłyszałem słówko, tam drugie, a wszystkie wskazywały na hrabiego Vascę. Zacząłem więc odwiedzać Tembleque, i to na tyle często, że wszyscy tam przywykli do mego widoku... Lecz choć oczy i uszy miałem wciąż otwarte, moje starania pewnie by nie zdały się na nic, gdyby Bóg Wszechmogący nie przywiódł do zamku tego oto medyka, za co składam Mu gorące dzięki.

Espina słuchał tej opowieści z ogromną uwagą, która przeszła w zdumienie i podziw, kiedy ojciec Sebbo wydobyl z sakwy omotany płótnem relikwiarz, odwinął go ostrożnie i ustawił pośrodku stołu.

Wszyscy trzej długą chwilę podziwiali go bez słowa. Srebro poczerniało, ale złoto nie zmieniło barwy, a święte postacie i wspaniałe ornamenty nawet grubo pokryte patyną przyciągały oko swym pięknem.

– Bóg prowadził rękę tego mistrza – szepnął Francisco Espina.

– O tak! – potwierdził ojciec Sebbo, zdejmując pokrywę z kielicha.  
– A teraz spójrzcie tutaj. – Obaj księża uczynili znak krzyża. – Patrzcie i nasyćcie oczy tym widokiem, bo zarówno relikwię świętej Anny, jak i to piękne cyborium trzeba jak najrychlej odesłać do Rzymu, a gdy tak się stanie, więcej ich już pewnie nie ujrzymy. Wiedząc, jak długo nasi przyjaciele ze Stolicy Apostolskiej zwlekają z wydaniem

ponownego certyfikatu prawdziwości w przypadku skradzionych relikwii, wątpię, by stało się to jeszcze za naszego życia.

– Tym razem będzie inaczej – powiedział Espina. – Dzięki wam. Mamy w was bowiem wiarygodnych świadków. Ha, sprawa skradzionej kości świętej Anny zyskała wielki rozgłos, gdy więc teraz rozejdą się wieści o jej odnalezieniu, obaj staniecie się sławni!

– Pozwólcie, ojcze, że wam przerwę – żywo odezwał się Jonasz. – Mówiliście mi kiedyś, że gdybym potrzebował waszej pomocy, wystarczy jedno moje słówko. Otóż mam pewną prośbę. Sprawcie, by tego odkrycia nie łączono z moją osobą.

Zakłopotany takim obrotem sprawy Espina przez chwilę rozważał to sobie w milczeniu.

– A wy, ojcze Sebastianie, co sądzicie o prośbie señora Callicó?

– Popieram ją całym sercem. Wiem, że dobry z niego człowiek. W życiu zdarzają się chwile tak osobliwie trudne, że anonimowość staje się wtedy największym dobrodziejstwem nawet dla uczciwych ludzi.

– Tak, chyba macie rację – westchnął Espina. – Był czas, gdy i mój ojciec mógłby mieć taką prośbę. Jakiegokolwiek są wasze powody, señor Callicó, ja na pewno nie uczynię nic takiego, co by mogło wam wyrządzić krzywdę. Powiedzcie jednak, czy nie mógłbym być wam pomocny w czym innym?

– Dziękuję, ojcze, lecz doprawdy nie mam o co prosić.

– Wy przynajmniej, ojcze Sebastianie, powinniście być na miejscu, by zaświadczyć o tym, co wydarzyło się w zamku Tembleque. Czy nie chcecie, bym znalazł wam lepsze zajęcie niż ta ciągła wędrówka wśród biednych z kijem i sakwą żebraczą?

– Nie, wielebny ojcze. Święta Anna odmieniła moje życie, ukazując mi taką postać kapłaństwa, jakiej kiedyś sobie nawet nie wyobrażałem... A przyniosło ono prawdziwą radość mej duszy. Chcę



do końca pozostać kapłanem ubogich, dlatego bardzo was proszę, nie wymieniajcie mego imienia, chyba że inaczej się nie da.

– Dobrze. Musicie mi jednak szczegółowo opisać, jak doszło do odzyskania tych świętych przedmiotów. Skoro żaden z was nie chce się ujawnić, spróbujemy załatwić to inaczej. Biskup Sagasta darzy mnie zaufaniem, liczę więc, że zdołam go przekonać, aby wysłał te rzeczy do Rzymu z wyjaśnieniem, iż zostały odnalezione przez Oficjum Świętej Wiary w Toledo. Powiemy, że odkryto je w zamku Tembleque po śmierci hrabiego Vaski, o którym wiadomo było od dawna, że jest handlarzem relikwii.

Widać było, że owa koncepcja podoba mu się coraz bardziej.

– W Rzymie panuje teraz duży ruch – mówił dalej. – Zburzono starą bazylikę Konstantyna, nad grobem świętego Piotra ma powstać wielka świątynia... Wiem, że biskup Sagasta pragnie znaleźć się w Watykanie, a ja razem z nim. Nie zaszkodzi – dodał z uśmiechem – gdy do jego reputacji wielkiego historyka Kościoła dojdzie sława znalazcy bezcennej relikwii i tak wspaniałego cyborium.

Jonasz i ojciec Sebastian długo patrzyli sobie w oczy, stojąc przed gmachem biskupstwa.

– Ojciec – odezwał się Jonasz – wiecie, kim jestem?

– Nie chcę słyszeć żadnych imion – żywo zaprotestował Sebastian, kładąc mu na ustach szorstką rękę – ale coś wam powiem. Przypominacie mi kogoś. Pewnego bardzo zacnego człowieka, którego znałem przed laty. Był prawdziwym artystą.

– Żegnajcie, ojciec – uśmiechnął się Jonasz.

Objęli się i uściskali.

– Idź z Bogiem, synu.

Jonasz chwilę jeszcze stał na ulicy, śledząc oddalającą się krępa sylwetkę i targaną wiatrem strzechę siwych włosów. Patrzył, jak

dawny wytworny przeor wraca do swych ubogich z sakwą żebraczą w rękę i wielką radością w sercu. Jakże dziwnie toczy się życie!...

Wyjechał poza rogatki Toledo i stanął na polu, gdzie niegdyś był żydowski cmentarz. Nie pasły się tu dzisiaj żadne kozy ani owce. Na szczątkach zmarłych pięknie wyrosła zielona murawa. Pozwolił klaczy się popaść, sam zaś zmówił kadisz za matkę, Meira i wszystkich, którzy kiedykolwiek spoczęli pod tą murawą. Potem powrócił do miasta. Pragnął znowu przejść się ulicami, wśród których upłynęły mu najszcześniejsze, prawdziwie bezgrzeszne dni życia. Chciał znów stanąć na brzegu urwiska i zobaczyć wijącą się w dole rzekę swojego dzieciństwa.

\*

Synagogę zajęli drwale. Na schodach i przed całym frontem budowli piętrzyły się sterty polan. Pojechał dalej i zatrzymał konia dopiero przed swym dawnym domem.

Pozostałem żydem, *aba*, powiedział duchowi ojca.

Cieniste drzewo nad grobem Chilkiasza już dawno przerosło dom; pokryte gęstym listowiem gałęzie kołysały się nad niskim dachem, szeleszcząc cicho w lekkich podmuchach wiosennego wiatru.

Całym sobą czuł obecność ojca, jego ciepłą bliskość.

Nieważne, czy było tak naprawdę, czy tylko to sobie wyobrażał. Opowiedział mu w myślach o wszystkim, co stało się tam, w Tembleque, czując, jak ogarnia go ulga. Bo choć tych, co umarli, nic nie przywoła do życia, a to, co utracone, nigdy już nie wróci, postąpił, jak trzeba... Wymagała tego jakaś wyższa sprawiedliwość. Teraz historia relikwiarza została nareszcie zamknięta. Tu się zaczęła i tu się kończy.

Ten dom... Tutaj umarła matka...

Cieszę się, *aba*, że jestem do ciebie podobny. Powiedział mi to dziś Sebastian. A Eleazar? Czy też ma twoje rysy? Czy widząc go w tłumie na ulicy, rozpoznałbym swego brata?

Tu, gdziekolwiek spojrzeł, wydawało mu się, że widzi chudziutkiego chłopca z dużą głową.

„Jonaszu, pójdziemy nad rzekę?”

„Jonaszu, a nie mógłbym iść z tobą?”

Powrócił do rzeczywistości, gdy uderzyła go w nozdrza fala przykrego odoru – garbarnia działała nadal.

Kocham cię, *aba*, powiedział, żegnając ojca.

Mijając posiadłość Marcela Troki, przekonał się, że dawny sąsiad wciąż żyje. Stał na polu obok swego osiołka, zakładając mu kantar.

– Dzień dobry, señor Troca! – zawołał głośno, trącając piętami konia.

Zdumiony starzec zastygł z ręką na karku zwierzęcia, zachodząc w głowę, kim jest ten dziwny jeździec na czarnej przepięknej klaczy. Patrzył tak w ślad za nimi, dopóki nie znikli mu z oczu.

## Rozdział 46

### *Stodoła*

Prawdziwy dom był teraz gdzie indziej. Prostokątny kawałek gruntu czy raczej długie, niewysokie wzgórze przecięte nitką wąskiego strumyka nie przypominało ogrodów Alhambry, a skromne domostwo nie było pałacem, ale Jonaszowi wystarczały w zupełności. Pasowali do siebie – on i to miejsce.

Tego roku wiosna wcześniej niż zwykle zawitała do Saragossy. Po powrocie ze swojej dalekiej wyprawy zastał drzewa owocowe na wzgórzu obsypane setkami białych i różowych pąków. Adriana powitała go śmiechem i łzami – jak kogoś, kto wrócił zza grobu.

Srebrne kubki wprowadziły ją w zachwyt. Warstwa czarnego osadu okazała się diabło oporna, a walka z nim długa i żmudna, lecz w końcu zwyciężył Jonasz. Zebrawszy z kurnika całe nagromadzone przez zimę łajno, polał je wodą i po namoczeniu pucharków godzinami cierpliwie nacierał każdą sztukę tą odrażającą mazią. Po dalszych zabiegach – czyszczeniu mydłem i długotrwałym polerowaniu miękkim sukniem – zaśniły wreszcie tak pięknie jak zbroja hrabiego Vaski. Adriana z dumą ustawiła je na małym stolyczku, który przesunęła w takie miejsce, aby płomienie z kominka dodawały im jeszcze blasku. Dwa porysowane obróciła uszkodzoną powierzchnią do ściany, tak że nie było nic widać.

W gaju pod szczytem wzgórza zapowiadał się piękny urodzaj – gałęzie uginały się wprost pod ciężarem malutkich zielonych oliwek. Uszczęśliwiona Adriana snuła już wielkie plany, jak to jesienią zaczną wyciskać oliwę; będzie tego tyle, że wystarczy im aż do wiosny! Pod nieobecność Jonasa nabyła kilka młodych kóz, by w przyszłości wyhodować całe stadko. Wprawdzie wbrew przysięgom kupca, że wszystkie trzy młódki są kotne, tylko jedna okazała się brzemienna, lecz ich nowa właścicielka przestała się tym przejmować, gdy w ostatnim tygodniu lata wyszło na jaw, iż sama jest przy nadziei. Po pierwszych gwałtownych uniesieniach promieniała teraz cichą radością. Jonasz ogromnie się cieszył, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, jak wielu zmian w jego życiu wymagać będzie ojcostwo.

Kiedy wczesną jesienią przybyli z wizytą Alvaro i Reyna, poszedł wraz z gościem na wzgórze wyznaczyć powierzchnię nowej stodoły. Przyjrząwszy się rozmiarom planowanej budowli, Alvaro poskrobał się w głowę.

- Potrzebna ci taka wielka stodoła? Wiesz, ile potrwa budowa?
- Niech trwa, ile musi – uśmiechnął się Jonasz. Miał swoje plany.

Umówili się, że ściany będą z kamienia, dach zaś kryty łupkiem, by wyglądał podobnie jak dach domu. Alvaro i jego młody pomocnik imieniem Lope zaczęli już jesienią gromadzić kamienie i zwozić je na wzgórze. Trwało to całą zimę.

Adriana zaczęła rodzić w pewien wietrzny marcowy wieczór. I oto o świcie Jonasz wziął na ręce swojego syna, a gdy noworodek rozdziawiwszy buzię wydał z siebie pierwszy i jakże donośny wrzask, wiedział już na pewno, że skończył się czas samotności, że to gorzkie uczucie opuściło go bezpowrotnie.

– Witaj na świecie, Chilkiaszu Callicó – powiedziała Adriana, ujmując w ramiona malutki żywy tłumoczek. A potem wyszeptała słowa, których nie wypowiadali nawet wtedy, kiedy byli tylko we dwoje: – Synu Jonasza Toledana.

Tej wiosny Alvaro i Lope położyli fundamenty, jak życzył sobie Jonasz, i zaczęli murować ściany. Sam Jonasz korzystał z każdej wolnej chwili, aby pójść na plac budowy i wziąć się wraz z nimi do pracy. Podpatrując Alvara, który znał się na tej robocie, bo zbudował już kilka domów, nauczył się wielu rzeczy: jak dobierać kamienie, żeby jeden pasował do drugiego, i jak układać je w murze, żeby ściany były mocne. Nalegał nawet na swych towarzyszy, by go nauczyli mieszania zaprawy, pytając, ile powinna zawierać sproszkowanych łupków i gliny, a ile piasku, wapienia i wody, aby można było mieć pewność, że utworzy się tęgą spoiwo.

– Cóż to, chcesz rzucić medycynę i zostać moim konkurentem? – żartował Alvaro, rozbawiony zapałem nowego ucznia, chętnie jednak udzielał mu wszelkich instrukcji. Dobrze im się razem pracowało.

W pierwszym tygodniu czerwca stodoła była gotowa. Jonasz podziękował przyjaciółom, uczciwie wypłaciwszy im należność, a gdy odjechali, zaczął dalej pracować już sam. Na razie gromadził budulec, zbierając kamienie i kawałki skały na terenie swojej posiadłości, a że z powodu upału mógł zajmować się tym tylko rano lub dopiero późnym popołudniem, trwało to dość długo.

W listopadzie mógł wreszcie przystąpić do budowy sekretnej komnatki, którą zamierzał urządzić w końcowej części stodoły. Tam też, wydzieliwszy z całości wąski kawałek powierzchni, wybudował ścianę wewnętrzną, zostawiając w samym jej rogu niewielki otwór wejściowy. Został on zamaskowany dość sprytnie czymś, co wyglądało jak skrzynia na drewno, ale było nią tylko w połowie: wysoki stos polan zajmował jedynie jej część frontową, zasłaniając zainstalowane z tyłu małe zapadkowe drzwiczki.

Sekretna komnatka była dosyć wąska, toteż za całe jej urządzenie służyły stół i dwa krzesła. Jonasz przeniósł tu z domu wszystko, co świadczyło o jego wierze i pochodzeniu: kubek do kiduszu, szabatowe świece, dwie hebrajskie księgi medyczne oraz kilka własnoręcznie zapisanych stronic, na których zanotował wszystkie modlitwy i błogosławieństwa, jakie zdołał sobie przypomnieć, specyficzne hebrajskie wyrażenia i stare żydowskie legendy.

W pierwszy piątek po ukończeniu tej pracy poszli z Adrianą i dzieckiem na wzgórze obok grobu Nuña wypatrywać trzech pierwszych gwiazd zwiastujących początek szabat. W stodole paliła się już lampa, wystarczyło więc tylko poodrzucać kłody maskujące ukryte drzwiczki. Jonasz z dzieckiem na rękę pierwszy wcisnął się do sanktuarium, a za nim Adriana z lampą.

Rytuał był bardzo skromny. Adriana zapaliła świece, wspólnie odmówili szabatowe błogosławieństwo, potem Jonasz zanucił Szma: „Słuchaj, o Izraelu, Bóg nasz i Pan jest Jeden!”

– Spokojnego szabatu, Adriano – powiedział, całując żonę.

– Spokojnego szabatu, Ramónie.

Siedzieli w tym zacisznym miejscu, myśląc o przyszłości.

– Spójrz na światełka, Chilkiaszu – powiedział Jonasz do dziecka.

Postanowił, że mały nie zobaczy już tej komnatki do czasu, aż zacznie samodzielnie myśleć. Nie będzie narażał dziecka, póki płoną stosy inkwizycji. Nie jest Abrahamem zdolnym złożyć Bogu ofiarę całopalną z własnego syna.

On, Jonasz, w sercu zawsze pozostanie żydem wiernym swej wierze i swoim tradycjom. Będzie odwiedzał to sanktuarium, aby się tu modlić, rozmyślać, oglądać pamiątki minionych czasów. A jeśli pożyje dość długo, by dochować się dzieci zdolnych już coś zrozumieć, przyprowadzi je tutaj i opowie, kim są. Zapali świece i będzie im śpiewał nieznane modlitwy, postara się o to, by poznały swoje korzenie. Opowie im o dziadkach i stryjach, których nigdy nie zobaczą, o kimś, kogo Wszechmogący obdarzył tak wielkim talentem, że potrafił z metalu tworzyć cuda, o wspaniałym relikwiarzu i o złotej róży ze srebrną łodyżką. Opowie swym synom i córkom o wygnanych krewnych, o czasach, kiedy świat był lepszy, o wszystkim, co odeszło w przeszłość. Reszta, powiedzieli sobie z Adrianą, zależy od woli Boga.

# Przypisy

[1] Dante Alighieri, *Boska komedia*, przekład Edward Porębowicz, PIW.



## MEDICUS Z SARAGOSSY

Hiszpania w czasach Inkwizycji.

W roku 1492 Izabela Kastylijska i Ferdynand Aragoński, władcy Hiszpanii, wydają edykt nakazujący wszystkim Żydom opuszczenie królestwa. Na kilka dni przed ostatecznym terminem wyjazdu lud podburzany przez inkwizytorów dokonuje w wielu miastach samosądu na wypędzonych. Ofiarami pogromów są zarówno Żydzi, jak i konwertyci, młodzi i starzy, kobiety, mężczyźni i dzieci. Z rodziny Chilkiusza, słynnego toledońskiego złotnika, ocalałe tylko jego średni syn, Jonasz. Zmuszony do ucieczki z Toledo, odtąd w przebraniu będzie krążył po kraju, aż trafi do Saragossy, gdzie odkryje swe powołanie...



Książnica

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-03-245-0177-1

EAN 9780324501771

U. CE HIS028 1.01.01